

DANIEL

SILVA

**ANGIELSKA
DZIEWCZYNA**

The English Girl

Przełożył

Stanisław Bończyk



Mary Read

*Raz jeszcze mojej żonie, Jamie,
oraz moim dzieciom, Lily i Nicholasowi.*

Kto niecnie żyje, umiera niecną śmiercią.

- przysłowie korsykańskie

Część pierwsza

Porwana

1.

Piana, Korsyka

Przyszli po nią pod koniec sierpnia. Dokładnej godziny uprowadzenia nie udało się ustalić. Zeznania współlokatorów były mało precyzyjne - zniknęła jakoś między zachodem słońca a południem następnego dnia. O zmierzchu widzieli ją po raz ostatni. Odjechała spod domu na skuterze w ledwie zakrywającej opalone uda bawełnianej sukience, która powiewała na wietrze. Około południa zorientowali się, że łóżko Madeline jest puste. Została po niej tylko przeczytana do połowy szmirowata powieść, której strony pachniały mieszanką zapachów mleczka kokosowego i rumu. Minęła kolejna doba, zanim zdecydowali się wezwać żandarmów. Takie to było lato i taka to była dziewczyna.

Ich grupa dotarła na Korsykę dwa tygodnie wcześniej: cztery ładne dziewczyny i dwóch chłopaków o poważnym spojrzeniu. Wszyscy z oddaniem służyli rządowi brytyjskiemu. Albo raczej partii będącej u władzy. Dostali do dyspozycji nieduże renault, do którego z trudem mogło się wcisnąć pięć osób. Czerwonym skuterem jeździła tylko Madeline - w iście samobójczym stylu. Wszyscy zamieszkali w stojącej na uboczu willi w kolorze ochry. Schludny dom o zwartej bryle zbudowano na skraju urwiska, a z jego okien rozpościerał się widok na morze. Pośrednicy działający na rynku nieruchomości mówią o takich miejscach „pełne uroku”. Dom miał basen i ogrodzony murem ogród pełen rozmarynu i krzewów pieprzowych. Czar otoczenia sprawił, że już po kilku godzinach przyjezdnym udało się osiągnąć stan, o którym marzy każdy angielski turysta: błogą, spaloną słońcem półnagość.

Madeline, choć najmłodsza z grupy, była jej nieformalną szefową. Odpowiedzialność tę przyjęła zresztą bez cienia protestu. To ona wynajęła willę. Ona również organizowała obfite obiady, późne kolacje i całodniowe wycieczki w dzikie tereny leżące w głębi wyspy. Trasy wypadów wiodły wąskimi trudnymi drogami, ale ona zawsze przewodziła swoim, gnając bez krzty strachu na czerwonym skuterze. Nigdy nie fatygowała się przy tym, by rzucić okiem na mapę. Dzięki tygodniom przygotowań, które poprzedziły wyjazd na wyspę, posiadała na jej temat niemal encyklopedyczną wiedzę. Poznała nie tylko topografię Korsyki, ale też jej historię, kulturę i tradycje kulinarne. Nie zamierzała zdawać się na ślepy traf. Unikała w życiu polegania na szczęściu.

W siedzibie partii na londyńskim Millbank pojawiła się dwa lata wcześniej jako świeżo upieczona absolwentka ekonomii i polityki społecznej na uniwersytecie w Edynburgu. Ogromna większość jej nowych kolegów i koleżanek kształciła się na elitarnych prywatnych

uczelniami w Cambridge lub na Oksfordzie, ale to właśnie Madeline - absolwentka podrzędnego uniwersytetu - błyskawicznie pięła się po szczeblach kariery. Po kilku szybkich awansach w obrębie kadry administracyjnej dorobiła się stanowiska kierowniczkę do spraw kontaktów ze społecznością lokalną. O swojej pracy mówiła tylko tyle, że polega ona na zdobywaniu dla partii głosów tych Brytyjczyków, którzy nie mają żadnego interesu w popieraniu jej linii politycznej ani poszczególnych kandydatów. Nikt nie miał przy tym wątpliwości, że obecne stanowisko będzie dla Madeline jedynie odskocznią na znacznie wyższy szczebel. Miała przed sobą świetlaną przyszłość. „Żarówiaście świetlaną”, jak ujmowała to Pauline, nie bez dozy zawiści śledząca karierę młodszej koleżanki. Plotka mówiła, że Madeline wziął pod skrzydła ktoś z partyjnych wyżyn, ktoś z otoczenia premiera. Kto wie, może nawet on sam! Dziewczyna miała wszystko: urodę pozwalającą doskonale zaprezentować się w telewizji, ostry intelekt i niespożytą energię. Każdy w biurze obstawiałby w ciemno, że w przyszłości zasiądzie w parlamencie albo nawet obejmie któreś z ministerstw. Kwestia czasu. Tak przynajmniej mówiono.

W tym świetle jeszcze bardziej dziwił fakt, że w wieku lat dwudziestu siedmiu Madeline nadal nie była z nikim związana. Pytana o życie uczuciowe odpowiadała, że nie ma czasu na facetów, bo jest zbyt zajęta pracą. Fiona z kancelarii Rady Ministrów, ciemnowłosa piękność o wrednym charakterze, wątpiła w prawdziwość tych tłumaczeń. Dokładniej mówiąc, była zdania, że Madeline najzwyczajniej w świecie kręci. Obserwacja ta była o tyle ciekawa, że skłonność do kręcenia była cechą samej Fiony i filarem jej zaangażowania w politykę. Słuszności swej teorii dowodziła ona, argumentując, że o ile Madeline ma mnóstwo do powiedzenia na niemal każdy temat, to robi się zaskakująco skryta, gdy tylko rozmowa schodzi na jej życie prywatne. Owszem, zdarza jej się napomknąć o trudnym dzieciństwie, obskurnym mieszkaniu komunalnym w Essex, ojcu, którego ledwie pamięta, czy bracie alkoholiku, który nie przepracował w życiu jednego dnia. To wszystko jednak - zwracała uwagę - nic niewnoszące ochłapy informacji. To, co dotyczyło życia intymnego Madeline, ukryte było za murem milczenia. „Nasza Madeline mogłaby mordować ludzi siekierą albo być luksusową dziwką - mówiła Fiona - a nikt z nas by się nie połapał”. Pracująca na podrzędnym stanowisku w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Alison miała jednak zupełnie inną teorię.

- Biedulka jest po prostu zakochana - powiedziała pewnego popołudnia, patrząc na Madeline, która niczym bogini wynurzyła się właśnie z morza. - Problem w tym, że facet nie odwzajemnia uczucia.

- Niby dlaczego miałby go nie odwzajemniać? - spytała Fiona sennie.

- Bo nie ma jak.
- Żonaty?
- Na sto procent.
- Kutas.
- A ty nigdy...
- ...nie miałaś romansu z żonatym?
- No.
- Tylko dwa razy, ale poważnie rozważam trzeci.
- Będziesz się smażyć w piekle, Fi.
- Taką mam nadzieję.

Wszystko to były domysły, dowodów brakło. Tamtego popołudnia, siódmego dnia na Korsyce, pięcioro współlokatorów Madeline Hart z willi na obrzeżach Piany, trzy dziewczyny i dwóch chłopaków, postawiło sobie za cel znaleźć jej kochanka. „I to nie jakiegoś tam kochanka - podkreślała Pauline - tylko faceta w odpowiednim wieku, przystojnego, o dobrym pochodzeniu, niezależnego finansowo i zdrowego psychicznie. I żadnych trupów w szafie ani innych bab w jego życiu i łóżku”. Fiona, najbardziej doświadczona w sprawach sercowych, uznała niemal natychmiast, że nie ma prawa im się udać. „Ktoś taki nie istnieje - rzuciła znużonym tonem kobiety, która na poszukiwaniach kogoś takiego strawiła aż nadto czasu - a jeśli nawet, to albo okaże się żonaty, albo będzie tak zapatrzony w siebie, że nie znajdzie chwili dla biednej Madeline”.

Mimo braku wiary w sukces Fiona podjęła wyzwanie, po to choćby, by urozmaicić wakacje szczyptą intrygi. Na szczęście potencjalnych celów nie brakowało, bo wyglądało na to, że połowa mieszkańców południowo-wschodniej Anglii porzuciła swoją smaganą deszczem wyspę dla korsykańskiego słońca. Na północnym krańcu Golfe de Porto ulokowała się kolonia finansistów, leżące na wzgórzach Castagniccia stało się siedliskiem wiodących życie cyganerii artystów, a przy plaży na Campomoro zamieszkał zespół aktorski. Do tego dochodziła jeszcze delegacja polityków opozycji knujących nieustannie, jak wrócić do władzy - ci zamieszkali w willi na klifach Bonifacio.

Używając wystawionej przez kancelarię Rady Ministrów wizytówki, Fiona szybko zorganizowała kilka spotkań towarzyskich. Przy każdej z tych okazji, czy była to kolacja, wyjście w góry, czy popijawa na plaży, namierzała najlepiej rokującego mężczyznę i szybko doprowadzała go w pobliże Madeline. Na próżno jednak. Ani jednemu nie udało się sforsować otaczającego ją muru. Poległ nawet młody aktor, który ledwo co zakończył świetny sezon jako odtwórca głównej roli w największym musicalowym hicie West Endu.

- Wzięło ją jak cholera - stwierdziła Fiona podczas jednego z późnowieczornych powrotów do willi, gdy Madeline prowadziła grupę przez ciemności, jadąc na czerwonym skuterze.

- Jak myślisz, kim on jest? - spytała Alison.

- Nie mam pojęcia, ale to musi być ktoś naprawdę wyjątkowy.

Do planowanego powrotu do Londynu pozostało nieco ponad tydzień. To wtedy Madeline zaczęła znacznie więcej czasu niż dotąd spędzać samotnie. Wychodziła nad ranem, zanim pozostali zdążyli wstać z łóżek, a wracała późnym popołudniem. Na pytanie, gdzie była, odpowiadała za każdym razem zdawkowo i nieprecyzyjnie, a przy kolacji sprawiała wrażenie pochmurnej i zatroskanej. Alison oczywiście natychmiast zaczęła się obawiać, że tajemniczy kochanek - kimkolwiek jest - dał Madeline do zrozumienia, że już jej nie chce. Jednak następnego dnia, wróciwszy z zakupów, Fiona i Pauline z radością obwieściły pozostałym, że domysły ich były błędne. Wszystko wskazywało na to, że kochanek Madeline pojawił się na Korsyce. Fiona miała nawet dowód w postaci zdjęć.

Do spotkania doszło dziesięć po drugiej w Les Palmiers przy Quai Adolphe Landry w Calvi. Madeline od jakiegoś już czasu siedziała przy stoliku w pobliżu wejścia do portu, zwrócona w stronę morza, zupełnie jakby nie zauważała mężczyzny naprzeciwko. Oczy ukryła za szklami dużych okularów przeciwsłonecznych, a na głowie miała słomkowy kapelusz z wymyślną kokardą. Rondo rzucało cień na jej piękną twarz. Pauline chciała podejść do stolika, lecz Fiona wyczuła aurę pełnej napięcia intymności i natychmiast jej to wyperswadowała, zarządzając błyskawiczny odwrót.

Czasu było tylko tyle, by sięgnąć po komórkę i ukradkiem sfotografować siedzących. Madeline nie zwróciła uwagi na intruzów, ale mężczyzna owszem. Gdy tylko Fiona nacisnęła guzik aparatu w telefonie, odwrócił się gwałtownie, zupełnie jakby jakiś zwierzęcy instynkt ostrzegł go przed cyfrowym pogwałceniem jego prywatności.

Ukrywszy się w pobliskiej brasserie, Fiona i Pauline uważnie przyjrzały się mężczyźnie na zdjęciu. Był lekko siwiejącym blondynem o bujnych jak u młodego chłopaka, rozwianych przez wiatr włosach. Grzywka opadała mu na czoło, obramowując kanciastą twarz, której najbardziej rzucającym się w oczy elementem były nienawistne, wąskie usta. Ubrany był w stylu żeglarskim: białe spodnie, koszula z oksfordzkiej bawełny w biało-niebieskie paski, sportowy zegarek, a na nogach mokasyny na miękkich podszwach - takie, które na pewno nie pozostawia śladów na pokładzie. I on sam taki był. Mężczyzna, który nigdy nie pozostawia śladów.

Uznały, że jest Brytyjczykiem, choć na dobrą sprawę mógł równie dobrze pochodzić z Niemiec czy Skandynawii albo nawet - pomyślała Pauline - być potomkiem polskich arystokratów. Miał pieniądze, to nie ulegało wątpliwości. Świadczyła o tym choćby zroszona zimnymi kropelkami butelka drogiego szampana tkwiąca w przymocowanym do stolika kubelku z lodem. Nie odziedziczył fortuny, brnęły w domysłach, majątku dorobił się sam. Nie zawsze legalnymi sposobami. Był typem hazardzisty i na pewno miał konta w szwajcarskich bankach. Podróżował do niebezpiecznych miejsc. Dyskretny. Zupełnie jak jego materiałowe buty.

Jednak to wygląd Madeline, a nie jego, wydał im się bardziej zagadkowy. Nie miały przed sobą dziewczyny, którą znały z Londynu, ani nawet tej, z którą przez ostatnie dwa tygodnie dzieliły willę. Madeline wyglądała i zachowywała się inaczej, jak aktorka grająca w zupełnie innym filmie niż dotąd. Fiona i Pauline pochyliły się nad ekranem telefonu niczym podekscytowane gimnazjalistki. Poznały już postaci - teraz trzeba było dołożyć dialogi i historię. Romans, głosiła wersja Fiony i Pauline, rozpoczął się całkiem niewinnie od przypadkowego spotkania w ekskluzywnym butik przy New Bond Street. Flirt trwał długo, a znajomość została skonsumowana w sposób starannie zaplanowany. Dopisanie końca historii przekraczało na razie możliwości obserwatorek. Musiały poczekać, aż zrobi to życie. Obie jednak były zgodne, że będzie to koniec tragiczny. „Takie historie zawsze kończą się tragicznie. - Fiona wiedziała to z doświadczenia. - Dziewczyna poznaje faceta, zakochuje się w nim, on ją rani, a potem ona ze wszystkich sił stara się go zniszczyć”. Tego popołudnia zdołała zrobić Madeline i jej kochankowi jeszcze dwa zdjęcia. Na pierwszym ona i on idą zalanym słońcem nabrzeżem, a ich ręce dyskretnie się dotykają. Na drugim udało się uchwycić moment ich pożegnania, zaskakująco krótkiego, bez jednego choćby pocałunku. Mężczyzna wsiadł do zodiaka i odpłynął w stronę portu. Madeline poszła po skuter i ruszyła w drogę powrotną do willi. Gdy dotarła na miejsce, nie miała już na głowie kapelusza z wymyślną kokardą, a opowiadając, jak jej minął dzień, nawet nie zająknęła się o wizycie w Calvi i spotkaniu w Les Palmiers. Fiona była pod wrażeniem. „Nasza Madeline umie cholernie dobrze kłamać - szepnęła do Pauline. - Może, jak mówią, ma przed sobą świetlaną przyszłość. Kto wie? Może pewnego dnia zostanie panią premier?”

Tamtego wieczoru cztery ładne dziewczyny i dwóch młodzieńców o poważnym spojrzeniu miało zjeść kolację w sąsiedniej miejscowości, Porto. Madeline udało się wykuta, uczniowską francuszczyzną nie tylko zrobić rezerwację, ale jeszcze wymóc na właścicielu, by przygotował najlepszy stół na tarasie, z którego roztaczał się piękny widok na otoczoną skałami zatokę. Wszyscy sądzili, że droga na kolację będzie wyglądała jak każda inna:

Madeline na skuterze z przodu, reszta w samochodzie. Tak się jednak nie stało. Tuż przed dziewiętnastą Madeline oznajmiła, że jedzie do Calvi wypić drinka ze starym znajomym z Edynburga. „Widzimy się w knajpie!” Wsiadła na skuter, uruchomiła silnik i w ostatniej chwili rzuciła przez ramię: „Tylko tym razem się nie spóźnijcie!”. Po czym odjechała. Nikogo specjalnie nie zdziwiło, że nie pojawiła się na kolacji. Gdy następnego dnia rano okazało się, że jej łóżko jest puste, również nikt nie wszczął alarmu. Takie to było lato i taka to była dziewczyna.

2.

Korsyka-Londyn

Francuska policja oficjalnie uznała Madeline Hart za zaginioną w ostatni piątek sierpnia o czternastej. Trzy dni poszukiwań nie dały żadnych rezultatów, a jedynym śladem, na jaki udało się natrafić, był uszkodzony skuter. Miał strzaskany przedni reflektor i leżał w przydrożnym rowie na peryferiach Monte Cinto. Pod koniec tygodnia nikt na komisariacie nie ludził się już, że młodą Brytyjkę uda się odnaleźć żywą. W obecności mediów, rzecz jasna, wszyscy zarzekali się, że sprawa jest w toku, a poszukiwania turystki trwają. W głębi duszy jednak wszyscy funkcjonariusze bez wyjątku zaczęli się już głowić, kto może stać za zabójstwem.

Nie licząc mężczyzny, z którym Madeline w przeddzień zniknięcia zjadła lunch w Les Palmiers, nie było żadnych potencjalnych podejrzanych, ale on także zniknął z powierzchni ziemi. Czy był potajemnym kochankiem zaginionej, jak podejrzewała Fiona i pozostali, czy nowym znajomym, poznanym dopiero na Korsyce? Anglik? Francuz? „A może - rzucił w przepływie frustracji jeden z detektywów - kosmita, który zamienił się w wiązkę cząsteczek i teleportował się z powrotem do statku bazy”. Zeznanie kelnerki z Les Palmiers niewiele wniosło. Pamiętała tylko, że mężczyzna rozmawiał z dziewczyną w kapeluszu po angielsku, ale zamówienia składał bezbłędną francuszczyzną. Zapłacił gotówką. Ruchem hazardzisty grającego o wysokie stawki wyłożył na stolik nowe czyste banknoty. Zostawił też spory napiwek, a to teraz w Europie rzadkość, bo jest kryzys i w ogóle. Tym, co najbardziej zapadło jej w pamięć, były jego dłonie: prawie nieowłosione, bez blizn czy jakichkolwiek przebarwień. Miał też czyste, zadbane paznokcie. Lubiła to u mężczyzn.

Jego fotografię pokazano dyskretnie we wszystkich lepszych barach i restauracjach na wyspie, ale nigdzie nie wywołała ona reakcji innej niż apatyczne wzruszenia ramion. Zupełnie jakby nikt nigdy nie zwrócił na niego uwagi. A jeśli już, to nie potrafiono przypomnieć sobie jego twarzy. Poszukiwany nie różnił się niczym od setek innych kabotynów zalewających każdego lata Korsykę: ładna opalenizna, drogie okulary przeciwsłoneczne, a na nadgarstku kawał pozłacanego, ręcznie wyprodukowanego w Szwajcarii ego. Wydmuszka. Zero z kartą kredytową i piękną towarzyszką po drugiej stronie stolika. Człowiek, który nie pozostawia śladu w pamięci.

O ile jednak korsykańskim restauratorom i sklepikarzom wolno było o nim zapomnieć, o tyle francuska policja na taki luksus pozwolić sobie nie mogła. Zdjęcie mężczyzny

przepuszczono przez każdą dostępną bazę danych, która była do dyspozycji, by następnie przejść do przetrzepywania pomniejszych rejestrów. Kolejne próby nie przyniosły efektu, więc raz po raz wracano do dyskusji, czy zamieścić zdjęcie w prasie. Nie brakowało takich, szczególnie wyższych rangą, którzy byli przeciwni temu rozwiązaniu. Koniec końców - mówili - nie jest wykluczone, że faceta jedyną winą jest niewierność małżeńska, co trudno uznać za zbrodnię, zwłaszcza we Francji. Gdy jednak minęły kolejne siedemdziesiąt dwie godziny, a śledztwo nie ruszyło choćby o krok, uznano, że nie ma innego wyjścia, jak skorzystać z pomocy mediów. Do prasy trafiły dwa starannie wykadrowane zdjęcia. Na pierwszym mężczyzna siedzi w Les Palmiers, drugie przedstawiało go idącego nabrzeżem. Nim zapadł wieczór, śledczych zalała istna fala doniesień i wskazówek. Szybko oddzielono ziarna od plew, a pracujący nad sprawą ludzie skupili się na tych nielicznych tropach, które miały niewielką choćby szansę okazać się prawdziwe. Bez skutku. Od zaginięcia Madeline Hart minął tydzień, a jedynym podejrzanym pozostawał mężczyzna bez imienia czy choćby obywatelstwa.

Tropów dających szansę na przełom w śledztwie policjanci nie mieli, za to teorii było mnóstwo. Część detektywów sądziła, że mężczyzna z Les Palmiers to psychopatyczna bestia, której udało się zwabić Madeline w zasadzkę. Byli też tacy, którzy uważali, że facet po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Jest żonaty - głosiła ich teoria - więc nie rwie się do współpracy z policją. Co do samej Madeline, prawdopodobnie padła ofiarą napadu, który się napastnikom zwyczajnie nie udał. Samotna młoda kobieta na skuterze to przecież łakomy kąsek dla złodzieja. A ciało? Znajdzie się. Wyrzuci je morze, natrafi na nie w górach przypadkowy turysta albo odkopie je rolnik w czasie bronowania pola. Tak już jest na tej wyspie. Na Korsyce trup zawsze wypływa.

Na Wyspach zator w śledztwie stał się świetnym pretekstem, by dowalić Francuzom. Przede wszystkim jednak cała prasa - wliczając periodyki sympatyzujące z opozycją - pisała o zaginięciu Madeline Hart jak o tragedii narodowej. W najdrobniejszych szczegółach opisywano historię jej spektakularnego awansu i wyrwania się z domu komunalnego w Essex, a partyjni dygnitarze ubolewali publicznie nad przedwczesnym końcem tak błyskotliwej kariery. Za to zapłakana matka Madeline i rozlazły brat zaginionej udzielili telewizji po jednym tylko wywiadzie, po czym zniknęli z mediów. Podobnie stało się w przypadku jej wakacyjnych towarzyszy z Korsyki. Podczas powrotu do Wielkiej Brytanii, jeszcze na lotnisku Heathrow, wystąpili wspólnie na konferencji prasowej, pilnowani przez całą watahę doradców partii do spraw kontaktów z mediami. I na tym koniec. Po tej konferencji cała piątka konsekwentnie odrzucała wszelkie propozycje wywiadów, łącznie z tymi, których

przyjęcie łączyłoby się z sowitym wynagrodzeniem. Medialne relacje o zaginięciu Madeline były wolne od skandalizującego tonu. Żadnych artykułów o wakacyjnych libacjach, seksualnych wybrykach czy zakłócaniu porządku, tylko niekończąca się gadanina o zagrożeniach czyhających na młode kobiety wyjeżdżające za granicę. W siedzibie partii spece od kontaktów z prasą po cichu gratulowali sobie tak sprawnej kontroli nad obiegiem informacji. Kadry polityczne z kolei odnotowały wyraźny wzrost sondażowego poparcia dla premiera. Wtajemniczeni za zamkniętymi drzwiami nazywali to „efektem Madeline”.

Z biegiem czasu teksty poświęcone zaginionej opuściły pierwsze strony, były coraz krótsze i trafiały na mniej eksponowane miejsca. Pod koniec września zniknęły zupełnie. Nadeszła jesień, a więc czas, gdy należy zająć się sprawami rządu. Wielka Brytania stała przed potężnymi wyzwaniem: gospodarka w recesji, strefa euro w stanie agonalnym, a do tego nieskończenie długa lista nierozwiązanych kwestii społecznych. Na to wszystko nakładała się perspektywa wyborów. Premier zapowiadał, że wyborcy pójną do urn jeszcze przed końcem roku i zdawał sobie sprawę z tego, że nie wywiązanie się z obietnicy łączyć się będzie z ogromnym ryzykiem. Jonathan Lancaster stał na czele brytyjskiego rządu właśnie dlatego, że jego poprzednik po miesiącach flirtu z mediami i elektoratem wyborów nie ogłosił. Lancaster, wówczas lider opozycji, nazwał go wtedy „Hamletem spod dziesiątki”¹, zadając mu tym samym śmiertelny cios.

Wszystko to tłumaczyło, dlaczego Simon Hewitt, dyrektor do spraw komunikacji w gabinecie premiera, nie sypiał ostatnio najlepiej. Jego bezsenność miała zresztą charakter cykliczny i opierała się na niezmiennym schemacie. Uporawszy się z kolejną porcją zadań, wykończony po dniu pracy Hewitt zasypiał bardzo szybko, z reguły z otwartą teczką na piersi, by ocknąć się po zaledwie dwóch lub trzech godzinach. Gdy tylko się budził, porywał go natłok myśli. Po czterech latach pracy dla rządu potrafił koncentrować się tylko na negatywach. Taki już los rzeczników prasowych z Downing Street. W świecie Simona Hewitta nie było triumfów, a tylko katastrofy. Podobnie jak prawdziwe trzęsienia ziemi, były one zróżnicowane pod względem siły: od ledwie wyczuwalnych drgań po wstrząsy tak potężne, że mogące zrównać z ziemią budynki i przewrócić ludzkie życie do góry nogami. Od Hewitta oczekiwano, że będzie przewidywał nadchodzące klęski żywiołowe i działał tak, by minimalizować straty.

On sam jakiś już czas temu uświadomił sobie, że wymagają od niego rzeczy niemożliwych. W najtrudniejszych chwilach świadomość ta dodawała mu otuchy.

¹ Aluzja do londyńskiego adresu Downing Street 10. Mieści się tam gabinet i mieszkanie służbowe premiera Wielkiej Brytanii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Hewitt był kiedyś człowiekiem, który z uwagi na swoją pozycję i dokonania miał w środowisku znaczny mir. Jako najlepszy dziennikarz polityczny „Timesa” był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Whitehall. Kilkoma ostrymi, trafnymi, pisanymi niepowtarzalnym stylem tekstami potrafił zdeprecjonować politykę rządu i zrujnować karierę stojącego za nią ministra. Miał tak silną pozycję, że żaden rząd nigdy nie decydował się na wdrożenie istotnej inicjatywy, nie zasięgnąwszy wcześniej jego opinii. Żaden polityk, któremu śnił się awans i świetlana przyszłość na czele partii, nie miał co marzyć o sukcesie, nie zapewniwszy sobie zawczasu poparcia Hewitta. Jednym ze świadomych tego wymogu polityków był Jonathan Lancaster, dawniej korporacyjny prawnik z mocnego i bezpiecznego dla partii okręgu na przedmieściach Londynu. Z początku Hewitt nie miał o nim zbyt dobrego mniemania. Lancaster wydawał mu się zbyt uładzony, ładny i dobrze ustawiony, by można go było traktować poważnie. Z czasem jednak zaczął widzieć w nim utalentowanego człowieka idei, który ma wizję tego, jak odnowić swoją dogorywającą partię i tym samym odmienić oblicze kraju. Ku własnemu zaskoczeniu Hewitt odkrył też po jakimś czasie, że naprawdę lubi Lancastera. Takie odkrycie nigdy nie wróży niczego dobrego. Im bardziej zacieśniała się ich relacja, tym mniej czasu poświęcali na plotkowanie o politycznych machinacjach w Whitehall, a więcej dyskusjom o tym, jak zaradzić problemom społecznym. W noc wyborczą Lancaster zwyciężył, uzyskując taką większość parlamentarną, jakiej nie zdobył żaden premier jego pokolenia. Jedną z pierwszych osób, z którymi się wtedy skontaktował, był Hewitt.

- Simon - zaczął charakterystycznym, uwodzicielskim tonem - musisz mi pomóc. Sam nie dam rady.

Hewitt napisał wtedy tekst, w którym w jasnych barwach przedstawił szanse Lancastera na znaczne sukcesy, wiedział doskonale, że jest kwestią kilku dni, kiedy zacznie pracować dla niego przy Downing Street.

Otworzył powoli oczy i z odrazą spojrzął na stojący na stoliku nocnym budzik, który pokazywał trzecią czterdzieści dwie, zupełnie jakby kpił z Hewitta. Obok leżały trzy smartfony, naładowane i przygotowane na medialny szturm. Skonany Hewitt pomyślał, że chciałby sam móc równie łatwo naładować swoją baterię, doprowadził jednak swój organizm w średnim wieku do takiego stanu, że żadna ilość snu czy liczba godzin spędzonych w tropikalnym słońcu, nie mogłaby zadośćuczynić obciążeniom. Spojrzął na leżącą obok Emmę. Spała głęboko, jak zawsze. Kiedyś na pewno przyszedłby mu do głowy jakiś świński sposób, by ją obudzić. Ale nie teraz. W łóżu małżeńskim Hewittów już dość dawno zapanował chłód. Emma dała się na moment uwieść blichtrowi i prestiżowi, które łączyły się z nową posadą

męża, szybko jednak zaczęła mieć do niego żal, że jest oddany Lancasterowi jak niewolnik. Postrzegala premiera niemal jak rywala seksualnego, a nienawiść do niego zaczęła zamieniać się w irracjonalny szal.

- Jesteś dwa razy lepszy od niego, Simon - rzuciła do męża poprzedniego wieczoru, całując go bez uczucia w obwisły policzek - ale z jakiegoś powodu postanowiłeś odgrywać rolę jego sługusa. Mam tylko nadzieję, że kiedyś wytłumaczysz mi dlaczego.

Hewitt wiedział, że sen nie wróci. Już nie. Leżał więc na łóżku, wsłuchując się w sekwencję dźwięków, które oznajmiały nastanie dnia. Kłapnięcie pliku gazet o posadzkę ganku, ciche bulgotanie automatycznego ekspresu do kawy, warkot silnika rządowego samochodu na ulicy. Uważając, by nie obudzić Emmy, podniósł się, narzucił szlafrok i poczłapał po schodach na dół. Skierował się do kuchni, gdzie ekspres wydawał złowrogie syczące dźwięki. Hewitt nalał sobie filiżankę kawy, czarnej, by cukrem nie popuszczać i tak już rozrośniętemu brzuchowi, i ruszył w stronę sieni. Gdy tylko uchylił drzwi, powitał go nieprzyjemny wilgotny podmuch. Na wycieracze, obok donicy ze zwiędłym geranium, leżał zafoliowany plik gazet. Schyliwszy się, Hewitt zauważył coś jeszcze: jasnobrązową kopertę formatu A4, zaklejoną i niepodpisaną. Błyskawicznie zorientował się, że nie może to być przesyłka z Downing Street. Nikt z jego podwładnych nie ośmieliłby się ot tak zostawić na progu najgłupszego nawet służbowego świstka. Tak więc musiał to być jakiś rodzaj nieproszonej korespondencji. Taki sposób załatwiania spraw nie był niczym niezwykłym. Dawni koledzy z prasy znali adres Hewitta i co rusz podrzucali mu różne przesyłki. Dostawał drobne prezenty zostawione z nadzieją na przeciek, który pozwoli ubiec konkurencję, i pełne oburzenia listy od tych, którzy poczuli się obrażeni. A także informacje o krążących w środowisku pogłoskach, zbyt delikatnej natury, by można było pisać o nich w e-mailu. Hewitt zawsze starał się być na bieżąco, jeśli chodzi o plotki krążące po Whitehall. Jako były reporter wiedział doskonale, że to, co mówi się o człowieku za jego plecami, często jest znacznie ważniejsze od tego, co pisze się na jego temat na pierwszych stronach gazet.

Szturchnął kopertę stopą, by się upewnić, że w środku nie ma przewodów czy baterii. Następnie położył ją na wierzchu sterty dzienników i skierował się do kuchni. Włączył telewizor i natychmiast ściszył dźwięk. Wyjął gazety z folii i przebiegł wzrokiem nagłówki na pierwszych stronach. Tematem numer jeden była propozycja Lancastera, by uczynić brytyjską gospodarkę bardziej konkurencyjną poprzez obniżenie podatków. Jak nietrudno było się domyślić, „Guardian” i „Independent” kipiały z oburzenia. Dzięki wysiłkom Hewitta jednak większość gazet wypowiedała się o pomysłe raczej przychylnie. Wieści z Whitehall były litościwie pomyslne. Żadnego trzęsienia ziemi. Nawet lekkich drgań!

Przebrnąwszy przez tak zwane renomowane dzienniki, Hewitt przeszedł to pospiesznej lektury tabloidów. To właśnie te gazety, jego zdaniem, stanowiły najlepszy barometr nastrojów społecznych. Uważał je za lepsze źródło informacji niż jakikolwiek sondaż. Na koniec, napełniwszy ponownie filiżankę kawą, otworzył tajemniczą kopertę. W środku znajdowały się trzy przedmioty: płyta DVD, kartka formatu A4 oraz fotografia.

- O kurwa... - szepnął słabo Hewitt. - O kurwa mać.

To, co miało miejsce później, stało się źródłem licznych spekulacji. Sam Hewitt zaś, od którego, jako od byłego komentatora politycznego, należało oczekiwać lepszego wycucia sytuacji, usłyszał z tego powodu wiele oskarżeń. Wszystko dlatego, że zamiast niezwłocznie zawiadomić policję, rzecznik Lancastera, postępując wbrew prawu, zaniósł kopertę wraz z zawartością do swojego biura przy Downing Street 12. W ten sposób znalazła się ona tuż obok siedziby premiera pod numerem dziesiątym. O ósmej rano Hewitt przeprowadził zwyczajową odprawę, jednak ani słowem nie wspomniał podwładnym o otrzymanej przesyłce. Jej zawartość pokazał tylko Jeremy'emu Fallonowi, szefowi sztabu i politycznemu *consigliere* Lancastera. Nikt z poprzedników tego ostatniego nie miał tak silnej pozycji. Oficjalny zakres obowiązków Fallona obejmował między innymi planowanie strategiczne i koordynację pracy różnych agend rządowych. To zaś oznaczało, że mógł on wtykać nos wszędzie, gdzie tylko miał ochotę. Prasa często nazywała go „mózgiem Lancastera”. Fallonowi przydomek ten bardzo odpowiadał. Lancastera na jego dźwięk w głębi duszy trafiał szlag.

Reakcja szefa sztabu różniła się od reakcji Hewitta tylko tym, że użył innego przekleństwa. W pierwszym odruchu chciał natychmiast pokazać materiały Lancasterowi, po chwili zmienił jednak zdanie. Była środa, więc należało odczekać, aż szef rządu przebrnie przez kolejne starcie z serii „pytania do premiera”. Gdy doszło wreszcie do spotkania, żaden z trzech mężczyzn nie zasugerował, by przekazać wszystko właściwym organom. Lancaster, Fallon i Hewitt byli zgodni co do tego, że należy zwrócić się do osoby dyskretnej i kompetentnej, a jednocześnie godnej zaufania, jeśli chodzi o ochronę interesów szefa rządu. Gdy Fallon i Hewitt poprosili Lancastera o wskazanie kandydata, ten podał jedno tylko nazwisko. W grę wchodził czynnik pokrewieństwa, ale też, co ważniejsze, niespłacony dług. W sytuacjach takich jak ta, argumentował premier, osobista lojalność wiele znaczy. Ale jeszcze przydatniejsza jest możliwość wywarcia nacisku.

Efektom spotkania było dyskretne ściągnięcie na Downing Street Grahama Seymoura, wieloletniego zastępcy dyrektora Brytyjskiej Służby Bezpieczeństwa znanej jako MI5.

Seymour opisze potem to spotkanie jako najtrudniejsze w całej swojej karierze. Siedząc tuż pod portretem, z którego wilkiem spoglądała na niego baronowa Thatcher, bez chwili wahania zgodził się pomóc premierowi. W okolicznościach takich jak te ludzie pokroju Grahama Seymoura tak właśnie postępowali. Zaznaczył przy tym jednak bardzo wyraźnie, że jeśli jego zaangażowanie w sprawę kiedykolwiek wyjdzie na jaw, zniszczy winnych przecieku.

Pozostawało więc tylko wskazać agenta, który przeprowadzi poszukiwania. Jak wcześniej Lancaster, Graham Seymour miał tylko jednego kandydata. Nie zdradził jednak jego nazwiska premierowi. Zamiast tego skorzystał z jednego z wielu tajnych kont operacyjnych należących do MI5 i natychmiast kupił bilet na wieczorny lot British Airways do Tel Awiwu. Gdy samolot rozpędzał się po pasie startowym, Seymour zastanawiał się, jak podejść rozmówcę. W sytuacjach takich jak ta osobista lojalność wiele znaczy, pomyślał. Ale jeszcze przydatniejsza jest możliwość wywarcia nacisku.

3.

Jerozolima

W samym sercu Jerozolimy, niedaleko pasażu Ben Jehudy, znajduje się cichy zielony zaułek - ulica Narkissa. Niewielki budynek pod numerem szesnastym ma zaledwie trzy kondygnacje, ukryte za masywnym ogrodzeniem z wapienia i rozłożystym rosnącym od frontu eukaliptusem. Mieszkanie na najwyższym piętrze tym tylko różni się od pozostałych, że swego czasu należało do tajnych służb państwa izraelskiego. Składa się ono z obszernego pokoju dziennego, schludnej i nowocześnie wyposażonej kuchni, jadalni o tradycyjnym wystroju oraz dwóch sypialni. Mniejsza z nich, ta z założenia przeznaczona dla dziecka, została żmudnie przekształcona w profesjonalną pracownię artystyczną. Gabriel i tak wolał jednak pracować w pokoju dziennym. Rześki powiew wpadający przez duże drzwi balkonowe sprawiał, że znacznie krócej utrzymywała się tam drażniąca woń rozpuszczalników.

W tej akurat chwili używał sporządzonego z niezwykłą precyzją roztworu acetonu, alkoholu i wody destylowanej. Jak go przygotowywać, nauczył Gabriela w Wenecji mistrz sztuki konserwatorskiej Umberto Conti. Substancja była na tyle silna, by pozwolić usunąć zabrudzenia i stary werniks, a przy tym na tyle delikatna, by nie uszkodzić oryginalnej farby. Gabriel nasączył roztworem wacik i wykonał nim delikatny, okrężny ruch po jędrnej piersi Zuzanny. Jej spojrzenie skierowane było w przeciwną stronę. Wyglądała tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że gdy się kąpie, przez cały czas lubieżnie przypatruje jej się dwóch wioskowych starców. Gabriel, przeważnie bardzo opiekuńczy w stosunku do kobiet, miał ochotę zareagować i oszczędzić dziewczynie traumatycznych przeżyć, które miały się stać jej udziałem: pomówienia, procesu, a wreszcie - wyroku śmierci. Zamiast tego jednak cierpliwie oczyszczał powierzchnię jej piersi, sprawiając, że zażółcona skóra na nowo nabierała alabastrowego odcienia.

Kiedy wacik był już brudny, Gabriel wrzucił go do nieprzepuszczającej oparów kolby. Przygotowując następny, przesunął powoli wzrokiem po powierzchni obrazu. Jego autorstwo przypisano zaledwie jednemu z naśladowców Tycjana, jednak aktualny właściciel płótna, znany londyński marszand Julian Isherwood, wierzył, że obraz wyszedł z pracowni samego Jacopa Bassana. Gabriel nie mógł się z tym nie zgodzić, szczególnie teraz, gdy odsłonił oryginalną warstwę farby. Na płótnie ukazały się pociągnięcia pędzlem samego mistrza, zwłaszcza na postaci Zuzanny. Gabriel znał dobrze styl Bassana. Przystudiował dokładnie

jego dorobek podczas praktyk konserwatorskich, a ponadto przez kilka miesięcy restaurował kiedyś ważny obraz tego malarza dla prywatnego szwajcarskiego kolekcjonera. Ostatniego dnia pobytu u zleceniodawcy zabił w śmierdzącej alejce nad rzeką człowieka imieniem Ali Abdel Hamidi. Był to palestyński terrorysta, który wiele miał na rękach izraelskiej krwi. Podawał się za dramatopisarza i Gabriel zafundował mu śmierć na miarę jego literackich aspiracji.

Zanurzył nowy wacik w roztworze, nim jednak zdążył wrócić do pracy, usłyszał dobiegający z ulicy znajomy warkot silnika. Wyszedł na balkon, by potwierdzić swoje przypuszczenia, po czym uchylił na kilka centymetrów frontowe drzwi. Po chwili obok niego, na drewnianym stołku siedział Ari Szamron. Miał na sobie spodnie khaki, białą koszulę z oksfordzkiej bawełny i skórzaną kurtkę rozdartą na lewym ramieniu. Na jego pooranej zmarszczkami twarzy malował się głęboki niesmak.

- Te twoje chemikalia czuć aż z ulicy - zaczął. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo ci zaszkodziły przez te wszystkie lata.

- Możesz być pewny, że to nic w porównaniu z tym, jak ty mi zaszkodziłeś - odparł Gabriel. - W sumie dziwię się, że w ogóle mogę jeszcze utrzymać pędzel.

Gabriel przyłożył nawilżony wacik do postaci Zuzanny i delikatnie wprawił go w ruch. Szamron, ściągając brwi, spojrzał na zegarek ze stali nierdzewnej i zrobił taką minę, jakby stwierdził, że nie pokazuje właściwej godziny.

- Coś nie tak? - spytał Gabriel.

- Zastanawiam się po prostu, jak długo będę musiał czekać, zanim poczęstujesz mnie kawą.

- Przecież wiesz, gdzie co trzymam. Praktycznie mieszkasz tutaj.

Szamron wymamrotał po polsku pod nosem coś o niewdzięczności młodego pokolenia, następnie dźwignął się ze stołka i podpierając się laską, ruszył ociężale w stronę kuchni. Udało mu się napełnić czajnik wodą z kranu, ale był zupełnie bezradny wobec mnogości przycisków i cyfr łypiących na niego z kuchenki. Ari Szamron dwukrotnie pełnił funkcję dyrektora tajnych służb wywiadowczych Izraela.

Wcześniej przez lata był jednym z ich najsprawniejszych i najczęściej odznaczanych oficerów terenowych. Ale teraz, kiedy był już w podeszłym wieku, nie dawał sobie rady z najprostszymi czynnościami domowymi. Obsługa kawiarki, robota kuchennego czy nawet tosterka wykraczała poza jego możliwości. Gilah, jego żona, która zdołała wytrzymać z nim przez długie lata, żartowała często, że gdyby jej męża zostawić samemu sobie, to mógłby umrzeć z głodu w kuchni pełnej jedzenia.

Gabriel włączył kuchenkę i wrócił do pracy. Szamron stał w drzwiach balkonowych, paląc papierosa. Ciężki zapach tureckiego tytoniu szybko przytłumił nawet gryzącą woń rozpuszczalnika.

- Musisz tu palić? - spytał Gabriel.

- Muszę - odparł Szamron.

- Co robisz w Jerozolimie?

- Premier chciał zamienić ze mną słowo.

- Naprawdę?

Szamron przyjrzał się Gabrielowi poprzez chmurę niebieskawego dymu.

- Co w tym dziwnego, że premier chce mnie widzieć?

- To, że... - zaczął Gabriel.

- ...jestem stary i się już nie liczę? - przerwał mu Szamron.

- Jesteś narwany, niecierpliwy i czasem zachowujesz się mało racjonalnie, ale nigdy nie przestałeś się liczyć.

Szamron pokiwał głową. Z wiekiem nauczył się dostrzegać własne ułomności. Inna sprawa, że lata na karku sprawiały też, że nie miał już czasu, by te ułomności zwalczyć.

- I co u niego?

- To, czego mógłbyś się spodziewać.

- To o czym rozmawialiście?

- Rozmawialiśmy bardzo szczerze i na wiele tematów.

- A więc kłótnia i wrzaski?

- Nie. Nawrzeszczałem w życiu tylko na jednego premiera.

- Którego? - zainteresował się Gabriel.

- Na Goldę. To było dzień po Monachium. Tłumaczyłem jej, że musimy zmienić taktykę, że przyszła pora, żeby sterroryzować terrorystów. Dałem jej listę nazwisk. Listę ludzi, którzy powinni zginąć. Golda nie chciała nawet o tym słyszeć.

- I wtedy zacząłeś się na nią drzeć?

- To nie był mój najlepszy dzień.

- A ona co na to?

- Też zaczęła się na mnie drzeć. Ale koniec końców przekonała się do mojego sposobu myślenia. Po tamtej rozmowie stworzyłem kolejną listę nazwisk. Znalazły się na niej nazwiska młodych ludzi, którzy byli mi potrzebni do przeprowadzenia operacji. Wszyscy, których na nią wpisałem, natychmiast się zgodzili. - Szamron urwał, by po chwili dodać: - Wszyscy poza jednym.

Gabriel w milczeniu wsunął kolejny brudny wacik do kolby. Ostrą woń rozpuszczalnika dało się uwięzić w szkle, ale wspomnień z tamtych lat nie sposób było zagłuszyć. Przypomniawszy sobie swoje pierwsze spotkanie z dowódcą, człowiekiem, którego nazywali wtedy Memuneh. Doszło do niego zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym był teraz - na dziedzińcu Akademii Sztuk Pięknych imienia Bezalela. Wychodził właśnie z wykładu poświęconego malarstwu Viktora Frankla, cenionego niemieckiego ekspresjonisty, a prywatnie swojego dziadka ze strony matki.

Szamron czekał na niego na skraju skąpanego w słońcu dziedzińca. Niewysoki człowiek żyła w paskudnych okularach i o zębach przypominających wnyki. Był jak zawsze świetnie przygotowany. Wiedział, że Gabriel dorastał w ponurym nieco otoczeniu położonej w dolinie Jezreel osady rolniczej, i że wyniósł z dziecięcych lat głęboką odrazę do rolnictwa i wsi. Wiedział, że matka Gabriela była zdolną artystką o sporym dorobku, której udało się przeżyć obóz w Birkenau, ale która nie miała szans w starciu z rakiem. Wiedział wreszcie, że pierwszym językiem jest dla niego niemiecki, i że to w tym języku chłopak wciąż myśli i śni. Wszystko to wyczytać można było z teczki, którą trzymał Szamron w poplamionych nikotyną dłoniach.

- Operacja nosi kryptonim „Gniew Boży” - dowiedział się Gabriel tamtego dnia. - Tu nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o zemstę. Czystą i prostą. To zemsta za jedenastu niewinnych zamordowanych w Monachium.

W odpowiedzi Szamron usłyszał, że ma sobie poszukać kogoś innego.

- Nie chcę kogoś innego - odparł spokojnie. - Chcę ciebie.

W ciągu kolejnych trzech lat agenci zaangażowani w operację „Gniew Boży” przemierzali Europę i Bliski Wschód, polując na ofiary. Gabriel był wśród nich. Uzbrojony w cichą i doskonałą do zabijania z bliska berettę kaliber dwadzieścia dwa, osobiście zamordował sześciu członków Czarnego Września. Gdy tylko się dało, pakował w ciało ofiary jedenaście kul - po jednej za każdego z Izraelczyków zmasakrowanych w Monachium. Kiedy w końcu wrócił z misji do domu, włosy na jego skroniach miały kolor popiołu, przez co wyglądał na dwadzieścia lat starszego, niż był. Stracił zdolność tworzenia oryginalnych dzieł. Jako artysta był wrakiem. Wyjechał więc do Wenecji, by uczyć się sztuki konserwacji. Gdy odpoczął, znów podjął pracę dla Szamrona. W kolejnych latach przeprowadził jedne z najbardziej osławionych operacji w całej historii izraelskiego wywiadu. Niedawno, po latach niespokojnej tułaczki, wrócił do Jerozolimy. Nikt nie ucieszył się z tego bardziej niż Szamron. Starzec kochał Gabriela jak syna, a mieszkanie przy ulicy Narkissa traktował jak swoje własne. Dawniej nieustanna obecność Szamrona pewnie irytowałaby Gabriela, ale

tamte czasy minęły. Może i wielki Ari Szamron był wieczny, ale cielesna powłoka zamieszkała przez jego duszę z pewnością nie była nieśmiertelna.

Nic nie zaszkodziło tej cielesnej powłoce bardziej niż bezlitosne trucie jej paleniem. Początki nałogu sięgały czasów, gdy Szamron jako młody chłopak mieszkał we wschodniej Polsce. Po przyjeździe do Palestyny i udziale w wojnie o niepodległość Izraela uzależnienie tylko się nasiliło. Teraz, opisując Gabrielowi spotkanie u premiera, sięgnął po wysłużoną zapalniczkę Zippo i zapalił kolejnego cuchnącego papierosa.

- Premier jest u kresu wytrzymałości bardziej niż zwykle. I trudno mu się dziwić. Arabska Wiosna pogrążyła region w chaosie, a Irańczycy są coraz bliżej zrealizowania swoich atomowych marzeń. Jeszcze trochę i osiągną taki poziom zaawansowania badań i zgromadzą takie rezerwy surowców, że nie będziemy mieli szans skutecznie na nich uderzyć bez pomocy Amerykanów. - Szamron zamknął z cichym trzaskiem zapalniczkę i spojrzał na Gabriela, który wrócił do pracy nad obrazem. - Czy ty mnie słuchasz? - spytał.

- Bardzo uważnie.

- Udowodnij.

Gabriel powtórzył to, co powiedział Szamron. Słowo w słowo. Szamron się uśmiechnął. Zawsze uważał nadzwyczajną pamięć Gabriela za jeden z jego największych atutów. Obrócił w palcach zapalniczkę. Dwa razy w lewo, dwa razy w prawo.

- Problem polega na tym, że prezydent USA nie chce im postawić żadnych ostrych warunków. Mówi, że nie pozwoli Irańczykom zbudować bomby atomowej, ale za deklaracją nie idą żadne działania. To czcza gadanina, i to w sytuacji, kiedy zaraz może się okazać, że Iran lada chwila będzie w stanie produkować broń jądrową.

- Z Japończykami jest tak samo.

- Tylko że Japonią nie rządzą szyiccy mułlowie, którym marzy się apokalipsa - odparł Szamron. - Jeśli prezydent Stanów nie zacznie działać rozsądniej, to po upływie kadencji może się okazać, że jego dwa największe dokonania w polityce zagranicznej to nuklearny Iran i odrodzenie się islamskiego kalifatu.

- Witamy w postamerykańskim świecie, Ari.

- I dlatego sędzę, że postępujemy bardzo głupio, właśnie im powierzając nasze bezpieczeństwo. Ale to nie jedyne zmartwienie premiera - ciągnął Szamron. - Nasi generałowie nie są pewni, czy jesteśmy w stanie na tyle zniszczyć irański program atomowy, żeby wyeliminować możliwość ataku. Ci z bulwaru Króla Saula, gdzie rządzi teraz twój kolega Uzi Navot, też nie poprawiają premierowi nastroju. Powiedzieli mu, że wojna jeden na jednego z Iranem skończyłaby się katastrofą o rozmiarze trudnym do wyobrażenia.

Bulwar Króla Saula to ulica, przy której mieściła się siedziba tajnych izraelskich służb wywiadowczych. Oficjalna nazwa tej instytucji była bardzo długa i myląca. Celowo. Chodziło o to, by nikomu nie przywodziła na myśl rzeczywistego charakteru jej działalności. Emerytowani agenci nazywali to miejsce Biurem. Ani słowa więcej.

- Uzi codziennie dostaje aktualne dane wywiadowcze.

- Ja też - odparł Szamron. - No, to znaczy nie mam dostępu do wszystkiego... - dodał pośpiesznie. - Ale wiem wystarczająco dużo, by zorientować się, że kalkulacje Uziego co do tego, ile czasu nam zostało, są błędne.

- Nigdy nie był mocny w liczeniu. Za to w terenie nie zdarzały mu się pomyłki.

- To dlatego, że rzadko wchodził w położenie, w którym dało się popełnić jakiś błąd.

Szamron zamilkł i przyglądał się kołysanemu przez wiatr eukaliptusowi, rosnącemu za barierką tarasu.

- Zawsze mówiłem, że kariera bez skandalu to nie kariera. Ja swoje przeszedłem. Ty zresztą też.

- Mam nawet blizny na dowód.

- Masz też medale i nagrody. Premier niepokoi się, że Biuro zbyt zachowawczo podchodzi do kwestii Iranu. Owszem, wpuszczaliśmy im do komputerów wirusy i wyeliminowaliśmy paru naukowców, ale ostatnio nic się nie dzieje. Premier chciałby, żeby Uzi przeprowadził coś w rodzaju drugiej operacji „Arcydzieło”.

Pod kryptonimem „Arcydzieło” kryła się izraelsko-amerykańsko-brytyjska akcja, której efektem było zniszczenie czterech irańskich zakładów wzbogacania uranu. Operację przeprowadzono za kadencji i pod zwierzchnictwem Uziego Navota, ale przy bulwarze Króla Saula wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę za sukcesem stał Gabriel. „Arcydzieło” uznawano za jedno z jego największych osiągnięć.

- Takie okazje jak tamta nie zdarzają się codziennie, Ari.

- To prawda - zgodził się Szamron. - Ja jednak zawsze byłem zdania, że okazje raczej się wypracowuje niż dostaje od losu. Premier uważa podobnie.

- Stracił zaufanie do Uziego?

- Jeszcze nie. Na razie chciał się dowiedzieć, czy ja nadal mu ufam.

- I co mu powiedziałeś?

- A miałem jakiś wybór? Przecież to ja rekomendowałem Uziego na to stanowisko.

- A więc nadal ma twoje błogosławieństwo?

- Warunkowe.

- Jak to?

- Przypomniałem premierowi, że osoba, której naprawdę chciałem powierzyć to stanowisko, odmówiła. - Szamron pokręcił powoli głową. - W całej historii Biura ty jeden odrzuciłeś propozycję objęcia stanowiska dyrektora.

- Zawsze jest ten pierwszy raz.

- Czy to oznacza, że mógłbyś zmienić zdanie?

- To dlatego tu jesteś?

- Sądziłem, że lubisz moje towarzystwo - odparował Szamron. - A tak poza tym premier i ja zastanawialiśmy się, czy mógłbyś przeprowadzić rozpoznanie dla jednego z naszych najbliższych sojuszników.

- Dla którego?

- Graham Seymour wpadł niezapowiedzianie do miasta. Chciałby z tobą zamienić słowo.

Gabriel zwrócił twarz w stronę Szamrona.

- Na jaki temat? - spytał po chwili milczenia.

- Nie chciał powiedzieć, ale wygląda na to, że sprawa jest pilna. - Starzec podszedł do sztalugi, przy której pracował Gabriel i zmrużywszy oczy, przyjrzał się nieskazitelnej powierzchni płótna. - Obraz wygląda jak nowy.

- O to chodziło.

- A dałbyś radę zrobić to samo ze mną?

- Przykro mi, Ari - odpowiedział Gabriel, dotykając poranego bruzdami policzka Szamrona. - Z tobą nic już się nie da zrobić.

4.

Hotel King David, Jerozolima.

Dwudziestego drugiego lipca 1946 roku po południu ugrupowanie syjonistycznych ekstremistów „Irgun” zdetonowało potężną bombę w jerozolimskim hotelu King David. Budynek był siedzibą wojskowych i cywilnych władz brytyjskich w Palestynie, a atak stanowił odwet za zatrzymanie kilkuset żydowskich bojowników. Zginęło w nim dziewięćdziesiąt jeden osób, w tym dwudziestu ośmiu obywateli brytyjskich, których wcześniej ostrzeżono telefonicznie, ale którzy ostrzeżenie to zignorowali. Choć atak został potępiony przez społeczność międzynarodową, szybko się okazało, że był to jeden z bardziej skutecznych aktów politycznej przemocy. W ciągu zaledwie dwóch lat Brytyjczycy wycofali się z Palestyny, a Państwo Izrael, do niedawna istniejące jedynie w snach najbardziej zagorzałych syjonistów, stało się rzeczywistością.

Wśród wybrańców, którzy przeżyli zamach, był młody oficer wywiadu Arthur Seymour. Tego weterana programu „Double Cross” [Wdrożony przez brytyjskie służby podczas drugiej wojny światowej program kontrwywiadowczo-dezinformacyjny wymierzony w III Rzeszę.] przeniesiono do Palestyny, by szpiegował członków izraelskiego podziemia. W porze zamachu Seymour powinien siedzieć w swoim biurze na terenie hotelu, ale miał szczęście: powrót ze Starego Miasta, gdzie spotkał się z jednym z informatorów, zajął mu kilka minut więcej, niż planował. Huk eksplozji usłyszał, przechodząc przez Bramę Jafy. Następnie przerażony patrzył, jak wali się duża część budynku. Obraz ten prześladować go miał przez resztę życia i wpłynął na przebieg jego kariery. Kipiący nienawiścią do Izraela i biegle mówiący po arabsku Seymour nawiązał niebezpiecznie bliskie relacje z niektórymi z najzagorzalszych wrogów państwa żydowskiego. Był częstym gościem egipskiego prezydenta Gamala Abdela Nasera i przynajmniej na początku gorącym zwolennikiem młodego palestyńskiego rewolucjonisty, Jasira Arafata.

Mimo wyraźnych proarabskich sympatii Arthura Seymoura Biuro uważało go za jednego z najsprawniejszych i najbardziej kompetentnych oficerów MI6 na całym Bliskim Wschodzie. Nieco zaskakujące było więc, że jego jedyny syn, Graham, wstąpił do MI5, a nie do owianej sławą i splendorem tajnej służby wywiadowczej. „Młody Seymour”, jak mówiono o nim na początku jego kariery, zaczął służbę w kontrwywiadzie od działań przeciwko strukturom KGB na terenie Londynu. Po upadku muru berlińskiego i wobec zagrożenia narastającym fanatyzmem islamskim awansowano go na stanowisko dyrektora do spraw

zwalczania terroryzmu. Obecnie, jako druga osoba w MI5, Seymour wykorzystał swoje doświadczenie w obu tych dziedzinach. Krążących po Londynie aktywnych rosyjskich szpiegów było znacznie więcej niż w szczycie zimnej wojny, a jednocześnie, na skutek błędów popełnianych przez kolejne rządy, Wielka Brytania była domem kilku tysięcy pochodzących z krajów arabskich i z Azji bojowników islamskich. Seymour często nazywał Londyn Kandaharem nad Tamizą. W głębi duszy martwił się, że jego kraj jest na skraju zapaści cywilizacyjnej.

Odziedziczył po ojcu szpiegowską pasję, ale w ogóle nie udzieliła mu się pogarda dla państwa izraelskiego. Przeciwnie wręcz: pod jego kuratelą MI5 nawiązało bliską współpracę z Biurem, szczególnie z Gabrielem Allonem. Seymour i Allon postrzegali siebie jako członków tajnego bractwa, zajmującego się wykonywaniem nieprzyjemnych zadań, od których wszyscy inni umywali ręce, bojąc się konsekwencji. Ci dwaj wspierali się wzajemnie, odnosili rany w imię współpracy, a bywało, że i zabijali jeden dla drugiego. Ich relacja była tak bliska, jak to tylko możliwe w przypadku szpiegów konkurencyjnych służb, co oznaczało, że byli wobec siebie tylko trochę nieufni.

- Czy znajdzie się w tym hotelu chociaż jedna osoba, która nie wie, kim jesteś? - spytał Seymour, ściskając dłoń Gabriela w taki sposób, jakby witał się z kimś, kogo widzi po raz pierwszy.

- Dziewczyna w recepcji spytała, czy przyszedłem na bar micwę syna Greenbergów.

Seymour uśmiechnął się dyskretnie. Z szarawymi puklami i wyraźnie zarysowaną szczęką doskonale pasował do stereotypu brytyjskiego barona kolonialnego - kogoś, kto decydował o ważnych sprawach i nigdy sam nie nalewał sobie herbaty.

- W środku czy na zewnątrz? - spytał Gabriel.

- Na zewnątrz - odparł Seymour.

Usiedli przy stoliku na tarasie, Gabriel zwrócony w stronę hotelu, Seymour - w stronę murów Starego Miasta. Było tuż po jedenastej - spokojna pora między śniadaniem a lunchem.

Gabriel pił tylko kawę, za to zamówienie Seymoura było potężne. Jego żona lubiła gotować, ale efekty jej starań były fatalne. Dla Anglika już posiłki wydawane w samolocie były rarytasem, a hotelowy brunch, nawet przygotowany w kuchni hotelu King David, stanowił prawdziwą ucztę dla zmysłów. Wydawało się, że podobny entuzjazm wzbudza w Seymourze widok Starego Miasta.

- Nie uwierzysz - powiedział między kęsami omleta - ale pierwszy raz w życiu jestem w twoim kraju.

- Wiem o tym - odpowiedział Gabriel. - Czytałem twoją teczkę.

- I co, ciekawa lektura?

- Jestem pewny, że to nic w porównaniu z tym, co wasze służby mają na mnie.

- To niemożliwe. Ja jestem tylko pokornym oficerem w służbie Jej Królewskiej Mości. Ty, jakkolwiek by patrzeć, jesteś legendą. Powiedz - Seymour ściszył głos - ilu tajnych agentów może się pochwalić, że uratowało świat od zagłady?

Gabriel zerknął ponad ramieniem Anglika na złocistą Kopułę na Skale - trzecie najświętsze miejsce islamu błyszczało w promieniach jerozolimskiego słońca. Przed trzema miesiącami w tajnym pomieszczeniu w głębi Wzgórza Świątynnego odnalazł potężny ładunek wybuchowy. Gdyby doszło do eksplozji, jej siła z pewnością spowodowałaby osunięcie się części wzniesienia. Przy okazji Allon odkrył też dwadzieścia dwie kolumny z jerozolimskiej Świątyni Salomona, dowodząc tym samym ponad wszelką wątpliwość, że starożytne żydowskie sanktuarium opisane w Księdze Kronik i I Księdze Królewskiej naprawdę istniało. Choć w związku z tym wiekopomnym odkryciem nazwisko Gabriela nie trafiło na pierwsze strony gazet, zachodnie środowisko wywiadowcze wiedziało o jego udziale w tej sprawie. Równie dobrze wiedziano, że bliski przyjaciel Allona, Eli Lavon, ceniony archeolog, a jednocześnie agent Biura, o mało nie zginął, ratując kolumny przed zniszczeniem.

- Miałeś cholerne szczęście, że ta bomba nie wybuchła - powiedział Seymour. - Gdyby do tego doszło, w ciągu kilku godzin parę milionów Arabów szturmowałoby waszą granicę. A poza tym... - Seymour ściszył głos.

- ...to byłby koniec przedsięwzięcia pod tytułem „Państwo Izrael” - dokończył za niego Gabriel. - I o to właśnie chodziło Irańczykom i ich przyjacielom z Hezbollahu.

- Trudno mi sobie wyobrazić, co musiałeś poczuć, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś te kolumny.

- Szczerze mówiąc, Graham, nie bardzo miałem czas na delektowanie się chwilą. Byłem zajęty ratowaniem życia Eliemu.

- Jak on się teraz czuje?

- Spędził dwa miesiące w szpitalu, ale teraz jest prawie jak nowy. Wrócił już do pracy.

- Do Biura?

Gabriel pokręcił głową.

- Znów kopie pod Murem Zachodnim. Jeśli masz ochotę, mogę ci załatwić indywidualne oprowadzanie. Zobaczysz sekretne przejście wprost na Wzgórze Świątynne.

- Nie jestem pewny, czy moi mocodawcy byliby zachwyceni, gdybym zajmował się tu zwiedzaniem. - Seymour zamilkł. Odczekał, aż kelner napełni ich filiżanki kawą i odejdzie. - A więc koniec końców pogłoska okazała się prawdą.

- Jaka pogłoska?

- Taka, że syn marnotrawny wrócił w końcu do domu ojca. Zabawne - Anglik uśmiechnął się smutno - naprawdę sądziłem, że spędzisz resztę życia, spacerując po klifach Kornwalii.

- To piękne miejsce, Graham, ale Anglia jest twoim domem, nie moim.

- Czasami w ogóle nie czuję się tam jak w domu. Helen i ja kupiliśmy niedawno willę w Portugalii. Już niedługo zostanę wygnańcem - takim, jakim ty przez lata byłeś.

- Jak „niedługo“?

- Nic na gwałt, ale wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć.

- Zrobiłeś ogromną karierę.

- Tak uważasz? Trudno określić miarę sukcesu w mojej branży. Rozliczają nas z tego, co się nie stało, z tajemnic, które nie wyciekły i z budynków, które nie wyleciały w powietrze. Taki sposób zarabiania na życie potrafi być bardzo frustrujący.

- Co będziecie robić w Portugalii?

- Helen będzie trula mnie egzotycznymi potrawami, a ja będę malował paskudne akwarelowe pejzaże.

- Nie wiedziałem, że malujesz.

- Nie bez powodu. - Seymour ściągnął brwi i rozglądał się, jakby czuł, że widok jest poza zasięgiem jego pędzla. - Ojciec przewracałby się w grobie, gdyby wiedział, że tu jestem.

- Dlaczego w takim razie tu jesteś?

- Zastanawiam się, czy mógłbyś odnaleźć coś dla mojego przyjaciela.

- Czy ten przyjaciel ma jakieś imię?

Seymour nie odpowiedział. Milcząc, sięgnął do neseseru po fotografię i podał ją Gabrielowi. Przedstawiała atrakcyjną młodą kobietę patrzącą wprost w obiektyw i trzymającą wydanie „International Herald Tribune” sprzed trzech dni.

- Madeline Hart?

Seymour skinął głową, po czym podsunął Gabrielowi kartkę formatu A4. Było na niej jedno tylko zdanie zapisane czcionką sans plain:

Masz siedem dni, potem dziewczyna zginie.

- Ja pierdołę - mruknął Gabriel. - Coraz lepiej...

Przypadek sprawił, że obsługa hotelu King David przydzieliła Grahamowi Seymourowi, jedyńemu synowi Arthura Seymoura, pokój w tym samym skrzydle budynku, które uległo zniszczeniu w roku 1946. Dokładniej mówiąc, Seymour junior zamieszkał bezpośrednio pod

pomieszczeniem, które jego ojciec wykorzystywał jako biuro w czasach, gdy wygasał brytyjski mandat w Palestynie. Gdy mężczyźni dotarli pod drzwi pokoju, zastali na kłamce zawieszkę „Nie przeszkadzać” i plastikową torbę z gazetami „Jeruzalem Post” i „Haaretz”. Seymour zaprosił Gabriela do środka. Zadowolony, że nikt pod jego nieobecność nie wchodził do pomieszczenia, włożył do laptopa płytę DVD i wcisnął „play”. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się Madeline Hart, zaginiona obywatelka Wielkiej Brytanii, zatrudniona w rządzącej w niej partii.

„Po raz pierwszy kochałam się z premierem Jonathanem Lancasterem na kongresie partii w Manchesterze, w październiku dwa tysiące dwunastego...”

5.

Hotel King David, Jerozolima

Nagranie trwało siedem minut i dwanaście sekund. Przez prawie cały ten czas spojrzenie Madeline utkwione było w jednym punkcie, minimalnie na lewo od kamery. Zupełnie jakby odpowiadała na pytania stojącej tam osoby. Wydawała się zmęczona i wystraszona, niechętnie opowiadała o tym, jak poznała premiera podczas jednej z jego wizyt w siedzibie partii na Millbank. Lancaster z uznaniem wypowiadał się o jej pracy i dwa razy zaprosił ją na Downing Street, żeby osobiście przedstawić jej wytyczne. Pod koniec drugiej z tych wizyt po raz pierwszy dał do zrozumienia, że jego zainteresowanie Madeline wykracza poza kwestie zawodowe. Ich pierwsze zbliżenie seksualne było pospieszną schadzka w hotelu w Manchesterze. W kolejnych miesiącach za każdym razem, gdy Diana Lancaster opuszczała rezydencję przy Downing Street, stary przyjaciel premiera błyskawicznie posyłał tam Madeline.

- A teraz - powiedział ponuro Seymour, gdy ekran komputera zrobił się czarny - premier Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej otrzymuje za swój grzech karę w postaci chamskiej próby szantażu.

- Tu nie ma mowy o chamstwie, Graham. Ci, którzy za tym stoją, wiedzieli, że premier zdradzał żonę, i potrafili, nie zostawiając żadnych śladów, uprowadzić jego kochankę z Korsyki. To oczywiste, że to zawodowcy i ludzie na poziomie.

Seymour, nic nie mówiąc, wyjął płytę z laptopa.

- Kto jeszcze wie? - spytał Gabriel.

Seymour wyjaśnił, że te trzy przedmioty - fotografia, kartka i płyta DVD - zostały poprzedniego ranka podrzucone na próg domu Simona Hewitta, który zawiózł je na Downing Street i pokazał Jeremy'emu Fallonowi. Opowiedział też o spotkaniu Lancastera, Hewitta i Fallona w gabinecie tego pierwszego. Gabriel, który do niedawna mieszkał na Wyspach, doskonale znał bohaterów tej opowieści. Hewitt, Fallon, Lancaster - święta trójca brytyjskiej polityki. Hewitt był specem od propagandy, Fallon strategiem intrygantem, a Lancaster miał talent do polityki.

- Dlaczego Lancaster wybrał właśnie ciebie? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Nasi ojcowie pracowali razem w wywiadzie.

- To nie mógł być jedyny powód.

- I nie był - przyznał Seymour. - Drugi nazywa się Siddiq Hussein.

- Obawiam się, że to nazwisko nic mi nie mówi.

- Nic dziwnego, bo dzięki mnie ten człowiek kilka lat temu zniknął z powierzchni ziemi i nigdy więcej o nim nie słyszano.

- Kim był?

- Urodził się w Pakistanie, mieszkał w Tower Hamlets we wschodnim Londynie. Znalazł się w kręgu naszych zainteresowań po zamachach bombowych w dwa tysiące siódmym roku. Przejrzeliśmy wtedy na oczy i zaczęliśmy zgarniać z ulic radykalnych islamistów. Sam wiesz, jak wtedy było - ciągnął z goryczą Seymour. - To był czas, kiedy lewica i wszystkie media cisnęły, żebyśmy zrobili coś z terrorystami żyjącymi wśród nas.

- Mów dalej.

- Siddiq zadawał się z ekstremistami z Meczetu Wschodniolondyńskiego. Raz po raz namierzaliśmy jego komórkę w miejscach, gdzie nie powinno go być. Dostarczyłem Scotland Yardowi kopię jego akt, ale w sekcji antyterrorystycznej uznali, że nie ma wystarczająco dużo dowodów, żeby faceta ruszyć. Ale wtedy Siddiq zrobił coś, co sprawiło, że sam rozwiązałem problem.

- Co takiego?

- Kupił bilet do Pakistanu.

- Poważny błąd.

- Bardzo poważny - stwierdził ponuro Seymour.

- Co się stało?

- Pojechaliśmy za nim na Heathrow i upewniliśmy się, że wsiadł do samolotu do Karaczi. Kiedy był już w powietrzu, po cichu skontaktowałem się ze starym kumplem z Langley. Dobrze go znasz.

- Adrian Carter?

Seymour skinął głową. Carter był w CIA dyrektorem sekcji operacji tajnych. Z ramienia Agencji nadzorował globalną wojnę z terroryzmem, łącznie z do niedawna tajnymi programami przechwytywania i przesłuchiwania ważnych świadków.

- Ludzie Cartera obserwowali Siddiqą w Karaczi przez trzy dni - ciągnął Seymour. - Potem wsadzili mu worek na łeb i pierwszym lotem wywieźli z kraju.

- Dokąd go zabrali?

- Do Kabulu.

- Do „Satt Pit”²?

Seymour wolno pokiwał głową.

² „Satt Pit” - tajne więzienie CIA w środkowym Afganistanie.

- Jak długo wytrzymał?

- Zależy, kogo spytasz. Według agencyjnego raportu Siddiqą znaleziono martwego w celi dziesięć dni po tym, jak trafił do Kabulu. Jego rodzina sugerowała podczas procesu, że zmarł podczas tortur.

- A co to wszystko ma wspólnego z premierem?

- Kiedy prawnicy reprezentujący w procesie rodzinę Siddiqą zażądali wydania wszystkich dokumentów MI5 związanych ze sprawą, rząd Lancastera odmówił, argumentując, że byłoby to działanie na szkodę bezpieczeństwa narodowego. Premier uratował mi karierę.

- I teraz ty masz spłacić dług, ratując jego głowę? - Seymour nie odpowiedział, więc Gabriel kontynuował: - To się źle skończy, Graham. A kiedy już się zacznie, twoje nazwisko z całą pewnością znajdzie się w aktach sądowych.

- Powiedziałem im bardzo jasno, że jeśli tak się stanie, pociągnę wszystkich za sobą. Łącznie z Lancasterem.

- Nigdy nie miałem cię za naiwniaka, Graham.

- Bo nie jestem naiwny.

- Więc się z tego wycofaj. Wracaj do Londynu i powiedz swojemu premierowi, żeby razem z żoną stanął przed kamerami i publicznie zaapelował do porywaczy o wypuszczenie dziewczyny.

- Za późno. Poza tym może jestem trochę staromodny, ale nie lubię, gdy ktoś próbuje szantażować przywódcę mojego kraju.

- A czy ten przywódca wie, że jesteś w Jerozolimie?

- Chyba żartujesz.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo dobrze wiesz, że jeśli dziewczyny zacznie szukać MI5 albo nasz wywiad, to sprawa natychmiast wycieknie, tak samo jak wyciekła sprawa Siddiqą Husseina. Jesteś cholernie dobry w znajdowaniu rzeczy i ludzi. Starożytne kolumny, skradzione Rembrandty, tajne irańskie zakłady wzbogacania uranu...

- Wybacz, Graham, ale...

- ...a poza tym ty też masz dług wobec Lancastera - przerwał mu Seymour.

- Ja?

- A jak sądzisz, kto zezwolił na to, żebyś pod fałszywym nazwiskiem schronił się w Kornwalii, kiedy żaden kraj nie chciał cię przyjąć? Kto, według ciebie, pozwoił ci zwerbować brytyjskiego dziennikarza, gdy infiltrowałeś irański łańcuch dostaw dla programu

nuklearnego?

- To jakaś gra? Nie wiedziałem, że prowadzicie punktację.

- Bo nie prowadzimy. Ale gdybyśmy prowadzili, byłbyś w tym meczu mocno do tyłu.

Zapadła niezręczna cisza. Obaj mężczyźni milczeli, jakby byli zażenowani tonem, jaki przybrała ich rozmowa. Seymour patrzył w sufit, a Gabriel na kartkę.

Masz siedem dni, potem dziewczyna zginie...

- Trochę niejasne, nie sądzisz? - odezwał się wreszcie Gabriel.

- Ale bardzo skuteczne - odparł Seymour. - Zwróciło uwagę Lancastera.

- Żadnych żądań?

Seymour pokręcił głową.

- To oczywiste, że cenę podadzą w ostatniej chwili. Chcą, żeby Lancaster był zdesperowany i tak się bał o swój tyłek, że zapłaci tyle, ile będą chcieli.

- Ile jest dziś wart wasz premier?

- Ostatni raz, kiedy miałem okazję rzucić okiem na stan jego konta, było tam ponad sto milionów.

- Funtów?

Seymour skinął głową.

- Jonathan Lancaster zarobił miliony jako prawnik w City, odziedziczył miliony po rodzinie i wzenił się w kolejne miliony, wiążąc się z Dianą Baldwin. Ten facet to cel idealny: ma więcej pieniędzy, niż potrzebuje, a przy tym bardzo dużo do stracenia. Diana i dzieci żyją pod bezpiecznym kloszem Downing Street, porwanie ich jest właściwie niewykonalne. Ale kochanka Lancastera... - Seymour zamilkł, lecz po chwili podjął: - Kochanka to zupełnie inna sprawa.

- Lancaster chyba nie powiedział o tym wszystkim żonie?

Seymour zrobił dłońmi gest mający oznaczać, że nie jest wtajemniczony w małżeńskie tajemnice Lancasterów.

- Pracowałeś kiedyś nad sprawą porwania, Graham?

- Od czasów Irlandii Północnej nie. A wtedy to były sprawy powiązane z IRA.

- Porwania polityczne różnią się na ogół od porwań kryminalnych - zaczął Gabriel. - Przeciętny porywacz z motywem politycznym postępuje racjonalnie. Chce, żeby zwolniono z więzienia jego towarzyszy albo żeby zmieniono politykę. Uprawdza więc znanego polityka albo autobus pełen dzieci i przetrzymuje zakładników, póki jego żądania nie zostaną spełnione. Zwykły bandyta chce tylko pieniędzy. Jeśli mu zapłacisz, będzie chciał więcej. Więcej i więcej, póki nie nabierze przekonania, że wziął wszystko.

- Wygląda na to, że mamy tylko jedno wyjście.

- Jakie?

- Znaleźć dziewczynę.

Gabriel podszedł do okna i spojrzał ponad kotliną w stronę Wzgórza Świątynnego. Na moment wrócił myślami do tajnego pomieszczenia pięćdziesiąt metrów pod ziemią. Zobaczył krwawiącego Eliego Lavona, walczącego o życie w sercu świętego wzniesienia. Kiedy spędzał długie noce przy łóżku przyjaciela, poprzysiął sobie, że już nigdy nie wróci na tajne pole walki. Teraz jednak z odmętów przeszłości wyłonił się stary przyjaciel i poprosił go o przysługę. Gabriel nie bardzo wiedział, co mu powiedzieć, by odprawić go z pustymi rękami. Był jedynym dzieckiem pary ocalałej z Holokaustu. Sprawianie innym zawodu było niezgodne z jego naturą. Nigdy nie ustępował od razu, ale i rzadko mówił „nie”.

- Nawet jeśli uda mi się ją odnaleźć - powiedział po chwili - porywacze wciąż będą mieli nagranie, na którym dziewczyna mówi o romansie z premierem.

- Odbiór tego nagrania w kraju będzie zupełnie inny, jeśli nasza gwiazda bezpiecznie wróci do domu.

- Chyba że ta sama gwiazda zdecyduje się powiedzieć prawdę.

- Jest lojalna wobec partii. Nie ośmieli się.

- Nie masz pojęcia, co jej zrobili - zauważył Gabriel. - Może być teraz zupełnie inną osobą.

- To prawda - zgodził się Seymour - ale niepotrzebnie wybiegamy w przyszłość. Cała ta rozmowa będzie zupełnie bez sensu, jeżeli ty i twoi ludzie nie zaczniecie prowadzić w moim imieniu poszukiwań.

- Nie jestem upoważniony, żeby oddawać ci do dyspozycji moich ludzi, Graham. Decyzja należy do Uziego, nie do mnie.

- Uzi już się zgodził - odparł Seymour matowym głosem - Szamron też.

Gabriel spojrzał na niego z dezaprobatą, ale nic nie powiedział.

- Naprawdę myślisz, że Ari Szamron dopuściłby mnie do ciebie na mniej niż kilometr, gdyby nie wiedział, po co przyjechałem? - spytał Seymour. - Jest w stosunku do ciebie bardzo opiekuńczy.

- W zabawny sposób to okazuje. Tylko widzisz, jest jedna osoba w Izraelu, która ma znacznie większą władzę niż Szamron, przynajmniej jeśli chodzi o to, co dotyczy mnie.

- Twoja żona?

Gabriel skinął głową.

- Mamy siedem dni, potem dziewczyna umrze.

- Sześć - odparł Gabriel. - Dziewczyna może być wszędzie, a my nie mamy żadnych poszlak.

- Niezupełnie.

Seymour sięgnął po neseser i wyjął z niego dwie fotografie Interpolu przedstawiające mężczyznę, z którym Madeline spotkała się w restauracji dzień przed zniknięciem. Mężczyznę, którego buty nie zostawiały śladów. Człowieka, który sam nie pozostawiał śladu w pamięci.

- Kto to jest? - spytał Gabriel.

- Dobre pytanie - odpowiedział Seymour. - Ale jeśli uda ci się odnaleźć jego, to podejrzewam, że znajdziesz też Madeline Hart.

6.

Muzeum Izraela, Jerozolima

Gabriel wziął od Seymoura tylko jedną rzecz, zdjęcie uprowadzonej Madeline Hart, i skierował się do zachodniej części Jerozolimy, do Muzeum Izraela. Skorzystał z niedawno nadanego mu przywileju i zostawił auto na parkingu dla pracowników, a następnie przez strzelisty szklany hol wszedł do części muzeum, w której mieściła się kolekcja sztuki europejskiej. W rogu sali wisiało dziewięć impresjonistycznych płócien, które dawniej należały do szwajcarskiego bankiera nazwiskiem Rolfe. Przytwierdzona obok tabliczka opisywała barwną wędrówkę obrazów z Paryża do obecnego miejsca ekspozycji. Pisano między innymi, że płótna zostały zrabowane przez nazistów, by następnie trafić do Rolfego w zamian za pomoc udzieloną niemieckiemu wywiadowi. Słowem nie wspomniano jednak o tym, że nie kto inny jak Gabriel i Anna Rolfe, znana skrzypaczka i córka bankiera, odnaleźli obrazy w skarbcu bankowym w Zurychu, ani o tym, że szwajcarskie konsorcjum biznesowe wynajęło płatnego mordercę z Korsyki, by ich zabił.

W sąsiedniej sali wisiały dzieła artystów izraelskich, a wśród nich trzy obrazy matki Gabriela. Jednym z trzech płócien był namalowany z pamięci, wstrząsający marsz śmierci - więźniowie opuszczający obóz w Auschwitz w styczniu 1945 roku. Przez kilka chwil Gabriel podziwiał jej biegłość rysowniczkę i znakomitą pracę pędzla, po czym przeszedł do ogrodu rzeźb. Na drugim jego końcu stało Sanktuarium Księgi o bryle przywodzącej na myśl ul. To tam przechowywano zwoje znad Morza Martwego. W jego bezpośrednim sąsiedztwie znajdował się najnowszy obiekt na terenie muzeum: nowoczesny szklano-stalowy budynek o długości sześćdziesięciu cubitów³, szerokości dwudziestu i wysokości trzydziestu. Na razie całość zasłonięto ogromną plandeką, która sprawiała, że nie było widać, co znajduje się w nowym pawilonie. Wystawiono tam dwadzieścia dwie kolumny ze Świątyni Salomona.

Pawilonu pilnowali uzbrojeni strażnicy, stojący po obu jego stronach i przy wejściu, które - podobnie jak w prawdziwej Świątyni Salomona - zwrócone było ku wschodowi. Jeden element ekspozycji czynił całość zapewne najbardziej kontrowersyjnym projektem kuratorskim w dziejach. Haredi, ultraortodoksyjni żydzi, uznali to przedsięwzięcie za obrazę Boga, która doprowadzi do zagłady państwa żydowskiego. Z kolei we wschodniej, arabskiej części Jerozolimy kustosze Kopuły na Skale uznali kolumny za wymyślne oszustwo. *Na wzgórzu nigdy nie stała taka świątynia* - napisał wielki mufti Jerozolimy w liście

³ Jednostka miary używana w starożytnym Egipcie; 1 cubit to ok. 52 cm.

opublikowanym w „New York Timesie” - *i żadna ekspozycja muzealna tego nie zmieni.*

Jednak mimo zacieklej sporów natury politycznej i religijnej towarzyszących nowej ekspozycji prace nad jej ukończeniem przebiegały bardzo sprawnie. Już kilka tygodni po dokonaniu przez Gabriela odkrycia zatwierdzono projekt architektoniczny, zebrano pieniądze i przystąpiono do budowy. Uznanie za to, że tak się stało, należało się przede wszystkim urodzonej we Włoszech dyrektorce i głównej projektantce przedsięwzięcia. Oficjalnie zwracano się do niej, używając panińskiego nazwiska - Chiara Zoili - ci jednak, którzy związani byli z projektem, wiedzieli, że tak naprawdę mają przed sobą Chiare Allon.

Kolumny rozstawione były na planie, jaki zastał Gabriel wewnątrz wzgórza: dwa proste rzędy i odstęp około siedmiu metrów. Najwyższa z nich była osmalona ogniem - piętno nocy, kiedy Babilończycy zrównali z ziemią świątynię uważaną przez Żydów za siedzibę Boga na ziemi. To tej kolumny trzymał się walczący o życie Eli Lavon. Przy tej właśnie kolumnie Gabriel znalazł Chiare. W jednej ręce trzymała podkładkę z klipsem, drugą wskazywała szklane sklepienie. Miała na sobie sprane jeansy, płaskie sandały i podkreślający piękną talię biały sweterek bez rękawów. Jej nagie ręce i ramiona mocno pociemniały w słońcu Jerozolimy, a w burzy długich włosów widać było złote, rozjaśnione przez słońce pasma. Wygląda niesamowicie pięknie, pomyślał Gabriel, i za młodo, by być żoną takiego zdezelowanego wraka jak ja.

Chiara nadzorowała pracę dwóch techników, którzy kilka metrów wyżej regulowali oświetlenie eksponatów. Rozmawiała z nimi po hebrajsku, z lekkim włoskim akcentem. Jako córka naczelnego rabina Wenecji dzieciństwo spędziła w odizolowanym świątku dawnego getta. Opuściła go tylko po to, by na uniwersytecie w Padwie uzyskać dyplom z historii cesarstwa rzymskiego. Po obronie wróciła do Wenecji i podjęła pracę w niewielkim żydowskim muzeum na terenie Campo del Ghetto Nuovo. I niewykluczone, że zostałaby tam na bardzo długo, gdyby nie to, że podczas wyjazdu do Izraela wypatrzył ją łowca talentów z Biura i przedstawił jej się w kawiarni w Tel Awiwie. Spytał, czy chce zrobić dla swojego narodu coś więcej niż praca w muzeum w podupadającej diasporze.

Po roku spędzonym na szkoleniu w ramach tajnego programu Biura Chiara wróciła do Wenecji, teraz już jako działająca pod przykrywką agentka izraelskiego wywiadu. Jednym z pierwszych zadań, jakie jej powierzono, była dyskretna obserwacja nieobliczalnego zabójcy na usługach Biura, Gabriela Allona. Przyjechał do Wenecji, by w kościele Świętego Zachariasza zająć się rekonstrukcją ołtarza autorstwa Belliniego. Wkrótce Chiara ujawniła mu swoją prawdziwą tożsamość - stało się to w Rzymie, po strzelaninie i interwencji włoskiej policji. Gdy tkwili uwięzieni w czterech ścianach bezpiecznego mieszkania należącego do

Biura, Gabriel czuł nieodpartą chęć, by dotknąć Chiary. Począł jednak do czasu, gdy sprawa została rozwiązana i oboje wrócili do Wenecji. To tam, w domu nad kanałem w Cannaregio, na lnianej pościeli, kochali się po raz pierwszy. Dla Gabriela było to jak seks z postacią, która wyszła spod pędzla samego Veronesego.

Teraz postać ta odwróciła się i uśmiechnęła na jego widok. Jej oczy o nieco orientalnym kształcie miały barwę karmelu z domieszką złota. Jak dotąd Gabrielowi nie udało się oddać tego połączenia na płótnie. Inna sprawa, że minęło wiele miesięcy od momentu, gdy Chiara po raz ostatni mu pozowała. Praca przy nowej wystawie pochłaniała ją tak bardzo, że nie miała czasu na inne rzeczy. Była to duża zmiana w ich życiu małżeńskim. Wcześniej to zawsze Gabriel pochłonięty był pracą i „projektami” - czy to konserwatorskimi, czy to operacyjnymi. Teraz role się odwróciły. Chiara, mająca niezwykle talent organizacyjny, bardzo skrupulatna we wszystkim, czym się zajmowała, pracując pod presją, czuła się doskonale. Gabriel widział to, lecz w głębi duszy nie mógł się doczekać chwili, gdy ją odzyska.

Chiara podeszła do następnej z kolumn i przyjrzała się, w jaki sposób pada na nią światło.

- Parę minut temu dzwoniłam do domu - odezwała się - ale nikt nie odbierał.
- Byłem w hotelu King David. Jadłem drugie śniadanie z Grahamem Seymourem.
- Jak miło - odparła z nutą szyderstwa w głosie. Następnie, wciąż przyglądając się kolumnie, spytała: - Co jest w kopercie?
- Propozycja pracy.
- Jakiego artysty?
- Nieznanego.
- Obiekt?
- Dziewczyna. Madeline Hart.

Gabriel wrócił do ogrodu rzeźb i usiadł na ławce z widokiem na wzgórze zachodniej Jerozolimy. Po kilku minutach dołączyła do niego Chiara. Delikatny jesienny wiatr rozwiewał jej włosy. Odgarnęła z twarzy zabłąkane, niesione wiatrem źdźbło trawy i usiadła, zakładając nogę na nogę. Jeden z sandałów zwisał swobodnie z palców jej opalonej stopy. Gabriel poczuł nagle, że ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, jest opuszczanie Jerozolimy, by ruszyć na poszukiwanie dziewczyny, której nawet nie zna.

- Spróbujmy jeszcze raz - zaczęła po dłuższej chwili milczenia. - Co jest w kopercie?
- Fotografia.

- Jaka fotografia?

- Dowód życia.

Chiara wyciągnęła dłoń, lecz Gabriel się zawahał.

- Jesteś pewna?

Gdy pokiwała głową, dał jej kopertę. Obserwował, jak otwiera ją i wyjmuje odbitkę. Gdy przyglądała się uważnie zdjęciu, jej twarz zasnuł cień. Zupełnie jakby przypomniał jej się rosyjski handlarz bronią, Iwan Charkow. Gabriel odebrał mu wszystko: możliwość prowadzenia interesów, pieniądze, żonę i dzieci. Rosjanin zemścił się, uprowadzając Chiarę. Akcja jej odbicia była najkrwawszą w długiej karierze Gabriela. W odwecie zabił jedenastu ludzi Charkowa, a później w zaciszu bocznej uliczki w Saint-Tropez zamordował samego Iwana. Rosjanin jednak nawet po śmierci prześladował Gabriela i jego żonę, wdzierał się w ich życie. Zastrzyki z ketaminy, które Rosjanie robili Chiarze, spowodowały, że poroniła, a ponieważ nie trafiła natychmiast do lekarza, groziła jej bezpłodność. W głębi duszy Chiara straciła nadzieję, że kiedykolwiek zajdzie w ciążę.

Włożyła fotografię do koperty i oddała ją Gabrielowi, po czym uważnie słuchała, jak cała sprawa trafiła do Grahama Seymoura, a potem do niego.

- Mam rozumieć, że brytyjski premier zmusił Seymoura, żeby odwałał za niego brudną robotę? - spytała, gdy Gabriel skończył mówić. - A teraz on próbuje zwalić to na ciebie?

- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Twarzy Chiary nie zdradzała żadnych emocji. Jej oczy, zazwyczaj pozwalające odgadnąć, co myśli, ukryte były za szklami okularów przeciwsłonecznych.

- Jak myślisz, czego chcą? - spytała po chwili.

- Pieniądzy. Zawsze chcą pieniędzy.

- Prawie zawsze. Czasami chcą rzeczy, których oddać się nie da.

Zdjęła okulary i zawiesiła je na dekolcie.

- Ile masz czasu, zanim ją zabiją? - spytała. Usłyszawszy odpowiedź Gabriela, pokręciła powoli głową. - To niewykonalne - uznała. - Nie da się tego zrobić w tak krótkim czasie.

- Spójrz na budynek za sobą i powiedz mi, czy nadal tak uważasz.

Chiara patrzyła jednak tylko na twarz Gabriela.

- Francuska policja szuka Madeline Hart od ponad miesiąca. Dlaczego uważasz, że tobie uda się ją odnaleźć?

- Może policja nie szukała we właściwych miejscach albo nie rozmawiała z właściwymi ludźmi.

- Gdzie chcesz zacząć?

- Zawsze uważałem, że najlepszym punktem do rozpoczęcia śledztwa jest miejsce zbrodni.

Chiara w roztargnieniu wytarła szkła okularów o spodnie. Gabriel wiedział, że to zły znak. Kiedy Chiara była zdenerwowana, zawsze coś czyściła.

- Przestań, bo je porysujesz - powiedział.

- Są całe uświnione - odparła nieobecny tonem.

- Może powinnaś nosić je w jakimś etui, zamiast wrzucać luzem do torebki?

Nie odpowiedziała.

- Zaskakujesz mnie, Chiara.

- Dlaczego?

- Bo lepiej niż ktokolwiek wiesz, że Madeline Hart jest teraz w piekle. I zostanie w nim, póki ktoś jej stamtąd nie wyciągnie.

- Chciałabym po prostu, żeby zrobił to ktoś inny.

- Ale nie ma nikogo innego.

- Nie ma drugiego takiego jak ty. - Przyjrzała się szkłom okularów i ściągnęła brwi.

- Co się stało?

- Zarysowały się.

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- Ty zawsze masz rację, kochanie.

Szybkim ruchem założyła okulary i spojrzała na miasto.

- Rozumiem, że Uzi i Szamron dali ci już swoje błogosławieństwo?

- Graham był u nich, zanim przyszedł porozmawiać ze mną.

- Jak sprytnie. - Chiara wstała. - Muszę wracać do pracy. Do otwarcia zostało nam bardzo niewiele czasu.

- Zrobiłaś tu świetną robotę.

- Na pochlebstwach daleko nie zajedziesz.

- Warto było chociaż spróbować.

- Kiedy będę mogła znów cię zobaczyć?

- Mam na jej znalezienie tylko siedem dni.

- Sześć - poprawiła go. - Sześć dni, potem dziewczyna umrze.

Pochyliła się i delikatnie pocałowała Gabriela w usta, po czym odwróciła się i ruszyła przez zalany słońcem ogród w stronę pawilonu. Jej biodra kołysały się jak w rytm muzyki, którą słyszała tylko ona. Gabriel odprowadził ją wzrokiem aż do samej ukrytej pod plandeką konstrukcji. Nagle poczuł, że ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, to opuścić Jerozolimę, by

ruszyć na poszukiwanie dziewczyny, której nawet nie zna.

Gabriel wrócił do hotelu King David, by wziąć od Grahama Seymoura resztę dossier: list z żądaniami, który nie zawierał żadnych żądań, DVD ze spowiedzią Madeline i dwa zdjęcia mężczyzny z restauracji Les Palmiers w Calvi. Poprosił też o wysłanie na adres w Nicei teczki osobowej Madeline z działu kadr partii.

- Jak ci poszło z Chiarą? - spytał Seymour.

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że moje małżeństwo jest teraz bardziej zagrożone niż małżeństwo Lancastera.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Wyjedź z miasta najszybciej, jak to możliwe. I nie podawaj mojego nazwiska ani premierowi, ani nikomu innemu na Downing Street.

- Jak się z tobą kontaktować?

- Jeśli będę miał jakieś wiadomości, dam ci znać. Do tego czasu nie istnieję.

Z tymi słowami Gabriel opuścił pokój. Kiedy wrócił na ulicę Narkissa, zobaczył leżący na stoliku pas zawierający dwieście tysięcy dolarów, a obok bilet na odlatujący o szesnastej samolot do Paryża. Rezerwacji dokonano na Johannes Klempe, jedno z ulubionych wcieleń Gabriela. Poszedł do sypialni i spakował do niewielkiej torby dwie zmiany garderoby, modne, pasujące do gustu *Herr* Klempe. Czarny garnitur i czarny pulower Gabriel postanowił włożyć na podróż. Następnie stanął przed lustrem w łazience i zmienił nieco swój wygląd. Odrobina siwizny na włosach, bezoprawkowe niemieckie okulary, a do tego brązowe soczewki kontaktowe, pozwalające zakamufłować charakterystyczną zieloną barwę źrenic. Po zaledwie kilku minutach z trudem rozpoznał mężczyznę patrzącego na niego z lustra. Gabriela Allora już nie było, zniknął izraelski anioł zemsty. Teraz istniał tylko Johannes Klemp z Monachium, obraźliwy, mały człowiek z wiecznym poczuciem krzywdy.

Ubrany w czarny garnitur *Herr* Klempe i cuchnąc okropną wodą kolońską, Gabriel usiadł przy toalecie Chiary i otworzył kasetkę z biżuterią. Jedna z ozdób zdawała się zupełnie nie pasować do reszty: rzemyk z dłonią zrobioną z koralu. Gabriel wyjął go z pudełka i wsunął do kieszeni. Po chwili jednak, z powodów, których nie potrafił wyjaśnić, sięgnął po niego i założył na szyję, ukrywając pod czarnym pulowerem *Herr* Klempe.

Na ulicy czekał na niego podstawiony przez Biuro samochód. Gabriel wrzucił torbę na tylne siedzenie, po czym wsiadł i zerknął na zegarek. Sprawdził datę, nie godzinę. Był dwudziesty siódmy września, kiedyś jego ulubiony dzień w roku.

- Jak masz na imię? - spytał kierowcy.

- Lior.
- Skąd jesteś?
- Z Beer Szewy.
- Fajnie było tam dorastać?
- Mogłem trafić gorzej.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia pięć.

Dwadzieścia pięć, powtórzył w myślach Gabriel. Dlaczego musi to być akurat dwadzieścia pięć? Raz jeszcze zerknął na zegarek. Nie na godzinę - na datę.

- Jakie dostałeś instrukcje? - spytał kierowcy, który miał akurat dwadzieścia pięć lat.
- Kazali mi zawieźć pana na lotnisko Ben Guriona.
- Coś jeszcze?
- Powiedzieli, że może pan chcieć zatrzymać się po drodze.
- Kto ci tak powiedział? Uzi?
- Nie. - Kierowca pokręcił głową. - Powiedział mi to Stary.

A więc pamiętał, pomyślał Gabriel i po raz kolejny spojrzął na zegarek. Ta data...

- No więc?
- Zawieź mnie na lotnisko.
- Żadnych postojów?
- Jeden.

Kierowca wrzucił bieg i powoli zjechał z krawężnika, zupełnie jakby prowadził karawan włączający się do konduktu pogrzebowego. Nie fatygował się, by pytać, dokąd ma jechać. Był dwudziesty siódmy września. Szamron pamiętał.

Przejechali przez Ogród Getsemani i skręcili w wąską i krętą drogę prowadzącą na Górę Oliwną. Gabriel poszedł na cmentarz sam. Minawszy setki macew, dotarł do grobu Daniela Allona, urodzonego dwudziestego siódmego września 1988 roku, zmarłego trzynastego stycznia 1991. Daniel zginął w śnieżną noc w wiedeńskiej Pierwszej Dzielnicy. Śmierć dopadła go w niebieskim mercedesie rozerwanym na kawałki przez ładunek wybuchowy. Bombę na bezpośrednie polecenie Jasira Arafata podłożył Tariq al-Hourani, najgroźniejszy palestyński terrorysta. To nie Gabriel był celem zamachu, dla niego chciano kary znacznie surowszej. Tariq i Arafat chcieli, by stał się świadkiem śmierci swojego dziecka i żony. Chcieli, by odtąd żył pogrążony w żałobie. Jak Palestyńczycy. Plan nie powiódł się tylko w jednym punkcie: Leah, żona Gabriela, przetrwała to piekło. Teraz żyła w murach szpitala

psychiatrycznego na Górze Herzla, uwięziona w pułapce wspomnień i ciała zniszczonym przez ogień, wyniszczana jednocześnie przez depresję psychotyczną i zespół stresu pourazowego, raz po raz na nowo przeżywała zamach. Z rzadka tylko zdarzały jej się przebłyski jasnego myślenia. To podczas jednego z takich przebłyków pozwoliła Gabrielowi, by ożenił się z Chiara. „Spójrz na mnie, Gabriel - powiedziała wtedy - Nic ze mnie nie zostało. Nic oprócz jednego wspomnienia”.

Znów spojrzał na zegarek. Sprawdził godzinę, nie datę. Czasu było wystarczająco dużo na jeszcze jedno, ostatnie pożegnanie. Jeszcze jedną łzę. Jeszcze jedno przeprosiny za to, że nie przeszukał auta, nim pozwolił Leah uruchomić silnik. Ruszył przez kamienny ogród w stronę czekającego samochodu, który prowadził dwudziestopięcioletni chłopak z Biura. Był dwudziesty siódmy września - kiedyś ulubiony dzień Gabriela.

Chłopak za kierownicą miał wycucie i milczał w drodze na lotnisko. Gabriel wszedł do terminalu jak zwykły podróżny, ale po chwili skierował się do pokoju zarezerwowanego dla personelu Biura. Tam czekał, aż zacznie się odprawa na jego lot. Zagłębiwszy się w fotelu, poczuł wyjątkowo nieprofesjonalną potrzebę, by zadzwonić do Chiary. Nie zrobił tego jednak. Posługując się technikami, których lata temu nauczył go Szamron, odgrodził ją od myśli. Nie było teraz Chiary. Nie było Daniela ani Leah. Była tylko Madeline Hart, uprowadzona kochanka brytyjskiego premiera, Jonathana Lancastera. Gdy samolot wznosił się w ciemniejsze niebo, Gabriel zobaczył porwaną jako olej na płótnie. Była Zuzanną na obrazie, kąpiącą się i nieświadomą, że za murem czai się człowiek o kanciastej twarzy i wąskich, nienawistnych ustach. Człowiek bez obywatelstwa i imienia. Człowiek, którego nikt nie pamięta.

7.

Korsyka

Korsykanie twierdzą, że gdy zbliżają się do swojej ojczyzny, wyczuwają unikatowy zapach krzewów i traw na długo przed tym, nim poszarpana linia brzegowa wyspy stanie się widoczna. Gabriel nie miał szansy przekonać się o prawdziwości tego stwierdzenia, ponieważ na Korsykę dostał się drogą powietrzną - pierwszym porannym lotem z paryskiego lotniska Orly. Dopiero gdy siedział za kierownicą wypożyczonego peugeota, kierując się na południe od Ajaccio, po raz pierwszy poczuł spływającą ze wzgórz woń kolcolistu, wrzośca i rozmarynu. Korsykanie nazywają tę roślinną płataninę makia. Wykorzystują ją do gotowania i ogrzewania domów, a w czasach wojny kryli się w niej. Korsykańska legenda mówi, że jeśli ścigany mężczyzna zdoła schronić się w makii, może - jeśli tylko zechce - na zawsze pozostać nieuchwytny. Gabriel znał człowieka, któremu się ta sztuka udała. Dlatego właśnie miał na szyi rzemyk z koralową dłonią.

Po półgodzinie zjechał z drogi prowadzącej wybrzeżem i skierował się w głąb wyspy. Woń makii stawała się coraz intensywniejsza, a mury otaczające miasteczka na wzgórzach coraz potężniejsze. Korsykę - podobnie jak starożytne ziemie Izraela - wielokrotnie najeżdżano. Po upadku imperium rzymskiego Wandalowie łupili wyspę tak bezlitośnie, że większość jej mieszkańców uciekła z nadmorskich wiosek i ukryła się w górach. Nawet teraz Korsykanie boją się przyjezdnych. W położonej na uboczu wsi starsza kobieta wycelowała w Gabriela palce wskazujący i mały, by odegnać *occhju*, złe oko.

Za wsią droga na dobrą sprawę stała się jednym pasem ograniczonym gęstym murem makii. Pokonawszy jeszcze niecałe dwa kilometry, Gabriel dotarł pod bramę posesji. Była otwarta, ale zaparkowano w niej samochód terenowy. W środku siedziało dwóch ochroniarzy. Wyłączył silnik i zaczął z rękami na kierownicy, aż podejdą. W końcu jeden z nich wysiadł z jeepa i zbliżył się do niego wolnym krokiem. W jednej ręce trzymał broń, drugą wsunął za pas spodni. Zamiast zadać pytanie o cel wizyty Gabriela, uniósł gęste brwi.

- Chcę zobaczyć się z donem - powiedział Gabriel po francusku.

- Don jest bardzo zajęтым człowiekiem - odparł ochroniarz w korsykańskim dialekcie.

Gabriel zdjął z szyi talizman i podał go mężczyźnie, ten się uśmiechnął.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Na Korsyce nie trzeba wiele, aby doszło do rozlewu krwi. Jest tak od niepamiętnych

czasów. Oskarżenie o oszustwo na targu. Zerwanie zaręczyn. Cięża niezamężnej kobiety. Kiedy pojawi się pierwsza iskra, reszta jest nieunikniona. Zabijane będzie bydło, padać będą cenne drzewa oliwne, spłoną chaty. Potem zaczną się zabójstwa. Czasem trwa to przez całe pokolenie, a bywa, że i dłużej: póki zwaśnione strony nie dojdą do porozumienia lub walka nie ustanie z powodu wyczerpania sił w obu obozach.

Większość korsykańskich mężczyzn do zabijania brała się osobiście. Jednak byli tacy, którzy musieli korzystać z pomocy innych: ważniacy, za słabi, by potrafić ubrudzić sobie ręce i tacy, których przerażała możliwość aresztowania lub wygnania; kobiety, które nie były w stanie zabić lub nie miały krewnych, którzy mogliby zrobić to w ich imieniu. Takie osoby korzystały z usług zawodowych zabójców zwanych *taddunaghiu*, najczęściej pochodzących z klanu Orsatich.

Orsati mieli dobrą ziemię, a na niej tysiące drzew oliwnych. Ich oliwa uchodziła za najśłodsza na wyspie. Rodzina zajmowała się jednak czymś więcej niż tylko produkcją tłuszczu roślinnego. Nikt tak naprawdę nie wie, ilu Korsykanów zginęło z rąk zabójców z klanu Orsati na przestrzeni wieków. Sami Orsati z pewnością nie zajmowali się ich liczeniem. Wieść gminna niesie, że liczba ta szła w tysiące, a byłaby jeszcze wyższa, gdyby nie wyznawana przez rodzinę zasada: Orsati przyjmowali zlecenia wyłącznie w sytuacji, gdy naprawdę miał miejsce uszczerbek na honorze i przelew krwi stanowił wymóg prawa zemsty.

Zasada ta przestała jednak obowiązywać za rządów don Antona Orsatiego. Do czasu, gdy został głową rodziny, francuskim władzom udało się niemal do zera zredukować wendetę i podtrzymywanie wrogości przez długie lata. Zjawisko zostało zmarginalizowane do tego stopnia, że poza najmniejszymi wioskami i najbardziej odludnymi terenami praktycznie zanikło. Tym samym popyt na usługi *taddunaghiu* drastycznie zmalał. Wobec takiego obrotu spraw Orsati nie mieli innego wyjścia, jak szukać zarobku gdzie indziej, a dokładnie: na kontynencie. Don przyjmował teraz prawie każde zlecenie, jakie trafiło na jego biurko, niezależnie od tego, jak mogło się wydawać odrażające, a zabójcy będący na jego usługach należeli do najskuteczniejszych i najsolidniejszych w Europie. Gabriel był jedną z dwóch osób na świecie, które wciąż żyły, mimo iż zlecenie na nie przyjął członek klanu Orsatich.

Choć rodzina wywodziła się od korsykańskich notabli, jej prominentni członkowie byli nie do odróżnienia od prostych *paesanu* pilnujących bramy. Wszedłszy do dużego gabinetu dona, Gabriel zastał go przy biurku ubranego w białą koszulę i luźne bawełniane spodnie. Na nogach Orsati miał zakurzone sandały, które wyglądały, jakby kupił je na bazarze. Wzrok dona utkwiony był w staromodnej księdze rachunkowej, a jego czoło zmarszczone z dezaprobatą. Gabriel mógł tylko zgadywać, jaki jest powód jego niezadowolenia. Już wiele lat

temu Orsati połączył dwie gałęzie swoich interesów w jedną, na pozór nieskazitelną całość. Wszyscy jego *taddunaghiu* byli formalnie pracownikami spółki Oleje Roślinne Orsati. Morderstwa, których dokonywali, księgowane były jako zamówienia na produkty.

Don Orsati wstał i bez cienia strachu wyciągnął w stronę Gabriela granitową dłoń.

- To zaszczyt pana poznać, *monsieur Allon* - odezwał się po francusku. - Szczerze mówiąc, spodziewałem się tu pana dawno temu. Ma pan reputację człowieka, który ostro obchodzi się z wrogami.

- Moimi wrogami byli szwajcarscy bankierzy, którzy pana zatrudnili, don Orsati. Poza tym zamiast wpakować mi nabój w głowę, pański człowiek podarował mi to.

Gabriel wskazał głową wisiołek leżący na biurku Orsatiego tuż obok książki rachunkowej. Don ściągnął brwi, a następnie wziął amulet z blatu i pozwolił, by koral kołysał się na rzemyku jak wahadło zegara.

- Postąpił bardzo nierozważnie - powiedział w końcu Orsati.

- Dlatego że zostawił talizman, czy dlatego że pozwolił mi żyć?

Mafioso uśmiechnął się smutno.

- Mamy tu na Korsyce takie stare porzekadło: *I solda un vènni micca canteandu* - „Ze śpiewania pieniędzy nie ma”. Praca polega na wywiązywaniu się z umów. Nawet jeśli przedmiotem umowy jest życie znanej skrzypaczki i izraelskiego oficera wywiadu.

- Czyli zwrócił pan pieniądze zleceniodawcom?

- To byli szwajcarscy bankierzy. Pieniądze to ostatnia rzecz, której potrzebowali. - Orsati zamknął książkę i położył amulet na jej okładce. - Jak zapewne się pan domyśla, przez ostatnie lata uważnie pana obserwowałem. Od czasu gdy nasze ścieżki się przecięły, był pan bardzo zajęty. Wychodzi zresztą na to, że mnóstwo naprawdę dobrej roboty odwalił pan tu, na moim terenie.

- Jestem na Korsyce pierwszy raz - zaproponował Gabriel.

- Miałem na myśli południową Francję. W starym porcie w Cannes zabił pan tego terrorystę Saudyjczyka Ziziego al-Bakariego. No a potem była ta nieprzyjemna sytuacja z Iwanem Charkowem w Saint-Tropez.

- O ile mi wiadomo, Charkowa zabili inni Rosjanie - wymijająco odpowiedział Gabriel.

- To pan zabił Iwana, Allon. Zabił go pan, bo porwał pańską żonę.

Gabriel milczał. Korsykanin uśmiechnął się raz jeszcze i miał wyraz twarzy kogoś, kto doskonale wie, że ma rację.

- Makia nie ma oczu - dodał po chwili milczenia - ale wszystko widzi.

- Właśnie dlatego tu jestem.

- Tak się właśnie spodziewałem. Osoba taka jak pan nie potrzebuje zawodowego zabójcy. Zupełnie dobrze radzi pan sobie sam.

Gabriel wyjął z kieszeni płaszcza plik banknotów i położył go na księdze rachunkowej śmierci Orsatiego obok talizmanu. Don zignorował jednak ten gest.

- Jak mogę panu pomóc, Allon?

- Potrzebuję informacji.

- Na jaki temat?

Gabriel bez słowa położył fotografię Madeline Hart obok zwiłki banknotów.

- Angielka?

- Nie wygląda pan na zaskoczonego, don Orsati.

Korsykanin nic nie odpowiedział.

- Wie pan, gdzie ona jest?

- Nie - odparł Orsati - ale wiem, kto ją stąd wywiózł. Gabriel podsunął mu zdjęcie mężczyzny z Les Palmiers, a Orsati skinął głową.

- Kto to jest? - spytał Gabriel.

- Nie wiem. Spotkałem się z nim tylko raz.

- Gdzie?

- Tu, w tym biurze, tydzień przed tym, jak angielska dziewczyna zniknęła. Siedział na tym samym krześle, na którym pan teraz siedzi. Ale miał więcej pieniędzy niż pan - dodał. - O wiele więcej.

8.

Korsyka

Przyszła pora obiadu - czas, za którym don Orsati przepadał. Mężczyźni wyszli na przylegający do gabinetu taras i usiedli przy stole, na którym stały półmiski z korsykańskimi chlebem, serem, warzywami i kielbasą. Słońce świeciło jasno, a między drzewami Gabriel dostrzegł lśniące w oddali turkusowe wody Morza Śródziemnego. Zapach makii był wszechobecny. Unosił się w chłodnym powietrzu i unosił się z potraw. Wydawało się, że nawet sam Orsati go wydziela. Nalał Gabrielowi czerwonego wina, po czym zabrał się do krojenia grubej kielbasy. Gabriel nie spytał, z jakiego zrobiono ją mięsa. Szamron mawiał, że czasami lepiej nie pytać.

- Cieszę się, że pana nie zabiliśmy - powiedział Orsati, unosząc kieliszek.

- Zapewniam pana, don Orsati, że mam takie same odczucia.

- Jeszcze kielbasy?

- Poproszę.

Orsati odkroił dwa kolejne spore plasterki i położył je na talerzu Gabriela. Następnie założył okulary do czytania o szklach w kształcie półokręgów i przyjrzał się uważnie fotografii z Les Palmiers.

- Na zdjęciu wygląda inaczej - stwierdził po chwili - ale to na pewno on.

- Na czym polega różnica?

- Jest inaczej uczesany. Kiedy był u mnie, włosy miał wypomadowane i przylizane. - Orsati zamilkł na chwilę. - Fryzura elegancka, ale też wygodna.

- Czy ten człowiek jakoś się nazywa?

- Mówił o sobie Paul.

- To jego imię?

- O ile rozumiem, raczej nazwisko.

- Po jakimu mówił nasz przyjaciel Paul?

- Po francusku.

- Mówił, jakby był stąd?

- Nie, słysząc było wyraźny akcent.

- Jaki?

- Nie potrafię określić. - Don ściągnął krzaczaste brwi. - Brzmiało to tak, jakby nauczył się języka z kasety. Mówił doskonale, ale coś było z tym jego francuskim nie tak.

- Zakładam, że pańskiego numeru nie wziął z książki telefonicznej?

- Nie, miał zamiar.

- Jaki?

- Nazwisko.

- Kogoś, kto w przeszłości korzystał z pana usług?

- Tak to z reguły bywa.

- Co to było za zlecenie?

- Takie, że do pokoju wchodzi dwóch facetów, ale tylko jeden wychodzi. I niech pan nie pyta o źródło zamiaru - dodał szybko Orsati. - Tu chodzi o moje interesy.

Gabriel dał mu znać lekkim skinieniem głowy, że nie ma zamiaru ciągnąć tematu. Przynajmniej na razie. Następnie spytał dona, w jakim celu przyszedł do niego mężczyzna z Les Palmiers.

- Po radę - padła odpowiedź.

- W jakiej kwestii?

- Powiedział, że musi przewieźć pewien produkt i potrzebuje kogoś z szybką łodzią. Kogoś, kto zna miejscowe wody i może pływać nocą. I będzie potem trzymał głębę na kłódkę.

- Produkt?

- Może to pana zdziwi, ale nie zagłębialiśmy się w szczegóły.

- Założył pan z góry, że to przemytnik - powiedział Gabriel tonem bardziej oznajmującym niż pytającym.

- Sądzę, że miałem prawo. Korsyka to ważny punkt tranzytowy przerzutu heroiny z Bliskiego Wschodu do Europy - odparł pośpiesznie don. - Orsati nie zajmują się narkotykami, ale bywało, że usuwali ważne postacie z tej branży.

- Rzecz jasna za opłatą.

- Im większy gracz, tym wyższa opłata.

- Poleciał mu pan kogoś?

- Oczywiście - odparł don i dodał nieco ciszej: - Wie pan, Allon, czasem i my musimy coś przewieźć.

- Na przykład ciała?

Don wzruszył ramionami.

- Tak się nieszczęśliwie składa, że są produktem ubocznym naszej pracy - odrzekł filozoficznie. - Na ogół staramy się zostawiać je na miejscu, ale bywa, że klienci płacą ekstra za to, żeby zwłoki zniknęły i nigdy się nie odnalazły. Naszym ulubionym sposobem pozbywania się ciał jest wsadzenie ich do betonowej trumny i zatopienie w morzu. Bóg jeden

wie, ile ich leży tam na dnie.

- Ile zapłacił Paul?

- Sto tysięcy.

- Jaki był podział?

- Połowa dla mnie, połowa dla sternika.

- Tylko połowa?

- Ma szczęście, że dostał aż tyle.

- A co, kiedy usłyszał pan o zaginięciu dziewczyny?

- Oczywiście zacząłem coś podejrzewać. No a potem zobaczyłem zdjęcie Paula w gazetach... - Don zawiesił na chwilę głos. - Powiedzmy tylko, że nie byłem zachwycony. Ostatnie, czego chciałem, to kłopoty. To szkodzi interesom.

- Uważa pan, że porywanie młodych kobiet to przegięcie?

- Owszem. Podejrzewam, że pan też.

Gabriel nie odpowiedział.

- Nie chciałem pana urazić - powiedział szczerze don.

- Nie poczułem się urażony, don Orsati.

Don nałożył sobie na talerz opiekane papryczki i bakłażana, a całość polał obficie oliwą marki Orsati. Gabriel wypił trochę wina i je pochwalił. Po chwili spytał o nazwisko człowieka, który miał szybką łódź i znał miejscowe wody. Pytanie zadał takim tonem, jakby w ogóle niespecjalnie go to obchodziło.

- Wchodzimy na grząski grunt - odpowiedział Orsati. - Chodzi o ludzi, z którymi robię interesy. Jeśli kiedykolwiek dowiedzą się, że wydałem ich komuś takiemu jak pan, zrobi się naprawdę paskudnie, Allon.

- Don Orsati, zapewniam pana, że nigdy się nie dowiedzą, jak zdobyłem informacje.

Orsati nie wyglądał na przekonanego.

- Czy ta dziewczyna jest tak ważna, że szuka jej sam wielki Gabriel Allon?

- Powiedzmy, że ma potężnych przyjaciół.

- Przyjaciół? - Orsati pokręcił sceptycznie głową. - Skoro pan jest w to zamieszany, to musi być coś więcej.

- Jest pan bardzo bystry, don Orsati.

- Makia nie ma oczu - odrzekł don tajemniczo.

- Muszę znać jego nazwisko - powiedział Gabriel spokojnie. - Nigdy się nie dowie, kto mi je podał.

Orsati wziął kieliszek z winem o krwistoczerwonej barwie i pod słońce spojrzął na płyn.

- Na pańskim miejscu pomówiłbym z niejakim Marcelem Lacroix. On może wiedzieć, dokąd dziewczyna trafiła z Korsyki.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- W Marsylii. Trzyma łódź w starym porcie.

- Po której stronie?

- Po południowej, naprzeciwko galerii.

- Jak nazywa się jego łódź?

- „Moondance”.

- Przyjemna nazwa - skomentował Gabriel.

- Zapewniam pana, że Marcel Lacroix i ci, dla których pracuje, nie są ani trochę przyjemni. Niech pan działa w Marsylii bardzo ostrożnie.

- Może pana zaskoczę, don Orsati, ale raz czy dwa już coś takiego robiłem.

- To prawda. Ale i tak powinien pan od dawna nie żyć. - Orsati podał Gabrielowi amulet. - Niech go pan nosi na szyi. Chroni nie tylko przed złym okiem.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy miałby pan dla mnie coś o trochę większej sile.

- Na przykład co?

- Broń.

Don się uśmiechnął.

- Mam dla pana coś o wiele lepszego niż broń.

Gabriel jechał szosą tak długo, aż zmieniła się w szutrówkę. Dokładnie tam, gdzie przepowiedział don Orsati, czekał stary kozioł. Stał tuż przed ostrym zakrętem w lewo, chroniąc się w cieniu starych drzew oliwnych. Gdy Gabriel podjechał, opuścił miejsce odpoczynku i z wyzywająco zadartą brodą stanął na środku drogi, zupełnie jakby chciał się przekonać, czy Gabriel ośmieli się przejechać, czy nie.

Miał umaszczenie typu palomino i rudą brodę. Tak jak Gabriel nosił blizny wyniesione z dawnych starć.

Gabriel centymetr po centymetrze parł autem naprzód, licząc na to, że zwierzę podda się bez walki. Niestety ani drgnęło. Gabriel zerknął na pistolet, który dał mu Orsati. Naładowana beretta kaliber dziewięć milimetrów leżała na fotelu pasażera. Wystarczyłby jeden nabój wystrzelony pomiędzy starte walkami rogi, by zakończyć tę komiczną konfrontację, ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Kozioł, podobnie jak stare drzewa oliwne, należał do don Cassabianki. Jeśli zwierzęciu spadnie choćby włos z głowy, zostanie

to uznane za afront. A konsekwencją będzie rozlew krwi.

Allon zatrąbił dwa razy, ale kozioł ani myślał się ruszyć. Gabriel westchnął więc ciężko i wysiadł powoli z samochodu, by przemówić zwierzęciu do rozsądku - najpierw po francusku i włosku, a w końcu, zirytowany, po hebrajsku. Jediną odpowiedzią kozła było spuszczenie łba i wycelowanie rogów w tułów Gabriela. Ten wiedział jednak, że najlepszą obroną jest atak, i ruszył pierwszy, wymachując jak obłąkany rękami i drąc się na całe gardło. Zaskoczone i przestraszone zwierzę natychmiast odskoczyło i uciekło przez szczelinę w murze makii.

Gabriel szybko ruszył do otwartego auta, lecz gdy usłyszał dźwięk przypominający ten, jaki wydają przedrzeźniacze, przystanął. Rozejrzał się, by zaraz skierować wzrok na willę w kolorze ochry stojącą na zboczu wzgórza. Na tarasie stał ubrany od stóp do głów na biało mężczyzna o jasnych włosach. Gabriel nie był pewny, ale wyglądało na to, że tamten pęka ze śmiechu.

9.

Korsyka

Człowiek czekający na Gabriela w willi nie był Korsykaninem. W każdym razie nie urodził się na wyspie. Naprawdę nazywał się Christopher Keller i wywodził się z londyńskiego Kensington, z poważnej rodziny zamożnej klasy średniej. Na Korsyce wiedzieli jednak o tym tylko don Orsati i garstka jego ludzi. Całej reszcie wyspy Keller znany był po prostu jako Anglik.

Historia drogi Kellera z Kensington na Korsykę była jedną z najbardziej intrygujących, jakie Gabriel w życiu słyszał - co mówiło samo za siebie. Christopher był jedynakiem, synem dwojga lekarzy z Harley Street. Od dziecka mówił wprost, że nie zamierza pójść w ślady rodziców. Pasjonował się historią, a szczególnie historią wojskowości. Chciał zostać żołnierzem, ale matka i ojciec zabronili mu zaciągnąć się do armii. Syn na pewien czas zastosował się do woli rodziców. Rozpoczął w Cambridge studia w dziedzinach historii i języków orientalnych. Był znakomitym studentem, ale na drugim roku nie wytrzymał i pewnej nocy po prostu zniknął bez śladu. Po kilku dniach pojawił się w domu ojca w Kensington z krótko ostrzyżonymi włosami i w oliwkowozielonym mundurze. Zaciągnął się do wojska.

Po przejściu podstawowego przeszkolenia Keller trafił do jednostki piechoty, lecz jego wybitny intelekt, ponadprzeciętna sprawność fizyczna i natura wilka samotnika szybko zwróciły uwagę dowództwa elitarnego SAS⁴. Już kilka dni po pojawieniu się Kellera w siedzibie regimentu w Hereford wiadomo było, że odnalazł swoje powołanie. Jego wyniki w „zabijalni” - sławetnym obiekcie, gdzie rekruci ćwiczą walkę na niewielkiej przestrzeni i odbijanie zakładników - były rekordowe. Instruktorzy walki wręcz pisali z kolei w raportach, że nigdy wcześniej nie zetknęli się z człowiekiem, który miałby taki dryg do odbierania życia. Zwieńczeniem szkolenia był sześćdziesięciokilometrowy marsz przez smagane wiatrem wrzosowiska Brecon Beacons. Ten test wytrzymałościowy kilku ludzi kosztował życie. Niosąc dwudziestopięciokilogramowy plecak i ważący prawie pięć kilogramów karabin, Keller pobił rekord trasy o trzydzieści minut. Od tamtego czasu nikomu nie udało się poprawić jego wyniku.

Na początku przydzielono go do „Sabre” - eskadry specjalizującej się w działaniach na pustyni. Szybko jednak jego kariera wkroczyła na nowy tor: zainteresowali się nim ludzie z

⁴ SAS - Special Air Service.

wywiadu wojskowego. Szukali kogoś, kto nada się do działań w Irlandii Północnej polegających na bliskiej obserwacji i wykonywaniu zadań specjalnych. Werbujący Kellera oficer był pod wrażeniem jego zdolności lingwistycznych, umiejętności improwizowania i reagowania na nieoczekiwane zmiany sytuacji. Czy Kellera zainteresowała ta propozycja? Jeszcze tej samej nocy spakował się i wyjechał z Hereford do tajnego ośrodka na wyżynach Szkocji.

Podczas szkolenia wywiadowczego Keller wykazał się kolejną niespotykaną umiejętnością. Brytyjskie siły stabilizacyjne i wywiadowcze od lat borykały się z mnogością funkcjonujących w Irlandii Północnej akcentów. W Ulsterze członkowie wrogo do siebie nastawionych grup potrafili rozpoznać się tylko po brzmieniu głosu. To, w jaki sposób ktoś wypowiedział kilka zdań, mogło przesądzić o jego życiu lub śmierci. Keller do perfekcji opanował umiejętność imitowania poszczególnych sposobów wymowy. Potrafił nawet w ciągu paru sekund zmieniać akcenty. Raz był katolikiem z Armagh, raz protestantem z Shankhill Road w Belfaście, a chwilę później katolikiem z osiedla Ballymurphy. Przez ponad rok działał na terenie Belfastu, namierzając członków IRA i wylawiając co ciekawsze i przydatne plotki. Charakter jego pracy był taki, że czasem przez całe tygodnie nie kontaktował się z przełożonymi.

Misja Kellera w Belfaście zakończyła się nagle w dniu, kiedy w późnych godzinach nocnych porwano go w zachodniej części miasta i wywieziono do hrabstwa Armagh na farmę na odludziu. Tam oskarżono go o szpiegostwo na rzecz Brytyjczyków. Keller wiedział, że jego położenie jest beznadziejne, postanowił więc wydostać się przy użyciu siły. Opuścił farmę, pozostawiając za sobą cztery trupy. Dwóch z czterech żołnierzy Tymczasowej Irlandzkiej Armii Republikańskiej dosłownie pociął na kawałki.

Wrócił do Hereford, sądząc, że czeka go długi wypoczynek i fucha instruktora. Jego pobyt w jednostce skończył się jednak już w sierpniu 1990 roku, po tym jak Saddam Husajn najechał Kuwejt. Keller niezwłocznie powrócił do „Sabre” i już w styczniu 1991 znalazł się na pustyni w zachodnim Iraku. Zadaniem jego oddziału było odszukanie siejących panikę w Tel Awiwie wyrzutni rakiet scud. W nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego stycznia Keller i jego ludzie zlokalizowali jedną z wyrzutni. Było to około stu sześćdziesięciu kilometrów na północny zachód od Bagdadu. Dowództwo w Arabii Saudyjskiej otrzymało przez radio współrzędne obiektu. Dziewięćdziesiąt minut później nad pustynią pojawił się klucz koalicyjnych samolotów myśliwsko-bombowych. Doszło jednak do fatalnego nieporozumienia, na którego skutek ofiarą ataku z powietrza padły nie wyrzutnie, a oddział SAS. Brytyjskie dowództwo potwierdziło, że wszyscy jego członkowie -

łącznie z Kellerem - zginęli. W nekrologach nie wspomniano o jego pracy wywiadowczej w Irlandii Północnej ani o czterech bojownikach IRA, których zaszlachtował na farmie gdzieś w Armagh.

Czego dowództwo brytyjskiej armii nie wiedziało, to tego, że Keller wyszedł z całego zajścia bez szwanku. W pierwszym odruchu chciał skontaktować się przez radio z dowództwem, by prosić o pomoc. Jednak zamiast tego, wściekły na przełożonych za ich niekompetencję, zaczął iść. W chuście na głowie i prostej arabskiej szacie, potrafiąc przemieszczać się niepostrzeżenie, przedarł się przez linie koalicji i dostał do Syrii. Stamtąd ruszył na zachód. Przez Turcję, Grecję i Włochy trafił na Korsykę i wpadł prosto w objęcia oczekującego go z entuzjazmem Orsatiego. Don dał Kellerowi willę i kobietę, przy której szybciej goiły się jego liczne rany, kiedy zaś Keller odzyskał siły, Orsati dał mu pracę. Keller wyglądał jak Europejczyk z północy i został przeszkolony przez SAS. Oznaczało to, że potrafił zrealizować zlecenia niewykonalne dla *taddunaghiu* urodzonych na Korsyce. Jedno z takich zleceń dotyczyło Anny Rolfe i Gabriela Allona. Sumienie nie pozwoliło jednak Kellerowi wykonać tego zadania, ale duma zawodowca zmusiła go do zostawienia talizmanu, tego samego, który teraz trzymał w ręku Gabriel.

Co ciekawe, obaj mężczyźni już kiedyś się spotkali, wiele lat temu Keller wraz z kilkoma innymi oficerami SAS przyjechał do Izraela na szkolenie z technik walki antyterrorystycznej. Ostatniego dnia ich pobytu Gabriel po długich namowach zgodził się udzielić poufnego wykładu na temat jednej ze swych najśmielszych operacji: zabicia Abu Jihada, drugiej osoby we Froncie Wyzwolenia Palestyny, w 1988 roku. Wyrok wykonany został w Tunisie, w willi ofiary. Keller siedział w pierwszym rzędzie i chłonał każde słowo Allona. Później, gdy robiono grupową fotografię, ustawił się tuż obok niego. Gabriel, aby chronić swoją tożsamość, widnieje na zdjęciu w kapeluszu i dużych okularach przeciwsłonecznych, Keller natomiast patrzy śmiało prosto w obiektyw. To jedno z ostatnich zdjęć, jakie mu zrobiono.

Teraz Gabriel wysiadał pomału z samochodu, a człowiek, który kiedyś darował mu życie, witał go, stojąc w otwartych drzwiach swojej korsykańskiej kryjówki. Był od Gabriela o głowę wyższy i znacznie silniej umięśniony. Dwadzieścia lat w korsykańskim słońcu zmieniło wygląd Kellera. Jego cera miała teraz barwę końskiego siodła, a miedziane włosy mocno pojaśniały od morskiej soli. Tylko niebieskie oczy ani trochę się nie zmieniły. Były to te same oczy, które tak uważnie przypatrywały się Gabrielowi opowiadającemu o śmierci Abu Jihada. I te same, które w innym już życiu okazały mu łaskę.

- Zaprosiłbym cię na lunch - zaczął Keller z brytyjskim akcentem z wyższych sfer - ale

słyszałem, że zjadłeś już z donem specjalność zakładu.

Gdy Keller wyciągnął do Gabriela rękę, mięśnie na jego ramionach naprężyły się pod białym pulowerem. Gabriel zawahał się przez sekundę, nim uściśnął potężną dłoń Kellera. Wszystko w tym człowieku, począwszy od łap jak topory po potężnie umięśnione nogi wyglądało tak, jakby zaprojektowano go z myślą o zabijaniu.

- Ile powiedział ci don?

- Wystarczająco dużo, żebym wiedział, że nie jest w twoim interesie zadawać się bez wsparcia z kimś takim jak Marcel Lacroix.

- Rozumiem, że go znasz?

- Raz czy drugi dokądś mnie zawiózł.

- Przed czy po?

- To i to - odparł Keller. - Służył we francuskim wojsku. Siedział też w kilku z najostrzejszych więzień, jakie tu mają.

- Ma mi to imponować?

- Jeśli znasz siebie i swojego wroga, przetrwasz pomyślnie sto bitew.

- Sun Tzu.

- Cytowałeś nam tę sentencję podczas wykładu w Tel Awiwie.

- A więc jednak słuchałeś.

Gabriel prześliznął się obok Kellera i wszedł do wielkiego salonu. Wystrój był rustykalny, meble, podobnie jak Keller, okryte białą tkaniną. Wszędzie piętrzyły się stosy książek, a na ścianach wisiało kilka doskonałych płócien: pomniejszych dzieł takich tuzów jak Cézanne, Matisse i Monet.

- Żadnego systemu alarmowego? - spytał Gabriel, rozglądając się po salonie.

- Nie jest potrzebny.

Gabriel podszedł do obrazu Cézanne'a, pejzażu namalowanego na wzgórzach ponad Aix-en-Provence, i przesunął opuszką palca po płótnie.

- Nieźle ci się powodzi, Keller.

- Na rachunki wystarcza.

Gabriel nic nie odpowiedział.

- Razi cię to, jak zarabiam na życie? - spytał Keller.

- Zabijasz dla pieniędzy.

- Ty też.

- Zabijam dla mojego kraju - odparł Gabriel. - I to tylko wtedy, gdy nie ma innego wyjścia.

- Rozumiem, że to dlatego w Saint-Tropez rozsmarowałaś mózg Charkowa po całej ulicy? Wtedy też służyłeś krajowi?

Gabriel odwrócił się od Cézanne'a i spojrzał prosto w oczy Kellera. Ktoś inny nie wytrzymałby siły tego spojrzenia, ale nie Keller. Stał tylko z potężnymi rękami skrzyżowanymi na piersi, a kąciki jego ust uniosły się lekko w półuśmiechu.

- To spotkanie chyba nie było dobrym pomysłem - powiedział Gabriel w końcu.

- Znam graczy i teren. Jeśli ze mnie zrezygnujesz, głupio zrobisz.

Gabriel nie odpowiedział. Keller miał rację. Był doskonałym przewodnikiem po francuskim bandyckim półświatku. Było przy tym jasne, że nim sprawa znajdzie swój koniec, jego siła i umiejętności mogą okazać się bardzo przydatne.

- Nie mogę ci zapłacić - powiedział Gabriel.

- Nie potrzebuję pieniędzy - odrzekł Keller i rozejrzał się po swojej pięknej willi. - Ale zanim ruszymy, muszę poznać odpowiedzi na kilka pytań.

- Mamy pięć dni, żeby ją znaleźć, potem dziewczyna umrze.

- Pięć dni to dla takich jak my cała wieczność.

- Więc słucham.

- Dla kogo pracujemy?

- Dla premiera Wielkiej Brytanii.

- Nie wiedziałem, że się z nim kontaktujesz.

- Sprawa trafiła do mnie przez kogoś z brytyjskiego wywiadu.

- Na polecenie premiera?

Gabriel skinął głową.

- Co go łączy z tą dziewczyną?

- Użyj wyobraźni.

- Proszę, jaka heca.

- Tamtych jakoś to nie bawi.

- A kto jest tym przyjacielem premiera w wywiadzie?

Gabriel się zawahał, by po chwili udzielić prawdziwej odpowiedzi na pytanie. Keller się uśmiechnął.

- Znasz go? - zdziwił się Gabriel.

- Pracowałem z Grahamem w Irlandii Północnej. To zawodowiec najwyższej klasy. Ale tak jak wszyscy w Wielkiej Brytanii sądzi, że od dawna nie żyję. A to oznacza, że nigdy nie może dowiedzieć się o tym, że z tobą pracowałem.

- Masz moje słowo.

- Chcę jeszcze czegoś.

Keller wyciągnął rękę w stronę Gabriela, a ten oddał mu talizman.

- Jestem zaskoczony, że go zatrzymałeś - powiedział Anglik.

- Ma wartość sentymentalną.

Keller założył sobie talizman na szyję.

- Chodź. - Uśmiechnął się. - Wiem, skąd wziąć drugi dla ciebie.

Signadora mieszkała w zapuszczonym domu stojącym pośrodku wioski, niedaleko kościoła. Keller przyszedł niezapowiedziany, ale kobieta nie wyglądała na zaskoczoną, że go widzi. Miała na sobie czarną sukienkę, a przypominające hubę suche włosy przewiązała czarnym szalem. Z zatroskanym uśmiechem dotknęła policzka Kellera, po czym, gładząc ciężki krzyżyk na szyi, zwróciła spojrzenie ku Gabrielowi. Jej praca polegała na opiekowaniu się tymi, których dotknęło złe oko. Widać było, że boi się, iż Keller sprowadził do jej domu wcielenie zła.

- Kim jest ten człowiek? - spytała.

- To przyjaciel.

- Wierzy?

- Nie tak jak my.

- Powiedz mi, jak ma na imię, Christopher. Jak naprawdę ma na imię.

- Gabriel.

- Tak jak archanioł?

- Tak.

Kobieta uważnie przyjrzała się twarzy Gabriela.

- To Izraelita, prawda?

Gdy Keller skinął głową, a kobieta z dezaprobatą ściągnęła lekko brwi. Wiara, którą wyznawała, kazała jej widzieć w żydach heretyków, prywatnie jednak nic do nich nie miała. Rozchyliła koszulę Kellera i dotknęła wiszącego na jego szyi talizmanu.

- Czy to nie ten, który zgubiłeś kilka lat temu?

- Tak, ten.

- Gdzie go znalazłeś?

- Na dnie strasznie zabałaganionej szuflady.

Signadora z wyrzutem pokręciła głową.

- Kłamiesz, Christopher - powiedziała. - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że zawsze wyczuwam, gdy kłamiesz?

Keller się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Kobieta puściła talizman i raz jeszcze dotknęła jego policzka.

- Opuuszczasz wyspę, Christopher?

- Dziś w nocy.

Signadora nie spytała, dlaczego wyjeżdża. Wiedziała doskonale, jak Keller zarabia na życie. Sama przed laty skorzystała z usług młodego *taddunaghiu*, Antona Orsatiego, by pomścić śmierć swojego męża.

Ruchem ręki zaprosiła Kellera i Gabriela, by usiedli przy niewielkim drewnianym stole. Postawiła przed nimi talerz wypełniony wodą i naczynie z oliwą. Keller zanurzył palec wskazujący w oliwie, po czym przesunął go nad talerz i pozwolił, by trzy krople skapnęły na wodę. Zgodnie z prawami fizyki powinny zlać się w jedną całość, lecz zamiast tego rozprysnęły się na setki ledwie widzialnych drobin.

- Złe powróciło, Christopher.

- To chyba niestety ryzyko zawodowe.

- Nie żartuj sobie, mój drogi. Widzę to bardzo wyraźnie.

- Co widzisz?

Kobieta jak w transie wpatrywała się w wodno-oleisty płyn. Po dłuższej chwili odpowiedziała cicho pytaniem:

- Szukasz tej Angielki?

Keller skinął głową.

- Czy ona żyje?

- Tak - odparła staruszka - żyje.

- Gdzie jest?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Czy uda nam się ją znaleźć?

- Kiedy umrze, poznacie prawdę - odparła kobieta.

- Co widzisz?

Zamknęła oczy.

- Wodę... góry... i wroga sprzed lat...

- Mojego wroga?

- Nie. - Staruszka otworzyła oczy i spojrzała prosto na Gabriela. - Jego.

Nie mówiąc nic więcej, wzięła dłoń Kellera w swoje ręce i zaczęła się modlić, a po chwili się rozplakała. Był to znak, że złe opuściło ciało Kellera i przeszło na nią. Potem przymknęła oczy i wyglądała, zupełnie jakby zapadła w sen. Gdy się ocknęła, kazała

Kellerowi powtórnie wykonać próbę wody. Tym razem krople oliwy zlały się w całość.

- Złe opuściło twoją duszę, Christopher. - Odwróciła się w stronę Gabriela. - Teraz pora na niego.

- Nie jestem wierzący.

- Proszę, jeśli nie dla siebie, zrób to dla Christophera.

Gabriel niechętnie zanurzył palec wskazujący w oliwie, po czym pozwolił trzem kroplom skapnąć na powierzchnię wody. Gdy rozszczerły się błyskawicznie na tysiące fragmentów, kobieta zamknęła oczy i zadrżała.

- Co zobaczyłaś? - spytał Keller.

- Ogień - odparła cicho. - Widzę ogień.

Prom na kontynent odpływał z Ajaccio o siedemnastej. O szesnastej trzydzieści Gabriel zaparkował peugeota na pokładzie transportowym. Odczekał dziesięć minut i zobaczył Kellera za kierownicą zdezelowanego renault. Ustawił się tuż obok. Ich kajuty znajdowały się na tym samym pokładzie, po przeciwnych stronach korytarza. Ta, która przypadła Gabrielowi, była wielkości więziennej celi i tak samo przytulna. Wszedł do niej tylko na moment, by rzucić torbę na absurdalnie wąską koję, po czym ruszył na górę, do baru. Gdy tam dotarł, Keller siedział już przy stoliku koło okna ze szklanką piwa i upijał łyk za łykiem. W popielniczce tlił się papieros. Gabriel pokręcił powoli głową. Czterdzieści osiem godzin temu siedział przy sztalugach w Jerozolimie, a teraz prowadził poszukiwania kobiety, której nie znał, w towarzystwie człowieka, który kiedyś zobowiązał się go zabić.

Zamówił czarną kawę i wyszedł na pokład rufowy. Prom wypłynął już poza główki portu. Wieczór był niespodziewanie chłodny. Gabriel postawił kołnierz płaszcza i zacisnął dłonie na papierowym kubku z kawą, by je ogrzać. Gwiazdy wschodu lśniły jasno na bezchmurnym niebie, a morze - jeszcze przed momentem turkusowe - nabierało barwy granatowego tuszu. Gabriel miał wrażenie, że czuje niesiony wiatrem zapach makii. Po chwili w jego uszach rozbrzmiał głos signadory. „Kiedy umrze, poznacie prawdę”.

10.

Marsylia

Gdy Gabriel i Keller dotarli wczesnym rankiem następnego dnia do Marsylii, „Moondance” - dziesięć metrów przemytniczej zawrotnej prędkości - zacumowana była tam gdzie zawsze. Po właścicielu łodzi nie było jednak w starym porcie śladu. Keller zajął stanowisko obserwacyjne po północnej stronie mariny, a Gabriel rozpoczął obserwację nabrzeży od strony wschodniej, z okolic pizzerii, która z niezrozumiałych przyczyn nosiła nazwę modnej części Manhattanu. O pełnych godzinach obaj zmieniali stanowiska. Nadeszło jednak późne popołudnie, a Lacroix nadal nigdzie nie było widać. Gabriel, zaniepokojony, że stracą cały dzień, obszedł port, by minawszy handlarzy ryb i ich stragany, znaleźć się w końcu obok siedzącego w renault Kellera. Pogoda pogarszała się z każdą chwilą: zaczął padać rzęsy deszcz, a znad wzgórz zaczynał wiać zimny mistral. Co kilka sekund Keller uruchamiał wycieraczki, by cokolwiek widzieć. Wentylator dyszał słabo, pompując powietrze na zaparowane szkło.

- Jesteś pewny, że on nie ma mieszkania na mieście? - spytał Gabriel.
- Mieszka na łodzi. Wiem to.
- Ma kobietę?
- Kilka, ale żadna nie może wytrzymać z nim zbyt długo.
- Keller wytarł szybę wierzchem dłoni. - Może po prostu wynajmijmy pokój w hotelu.
- Nie za wcześnie? Dopiero się poznaliśmy.
- Zawsze opowiadasz na akcji głupie dowcipy?
- Taka przypadłość kulturowa.
- Chodzenie na akcje czy opowiadanie dowcipów?
- Jedno i drugie.

Keller wygrzebał ze schowka papierową serwetkę i starał się wytrzeć szybę, na której przed momentem narobił smug.

- Moja babka była Żydówką - rzucił swobodnie, jakby mówił, że jego babka lubiła grać w brydża.
- Gratuluję.
- Będzie kolejny świetny dowcip?
- A co mam niby powiedzieć?
- Nie ciekawi cię, że mam żydowskich przodków?

- Doświadczenie pokazuje, że większość Europejczyków ma Żyda w rodzinie. Zawsze gdzieś się jakiś kryje.

- Moja kryła się na widoku.

- Gdzie się urodziła?

- W Niemczech.

- Przyjechała na Wyspy po wojnie?

- Tuż przed - wyjaśnił Keller. - Wziął ją do siebie dalszy krewny, wujek, który nie uważał się już za Żyda. Dał jej przyzwoite chrześcijańskie nazwisko i posyłał do kościoła. Moja matka była już po trzydziestce, kiedy dowiedziała się, że ma żydowskie korzenie.

- Nie lubię być posłańcem przynoszącym złe wieści, ale w moim świecie to cię czyni Żydem - odparł Gabriel.

- Szczerze mówiąc, zawsze trochę się nim czułem.

- Masz awersję do skorupiaków i niemieckiej opery?

- Miałem na myśli aspekt duchowy.

- Jesteś zawodowym zabójcą, Keller.

- Co nie oznacza, że nie mogę wierzyć w Boga - zaproponował Anglik. - Podejrzewam, że wiem więcej o waszej historii i Piśmie niż ty.

- To dlaczego zadajesz się z tą pomyloną mistyczką?

- Ona nie jest pomyłona.

- Tylko mi nie mów, że wierzysz w te bzdury.

- To skąd by wiedziała, że szukamy dziewczyny?

- Don musiał jej powiedzieć.

- Nie. - Keller pokręcił głową. - Zobaczyła to. Ona widzi wszystko.

- Jak tę wodę i góry?

- Tak.

- Jesteśmy na południu Francji, Keller. Ja też widzę tu wodę i góry. Właściwie to widzę je prawie wszędzie.

- Pewnie zdenerwowała cię, mówiąc o wrogu sprzed lat.

- Ja się nie denerwuję - odpowiedział Gabriel. - A co do starych wrogów, to trudno mi wyjść frontowymi drzwiami i się na któregoś nie nadziać.

- To może powinienes przesunąć drzwi?

- To jakieś korsykańskie porzekadło?

- Nie, przyjacielska porada.

- Właściwie to jesteśmy jeszcze przyjaciółmi.

Keller wzruszył potężnymi ramionami, co miało wyrażać obojętność, urazę albo coś pomiędzy.

- Co zrobiłeś z talizmanem, który ci dała? - spytał po chwili ponurego milczenia.

Gabriel dotknął palcem klatki piersiowej, wskazując miejsce, gdzie miał pod koszulą talizman, identyczny jak ten, który nosił Keller.

- Jeśli nie wierzysz - spytał Anglik - to po co go nosisz?

- Podoba mi się, pasuje do ubrania.

- Cokolwiek będziesz robił, nigdy go nie zdejmuj. Trzyma zło na dystans.

- Jest kilku ludzi, których chciałbym trzymać na dystans?

- Na przykład Ari Szamron?

Gabrielowi udało się nie okazać zaskoczenia.

- Skąd wiesz o Szamronie?

- Poznałem go, kiedy byłem w Izraelu na szkoleniu. Poza tym w tej branży wszyscy go znają - dodał Keller pospiesznie. - Wszyscy wiedzą też, że chciał, żebyś to ty, nie Uzi Navot, został nowym szefem.

- Nie wierz we wszystko, co piszą w gazetach, Keller.

- Wiem to z dobrych źródeł. Wiarygodni ludzie mówili mi, że posada była twoja, ale jej nie przyjąłeś.

- Może cię to zaskoczy - zaczął Gabriel, patrząc przez zalaną deszczem szybę - ale jakoś nie jestem w nastroju na wspominki. Zwłaszcza z tobą.

- Po prostu próbuję sprawić, żeby czas szybciej płynął.

- A może cieszymy się ciszą?

- Kolejny inteligentny żarcik?

- Gdybyś był Żydem, zrozumiałbyś.

- Technicznie rzecz biorąc, jestem Żydem.

- Wolisz Pucciniego czy Wagnera?

- Jasne, że Wagnera.

- No to nie ma szans, żebyś był Żydem.

Keller zapalił papierosa i strzepnięciem nadgarstka zgasił zapalkę. Kolejny szkwał zalał przednią szybę potokiem niesionej wiatrem wody. Port stał się na chwilę niemal niewidoczny. Gabriel uchylił szybę, żeby wypuścić papierosowy dym.

- Może i masz rację - powiedział po chwili. - Chyba rzeczywiście chodźmy do jakiegoś hotelu.

- Myślę, że nie będzie takiej potrzeby.

- Bo?

Keller na jeden cykl włączył wycieraczki i wskazał palcem przez szybę.

- Bo Marcel Lacroix idzie właśnie w naszą stronę.

Miał na sobie czarny dres i sportowe buty we fluorescencyjno-zielonym kolorze, a na ramieniu niósł sportową torbę Pумы. Było jasne, że większą część popołudnia spędził na siłowni. Nie żeby było to konieczne, bo już teraz Lacroix przy wzroście około metra dziewięćdziesięciu wyglądał na dobrze ponad sto kilogramów. Przyлизane włosy związał w krótki kucyk. W uszach miał ćwieki, a z boku jego szyi widniał napis po chińsku: znak, że Marcel jest adeptem azjatyckich sztuk walki. Jego rozbiegane spojrzenie ani na moment nie zatrzymywało się na jednym punkcie. Mimo iż nieustannie się rozglądał, nie dostrzegł dwóch mężczyzn w zdezelowanym renault z zaporowanymi szybami. Na widok Lacroix Gabriel westchnął głęboko. Francuz bez wątpienia byłby godnym przeciwnikiem, szczególnie jeśli walczyliby w ciasnej kabinie „Moondance”. Niech mówią, co chcą, ale rozmiar ma znaczenie.

- Nie będzie dowcipu?

- Pracuję nad tym.

- Może ja to załatwię?

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Bo on wie, że pracujesz dla dona. Jeśli pójdziesz tam i zaczniesz wypytywać o Madeline Hart, natychmiast zorientuje się, że don go zdradził, a to mu na pewno nie pomoże w interesach.

- Pozwól, że to ja będę się martwił o interesy dona.

- To po to tu jesteś, Keller?

- Jestem tu, żeby dopilnować, żebyś nie skończył w cementowej trumnie na dnie morza.

- Są gorsze miejsca pochówku.

- Prawo żydowskie nie zezwala na zatapianie zwłok.

Keller zamilkł, a tymczasem Lacroix wszedł do doków i skierował się w stronę „Moondance”. Uwagę Gabriela zwróciło to, jak materiał dresu Francuza układa się na jego plecach. Przyjrzał się również, w jaki sposób z jego ramienia zwisa sportowa torba.

- Co myślisz? - spytał Keller.

- Myślę, że ma w torbie broń.

- Też zauważyłeś?

- Ja widzę wszystko.

- Jak zamierzasz to załatwić?

- Najciszej jak to możliwe.

- A co ja mam robić?

- Zaczekaj tutaj. - Gabriel otworzył drzwi auta. - I postaraj się nikogo nie zabić pod moją nieobecność.

Biuro hołdowało prostej wytycznej w zakresie korzystania z broni palnej. Została ona - jak głosiła legenda - objawiona przez Boga Ariemu Szamronowi. Ten z kolei przekazał ją tym wszystkim, którzy potajemnie wypełniali jego polecenia. I choć instrukcja ta nie była nigdzie zapisana, każdy agent w terenie znał ją na pamięć równie dobrze jak szabasowe błogosławieństwo świec: pracownik Biura wyciąga broń palną tylko w jednym celu. Nie po to, by wymachiwać nią jak gangster albo komuś nią grozić. Wyciąga broń po to, żeby strzelać - i nie może przestać, aż osoba, w którą wycelowano broń, będzie martwa. Amen.

Nauki Szamrona pobrzmiwały Gabrielowi w uszach, gdy zbliżał się do „Moondance”. Nim postawił stopę na pokładzie, zawahał się. Nawet gdy ktoś tak szczupły jak on wejdzie na łódź, sprawi, że lekko się zakołysze. Tak więc pośpiech i brak ostrożności nie były wskazane.

Gabriel po raz ostatni obejrzał się przez ramię i zobaczył Kellera obserwującego go uważnie z fotela pasażera starego renault. Następnie wszedł na pokład i szybko skierował się do głównego wejścia do kabiny. Gdy tam dotarł, Lacroix stał w zejściówce. W ciasnej przestrzeni kokpitu Francuz wydawał się jeszcze potężniejszy niż na ulicy.

- Co, kurwa, robisz na mojej łodzi? - spytał ostro.

- Przepraszam - Gabriel uniósł ręce w pojednawczym geście - powiedzieli mi, że będziesz na mnie czekał.

- Kto ci powiedział?

- Paul, to chyba oczywiste. Naprawdę nie powiedział ci, że przyjdę?

- Paul?

- Tak, Paul - odparł Gabriel pewnym tonem - ten, który wynajął cię, żebyś przewiózł dla niego na kontynent paczkę z Korsyki. Mówił mi, że jesteś najlepszy. Kiedy poprosiłem, by doradził mi kogoś, kto może przewieźć coś cennego, powiedział, żeby gadać tylko z tobą.

Gabriel obserwował, jak na twarzy Francuza malują się sprzeczne emocje: niepewność, obawa, no i, rzecz jasna, żądza zysku. Ta ostatnia przeważyła. Osilek usunął się z przejścia i spojrzeniem zaprosił Gabriela do środka. Ten zrobił dwa kroki, omiatając wzrokiem wnętrze w poszukiwaniu sportowej torby Lacroix. Leżała na stole obok butelki pernodu.

- Pozwolisz? - spytał Gabriel, wskazując otwarte drzwi.

- Wolałbym, żeby sąsiedzi nas nie słyszeli.

Lacroix wahał się przez moment, ale w końcu podszedł do drzwi i je zamknął. Gabriel stanął w pobliżu stołu, na którym leżała torba.

- Co to za robota? - spytał Lacroix, odwracając się do Gabriela.

- Prosta sprawa. Zajmie ci dosłownie kilka minut.

- Ile?

- Co masz na myśli? - spytał Gabriel, udając zakłopotanie.

- Ile pieniędzy proponujesz? - sprecyzował Lacroix, pocierając wskazującym palcem o kciuk.

- Chcę ci zaproponować coś znacznie cenniejszego niż pieniądze.

- Niby co?

- Twoje życie - odpowiedział Gabriel. - Widzisz, Marcel, masz mi powiedzieć, co ty i twój kumpel Paul zrobiliście z tą angielską dziewczyną. Jeżeli tego nie zrobisz, potnę cię na kawałki i użyję jako przynęty na rybki.

Izraelska technika walki, znana jako krav maga, nie słynie z gracji, bo i nie z myślą o estetyce ją stworzono. Jedynym priorytetem jest jak najszybsze opanowanie lub zabicie przeciwnika. W odróżnieniu od walk wschodnich, krav maga nie piętnuje wykorzystywania ciężkich przedmiotów w starciu z rywalem o większej masie i sile. Tak naprawdę instruktorzy wręcz zachęcają uczniów, by bronili się tym, co mają pod ręką. Dawid nie siłował się z Goliatem - lubią powtarzać - tylko walnął go kamieniem. Dopiero potem obciął mu głowę.

Wybór Gabriela padł nie na kamień, a na butelkę pernoda. Chwycił ją za szyjkę i jak sztyletem cisnął w nacierającego Marcela Lacroix. Szkło trafiło go w środek czoła, rozcinając je głęboko tuż powyżej łuku brwiowego. W odróżnieniu od Goliata, który trafiony natychmiast padł, Lacroix - choć z trudem - utrzymał się na nogach. Gabriel rzucił się do przodu i wbił kolano w jego nieosłonięte krocze. Kolejne ciosy zadawał coraz wyżej. Przedostatni, wymierzony łokciem, złamał Francuzowi zuchwę. Ostatnie uderzenie w skroń, również zadane łokciem, powaliło Lacroix na podłogę. Gabriel nachylił się i dotknął jego szyi, by sprawdzić, czy ma puls. Gdy się wyprostował i odwrócił, zobaczył w drzwiach uśmiechniętego Kellera.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Anglik. - Ten pernod to był uroczy akcent.

11.

U wybrzeży Marsylii

Deszcz przestał padać o zachodzie słońca, ale mistral wiał nieubłaganie długo po zapadnięciu zmroku. Wiatr grał na olinowaniu łodzi zacumowanych w starym porcie i hulał po pokładzie „Moondance”, gdy Keller umiejętnie wyprowadzał łódź na morze. Gabriel stał obok niego na mostku, póki nie oddalili się od portu. Wtedy zszedł do kabiny, w której na podłodze leżał skępowany taśmą Lacroix, z zaklejonymi oczami i ustami. Gabriel przewrócił go na plecy i szarpnięciem zerwał kawałek taśmy z oczu. Lacroix odzyskał przytomność. W jego spojrzeniu nie było widać strachu, a tylko wściekłość. Keller miał rację, tego faceta niełatwo przestraszyć.

Gabriel znów zakleił mu oczy i zajął się przetrząsaniem wnętrza łodzi: poczynając od saloniku, a kończąc na sypialni Lacroix. Znalazł skrytkę z narkotykami, trzydzieści tysięcy euro w gotówce, fałszywe francuskie paszporty i prawa jazdy na cztery różne nazwiska, około stu skradzionych kart kredytowych, dziewięć telefonów na jednorazową kartę oraz sporą kolekcję porno - w postaci drukowanej i cyfrowej. Był też paragon, na którego odwrocie zapisano numer telefonu - rachunek z miejsca o nazwie Bar du Haut przy bulwarze Jean Jaurès w Rognac, robotniczym mieście na północ od Marsylii, położonym nieopodal lotniska. Gabriel przejeżdżał przez nie raz, w innym życiu. Bo takim właśnie miastem było Rognac: przystankiem w drodze dokądś.

Gabriel sprawdził datę na paragonie, po czym prześledził historię połączeń we wszystkich dziewięciu telefonach, szukając numeru zapisanego na rachunku. Znalazł go w trzech spośród dziewięciu aparatów. Jeszcze tego ranka Lacroix dzwonił pod ten numer dwukrotnie, korzystając z dwóch różnych telefonów.

Gabriel wrzucił telefony, paragon i gotówkę do plecaka i wrócił do saloniku. Raz jeszcze zerwał taśmę z oczu Lacroix, jednak tym razem usunął także knebel. Jego twarz była wyraźnie zniekształcona, bo złamana żuchwa bardzo spuchła. Gabriel ścisnął ją mocno i spojrzał Francuzowi głęboko w oczy.

- Zadam ci teraz kilka pytań, Marcel. Masz jedną szansę, żeby powiedzieć mi prawdę. Rozumiesz? - Gabriel ścisnął jeszcze mocniej. - Jedną.

Jedyną odpowiedzią Lacroix był jęk bólu.

- Jedną szansę - powtórzył Gabriel, unosząc z emfazą palec wskazujący. - Słuchasz mnie?

Lacroix nie odpowiedział.

- Uznam to za odpowiedź twierdzącą - powiedział Gabriel. - A teraz, Marcel, masz podać mi imiona i nazwiska tych, którzy przetrzymują dziewczynę. Potem masz powiedzieć mi, gdzie ich znajdę.

- Nic nie wiem o dziewczynie.

- Kłamiesz, Marcel.

- Nie, przysięgam...

Nim Lacroix zdołał powiedzieć coś więcej, Gabriel zakleił mu usta, następnie sięgnął po taśmę i zaczął owijać nią głowę Francuza. Skończył dopiero wtedy, gdy wystawał spod niej tylko nos. Ze schowka pod pokładem wyjął buchtę nylonowej liny, po czym udał się na mostek. Keller zaciskał obie dłonie na kole sterowym i mrużąc oczy, wpatrywał się przez szybę we wzburzone morze.

- Jak ci idzie tam na dole?

- O dziwo, nie udało mi się nakłonić go do współpracy.

- Po co ci ta lina?

- Będzie narzędziem perswazji.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Zwolnij i włącz autopilota.

Keller wykonał polecenie i poszedł za Gabrielem do saloniku. Lacroix leżał na podłodze wyraźnie zdenerwowany i przestraszony. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała szybko, gdy z trudem nabierał powietrza przez maskę z taśmy. Gabriel przewrócił go na brzuch i obwiązał mu liną kostki. Zabezpieczywszy oplot węzłem, wywlókł Lacroixa na pokład rufowy jak upolowanego harpunem walenia. Następnie przy wsparciu Kellera opuścił go na schodek kąpielowy i wrzucił do wody. Lacroix z ciężkim pluskiem runął w czern, by natychmiast zacząć miotać się w desperackich próbach utrzymania głowy nad powierzchnią. Gabriel przyglądał mu się przez chwilę, po czym zlustrował horyzont. Nie zobaczył choćby jednego światła. Wyglądało to tak, jakby byli ostatnimi ludźmi na ziemi.

- Skąd będziesz wiedział, że ma już dość? - spytał Keller, obserwując walczącego o życie Lacroix.

- Zacznie tonąć - odparł Gabriel spokojnie.

- Przypomnij mi, żebym ci nigdy nie podpadł.

- Nigdy mi nie podpadnij.

Po czterdziestu pięciu sekundach w wodzie Lacroix nagle zeszywniał. Gabriel i Keller szybko wciągnęli go na pokład i odsłoniли mu usta. Przez kolejnych kilka minut Francuz nie

był w stanie mówić, na zmianę łapał chciwie powietrze i starał się wykasłać z płuc morską wodę. Gdy wreszcie przestał, Gabriel zacisnął dłoń na jego pękniętej żuchwie.

- Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, Marcel - zaczął - ale dziś jest twój szczęśliwy dzień. Spróbujemy jeszcze raz. Mów, gdzie jest dziewczyna.

- Nie wiem.

- Kłamiesz, Marcel.

- Nie - odpowiedział szybko Lacroix, kręcąc energicznie głową. - Mówię prawdę. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

- Ale znasz jednego z tych, którzy ją przetrzymują. Nawet piłeś z nim w barze w Rognac tydzień po jej zaginięciu. Przez cały czas jesteście w kontakcie.

Lacroix milczał. Gabriel mocniej zacisnął rękę na jego złamanej żuchwie.

- Nazwisko, Marcel. Podaj nam jego nazwisko.

- Brossard - wykrztusił w bólu Francuz. - Nazywa się René Brossard.

Gabriel spojrział na Kellera, a ten skinął głową.

- Bardzo dobrze - zwrócił się do Lacroix, rozluźniając chwyt. - A teraz mów dalej. I niech ci nie przyjdzie do głowy próbować mnie okłamać. Jeśli to zrobisz, znowu wylądujesz w wodzie. Tym razem na zawsze.

12.

U wybrzeży Marsylii

W rufowej części pokładu były dwa obrotowe siedziska. Gabriel przywiązał Lacroix do tego na sterburcie, a sam usiadł na drugim. Francuz wciąż miał zaklejone oczy. Po krótkiej kąpieli jego dres ociekał wodą. Trzęsąc się, błagał o suche ubranie lub chociaż koc. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zaczął opowiadać o słonecznym popołudniu w połowie sierpnia, gdy - jak poprzedniego dnia Gabriel - na jego łodzi pojawił się pewien człowiek.

- Paul? - spytał Gabriel.

- Tak, Paul.

- Spotkałeś go wcześniej?

- Nie, ale widziałem go w okolicy.

- Gdzie?

- W Cannes.

- Kiedy?

- W czasie festiwalu.

- W tym roku?

- Tak, w maju.

- Byłeś na Festiwalu Filmowym w Cannes?

- Nie byłem na liście gości, jeśli o to pytasz. Pracowałem tam.

- Co robiłeś?

- A jak myślisz?

- Okradałeś gwiazdy filmowe i pięknych ludzi?

- To jeden z najgorętszych tygodni w roku, miejscowa gospodarka dostaje wtedy prawdziwego kopa. A ci z Hollywood to kompletni debile. Walimy ich równo za każdym razem, kiedy się tu zjeżdżają, a oni nawet tego nie zauważają.

- Co robił Paul?

- Bujał się z pięknymi ludźmi. Wydaje mi się, że raz czy drugi widziałem, jak wchodził do teatru na pokazy.

- Wydaje ci się?

- On za każdym razem wygląda inaczej.

- Robił jakieś przekręty?

- Musielibyście spytać jego. Kiedy do mnie przyszedł, nie rozmawialiśmy o tym. Mowa

była tylko o naszej wspólnej robocie.

- Chciał wynająć ciebie i twoją łódź, żeby wywieźć dziewczynę z Korsyki na kontynent.

- Nie - odpowiedział Lacroix. - Nie powiedział ani słowa o dziewczynie.

- To co powiedział?

- Że chce dostarczyć paczkę.

- Nie spytałeś, co w niej będzie?

- Nie.

- Tak pracujesz?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, ile kasy jest na stole.

- A ile było?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- To dobra stawka?

- Bardzo.

- Powiedział ci, kto mu cię polecił?

- Dostał namiar od dona.

- Kim jest don?

- Don Orsati, Korsykanin.

- Czym się zajmuje?

- Różne rzeczy, nielegalne - opowiedział Lacroix. - Ale przede wszystkim zajmuje się zabijaniem. Zdarzyło mi się podwozić jego ludzi. Parę razy pomogłem im też czegoś się pozbyć.

Taki sposób przesłuchiwania z jednej strony pozwalał zweryfikować, czy Lacroix mówi prawdę, z drugiej gwarantował, że nie zorientuje się, kim Gabriel i Keller są. Francuz był teraz przekonany, że Gabriel nie miał przyjemności poznać korsykańskiego zabójcy o nazwisku Orsati. Jednocześnie - przynajmniej jak dotąd - mówił prawdę.

- Czy Paul podał ci dokładny termin wykonania zlecenia?

- Nie, powiedział, że zawiadomi mnie z dobowym wyprzedzeniem. Dawał sobie przy tym maksymalnie dziesięć dni.

- Jak miał się z tobą skontaktować?

- Miał zadzwonić.

- Wciąż masz komórkę, z której do niego dzwoniłeś?

Lacroix pokiwał głową i podał numer przypisany do aparatu.

- Zadzwoił?
- Tak, ósmego dnia.
- I co powiedział?
- Kazał się odebrać z zatoki tuż na południe od Capo di Feno.
- O której?
- O trzeciej w nocy.
- Jak to miało wyglądać?
- Kazał zostawić na plaży ponton i czekać niedaleko od brzegu.

Gabriel spojrział w górę, na mostek, skąd przyglądał im się Keller. Anglik skinął głową: rzeczywiście jest pod Capo di Feno wygodna zatoczka, taka, jaką opisał Lacroix. Wersja Lacroix jak dotąd trzymała się kupy.

- Kiedy przyłynął na Korsykę? - spytał Gabriel.
- Kilka minut po północy.
- Byłeś sam?
- Tak.
- Na pewno?
- Tak, przysięgam.
- O której zostawiłeś ponton na plaży?
- O drugiej.
- Jak wróciłeś na „Moondance”?
- Przeszedłem po wodzie. Jak Jezus.

Gabriel szybkim ruchem wyrwał Francuzowi ówiek z prawego ucha.

- Żartuję! - Lacroix jęknął z bólu, gdy z rozerwanej małżowiny pociekła krew.
- Na twoim miejscu nie opowiadałbym akurat teraz dowcipów o Bogu. Powinieneś raczej robić wszystko, żeby mu nie podpaść.

Gabriel raz jeszcze zerknął ku górze: Keller z trudem tłumił uśmiech. Gabriel odwrócił się do Francuza i kazał mu opisać przebieg zdarzeń. Ten zeznał, że Paul pojawił się o czasie, punkt trzecia. Francuz widział jeden samochód terenowy. Auto, przy włączonych jedynie światłach pozycyjnych, zjechało po bardzo stromej ścieżce nad sam brzeg zatoki. Następnie dał się słyszeć warkot silnika zaburtowego przy pontonie. Gdy był już burta w burtę z „Moondance”, Lacroix zobaczył dziewczynę.

- Był z nią Paul?
- Tak.
- Ktoś jeszcze?

- Nie, tylko on.
- Była przytomna?
- Ledwie.
- Co na sobie miała?
- Białą sukienkę. Na głowę zarzucili jej jakąś czarną szmatę.
- Widziałeś jej twarz?
- Nie.
- Miała jakieś obrażenia?
- Trochę krwi na kolanach i zadrapania na rękach. I parę siniaków.
- Skrępowali ją?
- W nadgarstkach.
- Ręce miała z przodu czy z tyłu?
- Z tyłu.
- Była związana?
- Skuta kajdankami z tworzywa. Bardzo profesjonalnie.
- Mów dalej.
- Paul położył ją na kanapie w głównej kajucie i zrobił jej jakiś zastrzyk, żeby była cicho. Potem wszedł na mostek i powiedział, dokąd chce płynąć.
- A konkretnie?
- Na zachód od Saintes-Maries-de-la-Mer jest koryto rzeki, w którym woda podnosi się w czasie przyływu. Mają tam niedużą marinę. Świetne miejsce. Wiem, bo z niego korzystałem. Paul przygotował się do zajęć.
- Kolejne spojrzenie na Kellera i kolejne skinienie głową.
- Popłynęliście od razu?
- Nie - odpowiedział Lacroix - bo wtedy wylądowalibyśmy tam w środku dnia. Zostaliśmy kilkanaście godzin na morzu i wyruszyliśmy w nocy.
- Paul przez cały czas trzymał dziewczynę w saloniku?
- Raz wziął ją na dziób, ale poza tym...
- Poza tym co?
- Przez cały czas dostawała zastrzyki.
- Ketaminę?
- Nie jestem lekarzem.
- Coś takiego.
- Zadałeś pytanie, to ci odpowiedziałem.

- Zabrał ją na brzeg pontonem?

- Nie, wpłynęliśmy prosto do mariny. Można tam zaparkować samochód tuż przy slipie.

Na Paula czekał transport. Mieli mercedesa.

- Jakiego?

- E-Klasę.

- Na jakich numerach?

- Francuskich.

- W samochodzie ktoś był?

- Tak, dwóch facetów. Kiedy przy płynęliśmy, jeden siedział za kółkiem, a drugi stał oparty o maskę.

- Znasz tego, który stał?

- W życiu go na oczy nie widziałem.

- Ale tego, który siedział za kierownicą znałeś, co, Marcel?

- Tak. To był René Brossard.

Brossard był mafijnym żołnierzem. Pracował dla ambitnej rodziny z Marsylii, mającej kontakty za granicą. Do pracy używał mięśni, nie głowy: ściągał długi, zabezpieczał, służył za ochroniarza. W wolnym czasie pracował jako bramkarz w klubie niedaleko starego portu. Bardziej dlatego, że podobały mu się przychodzące tam dziewczyny niż po to, by dorobić. Lacroix znał go z sąsiedztwa. Miał jego numer telefonu.

- Kiedy do niego zadzwoniłeś? - spytał Gabriel.

- Parę dni po tym, jak przeczytałem w gazecie o dziewczynie z Anglii, co zniknęła w czasie wakacji na Korsyce. Skumałem, że to musiała być ta, którą wiozłem. To było proste jak dwa plus dwa.

- Jesteś geniuszem matematycznym?

- Umiem dodawać - próbował zażartować Lacroix.

- Zrozumiałeś, że Paul ma szansę dostać za nią duży okup, i chciałeś się załapać?

- Nie powiedział mi, co to za robota - odparł Francuz. - W życiu bym się nie zgodził na udział w grubym porwaniu za marne pięćdziesiąt tysięcy.

- Ile chciałeś dodatkowo?

- Nie mam w zwyczaju zaniżać cen usług.

- Mądry z ciebie człowiek - odpowiedział Gabriel, po czym spytał Lacroix, po jakim czasie Brossard do niego oddzwonił.

- Po dwóch dniach.

- Rozmawialiście przez telefon o szczegółach?
 - Powiedziałem wystarczająco dużo, żeby zrozumiał, czego chcę. Brossard zadzwonił parę godzin później i powiedział, że bym przyjechał do Bar du Haut następnego dnia o szesnastej.
 - Bardzo głupio zrobiłeś, że tam pojechałeś, Marcel.
 - Niby dlaczego?
 - Dlatego że zamiast Brossarda mógł na ciebie czekać Paul i posłać ci nabój między oczy za to, że masz czelność żądać więcej pieniędzy.
 - Potrafię o siebie zadbać.
 - Gdybyś potrafił, nie siedziałbyś teraz na własnej łodzi przyklejony do fotela. No, ale mówiłeś coś o rozmowie z René Brossardem.
 - Powiedział, że Paul zamierza zachować się rozsądnie. Potem negocjowaliśmy.
 - Negocjowaliście?
 - Cenę. Paul miał dla mnie ofertę, ja przedstawiłem swoją. Trochę się targowaliśmy.
 - Wszystko przez telefon?
- Lacroix skinął głową.
- Jaka jest rola Brossarda w całej tej operacji?
 - Mieszka w domu, w którym trzymają dziewczynę.
 - Paul też tam jest?
 - Nie pytałem.
 - Ilu ich jeszcze jest?
 - Nie wiem nic poza tym, że jest tam z nim jeszcze kobieta. Dzięki temu wyglądają na rodzinę.
 - Czy Brossard mówił coś o Angielce?
 - Powiedział, że żyje.
 - Tylko tyle?
 - Tak.
 - Na jakim etapie negocjacji się zatrzymaliście?
 - Dziś rano się dogadaliśmy.
 - Ile udało ci się z nich wycisnąć?
 - Dodatkowe sto tysięcy.
 - Kiedy miałeś odebrać pieniądze?
 - Jutro po południu.
 - Gdzie?

- W Aix.
- Gdzie dokładnie?
- W kawiarni przy placu de Gaulle'a.
- Jak się ta kawiarnia nazywa?
- Prowansja. Jak może się nazywać knajpa w Aix?
- Jak ma przebiec transakcja?
- Brossard ma przyjechać pierwszy i być na miejscu dziesięć po piątej. Ja mam dołączyć dwadzieścia po.

- Gdzie będzie siedział?
- Przy stoliku na zewnątrz.
- A pieniądze?
- Powiedział, że będzie je miał w metalowej walizce.
- Co za konspiracja.
- Jego pomysł, nie mój.
- Macie miejsce rezerwowe na wypadek, gdyby jeden z was się nie pojawił?
- Knajpa Le Cézanne, kawałek w górę ulicy.
- Jak długo ma tam czekać?
- Dziesięć minut.
- Co się stanie, jeśli i tam się nie pojawisz?
- Umowa nieważna.
- Były jeszcze jakieś ustalenia?
- Koniec z telefonami - odrzekł Lacroix. - René powiedział, że Paula denerwują te wszystkie telefony.

- Wierzę.

Gabriel spojrział w górę. Tym razem Keller się nie uśmiechał. Stał nieruchomo jak skała. Czarna sylwetka na tle czarnego nieba. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet. Padł jeden strzał. Tłumik zdławił hałas. Nad lewym okiem w czaszce Lacroix pojawił się otwór. Gabriel trzymał go za ramiona, gdy umierał, po czym odwrócił się gwałtownie i wściekły wymierzył broń w Kellera.

- Lepiej odłóż pistolet, zanim komuś stanie się krzywda - powiedział Anglik spokojnie.
- Po jaką cholere go zabiłeś?
- Podpadł mi - odparł Keller. - A poza tym - dodał, wsuwając broń za pasek - i tak nie był nam już do niczego potrzebny.

13.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

Posłali ciało Francuza na dno głębokiej Golfe du Lion i ruszyli do Marsylii. Gdy dotarli do starego portu, wciąż było ciemno. W odstępie kilku minut wymknęli się z „Moondance”. Każdy wsiadł do swojego auta, po czym ruszyli przybrzeżną drogą w stronę Tuluzy. Tuż przed miejscowością Badol Gabriel zjechał na pobocze, otworzył maskę i poluzował kilka przewodów silnika. Następnie, jako *Herr Klemp*, zadzwonił do firmy, w której wynajął peugeota, i głosem, w którym pobrzmiwała histeria, nagrał na automatyczną sekretarkę wiadomość o tym, gdzie znajduje się „zepsuty” samochód. Starszy odciski palców z kierownicy i z deski rozdzielczej, wsiadł do renault Kellera. W bladym świetle świtu ruszyli na wschód, do Nicei. Przy ulicy Verdiego, w starej białej kamienicy znajdowało się jedno z należących do Biura bezpiecznych mieszkań. Firma miała ich we Francji bardzo wiele. Gabriel wszedł na chwilę do budynku, i wyjął ze skrzynki na listy teczkę osobową Madeline Hart, o której przysłanie prosił Grahama Seymoura. Keller prowadził, a on czytał. Autostradą A8 ruszyli do Aix.

- I co tam piszą? - zainteresował się Anglik po dłuższej chwili milczenia.

- Że Madeline Hart była ideałem. Ale to już wiedzieliśmy.

- Ja też kiedyś byłem ideałem i patrz, co ze mnie wyrosło.

- Nie, Keller, ty zawsze byłeś nikczemnikiem. Po prostu do tamtej nocy w Iraku sobie tego nie uświadamiałeś.

- Broniąc twojego kraju przed scudami Saddama, straciłem ośmiu kolegów.

- Jesteśmy waszymi dłużnikami.

Udobruchany Keller włączył radio i wybrał anglojęzyczną rozgłośnię nadającą z Monako, służącą sporej społeczności rozrzuconych po południowej Francji Brytyjczyków.

- Nostalgia?

- Lubię od czasu do czasu posłuchać ojczystego języka.

- Nigdy nie wróciłeś?

- Do Anglii?

Gabriel skinął głową.

- Nigdy - odpowiedział Keller. - Nie biorę pracy na terenie Anglii i nigdy nie przyjmę zlecenia na Brytyjczyka.

- Bardzo szlachetnie.

- Jakieś zasady trzeba mieć.

- A więc twoi rodzice nie mają pojęcia, że żyjesz?

- Najmniejszego.

- Ty nie możesz być Żydem - orzekł Gabriel. - Żydowski synek nigdy nie pozwoliłby swojej matce myśleć, że jest martwy. Nie ośmieliłby się.

Gabriel dotarł do ostatniej pozycji w teczce Madeline. Była nią kopia listu wysłanego przez Jeremy'ego Fallona do prezesa partii. Sugerował w nim, by awansować Madeline na stanowisko w którymś z resortów i przygotowywać do udziału w wyborach. Następnie Gabriel przyjrzał się fotografii dziewczyny - siedziała w kawiarnianym ogródku z człowiekiem znanym mu wyłącznie jako „Paul”.

Keller, zerknąwszy na Gabriela, spytał:

- O czym myślisz?

- Zastanawiam się, dlaczego wschodząca gwiazda rządzącej partii piła szampana z taką kreaturą jak nasz przyjaciel Paul.

- Dlatego że wiedział o jej romansie z premierem. I zamierzał ją porwać.

- Skąd mógł się dowiedzieć?

- Mam pewną teorię.

- Popartą faktami?

- Kilkoma.

- Ale to nadal tylko teoria.

- Przynajmniej czas nam szybciej zleci.

Gabriel zamknął teczkę, dając tym samym znak, że słucha. Keller wyłączył radio.

- Tacy jak Lancaster, kiedy wdają się w romans, zawsze popełniają ten sam błąd - zaczął. - Wierzą, że ich ochroniarze będą trzymali gęby na kłódkę. Ale wcale tego nie robią. Gadają między sobą, gadają z żonami i dziewczynami, i wreszcie gadają ze starymi kumplami, którzy dostali robotę w prywatnych agencjach ochroniarskich. Nie trzeba wiele, żeby tego rodzaju plotka dotarła do kogoś takiego jak Paul.

- Myślisz, że Paul ma coś wspólnego z londyńską branżą ochroniarską?

- Niewykluczone. A w każdym razie może tam kogoś znać. Tak czy siak - ciągnął Keller - tajemnica wyciekła, a dla typów pokroju Paula informacje tego rodzaju są na wagę złota. Prawdopodobnie zaczęli ją obserwować jeszcze w Londynie i włamali się na jej konta e-mailowe i komórkę. To pewnie w ten sposób dowiedzieli się, że dziewczyna leci na wakacje na Korsykę. Kiedy się tam znalazła, Paul już na nią czekał.

- Po co zaprosił ją na lunch? Dlaczego ryzykował, pokazując twarz?

- Musiał dziewczynę oddzielić od grupy, żeby gładko ją zawinąć.
- Poderwał ją?
- To czarujący skurwysyn.
- Nie, do mnie to zupełnie nie trafia - powiedział Gabriel po chwili namysłu.
- Dlaczego?
- Przecież tuż przed porwaniem Madeline była bardzo zaangażowana w romans z premierem. Jak mógłby nagle zacząć ją pociągać ktoś taki jak Paul?
- Madeline była dla premiera kochanką, kimś tylko do łóżka - zauważył Keller. - A to znaczy, że w tym układzie raczej nie było miejsca na miłość. Pewnie czuła się samotna.
- Gabriel spojrział jeszcze raz na fotografię, ale przyglądał się Paulowi, nie Madeline.
- Kim on, do cholery, jest?
- Na pewno nie amatorem. Skoro wiedział o donie, musi być zawodowcem. Zresztą tylko zawodowiec odważyłby się zapukać do jego drzwi i poprosić o pomoc.
- Skoro taki z niego profesjonalista, to dlaczego wziął do tej roboty miejscowych?
- Pytasz, dlaczego nie miał własnej ekipy?
- Chyba tak.
- Prosta ekonomia - wyjaśnił Keller. - Utrzymywanie stałego zespołu to skomplikowane przedsięwzięcie. Ludzie przysparzają problemów. Kiedy roboty jest mało, chłopcy są niezadowoleni, kiedy szykuje się coś dużego, chcą dużych pieniędzy.
- Więc najmuje wolnych strzelców na pojedyncze numery, żeby nie musieć dzielić się zyskiem?
- W dzisiejszym zglobalizowanym świecie konkurencja jest ogromna i wszyscy tak robią.
- Ale nie don.
- Don jest inny. Jesteśmy rodziną. I masz rację co do jednego: Lacroix miał szczęście, że Paul go nie zabił. Gdyby Marcel miał czelność po wykonaniu zlecenia zażądać od Orsatiego więcej pieniędzy, wylądowałby na dnie morza w cementowej trumnie.
- I tak tam wylądował.
- Ale bez cementu.
- Gabriel spojrział gniewnie na Kellera, ale nic nie powiedział.
- To ty wyrwałeś mu kolczyk z ucha - przypomniał Keller.
- Rozerwane ucho się zagoi, kula w czoło załatwia sprawę na dobre.
- A co innego mieliśmy, według ciebie, z nim zrobić?
- Mogliśmy go zawieźć na Korsykę i zostawić u dona.

- Uwierz mi, Gabriel, długo by się tam nie uchował. Orsati nie lubi kłopotów.

- A, jak mawiał Stalin: „Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy”.

- „Nie ma człowieka, nie ma problemu” - dokończył cytat Keller.

- A jeśli nas okłamał?

- Nie miał powodu kłamać.

- Dlaczego?

- Bo wiedział, że nie zejdzie żywy z tej łodzi. - Keller dodał nieco ciszej: - Liczył tylko na to, że zamiast go topić, pozwolimy mu umrzeć bezboleśnie.

- To jakaś twoja kolejna teoria?

- Marsylskie zasady - wyjaśnił Keller. - Tutaj, jeśli coś ma brutalny początek, ma też brutalny koniec.

- A jeśli Brossard nie będzie siedział z walizką w Prowansji o siedemnastej dziesiątej? Co wtedy zrobimy?

- Będzie tam.

Gabriel chciałby podzielać spokój Kellera, ale doświadczenie mu na to nie pozwalało. Spojrzał na zegarek i obliczył, ile czasu pozostało im na odnalezienie dziewczyny.

- Jeżeli Brossard się pokaże - powiedział - to lepiej go nie zabijać, zanim nie doprowadzi nas do domu, w którym trzymają Madeline.

- A co potem?

Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy, pomyślał Gabriel. Nie ma człowieka, nie ma problemu.

14.

Aix-en-Provence, Francja

Historia Aix-en-Provence sięga czasów starożytnych. Miasto to, założone przez Rzymian, podbite przez Wizygotów i rozbudowane przez francuskich królów, ma niewiele wspólnego z Marsylią, swoim szorstko-proletariackim południowym sąsiadem. Marsylia to narkotyki, przestępczość i dzielnica arabska, w której rzadko słyszy się francuski. Aix to muzea, sklepy i jedna z najlepszych uczelni w kraju. Jego mieszkańcy mają skłonność do patrzenia na marsylczyków z góry, a ich miasto odwiedzają rzadko i niechętnie, głównie po to, by skorzystać z lotniska. Potem co prędzej uciekają, licząc na to, że wciąż mają przy sobie wszystkie cenne przedmioty.

Główną ulicą Aix jest Cours Mirabeau - szeroki bulwar pełen kawiarni, ocieniony dwoma rzędami platanów. Powyżej jego północnego krańca znajduje się kłębowski wąskich uliczek i mikroskopijnych placików zwane Quartier Ancien. To strefa głównie dla pieszych, bo wszystkie ulice dzielnicy, nie licząc kilku najszerzych, zamknięte są dla samochodów i autobusów. Gabriel przeprowadził kilka stosowanych w Biurze testów, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Nabrawszy pewności, że jest sam, skierował się na niewielki zatłoczony skwer przy ulicy Espariat. Na jego środku stała starożytna kolumna zwieńczona rzymskim kapitelem, a w ocienionym przez drzewa południowo-wschodnim narożniku czekała na gości Prowansja. Kilka stolików ustawiono od strony placu, więcej stało wzdłuż ulicy Espariat. Jedynymi klientami było w tym momencie dwóch starszych mężczyzn. Siedzieli nad napoczętą butelką pastisu wpatrzni w przestrzeń. To knajpa dla miejscowych, pomyślał Gabriel, nie dla turystów. Idealne miejsce, by ktoś taki jak Brossard mógł poczuć się komfortowo.

Gabriel wszedł do środka i skierował się do wewnętrznej trafiki. Poprosił o paczkę gauloisów i egzemplarz „Nice-Matin”. Czekać na wydanie reszty, zlustrował wnętrze, by nabrać pewności, że z lokalu da się wyjść jedną tylko drogą. Następnie opuścił kawiarnię, żeby wybrać punkt obserwacyjny z dobrym widokiem na obie strony ogródka Prowansji. Gdy rozważał możliwe opcje, podeszło do niego dwóch japońskich nastolatków, którzy potwornie kulawą francuszczyzną poprosili go, by zrobił im zdjęcie. Gabriel udał, że nie rozumie, odwrócił się i oddalił ulicą Espariat. Minawszy pogrążonych w letargu prowansalskich staruszków, wszedł na plac de Gaulle'a.

Po ciszy Quartier Ancien warkot silników samochodów na zatłoczonym rondzie

wydawał się przytłaczający. Istniała możliwość, że Brossard opuści Aix inną trasą, ale Gabriel wątpił, by się na to zdecydował. Samochodem nie dało się zbliżyć do Prowansji bardziej, niż parkując na placu de Gaulle'a. Wszystko odbędzie się bardzo szybko, przewidywał Gabriel, jeżeli nie będą odpowiednio przygotowani, Brossard łatwo ich zgubi. Spojrzał teraz w dół Cours de Mirabeau. Gasnąca bryza poruszała liśćmi platanów, a Gabriel obliczał szybko, ile samochodów i ilu agentów należałoby mieć, żeby przeprowadzić akcję jak należy. Dwunastu ludzi i cztery auta, tyle trzeba było, by nie zostać namierzonym podczas śledzenia i dotrzeć niepostrzeżenie do położonej z dala od miasta posesji, gdzie przetrzymywano dziewczynę. Kręcąc powoli głową, Gabriel ruszył w stronę kawiarni, której okna wychodziły na ulicę. Przy filiżance kawy czekał tam na niego Keller.

- No i? - spytał.

- Potrzebny nam skuter.

- Masz pieniądze, które zabraliśmy Lacroix?

Marszcząc lekko czoło, Gabriel poklepał się po kieszeniach na piersi. Keller rzucił na blat kilka euro i wstał od stolika.

Niedaleko, przy bulwarze de la République, znaleźli salon ze skuterami. Po kilkuminutowych oględzinach asortymentu Gabriel zdecydował się na czterdziestokonny skuter Peugeot Satelis 500 premium. Keller zapłacił gotówką i zarejestrował jednośląd, posługując się fałszywym korsykańskim prawem jazdy. Kiedy sprzedawca zajmował się papierkową robotą, Gabriel wyskoczył do sklepu z ubraniami po drugiej stronie ulicy. Kupił skórzaną kurtkę, czarne jeansy i czarne skórzane buty. Przebrał się w nowe ubrania w sklepowej przebieralni, a stare włożył do kufra z tyłu skutera. Następnie wsunął na głowę czarny kask, zajął miejsce na siedzisku i ruszył za Kellerem w dół bulwaru, w stronę placu de Gaulle'a.

Dochodziła siedemnasta, kiedy Gabriel zostawił skuter u wlotu ulicy Espariat i z kaskiem pod pachą ruszył w stronę skweru z rzymską kolumną pośrodku. Dwaj starszycy nadal siedzieli przed Prowansją. Gabriel jednak nie usiadł obok nich, tylko w irlandzkim pubie po przeciwnej stronie ulicy. Gdy pojawiła się kelnerka, zamówił jasne piwo i zastanawiał się przez chwilę, po co ktokolwiek na południu Francji miałby chodzić do irlandzkiego pubu. Rozważania te przerwało mu jednak pojawienie się potężnie zbudowanego mężczyzny, który w prawej ręce niósł metalowy neseser. Wszedł do Prowansji, by po chwili wyłonić się z filiżanką białej kawy i kieliszkiem czegoś mocniejszego. Zająwszy miejsce przy stoliku, przesunął spojrzeniem po całej szerokości placu, przez krótką chwilę zatrzymując je i

na Gabrielu. Ten spojrział na zegarek. Była dokładnie siedemnasta dziesięć. Sięgnął do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer Kellera.

- Mówiłem ci, że przyjdzie - powiedział Anglik.
- Czym przyjechał?
- Czarnym mercedesem.
- Jakim?
- E-Klasą.
- Na jakich blachach?
- Zgadnij.
- To ten sam samochód, który czekał w marinie?
- Niedługo się przekonamy.
- Kto prowadził?
- Kobieta. Na oko dwadzieścia parę lat. Może trzydzieści.
- Francuzka?
- Być może. Spytałem ją, jeśli chcesz.
- Gdzie teraz jest?
- Jeździ w kółko.
- A ty gdzie jesteś?
- Dwa samochody za nią.

Gabriel się rozłączył i wsunął telefon do kieszeni. Następnie sięgnął po jedną z komórek zabranych z łodzi Marcela Lacroix. Wszystko odbędzie się bardzo szybko, pomyślał. Jeżeli nie będą odpowiednio przygotowani, Brossard łatwo ich zgubi. Dwunastu ludzi i cztery samochody - takiego zaplecza potrzeba, żeby wykonać robotę jak należy. Zamiast tego miał do dyspozycji dwa pojazdy, a jedynym poza nim członkiem drużyny był zawodowy zabójca, który kiedyś przyjął na niego zlecenie. Gabriel napił się piwa. Nie tyle dla smaku, ile raczej w ramach kamuflażu. Następnie utkwiał spojrzenie w ekranie zdobycznego telefonu i patrzył, jak upływają kolejne minuty.

15.

Aix-en-Provence, Francja

O siedemnastej osiemnaście czas stanął w miejscu. Dobiegający z oddali szmer silników zanikł, a postacie na niewielkim skwerze zamarły bez ruchu jak przeniesione na płótno ręką Renoira. Gabriel konserwator mógł skorzystać z chwilowego urlopu, by im się przyjrzeć. Czworo rumianych Niemców przeglądających menu w barze tapas, dwie skandynawskie turystki w sandałach studiujące ostatnią chyba w dziejach papierową mapę, ładna kobieta siedząca u podstawy rzymskiej kolumny z mniej więcej trzyletnim synkiem na kolanach. I wreszcie mężczyzna w ogródku kawiarni Prowansja, za jedyne go towarzysza mający metalowy neseser ze stoma tysiącami euro. Stoma tysiącami euro, wydzielonymi przez człowieka bez obywatelstwa, znanego wyłącznie jako „Paul”. Gabriel jeszcze raz zerknął na kobietę z dzieckiem siedzącą pod kolumną i oczami wyobraźni zobaczył blask eksplozji i krew. Przeniósł spojrzenie na samotnego mężczyznę w kawiarnianym ogródku. Teraz była dokładnie siedemnasta dwadzieścia. Po upływie kilkunastu sekund wskazówka minutowa drgnęła, by wskazać siedemnastą dwadzieścia jeden. Dokładnie w tej chwili mężczyzna wstał od stolika, zacisnął dłoń na ręczce neseseru i ruszył przed siebie.

- „Macie miejsce rezerwowe na wypadek, gdyby jeden z was się nie pojawił?”
- Knajpa Le Cézanne, kawałek w górę ulicy.
- Jak długo ma tam czekać?
- Dziesięć minut.
- Co się stanie, jeśli tam też się nie pojawisz?
- Umowa nieważna”.

Tylko dlaczego zawodowy przestępca miałby nie stawić się po tak dużą wypłatę? Sto tysięcy euro trudno uznać za niewielką kwotę. Problem jednak w tym, że ten zawodowy przestępca leży z kulą w mózgu na dnie morza, osiem mil na południowy wschód od Marsylii. René Brossard nie mógł się o tym dowiedzieć i dlatego Gabriel przez cały czas trzymał w pogotowiu telefon Lacroix. Brossard z walizką w ręku energicznym krokiem szedł ocienioną ulicą. Tymczasem Gabriel raz jeszcze spojrzał na rumianych Niemców, skandynawskie turystki w sandałach i na matkę z dzieckiem, których wciąż pożerał ogień z mrocznych zakamarków jego pamięci. Była siedemnasta dwadzieścia dwie. Osiem minut, pomyślał. Osiem minut i zacznie się pościg. Wystarczy jeden błąd. Jeden błąd i Madeline Hart umrze. Wypił kolejny łyk piwa, ale smakowało teraz jak piołun. Spojrzał na kobietę z

dzieckiem. Patrzył bezsilnie, jak płomień pożera ich ciała.

O siedemnastej dwadzieścia pięć zadzwonił do Kellera.

- Gdzie jest teraz ta kobieta?
- Nadal jeździ w kółko.
- Możliwe, że robi cię w konia. Mogą mieć drugi samochód.
- Zawsze taki z ciebie czarnowidz?
- Nie. Tylko wtedy, gdy chodzi o życie kobiety.

Keller nie odpowiedział.

- Gdzie jest w tym momencie?
- Stawiam, że jedzie w twoją stronę.

Gabriel się rozłączył i sięgnął po drugi telefon. Wybrał szybko numer Brossarda i przycisnął kciuk do mikrofonu, zatykając go. Następnie uniósł aparat do ucha. Dwa sygnały. Potem głos Brossarda:

- Gdzieżeś się, kurwa, podział?

Gabriel nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej przycisnął kciuk do mikrofonu.

- Marcel, to ty? Gdzie jesteś?

Gabriel się rozłączył, by po trzydziestu sekundach ponownie wybrać numer Francuza. I tym razem zakrył mikrofon i nie powiedział ani słowa. Tym razem Brossard odebrał już po pierwszym sygnale.

- Marcel? Halo? Mówiłem ci, że masz nie wydzwaniać! Zostały ci trzy minuty, potem się zawijam.

Teraz to Brossard rozłączył się pierwszy. Gabriel schował telefon Marcela do kieszeni, a z drugiego zadzwonił ponownie do Kellera.

- I jak? - spytał Anglik.
- Brossard myśli teraz, że Lacroix żyje i jest w miejscu z fatalnym zasięgiem.
- Co do tego drugiego to ma nawet rację.
- Gdzie jest kobieta?
- Dojeżdża do placu de Gaulle'a.

Gabriel się rozłączył i spojrzał na zegarek. Jeszcze trzy minuty i Brossard sobie pójdzie. Będzie zdenerwowany i zaniepokojony. Niewykluczone, że zauważy śledzącego go mężczyznę, szczególnie jeśli ten mężczyzna popija piwo w irlandzkim pubie naprzeciwko Prowansji w chwili, gdy siedział w niej Brossard. Jeżeli jednak minie się z Gabrielem w drodze do samochodu, szanse na to, że nie nabierze podejrzeń, znacznie wzrosną. Jedna ze

złotych Szamronowskich zasad głosiła, że nieraz lepiej śledzić obiekt od frontu, niż czaić się za jego plecami.

Gabriel spojrzął na zegarek: siedemnasta dwadzieścia osiem. Wstał od stolika i ruszył ulicą Espariat z kaskiem pod pachą. Le Cézanne był ostatnim lokalem na parterze po prawej, tam gdzie ulica dochodziła do placu de Gaulle'a. Brossard siedział na zewnątrz. Mijając kawiarnię, Gabriel poczuł na plecach jego spojrzenie, ale zachował spokój i się nie obejrzał. Skuter stał tam, gdzie go zostawił, zaparkowany obok kilku podobnych jednośladów pod platanem, który zaczynał gubić liście. Kilka z nich spadło na siedzenie. Gabriel zmiotł je szybkim ruchem, usiadł za kierownicą i założył kask.

W lusterku widział, jak Brossard wstaje od stolika i wchodzi w wąską uliczkę. Po kilku sekundach przeszedł kilka centymetrów od prawego ramienia Gabriela, tak blisko, że ten poczuł zapach jego wody kolońskiej. Tak blisko, że gdyby Gabriel chciał, mógłby bez trudu wyrwać mu neseser z lewej ręki. Mężczyzna niósł go wcześniej w prawej, ale musiał go przełożyć, ponieważ teraz trzymał w niej telefon. Mocno do ucha przyciskał aparat.

Gabriel uruchomił skuter, gdy tymczasem Brossard wyszedł na promenadę u wylotu placu de Gaulle'a. Jego głowa, niczym wieżyczka czołgu namierzającego cel, zwracała się to w prawo, to w lewo. Dokoła kłębił się popołudniowy tłum przechodniów. Gabriel straciłby Brossarda z oczu, gdyby nie neseser błyszczący jak moneta, która właśnie opuściła mennicę. Zanim dotarł do ronda, Brossard schował telefon do kieszeni i wsiadał od strony pasażera do czarnego mercedesa klasy E, który wjechał na chodnik. W tym samym momencie minęło go nieduże renault, które skręciło w bulwar de la République. Dziesięć sekund później tą samą trasą podążył czarny mercedes. Gabriel nie mógł się nie uśmiechnąć. Mieli szczęście. Czasem lepiej śledzić obiekt od frontu, niż czaić się za nim, pomyślał. Przekręcił manetkę gazu i włączył się płynnie do ruchu, nie spuszczając wzroku z tylnych świateł mercedesa. Wystarczy jeden błąd, jeden błąd, a dziewczyna umrze, powtórzył w myślach.

Bulwarem de la République dotarli do route d'Avignon, którą skierowali się na północ. Przez kolejne dwa kilometry mijali tylko sklepy i kolorowe wystawy. Z czasem jednak ustąpiły one miejsca blokowiskom. Wkrótce zaś wyjechali z miasta i pomknęli międzymiastową dwupasmówką. Po półtora kilometra po prawej stronie zobaczyli stację benzynową. Keller zwolnił i włączył kierunkowskaz i mercedes natychmiast go wyprzedził. Kawalek dalej droga niemal bez ostrzeżenia zwężała się do jednego pasa w każdą stronę. Gabriel trzymał się około pięćdziesięciu metrów za mercedesem, a Keller tuż za nim.

Słońce już zaszło, a jesienna noc zapadała tak szybko, jak opada kurtyna w teatrze.

Cyprysy po obu stronach drogi z ciemnozielonych zrobiły się czarne, by po chwili zniknąć w ciemnościach. Wraz z zapadaniem mroku świat wokół Gabriela coraz bardziej się kurczył. Białozółte światło lamp przednich, czerwień tylnych, wysilony wysoki dźwięk silnika w skuterze i cichy warkot jadącego z tyłu renault. Nic więcej. Spojrzenie Gabriela utkwione było w tyle mercedesa, jednak w myślach koncentrował się na analizowaniu mapy Francji. W tej części Prowansji miasteczka stanowiły niemal nieprzerwany ciąg, jak korale naszyjnika. Jednak dalsza jazda tą drogą oznaczała, iż szybko znajdą się w departamencie Vaucluse. Tam, u podnóża masywu Lubéron, miejscowości były bardziej od siebie oddalone, a sam teren pofałdowany. Dobre miejsce, żeby uwięzić dziewczynę, pomyślał Gabriel. Na uboczu, z jedną tylko trasą wjazdową i wyjazdową. To pozwala mieć pewność, że nie jest się obserwowanym ani śledzonym.

Przemknęli przez miejscinę o nazwie Lingane. Tuż za nią mercedes zjechał na szutrowy parking przed sklepem z ceramiką ogrodową. Gabriel i Keller nie mieli innego wyjścia, jak jechać dalej prosto. Za mniej więcej dwieście metrów znajdowało się rondo, z którego można było wjechać na dwie drogi. Nadrzędna prowadziła do Saint-Cannat, mniejsza do Rognes. Ruchem ręki Gabriel zasygnalizował Kellerowi, żeby jechał na Saint-Cannat, a sam, najpierw wyłączwszy światła, skręcił szybko na Rognes i ukrył się w ciemnym zaułku za murem z pustaków. Po chwili na drodze pojawił się mercedes, teraz jednak prowadził Brossard. Kobieta, której Gabriel po raz pierwszy miał okazję się przyjrzeć, siedziała w fotelu pasażera i wpatrywała się z uwagą w boczne lustro. Natychmiast zadzwonił do Kellera, żeby zawiadomić go o rozwoju sytuacji. Następnie policzył powoli do dziesięciu i wjechał z powrotem na szosę.

Na drodze do Rognes czas jakby zwolnił. Szosa była węższa, noc ciemniejsza, a podalpejskie powietrze coraz chłodniejsze. Zmierzający ku pełni księżyc to chował się, to wyłaniał zza chmur. Po obu stronach drogi ciągnęły się winnice, równe szeregi krzewów na zboczach wzgórz przypominały wyruszających na front żołnierzy. Wokół nie było żywej duszy, a cała okolica pogrążona była w ciemnościach. W zasięgu wzroku migąło zaledwie kilka jasnych punktów. Na drodze poza czarnym mercedesem nie było żadnych samochodów. Gabriel jechał w pewnej odległości za nim, a Keller daleko z tyłu, by nie zostać dostrzeżonym przez Brossarda. Gdzie tylko było to możliwe, Gabriel jechał z wyłączonym reflektorem. Smagany chłodnym wiatrem i momentami niemal niczego nie widząc, miał wrażenie, że przemieszcza się z prędkością dźwięku.

Na obrzeżach Rognes w końcu pojawiło się kilka samochodów i ciężarówek. W

centrum miejscowości mercedes zrobił kolejny postój, tym razem przed sąsiadującymi ze sobą masarnią i sklepem z pieczywem. I tym razem Keller pojechał dalej, a Gabriel zdołał ukryć się za zabytkowym kościołem. Widział, jak kobieta wysiada z samochodu, a po kilku minutach wraca z kilkoma plastikowymi torbami pełnymi jedzenia. Było tego bez wątpienia na tyle dużo, żeby najadła się cała załoga, którą obsadzono dom. Nawet zostałoby coś dla zakładniczki. To, że Brossard i jego towarzyszką stanęli po zakupy, dowodziło, że nabrali przekonania, iż nie są śledzeni. Oznaczało to również, że cel ich podróży jest niedaleko.

Kobieta włożyła zakupy do bagażnika i rozejrzawszy się, usiadła w fotelu pasażera. Brossard ruszył, nim zatrzasnęła drzwi. Pospieszenie opuścili centrum miejscowości i wjechali na drogę D-543 prowadzącą z Rognes nad zalew Saint-Christophe. Za zalewem znajdowało się koryto rzeki Durance. Brossard przejechał przez most o osiemnastej trzydziści. Znaleźli się w departamencie Vaucluse.

Kierowali się na północ, mijając po drodze malownicze wsie Cadenet i Lourmarin, aż w końcu dotarli do południowych podnóży masywu Lubéron. Dopóki teren był płaski, Gabriel jechał nawet kilometr za samochodem. Teraz jednak, na wijącej się górskiej drodze, nie miał innego wyjścia, niż zmniejszyć dystans i przez cały czas mieć Brossarda w zasięgu wzroku. Gdy przejeżdżali przez maleńką wieś o nazwie Buoux, Gabriel nabral obaw, że Brossard zdał sobie sprawę, iż ktoś za nim jedzie. Gdy jednak mercedes przez kolejnych dziesięć kilometrów ani nie zwolnił, ani nie zrobił żadnego zwodu czy uniku, Gabriel się uspokoił. Jechali przez noc, mijając kamienne ściany i granitowe wychodnie, lśniące w świetle księżyca. Wzrok Gabriela utkwiony był w tylnych światłach mercedesa, jego myśli skupiły się na kobiecie, której nie znał.

Wreszcie Brossard skręcił w przerwę w ścianie lasu rosnącego przy drodze. Gabriel nie odważył się od razu skręcić za nim. Pojechał prosto i zawrócił dopiero po pokonaniu kilometra. Droga, w którą skręcił Francuz, była tylko częściowo utwardzona i tak wąska, że z trudem mijały się na niej dwa auta. Doprowadziła ona Gabriela do niewielkiej doliny pociętej szachownicą poletek oddzielonych od siebie żywopłotem lub rzędami drzew. W dolince stały trzy wille - dwie po stronie zachodniej, trzecia, odgradzona rzędem cyprysów, po wschodniej. Nigdzie nie było widać mercedesa. Najwyraźniej Brossard, dmuchając na zimne, wyłączył światła. Gabriel obliczył szybko, jak dużo czasu zajęło mu przejechanie kilometra, zawrócenie i dojazd w to miejsce, a zaraz po tym - ile czasu musiał potrzebować Francuz na dotarcie do poszczególnych willi. Stał okrakiem nad zaparkowanym skuterem, uważnie lustrując dolinę. Brossard musi w końcu gdzieś się zatrzymać, a kiedy to zrobi, zdradzą go światła stopu. Po kolejnych dziesięciu sekundach Gabriel przestał obserwować wille stojące

po zachodniej stronie doliny, by skupić się na trzeciej, najdalszej, tej na wschodzie. I wtedy dostrzegł to, na co czekał: mignięcie ostrego czerwonego światła, jak blask zapalanej zapalniczki. Przez ułamek sekundy wydawało się, że światło unosi się nad rzędem cyprysów niczym świetlny znak ostrzegawczy na iglicy wieżowca. Potem zgasło. Dolina znów pogrążyła się w ciemnościach.

16.

Lubéron, Francja

W najbliższej miejscowości był tylko nijaki mały pensjonat, pojechali więc do Apt, gdzie zameldowali się w niewielkim hotelu na skraju starego miasta. W restauracji nie było poza nimi żadnych gości, z obsługi w pracy był tylko jeden starszy kelner. Zjedli przy osobnych stolikach, a następnie przeszli pogrążonymi w ciszy i ciemnościach uliczkami do bazyliki Świętej Anny. W zwieńczonej kopułą nawie głównej unosił się zapach świec i kadzidła. Wyczuwalna też była woń pleśni. Przechyliwszy głowę, Gabriel obejrzał starannie główny ołtarz. Następnie usiadł obok Kellera w ławce naprzeciwko stojaka ze świecami wotywnymi. Anglik opuścił głowę i wsunął nos pomiędzy palce. Wreszcie odezwał się skruszonym szeptem:

- A więc miała rację.

- Kto?

- *Signadora*.

- Może się myłę - Gabriel uniósł wzrok na kopułę - ale jakoś nie przypominam sobie, żeby *signadora* mówiła coś o willi na wsi w masywie Lubéron.

- Ale mówiła o morzu i górach.

- No i?

- Przewieźli dziewczynę morzem, a teraz trzymają ją w górach.

- Być może, a być może przewieźli ją już w inne miejsce. Nie jest też wykluczone, że już nie żyje.

- Jezu - jęknął Keller - dlaczego zawsze jesteś takim cholernym pesymistą?

- Pamiętaj, gdzie jesteś, Christopher.

Keller wstał, podszedł do stojaka i zapalił świecę. Już miał wrócić na miejsce, gdy zobaczył, że Gabriel wpatruje się w puszkę na ofiary, po czym wyjmując z kieszeni kilka monet i jedną po drugiej wrzuca je do środka. Metaliczny brzęk odbijał się echem długo po tym, jak Gabriel usiadł w ławce.

- Dużo pieniędzy zostawiasz w kościołach katolickich?

- Więcej, niżbyś się spodziewał.

Keller znów usiadł w pozie pokutnej refleksji. Przekadzony przez czerwone szkło blask światełek wotywnych rzucał na jego twarz różowawą lunę.

- Uznajmy - zaczął po chwili - że mogli przewieźć ją w inne miejsce. Ale uznajmy też,

że wszystkie poszlaki, jakie mamy, wskazują na to, że tak się nie stało. Inaczej Brossarda by tu nie było. Siedziałyby w Marsylii i wymyślał jakiś nowy numer.

- W tej chwili stara się prawdopodobnie wykombinować, dlaczego Lacroix nie przyjechał do Aix po pieniądze. Kiedy Paul się o tym dowie, wkurzy się.

- Nie spędzasz zbyt dużo czasu z przestępcami, co?

- Więcej, niżbyś się spodziewał - powtórzył Gabriel.

- Brossard nie wspomni Paulowi słowem o tym, co wydarzyło się dzisiaj w Aix. Powie, że wszystko poszło zgodnie z planem, i zatrzyma kasę. Przypuszczam, że nie całą kwotę - dodał po chwili Keller. - Będzie musiał dać coś tej kobiecie.

Gabriel powoli pokiwał głową, zupełnie jakby Keller wypowiedział słowa o niezwykle duchowej głębi. Następnie odwrócił się do środka nawy, by przyjrzeć się kobiecie idącej w stronę ołtarza. Miała wysokie czoło i zaczesane do tyłu ciemne włosy. Ubrana była w zebrany paskiem w talii płaszcz przeciwdeszczowy z syntetycznej tkaniny. Odgłos jej kroków, podobnie jak wcześniej brzęk monet, rozbrzmiewał echem w całej nawie. Uklękła przed ołtarzem i się przeżegnała: od czoła do serca, od lewego ramienia do prawego. Potem zajęła miejsce w ławce po przeciwnej stronie nawy i utkwiała wzrok w przestrzeni.

- Jedyne sposoby, by ustalić, czy ją tam trzymają - podjął Gabriel po chwili milczenia - to długotrwała obserwacja domu. Ale to nie ma prawa się udać bez stałego punktu obserwacyjnego.

Keller się skrzywił z dezaprobatą.

- Gadasz jak typowy kanapowy szpieg.

- Co to ma niby znaczyć?

- To, że ty i tobie podobni nie potraficie działać w terenie bez bezpiecznych met i pięciogwiazdkowych hoteli.

- Namioty nie są dla Żydów. Ostatni raz, kiedy mój naród wybrał się na biwak, na czterdzieści lat ugrzązł na pustyni.

- Mojżesz znalazłby Ziemię Obiecaną znacznie szybciej, gdyby miał za przewodników paru chłopaków z regimentu.

Gabriel spojrzał na kobietę w płaszczu: wciąż patrzyła przed siebie. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Jak to zrobimy? - spytał, odwracając się do Kellera.

- Nie „my”. Zrobię to sam, tak jak kiedyś w Irlandii Północnej. Jeden ukryty facet z lornetką, jeden worek na śmieci i inne sprawy. Stara szkoła.

- A jeżeli wypatrzy cię jakiś rolnik?

- Rolnik może nawet nadebrać na ukrytego obserwatora SAS, a i tak go nie zauważy. - Keller spojrział na świecę. - Kiedyś w Londonderry spędziłem dwa tygodnie na strychu, obserwując terrorystę z IRA, który mieszkał po drugiej stronie ulicy. Katolicka rodzina, do której należał dom, nigdy się nie zorientowała, że w nim byłem. Zrobiłem, co miałem do zrobienia, i wyszedłem.

- A co się stało z terrorystą?

- Miał wypadek. Naprawdę szkoda chłopaka, był prawdziwym filarem swojej społeczności.

Gabriel usłyszał kroki. Odwrócił się i zobaczył, że kobieta wychodzi z kościoła.

- Jak długo możesz siedzieć w tej dolinie?

- Jeśli będę miał wystarczająco dużo jedzenia i wody - nawet miesiąc. Ale czterdzieści osiem godzin powinno wystarczyć, żeby ustalić, czy dziewczyna jest w willi.

- To czterdzieści osiem godzin, których nie będziemy mogli odzyskać.

- To dobrze wykorzystany czas.

- Jakiej pomocy ode mnie oczekujesz?

- Miło by było, gdybyś mnie podwiózł. Kiedy już będę na miejscu, możesz o mnie zapomnieć.

- A więc nie będzie ci przeszkadzało, jeśli na kilka godzin pojedę do Paryża?

- A po cholere miałbyś tam jechać?

- Przyszła chyba pora, żeby zamienić słówko z Grahamem Seymourem.

Keller nie odpowiedział.

- Coś cię gryzie, Christopher? - zainteresował się Gabriel.

- Zastanawiam się tylko, dlaczego ja mam leżeć w błocie, a ty pojedziesz sobie do Paryża.

- Wolisz, żebym to ja położył się w błocie, a ty pojedziesz porozmawiać z Grahamem?

- Nie. - Keller poklepał Gabriela po ramieniu. - Jedź. Paryż to miejsce w sam raz dla kanapowych szpiegów.

Obaj od dawna nie spali, wrócili więc w dziesięciominutowych odstępach do hotelu i każdy udał się do swojego pokoju. Sen dopadł Gabriela w ciągu kilku minut. Obudził go jasny i ostry prowansalski świt. Gdy zszedł do restauracji, Keller już tam był: świeżo ogolony i wyglądający na wyspanego. Pozdrowili się skinieniem głowy, jak dwaj obcy sobie goście hotelowi. Zjedli w milczeniu, przy osobnych stolikach. Jakiś czas po śniadaniu wrócili do centrum miasta, tym razem po to, by zrobić szybkie zakupy. Keller zaopatrzył się w gruby

płaszcz, ciemny wełniany sweter, plecak i dwie nieprzemakalne plandeki. Do tego woda, paczkowane jedzenie i plastikowe zamykane torebki - dość, by przeżyć czterdzieści osiem godzin. Mając już wszystko, czego potrzebowali, zjedli razem obfity lunch. Tym razem Keller nie pił wina. W samochodzie przebrał się w nowe ubrania. Gabriel dowiózł go w pobliże niewielkiej doliny, w której stały trzy wille. Anglik bez słowa wysiadł i zniknął w zaroślach. Poruszał się tak szybko i zwinnie jak sarna zaalarmowana odgłosem kroków myśliwego. Słońce zaczynało zachodzić. Gabriel zatelefonował do Londynu, do Grahama Seymoura. Podał nazwę znanego paryskiego zabytku, po czym się rozłączył. Tej nocy Bóg w swej niezmiernie mądrości uznał, że właściwe będzie zesłać na Lubéron burzę. Leżąc na łóżku w pokoju hotelowym, Gabriel wsłuchiwał się w szum wiatru ciskającego o szyby krople deszczu. Pomyślał o Kellerze leżącym w błocie, gdzieś w dolinie z trzema willami. Następnego dnia przy śniadaniu za towarzyszy miał jedynie gazetę i siwego kelnera. Opuścił hotel i pojechał samochodem do Awinionu. Tam wsiadł w TGV to Paryża.

17.

Paryż

- Już myślałem, że nigdy się nie odezwiesz.

- Minęło dopiero pięć dni, Graham.

- Pięć dni ciągnie się jak wieczność, jeśli premier ani na moment nie daje ci spokoju.

Szli Quai de Montebello, mijając stragany bukinistów. Gabriel miał na sobie jeansy i skórzaną kurtkę, Seymour - dwurzędowy płaszcz i robione na zamówienie buty, które wyglądały tak, jakby nigdy nie zetknęły się z podłożem innym niż dywany między gabinetami dyrektora generalnego i Seymoura. Pomimo okoliczności wyglądało na to, że Graham nieźle się bawi. Dawno już nie szedł ulicą bez ochroniarzy. Ani w Paryżu, ani gdziekolwiek indziej.

- Jesteś z nim w bezpośrednim kontakcie? - spytał Gabriel.

- Pytasz o Lancastera?

Gabriel skinął głową.

- Już nie - odpowiedział Seymour. - Poprosił Jeremy'ego Fallona, żeby robił za pośrednika.

- Jak się z nim komunikujesz?

- Osobiście. I bardzo ostrożnie.

- Czy ktoś jeszcze wie, że jesteś w to zaangażowany?

- Zajmuję się tym w wolnym czasie - powiedział znużonym tonem - kiedy akurat nie pilnuję dwudziestu tysięcy dżihadystów, którzy wybrali sobie naszą kochaną wyspę na dom.

- I jak sobie z tym wszystkim radzisz?

- Dyrektor generalny podejrzewa, że sprzedaję naszym nieprzyjaciółom tajemnice państwowe, a moja żona jest przekonana, że mam romans. Poza tym idzie mi zupełnie nieźle.

Seymour zatrzymał się przy jednym ze straganów i zaczął nieco ostentacyjnie przeglądać wystawione na nim książki. Stojący plecami do niego Gabriel zlustrował w tym czasie ulicę, by sprawdzić, czy są śledzeni. Jakaś zbyt wystudiowana poza, jakaś twarz, którą widzieli już zbyt wiele razy? Podmuchy wiatru tworzyły grzebyki piany na rzece. Gabriel odwrócił się i zobaczył, że Seymour trzyma w ręku wyblakły egzemplarz *Hrabiego Monte Christo*.

- I co powiesz? - spytał.

- Klasyczna opowieść o miłości, podstępie i zdradzie - odrzekł Gabriel.

- Pytałem, czy nikt nas nie obserwuje.

- Wygląda na to, że obu nam udało się wśliznąć do Paryża, nie ściągając na siebie uwagi naszych wspólnych przyjaciół z francuskich służb.

Seymour odłożył powieść Dumasa i znów ruszyli przed siebie. Po chwili Anglik sięgnął do kieszeni płaszczka i wyjął z niej kopertę.

- Wczoraj przykleili to od spodu do ławki w Hampstead Heath - wyjaśnił, wręczając ją Gabrielowi. - *Dwa dni i dziewczyna umrze.*

- Nadal nie przedstawili żądań?

- Nie. Ale dostarczyli zdjęcie mające być dowodem, że dziewczyna żyje.

- Skąd wiedziałeś, gdzie szukać przesyłki?

- Użyli syntezy głosu i nagrali się na pocztę Simona Hewitta. Zgarnął przesyłkę w czasie porannego joggingu. Jedyne w życiu. Przez Jeremy'ego Fallona koperta dziś rano trafiła do mnie. Nie muszę ci mówić, że pod dziesiątką wszyscy siedzą teraz jak na szpilkach.

- A będzie jeszcze gorzej.

- Żadnych postępów?

- Właściwie myślę, że ją znalazłem. Pytanie brzmi: co teraz robimy?

Petit Pont przeszli przez Sekwanę i wyszli na plac przed katedrą Notre Dame. Gabriel po cichu relacjonował, co do tej pory udało mu się ustalić. Mówił o mężczyźnie, który nazywał siebie Paulem i który zjadł z Madeline lunch w dniu jej zaginięcia. Opowiedział o tym, jak Paul wynajął marsylskiego przemytnika Marcela Lacroix, żeby przewieźć dziewczynę z Korsyki na kontynent, i o tym, jak ten ostatni wynegocjował później dodatkowe sto tysięcy euro. Pieniądze miał we francuskim mieście Aix przekazać mu niejaki René Brossard. Do spotkania jednak nie doszło i Brossard szybko pojechał do Lubéron, do leżącej na uboczu doliny z trzema willami.

- Myślisz, że trzymają Madeline w jednej z nich?

- René Brossard to znana postać marsylskiego świata przestępczego. Nie ma innego powodu, dla którego mógłby jechać w takie miejsce. No, chyba że przerzucił się na produkcję win.

Seymour pokręcił głową.

- Francuska policja szukała jej przez ponad miesiąc, a tobie udało się ją znaleźć w ciągu pięciu dni.

- Jestem lepszy od francuskiej policji.

- Właśnie dlatego się do ciebie zgłosiłem.

Przed nimi kilku chłopaków ze wschodniej Europy pozowało do zdjęcia z katedrą w tle. Gabriel obstawiał, że to Chorwaci lub Słowacy. Nie był pewny, miał słabe ucho do języków słowiańskich. Delikatnie popchnął Seymoura w lewą stronę. Ruszyli wzdłuż rzędu kawiarni przy rue d'Arcole.

- Mogę ci zadać parę pytań? - spytał Graham.
- Im mniej będziesz wiedział, Graham, tym lepiej.
- Niech coś z tego mam.
- Skoro nalegasz...
- Jak dowiedziałeś się o Paulu?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- Gdzie jest Marcel Lacroix?
- Nie pytaj.
- Kto obserwuje willę?
- Mój współpracownik.
- Ktoś z Biura?
- Niezupełnie.
- No, to faktycznie mnóstwo się od ciebie dowiedziałem.

Gabriel nie odpowiedział.

- Co wiesz o Paulu?
- Mówi płynnie po francusku, ale ma akcent, zmienia wygląd wedle potrzeby. I wygląda na to, że lubi kino.

- Co to znaczy?

Gabriel wyjaśnił, że Lacroix opowiedział im, jak widział Paula na festiwalu w Cannes. Pobicie, taśmę izolacyjną, podtapianie i strzał w głowę w swojej opowieści pominął. Zwłaszcza że strzelał renegat z SAS, którego rząd brytyjski od lat uważa za zmarłego.

- Wygląda więc na to, że Paul jest zawodowcem.
- Bo jest.
- Madeline uważała go za znajomego? Tak sądzisz?
- To oczywiste, że w chwili jej zniknięcia się znali - odparł Gabriel. - Ale czy byli przyjaciółmi, kochankami, czy kimś jeszcze to osobny temat. Myślę, że jedyną naszą szansą, by się tego dowiedzieć, jest spytać samą Madeline.
- Od jakiego czasu obserwujecie dom?
- Od niecałych dwudziestu czterech godzin.
- Jak długo potrwa ustalenie, czy dziewczyna jest w środku?

- Tego się nigdy nie wie, Graham.
- Ile to potrwa? - naciskał Graham.
- Jeszcze dwadzieścia cztery godziny.
- To znaczy, że do ultimatum zostanie nam tylko doba.
- Dlatego właśnie nie masz innego wyjścia, jak przekazać Francuzom to, co ci teraz mówię.

Skręcili w wąską, cichą uliczkę.

- A co mam im powiedzieć, kiedy spytają, skąd mam te informacje?
- Powiedz, że ci sikoreczka wyćwierkała. Wymyśl wiarygodną przykrywkę, o jakimś nowym źródle albo przechwyconym komunikacie. Uwierz mi, Graham, nie będą cię przyciskali, żeby poznać źródło.

- Co będzie, jeżeli uda się ją odbić? - Seymour niemal natychmiast sam odpowiedział na to pytanie: - Z pewnością szybko się dowiedzą, że miała romans z premierem. A ponieważ to Francuzi, to z wielką przyjemnością publicznie dowalą Lancasterowi.

- Niekoniecznie.
- Lancaster nigdy by nie zaryzykował.
- Chciałeś, żebym ją znalazł - przypomniał Gabriel - I wygląda na to, że znalazłem.
- A teraz proszę cię, żebyś ją stamtąd wyciągnął.
- Jeżeli tam wejdę, zginą ludzie.
- Francuzi z góry założą, że to były jakieś mafijne porachunki: jedni zbójce z Marsylii wymordowali kilku innych. To się tam dzieje bez przerwy. - Seymour zrobił pauzę, po czym dodał: - Zwłaszcza jeżeli ty jesteś w okolicy.

Gabriel zignorował przytyk.

- Jeżeli uda mi się ją stamtąd wyciągnąć, co mam z nią potem zrobić?
- Przywieź ją do Wielkiej Brytanii. O resztę my będziemy się martwili.
- Będziesz musiał wymyślić dobrą bajeczkę.
- Ludzie cały czas znikają i się odnajdują.
- A jeśli kiedyś wycieknie nagranie?
- Nie będzie tematu porwania, nie będzie skandalu.
- Dziewczyna potrzebuje paszportu.
- Obawiam się, że w tym ci nie pomogę.
- Dlaczego?
- Bo nie mogę sfabrykować lewego paszportu z jej zdjęciem, nie robiąc zamieszania. A poza tym - dodał Seymour - ty i twoja służba jesteście całkiem niezli w podrabianiu

paszportów.

- Musimy.

Przez chwilę szli w milczeniu. Gabriel wyczerpał arsenał pytań i obiekcji. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to odmówić, a nie był na to gotowy.

- Ona może się nie nadawać do podróży - odezwał się. - Może się okazać, że będzie potrzebowała sporo czasu, żeby móc zrobić cokolwiek.

- Co sugerujesz?

- Jeżeli naprawdę jest w tej willi - zaczął Gabriel - i jeżeli uda nam się ją uwolnić, będziemy musieli zabrać ją do którejś z bezpiecznych met we Francji i doprowadzić do porządku. Ściągnę tam cały zespół: lekarza i kilka fajnych dziewczyn, które sprawia, że poczuje się miło i bezpiecznie.

- A kiedy będzie się już nadawała do podróży?

- Zmienimy jej wygląd, zrobimy zdjęcie i wkleimy je do izraelskiego paszportu. Potem przewieziemy ją przez kanał La Manche. Wtedy dziewczyna będzie już twoim problemem.

Dotarli do końca wąskiej ulicy. Wrócili nią pod katedrę, tym razem od bocznej strony. Seymour poprawił szalik i udawał, że podziwia majestatyczne gotyckie przypory.

- Nie powiedziałaś mi, gdzie ta willa jest.

- Niedługo się dowiesz.

- A Marcel Lacroix?

- Nie żyje.

Seymour odwrócił się i wyciągnął do Gabriela rękę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Idź na Gare du Nord i wsiądź do najbliższego pociągu do Londynu.

- To półtora kilometra stąd.

- Trochę ruchu dobrze ci zrobi. Nie obraż się, Graham, ale wyglądasz fatalnie.

Okazało się, że Seymour nie pamięta, jak się idzie na Gare du Nord. Był człowiekiem MI5, a to oznaczało, że do Paryża przyjeżdżał tylko na konferencje, urlopy lub gdy próbował odszukać zaginioną kochankę premiera. Gabriel na ucho podał mu trasę, po czym szedł za nim aż pod sam dworzec. Tam zniknął w tłumie żebraków, dilerów narkotyków i czarnoskórych taksówkarzy.

Kiedy był już sam, wsiadł do metra i pojechał na stację Place de la Concorde, a stamtąd udał się piechotą na rue Rabelais numer trzy, do ambasady izraelskiej. Po grzecznościowym telefonie do szefa skontaktował się z dyżurnym przy bulwarze Króla Saula. Poprosił o

bezpieczne lokum i zespół pomocy zakładnikom. Po pięciu minutach oddzwoniono do niego z informacją, że trzyosobowa grupa będzie na miejscu za dwadzieścia cztery godziny.

- A mieszkanie?

- Mamy nowe lokum w Normandii, niedaleko terminalu promowego w Cherbourgu.

- Co to za miejsce?

- Cztery sypialnie, salon z aneksem kuchennym, piękny widok na kanał La Manche. Możemy podesłać pokojówkę.

Gabriel rozłączył się i wziął z sejfów szefa krajowej komórki klucze do domu. Zostało mu akurat tyle czasu, by zdążyć na pociąg do Awinionu o siedemnastej. Na miejsce dotarł po zmroku i skierował się do hotelu w Apt. Tej nocy nie padało, za to w wąskich uliczkach Starego Miasta hulał wiatr. Gabriel położył się do łóżka, ale nie spał - taki akt solidarności z Kellerem. Następnego dnia przy śniadaniu wypił więcej kawy niż zazwyczaj.

- *Monsieur*, źle pan spał? - spytał starszy kelner.

- To przez mistral - odpowiedział Gabriel.

- Coś okropnego - zgodził się kelner.

Szyld od frontu głosił L'IMMOBILIERE DU LUBÉRON. Przyjąwszy sceptyczne podejście *Herr* Johannes Klempa, Gabriel przyglądał się przez chwilę fotografiom nieruchomości w witrynie, by dopiero po kilku minutach wejść do środka. Powitała go kobieta w wieku jakichś trzydziestu pięciu lat. Miała na sobie brązową spódnicę i białą bluzkę, która przylegała tak ściśle, jakby była mokra. Zagajenie w tonie gadki szmatki ze strony Klempa nie wydało jej się pociągające. Bo i na nielicznych kobietach robiło jakiegokolwiek wrażenie.

Powiedział jej, że Lubéron go oczarowało i że zamierza przyjechać tu na dłużej. Ale hotel to nie to. Chce wynająć willę, by zaznać prawdziwego Lubéron. I nie byle jaką willę, ale coś większego w okolicy, w którą rzadko zapuszczają się turyści. *Herr* Klemp nie jest turystą, jest podróżnikiem. „To istotna różnica” - powiedział z naciskiem. Nawet jeśli taka różnica istniała, to wydawało się, że kobieta za biurkiem w ogóle jej nie dostrzega.

Było w zachowaniu *Herr* Klempa coś, co sprawiało, że czuła, iż szybko się od niego nie uwolni. Tak się niestety składało, że widziała już wielu takich jak on. I wiedziała, co ją czeka. Będzie chciał obejrzeć absolutnie każdą propozycję, po czym i tak żadna nie spełni jego oczekiwań. Nie miała jednak wyboru. Była to jedyna praca, jaką udało jej się znaleźć w tym miejscu na prowincji, które tak „oczarowało” *Herr* Klempa. Zaproponowała mu więc białą kawę z automatu, wyjęła z szuflady katalogi i rozłożyła je przed nim z takim entuzjazmem, na

jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Na północ od Apt była do wynajęcia śliczna willa, ale Klemp uznał, że jest zbyt pospolita. Była też inna, właśnie wyremontowana, w Ménerbes. Klient uznał jednak ogród za zbyt mały, a wzornictwo mebli za zdecydowanie zbyt nowoczesne. Potem przyszła kolej na posiadłość w gminie Lacoste. Potężny dom miał własny ziemny kort tenisowy i basen. Tym samym urągał jednak Klempowi demokracji, który miał silne poczucie sprawiedliwości społecznej. I tak nieruchomość po nieruchomości, lokalizacja po lokalizacji. Aż w końcu została ostatnia pozycja: posiadłość na południe od Apt, położona w niewielkiej rolniczej dolinie z winnicami i polami lawendy.

- Brzmi doskonale - zareagował z nadzieją w głosie *Herr* Klemp.

- Jest położna na uboczu.

- To dobrze.

Na tym etapie kobieta była tego samego zdania. Gdyby tylko mogła to zrobić, zamknęłaby *Herr* Klempa na największym możliwym odludziu, a klucze wyrzuciła do rzeki. Zamiast tego jednak otworzyła broszurę i opisała szczegółowo pomieszczenia, z których składa się nieruchomość. Z jakiegoś powodu nieznośnego klienta najbardziej interesował hol. I to mimo że niczym szczególnym się nie wyróżniał. Ciężkie, nabijane ćwiekami drewniane drzwi, niewielki dekoracyjny stolik i dwa ciągi kamiennych schodów - jeden prowadzący na piętro, drugi do suterenu.

- Czy na dół da się zejść inaczej niż tymi schodami?

- Nie.

- I nie ma z zewnątrz wejścia do piwnicy?

- Nie - powtórzyła kobieta. - Jeśli będzie pan miał gości korzystających z dolnej sypialni, będą musieli wejść tymi schodami.

- Czy ma pani zdjęcia suterenu?

- Nie ma tam za dużo do oglądania: tylko dodatkowa sypialnia i pralnia.

- To wszystko?

- Jest jeszcze składzik, ale wynajmujący nie mogą z niego korzystać, bo właściciele zamknęli go na kłódkę.

- Czy na działce są jakieś zabudowania poza willą?

- Kiedyś były, ale podczas remontu je rozebrano.

Klemp się uśmiechnął, zamknął broszurę i przesunął ją w stronę kobiety.

- Chyba wreszcie udało nam się znaleźć właściwe miejsce.

- Kiedy chce pan wynająć dom?

- Wiosną przyszłego roku. Ale jeśli to możliwe - dodał pośpiesznie - chciałbym obejrzeć willę już teraz.

- Przykro mi, ale to nie będzie możliwe. Jest zajęta.

- Ach, tak. Do kiedy?

- Najemcy mają zgodnie z grafiką opuścić ją za trzy dni.

- Niestety do tego czasu wyjadę z Prowansji.

- Jaka szkoda - odrzekła kobieta.

Przez resztę popołudnia Gabriel jeździł na skuterze i udawał, że zwiedza malownicze zakątki Lubéron. O zachodzie słońca zatrzymał się w odludnym miejscu u wylotu niewielkiej doliny, w której stały trzy wille. Keller miał się tam stawić punktualnie o osiemnastej, jednak dziesięć po nadal go nie było. Nagle Gabriel wyczuł za sobą czyjąś obecność.

Odwrócił się szybko i zobaczył Anglika, stojącego w ciemności jak posąg.

- Jak długo tu jesteś?

- Od dziesięciu minut - odpowiedział Keller.

Gabriel uruchomił silnik. Odjechali.

18.

Apt, Francja

Keller powiedział recepcjonistce, że uprawiał trekking w górach. Miało to tłumaczyć smugi błota na jego twarzy, brudny plecak i zapach lasu, którym przesiąkło jego ubranie. Gdy znalazł się w pokoju, ogolił się starannie, wymoczył w wannie pełnej gorącej wody i zapalił pierwszego od dwóch dni papierosa. Następnie zszedł do restauracji, gdzie na koszt Marcela Lacroix zjadł obfity posiłek i wypił butelkę najdroższego bordeaux, jakie było w piwniczce. Nasycony udał się pogrążonymi w ciszy ulicami starego miasta do bazyliki. Główna nawa tonęła w półcieniach. W kościele nie było nikogo z wyjątkiem Gabriela siedzącego naprzeciwko stojaka ze świecami wotywnymi.

- Ale czy jesteś pewny? - spytał, gdy Keller zajął miejsce w ławce obok niego.

- Tak - odpowiedział Anglik, pomału kiwając głową. Był pewny.

- Widziałeś ją?

- Nie.

- To skąd wiesz, że tam jest?

- Bo przestępczą akcję łatwo rozpoznać, kiedy się na nią patrzy - odparł Keller pewnym tonem. - Mogą tam mieć laboratorium i produkować metę, mogą robić bomby albo niańczyć porwaną dziewczynę z Anglii. Jakoś stawiam na dziewczynę.

- Ile osób jest w domu?

- Brossard, kobieta i dwóch chłopaków z Marsylii, którzy przez cały dzień siedzą w środku, ale w nocy wychodzą, żeby zapalić i odetchnąć przez chwilę świeżym powietrzem.

- Byli jacyś goście?

Keller pokręcił głową.

- Kobieta raz dziennie opuszczała dom, żeby zrobić zakupy i przy okazji pomachać sąsiadom. Poza tym żadnej aktywności.

- Na jak długo wychodziła?

- Pierwszego dnia na godzinę i dwadzieścia osiem minut, drugiego - na dwie godziny i dwanaście minut.

- Podziwiam twoją precyzję.

- Nie miałem nic ciekawszego do roboty.

Gabriel zapytał, w jaki sposób spędzał dzień Brossard.

- Udaje, że jest na wakacjach - odpowiedział Keller - ale chodzi też po posesji i dogląda

wszystkiego. Parę razy o mało na mnie nie wlaź.

- Jak wyglądają noce?

- Jedna osoba zawsze jest na nogach, ogląda telewizję w salonie albo kręci się po ogrodzie.

- Skąd wiesz, że ktoś oglądał telewizję?

- Rolety nie są szczelne i widać poblask. Swoją drogą, nigdy ich nie podnoszą. Ani na moment.

- Czy w nocy palą się jakieś światła?

- Wewnątrz nie. Za to na zewnątrz dom jest oświetlony jak choinka.

Gabriel ściągnął brwi. Keller stłumił ziewnięcie, po czym spytał, jak było w Paryżu.

- Chłodno.

- Na spotkaniu czy w mieście?

- To i to - odparł Gabriel. - Zwłaszcza kiedy zasugerowałem, żeby pozwolić Francuzom odbić dziewczynę.

- A po jaką cholere miałibyśmy im na to pozwolić?

- Graham zareagował tak samo.

- Coś takiego.

- Wygląda na to, że trzymasz rękę na pulsie, jeśli chodzi o życie na Downing Street - zauważył Gabriel.

Keller puścił tę uwagę mimo uszu. Gabriel obserwował przez chwilę światło świec, po czym opowiedział Kellerowi o przebiegu reszty spotkania z Grahamem Seymourem. Bezpieczne lokum od Biura w Cherbourgu, zespół przysłany z Izraela, dyskretny przejazd do Anglii i fałszywy paszport dla dziewczyny. Był tylko jeden problem: wydostanie Madeline z willi. Cicho i szybko. Żadnej strzelaniny. Żadnych pościgów samochodowych.

- Strzelają się tylko partacze. A pościgi są tylko w filmach - rzucił Keller.

- Jak przejdziemy niezauważeni przez oświetlony teren?

- Nie przejdziemy.

- Wytłumacz.

Keller wytłumaczył.

- A jeśli Brossard albo ktoś inny zejdzie do sutereny?

- Niewykluczone, że poniesie uszczerbek na zdrowiu.

- Trwały - dodał Gabriel. Spojrzał teraz poważnie na Kellera, po czym kontynuował: - Masz świadomość, że kiedy policja znajdzie ciała, rozpyta ludzi w mieście i Francuzi dosyć szybko będą mieli rysopis byłego członka SAS, który rzekomo zginął w Iraku? Dostaną też

nagrania z kamer w hotelu.

- Po to właśnie jest makia.
- Co masz na myśli?
- Przyczaję się na Korsyce i przeczekaam.
- Może minąć bardzo dużo czasu, zanim będziesz mógł wrócić do pracy, Keller.

Naprawdę bardzo dużo.

- Jestem gotów na takie poświęcenie.
- Za królową i ojczyznę?
- Za dziewczynę.

Gabriel przez chwilę przyglądał się w milczeniu Kellerowi.

- Rozumiem, że masz problem z facetami, którzy krzywdzą niewinne dziewczyny.

Keller pokiwał powoli głową.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - spytał Gabriel.

- Może cię to zaskoczy - odpowiedział Keller - ale jakoś nie jestem w nastroju na wspominki. Zwłaszcza z tobą.

Gabriel się uśmiechnął.

- Jest jednak dla ciebie jakaś nadzieja, Keller.
- Niewielka - odparł Anglik.

Gabriel usłyszał kroki, a gdy się odwrócił, zobaczył tę samą kobietę w płaszczu z paskiem co poprzednim razem. Przeszła spokojnym krokiem przez całą nawę i tak jak poprzednio zatrzymała się przed głównym ołtarzem i z namaszczeniem przeżegnała: czoło, serce, lewe ramię, prawe ramię.

- Termin ultimatum upływa jutro - przypomniał Gabriel. - To znaczy, że musimy pojechać tam dziś.

- Im szybciej, tym lepiej.
- Żeby zrobić to porządnie, potrzebujemy więcej ludzi - stwierdził ponuro Gabriel.
- Tak, wiem.
- Mnóstwo rzeczy może pójść nie tak.
- Tak, wiem.
- Dziewczyna może nie być w stanie iść.
- Więc będziemy ją nieśli - odpowiedział Keller. - Nie pierwszy raz będę znosił kogoś z

pola walki.

Gabriel spojrział na wpatrującą się w przestrzeń kobietę w płaszczu, po czym przeniósł wzrok na świecę.

- Jak myślisz - spytał po chwili - kim on jest?
- Kto?
- Paul.
- Nie wiem. - Keller wstał. - Ale jeżeli kiedyś go spotkam, będzie trupem.

Po wyjściu z kościoła Gabriel skierował się do hotelu, gdzie poinformował menedżera, że chce się wymeldować. Nic poważnego, zapewnił, ot, mały kryzys w pracy, który zażegnać może tylko on: niezastąpiony *Herr* Johannes Klemp z Monachium. Szefostwo hotelu wyraziło szczere ubolewanie, w głębi duszy ciesząc się, że gość wyjeżdża. Pokojówki jednogłośnie uznały go za najbardziej irytującego klienta sezonu, a Mafuz, boy i odźwierny, w skrytości ducha życzył mu śmierci.

To właśnie on, stojąc jak posąg na swoim stanowisku przy głównym wejściu, pożegnał Klempa, gdy ten opuszczał hotel i zniknął w mroku nocy. Gabriel przez kilka minut jeździł ulicami, by nabrać pewności, że nikt go nie śledzi, następnie zgasił reflektor i skierował się na wąską szutrową drogę prowadzącą do wylotu doliny z trzema willami. Jedna z nich, ta stojąca po wschodniej stronie, była oświetlona jak na jakąś specjalną okazję. Keller stał w sosnowym zagajniku i uważnie się w nią wpatrywał. Gabriel dołączył do niego.

Po kilku minutach w otaczającym willę ogrodzie pojawiła się ciemna sylwetka i rozbłysło światło latarki. Keller wyciągnął rękę i szepnął: „Pif-paf, nie żyjesz”.

Pozostali w ukryciu, póki postać nie wróciła do domu, następnie wsiedli do renault Kellera i po ciemku omówili ostateczny, szczegółowy plan ataku: pozycje, pole widzenia, linie strzału, kolejność działań po wejściu do willi. Po dwudziestu minutach musieli tylko zdecydować, kto odda strzał, od którego wszystko się zacznie. Gabriel nalegał, by osobą tą był on, jednak Keller się sprzeciwił. Przypomniał Gabrielowi, że to on, nie kto inny, uzyskał najwyższy w historii wynik w „zabijalni” w Hereford.

- To były ćwiczenia - zauważył Gabriel.
- Z ostrą amunicją - kontrargumentował Keller.
- To wciąż tylko ćwiczenia.
- O co ci chodzi?
- Trafiłem kiedyś palestyńskiego terrorystę między oczy, siedząc z tyłu jadącego motocykla.
- I co z tego?
- Ten terrorysta siedział w zatłoczonej kawiarni przy bulwarze Saint-Germain w Paryżu.
- Tak... - mruknął Keller - przypominam sobie: czytałem o tym w którejś z książek do

historii.

Stańło na tym, że rzućą monetą.

- Tylko traf - powiedział Gabriel, wkładając monetę do kieszeni.

- Zawsze trafiam.

Dochodziła dwudziesta druga, za wcześnie na jakiegokolwiek ruchy. Keller przymknął oczy i zasnął, a Gabriel siedział nieruchomo, wpatrując się w światła willi po wschodniej stronie doliny. Wyobraził sobie mały pokój w suterenie: prycza, kajdanki, worek na głowie, wiadro służące za toaletę, na ścianach wygłuszenie, pozwalające wytłumić krzyk, i kobieta, która nie jest już sobą. Na moment znów znalazł się w Rosji; szedł po śniegu w kierunku dachy na skraju brzozowego lasu. Natychmiast odpędził od siebie to wspomnienie i z roztargnieniem dotknął koralowej dłoni na naszyjniku. Kiedy dziewczyna umrze, pomyślał, poznają prawdę.

Cztery godziny później szturchnął Kellera w ramię. Ten natychmiast się obudził, wysiadł z auta i wyjął z bagażnika plecak. Miał w nim dwie rolki taśmy izolacyjnej, potężne obcęgi do cięcia metalu oraz dwa tłumiki: jeden do swojego HK45, drugi do beretty Gabriela. Gdy Gabriel przykręcił tłumik, zarzucił plecak na ramię i następnie ruszył za Kellerem w dół, między sosnami. Nie było księżyca ani gwiazd, powietrza nie poruszał najlżejszy choćby powiew. Przez większość czasu Keller przemieszczał się między krzakami zupełnie bezszelestnie i powoli, jakby znajdował się pod wodą. Co kilka kroków unosił rękę, dając Gabrielowi znak, by się zatrzymał. Poza tym nie komunikowali się. Nie musieli. Każdy ich krok i każdy ruch zostały wcześniej zaplanowane.

U podnóża wzniesienia się rozdzielili. Keller przeszedł na południową stronę willi i zajął pozycję w rowie melioracyjnym. Gabriel zaszedł dom od wschodu i ukrył się wśród wrzośców. Znajdował się piętnaście metrów od linii światła i lamp ogrodowych. Otaczał go mrok. Dokładnie naprzeciwko niego na ogród wychodziła przeszklona ściana salonu. Przez opuszczone rolety widać było poblask ekranu telewizora i - jak mu się wydawało - pojawiający się i znikający cień.

Spojrzał na zegarek: druga trzydzieści siedem. Do wschodu słońca zostały trzy godziny. Jeśli człowiek siedzący w środku ma wyjść do ogrodu, by zacerpnąć powietrza i rzucić okiem na niebo, zrobi to, gdy będzie jeszcze ciemno. A wtedy z rowu po drugiej stronie domu padnie pojedynczy strzał i wszystko się zacznie: prycza, kajdanki, wiadro służące za toaletę i kobieta, która nie jest już sobą.

Znów spojrzał na zegarek. Minęły dopiero dwie minuty, a on już drżał z zimna. Może

Keller miał rację, może rzeczywiście Gabriel był kanapowym szpiegiem? By skrócić sobie oczekiwanie, przeniósł się w myślach daleko od gęstwiny wrzośców, przed sztalugi. Miał przed sobą obraz pozostawiony w Jerozolimie: Zuzannę kąpiącą się w ogrodzie, podglądaną przez dwóch wioskowych starców. I raz jeszcze obsadził w roli Zuzanny Madeline. Tym razem jednak uszkodzenia i skazy, które miał za zadanie naprawić, spowodowane były nie upływem czasu, lecz niewolą.

Pracował wolno, lecz niestrudzenie. Usunął obtarcia na nadgarstkach. Dodał nieco ciała do wychudłych ramion i rzucił cień rumieńca na zapadnięte policzki. Przez cały ten czas jednak nie spuszczał wzroku z willi - tła na jego obrazie. Od ponad dwóch godzin panował zupełny bezruch. Dopiero gdy po wschodniej stronie nieba zaczynały już pełzać pierwsze światła dnia, przeszklone drzwi salonu otworzyły się. Do ogrodu Zuzanny wszedł mężczyzna. Wyciągnął ręce na boki i pokręcił głową w obydwie strony. Na prośbę Madeline Gabriel szybko zakończył renowację. Jeszcze moment. Spojrzał na południe. Zobaczył pojedynczy błysk. Podniósł się z kolan, sięgnął po broń i ruszył biegiem naprzód.

19.

Lubéron, Francja

Nim Gabriel znalazł się w zasięgu światła, zobaczył pędzącego przez ogród Kellera. Anglik dotarł do przeszklonych drzwi jako pierwszy i zajął pozycję na lewo od nich. Gabriel stanął po prawej stronie i na moment skierował wzrok na ziemię, na mężczyznę, który przed kilkunastoma sekundami wyszedł z willi, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Nie trzeba było sprawdzać, czy ma puls, bo wystrzelony przez Kellera nabój trafił go prosto w czaszkę: wszedł czysto, a gdy wylatywał, zrobił paskudną wyrwę. Mężczyzna nie miał szans odgadnąć, co uderzyło go nagle w głowę. Prawdopodobnie umarł, zanim upadł na ziemię. Całkiem przyzwoity sposób odejścia z tego świata, pomyślał Gabriel, zwłaszcza dla przestępcy. Dla żołnierza też. Dla każdego.

Spojrzał na Kellera. Obaj przyjęli identyczną postawę: jedno ramię przyciśnięte do ściany budynku, obie dłonie na rękojeści broni, lufa wycelowana w ziemię. Po kilku sekundach Keller szybko skinął głową. Następnie uniósł HK na wysokość ramienia i wszedł, obracając się, do domu, a Gabriel za nim, osłaniając prawą stronę salonu, podczas gdy Anglik krył lewą. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku poza telewizorem, na którego ekranie James Stewart wyciągał właśnie Kim Novak z zatoki San Francisco. W pokoju czuć było zepsutym jedzeniem, starym tytoniem i rozlanym winem. Wszędzie wały się puste kartony. Miesiąc w Prowansji, pomyślał Gabriel, wakacje w stylu marsylskiego półświatka.

Keller przemieszczał się powoli w migającym świetle telewizora z uniesioną bronią, przemierzał pokój, zakreślając lufą broni ćwiartkę koła. Gabriel podążał pół kroku za nim, w ten sam sposób, ale celując w przeciwnym kierunku. Doszli do łuku, który oddzielał salon od jadalni. Gabriel wszedł, obracając się lekko, do środka, cały czas z uniesioną bronią, zlustrował wnętrze i wrócił do Kellera. Po chwili to samo zrobił w kuchni. Nikogo tam nie było. Wszędzie piętrzyły się brudne talerze i sztuce. Na widok wszechobecnego brudu Gabriel aż się zagotował. Z reguły porywacze żyjący i mieszkający jak świnie nie traktowali dobrze zakładników.

W końcu dotarli do holu. To miejsce jako jedyne przypominało jeszcze w jakikolwiek sposób to, co Gabriel widział na zdjęciach w L'Immobiliere du Lubéron. Rozpoznał masywne drzwi z ćwiekami i niewielki dekoracyjny stolik. Były i kamienne schody, jedne prowadzące na piętro, drugie - do suterenu. Obie klatki schodowe tonęły w mroku.

Keller zajął pozycję pomiędzy klatkami schodowymi, gdy tymczasem Gabriel sięgał do

kieszoni po latarkę Maglite. Nie włączył jej jednak, tylko powoli ruszył po ciemku w dół. Jeden stopień, drugi, trzeci, czwarty... W połowie drogi usłyszał szybkie kroki. Odgłos był przytłumiony. Jeszcze sekunda i rozległ się zduszony, głuchy odgłos: dwa strzały z HK45 z tłumikiem oddane jeden po drugim.

Ktoś zszedł po schodach.

Ktoś wpadł na człowieka, który w Hereford uzyskał najwyższy wynik w historii.

Ten ktoś już nie żył.

Gabriel włączył latarkę i ruszył w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na dole znajdował się przedsionek. Podłogę wyłożono terakotą, a na każdej z trzech ścian znajdowały się drzwi. Składzik należący do właścicieli był po lewej. W rzucanym przez maglite silnym snopie światła kłódka zaślniła - nie ulegało wątpliwości, że jest nowa. Gabriel zdjął plecak, wyciągnął z niego obcęgi, zacisnął je na jarzmie. Wystarczyło lekko nacisnąć i kłódka z brzękiem spadła na posadzkę. Gabriel odsunął skobel i pchnął drzwi. Natychmiast uderzyła go silna woń, ciężka i mdląco słodka. Zapach człowieka w niewoli. Snop światła wędrował po pomieszczeniu. Prycza, kajdanki, worek, wiadro służące za toaletę, ściany wyłożone izolacją, żeby wytłumić krzyk.

Ale Madeline zniknęła.

Na górze znów dały się słyszeć dwa głuche odgłosy wystrzałów z HK.

I jeszcze dwa.

Pierwsze zwłoki leżały w holu, u podstawy schodów prowadzących na piętro. Był to jeden ze strażników. Wcześniej nie wychodził z willi, więc nie znali jego twarzy. Teraz, za sprawą naboju kaliber czterdzieści pięć o wydrążonym czubku, niewiele z niej zostało. Podobnie rzecz się miała z René Brossardem, który leżał obok, wciąż ściskając broń w martwej dłoni. Kobieta leżała na półpiętrze. Keller nie chciał robić jej krzywdy, ale nie miał wyboru. Wycelowała w niego i wyraźnie dała do zrozumienia, że zamierza strzelić. Oszczędził jednak jej twarz - wypalił dwa razy w klatkę piersiową. W efekcie kobieta jako jedyna z całej trójki nadal żyła. Gabriel ukląkł przy niej i wziął ją za rękę; była zimna.

- Czy ja umrę? - spytała.

- Nie - odpowiedział, ściskając delikatnie jej rękę. - Nie umrzesz.

- Pomóż mi.

- Pomogę, ale ty musisz pomóc mnie. Musisz powiedzieć, gdzie jest dziewczyna.

- Tu jej nie ma.

- Gdzie jest?

Kobieta próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

- Gdzie jest? - powtórzył Gabriel.

- Nie wiem. Przysięgam. - Kobieta zadrżała. Przeszawała ostro widzieć. - Błagam - wyszeptwała - musisz mi pomóc.

- Do kiedy tu była?

- Jeszcze dwa dni temu. Nie, trzy.

- Dwa czy trzy?

- Nie pamiętam. Proszę... musisz...

- To było przed czy po tym, jak pojechałaś z Brossardem do Aix?

- Skąd wiesz, że byliśmy w Aix?

- Odpowiedz. - Gabriel znów ścisnął jej dłoń. - Przed czy po?

- Wyjechała tamtego wieczoru.

- Kto ją zabrał?

- Paul.

- Był sam?

- Tak.

- Dokąd ją wywiózł?

- Na bezpieczną metę.

- Tak nazwał to miejsce? „Bezpieczna meta”?

- Tak.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Powiedz mi - naciskał Gabriel.

- Paul nam nie powiedział. Mówił, że chodzi o bezpieczeństwo operacyjne.

- Użył takich słów? „Bezpieczeństwo operacyjne”?

Kobieta skinęła głową.

- Ile jest met?

- Nie wiem.

- Dwie? Trzy?

- Paul nam nie powiedział.

- Jak długo dziewczyna była tutaj?

- Od początku - odpowiedziała kobieta.

I umarła.

Ułożyli cztery ciała na podłodze w składziku i przykryli je czystym białym prześcieradłem. Nie warto było poświęcać czasu na zmywanie krwi wewnątrz domu, ale na zewnątrz Gabriel splukał pospiesznie szlauchem krwawe smugi, by choć trochę zatrzeć ślady tego, co się wydarzyło. Uznał, że mają co najmniej czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie kobieta z L'Immobiliere du Lubéron zjawi się w willi, by odebrać klucze od wyjeżdżających klientów i przypilnować sprzątaczek. Gdy zobaczy ślady krwi, natychmiast zadzwoni po żandarmerię, która z kolei znajdzie cztery ciała w składziku. Składziku, który opróżniono z należącej do właścicieli zawartości i zamieniono w celę dla ofiary porwania. Czterdzieści osiem godzin, może trochę więcej, pomyślał Gabriel, niewiele.

Zaczynało świtać, kiedy wyszli z doliny i dotarli do miejsca, w którym zostawili skuter i stare renault Kellera. Gabriel odwrócił się i po raz ostatni spojrział w dół. W winnicy jakiś człowiek rozpoczął pracę, lecz poza nim w dolinie nie było nikogo. Wrzucili plecaki do bagażnika samochodu Kellera i ruszyli do Buoux. Tam zatrzymali się na brioszki i kawę z mlekiem, w kawiarni pełnej miejscowych o rumianych twarzach. Zapach świeżo upieczonego chleba sprawił, że Gabriel poczuł lekkie mdłości. Zadzwonił do Londynu, do Grahama Seymoura, i używając szyfru, zameldował o niepowodzeniu misji, powiedział, że Madeline przebywała wcześniej w willi, ale przed około siedemdziesięcioma dwoma godzinami została przewieziona w inne miejsce. „Utknęliśmy w martwym punkcie” - powiedział, zanim się rozłączył. Teraz nie pozostaje nic innego jak czekać, aż Paul przedstawi żądania.

- A jeśli uzna, że stawianie żądań łączy się ze zbyt dużym ryzykiem? - spytał Keller. - A jeśli po prostu ją zabije?

- Dlaczego ty zawsze jesteś takim czarnowidzem?

- To ty masz na mnie taki wpływ.

Wyjechali z Lubéron tą samą drogą, na której wcześniej śledzili Brossarda i kobietę. Zjechali z przedgórze, przekroczyli rzekę Drance, minęli zalew Saint-Christophe i znów znaleźli się w Marsylii. Prom na Korsykę odpływał w południe. Kupili bilety, po czym usiedli przy osobnych, ale stojących obok siebie stolikach w kawiarni sąsiadującej z terminalem. Gabriel pił herbatę, Keller piwo. Był w podłym nastroju. Rzadko zdarzało się, by wracał na Korsykę, nie wykonawszy zadania.

- To nie była twoja wina - odezwał się Gabriel.

- Powiedziałem ci, że tam jest - odparł Anglik - a jej tam nie było.

- Wyglądało na to, że jest.

- Po co? - pytającym tonem powiedział Keller. - Po co strażnicy trzymali nocną wartę,

skoro Madeline już tam nie było?

Dokładnie w tym momencie komórka Gabriela zawibrowała. Powoli podniósł ją do ucha. Słuchał przez chwilę, nic nie mówiąc, po czym odłożył telefon na blat stołu.

- Graham? - spytał Keller.

Gabriel skinął głową.

- W nocy ktoś przykleił telefon do ławki w Hyde Parku.

- Gdzie ten telefon teraz jest?

- Na Downing Street.

- Kiedy ten ktoś zadzwonił?

- Za pięć minut.

Keller dopił piwo i od razu zamówił następne. Minęło pięć minut. I kolejnych pięć. Podano komunikat, że pasażerowie płynący na Korsykę mają już wchodzić na pokład. Głos z głośników niemal zagłuszył brzęczenie leżącego na stoliku telefonu. Raz jeszcze Gabriel podniósł go do ucha i przez moment słuchał w milczeniu.

- I co? - spytał Keller, gdy Gabriel wsunął telefon do kieszeni.

- Paul przedstawił żądania.

- Ile chce?

- Dziesięć milionów euro.

- I to wszystko?

- Nie - odparł Gabriel. - Premier chce ze mną mówić.

Wężyk samochodów pomału zagłębiał się we wnętrzościach promu. Keller wstał. Gabriel patrzył, jak odchodzi.

20.

Marsylia-Londyn

Najbliższy samolot na Heathrow odlatywał o siedemnastej. W centrum handlowym niedaleko starego portu Gabriel kupił nowe ubranie, po czym zameldował się w smutnym, sąsiadującym z dworcem hotelu, by wziąć prysznic i się przebrać. Stare ubranie wcisnął do przepelnionego śmietnika na tyłach restauracji, a skuter zostawił w miejscu, które gwarantowało, że zostanie ukradziony jeszcze przed zmierzchem. Potem wsiadł do taksówki i pojechał na lotnisko. Główny terminal był pusty, wyglądał tak, jakby ewakuowano go na wieść o tym, że nadciągają wrogie wojska. Gabriel sprawdził w internecie doniesienia największych francuskich serwisów informacyjnych. Chciał się upewnić, że w zacisznej dolinie w Lubéron nie odnaleziono czterech ciał. Następnie jako *Herr Johannes Klemp* kupił bilet pierwszej klasy do Londynu. Podczas lotu nie chciał skorzystać z żadnych oferowanych usług i pozostał obojętny na próby wciągnięcia w konwersację podejmowane przez siedzącego obok łysego szwajcarskiego bankiera. Wolał gapić się ponuro w okno, choć nie było na co patrzeć: nad północną Europą wisiała gruba warstwa szarych chmur. Dopiero gdy samolot schodził powoli do lądowania, przez mętne ciemności przebijały się sodowe światła zachodniego Londynu. Gabrielowi przypominały one morze świec wotywnych. Zamknął oczy i zobaczył kobietę w płaszczu. Stała pogrążona w półmroku przed ołtarzem w starym kościele, żegnając się tak, jakby nie była oswojona z wykonywanym gestem.

Opuściwszy samolot, Allon stanął w kolejce podróżnych oczekujących na kontrolę paszportów. Brodaty sikh w turbanie na głowie przyjrzał się paszportowi Gabriela z należytych sceptycyzmem, następnie przystawił pieczętkę i energicznym ruchem powitał go w Wielkiej Brytanii. Gabriel wsunął dokument do kieszeni płaszcza i udał się do hali przylotów, gdzie czekał na niego Nigel Whitecombe, agent MI5. Stał w tłumie oczekujących, trzymając kartkę z napisem „Pan Baker”. Whitecombe był pomocnikiem Grahama Seymoura zajmującym się głównie załatwianiem sprawunków, które nie były oficjalne i miały pozostać nienagłośnione. Był już dobrze po trzydziestce, ale wyglądał jak nastolatek, którego ubrano jak dorosłego mężczyznę. Jego różowe, wolne od zarostu policzki i przelotny szeroki uśmiech, którym obdarzył Gabriela przy powitaniu, składały się na wrażenie zupełnej niewinności. Taka aparycja była sporym atutem w pracy dla MI5. Jednak za chłopięcym wyglądem krył się człowiek przebiegły i przewrotny jak terrorysta czy kryminalista.

Z uwagi na poufny charakter wizyty Gabriela Whitecombe przyjechał po niego na

lotnisko swoim własnym samochodem, oplem astrą. Jeździł bardzo szybko i z ogromną wprawą, zupełnie jakby spędzał weekendy, startując w rajdach. Dopiero gdy zbliżali się do West Cromwell Road, wskazówka licznika spadła poniżej stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Całe szczęście, że w pobliżu jest szpital - rzucił Gabriel.

- Dlaczego?

- Bo jeśli nie zwolnisz, to tam trafimy.

Whitecombe zwolnił, ale tylko trochę.

- Moglibyśmy zatrzymać się w Harrodsie na herbatę?

- Kazali mi zawieźć pana prosto na miejsce.

- Żartowałem, Nigel.

- Wiem.

- A wiesz, dlaczego tu jestem?

- Nie - odparł Whitecombe - ale rozumiem, że to coś pilnego. Nie widziałem Grahama w takim stanie od czasu...

Umilkł, nie kończąc zdania.

- Od kiedy?

- Od tamtego dnia, kiedy samobójca z Al-Kaidy wysadził się w Covent Garden.

- Stare dobre czasy - powiedział Gabriel ponuro.

- To była jedna z naszych bardziej udanych operacji, zgodzi się pan chyba?

- Tak, nie licząc zakończenia.

- Miejmy nadzieję, że ta nie skończy się podobnie. O cokolwiek tu chodzi.

- Miejmy nadzieję - zgodził się Gabriel.

Przebiwszy się przez korek przy Hyde Park Corner, Whitecombe minął pałac Buckingham i skierował się na Birdcage Walk. Kiedy mijali Koszary Wellingtona, sięgnął po telefon, wymamrotał do słuchawki coś na temat odbioru paczki, po czym natychmiast się rozłączył. Dwie minuty później, na Old Queen Street, zatrzymał się za zaparkowanym tam jaguarem. Na tylnej kanapie limuzyny siedział Graham Seymour. Wyglądał tak, jakby właśnie zjadł w swoim klubie wyjątkowo niesmaczny obiad.

- Rozumiem, że nie masz pod ręką ubrania, które choć trochę przypominałoby garnitur?

- Miałem - odparł Gabriel - ale British Airways zgubiły mój bagaż.

Seymour ściągnął brwi, po czym odwrócił się do kierowcy i rzucił:

- Jedziemy pod dziesiątkę.

Downing Street numer dziesięć to być może najsłynniejszy adres świata. A jednak jeszcze nie tak dawno miejsca tego strzegło zaledwie dwóch londyńskich policjantów. Jeden z nich stał na zewnątrz, tuż przed niezbyt efektownymi czarnymi drzwiami, a drugi siedział w holu w wygodnym skórzanym fotelu. Wszystko zmieniło się po wydarzeniach z lutego 1991, kiedy to Tymczasowa Irlandzka Armia Republikańska zaatakowała „dziesiątkę”, używając moździerzy. Wejście od strony Whitehall zostało odgradzone barierką, a miejsce dwóch policjantów zajęli uzbrojeni po zęby pracownicy Scotland Yard's Diplomatic Protection Group. Downing Street stało się odtąd, podobnie jak Biały Dom, fortecą, której przyjrzeć się można było tylko z daleka.

Kiedyś na Downing Street dziesięć składały się aż trzy budynki, nie jeden, tak jak dziś. Były to kamienica, niewielki dom letniskowy oraz siedemnastowieczny dwór zwany „domem na tyłach”, który służył za lokum członkom rodziny królewskiej. W roku 1732 król Jerzy II zaproponował sir Robertowi Walpole'owi, pierwszemu de facto premierowi Wielkiej Brytanii, by tam zamieszkał. To właśnie on zdecydował o połączeniu trzech budynków w jedną całość. Efekt końcowy William Pitt opisał jako „rozległy, pokraczny dom”. Nowo powstała budowla miała przy tym tendencję do zapadania się i pękania. Niewielu spośród brytyjskich premierów decydowało się obrać ją za rezydencję. Pod koniec osiemnastego wieku budynek był w tak opłakanym stanie, że zalecano jego wyburzenie, a po drugiej wojnie światowej stał się tak niestabilny, że na wyższych kondygnacjach mogła przebywać tylko określona liczba osób. Obawiano się, że pod zbyt dużym ciężarem strop po prostu się zawali. Wreszcie pod koniec lat pięćdziesiątych rząd zlecił zmusną konserwację i remont budynku. Prace opóźniły jednak strajki pracowników oraz odkrycie na poziomie fundamentów pozostałości z okresu średniowiecza. Projekt zakończono dopiero po trzech latach, a jego koszt trzykrotnie przekroczył początkowy budżet. Przez okres trwania prac rekonstrukcyjnych ówczesny premier, Harold Macmillan, mieszkał w Domu Admiralicji.

Większość odwiedzających Downing Street wchodzi do budynku przez stanowisko ochrony od strony Whitehall, by następnie przejść przez słynne czarne drzwi. Tego wieczoru jednak Graham Seymour i Gabriel wśliznęli się na teren rezydencji premiera przez furtkę od strony Horse Guards Road, a do samego budynku weszli drzwiami balkonowymi wychodzącymi na otoczony murem ogród. W holu czekała na nich sekretarka z prywatnego biura Lancastera, zadbana kobieta o aparycji cnotki, która zasłaniała się jak tarczą skórzaną teczką na dokumenty. Ukłoniła się lekko Seymourowi, unikając jednocześnie kontaktu wzrokowego z Gabrielem. Następnie odwróciła się na pięcie i poprowadziła mężczyzn szerokim eleganckim korytarzem, doprowadzając ich do zamkniętych drzwi. Zastukała

delikatnie. „Proszę” - powiedział drugi najbardziej znany głos Wielkiej Brytanii. Kobieta o aparycji cnotki wpuściła ich do gabinetu.

21.

Downing Street 10

Po latach pracy w służbach Gabriel stracił już rachubę, ile razy był w gabinetach, w których zbierał się sztab kryzysowy Charakter spotkania i sceneria zdawały się tu przy tym nie mieć znaczenia. Za każdym razem wyglądało to dokładnie tak samo: jeden mężczyzna krążył po dywanie, drugi tępo gapił się w okno, a trzeci za wszelką cenę starał się wyglądać na spokojnego i panującego nad sytuacją, nawet jeśli nie do końca było nad czym panować. W tym akurat przypadku za scenerię służył Biały Gabinet przy Downing Street 10. Mężczyzną krążącym po pokoju był Simon Hewitt, gapiącym się przez okno Jeremy Fallon, a tym, który za wszelką cenę starał się wyglądać na spokojnego - premier Jonathan Lancaster. Ten ostatni siedział na jednej z dwóch stojących przed kominkiem sof. Naprzeciwko premiera, na niskim prostokątnym stoliku leżał telefon - ten, który poprzedniego wieczoru znaleziono w Hyde Parku. Lancaster wpatrywał się w aparat tak, jakby nie Madeline Hart, ale to urządzenie było źródłem całego nieszczęścia.

Na widok wchodzących Seymoura i Gabriela wstał i podszedł do nich tak ostrożnie, jakby poruszał się po pokładzie jachtu na wzburzonym morzu. Na żywo wyglądał lepiej niż w telewizji: był wyższy niż Gabriel sądził, a także - mimo presji i stresu - przystojniejszy.

- Jonathan Lancaster - przedstawił się, co było trochę absurdalne, i ścisnął dużą dłońią rękę Gabriela. - Najwyższa pora, żebyśmy się poznali. Żałuję tylko, że okoliczności nie są przyjemniejsze.

- Ja również, panie premierze.

Gabriel chciał, by w jego głosie zabrzmiała empatia, ale spojrzenie Lancastera zdradziło, że odebrał to jak naganę. Szybko puścił rękę Gabriela i wskazał dwóch pozostałych mężczyzn znajdujących się w pokoju.

- Zakładam, że wie pan, kim są ci panowie - powiedział spokojnie. - Ten, który właśnie wydeptuje dziurę w dywanie, to Simon, mój rzecznik prasowy. A ten obok niego to Jeremy Fallon. Jeśli wierzyć prasie, jest moim mózgiem.

Simon Hewitt zatrzymał się tylko po to, by lekko ukłonić się Gabrielowi. Był bez marynarki, rękawy koszuli podwinął do łokci i wyglądał jak reporter, który lada chwila powinien oddać tekst, a nie ma materiału, by napisać choć dwa zdania. Wpatrzony w okno i siedzący nieruchomo Fallon był zapięty pod szyję. Pisano o nim kiedyś, że widział się w roli premiera, póki nie spojrział w lustro. Cóż, cofnięty podbródek, rzadkie włosy i ziemista cera z

pewnością nie predysponowały go do zajmowania eksponowanych stanowisk.

Oprócz mężczyzn w pokoju był jeszcze telefon. Gabriel bez słowa podszedł do stolika, wziął aparat do ręki i sprawdził listę połączeń. Wynikało z niej, że dzwoniło tylko jeden raz, kiedy Gabriel i Keller byli w terminalu promowym w Marsylii.

- Kto odebrał? - spytał Gabriel.
- Ja - odpowiedział Fallon.
- Jak brzmiał jego głos?
- Nie był prawdziwy.
- Wygenerowany komputerowo?

Fallon skinął głową.

- Kiedy ma zadzwonić?
- O północy.

Gabriel wyłączył telefon, a następnie wyjął z niego baterię i kartę SIM i położył je na stoliku.

- I co się wtedy stanie?

Tym razem odpowiedział Lancaster:

- Chce odpowiedzi: „tak” albo „nie”. „Tak” będzie oznaczało, że zgadzam się wypłacić mu dziesięć milionów euro w gotówce. W zamian on uwolni Madeline i obieca, że nagranie nigdy nie zostanie upublicznione. Jeżeli powiem „nie”, Madeline umrze i wszystko zostanie ujawnione. Oczywiście nie mam wyboru - głośno wypuścił powietrze - muszę się zgodzić i spełnić jego żądania.

- Popelnili pan największy błąd w życiu, panie premierze.
- Drugi co do wielkości.

Lancaster opadł na sofę i ukrył w dłoniach twarz znaną wszystkim Brytyjczykom. Gabriel pomyślał o ludziach na ulicach Londynu. Jak co dzień zajmowali się swoimi sprawami zupełnie nieświadomi, że ich premier jest niemal sparaliżowany ze strachu przed skandalem.

- A jaki mam wybór? - spytał po chwili Lancaster.
- Może pan iść na policję.
- Za późno.
- W takim razie trzeba negocjować.
- Powiedział, że nie będzie negocjował. Jeśli nie zgodzę się zapłacić dziesięciu milionów, zabije ją.
- Zawsze tak mówią. Proszę mi wierzyć, panie premierze, jeśli się pan zgodzi, będzie

wściekły.

- Na mnie?

- Na siebie. Uzna, że zawałił sprawę, bo zażądał za mało pieniędzy. Wróci po więcej. Potem po jeszcze więcej. Wyciągnie od pana milion po milionie, aż nie zostanie zupełnie nic.

- Co więc pan radzi?

- Poczekamy, aż zadzwoni. Kiedy to zrobi, powiemy mu, że dajemy milion. Może go dostać natychmiast albo zapomnieć o umowie. Potem natychmiast się rozłączymy i będziemy czekali, aż oddzwoni.

- A jeśli nie oddzwoni? A jeśli ją zabije?

- Nie zabije.

- Skąd ta pewność?

- Bo zainwestował w jej porwanie zbyt dużo czasu, wysiłku i pieniędzy. Dla niego to po prostu biznes. Tylko tyle i aż tyle. Musi pan zachowywać się tak jak on. Proszę podejść do tego jak do każdych innych negocjacji. Tu nie ma drogi na skróty. Musi go pan zmęczyć i musi pan być cierpliwy. To jedyny sposób, by ją odzyskać.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Jeremy Fallon opuścił posterunek przy oknie i teraz kontemplował obraz, panoramę Londynu pędzla Turnera. Przyglądał mu się tak, jakby dopiero przed chwilą zorientował się, że obraz wisi w gabinecie. Graham Seymour natomiast wyglądał, jakby zafascynował go dywan.

- Jestem panu wdzięczny za radę - odezwał się po chwili Lancaster - ale zdecydowaliśmy... - Przerwał, by podjąć z emfazą wypowiedź: - Zdecydowałem, że zgodzę się na podyktowane warunki. Madeline została porwana, bo zachowałem się nierozsądnie. I to ja muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby bezpiecznie wróciła do domu. Tak nakazuje mi honor, i to zarówno ze względu na nią, jak i na urząd, który sprawuję.

Ostatnie zdanie Lancastera brzmiało tak, jakby napisał je Fallon. A błysk zadowolenia, który przemknął po jego twarzy, świadczył o tym, że tak właśnie było.

- Może to i honorowe - powiedział Gabriel - ale i niemądre.

- Nie zgadzam się - odparł Lancaster. - A Jeremy jest tego samego zdania co ja.

- Z całym szacunkiem - zaczął Gabriel, zwracając się do Fallona - ale kiedy ostatnio wynegocjował pan uwolnienie zakładnika?

- Zgodzi się pan chyba - odparł Fallon - że to nie jest zwykły przypadek porwania. Tu próbuje się dokonać wymuszenia na premierze Wielkiej Brytanii. Pod żadnym pozorem nie mogę zgodzić się na to, by został pozbawiony możliwości działania przez przeciągające się negocjacje.

Fallon mówił cicho i spokojnie, jak ktoś, kto przywykł do szeptania wytycznych do ucha jednego z najpotężniejszych ludzi świata. Był to zresztą jeden z ulubionych obrazków brytyjskich mediów - powód, dla którego karykaturzyści niezliczoną ilość razy przedstawiali Fallona jako lalkarza, a Lancastera jako marionetkę tańczącą na trzymanyh przez niego sznurkach.

- Skąd zamierzacie wziąć pieniądze? - spytał Gabriel.

- Przyjaciele premiera zgodzili się mu je pożyczyć do czasu, aż będzie mógł ich spłacić.

- Miło mieć takich przyjaciół. - Gabriel wstał. - No cóż, widzę, że opanowali panowie sytuację. Potrzebny jest tylko ktoś, kto dostarczy pieniądze. Radzę dopilnować, żeby był dobry, bo inaczej za kilka dni znów będą panowie siedzieli w tym pokoju i czekali na telefon.

- Ma pan jakichś kandydatów? - spytał Lancaster.

- Tylko jednego, ale obawiam się, że nie będzie mógł panom pomóc.

- Dlaczego?

- Musi zdążyć na samolot.

- O której jest najbliższy lot do Tel Awiwu?

- O ósmej rano.

- Więc nie będzie dla pana problemem zostać z nami nieco dłużej?

Gabriel się zawahał.

- Nie, panie premierze. Sądzę, że nie.

Było kilka minut po dziesiątej. Gabriel nie miał najmniejszej ochoty spędzić dwóch godzin w towarzystwie polityka, którego kariera wisi na włosku, zszedł więc na dół, by sprawdzić, co dobrego uda mu się znaleźć w jego lodówce. Szefowa kuchni pracująca na nocną zmianę, pulchna pięćdziesięcioletnia kobieta o twarzy cherubina, przygotowała mu talerz kanapek i dzbanek herbaty. Patrzyła z troską na Gabriela, kiedy jadł, zupełnie jakby martwiła się, że jest niedożywiony. Wiedziała, że lepiej nie pytać, w jakim charakterze gości przy Downing Street. Rzadko pojawiał tu się w nocy ktoś ubrany w odzież z przeceny kupioną w Marsylii.

O dwudziestej trzeciej zszedł na dół Graham Seymour. Jego cera miała szarawy odcień, wyglądał na bardzo zmęczonego. Gdy szefowa kuchni zaproponowała mu, by coś zjadł, odmówił, po czym dojadł po Gabrielu kanapkę z jajkiem i szczypiorkiem. Po chwili dwaj mężczyźni wyszli do ogrodzonego murem ogrodu. Panującą ciszę od czasu do czasu przerywało trzeszczenie policyjnych krótkofalówek lub warkot przejeżdżającego samochodu, dobiegający z Horse Guards Road. Seymour wyjął z kieszeni płaszcz paczkę papierosów i

zapalił z markotną miną.

- Nie wiedziałem, że palisz - odezwał się Gabriel.

- Helen lata temu wymogła na mnie, żebym rzucił. Ja próbowałem ją urobić, żeby rzuciła gotowanie, ale za bardzo się stawiała.

- Wygląda na to, że jest dobrą negocjatorką. Może to ona powinna gadać z Paulem?

- Nie miałby z nią szans. - Seymour wypuścił dym w nocne powietrze i obserwował, jak się unosi. - Niewykluczone, że się mylisz. Może jednak wszystko pójdzie gładko i jeszcze dziś w nocy Madeline będzie w domu.

- Jest też niewykluczone, że niedługo Wielka Brytania odzyska władzę nad koloniami w Ameryce - odparł cierpko Gabriel. - Niewykluczone. Ale niezbyt prawdopodobne.

- Dziesięć milionów euro to dużo pieniędzy.

- Zapłacenie okupu jest w tym wszystkim najprostsze - odparł Gabriel. - Ale odzyskanie żywego zakładnika to zupełnie inna sprawa. Ten, kto będzie dostarczał pieniądze, musi być zawodowcem z doświadczeniem. Musi być przygotowany na to, że nie dokona wymiany, jeśli będzie podejrzewał, że porywacze próbują go oszukać. - Gabriel umilkł, by po chwili dodać: - To nie jest robota dla tchórza.

- Jest szansa, żebyś chociaż rozważył podjęcie się tego?

- W takich okolicznościach nie.

- Musiałem zapytać.

- Kto ci kazał?

- A jak sądzisz?

- Lancaster?

- Nie, Jeremy Fallon. Wywarłeś na nim duże wrażenie.

- Nie na tyle duże, żeby mnie posłuchał.

- Facet jest zdesperowany.

- I właśnie dlatego nie powinien się nawet zbliżać do telefonu.

Seymour rzucił niedopałek na mokrą trawę i przydeptał. Następnie zaprowadził Gabriela do Białego Gabinetu. Nic się tam nie zmieniło: jeden mężczyzna krążył po pokoju, drugi tępo gapił się w okno, trzeci starał się za wszelką cenę wyglądać na spokojnego i panującego nad sytuacją, mimo że nie było nad czym panować. Telefon w dalszym ciągu leżał na stoliku. Gabriel włożył do niego baterię i kartę SIM i włączył, po czym usiadł na kanapie naprzeciwko Jonathana Lancastera i czekał, aż zadzwoni.

Zadzwonił punktualnie o północy. Fallon ustawił wcześniej głośność dzwonka na

najwyższą i włączył wibracje, więc telefon prawie skakał po blacie. Natychmiast sięgnął po aparat, ale Gabriel przytrzymał jego dłoń na kilka zdających się trwać wieczność sekund. Wreszcie puścił ją, pozwalając Fallonowi zbliżyć aparat do ucha. Ten ostatni wbił wzrok w Lancastera i powiedział tylko: „Zgadzą się na twoje warunki”. Gabriel był pod wrażeniem tego, jak dobrał słowa. Rozmowę z pewnością nagrywała GCHQ, brytyjska komórka podsłuchowa. Było jasne, że na wieczność trafi do ich bazy danych.

Przez następnych czterdzieści pięć sekund Fallon nic nie mówił. Przez cały czas wpatrując się w Lancastera, sięgnął do kieszeni marynarki po długopis i nagryzmolił w notesie kilka nieczytelnych linijek. Gabriel słyszał dobiegający ze słuchawki głos z syntezy: cienki, pozbawiony życia i niepoprawnie akcentujący wyrazy.

- Nie - powiedział wreszcie Fallon, mówiąc podobnie jak maszyna po drugiej stronie - to nie będzie konieczne. - Po chwili, w odpowiedzi na kolejne pytanie, odparł: - Tak, oczywiście. Ma pan nasze słowo. - Na moment zapadła cisza. Fallon raz po raz przenosił spojrzenie z Lancastera na Gabriela. - To może się okazać niemożliwe - rzekł wreszcie ostrożnie. - Będę musiał spytać.

Rozmówca się rozłączył. Fallon wyłączył telefon.

- I co?

- Mamy dostarczyć pieniądze w dwóch czarnych torbach na kółkach. Żadnego sprzętu do namierzania, żadnego barwienia, żadnej policji. Zadzwoń jutro w południe i powie nam, co mamy robić dalej.

- Nie zażądałeś dowodu, że dziewczyna żyje - zauważył Gabriel.

- Nie dał mi szansy.

- Są jakieś dodatkowe żądania?

- Jedno - odparł Fallon. - Chce, żeby to pan dostarczył pieniądze. Powiedział: „Nie będzie Gabriela, nie będzie dziewczyny”.

22.

Londyn

Gdy Gabriel wreszcie opuścił Downing Street, było parę minut po pierwszej. Graham Seymour zaproponował, że go podwiezie, ale Gabriel wołał się przejść. Nie był w Londynie od wielu miesięcy i uznał, że wilgotne nocne powietrze dobrze mu zrobi. Wymknął się dyskretnie furtką przy Horse Guards Road i przez pusty park ruszył na zachód, do Knightsbridge, następnie Brompton Road dotarł do południowego Kensington. W odpowiedniej szufladce jego niezwyklej pamięci zapisany był adres, pod który chciał dotrzeć: Victoria Road 59. Ostatni znany adres zamieszkania dezertera z SAS i zawodowego zabójcy Christophera Kellera.

Za bramą z kutego żelaza stał niewielki budynek o ciężkiej bryle, z eleganckimi schodami prowadzącymi do pomalowanych na biało drzwi. Podjazd otaczały rabatki pełne kwitnących kwiatów. W oknie salonu paliło się pojedyncze światło. Zasłony były lekko rozsunięte. Przez szeroką na kilkanaście centymetrów szparę Gabriel dostrzegł mężczyznę. Doktor Robert Keller siedział wyprostowany w dużym fotelu. Może czytał, a może drzemał - trudno było stwierdzić. Był nieco młodszy od Szamrona, ale widać było, że długo nie pożyje. Od dwudziestu pięciu lat cierpiał, bo sądził, że jego jedyny syn nie żyje. Gabriel aż za dobrze rozumiał jego ból. Keller postąpił wobec swoich rodziców okrutnie, ale to nie do Gabriela należało wyprowadzenie ich z błędu. Stał więc tylko na pustej ulicy, licząc na to, że starszy mężczyzna wyczuje w jakiś sposób jego obecność. W myślach opowiedział mu, że jego syn to człowiek nie bez wad, który za pieniądze wyrządził wiele zła. Opowiedział mu też jednak, że jest przyzwoity, kieruje się honorem i jest odważny, a przede wszystkim - wciąż jak najbardziej żywy.

Po kilku minutach światło zgasło. Ojciec Kellera zniknął. Gabriel odwrócił się i ruszył w stronę Kensington Road. Gdy zbliżał się do Queen's Gate, z jego prawej strony przemknął motocykl. Widział go już kilka minut wcześniej, gdy przekraczał Sloane Street, i jeszcze wcześniej - kiedy opuszczał siedzibę premiera. Z początku zakładał, że postać na motorze to czujka MI5. Teraz jednak zdążył przyjrzeć się jej na tyle, by dostrzec miękką linię pleców i szerokie biodra. Wiedział już, że dotąd się mylił.

Szedł skrajem Hyde Parku i obserwował tylne światło motocykla, mając pewność, że wkrótce znów go zobaczy. Nie musiał długo czekać: nie upłynęły nawet dwie minuty, a motocykl się pojawił, tym razem pędząc wprost na Gabriela. Tym razem jednak nie minął go,

a zawrócił płynnie na wysepce i się zatrzymał. Gabriel przerzucił nogę przez siodełko i objął rękami smukłą talię. Maszyna wystrzeliła do przodu, a on poczuł dobrze mu znany zapach wanilii. Delikatnie ułożył dłonie tuż poniżej ciepłych, krągłych piersi. Zamknął oczy. Po raz pierwszy od siedmiu dni poczuł spokój.

Mieszkanie znajdowało się w brzydkim powojennym budynku przy Bayswater Road. Kiedyś było własnością Biura, ale obecnie wszyscy przy bulwarze Króla Saula (wszyscy w MI5 też) uznawali je za londyńskie gniazdko Allona. Gabriel wszedł do środka i powiesił klucz na haczyku w kuchni. Otworzył lodówkę. W środku znalazł karton świeżego mleka, pudełko jajek, kostkę parmezanu, grzyby, zioła i butelkę swojego ulubionego pinot grigio.

- Kiedy przyjechałam, w lodówce było pusto - powiedziała Chiara. - Więc zrobiłam szybkie zakupy na targu za rogiem. Miałam nadzieję, że zjemy razem kolację.

- Kiedy tu przyjechałaś?

- Jakąś godzinę po tobie.

- Jak ci się to udało?

- Byłam w okolicy.

Gabriel spojrzał na nią poważnie.

- Jak to „w okolicy”?

- We Francji - odpowiedziała bez zawahania. - Gospodarstwo niedaleko Cherbourga.

Dom: cztery sypialnie, salon z aneksem kuchennym, piękny widok na kanał La Manche.

- Wkręciłaś się do drużyny?

- To nie tak.

- A jak?

- Ari zrobił to za mnie.

- Czyj to był pomysł?

- Jego.

- Ach tak, naprawdę?

- Uznał, że doskonale się do tego nadam. Nie mogłam się nie zgodzić. Inna sprawa, że kto jak kto, ale ja akurat doskonale wiem, jak to jest być więzioną i przetrzymywaną dla okupu.

- Właśnie dlatego nie pozwoliłbym ci się zbliżyć do tej dziewczyny.

- To było dawno temu, skarbie.

- Nie aż tak dawno.

- A ja mam wrażenie, jakby to było w zupełnie innym życiu. Czasem czuję się tak,

jakby to się nigdy nie wydarzyło.

Zamknęła lodówkę i delikatnie pocałowała Gabriela. Na skórzanej kurtce wciąż czuć było chłód londyńskiej nocy, ale jej usta były ciepłe.

- Cały dzień czekaliśmy, aż przyjedziesz - powiedziała, całując go jeszcze raz. - W końcu dostaliśmy z biura operacji wiadomość, że wsiadłeś do samolotu British Airways lecącego z Marsylii do Londynu.

- Zabawne, ale nie przypominam sobie, żebym informował ich o moich planach.

- Śledzą twoje karty kredytowe, kochanie. Przecież wiesz o tym. Na Heathrow czekali ludzie z lokalnego oddziału. Widzieli, jak odjeżdżasz z Nigelem Whitecombe'em, a potem, jak wchodzisz tylnym wejściem na Downing Street.

- Byłem trochę rozczarowany, że nie weszliśmy od frontu, ale okoliczności są takie, że może to był lepszy wybór.

- Co stało się we Francji?

- Sprawy nie ułożyły się według planu.

- I co teraz?

- Brytyjski premier bardzo niedługo uczyni kogoś bogaczem.

- Ile ten ktoś dostanie?

- Dziesięć milionów euro.

- Więc jednak opłaca się być bandytą.

- W większości przypadków tak. Dlatego tylu ich jest.

Chiara odsunęła się od Gabriela i zdjęła kurtkę. Pod spodem miała obcisły czarny sweter z golfem. Włosy spięła tak, by zmieściły się pod kaskiem. Teraz, cały czas uważnie przyglądając się Gabrielowi, wypięła kilka spinek i wsuwek i pozwoliła włosom opaść kasztanową falą na szerokie ramiona.

- A więc już po wszystkim? - spytała. - Możemy wracać do domu?

- Niezupełnie.

- Co to znaczy?

- Ktoś musi dostarczyć okup. - Gabriel zamilkł na chwilę, po czym dodał: - I ktoś musi ją stamtąd wyciągnąć.

Chiara zmrużyła oczy - pociemniały, co nie było dobrym znakiem.

- Jestem pewna, że premier może znaleźć do tego zadania kogoś innego niż ty.

- Ja też jestem tego pewny, ale niestety chyba nie ma w tej kwestii wyboru.

- Dlaczego?

- Dlatego że porywacze przedstawili dziś dodatkowe żądanie.

- Chcą ciebie?

Gabriel pokiwał głową. - „Nie będzie Gabriela, nie będzie dziewczyny”.

Mimo że było bardzo późno, Chiara miała ochotę coś ugotować. Gabriel usiadł z kieliszkiem wina przy wąskim kuchennym stole i opowiedział jej o rozpoczętej w Jerozolimie podróży. W każdym innym małżeństwie żona z pewnością odniosłaby się do takiej opowieści z rezerwą i niedowierzaniem. Chiara jednak bardziej pochłonięta była przygotowaniem warzyw i ziół. Tylko raz podniosła wzrok znad blatu kuchennego - gdy Gabriel opisywał pustą celę w willi w Lubéron i kobietę, która umarła na jego rękach. Kiedy skończył opowieść, wysypała na dłoń nieco soli i część wrzuciła do zlewu, a resztę do garnka z wrzącą wodą.

- A po tym wszystkim postanowiłeś przejść się w środku nocy do Kensington?

- Chodziło mi po głowie zrobienie czegoś bardzo głupiego.

- Głupszego niż zgodzenie się na to, żeby dostarczyć dziesięć milionów euro porywaczom kochanki premiera?

Gabriel nie odpowiedział.

- Kto mieszka przy Victoria Road pięćdziesiąt dziewięć?

- Doktor Keller i jego żona.

Chiara już miała zapytać, po co Gabriel chciał się z nimi widzieć, ale niemal natychmiast odpowiedziała sobie na to pytanie sama.

- I co mądrego byś im powiedział?

- W tym właśnie problem.

Chiara ułożyła na desce kilka grzybów i bardzo starannie je pokroiła.

- To chyba dla nich lepsze myśleć, że on nie żyje - powiedziała zamyślona.

- A gdyby to był twój syn? Nie wolałabyś znać prawdy?

- Jeśli pytasz o to, czy chciałabym się dowiedzieć, że mój syn zabija ludzi za pieniądze, to odpowiedź brzmi: „nie”.

Zapadła cisza.

- Przepraszam - odezwała się Chiara po chwili milczenia. - Nie tak to miało zabrzmieć.

- Wiem.

Wrzuciła grzyby na patelnię i doprawiła je solą i pieprzem.

- A czy ona wiedziała?

- Kto? Moja matka?

Chiara skinęła głową.

- Nie, nigdy się nie dowiedziała.

- Ale chyba musiała coś podejrzewać. Zniknąłeś przecież na trzy lata.

- Wiedziała, że wypełniam tajną misję, która ma coś wspólnego z Monachium, ale nigdy nie powiedziałem jej, że sam zabijałem.

- Musiała być ciekawa.

- Nie była.

- Dlaczego?

- Monachium to była trauma dla całego kraju - odparł Gabriel. - Szczególnie dotkliwa dla takich ludzi jak moja matka, niemieckich Żydów, którzy przeżyli obozy. Matka nie była wtedy w stanie czytać gazet czy patrzeć na transmisje z pogrzebów. Zamknęła się w pracowni i przez cały czas malowała.

- A kiedy wróciłeś po „Gniewie Bożym”?

- Widziała w moich oczach śmierć. - Urwał, by po chwili dodać: - Znała to spojrzenie.

- Ale nigdy o tym nie rozmawialiście?

- Nigdy - odparł Gabriel, kręcąc powoli głową. - Ona nigdy nie opowiadała mi o tym, co się z nią działo w czasie Holokaustu, a ja nigdy nie powiedziałem jej, co zrobiłem w Europie przez te trzy lata.

- Myślisz, że by to pochwalą?

- Nie miało dla mnie znaczenia, co o tym pomyśli.

- Oczywiście, że miało. Nie rób z siebie takiego fatalisty. Gdybyś naprawdę nim był, nie poszedłbyś w środku nocy pod dom Kellerów przyglądać się przez okno staremu ojcu.

Gabriel nie odpowiedział. Chiara wrzuciła do gotującej się wody kilka garści *fettuccine* i zamieszała drewnianą łyżką.

- Jaki on jest?

- Keller?

Skinęła głową.

- Naturalny talent. Cholernie skuteczny, absolutnie bezwzględny i całkowicie pozbawiony sumienia.

- Wygląda na idealnego kandydata mogącego dostarczyć porywaczom dziesięć milionów okupu.

- Rząd Jej Królewskiej Mości trwa w przekonaniu, że ten człowiek nie żyje. Poza tym porywacze powiedzieli wprost, że chcą, żebym to ja dostarczył pieniądze.

- I właśnie dlatego nie powinieneś tego robić.

Gabriel milczał.

- Skąd oni w ogóle wiedzą, że jesteś zaangażowany w tę sprawę?
- Musieli mnie wypatrzeć w Marsylii albo w Aix.
- Dlaczego chcą, żeby pieniądze dostarczył zawodowiec taki jak ty, a nie jakieś popychadło z Downing Street? Kimś takim łatwiej byłoby manipulować.
- Myślę, że rozważają zabicie mnie. Ale to będzie dość trudne.
- Dlaczego?
- Bo będę miał przy sobie dziesięć milionów, które bardzo chcą dostać. A to oznacza, że to my będziemy rozdawali karty.
- My?
- Nie myślałaś chyba, że pojedę tam sam? Ktoś będzie mnie ubezpieczał.
- Kto?
- Naturalny talent. Ktoś cholernie skuteczny, absolutnie bezwzględny i całkowicie pozbawiony sumienia.
- Myślałam, że jest na Korsyce.
- Bo jest. Ale czeka go telefoniczna pobudka.
- A co ze mną?
- Wróć do domu w Cherbourgu. Po zapłaceniu okupu przywiozę tam Madeline. Kiedy będzie nadawała się do podróży, zabierzemy ją do Wielkiej Brytanii, a potem wrócimy do domu.

Chiara milczała przez chwilę.

- Kiedy o tym mówisz, to wydaje się takie proste - powiedziała w końcu.
- Jeśli zagrają według moich reguł, to będzie.

Postawiła na środku stołu dymiącą misę wypełnioną *fettuccine* z grzybami i usiadła naprzeciwko Gabriela.

- Nie masz więcej pytań?
- Tylko jedno - odrzekła. - Co zobaczyła tamta stara Korsykanka, kiedy kropla oliwy skapnęła na wodę?

Kiedy skończyli jeść, była prawie czwarta nad ranem, co oznaczało, że na Korsyce dochodzi piąta. Jednak gdy Keller odebrał telefon, mimo wczesnej pory sprawiał wrażenie rozbudzonego i czujnego. Korzystając z szyfru i haseł, Gabriel wytłumaczył, co wydarzyło się na Downing Street i co wydarzy się w ciągu dnia.

- Zdążysz na pierwszy lot na Orly? - spytał na koniec.
- Oczywiście.

- Na lotnisku wynajmij samochód i jedź na wybrzeże. Zadzwoń do ciebie, gdy będę już coś wiedział.

- Oczywiście.

Po zakończeniu rozmowy Gabriel wyciągnął się na łóżku obok Chiary i próbował zasnąć, ale na próżno. Za każdym razem gdy zamykał oczy, widział twarz kobiety, która umarła na jego rękach w Lubéron, w dolinie z trzema willami. Leżał więc nieruchomo, wsłuchując się w oddech Chiary i uliczny szum dobiegający z Bayswater Road. Do pokoju wkradało się pierwsze światło szarego londyńskiego świtu.

Obudził Chiare o dziewiątej i podał jej świeżo zaparzoną kawę. Potem wziął prysznic. Po wyjściu z łazienki na ekranie telewizora zobaczył Jonathana Lancastera dyskutującego z ożywieniem o kosztownej inicjatywie mającej na celu poprawę sytuacji ubogich rodzin. Gabriel obserwował go ze szczerym podziwem. Kariera tego człowieka wisiała na włosku, tymczasem on wciąż potrafił wyglądać władczo i sprawiać wrażenie całkowicie spokojnego. Zanim skończył mówić, nawet Gabriel nabrał przekonania, że warto wydać z pieniędzy podatników kilka milionów więcej, ponieważ pozwoli to rozwiązać problemy, z którymi nieustannie borykają się najubożsi.

W kolejnym materiale była mowa o jakiejś rosyjskiej spółce energetycznej, próbującej nabyć prawa do wydobycia ropy na Morzu Północnym, na wodach terytorialnych Wielkiej Brytanii. Gabriel wyłączył telewizor, ubrał się i wyjął z ukrytego pod dnem szafy sejf beretę kaliber dziewięć milimetrów. Ostatni raz pocałował Chiare i wyszedł z domu. Za kierownicą astry czekał na niego Nigel Whitecombe.

Drogę na Downing Street pokonali w rekordowym czasie. Whitecombe wysadził Gabriela przy tylnym wejściu od strony Horse Guards Road.

- Miejmy nadzieję, że nie skończy się tak jak wtedy - powiedział na pożegnanie z wymuszonym uśmiechem.

- Miejmy nadzieję - mruknął Gabriel i wszedł do środka.

23.

Downing Street 10

Jeremy Fallon czekał w tylnym holu. Podał Gabrielowi ciepłą, wilgotną dłoń, po czym bez słowa zaprowadził go do gabinetu. Tym razem nie było tam nikogo. Nie czekając na zaproszenie, Gabriel usiadł. Fallon wolał stać. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki do wynajętego samochodu.

- Passat sedan, tak jak prosiłeś. Będę bardzo wdzięczny, jeśli uda ci się go zwrócić w jednym kawałku. Nie powodzi mi się tak dobrze jak premierowi.

Fallon uśmiechnął się blado. Teraz stało się jasne, dlaczego nie uśmiecha się częściej: miał zęby jak barrakuda. Wręczył Gabrielowi kluczyki i kwit parkingowy.

- Wóz stoi na parkingu przy stacji Victoria. Wejście od strony...

- Eccleston Street.

- Przepraszam - zmytygował się Fallon - czasem zapominam, z kim mam do czynienia.

- Ja nigdy - odpowiedział Gabriel.

Fallon tego nie skomentował.

- Jakiego koloru jest samochód?

- Wyspiarski szary.

- Co to, do cholery, jest wyspiarski szary?

- Wyspa nie jest chyba za ładna, bo auto jest bardzo ciemne.

- A pieniądze?

- Są w bagażniku, spakowane w dwie torby, tak jak kazali.

- Od jak dawna tam leżą?

- Od wczesnego rana. Sam je tam włożyłem.

- Miejmy nadzieję, że nadal tam jest.

- Kasa czy samochód?

- Jedno i drugie.

- To miał być żart?

- Nie - mruknął Gabriel.

Zmarszczywszy czoło, Fallon usiadł naprzeciwko niego i zaczął przypatrywać się swoim paznokciom. Nie zostało z nich zbyt wiele.

- Jestem panu winien przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie - powiedział po chwili milczenia. - Starłem się po prostu najlepiej jak umiałem działać w interesie premiera.

- Ja też.

Fallon wydawał się bardzo zaskoczony. Jak większość ludzi władzy odzwyczaił się od szczerych wypowiedzi.

- Graham Seymour ostrzegał mnie, że potrafi pan być obcesowy.

- Tylko gdy w grę wchodzi czyjeś życie - odpowiedział Gabriel. - A gdy usiądę za kierownicą tego samochodu, to moje życie będzie zagrożone. A to oznacza, że od tej chwili wszystkie decyzje podejmuję ja.

- Nie muszę panu przypominać, że całą sprawę należy załatwić najdyskretniej, jak to tylko możliwe.

- Nie musi pan. A jeżeli się nie uda, premier nie będzie jedyną osobą, która za to zapłaci.

Fallon nie odpowiedział, tylko spojrzał na zegarek. Była jedenasta czterdzieści - telefon miał zadzwonić za dwadzieścia minut. Wstał. Wyglądał na kogoś, kto nie spał od wielu dni.

- Premier jest w sali posiedzeń gabinetu. Rozmawia z ministrem spraw zagranicznych. Mam do niego dołączyć za dwanaście minut. Przyprawdżę go tu, zanim zadzwoni telefon.

- Jaki jest temat spotkania?

- Brytyjska polityka w kwestii konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

- Nie zapomnijcie, kto wiezie pieniądze.

Fallon posłał Gabrielowi kolejny szkaradny uśmiech i ciężkim krokiem ruszył do drzwi.

- Wiedział pan?

Fallon odwrócił się powoli.

- O czym?

- Że Lancaster i Madeline mają romans?

Fallon zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie wiedziałem. I nigdy bym nie podejrzewał, że Jonathan zrobi coś, przez co wszystko, nad czym razem pracowaliśmy, zawiśnie na włosku. Jakby tego było mało, to ja, kretyn, ich sobie przedstawiłem.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Madeline była integralną częścią naszych działań politycznych. Poza tym była niezwykle bystrą i zdolną kobietą, która miała przed sobą wspaniałe perspektywy.

Gabriela uderzyło to, że Fallon mówi o dziewczynie w czasie przeszłym. Zresztą on też zdał sobie z tego sprawę.

- Nie to chciałem powiedzieć - bąknął.

- A co chciał pan powiedzieć?

- Nie jestem pewny. - To były trzy słowa, których bardzo rzadko używał. - Chodzi o to, że ona po czymś takim nie będzie już chyba tą samą osobą, prawda?

- Ludzie mają w sobie więcej siły, niż pan podejrzewa. Szczególnie kobiety. Jeżeli otrzyma odpowiednią pomoc, to w końcu będzie mogła wrócić do dawnego, normalnego życia. Co do jednego ma pan jednak rację - dodał Gabriel - nigdy już nie będzie tą samą osobą co dawniej.

Fallon sięgnął do klamki.

- Czy mogę jeszcze jakoś pomóc? - rzucił przez ramię.

- Przydałoby się kilka godzin snu.

- Jak podane?

- Z mlekiem, bez cukru.

Fallon wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Gabriel wstał i podszedł do obrazu Turnera. Sięgnąwszy dłonią do podbródka i przechyliwszy na bok głowę, zaczął mu się przyglądać. Była jedenasta czterdzieści trzy - telefon miał zadzwonić za siedemnaście minut.

Tuż przed dwunastą Fallon wrócił do gabinetu w towarzystwie Jonathana Lancastera. Zmiana w wyglądzie premiera była uderzająca. Lancastera, którego widział Gabriel w telewizji, już nie było. Pewny siebie polityk, obiecujący załatać wyrwy w tkaninie brytyjskiego społeczeństwa, zniknął. Teraz stał przed nim człowiek, którego życie i kariera były zagrożone. Człowiek, który bał się, że lada godzina może rozpętać się najbardziej widowiskowy skandal polityczny w całej historii Wielkiej Brytanii. Było widać, że Lancaster jest już u kresu sił.

- Jest pan pewny, że chce pan przy tym być? - spytał Gabriel, ściskając jego dłoń.

- Dlaczego miałbym nie chcieć?

- Bo może pan usłyszeć coś, co się panu nie spodoba.

Lancaster usiadł, dając wyraźnie do zrozumienia, że nigdzie się nie wybiera. Fallon sięgnął do kieszeni marynarki po telefon i położył go na stoliku. Gabriel szybko wyjął z urządzenia baterię, by odsłonić naklejkę z numerem seryjnym. Następnie sfotografował ją swoim telefonem.

- Co pan robi? - zdziwił się Lancaster.

- Porywacze najprawdopodobniej każą mi wyrzucić ten telefon w miejscu, gdzie nikt nie będzie miał szansy go znaleźć.

- Więc dlaczego go pan fotografuje?

- To rodzaj ubezpieczenia - wyjaśnił Gabriel.

Gabriel wsunął blackberry do kieszeni, po czym włączył telefon dostarczony przez porywaczy. Była jedenasta pięćdziesiąt siedem, teraz pozostawało tylko czekać. Jeśli chodzi o czekanie, Gabriel był arcymistrzem. Obliczył, że na czekaniu spędza ponad połowę życia. Czekał na pociągi i samoloty. Czekał na informatorów. Czekał, aż po nocy spędzonej z bronią w ręku wszędzie słońce. Czekał, aż lekarze stwierdzą, czy jego żona przeżyje. Miał nadzieję, że jego spokój udzieli się premierowi, ale wyglądało na to, że jest dokładnie odwrotnie. Lancaster, nawet nie mrugając, wpatrywał się uporczywie w wyświetlacz telefonu. Była dwunasta trzy. Cisza.

- O co, do diabła, chodzi? - spytał w końcu sfrustrowany.
- Próbują wyprowadzić nas z równowagi.
- I nieźle bydlakom idzie.
- Właśnie dlatego to ja będę z nimi rozmawiał.

Upłynęła kolejna minuta i wreszcie, o dwunastej pięć, telefon zadzwonił. Gabriel podniósł aparat i spojrzał na numer. Tak jak się spodziewał, porywacze korzystali z innego telefonu niż poprzedniego dnia. Otworzył klapkę i bardzo spokojnie spytał:

- Czym mogę służyć?

Odpowiedzią była cisza. Słychać było tylko stukanie palców o klawiaturę komputera. W końcu zabrzmiał odczłowieczony głos z syntezy:

- Kto mówi?

- Dobrze wiesz - odpowiedział Gabriel. - Załatwmy to. Dziewczyna od dawna czeka na ten dzień. Chcę, żeby jak najszybciej było po sprawie.

Znów cisza i znów stukot klawiatury. Wreszcie głos spytał:

- Masz pieniądze?

- Właśnie na nie patrzę - odrzekł Gabriel. - Dziesięć milionów euro, nieznaczonych, z różnych serii, żadnych nadajników ani barwień. Wszystko tak, jak chcieliście. Mam nadzieję, że dysponujecie dojściem do jakiegoś szmaciarskiego banku. Przyda się wam.

Gabriel zerknął na Lancastera. Premier wyglądał, jakby przeżuwał coś, co przyłgnęło do wewnętrznej strony policzka. Fallon z kolei sprawiał wrażenie kogoś, kto zaraz przestanie oddychać.

- Jesteś gotowy na przyjęcie instrukcji? - spytał głos po kolejnej porcji stukotu.
- Czekam na nie od kilku minut.
- Masz coś do pisania?
- Po prostu mów - odparł Gabriel zniecierpliwiony.
- Jesteś w Londynie?

- Tak.

- Masz samochód?

- Tak, oczywiście.

- Złap prom do Calais o szesnastej czterdzieści. Czterdzieści minut po wypłynięciu wyrzuć telefon do wody. Kiedy już będziesz w Calais, idź do parku przy ulicy Richelieu. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak.

- W północno-wschodnim rogu stoi pojemnik na śmieci. Nowy telefon będzie przyklejony od spodu. Kiedy go weźmiesz, masz wrócić do samochodu. Zadzwoimy i powiemy ci, co dalej.

- Coś jeszcze?

- Masz być sam. Żadnej policji, żadnego wsparcia. I musisz zdążyć na prom. Jeśli nie zdążysz, dziewczyna umrze.

- Skończyłeś?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Głos milczał. Nie było słychać stukania w klawiaturę.

- Uznaję to za odpowiedź twierdzącą - odezwał się Gabriel. - Teraz ty mnie posłuchaj. I skup się, bo nie będę powtarzał. To twój wielki dzień. Napracowałeś się i koniec jest bardzo blisko. Nie zepsuj tego, robiąc coś głupiego. Interesuje mnie tylko to, żeby bezpiecznie dowieźć dziewczynę do domu. To biznes, nic więcej. I załatwmy to jak cywilizowani ludzie.

- Żadnej policji - powtórzył głos po chwili ciszy.

- Żadnej policji. Ale posłuchaj uważnie: jeżeli spróbujesz zrobić krzywdę dziewczynie albo mnie, moi ludzie ustalą, kim jesteś. A potem znajdą cię i zabiją. Rozumiesz?

Tym razem nie było odpowiedzi.

- I jeszcze jedno - dodał Gabriel - nigdy więcej nie każ mi czekać pięć minut na telefon. Jeśli to zrobisz, umowa będzie nieważna.

To powiedziawszy, rozłączył się i spojrzał na Lancastera.

- Dobrze poszło. Prawda, panie premierze?

Rzadko zdarza się, żeby Downing Street numer dziesięć opuszczał frontowymi drzwiami ktoś ubrany w czarną skórzaną kurtkę i jeansy. To jednak właśnie stało się o dwunastej siedemnaście, wczesnym popołudniem na początku października. Minęło dokładnie pięć tygodni od dnia, w którym Madeline Hart zaginęła na Korsyce; osiem dni od chwili, gdy przed dom Simona Hewitta trafiły fotografia i nagranie; dwanaście godzin od momentu, w którym premier Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej

zgodził się zapłacić dziesięć milionów euro okupu. Policjant stojący na straży w głównym holu oczywiście nic o tym nie wiedział. Nie miał również pojęcia, że niecodziennie ubrany gość premiera to Gabriel Allon, izraelski szpieg i zabójca. Ostatnią zaś rzeczą, jaką mógł podejrzewać, było to, że pod kurtką mężczyzny ukryta jest naładowana półautomatyczna beretta. W związku z tym życzył tylko Gabrielowi miłego dnia, po czym patrzył, jak ten oddala się Downing Street w kierunku bramy od strony Whitehall. Gdy przez nią przechodził, jedna z kamer monitoringu zrobiła mu zdjęcie. Była dokładnie dwunasta dziewiętnaście.

Jeremy Fallon zostawił passata na niezadaszonej części parkingu przy stacji Victoria. Gabriel podszedł do auta w ten sam sposób, w jaki zbliżał się do każdego samochodu niebędącego jego własnością: powoli i z obawą. Obszedł volkswagena, jakby szukał zarysowań i skaz na lakierze, a następnie celowo upuścił kluczyki na ziemię. Kucnął i przyjrzał się podwoziu auta. Nie zauważywszy niczego nietypowego, wstał i otworzył bagażnik, a jego oczom ukazały się dwie tanie nylonowe torby na kółkach. Odsunął suwak jednej z nich. W środku były rzędy ciasno upakowanych paczek banknotów stueurowych.

Jak na londyńskie standardy natężenie ruchu o tej porze tylko trochę zakrawało na katastrofę. O trzynastej Gabriel przejechał przez most Chelsea. Po kolejnych trzydziestu minutach miał już za sobą południowe przedmieścia Londynu i pędził autostradą M25. O czternastej włączył czwarty program BBC, by posłuchać wiadomości. Od rana nie wydarzyło się nic nowego. Tematem numer jeden w dalszym ciągu była wypowiedź Lancastera na temat zamiaru poprawienia sytuacji najuboższych rodzin. Tematem numer dwa nadal były zakusy rosyjskiej spółki na pola naftowe na Morzu Północnym. Słowem nie wspomniano o Madeline Hart ani o mężczyźnie w skórzanej kurtce, który wkrótce miał dostarczyć jej porywaczom dziesięć milionów euro. Prognoza mówiła, że pogoda nad kanałem La Manche po południu wyraźnie się pogorszy: miały się pojawić porywisty wiatr i ulewny deszcz. Gabriel wyłączył radio i z roztargnieniem przesunął palcami po korsykańskim talizmanie, który miał na szyi. „Kiedy dziewczyna umrze, poznacie prawdę”, usłyszał głos staruszki.

24.

Dover, Anglia

Kiedy Gabriel zjeżdżał na M20, lał rzęsimy deszcz. Nie zwalniając, minął Maidstone, Lenham, Heath i Ashford. Do portu w Folkestone dotarł o piętnastej trzydziści. Następnie wjechał na drogę A20 i podążał na wschód przez zdającą się nie mieć końca zieloną równinę. Wreszcie gdy przejechał przez szczyt niewielkiego wzniesienia, zobaczył morze: ciemnogranatowe, poprzetykane białymi grzywami fal. Przeprawa przez kanał zapowiadała się nieprzyjemnie.

Dotarłszy do końca drogi, na nabrzeże w Dover, Gabriel po raz pierwszy zerknął na klify. Ich kredowa biel odcinała się wyraźnie od ołowianego tła chmur. Dojazd do terminalu promowego był wyraźnie oznaczony. Po chwili Gabriel znalazł się przy kasach biletowych, gdzie potwierdził wcześniejszą rezerwację. Ani na moment nie spuszczał przy tym z oczu wypożyczonego volkswagena. Z kartą pokładową w rękę wrócił za kierownicę i ustawił się w kolejce aut czekających na wjazd do ładowni. „Musisz zdążyć na prom. Jeśli nie zdążysz, dziewczyna umrze”. Powód takiego postawienia sprawy mógł być tylko jeden: otdąd porywacze będą go obserwowali.

Przepisy zakazywały pasażerom pozostawiania w samochodach w czasie przeprawy. Gabriel przez chwilę rozważał zabranie toreb na górę, jednak po krótkim namyśle uznał, że jeśli będzie tachał je klatką schodową, stanie się łatwym celem. Zostawił więc pieniądze w bagażniku, starannie zamknął auto, dwukrotnie sprawdzając każde drzwi oraz tylną klapę, po czym ruszył do strefy dla pasażerów. Prom właśnie wychodził z portu. Gabriel poszedł do bufetu, zamówił kawę i drożdżówkę. Niebo za oknami wciąż ciemniało, kwadrans po piątej morze przestało być widoczne. Gabriel jeszcze przez pięć minut siedział w fotelu, a potem wstał, wyszedł na pokład i skierował się w jego najdalszy kraniec. Tam nikt nie miał szans zobaczyć, jak wrzuca telefon do morza.

Gabriel nie mógł widzieć ani słyszeć, jak uderza o wodę. Jeszcze dwie minuty stał przy barierce, a potem wrócił na miejsce. Resztę przeprawy spędził, siedząc w fotelu i zapisując w pamięci twarze wszystkich pasażerów w zasięgu wzroku. Wreszcie w głośnikach rozległ się komunikat, najpierw po francusku, potem po angielsku. Proszono podróżnych, by wrócili do samochodów. Gabriel pierwszy znalazł się przy aucie. Uchylił bagażnik i upewnił się, że torby z gotówką nadal są w środku. Następnie usiadł za kierownicą i obserwował, jak inni pasażerowie zajmują miejsca w samochodach. W sąsiednim rzędzie do małego peugeot

wsiadła kobieta. Miała krótkie, niemal po męsku obcięte blond włosy i twarz w kształcie serca. Było jednak jeszcze coś: kobieta była jedyną osobą na pokładzie, która nosiła rękawiczki.

Gabriel patrzył prosto przed siebie, obie ręce trzymając na kierownicy.

To właśnie jej szukał. Był tego pewny.

Calais to brzydkie nadmorskie miasto, po części angielskie, po części niemieckie, a niemal wcale niekojarzące się z Francją. Ulica Richelieu znajdowała się w dzielnicy Calais-Nord, położonej na sztucznej wyspie w kształcie ośmiokąta i otoczonej kanałami i wodami portu. Gabriel zaparkował przed rzędem wykończonych stiukiem domów i skierował się do parku. Przyglądało mu się trzech Afgańczyków w grubych płaszczach i tradycyjnych czapkach pakol. Byli to prawdopodobnie nielegalni imigranci liczący na to, że uda im się przedostać po kryjomu do Wielkiej Brytanii. Na wydmach wzdłuż plaży znajdował się kiedyś duży obóz dla uchodźców. W pogodne dni było stamtąd widać majaczące po drugiej stronie kanału białe klify Dover. Dobrzy obywatele Calais, żelaznego bastionu partii socjalistycznej, określali obóz mianem „dżungli” i byli bardzo zadowoleni, kiedy policja w końcu go zamknęła.

Kontener na śmieci stał na prawo od alejki prowadzącej w głąb parku. Miał wysokość około półtora metra i był koloru leśnej zieleni. Obok niego stał znak pouczający odwiedzających park, by nie niszczyli kwiatów i innych roślin ozdobnych. Zakazu poszukiwania przyklejonych do kontenera telefonów nie było. To więc właśnie zrobił Gabriel, wyrzuciwszy wcześniej do śmieci bilet na prom. Komórkę znalazł natychmiast. Przytwierdzono ją do kontenera od spodu taśmą pakową. Oderwał telefon i wsunął do kieszeni. Następnie wyprostował się i ruszył do samochodu. Gdy zapalał silnik, telefon zadzwonił.

- Bardzo dobrze - pochwalił generowany elektronicznie głos. - A teraz słuchaj uważnie.

Głos kazał mu jechać prosto do hotelu De la Mer w miejscowości Grand-Fort-Philippe. Rezerwacji dokonano na nazwisko Anette Ricard. Gabriel miał zameldować się w hotelu i zapłacić swoją kartą kredytową, mówiąc w recepcji, że panna Ricard dołączy do niego wieczorem. Nie znał tego hotelu. Nawet nazwę miejscowości, w której się znajdował, słyszał pierwszy raz w życiu. Wskazówki, jak dojechać, znalazł w internecie, korzystając ze swojego prywatnego telefonu. Okazało się, że miejscowość Grand-Fort-Philippe leży na zachód od Dunkierki: areny jednego z najbardziej wstydlivych wydarzeń w całej historii brytyjskiej wojskowości. Wiosną 1940 roku z tutejszych plaż ewakuowano ponad trzysta tysięcy

żołnierzy brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego. Działo się to w czasie, gdy do Francji wkraczały oddziały okupacyjne nazistowskich Niemiec. Brytyjski odwrót przeprowadzano w takim pośpiechu, że sprzęt pozostawiony przez żołnierzy wystarczyłby zapewne do wyekwipowania dziesięciu dywizji. Było oczywiście możliwe, że porywacze nie mieli świadomości tego tła historycznego. Gabriel mocno w to jednak wątpił.

Wbrew temu, co sugerowała jego francuska nazwa, hotel De la Mer wcale nie stał nad morzem. Okna tego schludnego, pomalowanego na biało budynku wychodziły na dzielącą miasto na pół rzekę zasilaną pływami. Gabriel celowo trzykrotnie minął wejście to hotelu, nim w końcu zatrzymał auto w ukośnej zatoczce parkingowej. Począł, aż minie go zbliżający się samochód, i dopiero potem zgasił silnik. Wysiadł i schował kluczyk głęboko do kieszeni spodni. Torby z pieniędzmi były zaskakująco ciężkie. Gdyby na własne oczy nie zobaczył, co jest w środku, przysięgłby, że Jeremy Fallon wypełnił je ołowianymi odważnikami. Nad głową Gabriela krążyły mewy. Sprawiały wrażenie, jakby liczyły na to, że padnie pod niesionym ciężarem.

Hotel nie miał porządnego lobby, jedynie wąski hol, w którym wciśnięty za ladę stał recepcjonista wyglądający jak lunatyk. Mimo że dla gości przeznaczono tylko osiem pokoi, odnalezienie rezerwacji trwało dobrą chwilę. Ignorując jedno z żądań postawionych przez porywaczy, Gabriel zapłacił gotówką. Zostawił też wysoką kaucję na poczet ewentualnych szkód w pokoju.

- Czy do pokoju jest drugi klucz?

- Oczywiście.

- Chciałbym go dostać.

- A co z panną Ricard?

- Ja ją wpuszczę.

Przesuwając klucz po blacie, recepcjonista ściągnął z dezaprobatą brwi.

- Więcej kluczy nie ma? - spytał Gabriel. - Tylko mój i ten?

- Klucze ma też sprzątaczką i oczywiście ja.

- I jest pan pewny, że w tej chwili w pokoju nikogo nie ma?

- Tak. Sam niedawno przygotowałem go na państwa przyjazd.

Taką troskę należało wynagrodzić, więc Gabriel położył na ladzie dziesięć euro. Śliska dłoń recepcjonisty zgarnęła pieniądze szybkim ruchem i umieściła w kieszeni zbyt obszernego blezera.

- Czy trzeba panu pomóc z bagażem? - spytał tonem sugerującym, że jest to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

- Nie, dziękuję - odparł pogodnie Gabriel. - Myślę, że dam sobie radę.

Przeciągnął torby na kółkach po wyłożonej linoleum podłodze korytarza. Gdy dotarł do klatki schodowej, musiał zadać sobie sporo trudu, by sprawiać wrażenie, że uniesienie bagażu i wejście z nim po schodach nie wymaga wysiłku. Pokój znajdował się na trzecim piętrze, na samym końcu słabo oświetlonego korytarza. Gabriel wsunął klucz do zamka tak ostrożnie jak chirurg operujący sondą. W pokoju nie było nikogo. U wezłowania łóżka paliła się mała lampka. Gabriel przeciągnął torby za próg, następnie wyjął pistolet i sprawdził łazienkę i szafę. Upewniwszy się, że jest sam, zamknął drzwi na łańcuszek i zabarykadował je prawie wszystkimi meblami znajdującymi się w pokoju. Torby z pieniędzmi wsunął pod łóżko. Gdy zakończył „porządki” i się wyprostował, zadzwonił odebrany w Calais telefon.

- Bardzo dobrze - pochwalił go generowany elektronicznie głos. - A teraz słuchaj uważnie.

Tym razem również Gabriel postawił kilka żądań. Kobieta ma przyjść sama i nieuzbrojona. Gabriel zastrzegł sobie prawo do jej przeszukania, żeby nie było nieporozumień. Gdy skończy - tłumaczył - będzie miała tyle czasu, ile chce, na upewnienie się, że banknoty są autentyczne, i że dają łącznie kwotę dziesięciu milionów. Może je liczyć, wachać, przeżuwać, a nawet uprawiać z nimi seks. Póki nie spróbuje ich ukraść, Gabriela nie interesuje, co będzie z nimi robiła. Jeśli je ukradnie, stanie jej się krzywda. Poważna. I po umowie.

- I nie wychylajcie się z głupimi pogrozkami, że zabijecie Madeline - powiedział na koniec. - Takie groźby uwłaczają mojej inteligencji.

- Sześćdziesiąt minut - odpowiedział głos z syntezatora i połączenie zostało przerwane.

Gabriel wyciągnął z barykady na drzwiach proste krzesło i ustawił je przy wąskim oknie wychodzącym na ulicę. Usiadł i przez następne sześćdziesiąt siedem minut obserwował ulicę w dole. Po czterdziestu minutach pod hotelem przebiegł mężczyzna z parasolem. Zatrzymał się tylko po to, by szarpnąć za klamkę od drzwi po stronie pasażera w passacie. Poza tym nikogo, tylko mewy krążące nad dachami i zastęp kotów uczujących w restauracyjnym śmietniku. Czekanie, zawsze czekanie, pomyślał Gabriel.

Gdy minęła godzina, a kobiety wciąż nie było nigdzie widać, Gabriel poczuł ukłucie niepokoju. Niepokoju, który z każdą upływającą minutą zamieniał się w panikę. Aż wreszcie pojawiło się bmw kombi i zaparkowało w zatoczce tuż przy volkswagenie Gabriela. Drzwi się otworzyły i z wnętrza wysunęła się stopa w modnym botku i długa noga w błękitnym jeansie.

Po chwili ukazała się jej właścicielka. Była to kobieta o kruczoczarnych włosach opadających na ramiona, uniemożliwiających przyjrzenie się jej twarzy. Gabriel patrzył, jak przechodzi w deszczu przez ulicę. Obserwował jej krok, rytm poruszania się, to, jak zgina kolana. Chód - ciekawa sprawa - jest jak odcisk linii papilarnych czy skan tęczówki. Twarz można łatwo zmienić, jednak nawet doświadczeni oficerowie wywiadu mieli z reguły spore problemy ze zmianą sposobu chodzenia. Gabriel szybko się zorientował, że już gdzieś widział taki chód. Ulicą szła kobieta, którą wypatrzył na promie.

Był tego pewny.

25.

Grand-Fort-Philippe, Francja

Dotarcie z ulicy na trzecie piętro hotelu zajęło kobiecie mniej niż minutę. Gabriel wykorzystał ten czas na odsunięcie mebli od drzwi. Następnie przyłożył do nich ucho i wsłuchiwał się w stukot obcasów na niewyłożonej dywanem podłodze korytarza. Drzwi były solidne i grube. Nie zatrzymałyby naboju, ale znacznie by go spowolniły. Kobieta zastukała. Tak cicho, jakby nie chciała obudzić śpiących w pokoju dzieci.

- Jesteś sama? - spytał Gabriel po francusku.

- Tak - odpowiedziała.

- Masz broń?

- Nie.

- Czy wiesz, co będzie, jeśli znajdę przy tobie broń?

- Umowa będzie nieważna.

Nie zdejmując łańcuszka, Gabriel uchylił drzwi na kilkanaście centymetrów.

- Daj rękę - polecił.

Kobieta zawahała się przez moment, po czym zrobiła, co kazał. Jej ręka była długa i blada, z prostą obrączką ze srebrnej plecionki. Na skórze między kciukiem a palcem wskazującym widniał mały tatuaż przedstawiający słońce. Gabriel chwycił za nadgarstek i boleśnie go wykręcił. Widać na nim było bliznę, ślad po młodzieńczej próbie samobójczej.

- Jeśli chcesz używać jeszcze kiedyś tej ręki, masz robić dokładnie to, co ci powiem. Rozumiesz?

- Tak - jęknęła.

- Rzuć torebkę na podłogę i przesun ją stopą w moją stronę.

Kobieta to zrobiła. Wciąż ściskając lewą ręką jej nadgarstek, prawą sięgnął po torebkę i wysypał jej zawartość na podłogę. Było w niej to, co powinno być w torebce Francuzki, z dwoma wyjątkami: lupą jubilerską i ręczną lampą na światło podczerwone. Gabriel odczepił łańcuszek i wciąż wykręcając kobiecie nadgarstek tak, że o mało go nie złamał, wciągnął ją do pokoju i nogą zamknął drzwi. Następnie popchnął ją na ścianę i zgodnie z zapowiedzią starannie przeszukał. Nie miał wątpliwości, że miejsc, których dotyka, wcześniej dotykało wiele męskich dłoni.

- Dobrze się bawisz? - spytała.

- Tak - mruknął Gabriel. - Nie bawiłem się tak dobrze od czasu, kiedy ostatni raz

wyciągali ze mnie nabój.

- Mam nadzieję, że bolało.

Zdjął z głowy kobiety ciemną perukę i przeczesał palcami jej chłopięce blond włosy.

- Skończyłeś?

- Odwróć się.

Zrobiła, co kazał. Po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz. Kobieta była wysoka i szczupła. Z długimi nogami i małymi piersiami przypominała jedną z tancerek Degasa. Jej twarz w kształcie serca wydawała się psotna i dziecięco niewinna. Na ustach igrał ironiczny uśmieszek. Biuro kochało twarze takie jak jej. Gabriel zastanawiał się, ile straconych fortun ma na koncie.

- Jak to zrobimy? - spytała.

- Zwyczajnie - odpowiedział Gabriel. - Ty będziesz sprawdzała pieniądze, a ja będę trzymał ci przy głowie pistolet. Jeżeli cokolwiek mnie zdenerwujesz, rozwalę ci mózg.

- Zawsze jesteś taki czarujący?

- Tylko przy kobietach takich jak ty.

- Gdzie pieniądze?

- Pod łóżkiem.

- Podaś mi je?

- Nie ma mowy.

Kobieta westchnęła ciężko, po czym uklękła w nogach łóżka i wyciągnęła pierwszą torbę. Po jej otwarciu przeliczyła paczki banknotów w pionie i w poziomie, po czym wyciągnęła jedną ze środkowych paczek i policzyła banknoty. Przypominała geologa prowadzącego odwiert rdzenia lodowego.

- Skończyłaś? - spytał drwiąco Gabriel.

- Dopiero zaczynam.

Wyjęła sześć paczek banknotów z sześciu różnych miejsc torby i z każdej wyjęła jeden banknot. Zaczęła szybko liczyć. Robiła to z ogromną wprawą, jak ktoś, kto przez lata pracował w banku albo w kasynie. A może po prostu, pomyślał Gabriel, spędza sporo czasu na liczeniu kradzionych pieniędzy.

- Potrzebne mi moje rzeczy.

- Nie liczysz chyba na to, że odwrócę się do ciebie plecami?

Kobieta położyła sześć banknotów o nominale sto euro na łóżku i wzięła spod drzwi lupę i lampę. Gdy miała je w rękę, usiadła na brzegu łóżka i bardzo uważnie przyjrzała się banknotom przez lupę. Szukała jakichkolwiek oznak tego, że mogą być fałszywe: niska

jakość wydruku, brak pojedynczej cyfry lub litery, hologram lub znak wodny sprawiający wrażenie podrobionego. Każdemu z sześciu banknotów przyglądała się przez ponad minutę. Gdy skończyła, odłożyła szkło powiększające i wzięła do ręki lampę.

- Trzeba zgasić światło - powiedziała.

- Najpierw włącz to. - Gabriel ruchem głowy wskazał lampę.

Zrobiła to. Gabriel obszedł pokój, gasząc kolejno wszystkie żarówki, aż jedynym źródłem światła w pokoju pozostał lekko purpurowy blask podczerwieni. Przy użyciu lampy kobieta zbadała wszystkie sześć banknotów. Wszystkie w papier paski zabezpieczające załśniły na zielono, dowodząc, że pieniądze są autentyczne.

- Bardzo dobrze - powiedziała.

- Nie wiesz nawet, jak się cieszę, że jesteś zadowolona. - Gabriel zapalił światło. - Teraz ja chcę jednej rzeczy - oznajmił. - W ciągu godziny ma do mnie zadzwonić Paul. Inaczej umowa będzie nieważna.

- To mu się nie spodoba.

- Powiedz mu o pieniądzech. Jakoś to przetrawi.

Kobieta założyła perukę, zebrała do torebki swoje rzeczy, po czym bez słowa wyszła z pokoju. Gabriel obserwował przez okno, jak odjeżdża. Potem, wciąż patrząc na zalaną deszczem ulicę, czekał, aż zadzwoni telefon. Stało się to o dwudziestej pierwszej piętnaście - dokładnie po sześćdziesięciu minutach. Wysłuchawszy cierpliwie tyrady z syntezy, Gabriel spokojnie przedstawił swoje żądanie. Zapadła cisza. Potem rozległo się stukanie w klawiaturę. Wreszcie cienki, pozbawiony życia i błędnie akcentujący głos powiedział:

- Ja tu stawiam warunki. Nie ty.

- Rozumiem - odrzekł Gabriel jeszcze spokojniej niż przed momentem - ale to transakcja. Taka sama jak każda inna. Pieniądze za towar. Nie mogę przed zakupem nie dokonać weryfikacji. To byłoby niedbalstwo.

Chwila ciszy, stukot klawiatury, wreszcie głos:

- Ta rozmowa trwa zbyt długo. Rozłącz się i czekaj na telefon.

Gabriel postąpił zgodnie z poleceniem. Po minucie komórka zadzwoniła, ale tym razem porywacze korzystali z innego aparatu. Głos podał szczegółowe instrukcje, które Gabriel zanotował na kartce z firmowej papeterii hotelu De la Mer.

- Kiedy? - spytał.

- Za godzinę - odparł głos.

Na tym skończyli. Gabriel się rozłączył i spojrzał na kartkę, by się upewnić, że notując,

nie popełnił błędu. Był tylko jeden problem.

Pieniądze.

W ciągu następnych pięciu minut Gabriel wykonał trzy telefony, jeden po drugim. Przy dwóch pierwszych skorzystał z telefonu stojącego na stoliku przy łóżku. Za pierwszym razem wybrał numer sąsiedniego pokoju. Nikt nie odebrał. Po chwili zadzwonił do recepcji, by potwierdzić u sennego concierge'a, że pokoju nie zajmują żadni goście. Gabriel zarezerwował go na najbliższą noc, obiecując, że zapłaci w ciągu godziny. Następnie wziął swoją prywatną komórkę i zadzwonił do Christophera Kellera.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- W Boulogne.

- Za pięćdziesiąt pięć minut musisz wejść do hotelu De la Mer w Grand-Fort-Philippe.

- Po co?

- Mam sprawę do załatwienia. Ktoś musi mi w tym czasie przypilnować bagażu.

- A gdzie ten bagaż jest?

- Pod łóżkiem w pokoju sąsiadującym z twoim.

- A ty dokąd jedziesz?

- Nie mam pojęcia.

Kolejna godzina. I znów czekanie. Gabriel wykorzystał ten czas na doprowadzenie pokoju do ładu i przyrządzenie najmocniejszej filiżanki nescafe w historii. To była trzecia noc bez snu. Lubéron, potem Downing Street, a teraz to miejsce. Ale był blisko celu, czuł to. Jeszcze kilka godzin, pomyślał, pijąc gorzki płyn, i będzie spał przez miesiąc.

Za dziesięć dziesiąta zszedł do holu i powiedział recepcjoniście, że wkrótce pojawi się *monsieur* Duval. Zapłacił za pokój nowego gościa i zostawił mężczyźnie kopertę z zaleceniem, by przekazał ją panu Duvalowi, gdy tylko się zamelduje. Następnie wyszedł z hotelu i usiadł za kierownicą volkswagena. Ruszając z miejsca, zobaczył we wstecznym lusterku wchodzącego do hotelu Kellera. Pojawił się punktualnie co do minuty.

Tym razem porywacze podali nie tylko nazwę miejsca, w którym miał się pojawić, ale i szczegółowe wskazówki, jak dojechać. Droga wiodła przez pełne wiatraków pola, obok gazowni i rafinerii, aż za bocznicę kolejową na zachodnich obrzeżach Dunkierki. Przed Gabrielem rozciągały się hałdy żwiru wyglądające jak miniaturowa wersja Alp. Minął je, lekko tylko zwalniając, i skręcił w wąską drogę biegnącą górą potężnego falochronu. Po jego prawej stronie znajdowały się żurawie portu w Dunkierce, po lewej morze. Wjeżdżając na

drogę, Gabriel wyzerował licznik. Pokonawszy dokładnie pół kilometra, zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i zgasił silnik. Karoseria drżała w potężnych podmuchach mokrego wiatru. Gabriel wysiadł, postawił kołnierz kurtki i zszedł na plażę. Był odpływ. Stwardniały gładki piasek przywodził na myśl wyasfaltowany parking. Gabriel doszedł nad samą wodę, po czym cisnął w fale swoją beretkę. Morskie dno przy plażach Dunkierki, pomyślał, to dobre miejsce spoczynku dla broni żołnierza.

Wrócił na szosę i się rozejrzał. Spojrzał na wschód, na zachód, i znów na wschód. Nie było tu nikogo poza nim, nawet w oddali nie widać było świateł innego samochodu. Jedyne jasnymi punktami w zasięgu wzroku były światła żurawi portowych i dalekie płomienie rafinerii. Gabriel otworzył bagażnik, a kluczyk położył na ziemi, tuż przy lewym tylnym kole. Następnie ułożył się w bagażniku w pozycji embrionalnej i zatrzasnął klapę. Po kilku sekundach w jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Jesteś w środku?

- Tak.

- Pięć minut - powiedział głos.

Pięciu minutom bliżej było do dziesięciu, bo dopiero po takim czasie Gabriel usłyszał warkot nadjeżdżającego i parkującego obok samochodu. Ktoś otworzył drzwi, po czym dał się słyszeć stukot obcasów na asfalcie. Znów ta kobieta, pomyślał Gabriel, gdy Volkswagen ruszał. Był tego pewny.

Opuściwszy Dunkierkę, kobieta przez ponad godzinę szybko jechała szosą, dwukrotnie zatrzymując auto. Potem skręciła w wyboistą podrzędną drogę. Wciąż jednak pędziła tak, jakby chciała ukarać Gabriela za to, że miał czelność zażądać przed przekazaniem okupu dowodu życia. W pewnym momencie w podwoziu coś głośno zazgrzytało. Z perspektywy Gabriela brzmiało to tak, jakby passat zderzył się z górą lodową.

Wyboista droga się skończyła i teraz jechali po miękkim szutrze, by w końcu zatrzymać się na betonowej podłodze garażu. Gabriel był tego pewny, ponieważ kiedy samochód stanął, przez chwilę słychać było, jak warkot silnika odbija się echem od ścian. Przez chwilę panowała cisza. Potem kobieta wysiadła i głośno stukając obcasami, podeszła do bagażnika. Uchyliła klapę i wsunęła do środka worek. Gabriel natychmiast naciągnął go na głowę.

- Gotowy?

- Tak.

- Wiesz, co się stanie, jeśli zdejmiesz to z głowy?

- Dziewczyna umrze.

Usłyszał, jak kłapa się unosi. Potem dwie pary rąk, bez wątpienia męskich, złapały go za kostki i ramiona i wyciągnęły z bagażnika. Postawili go zaskakująco delikatnie i upewnili się, że się nie przewróci, nim skuli mu ręce za plecami kajdankami z tworzywa. Wzięli go pod łokcie i poprowadzili po żwirowym podjeździe. Następnie pomogli mu wejść po schodach prowadzących do drzwi domu.

Podłoga wewnątrz była wykonana z drewna i nierówna. Skrzywienie desek przywodziło na myśl stary wiejski dom. Kilka razy ostro skręcili. Gabriel miał poczucie, że prowadzi go ktoś, kto dowodzi. Zeszli do chłodnej piwnicy pachnącej wapieniem i pleśnią. Ręce popchnęły Gabriela jeszcze kilka kroków do przodu, po czym zatrzymały go szarpnięciem i posadziły na brzegu pryczy. Gdy porywcze się oddalali, wsłuchał się w ich kroki, próbując je policzyć. Po chwili usłyszał trzaśnięcie ciężkich drzwi. Złowieszczy dźwięk przywodził na myśl zatraskujące się wieko trumny. A potem cisza. Żadnych dźwięków, tylko zapach. Ciężki i mdląco słodki. Zapach człowieka w niewoli.

Gabriel siedział bez ruchu, nic nie mówiąc, przekonany, że zostawiono go samego. Jednak po kilku sekundach czyjaś ręka zsunęła mu z twarzy worek. Była to ręka młodej kobiety - wymizerowanej, porcelanowo bladej, a jednak wciąż bardzo pięknej.

- Jestem Madeline Hart - powiedziała. - A kim ty jesteś?

26.

Północna Francja

Gabriel od dziewięciu dni starał się odmalować w umyśle jej twarz. Dotąd była jednak tylko szkicem nakreślonym ołówkiem, nazwiskiem nad imponującym życiorysem, przysługą wyświadczoną staremu przyjacielowi. Teraz wreszcie miał ją przed sobą. Porwana kobieta, dla której torturował i zabijał, siedziała naprzeciwko niego, jakby pozowała do portretu. Miała na sobie granatowy dres i buty z materiału, bez sznurowadeł. Była chudsza niż na nagraniu, a nawet niż na ostatniej fotografii będącej dowodem życia. Od chwili wprowadzenia jej włosy urosły o jakieś trzy centymetry. Były zaczesane do góry i opadały na szyję i plecy. Kości policzkowe były wyraźnie widoczne, a pod szaroniebieskimi oczami widać było sińce. Dłonie trzymała splecione na udach, więc Gabriel natychmiast zauważył jej potwornie wychudzone nadgarstki i obgryzione paznokcie. Mimo to kobieta starała się zachowywać godnie i spokojnie. Trudno się dziwić, że Jeremy Fallon widział w niej kandydatkę do parlamentu. I łatwo było pojąć, dlaczego Jonathan Lancaster zdecydował się zaryzykować dla niej wszystko. Gabriel uświadomił sobie nagle, że w gruncie rzeczy zrobił to samo.

- Jestem tu, żeby cię stąd wyciągnąć, Madeline - powiedział, odpowiadając na jej pytanie. - To element zakończenia sprawy.

- Chciałeś sprawdzić, czy żyję?

Gabriel wahał się przez chwilę, by w końcu skinąć głową.

- No więc tak, żyję. Tak mi się przynajmniej wydaje. Są chwile, że nie jestem tego pewna. Nie wiem, która godzina ani jaki jest dzień tygodnia i miesiąc. Nie wiem nawet, gdzie jestem.

- Myślę, że we Francji, gdzieś na północy.

- Tak myślisz?

- Przywieźli mnie tu w bagażniku.

- Spędziłam mnóstwo czasu w bagażnikach - odpowiedziała współczująco. - Pamiętam, że wieźli mnie też motorówką. To było parę godzin po tym, jak mnie porwali. Zrobili mi jakiś zastrzyk, pamiętam wszystko jak przez mgłę.

Gabriel podejrzewał, że porywacze słyszą ich rozmowę, dlatego nie powiedział Madeline, że z Korsyki na kontynent dotarła jedenastometrowym jachtem „Moondance” nawigowanym przez przemytnika Marcela Lacroix. Nie wspomniał, że przez cały czas był tam mężczyzna, z którym przed porwaniem zjadła lunch w Les Palmiers. Było mnóstwo

rzeczy, których Gabriel chciałby się dowiedzieć na temat jej relacji z człowiekiem znanym jako Paul. Gdzie go poznała? Jaki charakter miała ich znajomość? Nie mógł jednak zadać jej tych pytań, spytał więc tylko, czy przypomina sobie okoliczności porwania.

- To się stało na drodze z Piany do Calvi... Byłeś tam kiedyś?

- Na Korsyce?

- Tak.

- Nigdy.

- Prześliczne miejsce, naprawdę. - Zabrzmiało to bardzo brytyjsko. - No, w każdym razie byłam na tej drodze i jechałam trochę za szybko. Zawsze tak jeżdżę. Za bardzo ostrym zakrętem wyjechał tuż przede mną samochód. Zahamowałam ostro, ale i tak w niego uderzyłam. Strasznie się poobijałam i podrapałam, potwornie długo się to wszystko goiło.

- Madeline potarła wierzch dłoni. - Jak długo to trwa? - spytała. - Od jak dawna mnie trzymają?

- Od pięciu tygodni.

- Tak krótko? Myślałam, że znacznie dłużej.

- Dobrze cię traktują?

- A wyglądam, jakby mnie dobrze traktowali?

Gabriel nie odpowiedział.

- Nie dają mi do jedzenia nic poza chlebem, serem i warzywami z puszki. Raz dali mi resztki kurczaka, ale źle się po tym poczułam, więc nigdy już tego nie powtórzyli. Poprosiłam o radio, ale się nie zgodzili. Prosiłam o książki albo jakieś gazety, żebym mogła się dowiedzieć, co się dzieje na świecie, ale tego też nie chcieli mi dać.

- Nie chcieli, żebyś czytała o sobie.

- A co o mnie piszą?

- Że zaginęłaś. Nic więcej nie wiadomo.

- A co z tym koszmarnym nagraniem? Zmusili mnie do tego.

- Nikt go nie widział. Nikt poza premierem i jego najbliższymi współpracownikami.

- To znaczy poza Jeremym?

- Tak.

- I Simonem?

Gabriel skinął głową.

- A ty? Rozumiem, że też je widziałeś?

Nie odpowiedział. Madeline tarła wierzch dłoni, jakby wymierzała sobie karę. Gabriel chciał ją powstrzymać, ale nie mógł. Nie dało się tego zrobić z rękoma spiętymi za plecami.

- Nie miałam wyboru. Musiałam się zgodzić - powiedziała w końcu.

- Wiem.

- Powiedzieli, że mnie zabiją.

- Wiem.

- Próbowałam kłamać. Naprawdę, uwierz mi, proszę. Powiedziałam im, że między mną a Jonathanem do niczego nie doszło. Ale oni wiedzieli wszystko. Znali miejsca, daty, godziny. Wszystko.

Madeline spojrzała pytająco na Gabriela.

- Nie jesteś Anglikiem - stwierdziła.

- Przykro mi.

- Jesteś z policji?

- Nie. Jestem przyjacielem premiera.

- Czyli jesteś szpiegiem?

- Coś w tym rodzaju.

Uśmiechnęła się. Jeszcze niedawno jej uśmiech musiał być piękny, jednak teraz było w nim szaleństwo. W końcu z tego wyjdzie, pomyślał Gabriel, ale będzie potrzebowała sporo czasu.

- Proszę, przestań, Madeline.

- Ale co?

- Przestań trzeć rękę.

Spojrzała na własne ręce i zobaczyła, że krwawią.

- Przepraszam - powiedziała potulnie. Splotła dłonie, tak mocno, że pobieleły jej kłykcie. - Dlaczego oni mi to zrobili?

- Dla pieniędzy.

- Szantażują Jonathana?

Gabriel skinął głową.

- Ile chcą?

- To nieistotne.

- Ile? - powtórzyła z naciskiem.

- Dziesięć milionów.

- Boże... - wyszeptała. - Zgodził się tyle zapłacić?

- Nie wahał się nawet przez sekundę.

- Co teraz będzie?

- Znajdziemy sposób, żeby obie strony były zadowolone z wymiany.

- Długo jeszcze?

- Nie, to już prawie koniec.

- Jak długo? - dopytywała.

- Zrobię, co tylko będę mógł, żeby wyciągnąć cię stąd przed świtem.

- Czyli kiedy?

- Jeszcze kilka godzin.

- A potem?

- Zabiorę cię w miejsce, gdzie doprowadzimy cię do ładu i gdzie będziesz mogła odpocząć. Potem wrócisz do domu.

- Do czego mam wracać? - spytała. - Moje życie to ruina, a wszystko przez jeden głupi błąd.

- Nikt nigdy nie dowie się ani o okupie, ani o waszym romansie. Jakby nic się nie wydarzyło.

- Ale prasa się dowie i pismaki rozerwą mnie na strzępy. Zawsze to robią. Właściwie to nie robią niczego innego.

Gabriel chciał odpowiedzieć, ale przerwało mu głośnie stukanie do drzwi. Dwa silne uderzenia żelaznej pięści. Madeline zadrżała z przerażenia, a Gabrielowi na ten widok aż skręcił się żołądek. Dziewczyna szybko naciągnęła worek na jego głowę. Wydawało mu się, że zasłoniła również swoją twarz, ale nie był tego pewny. Przez grube płótno nic nie widział.

- Nie powiedziałaś mi, jak masz na imię.

- To bez znaczenia.

- Kochałam go, wiesz? Naprawdę bardzo go kochałam.

- Wiem.

- Nie wytrzymam wiele dłużej.

- Wiem.

- Musisz mnie stąd wyciągnąć.

- I wyciągnę.

- Kiedy?

- Niedługo - odpowiedział.

Zdjęli mu kajdanki i wsadzili do bagażnika. Samochód ruszył zwirowym podjazdem, po czym pognął wyboistą drogą. W tym samym miejscu co poprzednio wpadli w dziurę, a w podwoziu coś głośnie zazgrzytało. Dotarli do szosy i dalsza podróż przebiegła gładko. Musiał spaść deszcz, bo przez cały czas słychać było, jak woda z jezdni uderza o nadkola. Szum i

cichy stukot ukołysały Gabriela do snu. We śnie zobaczył Madeline: wierzch jej dłoni był wytarty do kości.

- „Nie wytrzymam wiele dłużej.
- Wiem.
- Musisz mnie stąd wyciągnąć.
- I wyciągnę”.

Dziesięć minut po tym, jak Gabriel się ocknął, samochód w końcu stanął. Silnik zgasł, otworzyły się drzwi i dał się słyszeć stukot obcasów o nawierzchnię drogi. A potem nic. Cisza. Tylko cichy szum deszczu i fal w oddali. Przez moment Gabriel bał się, że zostawią go tu, by umarł - zamkniętego w bagażniku, pogrzebanego żywcem. Po chwili jednak w kieszeni jego kurtki zadzwonił telefon.

- Była umowa: żadnego wsparcia.
- Nie myśleliście chyba, że zostawię dziesięć milionów euro w pokoju hotelowym?
- Od tej pory masz robić dokładnie to, co ci każemy. Inaczej dziewczyna umrze.
- Masz moje słowo - odpowiedział Gabriel.

Przez chwilę znów słycać było stukot klawiatury komputera.

- Zapasowy kluczyk jest przyklejony od wewnątrz do klapy, tuż nad twoją głową.

Wracaj do hotelu i czekaj na telefon.

- Ile mam czekać?

Nie padła odpowiedź, połączenie zostało zakończone. Gabriel sięgnął nad głowę i oderwał przyklejony taśmą kluczyk. Otworzył bagażnik i poczuł na twarzy przyjemny dotyk kropel deszczu.

27.

Grand-Fort-Philippe, Francja

Gdy Gabriel wszedł do pokoju w hotelu De la Mer, zastał Kellera wyciągniętego na łóżku i palącego papierosa. Oglądał telewizję: powtórkę meczu Premiership pomiędzy Arsenalem i Fulham. Bez dźwięku.

- Wygodnie ci? - spytał Gabriel.

- Widziałem, jak podjechałeś. - Keller wycelował pilota w ekran i nacisnął przycisk. - I co z nią?

- Żyje.

- Jest źle?

- Tak.

- Co teraz robimy?

- Czekamy na telefon.

Keller włączył telewizor i zapalił kolejnego papierosa.

Gabriela opuścił właściwy mu spokój. Próbował oderwać się choć na moment, oglądając mecz, ale nie mógł. Widok dwudziestu dwóch mężczyzn w krótkich spodenkach biegających za piłką wydał mu się nagle rażący. W końcu ograniczył się do zaparzenia kolejnej filiżanki nieprzeciętnie mocnej kawy rozpuszczalnej i wypicia jej na stanowisku obserwacyjnym przy oknie. Kierunek nurtu w rzece zalewowej się zmienił: woda płynęła teraz w głąb łądu. Gabriel zerknął na zegarek, ale od ostatniego spojrzenia na cyferblat godzina się nie zmieniła: trzecia dwadzieścia dwie. Zostało dowiedzione, pomyślał, że o trzeciej dwadzieścia dwie nigdy nie wydarzyło się nic dobrego.

- Nie zadzwonią - rzucił bardziej do siebie niż do Kellera.

- Oczywiście, że zadzwonią.

- Skąd ta pewność?

- Bo zaszli za daleko - odparł Anglik. - I pamiętaj o jednym: na tym etapie tak samo zależy im na pozbyciu się Madeline, jak tobie na jej uwolnieniu.

- Tego się właśnie boję.

Keller spojrział na niego z poważnym wyrazem twarzy.

- Kiedy ostatnio spałeś?

- We wrześniu.

- Jest jakaś szansa, żebyś pozwolił mi dostarczyć pieniądze?

- Nie ma.

- Musiałem spytać.

- Ładny gest. Doceniam.

Keller skierował spojrzenie na ekran telewizora i lekko ściągnął brwi. Ktoś strzelił przed momentem gola, bo mężczyźni w krótkich spodenkach biegali i skakali rozradowani jak dzieci na placu zabaw. Gabrielowi daleko było do tego stanu. Wpatrywał się w rzekę, myśląc o Madeline, trącej wierzch dłoni, gdy o trzeciej czterdzieści osiem telefon w końcu zadzwonił, dźwięk dzwonka zabrzmiał w uszach Gabriela jak krzyk przerażonej kobiety. Znowu usłyszał głos: cienki, wyzuty z życia i niepoprawnie akcentujący wyrazy. Po kilku sekundach spojrzał na Kellera.

Zaczęło się.

Nie mogli znaleźć recepcjonisty, więc odłożyli klucze na regalik za ladą i wyszli z hotelu, ciągnąc dwie torby na kółkach. Silnik volkswagena jeszcze nie ostygł po ostatniej podróży. Gabriel włożył pieniądze do bagażnika i usiadł za kierownicą. Gdy zamykał drzwi, zaczął dzwonić telefon. Zgodnie z wcześniejszym zaleceniem natychmiast przełączył aparat na tryb głośnomówiący.

- Jedź A16 na Calais - polecił głos. - Cokolwiek się będzie działo, masz się nie rozłączać. Jeśli przerwiesz połączenie, dziewczyna umrze.

- A jeśli zgubię zasięg?

- Nie gub - padło w odpowiedzi.

Jechał czteropasmową ekspresówką ze słupami oświetleniowymi na pasie między jezdniami i idealnie płaskimi polami po obu stronach. Mimo że poza jego volkswagenem na drodze nie było praktycznie innych pojazdów, Gabriel nie przekraczał dozwolonej prędkości: jechał dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jedną ręką trzymał kierownicę, a z drugiej nie wypuszczał ustawionego na tryb głośnomówiący telefonu. Raz po raz sprawdzał na wyświetlaczu jakość zasięgu. Przez większość czasu było to stabilne pięć kresek, ale chwilami pojawiały się niepokojące trzy.

- Gdzie jesteś? - spytał w końcu głos.

- Dojeżdżam do zjazdu do D219.

- Jedź dalej.

Zrobił to. Nic się nie zmieniało: pola po horyzont, światło latarni, raz na jakiś czas jadący z naprzeciwka samochód.

I linia wysokiego napięcia, która zakłócała odbiór. Gdy głos znów się odezwał, słowa przebijały się przez głośny szum.

- Gdzie jesteś?
- Przy D940.
- Jedź dalej prosto.

Linia wysokiego napięcia pozostała z tyłu, odbiór znów był dobry.

- Gdzie jesteś?
- Przy skrzyżowaniu z A216.
- Jedź dalej.

Gdy wyłoniły się światła Calais, Gabriel już nie czekał, aż głos po raz kolejny spyta go, gdzie jest. Zamiast tego sam na bieżąco podawał swoje położenie, by umilać sobie w ten sposób jazdę i nudne raportowania w trybie pytanie-odpowiedź. Po drugiej stronie panowała cisza aż do chwili, gdy Gabriel podał, że zbliża się do zjazdu na D243.

- Zjedź - polecił głos z taką intonacją, jakby zadawał pytanie, a nie wydawał polecenie.
- W którą stronę?

Odpowiedź otrzymał po kilku sekundach. Miał jechać na północ, w stronę morza.

Pierwszą miejscowością, do której dotarł, było Sangatte, smagany wiatrem wianek domów, który wyglądał tak, jakby przeniesiono go z angielskiej prowincji i przerzucono do Francji. Porywacze kazali Gabrielowi jechać dalej, na zachód, wzdłuż kanału La Manche. Minął trzy kolejne wsie: Escalles, Wissant i Tardinghen. Czasem przez siedem minut nie otrzymywał dalszych instrukcji. Po drugiej stronie słyszał tylko ciszę, ale czuł, że zbliża się do celu. W końcu zdecydował, że musi ich przycisnąć.

- Ile jeszcze?
- Jesteś blisko.
- Gdzie dziewczyna?
- Jest bezpieczna.

- Dość tego - powiedział Gabriel - widzieliście pieniądze, wiecie, że nikt za mną nie jedzie. Zakończmy sprawę. Niech dziewczyna wróci do domu.

Cisza. Po chwili głos spytał:

- Gdzie jesteś?
- Przejeżdżam przez Audinghen.
- Widzisz już rondo?
- Moment. - Gabriel pokonał łuk drogi. - Tak, już widzę.

- Zjedź drugim zjazdem i przejedź pięćdziesiąt metrów.

- A potem?

- Zatrzymaj się.

- Czy jest tam dziewczyna?

- Rób, co mówię.

Gabriel zastosował się do polecenia. Przy drodze nie było pobocza, więc nie miał innego wyjścia, jak wjechać na krawężnik i zaparkować na chodniku. Naprzeciwko niego stał długi niski pawilon handlowy z kominami po obu końcach krytego czerwoną blachodachówką dachu. Po prawej znajdowała się łąka. Wysoka trawa uginała się pod naporem deszczu i wiatru. Tuż za łąką było już widać morze.

- Gdzie jesteś? - spytał głos.

- Pięćdziesiąt metrów za rondem.

- Bardzo dobrze. Teraz zgaś silnik i uważnie słuchaj.

Było wyraźnie słychać, że końcowe instrukcje zostały uprzednio nagrane. Automat wyrzucał je z siebie chropawym, ale nieustającym ciągiem. Gabriel miał otworzyć bagażnik i wyrzucić kluczyk w trawę po prawej. Porywacze zostawili Madeline około trzech kilometrów od niego. Była zamknięta w bagażniku ciemnoniebieskiego citroena C4. Kluczyk do auta znajdował się w pudełku na magnes ukrytym w lewym przednim nadkolu. Gabriel miał przez cały czas trzymać w ręku telefon i nie rozłączać się do momentu, w którym znajdzie się przy samochodzie. Chcieli go słyszeć. Żadnej policji, żadnego wsparcia, żadnych zasadzek.

- Źle to wymyśliliście.

- Masz piętnaście minut.

- Albo co?

- Nie marnuj czasu.

Przed oczami Gabriela stanęła Madeline: zamknięta w celi i do krwi raniąca sobie dłoń.

- „Nie wytrzymam wiele dłużej.

- Wiem.

- Musisz mnie stąd wyciągnąć.

- I wyciągnę".

Wysiadł z samochodu i cisnął kluczyk daleko przed siebie. O ile mógł stwierdzić, doleciał on aż do wód kanału. Potem spojrzał na zegar na wyświetlaczu telefonu i zaczął biec.

- Zaczynamy? - spytał głos.

- Tak.

- Pospiesz się. Piętnaście minut. Potem dziewczyna umrze.

28.

Pas-de-Calais, Francja

Trzy kilometry - niby niewiele. Tyle co siedem i pół okrążenia bieżni lekkoatletycznej. Wyczynowy sportowiec pokonałby taką odległość w czasie poniżej ośmiu minut. Regularnie ćwiczący biegacz amator w dobrej formie - w około dwanaście. Jednak dla mężczyzny w średnim wieku, który miał na sobie jeansy i miejskie obuwie, i który w dodatku był dwa razy postrzelony w klatkę piersiową, limit piętnastu minut musiał stanowić spore wyzwanie. I to przy założeniu, pomyślał natychmiast Gabriel, że dystans dzielący go od Citroena rzeczywiście wynosi równe trzy kilometry. Kilkaset dodatkowych metrów i dotarcie na czas może okazać się niewykonalne.

Droga była, Bogu dzięki, płaska. Przemieszczał się w stronę wody, więc momentami biegł z górki, jednak silny wiatr od morza wiał mu prosto w twarz. Niesiony gniewem i adrenaliną Gabriel wyrwał do przodu. Po paruset metrach zwolnił do tempa, które, jak szacował, pozwoli mu pokonać jeden kilometr w pięć minut. W prawej ręce ścisnął włączony telefon, lewą utrzymywał rozluźnioną. Z początku udawało mu się utrzymać równy oddech, jednak dość szybko stał się on urywany, a Gabriel poczuł w gardle rdzawy posmak. To wszystko wina Szamrona, pomyślał ze złością. Szamron i te jego cholerne papierosy.

Za długim pawilonem nie było już nic: żadnych zabudowań czy domków letniskowych. Żadnych latarni. Tylko czerń pól po obu stronach drogi i wskazująca trasę przez ciemności przerywana linia na asfalcie. Odstępy między jej odcinkami były tej samej długości co same wymalowane białą farbą odcinki. Dwa kroki po linii, dwa kroki na każdy odstęp. Wykorzystywał je, by utrzymać równe tempo. Piętnaście minut. Piętnaście minut na pokonanie trzech kilometrów.

- „Albo co?”

- Nie trać czasu”.

Po pięciu minutach łydki ciążyły mu jak bryły granitu, a skórzana kurtka powodowała, że bardzo się pocił. Spróbował zdjąć ją w biegu, ale nie dał rady. Przystanął na kilka sekund, zerwał ją z siebie i odrzucił w pole. Gdy ruszył, zobaczył w oddali bladożółtą lunę, a potem dwa snopy słabego światła. Zza niewielkiego wzniesienia wyjechał samochód na światłach pozycyjnych. Po chwili minął Gabriela z dużą prędkością. Ten zdołał tylko zauważyć, że to furgon z budą. Z przodu siedziało dwóch ludzi w kominiarkach. Kurierzy, nie miał wątpliwości, jadą po okup. Nie odwrócił się nawet, by spróbować dostrzec coś więcej.

Zamiast tego starał się nie zwracać uwagi na pieczenie w łydkach i klucie ostrego deszczu na twarzy. Dwa kroki po linii, dwa na każdy odstęp. Piętnaście minut na pokonanie trzech kilometrów.

„Kiedy dziewczyna umrze, poznacie prawdę...”

Podbiegł pod niewielkie wzniesienie i daleko w dole zobaczył szereg jasnych świateł. Domy w Audresselles, pomyślał. To wieś nad samym morzem, na południe od latarni w Cap Gris Nez. Spojrzał na telefon: upłynęło osiem minut, zostało siedem. Czuł, że chwilami gubi tempo. Drętwiał mu kark. Żałował, że nie dbał bardziej o swoje ciało, ale przede wszystkim nie potrafił odpędzić wspomnienia z Wiednia. Wspomnienia samochodu stojącego na skraju ośnieżonego placu. I silnika, który nie od razu zaskoczył. Nie mógł - bomba ciągnęła prąd z akumulatora. Spojrzał na telefon. Minęło dziewięć minut. Postać sześć. Dwa kroki po linii, dwa na każdy odstęp.

Uniósł telefon do ust:

- Macie pieniądze?

Nim głos udzielił odpowiedzi, minęło kilka sekund.

- Pieniądze są. Pięknie dziękujemy.

Głos. Cienki, wyzuty z życia, niepoprawnie akcentujący wyrazy. Ale Gabriel i tak przysięgłby, że jakimś cudem zabrzmiało w nim rozbawienie.

- Musicie dać mi więcej czasu.

- To niemożliwe.

- Nie dam rady.

- Musisz się bardziej postarać.

Sprawdził czas. Minęło dziesięć minut, zostało pięć. Trzy kroki po linii, po trzy na każdy odstęp.

- Idę po ciebie, Leah! - krzyknął pod wiatr. - Nie przekręcaj kluczyka!

Przebiegł obok dworku o rozłożystej bryle, nowo zbudowanego, ale mającego udawać stary. Droga wyraźnie opadała ku wodzie, w powietrzu unosił się zapach morskiej piany, a na języku Gabriel poczuł smak soli. Z ciemności wyłonił się znak: dwieście metrów do wejścia na plażę.

I wtedy zobaczył citroena. Samochód stał na piaszczystym parkingu z przednimi światłami wycelowanymi wprost w Gabriela, zupełnie jakby przypatrywał mu się, jak pędzi przed siebie bez opamiętania. Spojrzał szybko na zegar w telefonie. Upłynęło trzynaście minut. Wiedział już, że zdąży z zapasem. Mimo to na ostatnim odcinku starał się nie zwolnić.

Wyrzucał nogi przed siebie i mocno pracował rękami. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z klatki piersiowej. Niedotleniony mózg zaczynał już swoje gierki. W jednej chwili Gabriel widział zaparkowanego przy plaży citroena, a zaraz potem mercedesa na ośnieżonym wiedeńskim placu. Przysięgłby też, że słyszy męczący się rozrusznik. Ostatnie, co zapamiętał, to to, że krzyknął coś niezrozumiałego ułamek sekundy przed tym, jak oślepił go blask eksplozji. Fala uderzeniowa rzuciła nim z siłą pędzącego auta, zwalając z nóg i ciskając do tyłu. Przez kilka minut leżał, dysząc, na zimnym asfalcie. Próbował dociec, czy to, co się właśnie dzieje, to rzeczywistość, czy tylko sen.

Część druga
Szpieg

29.

Audresselles, Pas-de-Calais

Pora była wczesna, a miejsce zdarzenia odludne, dlatego jakakolwiek reakcja nastąpiła późno. W toku prac, wiele dni później, specjalna komisja śledcza udzieliła reprimendy miejscowemu dowódcy żandarmerii. Sformułowano także szereg górnolotnie brzmiących zaleceń, które w większości zostały zignorowane. W niedużej, urokliwej rybackiej wsi, jaką było Audresselles, wzajemne obrzucanie się oskarżeniami było ostatnią rzeczą, na jaką ludzie mieli ochotę. Jeszcze wiele miesięcy po zdarzeniu wciąż zaszokowani mieszkańcy mówili o nim tylko ponurym szeptem. Pewna osiemdziesięcioletnia kobieta, której rodzina mieszkała we wsi, jeszcze gdy panował na tych terenach angielski król, powiedziała, że nie przeżyła niczego równie strasznego od momentu, gdy naziści zatknęli flagę ze swastyką na gminnym ratuszu. Nikt nie przejął się do końca jej stwierdzeniem. Uznano je za nieco przesadne. W Audresselles, mówili ludzie, zdarzały się gorsze rzeczy. Kłopot w tym, że gdy ich przycisnąć, nikt nie potrafił podać jednego choćby przykładu.

Audresselles to ledwie dwa tysiące akrów. Fala uderzeniowa powstała przy wybuchu zatrzęsała szybami wszystkich okien jak gmina długa i szeroka. Kilkoro przestraszonych mieszkańców natychmiast zadzwoniło po żandarmerię, ale nim pierwszy radiowóz dotarł na piaszczysty parking tuż przy plaży, minęło dwadzieścia długich minut. Znajdował się tam stojący w płomieniach citroen C4. Wysoka temperatura uniemożliwiała zbliżenie się na mniej niż trzydzieści metrów. Minęło kolejnych dziesięć minut, nim pojawiła się straż pożarna. Do czasu gdy udało się zdławić płomienie, z samochodu nie zostało nic poza stertą osmolonej blachy. Z powodów, których nigdy nie wyjaśniono, to jeden ze strażaków pierwszy zajrzał do bagażnika. Natychmiast opadł na kolana i zwymiotował. Wtedy do auta podszedł pierwszy z żandarmów. Zareagował jednak niewiele lepiej. Dopiero drugi, wyga z dwudziestoletnim stażem, zdołał zapanować nad sobą na tyle, by upewnić się, że osmolona, czarna masa w kufrze to pozostałości ludzkiego ciała. Skontaktował się wtedy przez radio z dyżurnym w komendzie w Pas-de-Calais. Poinformował, że zgłoszenie dotyczące samochodu przy plaży w Audresselles to odtąd śledztwo w sprawie morderstwa. I to wyjątkowo odrażającego.

Nim zaświtało, na miejscu zdarzenia pojawił się tuzin detektywów i techników kryminalistycznych. Pracowali w skupieniu obserwowani przez chyba połowę miejscowości. Ze wszystkich jednak mieszkańców Audresselles jedynym, który miał im do powiedzenia coś użytecznego, był Léon Banville, właściciel nowo wybudowanego dworku na obrzeżach

miejsowości. Tak się złożyło, że o piątej dziewięć *monsieur* Banville nie spał i zobaczył mężczyznę, który miał na sobie swobodny, miejski ubiór. Przebiegł tuż pod jego oknami, krzycząc coś w języku, którego Banville nie potrafił zidentyfikować. Policja natychmiast przeszukała drogę, ale znaleziono tylko skórzaną kurtkę, która pasowałaby na mężczyznę średniej postury i średniego wzrostu. Poza tym nic. Nigdy nie odnaleziono ani kluczyka, który nieznany mężczyzna cisnął daleko w pole, ani samochodu, którym przyjechał. Volkswagen zniknął bez śladu wraz z dziesięcioma milionami euro zapakowanymi do dwóch czarnych toreb.

Wysoka temperatura poważnie uszkodziła zamknięte w bagażniku zwłoki. Nie zniszczyła ich jednak doszczętnie. Biegłym udało się ustalić, że ofiara była młodą kobietą w wieku około trzydziestu lat lub tuż po trzydziestce i miała nieco ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Opis ten pasował z grubsza do Madeline Hart - dziewczyny z Anglii zaginionej pod koniec sierpnia na Korsyce. Francuscy policjanci po cichu nawiązali kontakt z kolegami zza kanału La Manche, którzy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dostarczyli im pochodzącą z londyńskiego mieszkania panny Hart próbkę DNA. Przeprowadzony w trybie pilnym test porównawczy potwierdził, że próbka londyńska i próbka pobrana z samochodu do siebie pasują. Szef francuskiego MON zawiadomił szefa brytyjskiego Home Office. Potem na naprędce zwołanej konferencji prasowej w Paryżu podał informację o śmierci kobiety. Madeline Hart nie żyła. Tylko kto ją zamordował? I dlaczego?

Pogrzeb odbył się w kościele Świętego Andrzeja w Basildon, niedaleko małego komunalnego domu, w którym dorastała Madeline. Premier Jonathan Lancaster w nim nie uczestniczył - nie pozwoliły mu na to obowiązki. Tak przynajmniej powiedział jego rzecznik prasowy, Simon Hewitt. Za to personel głównej siedziby partii stawił się na pogrzebie niemal w komplecie. Był również Jeremy Fallon, który nad grobem Madeline nie wstydził się łez. Skłoniło to jednego z reporterów do podzielenia się z innymi spostrzeżeniem, że być może jednak ten człowiek ma serce. Po uroczystości Fallon rozmawiał krótko z matką i bratem Madeline. Tych dwoje, w tłumie elegancko ubranych londyńczyków, było jakby nie na miejscu. „Tak mi przykro - podsłuchano jego słowa. - Tak bardzo mi przykro”.

Raz jeszcze ekipa polit-technologów Lancastera odnotowała wzrost jego notowań, tym razem jednak wykazano się przyzwoitością i nie mówiono o „efekcie Madeline”. Mając najwyższe poparcie od początku kadencji, premier odleciał do Moskwy na spotkanie na szczycie. Zapowiedział tam nową erę relacji brytyjsko-rosyjskich, w szczególności w zakresie zwalczania terroryzmu, polityki finansowej oraz energetyki. Kilku prawicowych

komentatorów skrytykowało Lancastera za to, że nie spotkał się z liderami rosyjskich ruchów prodemokratycznych, jednak większość brytyjskiej prasy chwaliła jego powściągliwość. W sytuacji gdy brytyjska gospodarka ledwo zipie, pisała większość dziennikarzy, ostatnim, czego nam trzeba, jest nowa zimna wojna.

Po powrocie do Londynu premier raz po raz słyszał zadawane na różne sposoby pytanie o to, czy ogłosi wybory. Przez dziesięć dni zwodził dziennikarzy, gdy tymczasem Simon Hewitt umiejętnie zarządzał kolejnymi kontrolowanymi przeciekami, które nie pozostawiały wątpliwości, że rozpisanie wyborów to tylko kwestia czasu. Kiedy więc w końcu Lancaster pojawił się w Izbie Gmin i ogłosił, że będzie ubiegał się o odnowienie mandatu, został uzyskany efekt antyklmaksu. Tamtego dnia znacznie ciekawszym doniesieniem okazała się pogłoska, jakoby Jeremy Fallon miał porzucić dające ogromną władzę stanowisko na Downing Street, by starać się o bezpieczny mandat parlamentarny. Liczne relacje prasowe - żadna do końca nie potwierdzona - mówiły, że jeżeli Lancasterowi uda się pozostać przy władzy przez kolejną kadencję, Fallon zostanie kanclerzem skarbu. Sam zainteresowany kategorycznie dementował informacje. Posunął się nawet do stwierdzenia, że premier i on ani razu nie rozmawiali poważnie o jego przyszłości. Oczywiście żaden z członków korpusu prasowego Whitehall nie uwierzył w te zapewnienia.

Skończył się październik, zaczął listopad, a kampania wyborcza ruszyła na dobre, Madeline Hart znów zniknęła z pierwszych stron gazet. Okazało się to błogosławieństwem dla francuskiej policji, ponieważ zniknęli wreszcie wścibscy reporterzy z Wysp, mogła się spokojnie zająć pracą. Jednym z najistotniejszych postępów w śledztwie było odnalezienie czterech ciał w położonej na uboczu willi w Lubéron. Wszystkich zabitych zidentyfikowano jako członków znanego z brutalności marsylskiego gangu. Troje zginęło od strzałów w głowę. Wyglądało na to, że zabił ich zawodowiec. Czwarta osoba, kobieta, została dwukrotnie trafiona w klatkę piersiową. Jeszcze bardziej interesującym znaleziskiem w willi była jednak cela: specjalnie przygotowana klitka w suterenie. Policja nie miała wątpliwości, że to tam przetrzymywano Madeline po uprowadzeniu z Korsyki. Prawdopodobnie przez długi czas. Nie było wykluczone, że została wykorzystana seksualnie, ale proweniencja czworga pilnujących jej osób raczej na to nie wskazywała. To nie były seksualne drapieżniki ani zboczeńcy, tylko czwórka zawodowych przestępców. Interesowały ich wyłącznie pieniądze. Wszystkie poszlaki wskazywały na to, że Madeline była przetrzymywana dla okupu i że doszło do szantażu, o którym z jakiegoś dziwnego powodu policja nigdy się nie dowiedziała.

Tylko po co ktoś miałby porywać pochodzącą z klasy robotniczej dziewczynę, która dorastała w bloku w Essex? I kto zabił czworo bandytów w Lubéron? A były to tylko dwa z

pytań, na które francuska policja wciąż nie potrafiła udzielić odpowiedzi po potwornej śmierci Madeline. Nie udało się też ustalić tożsamości biegnącego mężczyzny, którego o piątej dziewięć wypatrzył z okna swojego domu *monsieur* Banville. Pewien doświadczony detektyw, który pracował przy wielu sprawach porwań, jako jedyny miał teorię. „Ten biedak miał dokonać wymiany - powiedział z przekonaniem do kolegów. - Gdzieś po drodze popełnił błąd i dlatego dziewczyna zginęła”.

Ale gdzie ten człowiek jest teraz? Mogli tylko zakładać, że liże rany, zaszyty w jakimś ustronnym miejscu. Francuscy śledczy mieli nigdy się o tym nie dowiedzieć, ale ich domysły były w stu procentach trafne.

Wiele rzeczy związanych z biegnącym mężczyzną nawet by się jednak francuskim policjantom nie przyśniło. Do głowy by im nie przyszło, że coś podobnego mogłoby mieć miejsce. W najśmielszych snach nie podejrzewaliby, że mężczyzną tym był Gabriel Allon, legendarny izraelski szpieg i zabójca, który bezkarnie pojawiał się i działał na francuskiej ziemi, odkąd skończył dwadzieścia lat. Ani że tym, kto wyciągnął go z miejsca zbrodni i zawiózł w bezpieczne miejsce, był nie kto inny jak Christopher Keller - mieszkający na Korsyce zawodowy zabójca, na którego temat francuska policja otrzymywała sygnały od lat. Jeszcze dziwniejsze wydałoby się im to, że obaj mężczyźni - kiedyś zaciekli rywale - dotarli razem do nadmorskiego domu w Cherbourgu, gdzie czekali na nich izraelscy agenci. Keller został tam tylko przez kilka godzin, po czym po cichu wrócił na Korsykę, ale Chiara i Gabriel spędzili w domu tydzień, czekając, aż na twarzy Gabriela zagoją się wszystkie drobne rozcięcia. W dniu, w którym odbył się pogrzeb Madeline Hart, pojechali na paryskie lotnisko Charles de Gaulle i wsiedli do lecącego do Tel Awiwu samolotu linii El Al. Nim zapadł zmrok, byli w mieszkaniu przy ulicy Narkissa.

Pod nieobecność Gabriela Chiara przeniosła obraz na sztalugach oraz wszystkie chemikalia i przybory do pokoju, który od zawsze miał mu służyć za studio. On jednak już następnego ranka, gdy Chiara wyszła do pracy, przeniósł wszystko z powrotem do salonu. Spędził trzy dni, niemal nie odchodząc od płótna. Stał przed nim od wczesnego ranka aż do późnego popołudnia, do powrotu Chiary. Starał się odpędzić koszmarnie wspomnienia z Francji, ale nie pozwalał mu na to obraz przedstawiający piękną kąpiącą się w ogrodzie kobietę. Madeline nieustannie zaprzętała jego myśli. Najtrudniejszy był czwarty dzień, gdy Gabriel przystąpił do uzupełnienia rozległych ubytków na rękach Zuzanny. Mimo skaz i braków widać było mistrzowską pracę pędzla Bassana. Retusz udało się jednak Gabrielowi tak znakomicie, że jego skromnym zdaniem niemal nie sposób było odróżnić uzupełnień od

części oryginalnej. Zaryzykowałby nawet nieskromne stwierdzenie, że w kilku miejscach przewyższył mistrza. Chciałby przypisać to osiągnięcie sobie, ale nie mógł. To Madeline go zainspirowała.

Zmuszał się, by wczesnym popołudniem robić sobie przerwę na lunch. Oczywiście łądował z talerzem przed ekranem komputera i zaraz, niemal odruchowo, zaczynał przeczesywać internet w poszukiwaniu informacji o postępach francuskiego śledztwa w sprawie śmierci Madeline. Dziennikarze nie mogli oczywiście wiedzieć wszystkiego, ale wyglądało na to, że francuska policja nie była świadoma jego zaangażowania w sprawę. Nie znalazł też w brytyjskich serwisach sugestii, że Jonathan Lancaster mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem i śmiercią Madeline. Wygląda na to, pomyślał, że Fallonowi i Lancasterowi udało się dokonać niemożliwego. Teraz zaś, jeśli wierzyć sondażom, zmierzają w stronę spektakularnego wyborczego zwycięstwa. Nietrudno zgadnąć, iż żaden z nich nie próbował skontaktować się z Gabrielem. Nawet Graham Seymour odczekał trzy długie tygodnie, nim w końcu zadzwonił. Sądząc po szmerze w tle, telefonował z budki na stacji Paddington.

- Nasz wspólny znajomy przesyła pozdrowienia - zaczął ostrożnie. - Zastanawia się, czy może ci się jakoś odwdzięczyć.

- Może mi kupić nową skórzaną kurtkę - odpowiedział Gabriel, starając się mówić weselej, niż wynikałoby to z jego nastroju.

- Jaki rozmiar?

- Emka. Z ukrytą kieszenią na fałszywy paszport i broń.

- Powiesz mi kiedyś, jak to zrobiłeś, że cię nie aresztowali?

- Kiedyś, Graham.

Seymour milczał. Spiker podał przez głośniki, że zaraz odjeżdża pociąg do Oxfordu.

- Jest ci wdzięczny - powiedział w końcu Anglik. - Wie, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

- Ale to nie wystarczyło, żeby ją uratować.

- Przyszło ci do głowy, że może nigdy nie zamierzali nam jej oddać?

- Tak - odpowiedział Gabriel - ale zapewniam cię, że nie mam pojęcia, dlaczego mieliby chcieć tak to rozwiązać.

- Chcesz, żebym mu coś przekazał?

- Przypomnij mu, że tamci wciąż mają nagranie.

- Nie ma dziewczyny, nie ma afery.

Jeśli intencją Seymoura było podniesienie Gabriela na duchu, to poległ z kretesem. Można powiedzieć, że jego telefon odniósł skutek odwrotny do zamierzonego: w ciągu

kolejnych dni Gabriel był w jeszcze mroczniejszym nastroju. Koszmary nie pozwalały mu spać. Śniło mu się, że biegnie w stronę samochodu, który z każdym jego krokiem oddala się, zamiast przybliżać. W jego snach pełno było ognia i krwi. W podświadomości Gabriela Madeline i Leah stały się nie do odróżnienia. Jedną z nich kochał, drugą przyrzekł chronić, obie pożarły płomień. Był przygnębiony i rozgoryczony. Przede wszystkim jednak miał dojmujące poczucie klęski. Dał Madeline słowo, że wyciągnie ją z tego wszystkiego żywą, i zawiódł ją. Dziewczyna zginęła upiorną śmiercią, płonąc związana i zakneblowana w stalowej trumnie. Miał cień nadziei, że porywacze ją odurzyli. Pod wpływem silnych środków nie czułaby bólu ani przerażenia.

Dlaczego ją zabili? Czy to Gabriel popełnił błąd, który kosztował ją życie? A może porywacze od początku zamierzali zamordować dziewczynę na jego oczach? Może chcieli zmusić go, by patrzył bezsilnie, jak płonie. Taką możliwość podsunęła mu pewnego wieczoru Chiara. Zadała mu to pytanie, gdy szli ulicą Ben Jehudy. W odpowiedzi Gabriel opisał jej wizję signadory. Opowiedział Chiarze, jak staruszka zobaczyła w oliwie i wodzie dawnego wroga. Wroga Gabriela, nie Kellera.

- Nie wiedziałam, że masz jakichś wrogów w półświatku Marsylii.

- Bo nie mam. A przynajmniej o żadnym nie wiem. Ale jest przecież możliwe, że tamci, porywając Madeline, działali na polecenie kogoś innego.

- Kogo?

- Kogoś, kto chciał ukarać mnie za coś, co zrobiłem w przeszłości. Kogoś, kto chciał mnie upokorzyć.

- Czy *signadora* powiedziała ci coś jeszcze?

- „Kiedy dziewczyna umrze, poznacie prawdę”.

Gdy wrócili do domu, było kilka minut po dwudziestej pierwszej. Gabriel postanowił spędzić jeszcze trochę czasu przy sztalugach. Do poplamionego farbą przenośnego odtwarzacza wsunął płytę z *Cyganerią*. Ściszył dźwięk niemal do poziomu szeptu. Pracował tej nocy, doskonale wiedząc, jaki cel chce osiągnąć. Nie czuł się tak od powrotu do Jerozolimy. Nie usłyszał, że opera się skończyła, i nie zauważył, że za oknem wstaje świt. O brzasku odłożył pędzel i stanął nieruchomo przed obrazem, dłonią sięgnąwszy do podbródka, a głowę pochyliwszy na bok.

- Skończyłeś? - spytała Chiara, przyglądając mu się uważnie.

- Nie - odparł Gabriel, wciąż patrząc na obraz - dopiero zaczynam.

30.

Tyberiada, Izrael

Szamron zaprosił ich, by w szabas zjedli kolację z nim i z jego żoną. Inna sprawa, że „zaproszenie” to nie jest właściwe słowo, bo zaproszenie można grzecznie odrzucić. Tu mowa była raczej o nienaruszalnym przykazaniu wyrytym w kamieniu. Gabriel spędził poranek na ustalaniu sposobu wysyłki obrazu do Londynu, do Juliana Isherwooda. Potem pojechał do Jerozolimy i odebrał Chiarę z muzeum. Gdy pędzili autostradą przez Szaar HaGai, głęboki wąwóz łączący Jerozolimę z nadmorskimi równinami, palestyńscy bojownicy wystrzelili kilka rakiet, które doleciały aż do Aszdodu. Atak nie spowodował dużych zniszczeń i było tylko kilkoro rannych. Wystarczył jednak, by w wąskiej „talii Izraela” powstał gigantyczny korek złożony z setek samochodów, których kierowcy wracali na weekend do domów. Takie rzeczy tylko w Izraelu, pomyślał Gabriel. Dopiero po godzinie auta ruszyły. Dobrze było znów być w domu.

Gdy w końcu dotarli do nadbrzeżnych równin, skierowali się na północ, do Galilei, a potem na wschód. Przejechawszy przez ciąg kilku arabskich miejscowości, dotarli w końcu do Tyberiady. Miodowej barwy willa Szamrona stała kilka kilometrów od miasta, na wzniesieniu tuż nad Jeziorem Galilejskim. Od strony szosy prowadził do niej stromy podjazd. W progu domu Chiarę i Gabriela powitała żona Ariego, Gilah. Szamron stał przed telewizorem z telefonem przy uchu. Okulary w brzydkich metalowych oprawkach zsunął na czoło i ścisnął palcami nasadę nosa. Jeśli kiedykolwiek miano by postawić mu pomnik - pomyślał Gabriel - trzeba go będzie uwiecznić w takiej właśnie pozie.

- Z kim rozmawia? - spytał Gabriel.

- A jak sądzisz? - odparła Gilah.

- Z premierem?

Gilah skinęła głową.

- Ari uważa, że trzeba przeprowadzić atak odwetowy. Premier nie jest co do tego przekonany.

Gabriel wręczył jej butelkę wina, w stylu bordeaux, ale ze wzgórz Judei. Pocałował w policzek. Miała cerę gładką jak aksamit i pachniała liliami.

- Powiedz mu, żeby już skończył - poprosiła. - Ciebie posłucha.

- Już wołałbym oberwać którąś z palestyńskich rakiet.

Uśmiechnęła się i zaprowadziła go do kuchni. Na blatach i stole stało mnóstwo

półmisków i pater ze smakowicie wyglądającym jedzeniem. Gilah musiała spędzić na jego przyrządzaniu cały dzień. Gabriel próbował podkraść kęs specjalności zakładu, bakłazana z marokańską mieszanką przypraw, ale pani domu z uśmiechem odsunęła jego rękę.

- Ile osób zamierzasz dziś nakarmić?

- Miał przyjechać Yonatan z rodziną, ale wygląda na to, że z powodu ataku nie dotrze.

Yonatan był najstarszym z dzieci Szamrona i generałem IDF⁵, Armii Obrony Izraela. Krążyły pogłoski, że zostanie szefem sztabu generalnego.

- Za kilka minut usiądziemy do stołu - powiedziała Gilah. - Posiedź z nim przez chwilę. Bardzo za tobą tęsknił.

- Nie było mnie tylko dwa tygodnie.

- Na tym jego etapie życia to bardzo długo.

Gabriel otworzył wino, napełnił dwa kieliszki i zaniósł je do pokoju. Szamron nie rozmawiał już przez telefon, ale wciąż wpatrywał się w ekran telewizora.

- Właśnie wystrzelili następne - powiedział. - Powinny uderzyć za kilka sekund.

- Będzie odpowiedź?

- Na razie nie, ale jeśli to dłużej potrwa, nie będziemy mieli innego wyjścia. Pytanie brzmi, jak zachowa się Egipt. Teraz rządzi tam przecież Bractwo Muzułmańskie. Czy będą się przyglądali, jak atakujemy Hamas, który koniec końców jest ich skrzydłem? Zobaczymy, czy uchowają się postanowienia z Camp David.

- Co mówi Uzi?

- Na tym etapie Biuro nie potrafi przewidzieć, co zrobią Egipcjanie, jeśli wejdziemy do Strefy Gazy. Właśnie dlatego premier zdecydował się nic nie robić, przynajmniej na razie. A tymczasem ludziom spadają na głowę rakiety.

Gabriel rzucił okiem na ekran, po czym wyłączył telewizor i wyprowadził Szamrona na taras. W Tyberiadzie było cieplej niż w Jerozolimie. Lekki wiatr wiejący znad Wzgórz Golan delikatnie marszczył srebrzystą taflę jeziora. Szamron usiadł na jednym ze stojących przy balustradzie metalowych krzeseł i natychmiast zapalił cuchnącego papierosa. Gabriel usiadł obok niego i podał mu kieliszek wina.

- Na serce nie pomaga - stwierdził Szamron, wypiwszy łyk - ale w ramach wtórnego infantylizmu nawet je polubiłem. Chyba daje mi namiastkę tego, na co nigdy nie miałem czasu: wakacje, wino, rodzina i dzieciaki. - Przerwał i dodał po chwili: - Życie.

- Wciąż masz czas, Ari.

⁵ IDF - Izrael Defence Forces; Armia Obrony Izraela.

- Oszczędź mi banałów - mruknął Szamron. - Czas to mój wróg.
- Więc dlaczego tracisz czas na politykę?
- Dbanie o bezpieczeństwo kraju to nie polityka.
- Bezpieczeństwo to tylko rozwinięcie polityki, Ari.
- A ty co byś doradził premierowi po tym ataku?
- Uzi jest od doradzania, nie ja.

Szamron zmienił temat.

- Z dużym zainteresowaniem śledziłem doniesienia z Londynu. Wygląda na to, że Lancaster idzie po zwycięstwo.

- Chyba żaden polityk na świecie nie ma tyle szczęścia co on.
- Warto mieć w życiu szczęście. Ja nie miałem go za wiele. Ty w sumie też nie.

Gabriel nie odpowiedział.

- Nie muszę chyba mówić - ciągnął Szamron - że liczymy na to, iż sondaże się potwierdzą i Lancaster wygra. A jeśli tak się stanie, to możemy być pewni, że będzie najbardziej proizraelskim brytyjskim premierem od czasów Balfoura.

- Kawał bezwzględniego złamasa z ciebie, Ari.

- Ktoś musi taki być. - Szamron spojrzał z powagą na Gabriela. - Przepraszam, że w ogóle cię w to wciągnąłem.

- Dostałeś to, co chciałeś - odparł Gabriel. - Lancaster równie dobrze mógłby znaleźć się oficjalnie na liście płac Biura. Jest najgorszym przywódcą państwa: ktoś ma na niego haka.

- Sam się tak załatwił, to nie nasza wina.
- To prawda - zgodził się Gabriel - ale zapłaciła za to Madeline.
- Musisz się bardzo postarać i o niej zapomnieć.
- Powiedziałem porywaczom coś, co chyba niestety sprawia, że to niemożliwe.
- Groziłeś, że ich zabijesz, jeżeli ją skrzywdzą?

Gabriel skinął głową.

- Grożenie śmiercią jest jak przyrzekanie dozgonnej miłości podczas namiętnego seksu: łatwo przychodzi i szybko się o tym zapomina.

- To nie mój przypadek.

Szamron zgasił papierosa.

- Zaskoczyłeś mnie, mój synu. Ale nie Uziego. On przewidział, że będziesz chciał ich ścigać. Dlatego zdjął już sprawę z tapety.

- Więc zrobię to bez jego wsparcia.

- To by oznaczało, że wylądujesz w terenie sam, bez dostępu do zasobów Biura i bez jego ochrony.

Gabriel milczał.

- A gdybym zabronił ci wyjechać? Posłuchałbyś?

- Tak, *abba*⁶.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony Szamron.

Odpowiedzią było skinienie głowy.

- A gdybym pozwolił ci jechać, znaleźć ich i wymierzyć sprawiedliwość, na co mógłbym liczyć w zamian?

- Czy ty zawsze musisz negocjować?

- Tak.

- Czego chcesz?

- Wiesz czego. - Szamron zrobił pauzę, po czym dodał:

- Premier chce tego samego.

Szamron wypił łyk wina i zapalił kolejnego papierosa.

- Żyjemy w niespokojnych czasach, a wyzwania, jakie staną przed nami, będą coraz poważniejsze. Decyzje, które podejmiemy w ciągu najbliższych miesięcy i lat, przesądzą o tym, czy całe przedsięwzięcie pod tytułem „Izrael” powiedzie się, czy zdechnie. Jak możesz nie skorzystać z szansy, by mieć wpływ na bieg historii?

- Już to robiłem, Ari. Niejeden raz.

- A teraz odłóż pistolet na półkę i do walki z naszymi wrogami zacznij używać mózgu. Wykradaj ich tajemnice, werbuj ich szpiegów, generałów i agentów. Rób zmyłki i pozbawiaj pewności. „Albowiem podstępem będziesz prowadził wojnę”⁷, mój synu.

Gabriel milczał. Zapadał zmrok, niebo nad wzgórzami robiło się granatowo-czarne, a jezioro stało się niewidoczne. Szamron kochał widok ze swojego tarasu, miał poczucie, że ma oko na czyhającego w oddali nieprzyjaciela. Gabriel kochał go, bo ten właśnie widok miał przed oczami, w chwili gdy składał Chiarze przysięgę małżeńską. Teraz miał złożyć obietnicę innego rodzaju. Obietnicę, która uczyni starego człowieka bardzo szczęśliwym.

- Nie zamierzam być tylko stroną w jakimkolwiek przewrocie pałacowym - oznajmił w końcu. - Między mną a Uzim bywały nieporozumienia, ale ostatecznie zostaliśmy przyjaciółmi.

Szamron uznał, że lepiej teraz nic nie mówić. Umiał przesłuchiwać i wiedział, kiedy

⁶ *Abba* (aram.) - ojciec.

⁷ Albowiem... - dawne motto Mosadu.

milczeć.

- Jeśli premier nie nominuje Uziego na kolejną kadencję, rozważę objęcie posady szefa Biura.

- Liczyłem na coś więcej.

- Nic więcej teraz nie dostaniesz.

- Widzę, że zrobiłeś się ostrzejszy po negocjacjach z porywaczami.

- To prawda.

- Gdzie zamierzasz zacząć?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Skąd weźmiesz pieniądze?

- Znalazłem parę tysięcy euro. Walały się na łodzi w Marsylii.

- Czyja to była łódź?

- Przemysłnika, który nazywał się Marcel Lacroix.

- Gdzie on teraz jest?

Gabriel powiedział.

- Biedak.

- Będzie więcej takich jak on.

- Tylko pilnuj się, żebyś nie skończył jak jeden z nich. Mam wobec ciebie plany.

- Powiedziałem, że to rozważę, Ari. Na nic się jeszcze nie zgodziłem.

- Wiem - odparł Szamron. - Ale wiem też, że nigdy nie wprowadziłbyś mnie celowo w błąd tylko po to, żeby coś ode mnie wyciągnąć. Masz sumienie.

- Ty też, Ari. Dlatego w nocy nie możesz zasnąć.

- Coś mi mówi, że dziś będę spał jak niemowlę.

- Nie rozpędzaj się - powiedział Gabriel. - Muszę jeszcze pomówić o tym z Chiarą.

Szamron się uśmiechnął.

- Co cię tak bawi? - spytał Gabriel.

- A jak myślisz, czyj to był pomysł?

- Kawał bezwzględnego złamasa z ciebie.

- Ktoś musi taki być.

Ale gdzie rozpocząć poszukiwania zabójców Madeline? Najlogiczniejsze byłoby zagłębić się na początek w kręgi marsyjskiego światka przestępczości zorganizowanej, odszukać współpracowników Marcela Lacroix i Brossarda. Przekupować, przesłuchiwać, paru zrobić krzywdę, jeśli będzie taka konieczność, i w końcu ustalić tożsamość człowieka,

który nazywał siebie Paulem. Człowieka, który w dniu zniknięcia Madeline zjadł z nią lunch w Les Palmiers i który mówił po francusku, jakby nauczył się go z kasety. Plan ten miał jednak pewne wady. Jeśli Gabriel pojedzie do Marsylii, prawie na pewno prędzej czy później zetknie się z francuską policją. Poza tym człowieka, który nazywa się Paul, zapewne od dawna już tam nie ma. Ostatecznie więc postanowił Gabriel zacząć poszukiwania nie od sprawców, a od dwóch ofiar. Ktoś wiedział o romansie Lancastera i Madeline i ktoś przekazał tę informację Paulowi. Trzeba znaleźć tego kogoś, a droga od niego do Paula będzie prosta.

Na razie jednak Gabriel musiał odszukać jeszcze kogoś. Kogoś, kto śledził drogę Lancastera do władzy i kto znał dynamikę jego relacji z Jeremym Fallonem. Kogoś, kto wiedział o wszystkich politycznych trupach w szafie.

Znalazł tę osobę następnego dnia rano, czytając relację prasową na temat kampanii wyborczej w Wielkiej Brytanii. Spotkanie z nią wiązało się ze sporym ryzykiem, a nawet z niebezpieczeństwem. Jeśli jednak miało dostarczyć informacji, które naprowadzą go na trop zabójców, warto było to ryzyko podjąć.

Resztę poranka spędził, przygotowując szczegółowe dossier. Potem się spakował: dwie zmiany ubrań, dwie zmiany tożsamości. Wieczorem odleciał z Tel Awiwu do Paryża, by następnego dnia, jeszcze przed południem, znów znaleźć się na Korsyce. Nim wyruszy na poszukiwania, potrzebny był mu jeszcze ktoś. Wspólnik. Naturalny talent, ktoś cholernie skuteczny, absolutnie bezwzględny i pozbawiony sumienia.

Potrzebny był mu Christopher Keller.

31.

Korsyka

Od czasu ostatniej wizyty Gabriela wyspa się zmieniła. Plaże opustoszały, w restauracjach można było usiąść przy dobrym stoliku, a targów nie zalewał już tłum półnagich turystów z kontynentu, którzy gapili się na wszystko z zachwytem, ale rzadko sięgali po portfele. Korsyka znów należała do Korsykanów. Cieszył się z tego nawet najbardziej posępny z mieszkańców wyspy.

Wiele rzeczy pozostało jednak bez zmian. W powietrzu wciąż unosił się ten sam odurzający zapach makii i ta sama stara kobieta na widok Gabriela wykonała gest *mano cornuta*⁸, gdy przejeżdżał przez odludną wieś na wzgórzach. Wreszcie ci sami dwaj strażnicy skinęli złowrogo w jego stronę, gdy mijał bramę posiadłości don Orsatiego.

Gabriel jechał dalej, aż asfalt ustąpił miejsca szutrowi. Potem jeszcze kawałek. A gdy pokonał ostry zakręt w lewo, tuż przy prastarym drzewie oliwnym, zastał należącego do don Cassabianki kozła palomino dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Na widok Gabriela zwierzę jakby się zasępiło i sprawiało wrażenie, że pamięta okoliczności ich pierwszego spotkania i teraz zamierza się zrewanżować. Przez otwarte okno samochodu Gabriel grzecznie poprosił kozła, by zszedł z drogi, ale zwierzę tylko uniosło wyzywająco łeb. Wtedy Gabriel wysiadł z auta, nachylił się do jego poszarpanego ucha i szeptem wypowiedział groźbę podobną zapewne w tonie do tej, jaką usłyszeli porywacze. Kozioł natychmiast odwrócił się i pospiesznie skrył w zaroślach. Tchórz. Jak większość despotycznych osobowości.

Gabriel usiadł za kierownicą i szybko pokonał odcinek pozostały do willi Kellera. Zaparkował na podjeździe w cieniu wysokiej sosny czarnej. Wchodząc od strony tarasu, zawołał Kellera, ale nikt nie odpowiedział. Drzwi były otwarte. Gabriel przeszedł z jednego pięknego białego pokoju do następnego. W żadnym nie było nikogo. Wszedł do kuchni i uchylił drzwi lodówki. Ani mięsa, ani mleka, ani jajek - niczego, co mogłoby się zepsuć - tylko kilka butelek piwa, słoik musztardy dijon i butelka zupełnie niezłego sancerre. Gabriel otworzył wino, sięgnął po telefon i zadzwonił do don Orsatiego.

Keller wyjechał w interesach. Był na kontynencie, ale nie we Francji. Więcej don nie

⁸ *Mano cornuta* (wł.) - dłoń rogata; gest wywodzący się z basenu Morza Śródziemnego, symbol ochrony i błogosławieństwa.

chciał powiedzieć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wróci na Korsykę jeszcze tego wieczoru, najpóźniej następnego ranka. Don powiedział Gabrielowi, by zatrzymał się w willi Kellera i czuł się jak u siebie w domu. Dodał, że przykro mu z powodu tego, co zdarzyło się „na północy”. Keller, rzecz jasna, opowiedział mu wszystko ze szczegółami.

- Co więc znowu sprowadza cię na Korsykę? - spytał don Orsati.

- Zapłaciłem komuś mnóstwo pieniędzy, a nie dostałem towaru. Ten ktoś nie wywiązał się z umowy.

- Duże pieniądze - zgodził się don.

- Co pan zrobiłby na moim miejscu?

- Po pierwsze, nigdy nie zgodziłbym się pomóc komuś takiemu jak Jonathan Lancaster.

- Żyjemy w złożonym świecie, don Orsati.

- Zaiste - odparł filozoficznie don. - Ale wracając do twojego problemu, to masz dwa wyjścia. Możesz postarać się ze wszystkich sił zapomnieć o tej Angielce albo ukarać tych, którzy ją zabili.

- Co pan by zrobił?

- Mamy na Korsyce takie powiedzenie: „Chrześcijanin wybacza, idiota zapomina”.

- Nie jestem idiotą.

- Chrześcijaninem też nie - zauważył Orsati. - Ale nie mam ci tego za złe.

Don poprosił Gabriela, by się nie rozłączał, gdy tymczasem on zażegnywał drobny kryzys w interesach. Z tego, co dało się usłyszeć, wynikało, że zaginął duży transport oliwy przeznaczony dla restauracji w Zurychu. Gabriel słyszał, jak don krzyczy na kogoś z domieszką korsykańskiego dialektu. Macie znaleźć tę oliwę, nakazał, albo polecać głowy. W każdej innej firmie do takiej groźby podchodzono by z rezerwą, ale nie w Olejach Roślinnych Orsati.

- O czym to mówiliśmy? - spytał don.

- Mówił pan coś o chrześcijanach i idiotach. I prawdopodobnie zaraz miał mi pan zaśpiewać jakąś horrendalną stawkę za przywilej skorzystania z pomocy Kellera.

- To mój najwartościwszy pracownik.

- Z oczywistych powodów.

Don milczał przez chwilę, a Gabriel słyszał, jak siorbie kawę z filiżanki.

- Ważne, żeby nie chodziło w tym tylko o zabijanie - powiedział po chwili Orsati. - Musisz też odzyskać pieniądze.

- A jeśli mi się uda?

- Mile widziany będzie skromny datek dla korsykańskiego ojca chrzestnego.

- Jak skromny?
- Milion wystarczy.
- To dużo, don Orsati.
- Z początku myślałem o pięciu.

Gabriel zastanawiał się przez chwilę, po czym przystał na warunki dona.

- Ale tylko pod warunkiem, że odzyskam pieniądze - zastrzegł. - W przeciwnym razie mogę skorzystać z pomocy Kellera za darmo.

- Umowa stoi - odrzekł Orsati. - Dopilnuj tylko, żeby wrócił tu w jednym kawałku. Pamiętaj: ze śpiewania pieniędzy nie ma.

Gabriel usiadł na tarasie willi z butelką sancerre i grubym dossier dotyczącym wewnętrznych spraw Downing Street za kadencji Lancastera. Po godzinie jednak poczuł niepokój, zadzwonił więc jeszcze raz do don Orsatiego i poprosił o pozwolenie na dłuższy spacer. Don nie tylko dał mu błogosławieństwo, ale powiedział też, gdzie ukryty jest jeden z pistoletów Kellera. Masywny HK dziewięć milimetrów leżał w szufladzie biurka, ładnego francuskiego antyku stojącego tuż pod obrazem Cézanne'a.

- Tylko ostrożnie - ostrzegł don. - Christopher ustawia bardzo niski opór spustu. To wrażliwa dusza.

Gabriel wsunął broń za pasek spodni i ruszył wąską ścieżką w stronę starych drzew oliwnych. Kozioł na szczęście nie wrócił jeszcze na swoje stanowisko, co oznaczało, że Gabriel mógł pokonać drogę do wsi bez dodatkowych atrakcji. Nadeszła pora dnia, która nie miała nazwy: czas pomiędzy późnym popołudniem a wieczorem. Okiennice domów były zamknięte, a na ulicach rządziły dzieci i koty. Jedne i drugie z zaciekawieniem przyglądały się zmierzającemu w stronę głównego placu Gabrielowi. Z trzech stron plac otoczony był kawiarniami i sklepami, a czwarty jego bok zajmował kościół. W jednym ze sklepów Gabriel kupił szal dla Chiary, a potem usiadł w lokalu, który wyglądał na najmniej zakazany. By zrównoważyć działanie wina, wypił mocną kawę. Nieco później, gdy niebo poszarzało, a bryza stała się chłodna, pił cierpkie korsykańskie wino, by zrównoważyć działanie kawy. Drzwi kościoła były uchylone. Ze środka dolatywał szmer modlitwy.

Plac zapełniał się pomału mieszkańcami. Nastoletni chłopcy na motorowerach zebrali się pod lodziarnią, a na środku zapiaszczonego skweru grupa mężczyzn rozpoczęła zaciętą partię buli. Tuż po osiemnastej z kościoła wyszło około dwudziestu osób, głównie starsze kobiety. Była wśród nich *signadora*. Jej spojrzenie spoczęło na krótką chwilę na Gabrielu niedowiarku, po czym kobieta znikła we wnętrzu swojego chylącego się domku. Wkrótce do

jego drzwi podeszły, wołając ją, dwie kobiety: stara wdowa ubrana od stóp do głów na czarno i dwudziestoparoletnia dziewczyna wyglądająca na oszalałą z rozpaczu, ewidentnie odczuwająca zgubne działanie *occhju*.

Pół godziny później dwie kobiety wyszły przed dom, a wraz z nimi chłopczyk o kręconych włosach mający na oko jakieś dziesięć lat. Kobiety skierowały się do lodziarni, a chłopiec przyglądał się przez moment grze w bule, po czym wszedł do kawiarni, w której siedział Gabriel. Miał w ręku bladoniebieską kartkę złożoną na czworo. Położył ją na stoliku przed Gabrielem i natychmiast uciekł, jakby bał się zarazić jakąś tajemniczą chorobą. Gabriel rozłożył liścik i w słabym świetle odczytał pojedynczą linijkę:

Musimy się natychmiast zobaczyć.

Wsunął papier do kieszeni. Siedział jeszcze przez kilka minut, zastanawiając się, co robić. W końcu rzucił na stół parę monet i wyszedł na plac.

Gdy zapukał do drzwi, cienki głos zaprosił go, by wszedł. Kobieta siedziała w wytartym fotelu. Pochyliła głowę, jakby wciąż odczuwała trudy odegnania zła z dusz dwóch kobiet. Mimo protestów Gabriela wstała, by go powitać. Tym razem na jej twarzy nie malowała się wrogość, a tylko troska. Bez słowa dotknęła policzka Gabriela, po czym spojrzała mu w oczy.

- Twoje oczy są takie zielone - odezwała się. - To po matce.

- Tak - przyznał Gabriel.

- Wiele wycierpiała w czasie wojny, prawda?

- Keller o tym mówił?

- Nigdy nie rozmawiałam z Christopherem o twojej matce.

- Rzeczywiście w czasie wojny spotkały ją straszne rzeczy.

- W Polsce?

- Tak, w Polsce.

Signadora ujęła w dłoń prawą rękę Gabriela.

- Jest taka ciepła. Masz gorączkę?

- Nie.

Kobieta zamknęła oczy.

- Była malarką, tak jak ty?

- Tak.

- Była w obozie? Tym, który wziął nazwę od brzoź?

- Tak, w tym.
 - Widzę drogę. I śnieg. Długi rząd kobiet ubranych na szaro. I mężczyznę z bronią. Gabriel zabrał szybko rękę, a kobieta otworzyła oczy.
 - Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować.
 - Skąd to nagle wezwanie?
 - Wiem, po co wróciłeś.
 - I co?
 - Chcę ci pomóc.
 - Dlaczego?
 - Bo to ważne, by w nadchodzących dniach nie spotkało cię nic złego. Starzec cię potrzebuje. Twoja żona również.
 - Nie jestem żonaty - skłamał Gabriel.
 - Ma na imię Clara, prawda?
 - Nie - odparł Gabriel z uśmiechem - Chiara.
 - Jest Włoszką?
 - Tak.
 - Więc będę się za ciebie modliła. - Kobieta skinęła głową w stronę stojących na stole misy z wodą i naczynia z oliwą. - Usiądź, proszę.
 - Wolałbym nie.
 - Nadal nie wierzysz?
 - Wierzę.
 - Więc dlaczego nie usiądziesz? Chyba się nie boisz? Matka nie bez powodu dała ci na imię Gabriel. Masz w sobie bożą siłę.
- Czuł się tak, jakby przygnieciono mu serce kamieniem. Miał ochotę natychmiast wyjść, ale ciekawość sprawiła, że został. Pomógł usiąść staruszce na krześle po przeciwnej stronie stołu i zanurzył palec w oliwie. Uderzywszy o taflę wody, trzy krople rozprysły się na tysiące drobin, które po chwili przestały być widoczne. Kobieta pokiwała głową, jakby to, co zobaczyła, potwierdziło jej najgorsze obawy. Raz jeszcze wzięła rękę Gabriela w swoje dłonie.
- Jesteś rozpalony. Na pewno dobrze się czujesz?
 - To od słońca.
 - Siedziałeś przed domem Christophera. Wypiłeś jego wino i masz za paskiem jego broń.
 - Dalej.

- Szukasz człowieka, który zabił Angielkę, prawda?

- Kim on jest?

- Tego nie wiem - odparła - ale wiem, gdzie jest. Ukrywa się na wschodzie, w mieście heretyków. Nie jedź tam. Jeśli postawisz tam swoją stopę, zginiesz - powiedziała twardo.

Zamknęła oczy, a po chwili zaczęła cicho szlochać - znak, że złe opuściło ciało Gabriela i przeszło na nią. Po chwili skinieniem głowy nakazała, by powtórzył próbę wody i oliwy. Tym razem krople zlały się w całość. Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech, jakiego Gabriel nigdy wcześniej nie widział.

- Co widać? - spytał.

- Na pewno chcesz wiedzieć?

- Tak, oczywiście.

- Widzę dziecko - odparła bez wahania.

- Czyje?

Kobieta delikatnie poklepała dłoń Gabriela.

- Jedź już - powiedziała. - Twój przyjaciel wrócił na Korsykę.

Gdy Gabriel dotarł do willi, zastał Kellera stojącego przed otwartą lodówką. Miał na sobie trochę wymięty po podróży ciemnoszary garnitur i rozpiętą pod szyją białą koszulę. Sięgnął po wypitą do połowy butelkę sancerre, potrząsnął nią demonstracyjnie, po czym nalał sobie cały kieliszek.

- Ciężki dzień w biurze, skarbie? - spytał Gabriel.

- Bardzo brutalny. - Uniósł butelkę. - Pijesz?

- Już się poczęstowałem.

- Widzę.

- Jak podróż?

- Koszmarna - odparł Anglik. - Ale reszta poszła gładko.

- Kto to był?

Nie odpowiedziawszy na pytanie, Keller upił duży łyk wina, po czym spytał Gabriela, gdzie on był. Gdy ten odpowiedział, że u signadory, Keller się uśmiechnął.

- Jeszcze zrobimy z ciebie Korsykanina.

- Nie do końca o to mi chodziło.

- Co ci powiedziała?

- Nic ważnego. Znowu jakieś hokus-pokus i opowiadanie pierdoł o wietrze pośród wierzb.

- Skoro tak, to czemu jesteś taki blady?

Gabriel nie odpowiedział, tylko położył ostrożnie broń Kellera na kuchennym blacie.

- Z tego, co słyszałem, będzie ci jeszcze potrzebny.

- A co słyszałeś?

- Że wybierasz się na polowanie.

- Chcesz mi pomóc?

- Szczerze mówiąc - Keller uniósł kieliszek z winem i spojrzał na niego pod światło -
spodziewałem się tu ciebie już dawno temu.

- Musiałem skończyć obraz.

- Czyj?

- Bassana.

- Z pracowni Bassana czy samego Bassana?

- Pół na pół.

- Przyjemnie.

- Jak szybko możesz się zebrać?

- Muszę spojrzeć do kalendarza, powinienem móc wyjechać już jutro rano -
odpowiedział. - Ale jest jedna rzecz - dodał. - Musisz mieć świadomość, że w Marsylii jest
teraz pełno psów. I połowa z nich szuka nas.

- I właśnie dlatego nawet nie zbliżymy się do Marsylii. Przynajmniej na razie.

- To dokąd jedziemy?

Gabriel się uśmiechnął.

- Do domu.

32.

Korsyka-Londyn

Zjedli razem kolację w miasteczku, po czym Gabriel wprowadził się do pokoju gościnnego na parterze willi. Jego ściany były białe, pościel też. Fotel i otomana obite białym płótnem żeglarskim. Ten brak barw sprawił, że źle spał. Gdy we śnie znów zobaczył Madeline, tym razem biegł w jej stronę po niekończącej się, pokrytej śniegiem równinie. Kiedy dziewczyna znów zaczęła trzeć wierzch ręki, krew miała kolor tłustej śmietany.

Rano wsiedli do pierwszego samolotu do Paryża, a stamtąd polecili na londyńskie Heathrow. Keller przeszedł przez odprawę paszportową, posługując się francuskim dokumentem, a Gabriel pomyślał, że rodowity Anglik nie mógł chyba wrócić do ojczyzny w sposób bardziej niegodny. Po wyjściu z terminalu dwadzieścia minut czekali na taksówkę, którą następnie długo brnęli w korkach i deszczu do centrum miasta.

- Teraz wiesz, dlaczego już tu nie mieszkam - powiedział Keller po francusku, patrząc przez zalaną deszczem szybę na londyńskie przedmieścia.

- Wilgoć sprawi, że będziesz miał piękną cerę - odpowiedział mu Gabriel również po francusku. - Wyglądasz jak kawał garbowanej skóry.

Wysiedli z taksówki przy Marble Arch, skąd piechotą pokonali kawałek dzielący ich od Bayswater Road. Tam mieściło się wychodzące na Hyde Park mieszkanie Gabriela. Zastali je dokładnie w takim stanie, w jakim było nad ranem w dniu jego wyjazdu do Francji. W zlewie stały nawet naczynia zostawione przez Chiarę po śniadaniu. Gabriel rzucił torbę na łóżko w większej sypialni i wyjął z sejfu pod podłogą broń. Po chwili zobaczył Kellera siedzącego przy oknie w dużym pokoju.

- Mogę cię zostawić na parę godzin? - spytał Gabriel.

- Poradzę sobie.

- Jakież plany?

- Myślałem, żeby przepłynąć się po Serpentine, a potem skoczyć na małe zakupy do Covent Garden.

- Będzie chyba lepiej, jeśli po prostu posiedzisz tutaj. Nie wiadomo, na kogo mógłbyś wpaść.

- Służyłem w Regimencie, kochanie.

Keller nic więcej nie dodał. Nie musiał. Był z SAS, a to oznaczało, że jeśli zechce, przejdzie przez pokój bliskich znajomych i nikt nie zorientuje się, że to on.

Gabriel ruszył ulicą, by po chwili zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Po dwudziestu minutach szedł już w stronę gmachu parlamentu, minąwszy wcześniej odgródzone barierami wejście na Downing Street. Miał w kieszeni jeden jedyny fragment dossier: obszerny artykuł z „Daily Telegraph” zatytułowany *Madeline Hart - pytania bez odpowiedzi*.

Autorką tekstu była Samantha Cooke, główna korespondentka gazety w Whitehall, a zarazem jedna z najbardziej cenionych brytyjskich dziennikarek. Pisała o Lancasterze od czasów, gdy był w partii politykiem drugoligowym. Jego karierę opisała w biografii zatytułowanej *Droga do władzy*. Mimo nieco pretensjonalnego tytułu książka została dobrze przyjęta nawet przez dziennikarskich rywali zazdrosnych o pokaźną zaliczkę wypłaconą przez znane londyńskie wydawnictwo. Cooke należała do tych przedstawicieli prasy, którzy wiedzą znacznie więcej, niż kiedykolwiek będą mogli upublicznić. I to z tego właśnie powodu Gabriel chciał z nią porozmawiać.

Zadzwoił do recepcji „Daily Telegraph” i poprosił, by połączono go z właściwym numerem wewnętrznym. Asystentka spełniła jego prośbę i po kilku sekundach telefon odebrała Samantha Cooke. Gabriel odniósł wrażenie, że rozmowa została przekierowana na jej komórkę, ponieważ w tle słyszał odgłosy kroków i odbijające się echem od wysokiego sufitu barytony. Niewykluczone, że była w parlamencie, a więc naprzeciwko kawiarni, w której siedział. Poprosił, by poświęciła mu kilka minut. Nie zdradził swojego nazwiska ani imienia.

- Wie pan, ile takich telefonów odbieram każdego dnia? - spytała znużonym tonem.

- Mogę panią zapewnić, że takiego jak ten nigdy.

Po drugiej stronie zapadło na moment milczenie. Kobieta była wyraźnie zaintrygowana.

- O co chodzi?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon.

- Naturalnie.

- Oczywiście podchodzi pani do sprawy sceptycznie.

- Oczywiście.

- Ma pani przez telefon dostęp do internetu?

- Tak.

- Kilka lat temu znany oficer izraelskiego wywiadu został złapany przez islamskich terrorystów. Przesłuchiwali go przed kamerą. Zamierzali go potem zabić, ale plan nie wypalił. Wideo z przesłuchania nadal można znaleźć w sieci. Proszę je obejrzeć i oddzwonić.

Podał jej numer i się rozłączył. Po dwóch minutach dziennikarka oddzwoniła.

- Chciałabym się z panem spotkać.
- Na pewno stać panią na więcej.
- Panie Allon, czy zgodziłby się pan poświęcić mi trochę czasu?
- Tylko jeśli przeprosi mnie pani za to, jak szorstko obeszła się pani ze mną parę minut temu.
- Z całego serca pokornie przepraszam i mam nadzieję, że wybaczy mi pan moje zachowanie.
- Wybaczam.
- Gdzie pan jest?
- W Café Nero przy Bridge Street.
- Niestety dobrze znam to miejsce.
- Jak szybko może tu pani dotrzeć?
- W dziesięć minut.
- Proszę się nie spóźnić - powiedział Gabriel i się rozłączył.

Wbrew zapowiedziom, dziesięć minut nie wystarczyło. Samantha Cooke spóźniła się prawie sześć. Nic więc dziwnego, że gdy wreszcie dotarła na miejsce, była zakłopotana, z telefonem przy uchu i parasolem, z którego podmuch wiatru strzepnął krople wody. Większość klienteli stanowili turyści, ale w głębi siedziało także trzech młodych parlamentarzystów. Cooke zatrzymała się i zamieniła z nimi słowo, by następnie podejść do Gabriela. Jej sięgające do ramion włosy miały barwę popielatego blondu. Spojrzenie niebieskich oczu było sondujące. Przez kilka sekund nie spuszczała wzroku z twarzy Gabriela.

- Boże - powiedziała wreszcie - to naprawdę pan.
- A czego się pani spodziewała?
- Sama nie wiem, chyba rogów.
- Przynajmniej jest pani szczerą.
- To jedna z moich największych wad.
- A inne?
- Ciekawość.
- No to trafiła pani pod dobry adres. Mogę zaproponować coś do picia?
- Właściwie - kobieta rozejrzała się po kawiarni - myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziemy się przejść.

Gabriel wstał i włożył płaszcz.

Poszli w kierunku mostu Tower, by szybko skręcić w lewo, na Victoria Embankment. Popołudniowy ruch czołgał się jezdnią, ale tłumy spacerowiczów zalewające na ogół nadrzeczny bulwar przegnał deszcz. Gabriel zerknął przez ramię, by się upewnić, że nikt nie wyszedł za nimi z kawiarni. Po kolejnym zakręcie zauważył, że Samantha Cooke przygląda mu się spod parasola, jakby był zwierzęciem gatunku zagrożonego wyginięciem.

- Wygląda pan znacznie lepiej niż na tamtym nagraniu.

- Tamto to był tylko dobry makijaż.

Kobieta uśmiechnęła się wbrew sobie.

- To pomaga?

- Żartować po przejściu czegoś takiego?

Skinęła głową.

- Tak - odpowiedział - pomaga.

- Spotkałam ją raz.

- Kogo?

- Nadię al-Bakari. To był czas, kiedy była jeszcze nikim: imprezowiczką, rozpuszczoną córeczką Abdula Aziza al-Bakariego, sponsora terroryzmu. - Cooke spojrzała na Gabriela, licząc na jakąś reakcję, ale rozczarowana odnotowała, że nawet nie drgnęła mu powieka. - Czy to prawda, że to pan go zabił?

- Al-Bakari został zabity w ramach operacji antyterrorystycznej prowadzonej przez USA i kraje sojusznice.

- Ale to pan był tym, który ostatecznie pociągnął za spust, czy nie? Zabił go pan w Cannes na oczach Nadii. A potem zwerbował ją pan do pomocy przy rozmontowywaniu siatki Rashida al-Husseiniego. To naprawdę wspaniałe osiągnięcie.

- Gdyby naprawdę było takie wspaniałe, Nadia wciąż by żyła.

- Ale jej śmierć zmieniła świat. Pomogła rozwojowi demokracji na Bliskim Wschodzie.

- Proszę dziś spojrzeć, ile ten „rozwój” był wart - odparł ponuro Gabriel.

Przeszli pod torowiskiem mostu Hungeford, słysząc łoskot pociągu zmierzającego do Charing Cross. Deszcz zelżał. Samantha Cooke opuściła parasol, złożyła go i schowała do torebki.

- Jestem zaszczycona, że się pan ze mną spotkał - powiedziała - ale Bliski Wschód to właściwie nie jest moja działka.

- Nie chodzi o Bliski Wschód, chodzi o Jonathana Lancastera.

Spojrzała na niego z ciekawością.

- Dlaczego słynny oficer izraelskiego wywiadu przyjeżdża do Londynu, żeby uzyskać od reporterki informacje o Lancasterze?

- Najwyraźniej słynny oficer wywiadu ma ważny powód - odrzekł wymijająco Gabriel.
- W przeciwnym razie nie robiłby tego.

- To prawda - zgodziła się dziennikarka. - Ale przecież słynny oficer wywiadu ma na pewno do dyspozycji mnóstwo informacji na temat Lancastera. Po co prosić o pomoc dziennikarkę?

- Wbrew obiegowej opinii, nie zakładamy teczek przyjaciółom.

- Bzdura.

Gabriel wahał się przez moment.

- To sprawa osobista, panno Cooke. Mój pracodawca nie jest w to w żaden sposób zaangażowany.

- Co jeśli zgodzę się panu pomóc?

- Czymś się pani odwdzięczę.

- Na przykład opowieścią?

Gabriel przytaknął.

- Ale nie może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- Na razie nie.

- Lepiej, żeby to było coś dużego.

- Jestem Gabriel Allon. Zajmuję się tylko wielkimi rzeczami.

- To prawda. - Kobieta zatrzymała się i zerknęła na kręcące się powoli po drugiej stronie rzeki London Eye. - Zgoda, panie Allon. Mamy umowę. Więc może niech mi pan na początek powie, o co w ogóle chodzi.

Gabriel wyjął z kieszeni kartkę z artykułem i podsunął ją Samancie. Ta uśmiechnęła się.

- Od czego mam zacząć? - spytała.

Gabriel schował kartkę do kieszeni płaszcza, po czym poprosił, by zaczęła od Jeremy'ego Fallona.

33.

Londyn

Cooke była dobrą reporterką i jak wszyscy dobrzy reporterzy przedstawiała swoim czytelnikom odpowiednie tło i wprowadzenie. Dbała o to, by poznali kontekst każdej historii. Gabriel, który jeszcze nie tak dawno mieszkał w Wielkiej Brytanii, sporą część kontekstu już znał. Wiedział, na przykład, że Jeremy Fallon zdobył wykształcenie w londyńskim University College i że przed podjęciem pracy w centrali partii był copywriterem w agencji reklamowej. Zetknąwszy się z partią, Fallon odkrył powód jej zapaści wizerunkowej. Sprzedaż produktu politycznego zarządzano w sposób staromodny i nikt, a już na pewno nie brytyjscy wyborcy, nie chciał tego produktu kupić. Za priorytet Fallon uznał zmianę partyjnego podejścia do sondaży. Nie obchodziło go, którą partię popierają poszczególni ankietowani. Interesowało go, gdzie robią zakupy, co oglądają w telewizji, i jakie nadzieje wiążą z przyszłością swoich dzieci. Przede wszystkim zaś chciał poznać ich oczekiwania wobec rządu. Pracując po cichu, z dala od blasku fleszy, Fallon zmienił zestaw narzędzi, z których korzystać miała partia przy prowadzeniu swojej polityki. Chodziło o to, by móc sprostać wymaganiom współczesnego brytyjskiego elektoratu. Gdy narzędzia były już opracowane, Fallon zaczął rozglądać się za idealnym kandydatem na sprzedawcę nowego produktu. Znalazł go w osobie Jonathana Lancastera. Jakiś czas później, przy poparciu Fallona, Lancaster z powodzeniem wystartował w wyborach na szefa partii. Po kolejnych sześciu miesiącach dostał się na Downing Street.

- W nagrodę Jeremy dostał posadę swoich marzeń - powiedziała Samantha Cooke. - Jonathan mianował go szefem sztabu i dał mu większą władzę, niż ktokolwiek kiedykolwiek miał na tym stanowisku. Jeremy jest jednocześnie stróżem Lancastera, jego żołnierzem i wicepremierem, tyle że nie z nazwy. Lancaster powiedział mi kiedyś, że to był jego największy błąd.

- To była oficjalna wypowiedź?

- Bardzo, bardzo nieoficjalna - sprecyzowała Samantha.

- Skoro Lancaster wiedział, że popełnia błąd, to dlaczego zdecydował się dać mu taką władzę?

- Bo wiedział, że bez Jeremy'ego partia nie wybiłaby się ponad polityczny plankton. Sam Lancaster byłby drugoligowym politykiem opozycji, próbującym wyrobić sobie nazwisko cotygodniowymi wystęпами podczas śródowej sesji Izby Gminy. Poza tym - dodała - Jeremy jest w stosunku do Lancastera stuprocentowo lojalny. Jestem pewna, że gdyby zaszła

taka potrzeba, zabiłby dla niego, a potem zgłosił się do ścierania krwi.

Gabriel miał ogromną chęć powiedzieć jej, jak bardzo miała rację. Zamiast tego zachował jednak milczenie i szedł przed siebie, czekając, aż dziennikarka podejmie opowieść.

- Ich relacje nie sprowadzały się jednak do zwykłej lojalności i spłacania długu wdzięczności. Lancaster potrzebował Jeremy'ego. On naprawdę miał poczucie, że bez jego pomocy nie będzie potrafił rządzić krajem.

- Więc to prawda?

- Co?

- Że Jeremy Fallon to mózg Lancastera.

- To akurat bzdura. Ale i tak ten pogląd bardzo szybko utrwalił się w zbiorowej świadomości. Nawet sondaże zlecane przez partię pokazują, że większość Brytyjczyków sądzi, iż tak naprawdę to Fallon kształtuje politykę rządu. - Samantha zrobiła pauzę, by uporządkować myśli. - Dlatego byłam bardzo zaskoczona, kiedy w dniu ogłoszenia wyborów zobaczyłam Jeremy'ego i Lancastera ramię w ramię.

- Zaskoczona?

- Nie tak dawno po Whitehall krążyła paskudna plotka, że Lancaster ma zamiar wykolegować Jeremy'ego z Downing Street.

- Bo chciał się pozbyć wyborczego długu?

Cooke skinęła głową.

- Ale też dlatego, że Fallon jest w partii bardzo niepopularny. Nikt nie chce z nim pracować.

- Dlaczego pani o tym nie napisała?

- Sprawa była za słabo udokumentowana, żeby nadawała się do druku. Wie pan, niektórzy z nas mają standardy.

- Myśli pani, że Jeremy Fallon słyszał te plotki?

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby było inaczej.

- Czy on i Lancaster rozmawiali kiedykolwiek na ten temat?

- Nie udało mi się tego potwierdzić. To był zresztą jeden z powodów, dla których nie opisałam tej sprawy. Zresztą całe szczęście, bo wyszłabym teraz na kompletną idiotkę.

Doszli do mostu Waterloo. Gabriel podał dziennikarce ramię i poprowadził ją w stronę Strandu.

- Jak dobrze go pani zna?

- Jeremy'ego?

Gabriel skinął głową.

- Nie wiem, czy ktokolwiek tak naprawdę go zna. Ja znam go na płaszczyźnie zawodowej, a to oznacza, że Jeremy mówi mi to, co chciałby, żebym napisała w gazecie. To manipulant i łajdak. Dlatego tak wszystkich zaskoczyło jego zachowanie na pogrzebie Madeline Hart. W życiu bym nie przypuszczała, że ten człowiek potrafi uronić chociaż jedną łzę. - Umilkła i dodała po chwili: - Wychodzi na to, że to jednak prawda.

- Co takiego?

- Że Jeremy był w niej zakochany.

Gabriel zatrzymał się i spojrzał na Samanthę.

- Twierdzi pani, że Jeremy Fallon i Madeline Hart mieli romans?

- Jeremy nie interesował Madeline jako mężczyzna - Samantha pokręciła głową. - Co nie przeszkodziło jej wykorzystywać go do przeskakiwania kolejnych szczebli kariery. Na moje oko awansowała dziwnie szybko. Stawiam, że stał za tym Jeremy.

Na chwilę zapadło milczenie. Zatrzymali się na chodniku przed Galerią Courtauld. Samantha Cooke obserwowała gęstniejący na Strandzie ruch, a Gabriel zastanawiał się, dlaczego Jeremy Fallon przedstawił Lancasterowi kobietę, którą kochał. Może chciał mieć możliwość wywierania wpływu na człowieka, który planował zakończyć jego karierę polityczną.

- Jest pani pewna? - spytał Gabriel po chwili.

- Że Jeremy podkochał się w Madeline?

Gabriel przytaknął.

- Tak pewna, jak pewnym można być takich rzeczy.

- To znaczy?

- Słyszałam o tym z wielu źródeł, które uważam za wiarygodne. Jeremy wykorzystywał najbliższe nawet preteksty, żeby się z nią kontaktować. Wychodziło to w sumie dość żałośnie.

- Dlaczego nie nagłośniła tego pani po jej zniknięciu?

- Miałam poczucie, że nie wypada tego robić. No, a teraz ona nie żyje...

Weszli do galerii, kupili dwa bilety i skierowali się schodami na górę, do sal wystawowych. Zwiedzających było jak zwykle mało. W sali numer siedem Samantha i Gabriel zatrzymali się przed pustą ramą upamiętniającą kradzież ozdoby galerii, *Autoportretu z zabandażowanym uchem* Vincenta van Gogha.

- Co za strata - powiedziała Samantha.

- To prawda - przytaknął Gabriel.

Następnie poprowadził dziennikarkę w stronę *Nigdy więcej* Gauguina i zapytał, czy

spotkała się kiedyś z Madeline Hart.

- Raz - odparła, wskazując kobietę na płótnie, zupełnie jakby mówiła o niej, a nie o zamordowanej dziewczynie. - Przygotowałam tekst o staraniach partii, by dotrzeć do wyborców mniejszościowych. Jeremy posłał mnie do Madeline. Myślę, że była aż za ładna, to chyba przeszkadzało jej w pracy. Ale była też cholernie bystra. Chwilami miałam wrażenie, że to ona robi wywiad ze mną, a nie ja z nią. Czułam się trochę tak... - Samantha zamilkła na moment, szukając właściwego sformułowania - jakby próbowała mnie zwerbować. Tylko nie mam pojęcia do czego.

Gdy zamilkła, Gabriel usłyszał odgłos kroków. Odwróciwszy się, zobaczył wchodzącą do sali parę w średnim wieku. Mężczyzna miał na nosie okulary o przyciemnionych szklach. Pozostało mu niewiele włosów: miał na głowie tylko coś w rodzaju mnisiej tonsury. Młodsza od niego o kilka lat kobieta trzymała w ręku otwarty na niewłaściwej stronie przewodnik. W milczeniu krążyli od obrazu do obrazu, a przed każdym zatrzymywali się tylko na kilka sekund, po czym mechanicznie przechodzili do następnego. Gabriel obserwował, jak idą do kolejnej sali. Następnie poprowadził Samanthę Cooke na dół, na duży dziedziniec. W ciepłych miesiącach było to popularne miejsce spotkań pracujących po sąsiedzku londyńczyków. Teraz jednak, w czasie słoty i deszczu, przy metalowych stolikach nie było żywej duszy, a fontanna tryskająca pośrodku skweru wyglądała równie smutno jak zabawka w przedszkolu bez dzieci.

- Po zniknięciu Madeline ciepło pani o niej pisała - zauważył Gabriel, gdy pomału okrążali dziedziniec.

- Pisałam szczerze. Zważywszy jej pochodzenie, była to nieprawdopodobnie opanowana i pewna siebie dziewczyna. - Samantha przystanęła i zmarszczyła czoło, nad czymś się zastanawiając. - Nigdy nie potrafiłam zrozumieć zachowania jej matki po zaginięciu. Przeważnie rodzice zaginionych bez przerwy wypowiadają się w prasie, ale nie ona. Przez cały ten czas trzymała usta na kłódkę i wydawała się jakaś nieobecna. A teraz jakby zniknęła z powierzchni ziemi. Brat Madeline też.

- Co pani ma na myśli?

- Chciałam się z nimi skontaktować, kiedy siedziałam nad tym - wskazała głową w stronę kieszeni płaszcza Gabriela - ale nikt nie odbierał u nich telefonu. Próbowałam wiele razy. I nic. W końcu pojechałam do tego cholernego Essex i usiadłam na progu ich domu. Wreszcie sąsiad powiedział mi, że ostatni raz rodzinę Madeline widziano tuż po pogrzebie. Potem zniknęli.

Gabriel nic nie powiedział, ale w głowie już obliczał przybliżony czas przejazdu z

centrum Londynu do Basildon w wieczornych godzinach szczytu.

- Gadam i gadam - powiedziała po chwili Cooke - chyba pora, by pan mi coś opowiedział. Dlaczego Gabriela Allona interesuje martwa dziewczyna z Anglii?

- Obawiam się, że tego nie mogę pani powiedzieć.

- A kiedyś?

- To zależy.

- Chyba wie pan - zaczęła lekko prowokacyjnym tonem - że sama pana obecność w Londynie i rozmowa ze mną to już materiał na niezłą historię.

- To prawda - przyznał Gabriel - ale nie ośmieli się pani napisać o naszym spotkaniu ani komukolwiek o nim wspomnieć.

- A to dlaczego?

- Bo w przyszłości nie usłyszysz pani ode mnie znacznie lepszej historii.

Samantha Cooke uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek.

- Najchętniej spędziłabym tydzień, rozmawiając z panem, ale muszę już lecieć. Oddaję jutro tekst.

- O czym pani pisze?

- Volgatek, wydobywanie ropy i gazu.

- To ta rosyjska spółka?

- Jestem pod wrażeniem, panie Allon.

- Staram się być na bieżąco. To mi się przydaje w pracy.

- Z pewnością.

- Co pani opisze w artykule?

- Ekolodzy i ci od globalnego ocieplenia są wściekli z powodu tego porozumienia. Przewidują te same konsekwencje co zawsze: wycieki ropy, topienie się lodowców, że Rosjanie z Chelsea zawłaszczą ocean i tak dalej. Z drugiej strony, nie obchodzi ich, że dzięki tej umowie kraj zarobi miliardy w koncesjach i podatkach i że powstaną tysiące miejsc pracy - i to w Szkocji, gdzie ich cholernie brakuje.

- A więc artykuł będzie wyważony?

- Zawsze tak piszę - odparła z uśmiechem. - Według moich źródeł to porozumienie było oczkiem w głowie Jeremiego, jego ostatnią dużą inicjatywą przed odejściem z Downing Street i rozpoczęciem kampanii do parlamentu. Próbowałam z nim o tym porozmawiać, ale usłyszałam wtedy od niego dwa słowa, które wypowiedział chyba wtedy po raz pierwszy w życiu.

- Czyli?

- „Bez komentarza”.

Wręczyła Gabrielowi wizytówkę, uściśliła jego dłoń i zniknęła w przejściu łączącym dziedziniec ze StranDEM. Gabriel odczekał pięć minut i ruszył w tę samą stronę. Gdy wyszedł na ulicę, zobaczył mężczyznę i kobietę z galerii. Łapali taksówkę. Minął ich, patrząc w inną stronę, i poszedł w kierunku Trafalgar Square. Odbywały się tam „Dwie minuty nienawiści” - pikietą wymierzona przeciwko polityce Izraela. Gabriel wszedł w tłum i powoli przebijał się na drugą stronę placu. Od czasu do czasu przystawał i upewniał się, że nie jest śledzony. Po chwili z nieba lunął rzęsy deszcz, a demonstrujący rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia. Gabriel podłączył się pod propalestyńską trupę aktorską zmierzającą w kierunku barów w Soho. Przy Charing Cross jednak urwał się i zbiegł na stację metra Leicester Square. Jadąc schodami ruchomymi na peron, zadzwonił do Kellera.

- Będzie nam potrzebny samochód - powiedział po francusku.

- Dokąd jedziemy?

- Do Basildon.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Opowiem ci po drodze.

34.

Basildon, hrabstwo Essex

Miejsce to powstało niedługo po drugiej wojnie światowej w ramach generalnego planu redukcji przeludnienia, jakie dotknęło zniszczone bombardowaniami slumsy East Endu. Efektem tej centralnej polityki było New Town - Nowe Miasto. Miejsce bez historii, bez duszy i bez racji bytu innej niż skoszarowanie przedstawicieli klasy pracującej. Handlowe serce dzielnicy, Basildon Town Plaza, to arcydzieło architektury neosowieckiej. Podobnie zresztą jak górujący złowieszczą nad okolicą potężny wieżowiec z mieszkaniami komunalnymi. Budowla przypominała gargantuicznych rozmiarów spalony tost.

Niecały kilometr dalej na wschód było Lichfields, zaniedbana kolonia niskich bloków i szeregowców. Tutejsze ulice nosiły przyjemnie brzmiące nazwy - Avon Way, Norwich Walk, Southwark Path - ale chodniki były popękane, a ze szczelin w murach wyrastały chwasty. Sporo domów miało od frontu niewielkie trawniki i rabatki, ale nie miały segment na końcu Blackwater Way: tam przed domem była tylko szpetna wylewka z betonu, na której przeważnie stał zdezelowany samochód. Elewacja parteru wyłożona była kamykami, piętra - brązową cegłą. Na ulicę wychodziły trzy niewielkie okna, wszystkie zasłonięte. W domu nie paliło się żadne światło. - Ktoś tu chodzi do pracy? - spytał Keller, kiedy drugi raz przejeżdżali wolno przed domem.

- Matka pracuje parę godzin w tygodniu w drogerii w tym ich centrum handlowym - odpowiedział Gabriel. - Brat zawodowo zajmuje się piciem.

- Jesteś pewny, że w środku nikogo nie ma?

- A tobie ten dom wygląda na pełen ludzi?

- Może lubią siedzieć po ciemku?

- Albo może są wampirami.

Gabriel zjechał na osiedlowy parking zaraz za rogiem i zgasił silnik. Od strony Kellera, tuż przy samochodzie, stał znak informujący, że parking jest pod całodobowym nadzorem kamer.

- Nie podoba mi się to.

- Dopiero co zabiłeś człowieka za pieniądze.

- Nie przed kamerą.

Gabriel nie odpowiedział.

- Jak długo zamierzasz tu siedzieć? - chciał wiedzieć Keller.

- Tak długo, jak będzie trzeba.
- A jeśli pokaże się policja?
- Będzie nieźle, jeśli dasz mi znać.
- A jeśli mnie tu zobaczą?
- Pokażesz im francuski paszport i powiesz, że się zgubiłeś.

Nie mówiąc nic więcej, Gabriel otworzył drzwi i wysiadł. Gdy przechodził przez ulicę, usłyszał szczekanie psa dobiegające z którejś posesji. Pies musiał być duży. Niskie, gardłowe szczeknięcia odbijały się echem od spękanej fasady niczym odgłos wystrzału armatniego. Przez moment Gabriel rozważał powrót do samochodu. Bydlę na pewno będzie chciało mi się rzucić do gardła, pomyślał ponuro. Jednak nie zawrócił. Przeszedł przez wylany cementem podjazd i po chwili znalazł się przed raczej niezachęcającymi do wejścia drzwiami.

Dom nie miał wiaty ani ganku, który mógłby służyć za schronienie przed deszczem. Gabriel nacisnął klamkę. Tak jak się spodziewał - drzwi były zamknięte. Sięgnął do kieszeni po wąski metalowy wytrych i wsunął go do zamka. Otwarcie go zajęło mu kilka sekund: postronny obserwator pomyślałby, że po prostu mocował się przez moment z kluczem. Przy drugim naciśnięciu klamki drzwi ustąpiły. Wszedł do pogrążonego w ciemności wnętrza. Z zewnątrz dobiegło ostatnie donośne szczeknięcie, po czym pies umilkł. Gabriel włożył wytrych do kieszeni i wyciągnął niewielką latarkę Maglite.

Stał w ciasnym holu. Po wyłożonej linoleum podłodze wałało się mnóstwo nieprzeczytanej korespondencji. Po prawej wisiało na wieszaku kilka tanich płaszczy i nieprzemakalnych kurtek. Gabriel szybko opróżnił ich kieszenie. Znalazł parę pudełek zapalek, paragonów i wizytówek. Następnie skierował snop światła w stronę pokoju dziennego. Był mały, wręcz klaustrofobiczny, nie większy niż trzy na trzy metry. Ustawione przed telewizorem stały trzy zniszczone fotele. Na środku pokoju stał niski stolik, a na nim przepelniona popielniczka. Na ścianie wisiały oprawione zdjęcia Madeline: Madeline jako mała dziewczynka biegnąca w słońcu po trawie, Madeline odbierająca dyplom na uniwersytecie w Edynburgu, wreszcie - Madeline na Downing Street, pozująca do zdjęcia z premierem Jonathanem Lancasterem. Było też zdjęcie całej rodziny: nie wyglądający na zbyt szczęśliwych Hartowie na tle szarego morza.

Przyglądając się nijakim, mdłym rysom rodziców Madeline, Gabriel nie mógł się nadziwić, jak ich mierna uroda mogła wydać owoc w postaci osoby tak pięknej jak ona. Pomyłka natury, pomyślał. Madeline musiała być dzieckiem innego boga.

Wyszedł z pokoju dziennego i minawszy jadalnię, znalazł się w kuchni. Na blatach stały brudne naczynia, a zlew był pełen tłustej wody. W powietrzu wisiał ciężki smród zgnilizny.

Gdy Gabriel otworzył szafkę pod zlewem, zobaczył, że z kosza aż wysypuje się zepsute jedzenie. Podobnie rzecz się miała z lodówką. Co takiego się stało, że mieszkańcy postanowili opuścić w pośpiechu dom i pozostawić go w takim stanie?

Gabriel wrócił do holu i wszedł po schodach na piętro. Znajdowały się tam trzy sypialnie: dwie klaustrofobiczne cele i jedno nieco większe pomieszczenie na prawo od schodów. To do niego skierował się najpierw. Była to sypialnia matki Madeline. Niezasłane łóżko małżeńskie, przez niedomknięte okno wychodzące na brzydki rozgrzebany ogródek na tyłach wpadał deszcz i podmuchy chłodnego wiatru. Gabriel otworzył wąską szafkę ze sklejki i przesunął snopem światła po jej wnętrzu. Była pełna: pałak od lewej do prawej zawieszony był ubraniami. Kolejne elementy garderoby leżały ciasno upchnięte na półkach. Podeszedł do komódki. Wszystkie jej szuflady były wypchane do granic możliwości. Z wyjątkiem jednej - w lewym górnym rogu. Tej, w której kobiety bardzo często trzymają pamiątki i osobistą korespondencję. Ukucnął i oświetlił latarką przestrzeń pod łóżkiem, nie znalazł tam jednak niczego oprócz złogów kurzu. Podeszedł do telefonu stojącego obok pustej szklanki na stanowiącym komplet z łóżkiem stoliku. Gabriel uniósł słuchawkę do ucha. Brak sygnału. Na sekretarce nie było żadnych wiadomości.

Wrócił na korytarz, po czym zajrzał do pierwszego z dwóch ciasnych pokoiów. Wyglądał tak, jakby wyleciał w nim w powietrze samochód pułapka. Tylko ściany pozostały w miarę nietknięte, więc w dalszym ciągu można było podziwiać typową galerię: zdjęcia gwiazd piłki, supermodelek i samochodów, na które właściciela pokoju nie byłoby stać nawet za tysiąc lat. W powietrzu unosił się samczy smród. Smród, którego Gabriel nie czuł od czasu zakończenia służby wojskowej. Przeszukał szybko pokój, ale nie natrafił na nic nadzwyczajnego. Dziwne było tylko to, że nie znalazł choćby jednego dokumentu czy skrawka papieru z imieniem i nazwiskiem mieszkańca.

Ostatni pokój na piętrze należał do Madeline, ale nie do tej Madeline, która była kochanką Jonathana Lancastera, ani nawet do tej, której wymizerowany cień widział Gabriel we Francji. Był to pokój Madeline, która jakimś sposobem przetrwała dzieciństwo w tym smutnym małym domu. Gabriel miał wrażenie, że udało jej się to na tej samej zasadzie, na jakiej zdołała przetrwać miesiąc niewoli: zachowując spokój i porządek. Jej łóżko było równo pościelone, a pensjonarskie biurko jakby tylko czekało na nauczycielską inspekcję. Stało na nim kilka klasycznych powieści z angielskiego kanonu: Dickens, Jane Austen, Forster, Lawrence. Książki wyglądały na czytane wiele razy, a na licznych stronach znaleźć można było podkreślenia i staranne zapiski na marginesach. Gabriel miał właśnie wsunąć do kieszeni jedną, *Pokój z widokiem* Forstera, gdy jego telefon zaczął wibrować. Szybko uniósł aparat do

ucha.

- Mamy towarzystwo - powiedział Keller.

- Ilu?

- Wygląda, że jedna osoba, ale nie jestem pewny.

Gabriel ostrożnie rozsunął cienkie zasłony i zobaczył idącą Blackwater Way kobietę pod parasolem. Gdy weszła na moment w snop światła rzucany przez latarnię, uświadomił sobie, że gdzieś już ją widział. Odpowiedź na pytanie „gdzie” znalazł w chwili, gdy znalazła się na podjeździe: stary kościół w górach Lubéron - to ona zęgnęła się przed ołtarzem tak, jakby gest ten był jej obcy. Teraz zaś z jakiegoś powodu ta sama kobieta wsunęła klucz do drzwi domu Madeline Hart.

Gabriel wyłączył telefon i wyciągnął broń. Korciło go, by natychmiast zejść na dół i od razu zmierzyć się z intruzem, uznał jednak, że lepiej będzie poczekać. Koniec końców, myślał, kobieta powie mu, kim jest i co tu robi. Najlepiej niech zrobi to, nawet sobie tego nie uświadamiając. Nie ma lepszego sposobu zdobywania materiału wywiadowczego niż wchodzenie w jego posiadanie bez wiedzy celu. Szamron od niepamiętnych czasów mawiał: „Lepiej działać jak kieszonkowiec niż jak zbir”.

Gabriel pozostał więc, stojąc nieruchomo z lufą pistoletu opartą o policzek, w pokoju, w którym Madeline Hart spędziła dzieciństwo. Kobieta weszła do holu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wypowiedziała jedną sylabę, której Gabriel nie potrafił rozpoznać. Usłyszał szelest: najwyraźniej nieznajoma podnosiła z podłogi koperty i chowała je do plastikowej torby. Następnie przeszła do kuchni, by po chwili raz jeszcze wypowiedzieć tę samą niezrozumiałą sylabę. Gabriel podejrzewał, że to jakieś przekleństwo w języku innym niż angielski, hebrajski, francuski, włoski czy niemiecki. Podejrzewał też coś jeszcze: kimkolwiek jest ta kobieta, wygląda na to, że przeszukuje dom. Tak jak Gabriel, zanim się pojawiła.

Gdy usłyszał, że kroki nieznajomej zbliżają się do klatki schodowej, wahał się przez moment. Jeśli nie mylił się co do zamiarów kobiety, to było pewne, że przeszuka ona także pokój Madeline. Rozejrzał się szybko w poszukiwaniu kryjówki, ale nie zobaczył odpowiedniego miejsca. Pokój był niewiele większy niż cela, w której porywacze przetrzymywali Madeline. Odgłosy kroków stawały się coraz głośniejsze. Gabriel uznał, że nie ma innego wyjścia, jak wyjść z pokoju. Ale dokąd? Dwa kroki od niego, po drugiej stronie korytarza, były drzwi do toalety. Gdy wsuwał się do niej bezszelestnie, zastanawiał się, co pomyślałby Szamron, gdyby mógł w tym momencie zobaczyć przyszłego szefa izraelskiego wywiadu. Chybaby mnie pochwalił, uznał Gabriel. Swoją drogą, był pewny, że

w swojej karierze wielki Ari Szamron ukrywał się w miejscach urągających zawodowemu prestiżowi znacznie bardziej niż ubikacja domu komunalnego w Basildon.

Drzwi zostawił uchylone nie więcej niż na centymetr. Gdy kobieta dotarła na górę, trzymał w wyprostowanych rękach broń gotową do strzału. Nieznajoma w pierwszej kolejności skierowała się do największej sypialni i starannie ją przeszukała. Po pięciu minutach opuściła pokój i minęła, nie przystając, drzwi toalety, nieświadoma, że w jej skroń wycelowany jest pistolet. Miała na sobie ten sam płaszcz przeciwdeszczowy co we Francji, za to zmieniła uczesanie. W lewej ręce niosła foliową reklamówkę z Marksa & Spencera. Wyglądało na to, że ma w niej coś więcej niż nieprzeczytaną korespondencję.

Gdy weszła do pokoju Madeline, jej ruchy stały się nagle bardziej energiczne. To jest profesjonalne przeszukanie, pomyślał Gabriel, nasłuchując. Przeszukanie połączone z demolką. Słyszeć było, jak kobieta wyciąga ubrania z szafy, zrywa pościel z łóżka i wyrzuca na podłogę zawartość szuflad. Na koniec rozległ się ostry trzask, jakby łamano coś drewnianego. Potem głucha cisza. Minęła chwila, po czym do uszu Gabriela dobiegł głos kobiety. Ton był niski i spokojny, taki, jakim zdaje się przez radio relację przełożonym. Gabriel nie rozumiał, co nieznajoma mówi. Zawsze miał słabe ucho do języków słowiańskich. Jednej rzeczy był jednak pewien.

Mówiła po rosyjsku.

Basildon, hrabstwo Essex

Kobieta przyjechała starym kanciastym volvo. Samochód zaparkowany był po drugiej stronie ulicy pod najpodlej wyglądającym blokiem w Lichfields. Skierowała się prosto do auta, w prawej ręce niosąc parasol, a w lewej reklamówkę z Marksa & Spencera. Parasol to tylko kamuflaż, pomyślał Gabriel, wyglądając dyskretnie przez okno, bo od kilku dobrych minut deszcz już nie padał. Torba wyglądała na ciężką. Kobieta otworzyła auto i wrzuciła ją na fotel pasażera. Niemal do ostatniej chwili nie składając parasola, usiadła za kierownicą. Silnik zaskoczył dopiero przy drugiej próbie. Przez chwilę kobieta jechała ze zgaszonymi światłami. Włączyła je dopiero, gdy wyjechała poza teren wokół bloku. Prowadziła szybko, ale bardzo płynnie. Jak zawodowiec.

Gabriel po raz ostatni rzucił okiem na efekty demolki dokonanej przez nieznaną w pokoju Madeline, po czym zbiegł na dół. Gdy wychodził przed dom, Keller czekał już z zapalonym silnikiem tuż przed furtką. Gabriel wszedł szybko do samochodu i skinieniem głowy wskazał Anglikowi, by jechał za kobietą.

- Tylko uważaj - ostrzegł go. - Jest dobra.

- Jak dobra?

- Poziom Centrali Moskwa.

- O czym ty mówisz?

- Może się mylę, ale stawiam, że kobieta w tym volvo jest z KGB.

KGB, technicznie rzecz biorąc, już nie istnieje. Rozwiązano je niedługo po rozpadzie ZSRR, tworząc dwie nowe służby wywiadowcze: FSB i SWR⁹. FSB odpowiada za działania w granicach Rosji: kontrwywiad, walka z terroryzmem, mafią i tymi spośród działaczy prodemokratycznej opozycji, którzy byli tak odważni lub tak głupi, by zadrzeć z ludźmi, którzy zza murów Kremla rządzą krajem. SWR to służba wywiadu zagranicznego: ogólnoświatowa siatka szpiegowska zarządzana z tego samego kompleksu gmachów na Jasieniewie, który przez lata był siedzibą zarządu głównego KGB. Oficerowie SWR nadal nazywają to miejsce Centralą Moskwa, lecz Rosjanie - co niezbyt zaskakujące - wciąż używają nazwy KGB. Nie przypadkiem. Włodarze z Kremla mogli zmienić nazwę służby, ale jej zadanie pozostało niezmiennie: infiltrować i osłabiać kraje NATO, ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią na czele.

⁹ FSB - Federalna Służba Bezpieczeństwa; SWR - Służba Wywiadu Zagranicznego.

Tylko dlaczego agentka SWR miałyby śledzić Gabriela i Kellera w kościele w Lubéron? I dlaczego później ta sama agentka przeszukała dom porwanej dla okupu, a później zamordowanej kochanki brytyjskiego premiera? Kochanki, która spłonęła w bagażniku Citroëna C4 zaparkowanego przy plaży w Audresselles.

- Nie ma co się wrywać z domysłami - powiedział Keller.

- Dobrze wiem, co słyszałem.

- Słyszałeś tyle, że kobieta mówiła po rosyjsku.

- Nie - zaproponował Gabriel - słyszałem, jak agentka Centrali Moskwa wywraca pokój do góry nogami.

Jechali na zachód drogą A127. Dochodziła dwudziesta. Pasy w kierunku wschodnim wciąż były częściowo zakorkowane po popołudniowym szczycie, ale na tych prowadzących na zachód ruch był płynny i szybki. Kobieta jechała niecałe dwieście metrów przed nimi. Dzięki charakterystycznym tylnym światłom Volvo Keller nie miał najmniejszego problemu, by nie tracić ich z oczu.

- Załóżmy, że dobrze ci się wydawało - zaczął, cały czas patrząc przed siebie - załóżmy, że KGB, SWR, czy jak oni się tam teraz nazywają, ma coś wspólnego z porwaniem Madeline Hart.

- Na tym etapie powiedziałbym, że to nie ulega wątpliwości.

- W porządku. Ale na czym polega ich udział?

- Dopiero nad tym pracuję, ale gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że wszystko od początku było ich akcją.

- „Akcją”? - powtórzył Keller sceptycznie. - Naprawdę myślisz, że to Rosjanie porwali kochankę premiera?

Gabriel nie odpowiedział. Sam nie potrafił jeszcze w to uwierzyć.

- Pozwolisz, że przypomnę ci o paru istotnych faktach? - spytał Keller.

- Proszę.

- Marcel Lacroix i René Brossard nie byli Rosjanami i nie pracowali dla SWR. Obaj byli Francuzami i znanymi postaciami podziemia przestępczego Marsylii. Marsylii, która jest na południu Francji.

- Mogli nie mieć świadomości, dla kogo pracują.

- A Paul?

- Nie wiemy o nim nic poza tym, że mówi po francusku tak, jakby nauczył się go z kasety. Tak przynajmniej twierdzi wielki don Orsati z Korsyki.

- Pokój z nim.

Gabriel postukał w przednią szybę i rzucił:

- Jedź szybciej, za bardzo ci odjechała.

- Spokojnie, nadażam.

- Podgoń ją.

Keller przyspieszył.

- Myślisz, że Paul jest Rosjaninem? - spytał.

- To by tłumaczyło, dlaczego francuska policja nie umiała połączyć jego twarzy z żadnym nazwiskiem.

- Ale po co miałyby wynajmować francuskich zbójów, zamiast załatwić sprawę samemu? - zastanawiał się Keller.

- Słyszałeś o operacjach „pod fałszywą flagą”? - spytał Gabriel. - Służby wywiadowcze często prowadzą działania, które mogą mieć poważne konsekwencje dyplomatyczne i polityczne, gdyby tylko wyszły na jaw. Żeby tego uniknąć, działa się pod przykrywką, wykorzystując ludzi z innego kraju. Bywa, że agenci udają agentów służb innego państwa, zdarza się też, że podszywają się pod kogoś zupełnie innego.

- Na przykład pod francuskich bandytów?

- Zdziwiłbyś się.

- Jest jeden problem z tą twoją teorią.

- Tylko jeden?

- SWR nie potrzebuje pieniędzy.

- Wątpię, by w tej sprawie chodziło o pieniądze.

- Dałeś im dwie walizki z dziesięcioma milionami euro.

- Wiem.

- Jeżeli nie chodziło o pieniądze, to po co ten cały okup?

- Fałszywa flaga i zasłona dymna do ostatniej chwili.

Keller milczał przez chwilę, by w końcu spytać:

- Ale dlaczego zabili Madeline?

- Tego nie wiem.

- Gdzie jest teraz jej rodzina?

- Nie wiem.

- Jak Rosjanie dowiedzieli się o Madeline i Lancasterze?

- Tego też nie wiem.

- Ale jest ktoś, kto prawdopodobnie to wie.

- Kto?

- Kobieta, która prowadzi volvo. - Keller wskazał charakterystyczne tylne światła.
- Lepiej działać jak kieszonkowiec niż jak zbir.
- Co to ma znaczyć?
- Podgoń ją - odpowiedział Gabriel, stukając w szybę - za bardzo ci odjechała.

Kobieta przejechała pod zewnętrzną obwodnicą M25, szybko pokonała podmiejskie tereny rolnicze i wjechała na przedmieścia Londynu. Po kolejnych trzydziestu minutach znaleźli się wśród osiedli na East Endzie, a niedługo potem zbliżyli do wieżowców City. Potem przez Holborn i Soho aż do Mayfair. Tam kobieta zaparkowała przy krawężniku w ruchliwej części Duke Street, na południe od Oxford Street. Włączyła światła awaryjne, po czym wysiadła z samochodu, trzymając w ręku reklamówkę Marksa & Spencera.

Podeszła do zaparkowanego kilka metrów dalej mercedesa. Kiedy się do niego zbliżyła, klapa bagażnika uniosła się automatycznie. Gabriel miał wrażenie, że to nie kobieta w płaszczu otworzyła ją pilotem. Włożyła do środka torbę, zamknęła z trzaskiem bagażnik i wróciła do volvo. Po dziesięciu sekundach ruszyła i skierowała się w stronę Oxford Street.

- Co mam robić?
- Daj jej odjechać.
- Dlaczego?
- Dlatego że ten, kto otworzył bagażnik w mercedesie, sprawdza teraz, czy nikt jej nie śledzi.

Keller zlustrował ulicę. To samo zrobił Gabriel. Po obu stronach znajdowały się restauracje, w ogromnej większości wypełnione turystami. Na chodnikach tłoczyli się przechodnie. Każdy z nich mógł mieć w kieszeni kluczyk od mercedesa.

- Co teraz? - spytał Keller.
- Czekamy.
- Na co?
- Będę wiedział, kiedy zobaczę.
- Kieszonkowcy kontra zbiry?
- Coś w tym rodzaju.

Keller obserwował mercedesa, a Gabriel przyglądał się kulinarnemu koszmarowi rozgrywającemu się przy Duke Street. Pizza Hut, Garfunkel's, bar z szyldem „prawdziwe gofry”, cokolwiek miało to znaczyć. Szczytem wyrafinowania była restauracja należąca do sieci Bella Italia i to na niej spoczął ostatecznie wzrok Gabriela. Z lokalu wychodzili właśnie kobieta i mężczyzna. Prawdopodobnie przed chwilą skończyli posiłek. On był od niej o kilka

lat starszy, chronił twarz przed deszczem rondem kapelusza. Kobieta raz po raz zaglądała do torebki, jakby nie mogła sobie przypomnieć, gdzie włożyła poszukiwany przedmiot. Widział ich już wcześniej: w Galerii Courtauld ona trzymała otwarty na niewłaściwej stronie przewodnik, a on miał na nosie okulary z przyciemnionymi szklami. Teraz już nie. Pomógł kobiecie zając miejsce w fotelu pasażera mercedesa, po czym obszedł auto i usiadł za kierownicą. Wydawało się, że warkot potężnego silnika wprawia w wibracje pół ulicy. Samochód wystrzelił do przodu z krótkim piskiem opon i przejechał przez skrzyżowanie z Oxford Street dokładnie w chwili, gdy światło zmieniało się na czerwone.

- Ładnie rozegrane - mruknął Keller.

- To prawda - zgodził się Gabriel.

- Mam za nim jechać?

Gabriel pokręcił powoli głową. Dobrzy są, pomyślał. Poziom Centrali Moskwa.

Grand Hotel Berkshire nie był specjalnie „grand”. Technicznie rzecz biorąc, nie stał również w urokliwym hrabstwie Berkshire. Budynek znajdował się przy West Cromwell Road, na końcu rzędu edwardiańskich domów, mając za sąsiadów dyskont z elektroniką i podejrzanie wyglądającą kawiarenkę internetową po przeciwnej stronie ulicy. Zameldowali się o północy. Nie mieli rezerwacji ani bagażu - ten został w mieszkaniu przy Bayswater, które, jak zakładał Gabriel, było teraz pod obserwacją Rosjan. Zapłacił gotówką za dwie noce i poinformował recepcjonistę, że ani on, ani jego kolega nie życzą sobie gości i zakłócania spokoju, łącznie ze sprzątaniami. Mężczyzna nie uznał tych wytycznych za dziwne. Grand Hotel Berkshire lub GHB, jak w skrócie mówili o nim pracownicy, nie raz i nie dwa służył tym, którzy podróżują mniej uczęszczanymi drogami.

Wzięli pokój na ostatnim, czwartym piętrze, skąd był doskonały widok na całą ulicę. Gabriel nalegał, żeby to Keller pierwszy położył się spać. Następnie usiadł przy oknie z bronią na udach i stopami na parapecie. W jego głowie nieustannie kołatało się pięć pytań. Dlaczego rosyjski wywiad miałby robić coś tak brawurowego jak porywanie kochanki brytyjskiego premiera? Dlaczego zażądano okupu, skoro w całej sprawie na pewno nie chodziło o pieniądze? Dlaczego Rosjanie zabili Madeline? Gdzie podziela się jej rodzina? Jak dużo wiedzieli Lancaster i Jeremy Fallon? Nie potrafił znaleźć zadowalającej odpowiedzi na żadne z tych pytań. Mógł tylko zgadywać i snuć domysły. Trzeba dobrać się do kieszeni jeszcze kilku ludzi, pomyślał, a potem, jeśli zajdzie potrzeba, być może ktoś oberwie po głowie. Tylko co wtedy? Przypomniał sobie raz jeszcze starą signadorę i jej słowa o dawnym wrogu i mieście heretyków na wschodzie.

„Jeśli postawisz tam stopę, zginiesz”.

W tym momencie pod Tesco Express po drugiej stronie ulicy podjechała z piskiem opon furgonetka z dostawą prasy. Dochodziła czwarta nad ranem, nadszedł czas, by obudzić Kellera, a samemu przespać się kilka godzin. Gabriel jednak się wstrzymał. Sięgnął po zabraną z pokoju Madeline powieść Forstera, otworzył na przypadkowej stronie i zaczął czytać:

Zdawało się, że wszyscy przystąpili do udziału w jakiejś skomplikowanej grze. Jaka to była gra i jakie pozycje zajęli gracze - tego Lucy nie potrafiła zrozumieć.

Gabriel zamknął książkę i spojrzał na odjeżdżającą furgonetkę z prasą. I nagle zrozumiał. Ale jak dowieść, że ma rację? Będzie potrzebował pomocy kogoś, kto zna mroczny świat rosyjskiego pogranicza biznesu i polityki. Był mu potrzebny ktoś równie bezwzględny jak panowie z Kremla. Był mu potrzebny Wiktor Orłow.

36.

Chelsea, Londyn

Wiktor Orłow zawsze umiał dobrze liczyć. Urodził się w Moskwie w apogeum zimnej wojny. Studiował w prestiżowym leningradzkim Instytucie Mechaniki Precyzyjnej i Optyki. Zgodnie z zaleceniem przełożonych wstąpił do Partii Komunistycznej. Wiele lat później w wywiadzie dla brytyjskiego dziennika stwierdził, że nigdy nie wierzył w jej ideologię. „Wstąpiłem do partii - przyznał bez cienia skruchy - bo była to jedyna dostępna dla mnie ścieżka kariery. Światopoglądowo nadawałbym się raczej na dysydenta, ale jakoś nie miałem ochoty trafić do gułagu”.

Gdy Związek Radziecki wyzionął ostatecznie ducha, Orłow nie uronił ani jednej łzy. Spił się tanią wódką i biegał po ulicach Moskwy, krzycząc: „Król umarł!”. Następnego ranka, na potwornym kacu, wypisał się z partii, zrezygnował z udziału w radzieckim programie nuklearnym i poprzysiął sobie, że będzie bogaty. W ciągu kilku lat udało mu się dorobić sporej fortuny na imporcie komputerów i urządzeń RTV. Dostarczał zachodnie produkty na rodzący się rosyjski rynek. Następnie użył zgromadzonych pieniędzy, żeby za bezcen kupić największą państwową stalownię oraz Ruzoil, syberyjskiego giganta naftowego. Nie minęło dużo czasu, a Wiktor Orłow, do niedawna fizyk na garnuszku państwa który musiał dzielić mieszkanie z dwiema rodzinami, został milionerem i najbogatszym człowiekiem w Rosji. Był jednym z pierwszych oligarchów, współczesnych baronów-złodziei, którzy dorobili się niebotycznych fortun na zagrabianiu klejnotów koronnych państwa radzieckiego. Orłow nie zamierzał nikogo przeproszać za to, w jaki sposób zdobył pieniądze. „Gdybym urodził się Anglikiem - powiedział w wywiadzie - bardzo możliwe, że dorobiłbym się uczciwie. Urodziłem się jednak jako Rosjanin. I zdobyłem fortunę po rosyjsku”.

W poradzieckiej Rosji jednak, kraju nieskutecznego prawa, toczonego rakiem bandytyzmu i korupcji, fortuna Orłowa uczyniła go znaczną kartą. Przeżył co najmniej trzy zamachy na swoje życie. Plotka głosi, że w odwecie zlecił zamordowanie kilku ludzi. Największe zagrożenie stanowił jednak człowiek, który zastąpił na Kremlu Borysa Jelcyna. Uważał on, że Orłow i jemu podobni rozkradli majątek państwa. I miał zamiar go odzyskać. Tuż przed tym, jak oficjalnie wprowadził się na Kreml, nowy prezydent wezwał do siebie Orłowa i zażądał dwóch rzeczy: stalowni i Ruzoilu. „I nie wtykaj nosa w politykę - dodał złowrogo - bo ci go odetnę”.

Oligarcha zgodził się oddać stalownię, ale nie Ruzoil. Prezydent nie uznał tego za

zabawne. Natychmiast nasłał na Orłowa prokuraturę, zlecając gruntowne śledztwo w sprawach korupcji i nadużyć. Po zaledwie tygodniu wydano nakaz aresztowania miliardera. Orłow postąpił roztropnie, wyjechał do Londynu i stał się jednym z najbardziej znanych i najsukuczniejszych krytyków prezydenta. Przez kilka kolejnych lat Ruzoil pozostawał formalnie jego własnością, w praktyce będąc niedostępnym ani dla niego samego, ani dla włodarzy z Kremla. Ostatecznie Orłow zrzekł się udziałów w spółce w ramach tajnego porozumienia: oddał ją w zamian za zwolnienie czworga zakładników przetrzymywanych przez rosyjskiego handlarza bronią, Iwana Charkowa. Brytyjski rząd odwzajemnił mu się, przyznając obywatelstwo i aranżując dla niego krótkie, prywatne spotkanie z Jej Wysokością. Biuro wysłało do niego list z podziękowaniami - podyktowany przez Chiare, a napisany ręką Gabriela. Szamron osobiście dostarczył go Orłowowi i spalił, gdy oligarcha tylko skończył go czytać.

- Czy będę kiedyś miał okazję poznać tego niezwykłego człowieka? - spytał Rosjanin.

- Nie - odparł Szamron.

Niezrażony Orłow dał mu swój najprywatniejszy numer telefonu, który Szamron z kolei przekazał Gabrielowi. Ten skorzystał z niego, dzwoniąc rano z budki niedaleko Grand Hotel Berkshire. Był zaskoczony, słysząc, że Orłow odebrał.

- Jestem jednym z tych, których pan uratował, zrzekając się Ruzoilu - przedstawił się Gabriel, nie podając nazwiska.

- To ja napisałem list, który stary spalił na pańskich oczach.

- Był najbardziej odrażającą kreaturą, jaką w życiu spotkałem.

- Zyskuje przy bliższym poznaniu. Proszę dać mu czas.

Orłow zaśmiał się krótko i sucho.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Potrzebuję pana pomocy.

- Ostatnim razem, kiedy jej pan potrzebował, kosztowało mnie to spółkę wartą co najmniej szesnaście miliardów dolarów.

- Tym razem nie zapłaci pan ani grosza.

- Mam czas o czternastej.

- Gdzie mam przyjść?

- Pod czterdzieści dziewięć - odpowiedział Orłow i się rozłączył.

„Czterdzieści dziewięć” oznaczało adres należącej do Orłowa rezydencji z czerwonej cegły przy Cheyne Walk w Chelsea. Gabriel poszedł tam piechotą. Idący sto metrów za nim

Keller prowadził kontrolobserwację. Dom był wysoki, wąski i porośnięty wisterią. Jak wszystkie budynki w sąsiedztwie, rezydencja była odsunięta od ulicy i ogrodzona płotem z kutego żelaza. Na podjeździe stał opancerzony bentley z szoferem za kierownicą, a zaraz za nim czarny range rover, którym jeździła ochrona Orłowa. Wszyscy jej członkowie służyli kiedyś w dawnym regimencie Kellera SAS w Hereford.

Ochroniarze przyglądali się Gabrielowi ze zrozumiałym zaciekawieniem, gdy przeszedł przez ogród i stanął pod frontowymi drzwiami. Zadzwoił i otworzyła mu pokojówka w biało-czarnym uniformie. Gdy upewniła się, kim jest, zaprowadziła go elegancką klatką schodową do gabinetu Orłowa. Pokój był dokładną repliką prywatnego gabinetu królowej w pałacu Buckingham, z jedną różnicą: królowa nie ma zestawu ekranów plazmowych transmitujących notowania giełdowe i wiadomości z całego świata. Gdy Gabriel wszedł, zastał Orłowa właśnie naprzeciwko ogromnego ekranu. Rosjanin wyglądał, jakby wpadł w trans. Miał na sobie, jak zawsze, ciemny włoski garnitur i dość ostentacyjny różowy krawat zawiązany na potężny węzeł windsorski. Jego przerzedzone siwawe włosy sterczały nażelowane. Cyfry wyświetlane na monitorach odbijały się w szklach modnych okularów Rosjanina. Stał nieruchomo, nie licząc lewego oka, które raz po raz drgało w niekontrolowanym tiku.

- Ile dziś pan zarobił? - zagadnął Gabriel.

- Właściwie - odpowiedział Orłow, nie odrywając wzroku od monitora - to straciłem jakieś dwadzieścia milionów.

- Przykro mi.

- Jutro też jest dzień.

Orłow odwrócił się i przez chwilę w milczeniu przyglądał się Gabrielowi. Wreszcie podał mu wypielęgowaną dłoń. Była chłodna i dziwnie miękka. Gabriel miał wrażenie, że ściska rękę małego dziecka.

- Jestem Rosjaninem - zaczął Orłow - więc niełatwo zrobić na mnie wrażenie, ale muszę przyznać, że jestem bardzo zaskoczony, widząc pana u siebie. Sądziłem, że nigdy się nie spotkamy.

- Przepraszam. Powinienem był pokazać się tu już dawno temu.

- Rozumiem, dlaczego tego pan nie zrobił. - Orłow uśmiechnął się smutno. - Mamy ze sobą coś wspólnego. Obu nas wzięła na celownik Kreml i obaj wciąż żyjemy.

- Jedni żyją gorzej, inni lepiej. - Gabriel rozejrzył się po imponującym gabinecie.

- Miałem szczęście. A brytyjski rząd zachował się wobec mnie bardzo ładnie. Dlatego nie chcę zrobić nic, co mogłoby zdenerwować mocodawców z Whitehall.

- Mamy zbieżne interesy.

- Dobrze to słyszeć, panie Allon. Proszę, niech mi pan opowie, z czym do mnie przychodzi.

- Chodzi o Volgatek Oil & Gas.

Orłow się uśmiechnął.

- No, cieszę się, że ktoś to wreszcie zauważył.

Cheyne Walk, Chelsea

Wiktor Orłow nie krępował się ani trochę, rozmawiając o pieniądzach. Właściwie to rzadko zdarzało mu się mówić o czymkolwiek innym. Bez żenady chwalił się tym, że każdy z jego garniturów wart jest dziesięć tysięcy dolarów, albo i więcej, i że wysadzany brylantami złoty zegarek, który ma na ręku, należał do najdroższych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Obecne wcielenie zegarka było, dokładnie mówiąc, wtórnikiem. Pierwszy egzemplarz, co było dobrze znaną historią, uległ zniszczeniu w Szwajcarii. Orłow uderzył nim o drzewo, gdy przewrócił się na nartach. „Głupek ze mnie - powiedział brytyjskiemu dziennikarzowi po wartej dziesiątce milionów dolarów kraksie.

- Zapomniałem przed wyjściem na stok zdjąć to cholerstwo z ręki".

Jego ulubionym winem było Château Pétrus. Pił to przesławne bordeaux jak wodę mineralną. Było bardzo wczesne popołudnie, nie czas na picie, nawet jak na standardy Orłowa, dlatego na początek zdecydował się na herbatę. Pił ją po rosyjsku, trzymając w ustach kostkę cukru. Usiadł na eleganckiej, obitej brokatem kanapie i zarzucił rękę na oparcie. Jednocześnie przez cały czas bawił się drogimi okularami - jak zawsze, gdy mówił o Rosji.

Nie o Rosji swojego dzieciństwa, Rosji, której służył jako naukowiec, lecz o Rosji, która stanęła na chwiejnych nogach po rozpadzie Związku Radzieckiego. Rosji bezprawia, pijanej, zagubionej. Jej mieszkańcy każdego dnia doznawali traumy. Przecież obiecywano im bezpieczeństwo od kołyski aż po grób. A teraz nagle każdy musiał walczyć o swoje: kraj zmienił się w poligon krwiożerczego społecznego darwinizmu. Silni żerowali na słabych, słabi głodowali, a oligarchowie stworzyli nowe samodzielstwo. Zostali nowymi carami, nowymi komisarzami ludowymi. Przemierzali Moskwę w kuloodpornych limuzynach, otoczeni uzbrojonymi po zęby ochroniarzami. Nocami ci ochroniarze toczyli ze sobą walki na ulicach miasta.

- To był Dziki Wschód - powiedział Orłow refleksyjnym tonem - kompletne szaleństwo.

- A jednak pan to kochał - powiedział Gabriel.

- A jak mógłbym nie kochać? Byliśmy bogami, naprawdę.

Na wczesnym etapie swojej kariery jako kapitalisty Orłow osobiście i żelazną ręką zarządzał swoim rozrastającym się imperium, ale gdy został właścicielem Ruzoilu, zorientował się, że musi mieć na swoim statku pierwszego oficera. Znalazł go w osobie

Gienadija Łazariewa - wybitnego specjalisty w dziedzinie matematyki teoretycznej, z którym pracował przy programie jądrowym. Łazariew nie miał pojęcia o kapitalizmie, ale podobnie jak Orłow zawsze dobrze liczył. Biznesu nauczył się od podstaw. Następnie Orłow powierzył mu nadzór nad działaniami spółki. To był - przyznał oligarcha - mój największy biznesowy błąd.

- Dlaczego? - spytał Gabriel.

- Dlatego że Gienadij Łazariew był szpiegiem KGB - odpowiedział Orłow. - Pracował dla nich i za czasów programu nuklearnego, i kiedy postawiłem go na czele Ruzoilu.

- Nie miał pan żadnych podejrzeń?

Orłow pokręcił głową.

- Był bardzo dobry - odparł - a przy tym bardzo lojalny wobec tarczy i miecza. Tak mówią na siebie zbiry z KGB. Stało się to, co musiało się stać - dodał po chwili. - Łazariew mnie zdradził. Przekazał Kremlowi mnóstwo naszej wewnętrznej dokumentacji, którą potem prokuratura wykorzystwała do sfabrykowania zarzutów. Kiedy wyjechałem z kraju, Łazariew rządził Ruzoilem tak, jakby to była jego własna firma.

- Odciał pana od niej?

- Całkowicie.

- A kiedy zgodził się pan zrzec spółki po to, żeby wyciągnąć nas z Rosji?

- Łazariewa już wtedy w firmie nie było. Zarządzał nową państwową spółką nafciarską. Nazwę dla tego nowego tworu wymyślił sam prezydent: Volgatek Oil & Gas. Po Kremlu krążył w tamtych czasach dowcip, że najbardziej podobała mu się nazwa KGB Oil & Gas, ale uznał, że na Zachodzie to się nie sprzeda.

Volgatek, podjął Orłow, nie miał zajmować się produkcją paliw na terenie Rosji. Ten rynek już się wyrównał. Zadaniem nowej firmy była działalność poza granicami kraju: miała rozszerzać rosyjskie wpływy w branżach naftowej i gazowej, a tym samym zwiększać wpływy Kremla. Volgatek dostał państwowe pieniądze i natychmiast ruszył w Europę na zakupy. Kupili sieć rafinerii w Polsce, na Litwie i na Węgrzech. Potem, mimo protestów USA, podpisali bardzo lukratywny kontrakt w Iranie. Mają też umowy ramowe z Kubą, Wenezuelą i Syrią.

- Widzi tu pan pewną prawidłowość? - spytał Orłow.

- Wszystkie porozumienia zawarł Volgatek albo z krajami byłego ZSRR, albo z wrogami USA.

- Zgadza się - potwierdził Rosjanin.

Ale Volgatek nie zamierzał na tym poprzestać, dodał. Coraz intensywniej działali też w

Europie Zachodniej. Podpisali umowy na dystrybucję i rafinację w Grecji, Danii i Holandii. No, a potem wzięli na celownik Morze Północne. Chcieli wiercić na dwóch nowo odkrytych polach na zachód od szkockich wysp. Geologowie Volgateku oszacowali, że produkcja sięgnęłaby tam stu tysięcy baryłek dziennie, a spora część zysków z wydobycia popłynęłaby prosto na Kreml. Złożyli do Departamentu Prawa Energetycznego wniosek o licencję. Wtedy sekretarz stanu do spraw energii zaprosił Wiktora Orłowa na rozmowę do swojego biura.

- Jak pan myśli, co mu powiedziałem? - spytał oligarcha.

- Że Volgatek to spółka córka Kremla zarządzana przez byłego funkcjonariusza KGB.

- I jak pan sądzi, co zrobił sekretarz stanu po otrzymaniu od Volgateku wniosku o pozwolenie na odwierty na wodach terytorialnych Wielkiej Brytanii?

- Wrzucił je go do niszczarki.

- Na moich oczach. - Orłow się uśmiechnął. - To był bardzo satysfakcjonujący dźwięk.

- Czy na Kremlu wiedzą, że to pan sabotował podpisanie porozumienia?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Orłow - ale jestem pewny, że Łazariew i prezydent podejrzewali, iż mam z tym coś wspólnego. Jeśli chodzi o mnie, oni zawsze wierzą w najgorszą z możliwych wersji.

- Co stało się potem?

- Volgatek odczekał rok i złożył drugi wniosek. I tym razem sprawy ułożyły się inaczej. Mieli stronnika na Downing Street, kogoś, kogo wyhodowali sobie przez rok.

- Kogo? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Wolałbym nie mówić.

- W porządku. Więc powiem to za pana. Człowiekiem Volgateku na Downing Street był Jeremy Fallon, najpotężniejszy w historii Wielkiej Brytanii szef sztabu.

Orłow się uśmiechnął.

- Chyba jednak powinniśmy wypić butelkę Petrusa.

Wpływali na niebezpieczne wody. Gabriel miał tego świadomość, a Orłow z całą pewnością również dobrze o tym wiedział, ponieważ tik w jego oku wyraźnie się nasilił. Gdy był dzieckiem, ten drobny defekt czynił go obiektem bezlitosnych drwin. Sprawiało to, że aż kipiał z nienawiści. Co później miało zaprowadzić go do sukcesu. Wiktor Orłow czuł nieodpartą potrzebę pobicia wszystkich na głowę. A wszystko z powodu lekkiego tik w lewym oku.

W tym akurat momencie spojrzenie jego lewego oka utkwione było w kieliszku wypełnionym ciemnoczerwonym bordeaux. Orłow dopiero przymierzał się do pierwszego

łyku. I nie odpowiedział na wyjątkowo bezpośrednie pytanie, które przed chwilą zadał mu Gabriel: dlaczego akurat Jeremy Fallon?

- A dlaczego nie? - odparł Rosjanin po dłuższej chwili milczenia. - Był mózgiem Lancastera. Premier był jak kukielka w jego rękach, to Fallon pociągał za sznurki, a Lancaster machał ręką. A poza tym łatwo było go podejść.

- Dlaczego?

- Bo prawie jadł tynk ze ścian. Był biedny jak mysz kościelna.

- Kto zaproponował, żeby wziąć go na cel?

- Z tego, co słyszałem, pomysł wyszedł z rezydentury w Londynie.

„Rezydentura” to słowo, którym agenci SWR określali swoją działalność w ramach ambasad. „Rezydentem” nazywano szefa na kraj, a „rezydenturą” placówkę, która służyła za bazę działań wywiadowczych. Pozostałość z czasów KGB. Jak zresztą większość rzeczy w SWR.

- Jak podeszli do tematu?

- Łazariew i Fallon zaczęli wpadać na siebie we wszystkich „niewłaściwych” miejscach: na przyjęciach, w restauracjach, podczas konferencji, na wakacjach. Jeśli wierzyć plotkom, Fallon spędził jeden z długich weekendów w willi Łazariewa w Gstaad, a jakiś czas później żeglował jego jachtem po wyspach greckich. Podobno fantastycznie się dogadują. W ogóle mnie to nie dziwi. Gienadij, jeśli tylko chce, potrafi być naprawdę czarującym skurwielem.

- Ale tu chyba w grę wchodziło coś więcej niż urok.

- O wiele więcej.

- A konkretnie?

- Pięć milionów euro na numerowanym koncercie w Szwajcarii, podarek od Kremla.

Czyste i nienamieralne. SWR poprowadziło sprawę od początku do końca.

- Kto panu o tym powiedział?

- Wolałbym nie mówić.

- Panie Orłowie...

- Pan ma swoje źródła, panie Allon, ja mam swoje.

- Niech mi pan chociaż poda stronę świata.

- To informacja ze wschodu - odparł Rosjanin, co było jasnym wskazaniem na jedno ze źródeł w Moskwie.

- Niech pan mówi.

Orłowie napili się wina, a potem zaczął opowiadać o tym, jak Volgatek złożył drugi wniosek o licencję na wydobycie, tym razem przy wsparciu drugiej osoby na Downing Street.

Premier, mówił Rosjanin, nadal miał jednak do sprawy stosunek w najlepszym razie ambiwalentny. Sekretarz stanu do spraw energii w dalszym ciągu ostro oponował. Fallonowi udało się wymóc na nim, by nie odrzucał wniosku. Z trudem, ale sprawę udało się utrzymać przy życiu.

- Jakiś czas później - Orłow uniósł rękę - sekretarz stanu nagle zdecydował się przyznać licencję, a Lancaster poleciał do Moskwy wznosić toasty szampanem. No, a człowiek, który wziął pięć milionów euro w rosyjskiej walucie, ma zostać kanclerzem skarbu.

- Muszę poznać źródło informacji o tych pięciu milionach.

- Już pan słyszał moją odpowiedź - uciął Rosjanin.

Gabriel zmienił temat:

- Jak wyglądają tu, w Londynie, relacje między panem i pana biznesem a Volgatekiem?

- Jak się pan pewnie domyśla, prowadzimy wojnę. Przy czym jest to raczej zimna wojna. Nigdy oficjalnie niewypowiedziana, ale bardzo zażarta.

- To znaczy?

- Kilka razy, gdy próbowałem przejąć spółki, Łazariew przebijał moją ofertę. W jego przypadku to nic trudnego - powiedział Orłow tonem pretensji - nie ryzykuje własnych pieniędzy. Wielką przyjemność sprawia mu też podkupywanie moich najlepszych ludzi. Kładzie przed nimi stosy forsy, oczywiście pochodzącej z Kremla, a ci zawsze się na nie połaszczą.

- Rozmawiacie ze sobą?

- Tak bym tego nie nazwał - odrzekł Orłow. - Kiedy spotykamy się w miejscach publicznych, wymieniamy dyskretne ukłony i lodowate uśmiechy. Nasza wojna toczy się w cieniu. I muszę przyznać, że Gienadij ostatnio zyskał nade mną przewagę. A teraz jeszcze będzie wydobywał ropę na wodach kraju, który nauczyłem się kochać jak swój własny. Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

- Więc może powinien pan coś z tym zrobić?

- Na przykład co?

- Niech mi pan pomoże ukręcić łeb temu porozumieniu.

Orłow przestał bawić się okularami i przez moment patrzył w milczeniu na Gabriela.

- A jaki pan ma w tym interes? - spytał w końcu.

- To sprawa osobista.

- Dlaczego kogoś takiego jak pan w ogóle obchodzi, czy rosyjska spółka będzie mieć dostęp do tych złóż naftowych, czy nie?

- To skomplikowane.

- No tak, to do pana podobne.

Gabriel uśmiechnął się nieco wbrew sobie, by po chwili cicho odpowiedzieć:

- Myślę, że Kreml szantażem zmusił Lancastera do wydania licencji na wydobywanie.

- W jaki sposób?

Gabriel milczał.

- Oddałem spółkę wartą szesnaście miliardów, żeby wyciągnąć pana z Rosji - powiedział Orłow. - Chyba mam prawo znać odpowiedź. W jaki sposób go do tego zmusili?

- Porwali na Korsyce jego kochankę.

Orłow nawet nie mrugnął.

- No, cieszę się, że ktoś się w końcu zorientował.

Rozmawiali, póki za oknami imponującego gabinetu Orłowa nie zrobiło się ciemno. A potem jeszcze trochę. Kiedy skończyli, Gabriel czuł, że rozumie już, co to za gra. Nadal nie umiał jednak określić, jakie pozycje zajęli poszczególni gracze. Ale jednej rzeczy był pewny: nadeszła pora, by dyskretnie porozmawiać z Grahamem Seymourem. Zadzwoił do przyjaciela z MI5 z budki na Sloane Square i przyznał mu się, że po raz kolejny wjechał do jego kraju, nie wpisując się do księgi gości. Następnie poprosił o spotkanie. Seymour podał miejsce i czas, po czym się rozłączył, nie mówiąc nic więcej. Gabriel odwiesił słuchawkę i ruszył chodnikiem przed siebie. Podążający sto metrów za nim Keller prowadził kontrobservację.

38.

Hampstead Heath, Londyn

Dotarli do Hyde Park Corner i wsiedli do metra. Pociągiem linii Piccadilly dojechali do stacji Leicester Square, gdzie przesiadli się do pociągu linii Northern do Hampstead. Keller usiadł w kawiarni, by zaczekać, a Gabriel ruszył South End Road. Wszedł do parku na wysokości Pryors Field, minął stawy i podszedł pod łagodne zbocze Parliament Hill. W oddali widać było światła spowitych mgłą i nisko wiszącymi chmurami wieżowców City. Graham Seymour podziwiał widok, siedząc na drewnianej parkowej ławce. Był sam, nie licząc dwóch ochroniarzy w płaszczach, którzy stali na ścieżce w pewnej odległości od niego, nieruchomi jak figury szachowe. Obaj odwrócili wzrok, kiedy Gabriel minął ich bez słowa i przysiadł się do Seymoura. Ten zachował się tak, jakby nie dostrzegał jego obecności. Znów palił.

- Naprawdę powinieneś to rzucić - zaczął Gabriel.

- A ty naprawdę powinieneś być mi powiedzieć, że przyjeżdżasz - odciął się Seymour. - Zorganizowałbym komitet powitalny.

- Nie chciałem żadnego komitetu, Graham.

- Jasne, że nie. - Seymour wciąż wpatrywał się w dalekie światła centrum miasta. - Dawno przyjechałeś?

- Wczoraj po południu.

- Po co?

- Bo mam tu niezamkniętą sprawę.

- Po co? - powtórzył Anglik.

- Chodzi o Madeline - wyjaśnił Gabriel. - Jestem tu z jej powodu.

Seymour odwrócił głowę i spojrzał na Gabriela pierwszy raz, odkąd zaczęli rozmawiać.

- Madeline nie żyje - powiedział powoli.

- Wiem, Graham. Byłem tam.

- Przepraszam - rzekł Seymour po chwili. - Nie powinienem...

- Zapomnij.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Charakter tej sprawy jest wyjątkowo niewdzięczny, pomyślał Gabriel. W końcu obaj wstąpili do wywiadu po to, żeby chronić swoje kraje i swoich współobywateli, a nie polityków.

- Musiałeś dowiedzieć się czegoś ważnego - przerwał w końcu milczenie Seymour -

inaczej byś nie zadzwonił.

- Dobry jesteś. Zawsze byłeś.

- Nie na tyle dobry, żeby powstrzymać cię przed wjeżdżaniem do mojego kraju, kiedy tylko masz ochotę.

Gabriel milczał.

- No więc, co wiesz?

- Kto porwał Madeline. A co ważniejsze, myślę, że wiem, dlaczego została porwana.

- Kto to zrobił?

- KGB Oil & Gas

Seymour aż podskoczył.

- O czym ty mówisz?

- Chodzi o umowę z Volgatekiem. KGB porwało Madeline, żeby Rosjanie mogli kraść waszą ropę.

Dla zawodowego szpiega nie ma nic gorszego, niż dowiedzieć się od agenta innej służby czegoś, czego samemu się jeszcze nie wie. Graham Seymour zniósł to upokorzenie najgodniej, jak potrafił, z podniesionym czołem. Następnie, rozważywszy ewentualne konsekwencje, poprosił Gabriela, by podał szczegóły. Ten zaczął od zrelacjonowania mu wszystkiego, czego dowiedział się o Jeremym Fallonie. Powiedział Seymourowi o uczuciu szefa sztabu do Madeline Hart, o tym, że przestał być mile widziany na Downing Street, że przed kolejnymi wyborami miał zostać odsunięty na boczny tor i o tym, że potajemnie przyjął od Gienadija Łazariewa pięć milionów euro, by następnie wykorzystać swoje wpływy do przełamania oporu sekretarza stanu. Na koniec Seymour usłyszał o mówiącej po rosyjsku kobiecie, którą Gabriel widział najpierw w kościele w Lubéron, a później w opuszczonym domu w Basildon.

- Skąd wiesz o Fallonie i tych pięciu milionach? - zapytał wreszcie.

- Jeśli pozwolisz, zachowam to dla siebie.

- Nie mam wątpliwości, że tak byś wolał, ale kto jest źródłem?

Gabriel odpowiedział zgodnie z prawdą, na co Seymour tylko pokręcił głową.

- Wiktor Orłow jest genetycznie niezdolny do mówienia prawdy - stwierdził Seymour. - Od kiedy pamiętam, podrzuca MI6 różne „materiały wywiadowcze”, które za każdym razem nijak się mają do faktów.

- Gdyby nie Wiktor Orłow, Chiara i ja od dawna bylibyśmy martwi - przypomniał Gabriel.

- Co nie znaczy, że ten człowiek mówi prawdę.

- O kulisach biznesu nafciarskiego wie więcej niż ktokolwiek inny.

Seymour nie próbował tego kwestionować.

- W porządku, ale czy masz pewność co do tamtej pary w mercedesie? - spytał po chwili. - Jesteś pewny, że to ci sami ludzie, których widziałeś w galerii?

- Graham... - W głosie Gabriela słychać było zmęczenie. - Każdy z nas od czasu do czasu się myli.

- Ale niektórzy z nas częściej niż inni - skwitował Gabriel.

Seymour nerwowym ruchem cisnął niedopałek papierosa w mrok.

- Dlaczego dowiaduję się o tym wszystkim dopiero teraz? Dlaczego nie zadzwoniłeś wczoraj, kiedy miałeś ich pod obserwacją?!

- I co byś zrobił, gdybym zadzwonił? Postawiłbyś na nogi szefa ruskiego kontrwywiadu? Zawiadomiłbyś dyrektora generalnego? - Gabriel zamilkł na chwilę. - Gdybym przyszedł z tym do ciebie wczoraj, doszłoby do reakcji łańcuchowej, która zniszczyłaby i Lancastera, i jego rząd.

- Więc dlaczego przychodzisz teraz?

Gabriel długo milczał. Seymour sięgnął po kolejnego papierosa, ale go nie zapalił.

- Niezła ironia losu, co?

- Co masz na myśli?

- Poprosiłem cię, żebyś znalazł Madeline Hart, bo chciałem chronić premiera. A teraz ty przynosisz mi informacje, które mogą oznaczać jego koniec.

- Nie taki miałem zamiar.

- I tak nie możesz udowodnić ani słowa z tego, co powiedziałeś. Jednego słowa!

- Wiem.

Seymour westchnął ciężko.

- Jestem zastępcą dyrektora MI5 - powiedział bardziej do siebie niż do Gabriela. - Ludzie na moim stanowisku nie są od obalania brytyjskiego rządu. Mają chronić ten rząd i ten kraj przed wrogami - zewnętrznymi i wewnętrznymi.

- A jeśli rząd jest umoczony?

- Pokaż mi rząd, który nie jest - odparł spokojnie Seymour.

Gabriel nie miał nic do dodania. Nie był w nastroju do dyskusji o relatywizmie etycznym w polityce.

- Co zrobisz, jeśli będę nalegał, żebyś zapomniał o sprawie i odpuścił temat?

- Spełnię twoją prośbę i wrócę do Jerozolimy.

- I co będziesz tam robił?

- Szamron ma plany wobec mnie.

- Powiesz jakie?

- Na razie nie.

Seymour był wyraźnie zaniepokojony, ale nie naciskał.

- A co byś sobie o mnie pomyślał, gdybym się tak zachował? - spytał po chwili milczenia.

- A czy to ważne?

- Dla mnie tak - odpowiedział szczerze Seymour.

Gabriel postanowił powiedzieć, co myśli.

- Sądzę, że przez resztę życia nie przestałbyś się zastanawiać, co SWR robi z pieniędzmi zarobionymi na wydobyciu na waszych wodach. Myślę też, że nigdy nie pozbyłbyś się poczucia winy, że nie zrobiłeś nic, by im przeszkodzić.

Seymour nie odpowiedział.

- Mamy w Biurze takie powiedzenie: „Kariera bez skandalu to nie kariera”.

- Jesteśmy w Anglii, nie w Izraelu - przypomniał Seymour. - My nie mamy takich powiedzonek i nie lubimy skandali. Całe życie pilnujemy się, żeby nie zrobić jednego fałszywego kroku.

- Dlatego masz mnie.

Seymour spojrzał poważnie na Gabriela.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Pozwól mi pójść na wojnę z nimi w twoim imieniu. Znajdę dowody na to, że ukradli waszą ropę.

- A co potem?

- Potem ja ukradnę ją im.

Gabriel i Graham Seymour spędzili kolejne trzydzieści minut na ustalaniu szczegółów operacji. Doszło do zawarcia zapewne najbardziej nieortodoksyjnego porozumienia w historii współpracy służb wywiadowczych. Miało ono przejść do historii jako „porozumienie z Parliament Hill”, choć byli w brytyjskich służbach i tacy, którzy nazywali je „porozumieniem z Kite Hill”, posługując się inną nazwą wzgórza na zachodnim krańcu Hampstead Heath. Co do samych ustaleń: Gabriel otrzymał zgodę na prowadzenie na terenie Wielkiej Brytanii wszelkich działań, jakie uzna za konieczne, o ile nie zagrażą one brytyjskiemu bezpieczeństwu narodowemu i zdrowiu, i życiu obywateli brytyjskich. Gabriel ze swej strony zobowiązał się do przekazania Seymourowi wszelkich materiałów wywiadowczych, jakie

zdoładzie. W gestii wicedyrektora MI5 miało pozostać to, w jaki sposób zostaną one potem wykorzystane. Porozumienie przypieczętował uścisk dłoni, następnie Seymour się oddalił, a wraz z nim jego dwóch ochroniarzy.

Gabriel pozostał w parku jeszcze przez dziesięć minut. Dopiero po ich upływie zszedł ze wzgórze i zgarnął Kellera z kawiarni przy deptaku. Pojechali metrem na stację Kensington, skąd przeszli do ambasady izraelskiej. W sekcji Biura nie było nikogo poza jednym urzędnikiem niskiego szczebla, który na widok wchodzącej do budynku żywej legendy zerwał się na równe nogi. Gabriel zostawił Kellera w holu i udał się do bezpiecznego pokoju łączności. Miejsce to weterani tacy jak on nazywali „Świątym Świątym”. W katalogu kontaktów awaryjnych w dalszym ciągu znajdował się tu tyberiadzki numer Szamrona. Ten odebrał po pierwszym sygnale, zupełnie jakby siedział przy telefonie i czekał, aż zadzwoni.

Mimo że połączenie było bezpieczne, rozmawiali, używając biurowego żargonu - slangu, z którym nie poradziłby sobie żaden postronny tłumacz ani żaden komputer. Gabriel opisał zwięźle, co udało mu się ustalić i jakie działania zamierza podjąć. Wymienił też, kogo i czego będzie potrzebował, by posunąć sprawę naprzód. Udostępnianie zasobów Biura na potrzeby tego rodzaju działań nie leżało już jednak w gestii Szamrona. Nie miał on formalnych podstaw, by autoryzować podobne rzeczy. Taką decyzję podjąć mógł wyłącznie Uzi Navot, i to tylko wtedy, gdy otrzyma błogosławieństwo samego premiera.

I tak rozmowa Gabriela z Arim Szamronem zapoczątkowała jedną z największych awantur w historii Biura. Wszystko zaczęło się o dwudziestą drugą osiemnaście czasu izraelskiego. Szamron zadzwonił wtedy pod domowy numer Navota, by poinformować go, że po pierwsze, Gabriel wybiera się na wojnę z nafcierzami na usługach KGB, a po drugie, że on sam życzy sobie, by operacja ta została przeprowadzona. Navot wypowiedział się w sposób do bólu czytelny: nie zamierza autoryzować takich działań. Ani teraz, ani nigdy. Szamron się rozłączył i natychmiast zadzwonił do premiera, nie dając Navotowi szansy, by go ubiegł.

- Dlaczego niby mam iść na wojnę z prezydentem Rosji? - spytał premier. - Przecież tu chodzi tylko o ropę, do cholery.

- Nie tylko o ropę. A już na pewno nie dla Gabriela. Poza tym - dodał Szamron - chyba chce go pan na szefa biura?

- Wiesz, że tak, Ari.

- Więc proszę pozwolić mu wyrównać rachunki z Rosjanami. Wtedy będzie do pańskiej dyspozycji.

- Kto powie Uziemu?

- Wątpię, czy odbierze telefon ode mnie.

Doszło więc do tego, że premier, działając na polecenie Szamrona, zadzwonił do szefa służb wywiadowczych i nakazał mu zatwierdzić operację, z którą ten nie chciał mieć nic wspólnego. Świadkowie rozmowy mówili potem, że panowie rozmawiali bardzo podniesionymi głosami. Plotka głosi, że Navot groził podaniem się do dymisji. Plotce tej nie należy jednak wierzyć: Uzi Navot kochał być szefem biura. Prawie tak bardzo jak kiedyś Szamron. Teraz, niejako na znak tego, co ma nastąpić, odmówił zatelefonowania do Gabriela z informacją, że autoryzuje jego akcję. Polecił zrobić to w swoim imieniu urzędnikowi niskiego szczebla. I tak planowana przez Gabriela operacja została zatwierdzona przez telefon, podczas rozmowy, która nie trwała nawet dziesięciu sekund. Było kilka minut po północy czasu londyńskiego. Po tym, jak Gabriel odwiesił słuchawkę, on i Keller opuścili ambasadę i ruszyli pogrążonymi w ciszy ulicami w stronę Grand Hotelu Berkshire.

- A co ze mną? - spytał Keller. - Mam zostać czy łapać najbliższy lot na Korsykę?
- Wybór należy do ciebie.
- Chyba zostanę.
- Więc na pewno nie będziesz się nudził.
- Nie mówię po hebrajsku.
- To dobrze.
- Dlaczego?
- Bo nie będziesz mógł się zorientować, kiedy się będziemy z ciebie nabijali.
- Do czego chcesz mnie użyć?
- Mówisz po francusku jak rodowity Francuz, masz kilka czystych paszportów i dobrze strzelasz. Jestem pewny, że coś ci znajdziemy.
- Mogę dać ci radę?
- Ale tylko jedną.
- Przydałby ci się Rosjanin.
- O to się nie martw - odpowiedział Gabriel. - Rosjanina już mam.

39.

Grayswood, hrabstwo Surrey

Niespełna dwa kilometry od kościoła parafialnego w Grayswood stał nieco nieforemny dom w stylu tudorskim. Prowadził do niego ocieniony bukami podjazd, a dzięki wysokim żywopłotom wścibscy przechodnie nie mogli zobaczyć, co dzieje się w środku. Dom otaczało osiem akrów ziemi i wielki, zapuszczony nieco ogród - idealne wprost miejsce, by zмагаć się z demonami przeszłości. Był też staw rybny, w którym od lat nikt nie łowił. Mieszkające w jego ciemnych wodach okonie były wielkie jak rekiny. „Lokalowi”, pracownicy sekcji Biura odpowiedzialnej za pozyskiwanie i utrzymywanie nieruchomości, nazywali ten staw Loch Ness.

Gabriel i Keller pojawili się w domu w Grayswood wczesnym popołudniem następnego dnia. Przyjechali land roverem podstawionym przez sekcję transportu. W bagażniku były dwie stalowe skrzynie pełne pobranego z ambasady sprzętu do bezpiecznej komunikacji oraz kilka toreb z Sainsbury's w Guildford - zapasy jedzenia na najbliższe dni. Zanieśli torby do spiżarni, po czym ściągnęli pokrowce z mebli. Przeszukali też dokładnie dom, sprawdzając, czy nie ma podsłuchu. Potem wyszli do ogrodu i stanęli nad stawem. Lustro wody co chwilę przecinały płetwy grzbietowe.

- Nie żartowali - stwierdził Keller.
- Nie - mruknął Gabriel.
- Co one jedzą?
- Ostatni raz, kiedy tu byłem, zżarły jednego z moich najlepszych ludzi.
- Jest tu jakiś sprzęt?
- W sieni.

Keller wszedł do domu, gdzie w rogu przy wejściu znalazł dwie wędki oparte o ścianę obok wyszczerbionego wiosła. Kiedy szukał przynęty, do jego uszu dobiegł głuchy trzask - coś jak odgłos łamanej gałęzi. Gdy wychynął na zewnątrz, natychmiast wyczuł w powietrzu zapach prochu, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym. Chwilę później zobaczył wracającego z ogrodu Gabriela, który w jednej ręce niósł berettę z tłumikiem, a w drugiej ponadpółmetrową rybę.

- To trochę niesportowe - zauważył Keller.
- Nie mam teraz czasu na sport - odpowiedział Gabriel. - Muszę wymyślić, jak umieścić w Volgateku naszego człowieka. A do tego mam kilka osób do wykarmienia.

Kiedy otaczające ogród żywopłoty zaczynały znikać w zapadającej ciemności, a powietrze stało się ostre od chłodu, pod dom zajechały trzy samochody, każdy innej marki i innego typu. Były tak różne, jak różni byli agenci, którzy z nich wysiedli. Wszystkim dziewięciorgu po długiej podróży doskwierało jednak takie samo zmęczenie. Przy bulwarze Króla Saula grupę tę nazywano Barak - co w języku hebrajskim oznacza błyskawicę. Zasłużyli na ten przydomek dzięki umiejętności szybkiego mobilizowania się i natychmiastowego uderzania. Amerykanie, trochę zazdrośni o długą listę sukcesów „Błyskawicy”, nazywali często jej członków „Drużyną Boga”.

Pierwsza weszła do domu Chiara, zaraz za nią Rimona Stern oraz drobna, czarnowłosa Dina Sarid. Dina była czołową analityczką Biura do spraw terroryzmu, ale jej potężny intelekt i umiejętność analitycznego myślenia czyniły ją niezwykle przydatną przy wszelkiego typu operacjach. Rimona, kobieta o rubensowskich kształtach i włosach barwy piaskowca, zaczynała karierę w wywiadzie wojskowym. Teraz należała do stworzonego przez Biuro zespołu do spraw irańskiego programu nuklearnego. Poza tym była siostrzenicą Ariego Szamrona. Jednym z najcieplejszych wspomnień Gabriela o Rimonie był jej widok jako nieustraszonego dziecka szarżującego na hulajnodze w dół stromego podjazdu przed willą słynnego wuja.

W następnej kolejności pojawiło się dwóch bardzo wszechstronnych agentów terenowych, Oded i Mordechaj, a zaraz za nimi Jakow Rossman i Jossi Gawisz. Jakow, wysoki, o czarnych włosach i ospowatej twarzy, zajmował się przerzutem agentów, ich prowadzeniem oraz werbowaniem szpiegów spośród Arabów. Jossi był w Biurze starszym analitykiem. Urodził się w Londynie i kształcił na Oksfordzie, a po hebrajsku wciąż mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Z ostatniego samochodu wysiadło dwóch mężczyzn: jeden z nich się starzał, drugi był w kwiecie wieku. Pierwszym w tym duecie był nie kto inny jak Eli Lavon, ceniony archeolog, a przy tym tropiciel majątków zagrabionych przez nazistów. Jak zwykle miał na sobie kilka warstw niepasujących do siebie ubrań. Jego niedające się ułożyć włosy nieco się już przerzedziły, brązowe oczy wciąż zachowywały czujny blask. Zamszowe buty nie wydały nawet najcichszego dźwięku, gdy szedł przez hol. Bezszelestnie podszedł do Gabriela i go uściskał. Eli wszystko robił bezgłośnie. Szamron powiedział kiedyś, że Lavon umiałby zniknąć, ściskając jednocześnie dłoń przyjaciela.

- Jesteś pewny, że chcesz w to wejść? - spytał Gabriel.

- Za nic bym nie przepuścił takiej okazji - odparł Eli. - Poza tym twój główny solista

powiedział, że nie zamierza nawet zbliżyć się od Rosjan, jeśli ja nie będę go ubezpieczał.

Gabriel przyjrzał się wysokiej postaci stojącej za Lavonem. Był to Michaił Abramow, szczupły blondyn o drobnej twarzy i oczach barwy lodowcowego lodu. Wyemigrował z Rosji do Izraela jako nastolatek, by wstąpić następnie do Sayeret Matkal, jednostki IDF do zadań specjalnych. Michaił, którego Szamron nazwał kiedyś „Gabrielem bez sumienia”, zamordował kilku czołowych przedstawicieli Hamasu i palestyńskiego dżihadu. Teraz podobnych misji podejmował się dla Biura. Trzeba przy tym zaznaczyć, że był to człowiek niezwykle utalentowany, którego umiejętności w żadnym razie nie ograniczały się do pociągania za spust. To on, współpracując z Sarą Bancroft z CIA, dokonał infiltracji bliskiego otoczenia Iwana Charkowa, która poprzedziła długą i krwawą wojnę pomiędzy Biurem a prywatną armią handlarza. Gdyby Wiktor Orłow nie zgodził się oddać Ruzoilu Kremlowi, Michaił zginąłby w Rosji razem z Gabrielem i Chiarą. Na jego policzku widniała głęboka blizna - pamiątka po ciosie żelaznej ręki Charkowa.

- Wiesz, że nie musisz tego robić - zaczął Gabriel, przesuwając palcem po bliźnie. - Możemy wyznaczyć kogoś innego.

- Niby kogo? - spytał Abramow, rozglądając się po pokoju.

- Może to zrobić Jossi.

- Jossi mówi czterema językami, ale tak się składa, że rosyjski nie jest jednym z nich. Będą przy nim gadali o tym, jak poderżnąć mu gardło, a on pomyśli, że zastanawiają się, co zamówić.

Doborowy zespół Gabriela już kiedyś mieszkał w tym domu. Teraz, po zwyczajowej sprzeczce, wszyscy rozeszli się do swoich starych pokoi. Tylko Chiara skierowała się do kuchni. Wzięła się do przygotowywania wymyślnego posiłku dla jedenaścioro osób. Głównym daniem był potężny okoń upieczony w winie i ziołach. Przy kolacji Gabriel specjalnie posadził Kellera po swojej prawej stronie. Miał to być wyraźny sygnał dla pozostałych, by, przynajmniej na razie, traktowali Anglika jak członka rodziny. Zespół agentów z początku czuł się nieswojo w jego obecności, jednak lody szybko zaczęły pękać i nawiązała się nić sympatii. Przy posiłku mówiono po angielsku, by Keller mógł uczestniczyć w rozmowie, kiedy jednak zaczęto dyskutować o przebiegu operacji, zespół przerzucił się na hebrajski.

- O czym oni rozmawiają? - Keller cicho spytał Gabriela.

- O nowym programie w izraelskiej telewizji.

- Nie mówisz mi prawdy, co?

- Jasne, że nie.

Nastrój przy stole był mniej swobodny niż zazwyczaj, bo - choć ani razu nie wymieniono jego imienia - nad zgromadzonymi unosił się duch Iwana Charkowa. Po jakimś czasie temat rozmowy zmienił się z ostatniej operacji na szerszy kontekst geopolityczny i dyskusję o zagrożeniach. Jossi, czytany w klasyce i pozycjach historycznych, służył innym za przewodnika. Nie był optymistą. Według niego świat zmierza w niebezpiecznym kierunku, a sytuacja coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Demokratyczne przebudzenie arabskiego Bliskiego Wschodu okazało się mrzonką. Jest tylko kwestią czasu, mówił, kiedy powstanie wspólny front radykalnego islamu rozciągający się od Afryki Północnej aż po Indonezję. Ameryka stoi na skraju bankructwa i jest zmęczona, nie nadaje się już do roli przywódcy. Niewykluczone więc, że nowy, doświadczający burzliwych przemian świat już niedługo stanie się świadkiem narodzin nowego sojuszu na XXI wiek: osi Chiny-Iran-Rosja. Izrael tymczasem znalazłby się praktycznie bez wsparcia, otoczony ze wszystkich stron nieprzyjaciółmi.

Gdy skończył swoją jakże krzepiącą wypowiedź, sprzątnęli naczynia ze stołu i przenieśli się do salonu. Tam Gabriel wytłumaczył wreszcie ze szczegółami, w jakim celu sprowadził ich do Anglii. Dotąd znali jedynie urywki i fragmenty, teraz zaś odmalowano przed nimi całą panoramę. Gabriel opowiedział im o wszystkim: począwszy od desperackich poszukiwań Madeline we Francji po porozumienie, które poprzedniego wieczoru zawarł na Hampstead Heath z Grahamem Seymourem. Był jeden jedyny element, który pominął w opowieści: krótkie spotkanie z Madeline Hart kilka godzin przed jej śmiercią. Dał jej wtedy słowo, że bezpiecznie wróci z nim do domu. Dał jej słowo i zawiódł ją. Teraz starał się to naprawić choćby w taki sposób, by udaremnić całą rosyjską operację, której Madeline stała się częścią. By mogło się to udać, Barak musi umieścić Michaiła w strukturach KGB Oil & Gas, wyjaśnił Gabriel. Kiedy to się stanie, znajdą dowód na to, że Rosjanie uprowadzili Madeline Hart, by szantażować Lancastera, a docelowo - zdobyć dostęp do brytyjskiej ropy na Morzu Północnym.

- Jak chcesz to zrobić? - spytał Lavon sceptycznie, gdy Gabriel skończył mówić. - Jakim cudem zamierzasz umieścić Michaiła w spółce należącej do Kremla i zarządzanej przez rosyjski wywiad?

- Znajdziemy jakiś sposób - odrzekł Gabriel. - Zawsze znajdujemy.

Prawdziwa praca zaczęła się następnego dnia nad ranem. Zespół przystąpił wtedy do przekopywania historii i danych spółki Volgatek. Pierwsze materiały, które przeanalizowano, pochodziły ze źródeł oficjalnych i powszechnie dostępnych: mediów biznesowych,

materiałów prasowych od samego Volgateku oraz eksperckich artykułów na temat ciężkiego i niestabilnego rosyjskiego rynku paliw. Gabriel poprosił dodatkowo o wsparcie tak zwaną Jednostkę 1400, czyli izraelskich speców od podsłuchu i elektroniki. Zgodnie z oczekiwaniami informatycy z 1400 szybko odkryli, że moskiewskie serwery Volgateku chronione są wysokiej klasy firewallami - co ciekawe, dokładnie takimi samymi, jakie wykorzystuje Kreml, rosyjska armia i SWR. Pod wieczór udało się jednak włamać do systemu przedstawicielstwa spółki w Gdańsku, gdzie Volgatek jakiś czas temu kupił rafinerię, w której przetwarzano znaczną część sprzedawanych w Polsce paliw. Materiały przesłano bezpośrednio do domu w Surrey. Michaił i Lavon, jedyni członkowie zespołu mówiący po rosyjsku, natychmiast przystąpili do tłumaczenia. Abramow dość szybko uznał je za niewypał, ale Eli Lavon był nastawiony bardziej optymistycznie. Mając dostęp do danych z Gdańska, argumentował, będą mieli szansę dowiedzieć się wiele na temat sposobu działania Volgateku poza terytorium matki Rosji.

Z przyzwyczajenia rozpracowywali nowy cel tak, jakby był on organizacją terrorystyczną. A pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, rozpracowując komórkę terrorystyczną - przypominała trochę niepotrzebnie Dina - jest ustalenie personaliów kluczowych postaci i opisanie struktury organizacyjnej. Istnieje naturalna pokusa, podkreśliła, by skupiać się na osobach na samym szczycie łańcucha pokarmowego, jednak w praktyce znacznie ważniejsi i przydatniejsi okazują się menedżerowie średniego szczebla, kurierzy, zwykli żołnierze, kierowcy, a nawet bufetowi. To oni mogą czuć się urażeni i mieć pretensje do szefostwa. W dodatku często wydają więcej, niż zarabiają. Czyni ich to o wiele łatwiejszym celem podczas rekrutacji. Prościej jest namówić do współpracy mało zarabiającego, sfrustrowanego pracownika niż kogoś, kto lata prywatnym odrzutowcem, pije wiadrami szampana i w każdym miejscu na świecie ma do dyspozycji całą stajnię rosyjskich prostytutek.

Na czele spółki stał Gienadij Łazariew - za czasów ZSRR naukowiec pracujący nad bronią nuklearną, a jednocześnie informator KGB. Po nastaniu kapitalizmu został prawą ręką Orłowa w Ruzoilu. Zaufanym zastępcą w Volgateku był dla Łazariewa Dimitrij Berszow. Stanowisko dyrektora operacyjnego na Europę piastował Aleksiej Woronin. Obaj ci ludzie dawniej byli oficerami KGB, ale dziś to Woronin znacznie lepiej nadawał się do pokazywania ludziom i reprezentowania spółki. Mówił płynnie kilkoma europejskimi językami, w tym po angielsku. Ten ostatni opanował biegle, pracując pod koniec zimnej wojny w rezydenturze KGB w Londynie.

Pozostałe ważne w hierarchii Volgateku osoby były trudniejsze do zidentyfikowania - z pewnością nieprzypadkowo. Jakow uznał strukturę firmy za dość zbliżoną do tej, którą

członkowie zespołu znali z Biura: nazwisko szefa jest wszystkim dobrze znane, ale już nazwiska jego przybocznych i zadania, jakie wykonują, pozostają ściśle poufne lub ukryte za kamuflażem i dywersją. Na szczęście dzięki śledzeniu wysyłanych z Gdańska e-maili zespołowi udało się ustalić tożsamość jeszcze kilku kluczowych graczy, w tym szefa ochrony, Pawła Żirowa. Jego nazwisko nie figurowało w żadnych oficjalnych dokumentach spółki, a próby zdobycia jego zdjęcia okazały się daremne. Na tablicy celów Baraka Żirow pozostał człowiekiem bez twarzy.

Po kilku dniach okazało się, że w spółce, za której chronienie odpowiadał, chodzi o coś więcej niż ropę. Volgatek był elementem szeroko zakrojonej strategii Kremla, mającej na celu uczynienie z Rosji supermocarstwa energetycznego, eurazjatyckiej Arabii Saudyjskiej. Dzięki tej strategii za jakiś czas na gruzach Związku Radzieckiego powstać miało nowe imperium rosyjskie. Wschodnia i zachodnia Europa już na obecnym etapie były zbyt uzależnione od dostaw rosyjskiego gazu, zamiarem Volgateku było tymczasem zwiększanie rosyjskiej dominacji na rynku energii poprzez zakup kolejnych rafinerii. Teraz zaś dzięki Jeremy'emu Fallonowi spółka zdobyła przyczółek na Morzu Północnym, który w nieodległej przyszłości miał sprawić, że na Kreml popłynie strumień dolarów. Volgatek z pewnością reprezentuje rosyjską chciwość, zgodzili się członkowie zespołu. Jednak przede wszystkim jest forpocztą postradzieckiego rewanżyzmu.

Jak umieścić agenta w takiej organizacji? Było to trudne, ale w końcu Eli Lavon wymyślił sposób, którego szczegóły objaśnił Gabrielowi, gdy poszli przejść się po ogrodzie.

- Po kupieniu rafinerii pod Gdańskiem - zaczął Eli - Rosjanie wynajęli figuranta, by występował w roli polskiego dyrektora przedsiębiorstwa. W praktyce człowiek ten nie miał nic do powiedzenia i nie wpływał na pracę rafinerii. Był kwiatkiem do kozucha, mającym za zadanie osładzać Polakom to, iż władzę w kluczowym dla kraju przedsiębiorstwie sprawują Rosjanie. Poza tym - ciągnął Lavon - Polska to niejedyne miejsce, gdzie Volgatek kupił lokalnych pomagierów. Zrobili to samo na Węgrzech, na Litwie i na Kubie. I żaden z dyrektorów generalnych formalnie reprezentujących spółkę w tych krajach nie miał do powiedzenia więcej niż figurant na rynku polskim. W perspektywie globalnej ludzie ci stanowili dla spółki margines i kamuflaż. Byli całkowicie odcięci od kluczowych informacji.

- To wydmuszki, specjaliści od picia kawy - argumentował Lavon.

- To znaczy, że żaden z nich nie wie nic ważnego. A tym samym żaden z nich nie jest dla nas interesujący - podsumował Gabriel.

- Zgadza się - odparł Lavon. - Gdyby jednak dyrektor na kraj był Rosjaninem, albo chociaż wywodził się z rosyjskiej rodziny, wtedy szefostwo Volgateku mogłoby patrzeć na

niego przychylniej. Zwłaszcza gdyby okazał się przy tym najlepszym człowiekiem, jakiego mają na miejscu. W takim układzie zarząd mógłby chcieć powierzyć takiej osobie rzeczywiste zadania. Kto wie, może nawet miałyby ona szansę na wstęp do moskiewskiego „sanktuarium”.

- Genialne, Eli.
- Prawie - odpowiedział Lavon. - Bo jest jeden mały szkopuł.
- Co?
- Jak spowodujemy, żeby Volgatek w ogóle zwrócił uwagę na naszego człowieka?
- To akurat jest proste.
- Naprawdę?
- Naprawdę - odparł, uśmiechając się, Gabriel.

Gabriel nie uczestniczył we wspólnej kolacji. Zamiast tego udał się na Cheyne Walk w Chelsea, by tam zjeść sam na sam z Wiktorem Orłowem. Plan na bazie pomysłu Lavona nie wzbudził żadnych obiekcji Rosjanina. Co więcej, ten pomógł go jeszcze udoskonalić. Po kolacji Gabriel podsunął Orłowowi formularz: standardowy druk, pod którym podpisać musiał się każdy, kto nie był pracownikiem Biura, a uczestniczył w prowadzonej przez nie operacji. Zawierał zobowiązanie do utrzymania w sekrecie zaangażowania w akcję i pozbawiał możliwości wysuwania jakichkolwiek roszczeń w przypadku poniesienia strat materialnych. Orłow nie chciał go podpisać. Gabriel tego się właśnie spodziewał.

Opuściwszy rezydencję Orłowa, pojechał do Hampstead, a następnie wspiął się na Parliament Hill. Graham Seymour czekał tam już w asyście dwóch ochroniarzy. Siedział na tej samej ławce co poprzednio. Gdy Gabriel się zbliżył i zaczęli rozmawiać o szczegółach operacji, ochroniarze odsunęli się poza zasięg słuchu. Informacje o zakresie nieoficjalnej pomocy, jakiej udzielić miała strona brytyjska, nie były przeznaczone dla ich uszu. Seymour z kolei, słuchając Gabriela, nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Przedstawiony plan był dość oryginalny, ale podobnie rzecz się miała w przypadku większości projektów opracowanych przez Gabriela i jego zespół.

- Wiesz co - powiedział w końcu Seymour - to naprawdę ma szansę zadziałać.
 - I zadziała, Graham - jedyne pytanie brzmi, czy chcesz, żebym uruchomił ten plan.
- Seymour milczał przez chwilę, po czym wstał i odwrócił się plecami do świateł miasta.
- Dostarcz mi dowód na to, że to Rosjanie stali za porwaniem Madeline - powiedział spokojnie - a wtedy zadbam o to, żeby ci skurwiele z Kremla nie zobaczyli nawet kropli naszej ropy.

- Pozwól mi się tym zająć, Graham. Wtedy nie będziesz musiał...

- Pewne rzeczy mogę zrobić tylko ja. A poza tym pewien mądry człowiek powiedział mi, że kariera bez skandalu to żadna kariera.

- Wpisz moje nazwisko w Google i wtedy odpowiedz sobie na pytanie, czy nadal uważasz mnie za takiego mądrego.

Seymour się uśmiechnął.

- Nie zacząłeś się chyba wahać?

- Nie, skąd.

- Swój chłopak - odparł Seymour. - Ale musisz mieć na uwadze jedną rzecz.

- Jaką?

- Może i umieszczenie Michała w Volgateku pójdzie wam łatwo, ale wyciągnięcie go stamtąd, kiedy będzie po wszystkim, może się okazać trudniejsze.

To powiedziawszy, Seymour dołączył do swoich ochroniarzy i rozplynął się w ciemnościach. Gabriel odczekał pięć minut, siedząc samotnie na ławce. Następnie zszedł ze wzgórza, usiadł za kierownicą samochodu i ruszył do domu przy Knobby Copse w Surrey.

40.

Grayswood, hrabstwo Surrey

Szkolenie Michaiła na pracownika spółki energetycznej Volgatek Oil & Gas rozpoczęło się następnego dnia o dziewiątej rano, a pierwszym z nauczycieli był nie kto inny jak Wiktor Orłow. Uparł się, mimo obiekcji Gabriela, że do Surrey przyjedzie swoim opancerzonym maybachem w asyście wyładowanego ochroniarzami land rovera. Konwój, mimo że krótki, i tak robił wrażenie, zwłaszcza w maleńkim Greyswood. Przez resztę dnia po wsi krążyła plotka, że pasażerem potężnej limuzyny był premier we własnej osobie. Lancastera w Surrey jednak nie było. Nie tylko zresztą w Surrey, ale nawet nigdzie w pobliżu, bo tamtego dnia uczestniczył w wiecu wyborczym w Sheffield. Najnowsze sondaże dawały mu wyraźną przewagę nad kandydatem opozycji, a czołowy brytyjski analityk polityczny wieścił, że dojdzie do najwyższego zwycięstwa wyborczego w historii.

Orłow pojawił się w należącym do Biura domu również następnego ranka. I jeszcze kolejnego. Sposób, w jaki uczył, w pełni odzwierciedlał cechy jego wyjątkowej osobowości: wybitną inteligencję, arogancję, przywiązanie do swoich poglądów i odnoszenie się do innych w sposób protekcyjny. Orłow mówił do Michaiła głównie po angielsku, od czasu do czasu dorzucając tylko jakiś rosyjski wtręt, którego nikt poza Lavonem nie miał szans zrozumieć. Chwilami posługiwał się też przedziwnym zlepkim, mieszanką, którą nazywał „rosgielskim”. Był niezmordowany, irytujący i nie sposób było się nim nie zachwycić. Był siłą i potęgą, z którą należało się liczyć - taki był Wiktor Orłow, gdy miał poczucie misji.

Serię wykładów zaczął od lekcji historii. Mówił o życiu w radzieckim komunizmie, upadku imperium, a potem o erze oligarchii i bezprawia. Ku sporemu zaskoczeniu słuchających Orłow przyznał, że to on i jemu podobni zasiali ziarno swojego późniejszego upadku. Ich bogactwo, mówił, przyszło zbyt szybko i było zbyt wielkie.

- Sami przyczyniliśmy się do tego - dodał - że zaistniały idealne warunki do powrotu autorytaryzmu. Obecny prezydent Rosji to człowiek bez przekonań, którego ideologia sprowadza się do sprawowania władzy. Czystej władzy. To faszysta, choć nie z nazwy. I to ja go stworzyłem.

Następna faza pospiesznej edukacji Michaiła rozpoczęła się czwartego dnia. Zaczął on wtedy, jak określił to Lavon, najkrótszy program MBA w historii. Uczący go wykładowca pochodził z Tel Awiwu, ale był absolwentem Wharton School of Business, a przed powrotem do Izraela pracował przez krótki czas w ExxonMobil. Przez siedem dni i nocy wpałał

Michaiłowi podstawy biznesu i administracji: księgowość, statystykę, marketing, finanse korporacyjne i zarządzanie ryzykiem. Co niezbyt zaskakujące, okazało się, że Michaił bardzo szybko się uczy. Po dziecku dwojga wybitnych radzieckich uczonych trudno było spodziewać się czegoś innego. Gdy intensywny kurs biznesu dobiegł końca, profesor stwierdził, że Michaił bez wątplenia ma przed sobą przyszłość. Nie wiedział jednak, co ta przyszłość może przynieść. Następnie ochoczo podpisał poufnościowy druk Gabriela i poleciał do Izraela.

Gdy Michaił intensywnie się uczył, reszta zespołu nie mniej intensywnie pracowała nad opracowaniem tożsamości, która stanowić będzie kamuflaż. Tworzyli nowego, fantomowego Michaiła, tak jak pisarz strona po stronie buduje postać swojego bohatera: pochodzenie i lata szkolne, wykształcenie, miłość, związki i rozczarowania, wreszcie - zawodowe triumfy i porażki. Przez kilka dni nie potrafili tylko nadać tej postaci imienia i nazwiska. Te wskazywać musiały na człowieka nieźle już zakorzenionego na Zachodzie, który jednak w dalszym ciągu pozostaje silnie związany ze Wschodem. Wyboru dokonał ostatecznie Gabriel: Nicholas Avedon, angielska wersja Nikołaja Awdonina. Nowa postać dzięki błogosławieństwu Grahama Seymoura otrzymała brytyjski paszport potwierdzający odbycie dziesiątek podróży. Powstało również pasujące curriculum vitae. Kiedy Michaił miał już za sobą naukę, zespół zabrał go w podróż po życiu, którego nie przeżył - jego nowym życiu. Był w nim dom na zielonym londyńskim przedmieściu, w którym nigdy nie postawił nogi, i studia na Oksfordzie, w którego ławach nigdy nie siedział. Była wreszcie praca w specjalizującej się w odwiertach firmie z Aberdeen, w której nie pobrał jednej choćby pensji. Michaił odwiedził nawet USA i stan Massachusetts. Teraz przypominał sobie doskonale, jak to jest iść w chłodny jesienny poranek ulicami Cambridge, mimo że tak naprawdę nigdy w Cambridge nie był - ani jesienią, ani o żadnej innej porze roku.

Pozostała tylko kwestia wyglądu. Należało Michaiła zmienić, w przeciwnym razie przyjaciele z Volgateku z SWR natychmiast by go rozpoznali. Po wcześniejszych operacjach na terenie Rosji nie byłoby to dla nich trudne. Operacja plastyczna nie wchodziła w grę: gojenie trwałoby zbyt długo. Poza tym Michaił kategorycznie odmówił. Nikomu nie pozwoli dotykać nożem swojej twarzy uciął temat. Rozwiązanie znalazła Chiara i zaraz zaprezentowała je Gabrielowi na jednym z komputerów. Na ekranie widniało zdjęcie, które zrobili Michaiłowi do fałszywego brytyjskiego paszportu. Chiara nacisnęła klawisz i obraz się odświeżył. Z jedną istotną różnicą.

- Sam ledwie go teraz poznaję - przyznał Gabriel.
- Myślisz, że się zgodzi?
- Dam mu jasno do zrozumienia, że nie ma innego wyjścia.

Tego wieczoru w obecności całego zespołu Michaił ogolił głowę na łyso. Jakow, Oded i Mordechaj zrobili w geście solidarności to samo. Gabriel odmówił. Aż tak dużo dla spójności zespołu nie potrafił zrobić. Następnego ranka kobiety zabrały Michaiła do Londynu na długie zakupy. W sekcji księgowości przy bulwarze Króla Saula nieraz tego dnia szeroko otwierano oczy ze zdumienia. Kiedy wrócili do Grayswood, zastali tam Wiktora Orłowa gotowego na przeprowadzenie końcowego egzaminu. Michaił zdał go celująco. Żeby to uczcić, Orłow otworzył kilka butelek swojego ukochanego Château Pétrus. Gdy unosił kieliszek w toaście na cześć ucznia, do jego uszu dobiegł odgłos wystrzału z beretty z tłumikiem.

- Co to było? - spytał.

- Wygląda na to, że na kolację będzie ryba - odparł Michaił.

- Trzeba było mi powiedzieć - powiedział Orłow z wyrzutem - kupiłbym zamiast tego jakieś dobre sancerre.

Wkrótce po otrzymaniu brytyjskiego paszportu Wiktor Orłow wykupił pakiet kontrolny w upadającym, ale bardzo szacownym periodyku, londyńskim „Financial Journal”. Chciał w ten sposób poprawić swój wizerunek w elegantszych i zamożniejszych kręgach. Kilkoro z członków redakcji, w tym ceniona reporterka śledcza Zoe Reed, odeszło na znak protestu. Większość jednak została - głównie dlatego, że nie bardzo miała dokąd pójść. W ramach umowy właścicielskiej Orłow zgodził się nie ingerować w treści publikowane przez gazetę. I, o dziwo, obietnicy jak dotąd dotrzymywał. Nie było to łatwe, bo nieraz korciło go, by użyć tytułu jako pałki do okładania przeciwników z Kremla.

Nie oznaczało to jednak, że Orłow nie kontaktował się ze swoimi dziennikarzami. Raz na jakiś czas podrzucał im jakąś ciekawą informację, o której warto by napisać, jak sugerował. Zdarzało się to najczęściej, gdy chodziło o jego interesy. I tak też miało stać się teraz. Trzy dni później na jednej z ostatnich stron „Journala” ukazał się krótki tekst o nowym nabytku kadrowym Viktor Orlov Investments L.L.C. Oligarcha potwierdził informację w wydanym tego ranka komunikacie dla prasy. Informowano w nim, że trzydziestopięcioletni dyrektor Nicholas Avedon zajmie się projektami energetycznymi spółki i handlem opcjami na rynku paliwowym. Nie minęło pół godziny, a internet huczał od plotek. Spekulowano, że Wiktor Orłow namaścił swojego następcę, by samemu stopniowo wycofywać się z aktywności w firmie. Do wieczora wrzawa medialna rozkręciła się tak, że oligarcha zdecydował się na coś, co robił bardzo rzadko: wypowiedział się w CNBC Business, by zaprzeczyć rewelacjom z sieci. Jego telewizyjne wystąpienie wypadło jednak mało przekonująco. Jeden z bardziej znanych komentatorów stwierdził nawet, że po wizycie

Orłowa w studiu pytań tylko przybyło.

Nikt w kręgach londyńskiej finansjery nie wiedział oczywiście, że pogłoska o rychłej emeryturze Orłowa została sfabrykowana przez zespół pracujący w domu na odludziu, gdzieś w Surrey. Nikt nie wiedział też, że te same pogłoski puszczone w obieg w środowisku biznesowym Moskwy ani że zdążyły już one dotrzeć do szefostwa państwowej spółki energetycznej Volgatek. Gabriel i jego zespół o tym wiedzieli, ponieważ przeczytali nieprzyjemny e-mail od Aleksieja Woronina, dyrektora operacyjnego Volgateku na Europę, zaadresowanego do szefa biura regionalnego w Gdańsku. Przy kolacji Eli Lavon pokazał Gabrielowi wydruk i przetłumaczył korespondencję, łącznie z fragmentami niekoniecznie nadającymi się dla dam. Gabriel sięgnął po butelkę Château Pétrus i napełnił kieliszki wszystkich członków zespołu, bo było co świętować. Pierwszy dzień akcji należało uznać za wyjątkowo obiecujący. Michaił uchodził teraz za następcę Orłowa, a KGB Oil & Gas uważnie mu się przyglądało.

41.

Mayfair, Londyn

Biura Viktor Orlov Investments L.L.C. zajmowały cztery kondygnacje luksusowego biurowca w Mayfair, stojącego niedaleko ambasady amerykańskiej. Gdy następnego dnia rano pojawił się tam Nicholas Avedon, w sali konferencyjnej czekała na niego cała kadra kierownicza. Orłow powiedział parę zdań, po czym doszło do serii pospiesznych prezentacji i powitań. Zupełnie zresztą zbędnych: Michaił po przeszkoleniu w Surrey znał twarze i nazwiska najważniejszych pracowników.

Ten, kto liczył na to, że nowy dyrektor będzie powoli i ostrożnie zabierał się do pracy, musiał być bardzo rozczarowany. Avedon w godzinę po wprowadzeniu się do narożnego gabinetu z widokiem na Hanover Square przejrzał portfel inwestycji spółki w branży energetycznej. Nieistotne było to, że uprzednio zrobiono to w domu w Surrey, i że świadczące o wnikliwości i kompetencji uwagi nowego dyrektora spisał wcześniej sam Orłow i mu je przekazał. Istotne było to, że kadra otrzymała wyraźny sygnał: Nicholas Avedon nie jest człowiekiem, do którego można odnosić się z rezerwą. Sprowadzono go do VOI w określonym celu i biada głupcowi, któremu przyjdzie do głowy stanąć mu na drodze.

Avedon trzymał się sztywnej rutyny: przychodził do pracy wcześniej, przeczytawszy uprzednio poranne gazety biznesowe i sprawdziwszy sytuację na rynkach azjatyckich. Następnie spędzał około godziny nad wykresami i tabelami. Potem dołączał do porannego spotkania kadry kierowniczej, które zawsze odbywało się w dużym gabinecie Orłowa. Przeważnie milczał, a gdy zdecydował się zabrać głos, jego wypowiedzi wyznaczały nowe standardy zwięzłości. Lunche jadał sam. Potem wracał za biurko i siedział w pracy do dziewiętnastej lub dwudziestej. Dopiero wtedy opuszczał biurowiec i wracał do dużego mieszkania, które Gabriel wynajął dla niego w Maida Vale. Biuro zadbało także o drugie mieszkanie - znajdowało się dokładnie naprzeciwko. Kiedy Michaił był w domu, zawsze pilnował go któryś z pracowników Biura. Gdy był w pracy, człowieka wyręczała wyposażona w bezpieczny nadajnik kamera o wysokiej rozdzielczości.

Wkrótce okazało się, że obserwował go również Volgatek. Gabriel i jego zespół wiedzieli o tym dzięki temu, że speccom z 1400 udało się włamać do systemu spółki. Teraz członkowie tej grupy mogli na bieżąco czytać korespondencję wierzchołkowej firmy. Nazwisko Avedona pojawiło się w kilku e-mailach od ludzi na wysokich stanowiskach, w tym w jednym wysłanym przez samego Gienadija Łazariewa. I to nie do kogo innego jak to Pawła

Żirowa. Człowiek bez twarzy, odpowiedzialny w firmie za bezpieczeństwo, otrzymał zadanie przeprowadzenia wywiadu środowiskowego. Nicholas Avedon był już jasnym punkcikiem na radarze Volgateku. Teraz przyszła pora, uznał Gabriel, by zaświecił jeszcze jaśniej.

Następnego dnia rano Nicholas Avedon przedstawił efekty swojej pracy Wiktorowi Orłowowi oraz kadrze kierowniczej.

Prezes spółki uznał postępowanie nowego dyrektora za dowód jego ogromnej kompetencji i wiedzy. I nic dziwnego - w końcu to on sam dokonał tych ustaleń, a potem je spisał. W ciągu kilku kolejnych dni Avedon wykonał kilka śmiałych, od dawna, rzecz jasna, planowanych przez Orłowa zagrań rynkowych, dzięki którym pozycja VOI w sektorze energetycznym uległa wyraźnemu umocnieniu. W wirze wywiadów prasowych i telewizyjnych, które były następstwem sukcesu, oligarcha zaliczył te działania do programu „przesunięcia horyzontu energetycznego poza wiek XX”. Jednocześnie przy każdej okazji z uznaniem wypowiadał się o architekcie tego posunięcia, Nicholasie Avedonie. Wielki biznes z londyńskiego City zobaczył w nowym protegowanym Orłowa to, co chciał zobaczyć. Podobnie było w przypadku KGB Oil & Gas.

Pokazali już światu, jak kompetentny jest Nicholas Avedon, teraz przyszła pora, by ujawnić, jak bardzo od jego umiejętności zależny jest Wiktor Orłow. „Analityków i kadry średniego szczebla jest jak psów - stwierdził Gabriel. - Gienadij Łazariew zacznie starać się o Avedona tylko z jednego powodu: żeby dopieprzyć swojemu dawnemu mentorowi i partnerowi w interesach”.

I tak projekt przeszedł w fazę, którą zespół nazwał szaleństwami Nicholasa i Wiktora. Na dwa tygodnie ci dwaj stali się niemal nierozłączni: jadali razem lunchy i kolacje, Avedon stał też u boku Orłowa przy każdym jego publicznym wystąpieniu. Pewnego razu widziano go, jak o bardzo późnej porze opuszcza rezydencję Orłowa przy Cheyne Walk. Avedon spędził również weekend w letniej posiadłości oligarchy w Berkshire - żaden z pracowników firmy nie dostąpił wcześniej tego zaszczytu. W miarę jak komitywa obu panów się zacieśniała, w siedzibie VOI w Mayfair napięcie było coraz większe. Pozostałym dyrektorom nie podobało się to, że Avedon zaczął być obecny na ich spotkaniach z Orłowem. Niezbyt przypadło im też do gustu to, że coraz częściej widziano, jak Nicholas szepcze coś oligarsze do ucha. Kilkoro członków kadry próbowało otwartej konfrontacji z Avedonem, ale większość postanowiła się dostroić. Nowego dyrektora zalała fala zaproszeń na obiady i drinka po pracy, on jednak za każdym razem odmawiał. Twierdził, że całą uwagę musi poświęcać Orłowowi.

„Szaleństwa" przeniesiono następnie na kontynent. Avedon i Orłow wystąpili najpierw w tandemie na forum biznesowym w Paryżu, by następnie wyruszyć na genewski zlot szwajcarskich finansistów. Nie mogli sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Ze Szwajcarii udali się do Madrytu. Doszło tam do nieprzyjemnego spotkania z dyrektorem generalnym należącej do Orłowa spółki rurociągowej. Dyrektor usłyszał, że ma sześć miesięcy na wykazanie się zyskami, a jeśli mu się nie uda, będzie mógł, podobnie jak cała reszta Hiszpanów, zacząć szukać sobie nowego zajęcia.

Ostatnim przystankiem na ich trasie był Budapeszt i odbywający się tam szczyt biznesmenów i przywódców tak zwanych wschodzących rynków Europy Wschodniej. Rosyjski gigant gazowy, Gazprom, wysłał przedstawiciela, który miał za zadanie powiadomić wszystkich zgromadzonych, że uzależnienia od rosyjskiej ropy nie należy się obawiać, ponieważ Kreml nigdy nie posunąłby się do zakręcania kurka w ramach wywierania nacisku albo realizacji swoich mocarstwowych ambicji. Po zakończeniu rozmów, podczas wieczornego koktajlu nad Dunajem, przedstawiciel Gazpromu przedstawił się Avedonowi, by stwierdzić z niemalym zaskoczeniem, że ten biegle mówi po rosyjsku. Nowy nabytek Orłowa musiał zrobić na nim duże wrażenie, bo już po kilku minutach do skrzynki Gienadija Łazariewa trafił e-mail. Gabriel i jego zespół odczytali go, jeszcze, nim zdążył zrobić to sam Łazariew. *Zatrudnij tego faceta, pisał człowiek z Gazpromu. Jeśli ty tego nie zrobisz, bierzemy go my.*

Ale jak zbliżyć do siebie obie strony na tyle, by dopiąć sprawę angażu? Gabriel, który nie miał zwyczaju czekać biernie przy telefonie, nalegał, by zaaranżować sytuację, w której Michaił i Łazariew znajdą się o tej samej porze w tym samym miejscu. Tylko na moment, na tyle, by mieli szansę zamienić kilka zdań na osobności. Szansę na takie spotkanie dostrzegł po tym, jak spece z 1400 przechwycili e-mail wysłany do Łazariewa przez jego sekretarkę. Rzeczą dotyczyła harmonogramu szefa Volgateku na nadchodzącym Globalnym Forum Energetycznym - odbywającym się co dwa lata szczyście Światowej Organizacji Producentów Ropy Naftowej. Czytając wiadomość, Gabriel się uśmiechnął. „Szaleństwa" przeniosą się teraz do Kopenhagi. A Biuro nie odpuści ich na krok.

42.

Kopenhaga, Dania

Jeszcze kilka niespokojnych dni i ze wszystkich stron świata zaczęli przybywać do Kopenhagi królowie ropy: Saudyjczycy emiracy szejkowie, Azerowie, Kazachowie, Brazylijczycy, Wenezuelczycy, Amerykanie i Kanadyjczycy. Co spodziewane, zgromadzenie to oburzało aktywistów walczących z globalnym ociepleniem. Jedna z grup wysunęła nawet historyczną tezę, że emisja gazów wygenerowana przez samą tylko kopenhaską konferencję sprawi, iż ocean pochłonie jedną z bangladeskich wiosek. Wydawało się jednak, że delegaci w ogóle nie zauważają protestujących. Przylecieli do Kopenhagi na pokładach prywatnych samolotów, po czym przemknęli urokliwymi ulicami miasta w opancerzonych limuzynach, napędzanych potężnymi silnikami. Może i rzeczywiście ropa kiedyś się skończy. Może rzeczywiście nadejdzie dzień, w którym klimat stanie się dla ludzkich istot zbyt ciepły. Na razie jednak górą byli nie ekolodzy, a wydobywcy paliw kopalnych.

W dniach kongresu trudno było o cokolwiek: stoliki w restauracjach były zarezerwowane do ostatniego, a Hotel d'Angleterre, luksusowy biały budynek z widokiem na Kongens Nytorv, pękał w szwach. Wiktor Orłow i Michaił dotarli na miejsce, gdy nad miastem szalała zamieć. Dwóch pracowników hotelu niezwłocznie zaprowadziło ich do sąsiadujących ze sobą apartamentów na najwyższym piętrze. Wzrok Michaiła natychmiast padł na stojącą na stoliku tacę z duńskimi przysmakami i chłodzącą się obok butelkę Dom Perignon. Ostatnim razem, gdy mieszkał w hotelu podczas delegacji z Biura, wykorzystał powitalną butelkę szampana, żeby zranić się kolano. Wymagała tego przykrywka, pod którą działał. Obecny kamuflaż zdecydowanie wymagał, by wypić jeden czy dwa kieliszki. Kiedy otwierał butelkę, usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zdziwił się nieco, bo chwilę wcześniej, tuż po tym, jak odesłał boya na dół z dużym napiwkami, sam odwrócił zawieszki na drzwiach na stronę „Nie przeszkadzać”. Uchylił drzwi i wyjrzał ponad łańcuchem zabezpieczającym. Na korytarzu stał mężczyzna średniego wzrostu. Ubrany był w wełniany płaszcz do kolan z kołnierzem o niemieckim kroju. Na głowie miał kapelusz w stylu bawarskim. Jego włosy były gęste, srebrno-siwe, zza okularów patrzyły na Michaiła brązowe oczy. W prawej ręce trzymał wytartą skórzaną aktówkę.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytał Michaił

- Otworzyć drzwi - odpowiedział miękko Gabriel.

Michaił zdjął łańcuch i odsunął się, by Gabriel mógł wejść, po czym szybko zamknął za

nim drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, jak kolega chodzi powoli po pokoju z blackberry w wyciągniętej ręce. Upłynął jeszcze moment, nim Gabriel skinął w stronę Michaiła na znak, że w pokoju nie ma urządzeń podsłuchowych. Michaił podszedł do kubelka z lodem, w którym chłodził się Dom Perignon, wziął butelkę i napelnił swój kieliszek.

- Pijesz? - spytał, pochylając szyjkę w stronę Gabriela.

- Boli mnie po tym głowa.

- Mnie też.

Michaił usiadł na sofie, a stopy oparł na stoliku. Wyglądał jak zmęczony biznesmen po dniu pracy pełnym spotkań i podróży. Gabriel rozejrzał się po urządzonej z przepychem apartamencie i pokręcił głową.

- Dobrze, że to Wiktor za to płaci - powiedział. - Uzi już teraz truje mi dupę, że za dużo wydajemy

- Powiedz mu, że operacja wymaga, żebyśmy podtrzymywali styl życia, do którego mnie przyzwyczajono.

- Dobrze wiedzieć, że sukces nie uderzył ci do głowy.

Michaił napił się szampana. Nic nie odpowiedział.

- Ogól się.

- Golilem się rano. - Michaił przesunął nadgarstkiem po podbródku.

- Nie mówię o zaroście.

Teraz „Avedon” przesunął ręką po głowie.

- Wiesz co, już zaczynam się do tego przyzwyczajać. Myślałem nawet o tym, żeby golić się, kiedy operacja już się skończy.

- Wyglądasz jak kosmita, Michaił.

- Lepiej wyglądać jak kosmita niż jak postać z *Dźwięków muzyki*.

Michaił wziął z tacy małą kanapkę z krewetką i połknął ją w całości.

- Od kiedy to jesz skorupiaki? - zdziwił się Gabriel.

- Odkąd jestem Anglikiem o rosyjskich korzeniach, który pracuje w firmie należącej do oligarchy Wiktora Orłowa.

- Przy odrobinie szczęścia to będzie twój pierwszy krok ku czemuś jeszcze większemu.

- *Inszallah* - odparł Michaił, wnosząc kieliszek z szampanem w ironicznym toaście. - Czy moi przyszli pracodawcy już przyjechali?

Gabriel sięgnął do aktówki i wyjął z niej brązową skórzaną teczkę. W środku znajdowały się odbitki kolorowych zdjęć. Gabriel rozłożył je na stoliku zgodnie z kolejnością, w jakiej je zrobiono. Przedstawiały trzech mężczyzn wysiadających z niedużego prywatnego

odrzutowca i sadowiących się na tylnym siedzeniu limuzyny. Zdjęcia robiono z dużej odległości obiektywem o długiej ogniskowej. Padający śnieg sprawił, że obraz był trochę nieostry.

- Kto robił te zdjęcia? - chciał wiedzieć Michaił.

- Jossi.

- Jak się dostał na płytę lotniska?

- Ma akredytację prasową na czas forum - wyjaśnił Gabriel. - Rimona zresztą też.

- I dla kogo niby pracują?

- Dla serwisu branżowego „Energy Times”.

- Jakoś nie słyszałem.

- Bo jest nowy.

Michaił uśmiechnął się, po czym sięgnął po pierwsze zdjęcie - to przedstawiające trzech mężczyzn wysiadających z samolotu. Na czele szedł ani trochę nieprzypominający swojego matematycznego oblicza sprzed lat Gienadij Łazariew. Tuż za nim Dimitrij Berszow, druga osoba w Volgateku, a za Berszowem widać było niskiego, krępego mężczyznę, którego twarz przysłaniało rondo kapelusza.

- Kto to?

- Nie udało nam się ustalić.

Michaił przyjrzał się drugiej fotografii, a potem trzeciej. Na żadnej z nich twarz mężczyzny nie była dobrze widoczna.

- Dobry jest, nie? - zapytał Michaił.

- Też zauważyłeś.

Trudno było nie zauważyć. Facet wiedział, gdzie są kamery i gdzie stoją dziennikarze i dopilnował, żeby nikt nie uchwycił jego twarzy Michaił rzucił fotografie na stół.

- Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

- Z tego samego powodu, dla którego robimy to my.

- Jest z Biura?

- To zawodowiec, Michaił. Pierwsza liga. Możliwe też, że to emeryt z SWR i robi to z przyzwyczajenia. Ale ja sądzę, że on wciąż jest w czynnej służbie.

- Gdzie teraz jest?

- W hotelu Imperial, razem z dwoma pozostałymi. Gienadij nie jest zadowolony ze standardu pokoju.

- Skąd wiesz?

- Oded i Mordechaj byli tam godzinę przed lądowaniem samolotu Volgateku i zostawili

pod stolikiem pewien drobiazg.

- Skąd wiedzieli, który pokój dostał Łazariew?

- Ci z 1400 włamali się do systemu rezerwacji.

- A jak otworzyli drzwi?

- Mordechaj ma nową magiczną kartę. Drzwi praktycznie otworzyły się same. - Gabriel odłożył fotografię i teczkę do aktówki. - Powinieneś wiedzieć, że Gienadij nie zajmował się wyłącznie narzekaniem na pokój - dodał po chwili. - Nie może się doczekać spotkania z tobą.

- Masz pojęcie, kiedy wykona jakiś ruch?

- Nie - Gabriel pokręcił głową. - Ale spodziewaj się raczej jakiegoś delikatnego sygnału.

- Znam go?

- Znasz jego imię i nazwisko, ale nie wiesz, jak wygląda.

- A jeśli mnie zahaczy?

- Zawsze byłem zdania, że najlepiej grać niedostępnego.

- I popatrz, jak wysoko cię to doprowadziło. - Michaił nalał sobie jeszcze odrobinę szampana.

- Próbujesz mi coś powiedzieć?

- Chyba należą ci się gratulacje.

- Za co?

- Daj spokój, Gabriel. Nie każ mi tego mówić na głos.

- Czego?

- Ludzie gadają. Szpiedzy też. Przy bulwarze Króla Saula mówi się, że zostaniesz szefem Biura.

- Jeszcze się na nic nie zgodziłem.

- Słyszałem co innego - odparł Michaił. - Podobno dobiliście już targu.

- To nieprawda.

- Skoro tak mówisz, szefie.

Gabriel westchnął ciężko.

- Ile wie Uzi?

- Uzi od dnia, w którym wziął tę robotę, wiedział, że jest dla wszystkich numerem dwa.

- W ogóle nie zabiegałem o tę posadę.

- Wiem. I myślę, że Uzi też to wie. Ale - dodał Michaił - nie będzie mu od tego łatwiej w dniu, kiedy premier zadzwoni i powie, że nie zostawi go na stanowisku na kolejną kadencję.

Michaił uniósł kieliszek pod światło i przyglądał się bąbelkom unoszącym się ku powierzchni.

- O czym myślisz? - spytał Gabriel.

- Przypominam sobie, jak siedzieliśmy w Zurychu w tej małej kawiarni przy Pardeplatz. Charkow przetrzymywał Chiare, a my kombinowaliśmy, jak ją uwolnić. Pamiętasz tamto miejsce? Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś?

- Powiedziałem ci, o ile się nie mylę, żebyś ożenił się z Sarą Bancroft i rzucił pracę w Biurze.

- Masz dobrą pamięć.

- O co ci właściwie chodzi?

- Zastanawiałem się, czy wciąż myślisz, że powinienem odejść z Biura.

Gabriel zawahał się, nim udzielił odpowiedzi.

- Ja na twoim miejscu bym tego nie zrobił - powiedział w końcu.

- Dlaczego?

- Bo jeśli ja zostanę nowym szefem, to masz przed sobą świetlaną przyszłość. Naprawdę.

Michaił dotknął dłońmi swojej głowy.

- Muszę się ogolić - powiedział.

- Tak, musisz.

- Na pewno nie masz ochoty się napić?

- Boli mnie po tym głowa.

- Mnie też - powiedział Michaił i raz jeszcze nalał sobie do pełna.

Przed opuszczeniem hotelu Gabriel zainstalował w komórce Michaiła dostarczone przez biuro oprogramowanie. Telefon stał się teraz działającym w trybie ciągłym nadajnikiem, automatycznie przekazującym na komputery zespołu wszystkie połączenia, e-maile i SMS-y. Po zejściu do lobby przez kilka minut krążył i rozglądał się dyskretnie, szukając znajomych twarzy wśród mocno już wstawionych magnatów paliwowych. Szalejąca wcześniej zamieć ustała. W świetle latarni było teraz widać spadające z nieba pojedyncze grube płatki. Gabriel ruszył przez miasto na zachód.

Szedł meandrującą ulicą handlową Strøget, aż dotarł do Rådhuspladsen. Dzwony na wieży wybiły osiemnastą. Gabriela korciło, by złożyć wizytę w hotelu Imperial, który znajdował się niedaleko od placu, tuż przy parku Tivoli. Zamiast tego skierował się jednak do ponuro wyglądającego budynku mieszkalnego przy ulicy, której nazwę wymówić potrafiłby

tylko rodowity Duńczyk. Gdy wszedł do niewielkiego mieszkania na drugim piętrze, zastał Kellera i Eliego Lavona zgarbionych nad ekranem laptopa. Z głośników komputera dobiegały głosy trzech cicho rozmawiających po rosyjsku mężczyzn.

- Udało ci się ustalić, kto rozmawia? - spytał Gabriel.

Lavon pokręcił głową.

- Śmieszna sprawa, ale ci z Volgateku jakoś unikają używania nazwisk.

- Coś takiego...

Eli już miał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język na dźwięk głosu, który włączył się do rozmowy. Głos był niski i nieomal szeptał, zupełnie jakby mówił nad otwartym grobem.

- To nasz chłopak - wyjaśnił Lavon. - On zawsze tak mówi. Zupełnie jakby zakładał, że go podsłuchują.

- Bo go podsłuchują.

Lavon się uśmiechnął.

- Przesłałem próbkę głosu na bulwar Króla Saula i kazałam ją przepuścić przez bazy danych. Zero dopasowań.

- Prześlij ją do Langley, do Adriana Cartera.

- A jeśli zażąda wyjaśnień?

- Okłam go.

W tym momencie trzech rosyjskich biznesmenów ryknęło głośnym śmiechem. Lavon nachylił się do głośnika, żeby lepiej słyszeć, a Gabriel wyjrzał dyskretnie na ulicę. Nie było na niej nikogo oprócz kobiety idącej zaśnieżonym chodnikiem. Miała alabastrową cerę Madeline i tak samo zarysowane kości policzkowe. Była do niej tak łudzaco podobna, że Gabriel o mało za nią nie pobiegł. Rosjanie nadal się śmiali. To ze mnie się śmieją, na pewno, pomyślał. Odetchnął głęboko, by uspokoić szaleńcze bicie serca. Patrzył, jak ulicą przemyka widmo Madeline. Po chwili znów pochłonęła ją ciemność. Zniknęła.

43.

Kopenhaga, Dania

Forum energetyczne odbywało się w Bella Center, paskudnej szklano-stalowej auli konferencyjnej, wyglądającej jak szklarnia z odległej planety. Przed wejściem, za barierkami, kłębili się dygoczący z zimna dziennikarze. Większość uczestników była na tyle rozważna, że zignorowała ich nawoływania. Ale nie Orłow. Zatrzymał się i odpowiedział na pytanie o nagły skok cen ropy, który dla niego oznaczał krociowe zyski. Nie minęła chwila, a musiał udzielić odpowiedzi na mnóstwo różnych pytań: od wyborów w Wielkiej Brytanii po kremlowską nagonkę na ruchy prodemokratyczne. Gabriel i jego zespół słyszeli każde słowo, ponieważ tuż obok oligarchy stał Michaił. Filmowany i fotografowany przez dziesiątki obiektywów udawał, że rozmawia przez telefon. To on zakończył wreszcie tę zaimprovizowaną konferencję prasową Orłowa, łapiąc go za rękaw i odciągając do otwartych drzwi centrum kongresowego. Jedna z brytyjskich dziennikarek odnotowała później z przejęciem: *Pierwszy raz widziałam, żeby ktokolwiek, podkreślam, ktokolwiek ośmielił się dotknąć Wiktora Orłowa.*

Po wejściu do centrum konferencyjnego oligarcha był jak tornado. Wziął udział we wszystkich porannych panelach dyskusyjnych, odwiedził każde stoisko wystawiennicze i uściśnął każdą z wyciągniętych w jego stronę dłoni, łącznie z tymi, które należały do ludzi szczerze go nienawidzących.

- To jest Nicholas Avedon - mówił do wszystkich, którzy byli w stanie go usłyszeć. - To moja prawa ręka. Lewa zresztą też. To moja nowa gwiazda.

Lunch to była granda - tak wyraził się Orłow o szwedzkim stole w sali jadalnej bez imiennych rezerwacji dla gości. W dodatku nie podano wieprzowiny ani żadnych napojów alkoholowych - grzecznościowy ukłon w stronę licznych gości ze świata muzułmańskiego. Orłow i Michaił przeczekali przerwę, nie biorąc do ust ani kęsa. Potem udali się na pierwszy z popołudniowych paneli, który okazał się ponurą dyskusją o wnioskach, jakie wyciągnąć można z katastrofy spowodowanej przez platformę wiertniczą BP w Zatoce Meksykańskiej. W sali obecny był także Gienadij Łazariew: siedział dwa rzędy za prawym ramieniem Orłowa.

- Jak wynajęty morderca - wymamrotał Wiktor do ucha Michaiła. - Kołuje, szukając dobrego miejsca do ataku. To kwestia czasu, gdy sięgnie po broń.

Uwaga oligarchy była doskonale słyszalna w małym mieszkaniu przy ulicy, której

nazwy nie sposób wymówić. Gabriel i reszta zespołu mieli podobne odczucia jak Orłow. Na tym etapie, dzięki aparatowi na szyi Jossiego, byli nawet w posiadaniu zdjęć dowodzących, że ich odczucia są trafne. Podczas porannej sesji forum Łazariew zachowywał bezpieczny dystans, teraz jednak - podczas sesji popołudniowej - zaczął wyraźnie osaczać cel.

- Jest jak samolot krążący wokół lotniska - skwitował Lavon. - Czeka tylko, aż wieża da mu pozwolenie na lądowanie.

- Nie jestem pewny, czy warunki pogodowe są sprzyjające - odpowiedział Gabriel.

- A kiedy się poprawią?

- Wtedy - Gabriel wskazał palcem ostatni punkt harmonogramu dnia. - Tu dostanie pozwolenie.

Czekanie, aż zakończy się ostatni panel, oznaczało, że Gabriel i jego ludzie musieli przetrzymać jeszcze dwie godziny, „ropobełkotu”, jak to ujął Keller. W pierwszej kolejności wysłuchali potwornie nudnej przemowy indyjskiego ministra na temat przyszłego zapotrzebowania energetycznego drugiego pod względem liczby mieszkańców kraju świata. Potem przyszła pora na utrzymaną w tonie reprimendy wypowiedź nowego prezydenta Francji, który skupił się na zagadnieniach zysku, opodatkowania i odpowiedzialności społecznej. Ostatnim punktem wieczoru była zaskakująco szczerza dyskusja panelowa na temat zagrożeń związanych z wydobyciem metodą szczelinowania hydraulicznego. Gienadij Łazariew, co nikogo nie zaskoczyło, opuścił ten punkt programu. Co do zasady rosyjskie spółki wydobywcze postrzegały środowisko naturalne jako rzecz, której nie należy chronić, tylko z której należy próbować jak najwięcej wycisnąć.

Po zakończeniu dyskusji delegaci wylegli na schody i ruszyli na górną galerię, gdzie rozpoczynał się wieczorny koktajl. Łazariew pojawił się tam jako jeden z pierwszych i rozmawiał teraz w rogu pomieszczenia z kilkoma Irańczykami, którzy zdążyli już pozbyć się krawatów. Orłow i Michaił wzięli od mijającego ich kelnera z tacą po kieliszku szampana i dołączyli do grupy delegatów z Brazylii. Orłow odwrócił się plecami do Łazariewa, ale Michaił widział go doskonale. Bez trudu dostrzegł więc, jak Rosjanin odłącza się od grupki Irańczyków i idzie powoli na drugą stronę sali.

- Teraz jest niezły moment, żebyś poszedł na spacer - szepnął Michaił.

- Dokąd? - spytał Orłow.

- Do Finów.

Orłow, wytrawny bankietowy aktor, sięgnął do kieszeni marynarki po telefon i przyłożył go do ucha. Następnie, marszcząc się, jakby nic nie usłyszał, ruszył w poszukiwaniu mniej gwarnego miejsca, gdzie w spokoju będzie mógł rozmawiać. Gdy tylko się oddalił,

Michaił odwrócił się plecami do sali i rozpoczął z jednym z Brazylijczyków poważną dyskusję na temat potencjału inwestycyjnego Ameryki Łacińskiej. Po kilku minutach rozmowy wyczuł, że ktoś za nim stoi. Wiedział, że to mężczyzna - ostry zapach wody kolońskiej nie pozostawiał co do tego wątpliwości. O obecności kogoś za jego plecami świadczyło też niespokojne spojrzenie Brazylijczyka. Michaił odwrócił się, by spojrzeć prosto w twarz, którą znał aż nadto dobrze - twarz, która przez wiele dni wisiała na ścianie kwatery w Grayswood. Lata treningu i doświadczenia sprawiły, że nie był ani odrobinę zbity z tropu i spozrzał na Rosjanina w sposób całkowicie neutralny.

- Przepraszam, że odrywam pana od rozmowy - zaczął Łazariew po angielsku, mówiąc z wyraźnym akcentem - ale chciałem się panu przedstawić, zanim wróci Wiktor. Nazywam się Gienadij Łazariew. Jestem prezesem Volgatek Oil & Gas.

- Nicholas - przedstawił się Michaił, ściskając rękę Rosjanina. - Nicholas Avedon.

- Wiem, kim pan jest - odparł Łazariew, uśmiechając się. - Wiem o panu wszystko.

Rozmowa trwała minutę i dwadzieścia siedem sekund. Jakość nagrania okazała się zaskakująco dobra, pomimo lekkiego szumu w tle i głuchego stukotu, który Gabriel uznał za bicie serca Michaiła. Jego serce też waliło jak oszalałe, gdy po skończonej rozmowie raz i drugi odsłuchał jej przebieg. Po chwili po raz kolejny wcisnął „play” i raz jeszcze odtworzył całe nagranie. Miał wrażenie, że zanika mu puls.

- Wiem, kim pan jest. Wiem o panu wszystko.

- Naprawdę? A jak to się stało?

- Obserwowaliśmy pańskie działania na portfelu energetycznym Wiktora. Zrobił pan na nas duże wrażenie.

- Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”?

- Volgatek, oczywiście. Co innego mógłbym mieć na myśli?

- Środowisko biznesowe w Rosji jest trochę inne niż na Zachodzie. Zaimki mogą dużo znaczyć.

- Bardzo pan jest dyplomatyczny.

- Muszę. Pracuję dla Wiktora Orłowa.

- Chwilami wygląda to tak, jakby to on pracował dla pana - zauważył Łazariew.

- Pozory mylą.

- Więc to, co mówią, to nieprawda?

- A co mówią?

- Że tak naprawdę przejął pan kontrolę nad spółką i że Wiktor to teraz tylko nazwisko i drogie krawaty.

- Wiktor nadal jest głównym strategiem spółki. Ja tylko naciskam klawisze i pociągam za dźwignie.

- Jest pan bardzo lojalny.

- Owszem.

- Cenię to u ludzi. Ja też jestem lojalny.

- Nie wobec Wiktora - zauważył Michaił.

- Oczywiście rozmawiał z panem o mnie.

- Tylko raz.

- Podejrzewam, że nie wypowiadał się o mnie zbyt pochlebnie.

- Powiedział, że jest pan bardzo bystry.

- To miał być komplement?

- Nie.

- Wiktor i ja poróżniliśmy się w pewnych kwestiach, nie zamierzam zaprzeczać. Ale to przeszłość. Zawsze ceniłem sobie jego zdanie, zwłaszcza jeśli chodzi o dobór ludzi. Ma dar wynajdywania talentów. To dlatego chciałem pana poznać. Mam pewien pomysł, który pragnę z panem omówić.

- Przekażę Wiktorowi, że chce pan porozmawiać.

- Pomysł nie dotyczy Wiktora Orłowa. Dotyczy Nicholasa Avedona.

- Jestem pracownikiem Viktor Orlov Investments, panie Łazariew. Sam Nicholas Avedon nie istnieje, a przynajmniej nie tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze Wiktora.

- Sprawa nie ma nic wspólnego z jego pieniędzmi. Chodzi o pańską przyszłość. Chciałbym, żeby poświęcił mi pan chwilę przed wyjazdem z Kopenhagi.

- Mój kalendarz to jeden wielki koszmar.

- Proszę wziąć moją wizytówkę, Nicholasie. Na odwrocie jest zapisany mój prywatny numer. Gwarantuję panu, że nie uzna pan tego spotkania za zmarnowany czas. Proszę mnie nie rozczarować. Nie lubię, kiedy ludzie rozczarowują.

Gabriel wcisnął „stop” i spojrzał na Eliego Lavona.

- Na moje ucho, upolowałeś go - powiedział Eli.

- Możliwe - odparł Gabriel. - A może to Łazariew upolował nas.

- Spotkanie z nim nie zaboli.

- Może zabołec. I to bardzo.

Gabriel cofnął pasek czasu i raz jeszcze wcisnął „play”.

„Wiem, kim pan jest. Wiem o panu wszystko”.

Zatrzymał nagranie.

- Przenośnia - zbagatelizował sprawę Lavon - nic więcej.

- Jesteś pewien, Eli? Masz stuprocentową pewność?

- Całkowitą pewność mam co do tego, że jutro rano wstanie słońce, a wieczorem zajdzie. Mam też sporą pewność co do tego, że Michaił przeżyje wyjście na drinka z Łazariewem.

- Póki Gienadij nie poda mu ponczu z polonu.

Gabriel sięgnął po myszkę, ale Lavon przytrzymał jego rękę.

- Przyjechaliśmy do Kopenhagi, żeby załatwić to spotkanie - powiedział. - Więc to zrobimy.

Gabriel wziął telefon i wybrał numer komórki Michaiła. Przypominający beczenie dźwięk dzwonka wrócił do niego echem z głośników komputera. Po chwili odezwał się Michaił.

- Umów się z nim na jutrzejszy wieczór - powiedział Gabriel. - O ile możesz, staraj się mieć wpływ na dobór miejsca. Nie chcemy niespodzianek.

Gabriel się rozłączył, nie mówiąc ani słowa więcej, by posłuchać, jak chwilę później Michaił wybiera numer Łazariewa. Rosjanin odebrał natychmiast.

- Bardzo się cieszę, że zdecydował się pan zadzwonić.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Łazariew?

- Może pan zjeść ze mną jutro kolację.

- Mam spotkać się z Wiktorem.

- Proszę się jakoś wykręcić.

- Gdzie?

- Wymyślę zaraz jakieś miejsce z dala od forum.

- Tylko nie za bardzo „z dala”, panie Łazariew. Nie mogę zniknąć na więcej niż godzinę.

- Odpowiada panu dziewiętnasta?

- Tak.

- Wyślę po pana samochód.

- Mieszkam w hotelu d'Angleterre.

- Wiem - odpowiedział Łazariew i zakończył rozmowę. Gabriel przełączył się na nadajnik w pokoju Rosjanina w Imperialu. Trzej Rosjanie ryczeli ze śmiechu. To ze mnie się śmieją, na pewno, pomyślał Gabriel.

44.

Kopenhaga, Dania

Drugi dzień forum okazał się nużącą powtórką pierwszego. Michaił znów lojalnie trzymał się Orłowa, roztaczając wokół romansową aurę kogoś, kto jest o krok od dopuszczenia się cudzołóstwa. Podczas wieczornego koktajlu raz jeszcze na jakiś czas przyłączył się do imprezowych Brazylijczyków, którzy wyglądali na zdruzgotanych po tym, jak nie chciał wybrać się z nimi na rajd po nocnych klubach Kopenhagi. Kierując się do wyjścia, wyrwał Orłowa z macek kazachskiego ministra do spraw ropy i popędził jak bezwolną krowę aż na tylne siedzenie wynajętej limuzyny. Oczekał, aż znajdą się o kilka przecznic od hotelu d'Angleterre, i powiedział, że nie ma siły iść na kolację. Powiedział to na tyle głośno, by jego wypowiedź miał szansę zarejestrować rosyjski podsłuch.

- Jak ma na imię ta dziewczyna? - spytał Wiktor, który oczywiście znał już plany Michaiła.

- To nie to, Wiktor.

- Więc co?

- Cholernie boli mnie głowa.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Jestem pewny, że to tylko guz mózgu.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Michaił, by podtrzymać przykrywkę, wykonał kilka telefonów do Londynu i wysłał świński e-mail do swojej sekretarki, żeby moskiewscy cyberśledczy mieli szansę przekonać się, że nie żyje wyłącznie pracą i ma ludzkie oblicze. Następnie wzięł prysznic i zaczął szykować ubranie na wieczór. Okazało się to większym wyzwaniem, niż się spodziewał. Bo jak ubiera się ktoś, kto zdradza swojego rzekomego pracodawcę, wybierając się na spotkanie z szefem spółki nafcarskiej zarządzanej przez rosyjski wywiad? Wybór padł na gładki garnitur w odcieniu radzieckiej szarości i białą koszulę z mankietami zapinanymi na spinki. Zdecydował się iść bez krawata w obawie, że nadmiar elegancji może zostać poczytany za nadgorliwość. Poza tym, gdyby miało się okazać, że ludzie Łazariewa zamierzają go zabić, lepiej nie mieć na szyi czegoś, co może im w tym pomóc.

Zgodnie z wytycznymi Gabriela Michaił zostawił wszystkie światła w pokoju zapalone, a zawieszki na drzwiach odwrócił na stronę „Nie przeszkadzać” i ruszył w stronę wind. W lobby przebił się przez morze delegatów. Idąc do wyjścia, zobaczył Jossiego, świeżo

upieczonego reportera nieistniejącego serwisu „Energy Times”, jak przeprowadza wywiad z jednym z Irańczyków. Na dworze trwała nieprzyjemna zadymka: wiatr ciskał szorstki, przypominający piasek śnieg po całym Kongens Nytorv. Przy chodniku czekał czarny mercedes klasy S, a przy nim - Rosjanin mający chyba ze dwa i pół metra wzrostu. Wyglądał na kogoś, kto musi mieć na imię Igor.

- Dokąd jedziemy? - spytał Michaił, gdy limuzyna wystrzeliła do przodu.

- Na kolację - odburknął „Igor”.

- No tak - powiedział pod nosem Michaił - świetnie, że to sobie wyjaśniliśmy.

Rosyjski szofer nie usłyszał wypowiedzianej po cichu uwagi. Doskonale jednak usłyszał ją Gabriel, który siedział teraz za kierownicą audi zaparkowanego w bocznej uliczce za rogiem. Miał obok siebie Kellera trzymającego na kolanach tablet. Ekran urządzenia wyświetlał mapę Kopenhagi i niebieski migający punkt oznaczający położenie Michaiła. W tym momencie oddalał się szybko od Kongens Nytorv, przemieszczając się w stronę rejonów miasta bynajmniej nie słynących z restauracji. Gabriel powoli przekręcił kluczyk, spojrzął, gdzie znajduje się niebieski znacznik i ostrożnie ruszył za nim.

Szybko stało się jasne, że Michaił i Łazariew nie będą jedli kolacji w Kopenhadze. Już po kilku minutach mercedes opuścił centrum miasta i gnał przedmieściami z prędkością wskazującą na to, że Igor przywykł do jeżdżenia w takich warunkach. Gabriel nie musiał jechać tuż za nim, bo niebieski punkcik na trzymanym przez Kellera ekranie mówił mu to, co chciał wiedzieć.

Przejechawszy przez południowe przedmieścia Kopenhagi, mercedes wjechał na autostradę M20 i mknął na południe, w rejon Zelandii. W miejscu, gdzie autostrada skręcała łukiem w głąb kraju, niebieskie światło skierowało się w stronę wybrzeża. Gabriel i Keller zrobili to samo, by po chwili znaleźć się na wąskiej dwupasmowej drodze - po lewej stronie widać było czarne wody zatoki Køge, a po prawej - ciągnące się na południe białe pola. Jechali tą drogą przez niespełna dziesięć kilometrów, by dotrzeć w końcu do osiedla domków i rezydencji letniskowych stojącego przy kamienistej, smaganej wiatrem plaży. Znacznik wskazujący położenie jadącego przed nimi mercedesa zatrzymał się. Gabriel zjechał na pobocze i zwiększył moc dźwięku w słuchawce. Usłyszał odgłos otwierania drzwi, kroki na zasypanej śniegiem alejce i bijące szybko serce Michaiła.

Dom, do którego go zabrano, był najokazalszy na całym osiedlu. Od frontu miał półkolistą podjazd i obszerny taras z zadaszonym ogródkiem. Posiadłość otaczały starannie

przystrzyżony żywopłot oraz ceglane ogrodzenie. Na werandę z białą balustradą prowadziło dwanaście stopni. Po bokach przeszklonych drzwi wejściowych stały dwa niczym strażnicy przystrzyżone drzewka. Gdy Michaił się zbliżył, drzwi otworzyły się szeroko i na taras wyszedł Gienadij Łazariew. Miał na sobie półgolf i gruby kardigan w skandynawskim stylu.

- Nicholas! - wykrzyknął uradowany tak głośno, jakby zwracał się do kogoś z poważną wadą słuchu. - Szybko do środka, bo zamarznie pan na śmierć. Przepraszam, że ciągnąłem pana taki kawał, ale nie lubię załatwiać ważnych spraw w restauracjach czy hotelach.

Podał Michaiłowi rękę, po czym wciągnął go za próg, zupełnie jakby holował tonącego. Potem szybko zamknął drzwi i wziął od gościa płaszcz, by następnie przyjrzeć się świeżo upolowanej zdobyczy. Pomimo wpływów i kolosalnego majątku Gienadij Łazariew wciąż miał w sobie coś z rządowego naukowca. W okularach o okrągłych oprawkach i ze zmarszczonym czołem wyglądał jak ktoś, kto głowi się na rozwiązaniem matematycznego równania.

- Trudno było urwać się Wiktorowi?

- Nie - odparł Michaił. - Miałem nawet wrażenie, jakby ucieszył się, że uwolnił się ode mnie na parę godzin.

- Wygląda na to, że dobrze się dogadujecie.

- To prawda.

- Ale i tak pan przyjechał - zauważył Łazariew.

- Czuję, że nie mam innego wyjścia.

- Dlaczego?

- Bo kiedy ktoś taki jak Gienadij Łazariew zaprasza na spotkanie, to takiej propozycji nie należy odrzucać.

Słowa Michaiła sprawiły Rosjaninowi wyraźną przyjemność. Widać było, że lubi pochlebstwa.

- I nie powiedział mu pan, dokąd jedzie?

- Oczywiście, że nie.

- Doskonale. - Łazariew lekko poklepał Michaiła po plecach delikatną dłonią. - Zapraszam, napijmy się. Pozna pan pozostałych.

Łazariew zaprowadził gościa do dużego salonu z wielkim oknem wychodzącym na morze. Czekają tam dwóch mężczyzn, a w pokoju panowała niezręczna cisza, jaka z reguły zapada po kłótni. Pierwszy z nich nalewał sobie właśnie drinka, drugi grzał się przy kominku. Mężczyzna z drinkiem miał gęstą, ciemną brodę i rzadkie przylizane włosy Michaił nie mógł zobaczyć twarzy siedzącego przy kominku, ponieważ był odwrócony plecami.

- To Dimitrij Berszow - powiedział Łazariew, wskazując mężczyznę przy barku na kółkach. - Jestem pewny, że kojarzy pan to nazwisko. Dimitrij to numer dwa w firmie.

- Oczywiście. - Michał uściśnął rękę Berszowa. - To przyjemność poznać pana.

- Wzajemnie - powiedział Rosjanin.

- A ten tam - Łazariew wskazał na postać przy ogniu - to Paweł Żirow. Odpowiada za bezpieczeństwo firmy i wszelką brudną robotę, jeśli trzeba taką wykonać. Zgadza się, Paweł?

Mężczyzna odwrócił się powoli i spojrzał Michałowi prosto w twarz. Miał na sobie czarny wełniany sweter i grafitowe spodnie. Szaro-złotawe włosy miał krótko obcięte. Jego twarz była kanciasta, a jej najbardziej rzucającym się w oczy elementem były wąskie, nienawistne usta. Michał natychmiast zdał sobie sprawę, że już gdzieś tę twarz widział - na fotografii zrobionej podczas lunchu w restauracji na Korsyce kilka godzin przed zaginięciem Madeline Hart. Teraz twarz ta zwrócona była w jego stronę, a wąskie usta ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

- Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy? - spytał Żirow, ściskając dłoń Michała.

- Nie wydaje mi się.

- Wygląda pan znajomo.

- Często to słyszę.

Słaby uśmiech zniknął z twarzy Rosjanina, a jego oczy się zwęziły.

- Ma pan przy sobie telefon? - zapytał.

- Nawet pod prysznic chodzę z telefonem.

- Mógłby go pan wyłączyć?

- To naprawdę konieczne?

- Tak - odparł Żirow. - I proszę też wyjąć baterię. W dzisiejszych czasach nie da się być zbyt ostrożnym.

Trzydzieści sekund później niebieski znaczek na ekranie tabletu zniknął. Gabriel wyjął z ucha słuchawkę i ściągnął brwi.

- Co tam się stało? - spytał Keller.

- Michał przeleciał na ciemną stronę księżyca.

- Czyli?

Gabriel wytłumaczył, o co mu chodzi. Następnie sięgnął do kieszeni płaszcza i zadzwonił do czekającego w mieszkaniu Eliego Lavona. Przez kilka minut rozmawiali szorstkim operacyjnym hebrajskim.

- Co się dzieje? - chciał wiedzieć Keller, kiedy Gabriel się rozłączył.

- Dwóch bambrów z SWR z rezydentury w Kopenhadze przeszukuje pokój Michała w hotelu d'Angleterre.

- Czy to dobrze?

- To bardzo dobrze.

- Jesteś pewny?

- Nie.

Gabriel włożył telefon do kieszeni płaszcza i spojrzął przez okno na smagane wichurą fale uderzające raz po raz o zmarznięte kamienie na brzegu. Czekanie, pomyślał, zawsze to czekanie.

45.

Zelandia, Dania

Stół zastawiono wystawnym poczęstunkiem w stylu rosyjskim. Nie było wiadomo, skąd wzięły się wszystkie te potrawy, ponieważ poza trzema mężczyznami Michaił nie widział w domu nikogo. Zastanawiało go, jak udało im się wynająć dom z tak krótkim wyprzedzeniem. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że po prostu są w bezpiecznej kwaterze Volgateku. Albo SWR. Takie rozróżnienie nie miało chyba zresztą większego sensu.

Na razie potrawy służyły wyłącznie za dekorację. Michaiłowi podano drinka - oczywiście wódkę. Gospodarze posadzili go na honorowym miejscu: fotelu z pięknym widokiem na morze. Dimitrij Berszow, prawdziwy dywanowy sportowiec, krążył po pokoju jak bokser mający zaraz wejść na ring. Paweł Żirow, stróż tajemnic Volgateku i człowiek, który porwał Madeline Hart, wpatrywał się w sufit, zupełnie jakby obliczał, ile liny będzie trzeba, by powiesić Michaiła. W końcu jednak przenikliwe spojrzenie Żirowa spoczęło na Łazariewie, który zajął chwilę wcześniej miejsce przy ogniu. Wpatrywał się teraz w płomień i rozmyślał nad pytaniem, które przed momentem usłyszał z ust Michaiła: „Dlaczego się tu znalazłem?”.

- Dlaczego pan się tu znalazł? - powtórzył po dłuższej chwili Rosjanin. - Dlatego, że mnie pan o to poprosił.

- Zawsze zgadza się pan spotkać z wrogami człowieka, który płaci panu pensję? - Łazariew odwrócił się, by zobaczyć, jak Michaił odpowiada na pytanie.

- O to tutaj chodzi? Chce mnie pan wynająć do szpiegowania Wiktora?

- Widzę, że język szpiegowski nie jest panu obcy.

- Czytam sporo książek.

- Jakich?

Michaił ostentacyjnie odstawił drinka.

- To mi za bardzo zaczyna przypominać przesłuchanie - odrzekł spokojnie. - Jeśli się panowie nie obrażą, wrócę do hotelu.

- Popelniłby pan duży błąd.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie wysłuchał pan jeszcze mojej propozycji.

Łazariew z uśmiechem podniósł nietkniętego drinka Michaiła i przestawił go na wózek dla schłodzenia. Sam Michaił spojrzał teraz na Pawła Żirowa, odwzajemniając jego martwe

spojrzenie. W myślach zdążył już przebrać go z czarnego wełnianego swetra i grafitowych spodni w jasny letni garnitur, który miał na sobie w Calvi. Gdy wrócił do niego schłodzony drink, Michaił odpędził ten obraz, wymazując go z myśli, jak ściera się z tablicy słowa zapisane kredą. Przyjrzał się Łazariewowi. Siedząc ze zmarszczonym czołem, wyglądał, jakby zmagał się z rozwiązaniem jakiegoś równania.

- Zgodziłby się pan, żebyśmy rozmawiali po rosyjsku?

- Obawiam się, że mój rosyjski jest na poziomie restauracyjno-taksówkowym.

- Wiem z bardzo rzetelnego źródła, że pański rosyjski jest dobry. Nawet nie dobry, a płynny.

- Kto tak twierdzi?

- Powiedział mi to przyjaciel z Gazpromu - odpowiedział szczerze Łazariew. - Odbył z panem krótką rozmowę w Pradze, kiedy był pan tam z Wiktorem.

- Wiadomości szybko się rozchodzą.

- Obawiam się, że w Moskwie coś takiego jak tajemnica nie istnieje.

- Też tak słyszałem.

- Nauczył się pan rosyjskiego w szkole?

- Nie.

- A więc wyniósł go pan z domu.

- Na to wychodzi.

- Pańscy rodzice byli Rosjanami?

- Dziadkowie również.

- W jaki sposób trafili do Anglii?

- W typowy.

- To znaczy?

- Wyjechali z Rosji po upadku caratu i zamieszkali w Paryżu. Potem przenieśli się do Londynu.

- Pańscy przodkowie należeli do burżuazji?

- Nie byli bolszewikami, jeśli o to chciał pan spytać.

- Tak, chyba o to.

Przed wypowiedzeniem kolejnych zdań Michaił milczał przez chwilę, po czym rzekł, starannie dobierając słowa:

- Mój pradziadek odniósł pewien sukces jako przedsiębiorca. Nie chciał mieszkać w komunistycznej Rosji.

- Jak miał na nazwisko?

- Nasze nazwisko rodowe to Awdonin. Z czasem zmieniono je na Avedon.
- Więc naprawdę nazywa się pan Nikita Awdonin - stwierdził Łazariew.
- Nikołaj - poprawił go Michaił.
- Mogę mówić do pana Nikołaj?
- Jeśli ma pan taką ochotę.
- Był pan kiedyś w Moskwie? - spytał Łazariew po rosyjsku.
- Nie - odparł Michaił w tym samym języku.
- Dlaczego?
- Nie miałem dobrego powodu.
- Nie chciał pan poznać miejsca, z którego pochodzi?
- Moim domem jest Anglia - odpowiedział Michaił. - Rosja to kraj, z którego moja rodzina uciekła.

- Był pan przeciwnikiem Związku Radzieckiego?
- Byłem wtedy za młody, żeby być przeciwnikiem czegośkolwiek.
- A nasz rząd?
- O co pan pyta?
- Podziela pan pogląd Wiktora, że nasz prezydent to autorytarny kleptokrata?
- Może pana zaskoczę, ale nie rozmawiam z Wiktorem o polityce.
- Rzeczywiście mnie pan zaskoczył.

Michaił nie powiedział nic więcej, a Łazariew nie drażył tematu. Spoglądał to na Berszowa, to na Żirowa, by w końcu raz jeszcze utkwic spojrzeńie w Michaił. Gdy przerwał milczenie, mówił znów po angielsku:

- Zakładam, że czytał pan o umowie koncesyjnej, którą zawarliśmy z rządem brytyjskim w sprawie odwiertów na Morzu Północnym?

- Dwa nowo odkryte pola naftowe u wybrzeży wysp szkockich - odparł Michaił takim tonem, jakby czytał prospekt emisyjny - szacowana wydajność po osiągnięciu pułapu docelowego: sto tysięcy baryłek dziennie.

- Jestem pod wrażeniem.
- To w końcu mój biznes, panie Łazariew.
- To akurat jest mój biznes - zaznaczył Rosjanin - ale - dodał zaraz - chciałbym, żeby to pan nim w moim imieniu zarządzał.

- Miałbym zarządzać projektem wydobywczym na Wyspach?

Łazariew skinął głową.

- Przykro mi, ale nie zajmuję się prowadzeniem projektów.

- Robił pan podobną rzecz na Morzu Północnym dla KBS Oil Services.

- Z tego właśnie powodu nie chcę znów zajmować się tego rodzaju pracą. Niezależnie od tego, jestem związany kontraktem z Wiktorem - Michaił wstał. - Wybaczą panowie, że nie zostanę na kolacji, ale naprawdę muszę się już zbierać.

- Przecież nie wysłuchał pan mojej propozycji.

- Jeśli przypomina pierwszą część oferty, to nie jestem zainteresowany - odparł sucho Michaił.

Łazariew zachował się tak, jakby go w ogóle nie usłyszał.

- Jak pan wie, Nikołaju, Volgatek rozszerza swoją działalność na terenie Europy i poza jej granicami. Jeśli to przedsięwzięcie ma się powieść, to potrzebni nam będą zdolni ludzie tacy jak pan. Ludzie, którzy rozumieją i Zachód, i Rosję.

- To miała być propozycja?

Łazariew zrobił krok do przodu i oparł dłonie na ramionach Michaiła.

- Projekt na Wyspach to tylko początek - powiedział tak swobodnie, jakby byli sami w pokoju. - Chcę, żeby pomógł mi pan zbudować firmę o globalnym zasięgu. Dzięki mnie stanie się pan bogaty, Nikołaju Awdoninie. Bogatszy, niż umie pan sobie teraz wyobrazić.

- Już teraz żyje mi się zupełnie nieźle.

- O ile znam Wiktora, rzuca panu drobne, które walają mu się po kieszeniach. - Rosjanin uśmiechnął się i ścisnął lekko ramiona Michaiła. - Panie Nikołaju, niech pan przyjdzie do Volgateku i wróci do domu.

Południowy kraniec zatoki Køge nie jest miejscem, w którym dwóch siedzących w zaparkowanym samochodzie mężczyźni ma szansę przez długi czas pozostać niezauważonymi. Gabriel i Keller pojechali więc do najbliższej miejscowości i usiedli w niewielkiej restauracji serwującej niezbyt zachęcającą mieszankę dań włoskich i azjatyckich. Keller zjadł za nich obu, Gabriel wypił tylko czarną kawę. W słuchawce wciąż panowała głucha cisza. Gabrielowi stanęło przed oczami wspomnienie Michaiła prowadzonego na śmierć przez ośnieżony brzozowy las. Dwa razy ze strachu i frustracji podrywał się na nogi i dwa razy Keller mówił mu, że ma usiąść i spokojnie czekać.

- Wykonałeś dobrą robotę - powiedział spokojnie, ze sztucznym, profesjonalnym uśmiechem na opalonej twarzy. - Pozwól teraz, żeby twój plan zadziałał.

Wreszcie, blisko półtorej godziny po tym, jak Michaił wszedł do domu nad morzem, Gabriel usłyszał w słuchawce trzaski, a chwilę później szum wiatru - tego samego, który metr od niego trząsał framugami w oknach restauracji. Po kolejnych kilku sekundach z ulgą usłyszał

zachrypnięty nieco głos Michaiła:

- Zastanowię się, Gienadiju. Obiecuję, że poważnie to przemyślę.

- Tylko nie myśl za długo, Nikołaju. Moja oferta wkrótce wygaśnie.

- Jak dużo mam czasu?

- Chcę poznać twoją odpowiedź w ciągu tygodnia. W przeciwnym razie będę musiał zmienić kierunek poszukiwań.

- A jeśli się zgodzę?

- Zaprosimy cię na kilka dni do Moskwy, żebyś poznał resztę zespołu. Jeśli obaj będziemy zadowoleni z tego, co zobaczymy, przejdziemy do następnego etapu. Jeżeli nie, zostaniesz u Wiktora i będziesz udawał, że nasze spotkanie nigdy nie miało miejsca.

- Dlaczego Moskwa?

- Boisz się tam jechać?

- Oczywiście, że nie.

- Nie masz czego. Paweł doskonale się tobą zaopiekuje.

Na tym rozmowa się zakończyła. Moment później rozległo się trzaśnięcie drzwi i warkot uruchamianego silnika. Niebieskie światło zaczęło przesuwac się po ekranie. Gdy znacznik zbliżył się do współrzędnych restauracji, Gabriel odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Zobaczył wielkiego czarnego mercedesa pędzącego w tumanach śniegu. Michaił przetrwał spotkanie. Teraz pozostaje wyłowić go z morza i odprowadzić bezpiecznie do domu.

Powrót do Kopenhagi zajął czterdzieści pięć minut i był tak bezbarwny że aż nużący Gabriel pozwolił prowadzić Kellerowi, a sam skupił się na dźwiękach w słuchawce. Nie było w niej jednak słyhać niczego poza cichym szumem silnika i monotonnym stukaniem. Z początku Gabriel sądził, że to usterka zawieszenia, jednak szybko uświadomił sobie, że to Michaił bębni palcami w podłokietnik. Robił tak zawsze, gdy był u kresu wytrzymałości.

Gdy jednak wysiadł z mercedesa pod hotelem d'Angleterre, wyglądał na najbardziej beztraskiego człowieka pod słońcem. Wszedłszy do lobby, zastał w barze Brazylijczyków i się do nich przyłączył. Dziś jak rzadko kiedy należał mu się kielich na sen. Jakiś czas później poszedł do apartamentu. Nie było tam śladu po bardzo profesjonalnie przeprowadzonej rewizji. Nawet laptop Michaiła, który poddano cyfrowemu przetrzepaniu, stał w tym samym miejscu i w tej samej pozycji co przed jego wyjściem. Michaił skorzystał zaraz z komputera, by wysłać do zespołu informację o sytuacji alarmowej. Faks z wydrukiem tego zwięzłego raportu trzymał w ręku Eli Lavon w chwili, gdy Gabriel i Keller wrócili do mieszkania przy

ulicy o nazwie nie do wymówienia.

- Udało ci się - powitał Gabriela Lavon. - Masz go.

- Kogo?

- Paula - odparł Eli. - Paweł Żirow z Volgateku to Paul.

Kłótnia, do której doszło, była jedną z najzjadlejszych w historii zespołu Gabriela. Przebiegła jednak tak cicho, że Keller ledwie się zorientował, że w ogóle miała miejsce.

Spór toczyły dwie frakcje o tej samej mniej więcej liczebności. Na czele „rebeliantów” stanął Jakow. Jego postulat był bardzo prosty, a argumentacja żarliwa. Operację rozpoczęli w jednym jedynym celu, mówił: po to, żeby znaleźć dowód na to, iż Rosjanie porwali Madeline Hart w ramach spisku mającego na celu położenie łapy na brytyjskiej ropie. Teraz dowód ten w osobie Pawła Żirowa siedział w pokoju w hotelu Imperial. Szef ochrony Volgateku i cyngiel na usługach Moskwy jest kluczem do sprawy i należy natychmiast go dorwać, argumentował Jakow. W przeciwnym razie wymknie się i drugiej szansy mieć nie będą.

Tak się dla Jakowa pechowo składało, że na czele drugiej frakcji stał Gabriel - jego przyszyły szef. Ten spokojnie wytłumaczył pozostałym, że żadnego ataku nie będzie, a Żirow zgodnie z planem następnego dnia opuści Kopenhagę. Nie ma czasu, tłumaczył Gabriel, by porządnie zaplanować akcję. Nie będą też mieli szansy na przejęcie Żirowa w sposób na tyle czysty, by choć z grubsza odpowiadało to standardom Biura. Siłowe przejęcia zawsze wiążą się z ryzykiem. Taka próba, praktycznie bez planu, to gotowa recepta na klęskę. Klęskę, na którą Biuro nie mogło sobie teraz pozwolić. Paweł Żirow spokojnie odejdzie, a jeśli będzie trzeba, Biuro poniesie za nim walizki.

I tak się właśnie stało. Następnego ranka o dziesiątej Paweł Żirow alias Paul wyszedł przez główne drzwi hotelu Imperial w towarzystwie Gienadija Łazariewa i Dimitrija Berszowa, by następnie udać się na kopenhaskie lotnisko limuzyną z szoferem. Trzej mężczyźni wsiedli do prywatnego odrzutowca i odlecieli do Moskwy. Jossi zrobił im dla nieistniejącej gazety branżowej ostatnie, pożegnalne zdjęcie, po czym sam wsiadł do samolotu do Londynu. Wieczorem tego samego dnia on i pozostali członkowie zespołu zebrali się w swojej kwaterze w domu w Grayswood. Nikołaj Awdonin miał niedługo wyruszyć do miasta heretyków na rozmowę o pracę. Nie sam, oczywiście. W asyście Baraka.

46.

Grayswood, hrabstwo Surrey

Po południu następnego dnia bezpiecznym łączem nadeszło wezwanie. Gabriel rozważał z początku zignorowanie go, ale komunikat był do bólu czytelny: jeśli się nie stawi, jego operacja w trybie natychmiastowym straci autoryzację i zaplecze. I tak o osiemnastej, choć nie miał na to najmniejszej ochoty, pojechał do Londynu i tylnymi drzwiami wśliznął się do ambasady Izraela. Szef delegatury na kraj, zaprawiony w bojach karierowicz o nazwisku Natan, czekał na niego w holu. Zaprowadził Gabriela na dół, do „Świętego Świętych”, po czym szybko się oddalił, zupełnie jakby bał się oberwać rykoszetem. W pokoju nie było nikogo, ale na stole czekała taca kanapek i wiedeńskich ciasteczek maślanych. Była też butelka wody mineralnej, którą Gabriel wstawił do zamykanej szafki. Zrobił to z nawyku: jedna z wielu wytycznych Biura nakazywała, żeby przestrzeń, która może stać się miejscem starcia, oczyścić ze wszelkich przedmiotów mogących posłużyć za broń.

Przez dwadzieścia kolejnych minut nikt się nie pojawiał. Aż wreszcie do „Świętego Świętych” wszedł zwalisty mężczyzna o posturze zapaśnika. Miał na sobie sprawiający wrażenie o rozmiar za małego ciemny garnitur i elegancką koszulę z wysokim kołnierzem, która nie leżała na nim najlepiej: patrząc na niego, miało się wrażenie, że głowę przytwierdzoną ma bezpośrednio do ramion. Jego włosy, kiedyś rudawoblond, teraz były srebrno-siwe i bardzo krótko przycięte - po to, by ukryć niepokojąco szybkie łysienie. Mężczyzna przyglądał się przez chwilę Gabrielowi przez wąskie szkła okularów, jakby się wahał, czy zastrzelić go od razu, czy poczekać z tym do świtu. Następnie podszedł do tacy z jedzeniem i pokręcił głową z rezygnacją.

- Myślisz, że moi wrogowie wiedzą?

- O czym, Uzi?

- Że nie potrafię oprzeć się pokusie żarcia. Zwłaszcza tego - dodał, biorąc z tacy jedno z maślanych ciasteczek. - To chyba geny. Mój dziadek niczego nie kochał bardziej niż maślane ciasteczka i filiżankę porządnej wiedeńskiej kawy.

- Lepiej mieć problem ze słodyczami niż z kobietami albo hazardem - zauważył Gabriel.

- Łatwo ci mówić - prychnął Navot z pretensją. - Jesteś jak Szamron. Wy nie macie żadnych słabości, was nie da się złamać. - Przerwał, by po chwili dodać: - Jesteście idealni.

Gabriel wiedział już, o co chodzi Uziemu. Milczał, patrząc, jak Navot wpatruje się w

maślane ciastko tak, jakby to ono było źródłem wszystkich jego problemów.

- Chociaż sądzę, że ty masz jedną słabość - powiedział wreszcie. - Zawsze pozwalałeś, by uczucia wpływały na twój proces podejmowania decyzji. Kiedy zostaniesz szefem, będziesz musiał się tego oduczyć.

- To nic osobistego, Uzi.

Navot uśmiechnął się sztucznie.

- Zamierzasz zaprzeczać, że Szamron rozmawiał z tobą o obsadzeniu cię w roli dyrektora Biura?

- Nie. Nie zamierzam.

Navot w dalszym ciągu się uśmiechał.

- Masz jeszcze jedną słabość: jesteś szczery. Zbyt szczery jak na szpiega.

Uzi usiadł przy stole i oparł przedramiona o blat, który zdawał się uginać pod jego ciężarem. Przyglądając mu się, Gabriel przypomniał sobie nieprzyjemną sytuację sprzed lat. Tamtego dnia zostali z Uzim wystawieni w parze do treningu cichego zabijania. Gabriel zginął wtedy tyle razy, że w pewnym momencie przestał liczyć.

- Jak dużo mam czasu? - spytał Navot.

- Daj spokój, Uzi. Nie róbmy sobie tego.

- Niby czemu?

- Bo ani dla ciebie, ani dla mnie nie wyjdzie z tego nic dobrego.

- Więc jednak masz wyrzuty sumienia.

- Nie, w ogóle.

- Od jak dawna zamierzałeś zabrać mi posadę?

- Chyba znasz mnie na tyle, żeby nie zadawać takich pytań.

- Myślałem, że cię znam.

Navot odsunął tacę i rozejrzał się po pokoju.

- Czy gdyby zostawili mi butelkę wody, toby ich zabiło?

- Zamknąłem ją w szafce.

- Po co?

- Bo nie chciałem, żebyś mnie nią walnął.

Navot złapał Gabriela za łokieć, a ten poczuł, że drętwieje mu ręka.

- Dawaj tę wodę - warknął Uzi. - Chociaż tyle możesz dla mnie zrobić.

Gabriel wstał i sięgnął do szafki po butelkę. Gdy usiadł przy stole, wyglądało na to, że gniew Navota nieco ustąpił.

Odkręcił dwoma palcami aluminiową zakrętkę i nalał sobie pół kubka wody gazowanej.

Nie poczęstował Gabriela.

- Czym ja sobie na to zasłużyłem? - spytał, mówiąc bardziej do samego siebie niż do Gabriela. - Byłem dobrym dyrektorem. Cholernie dobrym. Godnie załatwiałem sprawy Biura i uchroniłem kraj przed zaangażowaniem się w jakikolwiek poważny konflikt. Czy udało mi się ukreślić łeb irańskiemu programowi nuklearnemu? Nie. Ale nie wpakowałem nas też w wojnę, która skończyłaby się katastrofą. A to jest główne zadanie każdego dyrektora Biura: nie dopuścić, by premier wciągnął kraj w jakiś bezsensowny konflikt, bo mu odwalilo! Nauczysz się tego natychmiast, kiedy zajmiesz moje miejsce.

Gdy Gabriel nie odpowiadał, Navot napił się wody tak, jakby były to jej ostatnie krople na ziemi. Miał rację co do jednego: rzeczywiście był bardzo dobrym szefem Biura. Problem polegał na tym, że sukcesy służby za jego kadencji były prawie wyłącznie zasługą Gabriela.

- Jest coś jeszcze, czego natychmiast się nauczysz - podjął Uzi. - Bardzo trudno jest zarządzać służbą wywiadowczą, kiedy ktoś taki jak Szamron nieustannie patrzy ci przez ramię.

- To jego służba. Zbudował ją od podstaw i spowodował, że jest na tak wysokim poziomie.

- Stary człowiek to tylko stary człowiek - skwitował Navot. - Przez te sto lat, odkąd Szamron rządził Biurem, świat się zmienił.

- Nie wierzę, że naprawdę tak uważasz.

- Wybacz, ale jakoś nie mam w tej chwili do Szamrona szczególnie serdecznego stosunku. I prawdę mówiąc, do ciebie też nie.

Zapadło ponure milczenie. Natan spojrział przez dźwiękoszczelną szklaną ścianę, zobaczył dwóch mężczyzn wpatrujących się w siebie ponad stołem i szybko wrócił do swojego bunkra.

- Ile mam czasu? - zapytał znów Navot.

- Uzi...

- Będzie mi chociaż wolno dotrzeć do końca kadencji?

- Oczywiście.

- Nie mów o tym tak, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, a z mojego nic się teraz nie wydaje oczywiste.

- Byłeś dobrym szefem, Uzi. Najlepszym od czasów Szamrona.

- I jaką dostałem za to nagrodę? Odeślą mnie przed czasem na zieloną łączkę. Bóg widzi, że nie da się normalnie działać, kiedy na Bulwarze kręcą się jednocześnie nowy i stary szef.

- A to dlaczego?
- To bezprecedensowa sytuacja. Nienormalna.
- Tu w ogóle nie ma miejsca na precedensy.
- Przepraszam cię, ale jakoś nie widzi mi się kończenie kariery w atmosferze współczucia.

- Więc co? Na złość tacie uszy sobie odmrozić?
- Gadasz jak moja matka.
- Jak ona się miewa?
- Są lepsze i gorsze dni.
- Mogę coś dla niej zrobić?
- Odwiedź ją, kiedy następnym razem będziesz w mieście. Zawsze cię kochała. Ciebie wszyscy kochają.

Navot uraczył się kolejnym ciastkiem. A potem jeszcze jednym.

- Według moich obliczeń - powiedział, strzepując okruchy z grubych palców - do końca kadencji zostało mi czternaście miesięcy. A to oznacza, że to ja będę decydował o tym, czy kilku z naszych najlepszych ludzi pojedzie do najniebezpieczniejszego miasta na świecie.

- Upoważniłeś mnie, żebym kierował tą operacją.
- Miałem wtedy lufę przy skroni.
- Ta lufa nadal tam jest.
- Mam tego świadomość i dlatego nie odważyłbym się arbitralnie ukręcić łba twojej gierce. Zamiast tego chcę cię prosić, żebyś odetchnął głęboko kilka razy i zaczął znów myśleć racjonalnie.

Ponieważ Gabriel nic nie mówił, Navot pochylił się ponad stołem i spojrzał mu w oczy. Na jego twarzy nie było widać cienia strachu.

- Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnim razem pojechałeś do Moskwy? Czy może udało ci się to już wyprzeć?

- Pamiętam, Uzi.
- Ja też - odpowiedział Navot zamyślony. - To był najgorszy dzień w moim życiu.
- W moim też.

Navot zmrużył oczy zdezorientowany.

- Więc po jaką cholerę chcesz się tam pakować po raz drugi?

Gdy Gabriel milczał, Navot zdjął okulary i dotknął palcami nasady nosa. Okulary, podobnie jak każda inna rzecz, jaką nosił, zostały wybrane przez jego wybredną żonę Bellę. Ona też pracowała kiedyś w Biurze. Przez krótki czas była analityczką w sekcji syryjskiej i

uwielbiała status, jaki zapewniało jej bycie żoną dyrektora. Gabriel podejrzewał, że jej wpływy miały zasięg znacznie większy niż tylko dobór garderoby męża.

- To koniec - powiedział Navot. - Pokonałeś go. Wygrałeś.

- Kogo pokonałem?

- Iwana.

- To nie ma nic wspólnego z Iwanem.

- Oczywiście, że ma. A jeśli tego nie widzisz, to niewykluczone, że jednak nie nadajesz się do prowadzenia takich operacji.

- Więc odbierz mi uprawnienia.

- Z wielką chęcią bym to zrobił, ale wtedy rozpocznę wojnę, której nie mam szans wygrać. - Navot założył okulary, a na jego twarzy na sekundę zagościł uśmiech. - To kolejna rzecz, której nauczysz się jako dyrektor. Trzeba ostrożnie wybierać, na którą bitwę się pójdzie.

- Ja już wybrałem.

- Ponieważ jeszcze przez czternaście miesięcy to ja będę szefem, może wyświadczysz mi uprzejmość i zechcesz chociaż ogólnie opisać, jaki masz plan.

- Wyciągnę Pawła Żirowa na rozmowę na osobności. Powie mi, dlaczego, by realizować strategię Volgateku, porwał i zamordował niewinną dziewczynę. Opowie też, że Volgatek to nic innego jak fasada i przybudówka KGB. A kiedy już to zrobi, zniszczę tę firmę, Uzi. Udowodnię całemu cywilizowanemu światu, że banda, która siedzi teraz na Kremlu, nie jest lepsza od tej, która była tam do niedawna.

- Zdradzę ci sekret: cywilizowany świat już to wie. I ma to w dupie. Jest tak zadłużony, przerażony i zatroskany o swoją przyszłość, że lada chwila pozwoli mi spełniać ich nuklearne marzenia.

Gabriel nie odpowiedział, a Navot westchnął z rezygnacją.

- Przyznanie się? To chcesz od niego wyciągnąć?

- Przed kamerą - podkreślił Gabriel. - Zmuszę go do tego, do czego on zmusił Madeline.

- A co jeśli nie zacznie mówić?

- Każdy kiedyś zaczyna.

- Co zamierzasz zrobić z Kellerem?

- Jedzie ze mną.

- To zawodowy zabójca, który kiedyś próbował cię zamordować.

- Było, minęło, wprowadziliśmy politykę grubej kreski. Poza tym - dodał Gabriel - będzie mi potrzebny silny skrzydłowy.

- Co jeszcze będzie ci potrzebne?

- Paszporty, wizy, transport, kwatery. To co zwykle, Uzi. Chcę też, żeby nasi ludzie w moskiewskim Biurze natychmiast podjęli całodobową obserwację.

- To wszystko?

- Nie. Potrzebuję też ciebie.

Navot milczał.

- Nie prosiłem się o to, Uzi.

- Wiem. Ale wcale nie jest mi od tego łatwiej.

Kiedy Gabriel wrócił do Grayswood, dochodziła północ. Wchodząc do pokoju, który dzielił z Chiara, zastał ją siedzącą w łóżku z kubkiem herbaty ziołowej i stosikiem pism. Włosy miała spięte w niechlujny kok. Od jakiegoś czasu musiała używać okularów do czytania, więc jej twarz zdobiły teraz stylowe oprawki. Chiara była z nich bardzo zadowolona, za to Gabriela o wiele bardziej cieszyło w głębi duszy to, że dotknęła ją tak ludzka rzecz jak wada wzroku. Jest więc nadzieja, myślał, że pewnego dnia przestanie wyglądać na jego córkę, a zacznie na żonę.

- I jak poszło? - spytała, nie podnosząc wzroku.

- Jest szansa, że po długim odpoczynku i rehabilitacji odzyskam częściowo władzę w lewej ręce.

- Aż tak źle?

- Jest zły. I nie dziwię mu się. - Gabriel zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła. Chiara wyglądała na rozczarowaną. Polizała palec i przewróciła stronę.

- Jakoś się z tym pogodzi - powiedziała.

- To nie jest coś, z czym można się pogodzić, Chiara. I nie doszłoby do takiej sytuacji, gdybyście ty i Szamron nie knuli za moimi plecami.

- To nie było tak, skarbie.

- Więc jak dokładnie było?

- Szamron odwiedził mnie, kiedy ty szukałeś Madeline we Francji. Powiedział, że chce przycisnąć cię po raz ostatni, żebyś jednak został szefem Biura. Prosił mnie o błogosławieństwo.

- Miło, że w ogóle spytał.

- Nie gniewaj się. On bardzo tego chce. Ja też tego chcę - dodała po chwili.

- Ty? - Gabriel nie krył zaskoczenia. - Masz pojęcie, jak będzie wyglądać nasze życie po tym, jak zostanę zaprzysiężony?

- Dzielę z tobą pokój w domu, który należy do Biura, i w którym jest jeszcze ośmiu jego pracowników, w tym człowiek, który próbował cię kiedyś zabić. Myślę, że jakoś przeżyję bycie żoną dyrektora.

Gabriel podszedł do łóżka i przyjrzał się magazynom leżącym obok Chiary. Jednym z nich było pismo dla kobiet w ciąży. Podniósł je na wysokość jej oczu i spytał:

- Próbujesz mi o czymś powiedzieć?

Chiara bez słowa wyrwała mu magazyn. Gabriel przyglądał jej się przez chwilę, sięgnawszy dłonią do podbródka, a głowę przechyliwszy na bok.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała.

- Jak?

- Jakbym była obrazem.

- Nic na to nie poradzę.

Uśmiechnęła się, a potem spytała:

- O czym myślisz?

- Myślę o tym, że chciałbym, żebyśmy byli teraz sami, a nie otoczeni ośmiorgiem ludzi w tym dziwnym domu.

- Z człowiekiem, który próbował cię kiedyś zabić - dodała. - Ale teraz powiedz mi, o czym naprawdę myślisz.

- Zastanawiam się, dlaczego nie poprosiłaś, żebym nie jechał do Moskwy.

- Sama się nad tym zastanawiam.

- A więc dlaczego?

- Dlatego że zamknęli ją w samochodzie i spalili żywcem.

- Nie ma innego powodu?

- Nie. A jeśli zastanawiasz się, czy chcę jechać do Moskwy z resztą zespołu, to odpowiedź brzmi „nie”. Nie sądzę, bym mogła tam wrócić. Mogłabym popełnić jakiś błąd.

Gabriel, nie mówiąc ani słowa, położył się na łóżku i oparł głowę na kolanach Chiary.

- Nie zamierzasz zdjąć ubrania? - zapytała.

- Jestem za bardzo zmęczony, żeby się rozebrać.

- Nie obrazisz się, jeśli jeszcze sobie poczytam?

- Możesz robić, na co tylko masz ochotę.

Gabriel zamknął oczy. Szelest delikatnie przewracanych przez Chiarę stron kołysał go do snu.

- Nie śpisz jeszcze? - spytała nagle.

- Nie - wymamrotał.

- Czy ona wiedziała, że to zakończy się w Moskwie?

- Kto?

- Ta stara kobieta na Korsyce.

- Tak. Wyglądało na to, że tak.

- Nie przestrzegała cię, żebyś tam nie jechał?

- Nie - odpowiedział Gabriel, czując, jak ostrze wyrzutów sumienia obraca się w jego sercu. - Powiedziała, że nic mi tam nie grozi.

- Dodała coś jeszcze?

- Mówiła o dziecku - powiedział Gabriel. - Powiedziała, że widzi dziecko.

- Czyje dziecko? - spytała Chiara. Gabriel jednak już jej nie usłyszał. Biegł po ośnieżonym, bezkresnym polu w stronę kobiety. Kobieta płonęła. Na śniegu widać było plamy krwi.

47.

Grayswood, hrabstwo Surrey

Uzi Navot, dyrektor służby wywiadowczej Izraela, pojawił się w domu w Grayswood o siódmej dwadzieścia następnego dnia, niedługo po tym, gdy wstał szary październikowy świt. Blade światło dnia pełzało po nagich drzewach Knobby Copse. Pierwszą osobą, którą spotkał, był Christopher Keller, goniący akurat piłeczkę pingpongową wystrzeloną zwycięskim ścięciem Jakowa. Wynik meczu: osiem do pięciu. Jakow prowadził, ale Keller mocno cisnął i odrabiał straty.

- Kim pan jest? - spytał Keller stojącą w drzwiach postać w okularach, na której twarzy nie widać było choćby cienia uśmiechu.

- Nie twoja sprawa - burknął Navot.

- Dziwne imię. Rozumiem, że hebrajskie?

Navot ściągnął brwi.

- Ty musisz być Keller.

- Muszę.

- Gdzie Gabriel?

- Pojechał z Chiarą do Guildford.

- Po co?

- Wyjedliśmy wszystkie ryby ze stawu.

- Kto tu teraz dowodzi?

- Załoga.

Navot się uśmiechnął.

- Już nie.

Wraz z nieoczekiwanym przybyciem Navota do Grayswood zespół wszedł na wojenną ścieżkę. Wojna, do której miał przystąpić, była - jak zresztą wszystkie, w których brał udział - konfliktem niewypowiedzianym. Tym razem przyszło im stanąć do walki na obcym terenie, a przeciwnik przewyższał ich skalą i możliwościami. Biuro uchodziło za jedną z najlepszych służb wywiadowczych świata, ale nie sposób było porównywać je do Bractwa Tarczy i Miecza. Rosyjskie służby wywiadowcze były bezpośrednimi spadkobiercami długiej i morderczej tradycji. KGB przez ponad siedemdziesiąt lat bezwzględnie broniło rosyjskiego komunizmu przez prawdziwymi i fikcyjnymi wrogami, będąc jednocześnie forpoczta partii

poza granicami ZSRR. Rekrutowało i prowadziło tysiące szpiegów na całym świecie i dysponowało nieograniczonymi niemal możliwościami. Było de facto państwem w państwie. A po upadku Związku Radzieckiego to ono stało się państwem. Volgatek był należącą do tego państwa spółką naftową.

To właśnie powiązanie, SWR-Volgatek, podkreślał wielokrotnie Gabriel, kiedy zespół przystępował do pracy. Rosyjska służba wywiadowcza i spółka nafciarska, powtarzał, stanowią jeden i ten sam organizm. Oznaczało to, że Michaił, od chwili gdy jego samolot wyleci z Londynu, będzie w rękach wroga. Fikcyjna tożsamość i kamuflaż operacyjny, jakie dla niego stworzyli, okazały się wystarczające, by oszukać Gienadija Łazariewa, ale w salach przesłuchań na Łubiance długo się nie uchowają. Sam Michaił też zresztą nie. Łubianka, ostrzegwał Gabriel, to miejsce, gdzie agenci i całe operacje idą na śmierć. Łubianka oznacza koniec.

Przez większość czasu Gabriel skupiał się jednak na Pawle Żirowie, człowieku odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Volgateku i kulisy operacji przejęcia brytyjskiej ropy. Dwadzieścia cztery godziny po przybyciu Navota do kwatery w Grayswood moskiewska delegatura Biura ustaliła, że Żirow mieszka w specjalnie zabezpieczonym apartamentowcu na Worobiowych Wzgórzach, na zamkniętym osiedlu nad brzegiem rzeki Moskwy. Jego typowy plan dnia odpowiadał dwoistemu charakterowi jego pracy: poranki w urzędzonych z przepychem biurach Volgateku przy ulicy Twerskiej, popołudnia w Centrali Moskwa - kompleksie należących do SWR budynków na otoczonym drzewami Jasieniewie. Moskiewskim pracownikom Biura udało się sfotografować Żirowa podczas wsiadania i wysiadania z limuzyny z szoferem. Na żadnym ze zdjęć nie było jednak widać wyraźnie jego twarzy. Gabriel nie potrafił nie docenić ogromnego profesjonalizmu Rosjanina. Ten zresztą raz już pokazał, że jest godnym przeciwnikiem, kiedy pod fałszywą flagą dokonał porwania Madeline. Przechwycenie go na moskiewskiej ulicy, powiedział Gabriel, będzie wymagać przeprowadzenia operacji na poziomie, którego on sam by się nie powstydził.

- Są dwie istotne różnice działające na naszą niekorzyść - zauważył Lavon. - Moskwa to nie Korsyka, a Żirow nie będzie jechał na skuterku po pustej drodze ubrany w sukienkę.

- W związku z tym wydaje mi się, że będziemy musieli znaleźć sposób, żeby umieścić Michaiła w jego samochodzie. Oczywiście z naładowaną bronią w tylnej kieszeni - odpowiedział Gabriel.

- Jak chcesz to zrobić?

- Tak. - Gabriel usiadł przy jednym z komputerów. Odnalazł i włączył nagranie ostatnich skierowanych do Michaiła słów Gienadija Łazariewa.

„- Zaprosimy cię na kilka dni do Moskwy żebyś poznał resztę zespołu. Jeśli obaj będziemy zadowoleni z tego, co zobaczymy, przejdziemy do następnego etapu. Jeżeli nie, zostaniesz u Wiktora i będziesz udawał, że nasze spotkanie nigdy nie miało miejsca.

- Dlaczego Moskwa?

- Boisz się tam jechać?

- Oczywiście, że nie.

- Nie masz czego. Paweł doskonale się tobą zaopiekuje".

Gabriel wcisnął „stop”, po czym spojrzał na Lavona.

- Może się mylę - powiedział - ale coś mi się zdaje, że powrót Nicholasa Avedona do ojczyzny będzie się wiązał z trudnościami.

- Jakimi?

- Takimi, którym umie zaradzić tylko Żirow.

- A kiedy Michaił będzie już w samochodzie?

- Postawi Pawła przed prostym wyborem.

- Wyborem pomiędzy grzecznym udaniem się z nami albo uświnieniem własnym mózgiem tapicerki mercedesa?

- Coś w tym stylu.

- Co ze złotą regułą Szamrona?

- Którą?

- Tą, że nie wymachuje się bronią w miejscach publicznych.

- Istnieje od niej mało znane odstępstwo - kiedy trzeba przystawić broń do żeber takiemu bydlakowi jak Żirow.

Po chwili milczenia Lavon postanowił podzielić się myślą, która chodziła mu po głowie.

- Musimy też wziąć kierowcę - powiedział. - Jeśli tego nie zrobimy zaraz będziemy mieć na głowie całe FSB i milicję.

- Wiem, Eli.

- Gdzie zamierzasz go przesłuchiwać?

- Tu - odpowiedział Gabriel, sięgając znów do klawiatury komputera.

- Pięknie - mruknął Lavon, patrząc na ekran. - Do kogo należy to miejsce?

- Do rosyjskiego biznesmena, który nie mógł już wytrzymać w Rosji.

- Gdzie teraz mieszka?

- Jest sąsiadem Szamrona.

Kliknięciem myszy Gabriel usunął zdjęcie z ekranu.

- Zostaje więc do rozwiązania ostatni problem - powiedział Lavon.

- Wyciągnięcie Michaiła z Rosji.

Lavon przytaknął.

- Będzie musiał wyjechać stamtąd jako ktoś inny niż Nicholas Avedon.

- Musimy wcześniej usunąć jak najwięcej potencjalnych przeszkód.

- Jak go stamtąd wyciągniemy?

- Tak samo, jak Szamron wyciągnął Eichmanna z Argentyny.

- El Al?

Gabriel skinął głową.

- Zuch chłopak!

- Dopiero się rozkręcam - odpowiedział z uśmiechem Gabriel.

Navot natychmiast zatwierdził plan Gabriela, co dało zespołowi pięć dni na przygotowania. Pięć dni do chwili, gdy Michaił będzie musiał udzielić Łazariewowi wiążącej odpowiedzi, która przesądzi o wyjeździe do Moskwy. W tym czasie trzeba było zadbać o tysiące spraw: od kwestii fundamentalnych po najdrobniejszy szczegół. Te pięć dni, jak ujął to Lavon, zdecydować miało o tym, czy wizyta Michaiła w Rosji okaże się bardziej udana niż poprzednia. Paszporty, wizy, fałszywe tożsamości, organizacja podróży, zakwaterowanie - wszystko to musiało zostać załatwione w trybie pilnym. Potem nadeszła pora na szukanie słabych punktów strategii, obmyślanie planu awaryjnego i planu awaryjnego numer dwa, na wypadek gdyby plan awaryjny numer jeden nie wypalił. Zadanie stojące przed zespołem utrudniał dodatkowo fakt, że na tym etapie Gabriel nie potrafił określić, gdzie i kiedy ma dojść do zatrzymania Żirowa. Musieli więc improwizować. I to w mieście, które w swej długiej i krwawej historii nigdy nie było zbyt przychylne wolnomyślicielom.

Gabriel w ciągu tych kilku dni i nocy cisnął swoich ludzi. Kiedy nie patrzył, Navot cisnął ich jeszcze mocniej, lecz między nimi dwoma nie było wyczuwalnego napięcia. Nie sposób było poznać, że jeden jest właśnie na fali wznoszącej, a drugiego ma wkrótce porwać wiatr historii. Kilku członków zespołu zastanawiało się wręcz, czy nie są przypadkiem świadkami narodzin sojuszu, który mógłby trwać również po tym, gdy Gabriel zajmie należne mu miejsce w gabinecie dyrektorskim. Jakow natychmiast zbył pomysł jako nedorzeczny: „To tak, jakby nowa żona mieszkająca u faceta w domu pozwoliła poprzedniej zachować jej pokój”. Eli Lavon nie był jednak przekonany. Jeżeli istniał człowiek, który był na tyle śmiały, by pod taką czy inną przykrywką pozwolić zostać swojemu poprzednikowi, to był nim Gabriel Allon. Ostatecznie, argumentował Lavon, jeżeli Gabriel potrafił pogodzić się i

współpracować z Kellerem, to powinien dać sobie radę z ułożeniem stosunków z Navotem.

Wszelkie dyskusje na temat przyszłości Gabriela cichły, kiedy do pokoju wchodziła Chiara. Z początku starała się pracować razem ze wszystkimi, ale ich nieustanne rozmowy o Rosji sprawiały, że wpadała w ponury nastrój. Wiedziała, że żyje tylko dlatego, że kiedyś członkowie zespołu narazili życie, żeby ją ratować. Teraz, gdy nad głową wszystkich wisiał bliski, nieuchronny termin, Chiara wzięła na siebie rolę pani domu i dbała o to, by udało się utrzymać rodzinną atmosferę. Co wieczór wszyscy spotykali się przy pysznej kolacji i - dzięki naleganiom Chiary - rozmawiali o wszystkim, tylko nie o operacji: o przeczytanych książkach i obejrzanych filmach, o przyszłości i o trudnościach, z jakimi zмага się kraj. Po około godzinie Gabriel i Navot wstawali od stołu, co stanowiło sygnał, że trzeba wracać do pracy. Chiara zmywała po tych wszystkich ucztach i sprawiało jej to nawet przyjemność. Żeby zagłuszyć dobiegające z sąsiednich pomieszczeń rozmowy, stojąc samotnie przy zlewie, cicho śpiewała. Później przyznała się Gabrielowi, że wystarczyło pojedyncze rosyjskie słowo, by poczuła w brzuchu ukłucie.

Człowiek, wokół którego kręciła się cała operacja, pozostawał beztrząsco nieświadomy wysiłków zespołu. Tak przynajmniej pomyślałby każdy, kto przyjrzałby się Nicholasowi Avedonowi po jego powrocie do Londynu. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wreszcie postanowił przestać ukrywać to, że bywa w miejscach, o których inni mogą tylko pomarzyć. Orłow łożył na swojego protegowanego tak hojnie, jakby to był jego syn - którego nie miał. Jednocześnie z dnia na dzień coraz bardziej się od niego uzależniał. Orłow po raz pierwszy, odkąd zaczął prowadzić interesy, używał zaimka „my”. Nie uszło to oczywiście uwagi obserwatorów z londyńskiego City. Oligarcha poinformował personel, że większość stycznia spędzi na Karaibach, w miejscu, którego dokładnej lokalizacji celowo nie podał.

- Potrzebna mi dłuższa przerwa - powiedział - a ponieważ teraz mam Nicholasa, wreszcie mogę sobie na nią pozwolić.

Wobec wyraźnego odwrotu Orłowa w kręgach finansowych szybko rozeszła się wieść, że to Avedon jest teraz osobą, z którą należy rozmawiać. Większość zainteresowanych musiała czekać na spotkanie z nowym dyrektorem tydzień lub dłużej. Kiedy jednak skontaktował się z nim niejaki Jonathan Albright z firmy o nazwie Markham Capital Advisers, Avedon natychmiast zgodził się z nim spotkać. Do spotkania doszło w jego wychodzącym na Hanover Square gabinecie. Co ciekawe, jego temat nie był ani trochę związany z biznesem czy inwestycjami. Po jego zakończeniu gość zadzwonił pod moskiewski numer telefonu. Rozmowa trwała trzy minuty i dała zadowalające rezultaty. Następnie Avedon odprowadził Albrighta do wind z miną kogoś, kto nie skrzywdziłby muchy.

- Pomówię o tym z Wiktorem - powiedział na tyle głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć - ale wygląda na to, że systemy powinny się sprawdzić.

Tego wieczoru przed dom w Maida Vale, w którym mieszkał Michaił, zajechał samochód. Lavon rozpoznał później w mężczyźnie, który z niego wysiadł, kuriera z nienarzekającej na brak rąk do pracy rezydentury SWR w Londynie. Człowiek ten wziął od Michaiła fałszywy paszport i zawiózł go do ambasady rosyjskiej w Kensington Gardens. Gdy po godzinie oddał dokument właścicielowi, widniała w nim pospiesznie wystawiona wiza. Do paszportu włożono także bilet na lot British Airways do Moskwy. Samolot odlatywał z Heathrow następnego dnia o dziesiątej rano.

Michaił włożył paszport wraz z biletem do aktówki, następnie zadzwonił do domu Orłowa przy Cheyne Walk, by mu powiedzieć, że potrzebuje kilku dni wolnego.

- Przepraszam - tłumaczył - ale jestem zupełnie wypalony. I proszę, bez telefonów i e-maili. Będę poza siecią.

- Jak długo?

- Do środy, góra do czwartku.

- Zrób sobie wolne do końca tygodnia.

- Na pewno?

- Obiecuję, że nie nabałaganię za bardzo pod twoją nieobecność.

- Dzięki, Wiktor. Jesteś świetny.

Michaił starał się tej nocy zasnąć, ale na próżno. Nigdy nie udawało mu się przespać nocy poprzedzającej rozpoczęcie operacji. Tak więc niedługo po czwartej wstał i ubrał się w tożsamość Nicholasa Avedona alias Nikołaja Awdonina. o szóstej przed drzwiami jego domu zajechał samochód, który zabrał go na Heathrow. Na lotnisku bez problemu przeszedł przez odprawę bezpieczeństwa, gdy tymczasem Keller i Dina Sarid pilnowali go na każdym kroku. Kiedy minął bramki, zobaczył bardzo odmienionego Gabriela, który z ogromnym zainteresowaniem czytał „Economista”. Michaił minął go bez słowa, nawet nie patrząc, po czym wsiadł do samolotu. Gabriel odczekał do ostatniej chwili i dopiero na moment przed zamknięciem drzwi pospiesznie zajął miejsce w pierwszej klasie. Po starciu kontrolerzy lotu skierowali maszynę nad Basildon w międzynarodową przestrzeń powietrzną. Samolot wszedł w nią dokładnie o dziesiątej trzydzieści. Michaił nerwowo bębnił palcami w szeroki podłokietnik. Znajdował się teraz w rękach wroga. Podobnie zresztą jak przyszłość następnego szefa izraelskiego wywiadu.

48.

Moskwa

Uczestnicy protestu spływali na plac Czerwony małymi grupkami, które miały szansę przejść niezauważone przez milicjantów i ubranych w skórzane kurtki siepaczy z FSB. Na plac schodzili się artyści, pisarze, dziennikarze i punkowcy. Było nawet kilka okutanych w chusty staruszek, które marzyły o tym, że ostatnie lata życia spędzą w naprawdę wolnym kraju. Gdy zbliżało się południe, zebrani liczyli już kilka tysięcy - o wiele za dużo, by nadal można było ukrywać prawdziwy powód ich obecności w tym miejscu. Ktoś wyciągnął transparent, ktoś inny uruchomił syrenę, po czym oskarżył prezydenta o kradzież i oszustwo podczas ostatnich wyborów. Zarzut, swoją drogą, jak najbardziej uzasadniony. Po chwili ta sama osoba opowiedziała kawał na temat wszystkich innych rzeczy, które prezydent ukradł Rosjanom. Dowódca tych z FSB nie uznał go za zabawny. Ledwie widocznym skinieniem głowy posłał oddział milicji, który zaraz przystąpił do bicia i niszczenia wszystkiego w zasięgu wzroku, w tym głów kilkorga protestujących. Najbardziej dostało się mężczyźnie z syreną. Kiedy widziano go po raz ostatni, milicjanci ciągnęli go zakrwawionego i nieprzytomnego do jednej z furgonetek. Kreml ogłosi później, że człowiek ten usłyszał zarzut podżegania do nielegalnych zgromadzeń, za co grozi kara do dziesięciu lat w neo-gułagu. Prorządowa prasa nazwała protestujących chuliganami. Podobnych określeń używał dawniej wobec swych oponentów reżim radziecki. I dziś nikt spośród komentatorów nie ośmielił się skrytykować rządzących za nadużywanie przemocy. Zachowanie milczenia miało zostać im wybaczone. Ci z dziennikarzy, którzy drażnili włodarzy z Kremla, cierpieli na zabawną przypadłość - przedwcześnie umierali.

Na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo wiadomości z placu Czerwonego przemknęły przez ekrany telewizyjne, gdy Michaił trzydzieści sekund przed Gabrielem wysiadał z samolotu. Gdy obaj zbliżali się do punktu kontroli paszportowej, Gabriel zauważył ubranego w szyty na miarę garnitur mężczyznę, który stał obok wychudzonego pogranicznika w jakimś mundurze. Trzymał w ręku fotografię, której przyjrzał się dwukrotnie na widok zbliżającego się Michaiła. Następnie podszedł, przywitał się i powiedział coś, czego Gabriel nie rozumiał. Michaił w odpowiedzi uśmiechnął się, uściśnął dłoń mężczyzny, po czym wyszedł za nim nieoznakowanym wyjściem. Gabriel podszedł do punktu kontroli. Kobieta o ponurym wyrazie twarzy przyglądała mu się niepokojąco długo, by w końcu zamaszystym ruchem podstemplować paszport i wskazać ruchem ręki, że ma przejść dalej. Witamy w

Rosji, pomyślał Gabriel, wchodząc do zatłoczonej hali przylotów. Dobrze znów tu być.

Gdy wyszedł na dwór, natychmiast odurzyła go fala dymu papierosowego i wyziewów z silników diesla. Wieczorne niebo było ciemne i bezchmurne, a powietrze przesiąknięte mrozem. Zerknął w lewo i zobaczył Michaiła, który razem z posłańcem z Volgateku wsiadał właśnie do ciepłego wnętrza mercedesa. Gabriel musiał jak cała reszta śmiertelników ustawić się w długiej kolejce do taksówki. Zimno bijące od skutego zimnem asfaltu szybko przedarło się przez cienkie podeszwy jego butów. Skutek był taki, że do czasu, gdy zajął wreszcie miejsce na tylnym siedzeniu rozklekotanej lady, zmarzł tak bardzo, że ledwie mógł mówić. Gdy taksówkarz spytał, dokąd ma jechać, Gabriel odparł, że chce dostać się do hotelu Metropol. Powiedział to jednak tak, jakby prosił o wyciągnięcie z lodowatej wody.

Kiedy wydostali się z lotniska, kierowca wjechał na Leningradzki Prospekt i zaczęli mozolnie sunąć w kierunku centrum Moskwy. Było kilka minut po dziewiętnastej. Koszmarny popołudniowy szczyt dobiegał pomału końca, ale i tak przemieszczali się w tempie lodowca. Kierowca starał się wciągnąć Gabriela w rozmowę, ale jego angielski był jeszcze trudniejszy do sforsowania niż moskiewskie korki. Raz na jakiś czas Gabriel wydawał więc tylko jakiś odgłos mający świadczyć o tym, że słucha i rozważa to, o czym mówi kierowca. Przez cały czas przyglądał się przez okno sypiącym się radzieckim budynkom stojącym przy brudnym Prospekcie. Przez krótki czas były po prostu paskudną architekturą, teraz stawały się ruinami. Jednocześnie z każdego rogu i z każdego dachu atakowały przechodniów billboardy: jedna wielka obietnica luksusu i kopulacji. Koszmar komunizmu przebrany za młody kapitalizm, pomyślał Gabriel. Przygnębiające.

Przekroczyli w końcu Pierścień Sadowy, by kontynuować jazdę ulicą Twerską, moskiewską wersją Madison Avenue. Poprowadziła ich lekko w dół, tuż przy lśniącej nowością siedzibie Volgateku, ku ceglasterwonym murom Kremla. Tam otworzyło się przed nimi osiem pasów ulicy Ochotnyj Riad. Po skręcie w lewo przemknęli obok siedziby Dumy Państwowej, dawnego Domu Związkowego i Teatru Bolszoj. Gabriel nie przyjrzał się jednak żadnemu z tych budynków. Jego spojrzenie utkwione było w podświetlonej żółtej fortecy wznoszącej się ponad Łubianką.

- KGB - powiedział kierowca, wskazując palcem.

- KGB już nie ma - odparł Gabriel nieobecny tonem. - KGB to już przeszłość.

Kierowca wymamrotał pod nosem komentarz na temat naiwności obcokrajowców, po czym skierował samochód pod wejście do hotelu Metropol. W lobby bardzo starannie odtworzono dawny wystrój, a i siedząca za recepcyjną lady kobieta w średnim wieku wydawała się żywym biletem na podróż w czasie. Powitała Gabriela lodowatym uśmiechem,

uprzejmie spytała o charakter jego pobytu, a następnie wręczyła mu obszerny formularz rejestracyjny. Kopia tego druku miała rzecz jasna trafić do odpowiednich służb. Gabriel wypełnił go sprawnie jako Jonathan Albright z Markham Capital Advisers. W nagrodę otrzymał klucz do pokoju. Pracownik recepcji, który zaproponował mu pomoc przy wnoszeniu bagażu, ze źle skrywaną ulgą przyjął wiadomość, że Gabriel poradzi sobie sam. Mężczyzna i tak dostał jednak napiwek za fatygę. Jego wysokość świadczyła o tym, że nowy gość hotelu nie zna wartości rosyjskiej waluty.

Pokój znajdował się na czwartym piętrze. Okna wychodziły na Teatralny Prospekt. Gabriel przyjął z góry, że w pomieszczeniu jest podsłuch, i nawet nie fatygował się, żeby go poszukać. Zamiast tego szybko wykonał dwa telefony do klientów, którzy w rzeczywistości wcale jego klientami nie byli. Następnie przekopał się przez e-maile, które zdążyły nagromadzić się w jego skrzynce podczas lotu z Londynu. Jeden przysłał nowojorski prawnik i dotyczył uwarunkowań podatkowych związanych z inwestycją o wątpliwej legalności. Jej prawdziwym nadawcą był zajmujący pokój w drugiej części korytarza Eli Lavon, a prawdziwa treść e-maila ukazała się, gdy Gabriel wprowadził hasło. Wyglądało na to, że Łazariew zabrał kandydata na nowego pracownika do klubu 02 w hotelu Ritz. Powitalny drink i wyżerka. Na miejscu byli również obecni Dimitrij Berszow i Paweł Żirow, a w ramach oprawy Volgatek zatroszczył się też o kilka ślicznych młodych Rosjanek. Lavon przesłał w załącznikach zdjęcia zrobione przez Jakowa i Dinę, którzy siedzieli w łoży w drugim końcu sali.

Gabriel ponownie wprowadził hasło. Wiadomość wróciła do pierwotnej wersji. Założył słuchawki i uruchomił bezpieczny odsłuch z mikrofonu w telefonie Michaiła. Usłyszał brzęk szkła, śmiechy i świergotanie rosyjskich ślicznotek, które brzmiało bezmyślnie, mimo że Gabriel nie znał języka, w którym toczyła się rozmowa. Po chwili do jego uszu dobiegł głos Łazariewa, który nachylił się do Michaiła: „Tylko się dziś dobrze wyśpij - wymamrotał konfidencjonalnie. - Na jutro przygotowaliśmy dla ciebie coś dużego”.

Łazariew i reszta grupy zostali w klubie do dwudziestej trzeciej. Zaraz po tym Michaił wrócił do swojego luksusowego apartamentu w Ritzu, za jedyne go towarzysza mając ostry ból głowy. Pomimo sugestii Rosjanina w nocy nie spał. W jego głowie kołowało się zbyt wiele myśli i wspomnień. Wcześniejsze operacje spłotyły się w jeden ciąg obrazów, coś na kształt filmu poklatkowego o największych klęskach stulecia. Michaił czuł potrzebę działania, marzył, by być w ruchu, ale kamery, które z pewnością ukryto w pokoju, wykluczały cokolwiek w tym rodzaju. Leżał więc nieruchomo w wilgotnej od potu pościeli do siódmej

rano, kiedy dzwonienie budzika wyzwoliło go wreszcie z niewoli udawanego snu.

Po minucie przyniesiono mu kawę. Wypił ją, oglądając poranne doniesienia gospodarcze z Londynu. Potem zszedł do siłowni, gdzie na oczach szpicla z rosyjskich służb wywiadowczych popisał się bardzo konkretnym treningiem. Po powrocie do pokoju wziął lodowaty prysznic, by tchnąć w ciało nieco życia, następnie włożył swój najlepszy, szary prążkowany garnitur - ten, który u Anthony'ego Sinclaira na Savile Road wybrała dla niego Dina. Ją samą zobaczył piętnaście minut później podczas śniadania. Siedziała naprzeciwko Kellera, wpatrzona w jego oczy tak, jakby w ich głębi odnalazła tajemnicę wiecznego szczęścia i dozgonnej miłości. Kilka stolików dalej Jossi odsyłał właśnie do kuchni jajecznicę, którą przed momentem mu przyniesiono.

- Tak, chciałem ledwo ściętą - tłumaczył - ale powinni mi ją państwo podać w szklance.
- To jednak wykraczało poza możliwości intelektualne kelnera, który spytał tylko:

- Chce pan zjeść jajka w szklance?

Równo o dziewiątej, po lekturze porannej prasy i uporządkowaniu kilku spraw w Londynie, Michaił zszedł do supernowoczesnego holu i ruszył w stronę wyjścia. Przed hotelem czekał na niego ten sam totumfacki, który poprzedniego wieczoru odebrał go z Szeremietiewa. Na widok Michaiła uśmiechnął się z wdziękiem szczerbatego konia.

- Mam nadzieję, że dobrze pan spał, panie Avedon?

- Jak nigdy - skłamał uprzejmie Michaił.

- Nasze biuro jest bardzo blisko. Nie sprawi panu kłopotu, jeśli pójdziemy piechotą?

- A przeżyjemy?

- Są spore szanse. Gwarancji o tej porze roku w Moskwie nie ma nigdy.

To powiedziawszy, chłopak z Volgateku obrócił się i poprowadził Michaiła ulicą Twerską. Gdy tak szli, zmagając się z potężnymi porywami wiatru, Michaił dopatrzył się w idącej tuż za nim anonimowej kuli wełny i futra Eliego Lavona. Sterta odprowadziła go dyskretnie pod same drzwi Volgateku, jakby chcąc mu przypomnieć, że nie jest sam. Następnie zatonęła w świetle moskiewskiego poranka i się oddaliła.

Jeżeli ktoś nie wiedziałby, po co istnieje Volgatek, to rzeźba stojąca w holu biura przy ulicy Twerskiej mówiła wszystko. Wyobrażała ziemski glob z nieproporcjonalnie rozległym obszarem Rosji w najbardziej eksponowanym miejscu, pompującym życiodajną energię na cztery strony świata. Pod rzeźbą stał ten, który utrzymywał ciężar planety: uśmiechnięty Atlas w ręcznie szytym włoskim garniturze, Gienadij Łazariew.

- Witaj w swoim nowym domu! - wykrzyknął do Michaiła. - A może powinienem

raczej powiedzieć: „Witaj w swoim prawdziwym domu”?

- Nie wszystko naraz, Gienadij. Krok po kroku.

Łazariew uściśnął dłoń Michaiła nieco mocniej, sugerując być może, że nie życzy sobie, by przeczo jego słowom i wizjom. Następnie poprowadził gościa do windy, która błyskawicznie zawiozła ich na ostatnie piętro budynku. W holu umieszczono duży napis „Witaj, Nikołaju!”. Łazariew przystanął, by przyjrzeć mu się z podziwem, zupełnie jakby w wymyślenie hasła włożył wcześniej dużo wysiłku. Następnie wprowadził Michaiła do dużego gabinetu, który miał być do jego dyspozycji, ilekroć pojawi się w Moskwie. Z okna rozciągał się wspaniały widok na Kreml, a w pakiecie z gabinetem miała przysługiwać Michaiłowi również niebezpiecznie ładna sekretarka o imieniu Nina.

- I co myślisz? - spytał przejęty Łazariew.

- Ładnie.

- Chodź - powiedział Rosjanin, biorąc Michaiła pod łokieć - wszyscy czekają, żeby cię wreszcie poznać.

Chwilę później okazało się, że Łazariew nie przesadził, używając słowa „wszyscy”. Michaił miał poczucie, że w ciągu kolejnych dwóch i pół godziny uściśnął rękę każdego pracownika firmy, a może i jeszcze paru gości. Spółka zatrudniała dwunastu wiceprezesów o różnym wyglądzie, posturze, wzroście i zakresie obowiązków. Był także Mentow - człowiek o aparycji nieboszczyka, zajmujący się czymś związanym z analizą ryzyka. Michaił nie miał pojęcia, o co dokładnie chodzi. Potem przedstawiono mu zespół naukowy Volgateku: geologów, którzy poszukiwali złóż ropy naftowej i gazu ziemnego, oraz inżynierów, których zadaniem było opracowywanie innowacyjnych technik wydobywania. Łazariew zaprowadził następnie gościa na dół, gdzie przedstawił mu maluczkich: młodych menedżerów marzących o tym, że któregoś dnia będą tam, gdzie dziś jest Avedon. Żywe trupy kurczowo ucepił swoje biurka i czerwonych kubków na kawę z logo Volgateku. Michaiłowi przez chwilę nie dawało spokoju pytanie, co dokładnie dzieje się z pracownikiem, który zostanie odprawiony przez spółkę należącą do bezpośredniego następcy KGB. Kto wie, może ktoś taki dostaje złoty zegarek i wysoką emeryturę. Michaił jednak w to wątpił.

W końcu wrócili na ostatnie piętro i weszli do przestronnego, przypominającego atrium gabinetu Łazariewa. Ten długo mówił o swojej wizji przyszłości Volgateku i roli, jaką odegrać miał Michaił. Miałby zacząć od stanowiska szefa firmy na Wielką Brytanię - spółki córki stworzonej na potrzeby projektu na wyspach szkockich. Kiedy ropa z Morza Północnego już popłynie, Michaił stanie przed dalszymi, jeszcze większymi wyzwaniem, przede wszystkim na terenie Europy Zachodniej i Ameryki Północnej...

- Czy to wystarczy, żeby cię zainteresować?
- Niewykluczone.
- Co mogłoby cię przekonać do odejścia od Wiktora i podjęcia pracy dla mnie?
- Pieniądze, Gienadiju. I to duże.
- Zapewniam cię, Nikołaj, że pieniądze to nie problem.
- No to zamieniam się w słuch.

Łazariew otworzył skórzaną teczkę i wyjął z niej pojedynczą kartkę.

- Pakiet dla ciebie będzie obejmował mieszkania w Aberdeen, Londynie i Moskwie - zaczął. - Będziesz oczywiście latał prywatnym samolotem i miał dostęp do willi Volgateku w południowej Francji, a poza podstawową pensją otrzymasz bonusy i dodatki motywacyjne. Łącznie z nimi twoje wynagrodzenie wyniesie mniej więcej tyle.

Łazariew położył kartkę przed Michaiłem i wskazał cyfry na dole strony. Michaił przyjrzał im się, przesunął dłonią po łysej głowie i ściągnął brwi.

- I jak? - zapytał Łazariew.
- Pudło.

Rosjanin się uśmiechnął.

- Spodziewałem się, że to powiesz. - Raz jeszcze sięgnął do teczki. - Dlatego pozwoliłem sobie przygotować drugą propozycję. - Położył przed Michaiłem kartkę i spytał: - Lepiej?

- Ciepłej - odparł ten i się uśmiechnął. - Znacznie ciepłej.

Plac Czerwony, Moskwa

Do szesnastej udało im się osiągnąć ramowe porozumienie. Łazariew sporządził kilkudzaniową notatkę służbową i kazał na wieczorne świętowanie zarezerwować prywatną salę w Café Puszkina. Następnie powiedział Michaiłowi, by wrócił do Ritza i odpoczął parę godzin. Michaił odbył spacer do hotelu samotnie, za eskortę mając tylko Gabriela, który szedł równo z nim chodnikiem po drugiej stronie ulicy, z postawionym kołnierzem płaszczu i w naciągniętej na czoło grubej czapce. Obserwował Michaiła, gdy ten wchodził do Ritza, a następnie ruszył przed siebie Twerską, by dojść aż do placu Rewolucji. Tam zatrzymał się na moment, by rzucić okiem na sobowtóra Lenina namawiającego grupę zdeorientowanych japońskich turystów, by przejęli środki produkcji od swoich burżuazyjnych mocodawców. Chwilę później przeszedł przez Bramę Zmartwychwstania i znalazł się na placu Czerwonym.

Było już ciemno. Wiatr przycichł, pozwalając miastu spokojnie spędzić wieczór. Zgarbiony i ze spuszczoną głową Gabriel wyglądał jak znużony moskwianin. Przemknął wzdłuż północnego muru Kremla i minął Mauzoleum Lenina, strzeżone przez dwóch zmarzniętych na kość żołnierzy o pustym spojrzeniu. Dokładnie przed nim lśniły cebulaste, przywodzące na myśl lodowe rozki kopuły bazyliki Wasyla Błogosławionego. Gabriel zerknął na zegar na Wieży Zbawiciela, a po chwili przystanął pod murem Kremla w miejscu, gdzie Stalin, człowiek mający na rękach krew milionów, zaległ w spokoju i z honorami. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i obok pojawił się Eli Lavon.

- Co myślisz?

- Myślę, że powinni byli go zakopać w nieoznaczonym dole gdzieś w szczerym polu - odparł Lavon. - No, ale to tylko moje zdanie.

- Jesteśmy czyści?

- Tak czyści, jak tylko w Moskwie się da.

Gabriel odwrócił się bez słowa i przeprowadził Lavona na drugą stronę placu Czerwonego, do głównego wejścia do GUM-u. Przed rozpadem Związku Radzieckiego miejsce to było jedynym domem handlowym w całym kraju, które dawało realną szansę kupienia zimowego płaszczu czy pary butów. Teraz stało się kolejną galerią w zachodnim stylu oferującą wszelkie bzdury, jakie kapitalizm ma do zaproponowania. Od połyskującego szklanego sklepienia odbijały się echem głosy setek klientów, którzy przyszli na wieczorne zakupy. Lavon, idąc obok z Gabrielem, wpatrywał się w ekran blackberry. Bardzo rosyjska

rzecz ostatnimi czasy.

- Sekretarka Łazariewa rozesłała właśnie e-maile do wszystkich dyrektorów. Dziś wieczorem mają się spotkać na kolacji w Café Puszkina - oznajmił Lavon. - Żirow też jest na liście zaproszonych.

- Ani razu nie usłyszałem jego głosu, kiedy Michaił przebywał w budynku Volgateku.

- To dlatego, że Żirowa w ogóle tam nie było - wyjaśnił Eli, wciąż patrząc na ekran telefonu. - Po wyjściu z mieszkania na Worobiowych Wzgórzach pojechał prosto na Jasieniewo.

- Nie miał kiedy tam pojechać, tylko akurat dziś! Dlaczego nie był na powitaniu w Volgateku?

- Może miał coś ważniejszego do załatwienia.

- Na przykład co?

- Może trzeba było porwać kogoś jeszcze.

- To mnie właśnie martwi.

Gabriel przystanął przed wystawą sklepu jubilerskiego i przyjrzał się lśniącom szwajcarskim zegarkom. Obok tego luksusowego butików znajdowała się kawiarnia utrzymana w radzieckiej stylistyce. Pulchne, wyzute z entuzjazmu kobiety w białych fartuchach wydzielają klientom jedzenie na poszarżanych, brezniewowskich talerzach. Nawet ponad dwadzieścia lat od rozpadu ZSRR nie brakowało w Rosji osób tęskniących za dawnymi, totalitarnymi czasami.

- Bryła lodu w żołądku, co? - spytał Lavon.

- Jesteśmy w Moskwie w grudniu, Eli. Łatwo o lód i mróz.

- Zamierzasz coś na to poradzić?

- Tak, chciałbym, żeby Ritz uhonorował Avedona specjalnym podarunkiem trochę wcześniej, niż to planowaliśmy.

- W Puszkynie mogą się krzywić na takie podarunki.

- Eli, każdy, kto jest kimś, w Puszkynie ma przy sobie broń.

- To spore ryzyko.

- I tak mniejsze niż w przypadku drugiej opcji.

- Może darujemy sobie obiad i od razu zjemy deser?

- Bardzo bym chciał - powiedział Gabriel - ale przy popołudniowych korkach to się nie ma prawa udać. Musimy odczekać do jakiejś dwudziestej drugiej. W przeciwnym razie nie wywieziemy go z Moskwy i będziemy udupieni.

- A tego byśmy nie chcieli.

- Wyślij wiadomość, Eli.

Lavon wcisnęła kilka klawiszy, po czym wyprowadził Gabriela na ulicę Ilinka. Wiatr znów się wzmacniał, a temperatura szybko spadała. Szli teraz wzdłuż fasad imperialnych budynków, które przywodziły na myśl wielkanocne wydmuszki. Mróz wyciskał z oczu Gabriela struzki łez. Ze słuchawki dolatywało nucenie Nicholasa Avedona, który brał właśnie kąpiel w hotelu Ritz.

- Chcę go mieć przez cały czas na odsłuchu i pod obserwacją - powiedział Gabriel. - Odprowadzamy go na kolację, siedzimy obok, kiedy będzie jadł, a potem wracamy z nim do hotelu. Wtedy zacznie się prawdziwa zabawa.

- Pod warunkiem że Paweł zgodzi się wyruszyć na ratunek.

- Odpowiada w Volgateku za ochronę. Jeśli najnowszy nabytek firmy poczuje się zagrożony, Żirow zaraz poleci go bronić. A my wtedy spowodujemy, że pożałuje swojej decyzji.

- Czułbym się pewniej, gdybyśmy mogli wywieźć go z tego kraju.

- Dokąd, Eli? Na Ukrainę? Na Białoruś? A może do Kazachstanu?

- Myślałem o Mongolii.

- Marne jedzenie.

- Okropne - zgodził się Lavon - ale to przynajmniej nie Rosja.

Na końcu ulicy skręcili i ruszyli pod górę w stronę placu Łubiańskiego.

- Myślisz, że ktoś kiedykolwiek zrobił coś takiego?

- Co zrobił?

- Porwał oficera KGB na terenie Rosji.

- KGB już nie ma, Eli. KGB to przeszłość.

- Dobrze wiesz, że nie. Po prostu nazywa się teraz FSB. I zajmuje ten sam szkaradny budynek naprzeciwko nas. Nie będą zachwyceni, kiedy się połapią, że zaginął ich człowiek.

- Jeśli go czysto przechwycimy, nie będą mieli czasu, żeby cokolwiek zrobić.

- Jeśli - mruknął Eli.

Gabriel milczał.

- Wyświadczyć mi przysługę, Gabriel. Jeżeli nie będzie szansy na czysty strzał, to nie strzelaj. Zgoda? Naprawdę nie chciałbym stracić szansy pracowania dla ciebie, gdy zostaniesz szefem biura.

Dotarli na szczyt wzniesienia. Lavon zwolnił, po czym przystanął i skierował wzrok na potężną żółtą fortecę po drugiej stronie placu.

- Jak myślisz, dlaczego zachowali ten budynek? - spytał poważnym tonem. - Dlaczego

go nie zburzyli i nie postawili tu jakiegoś pomnika ofiar?

- Z tego samego powodu, dla którego nie wyciągnęli kości Stalina spod muru Kremla - odparł Gabriel.

Lavon przez chwilę nic nie mówił.

- Nienawidzę tego miejsca - powiedział w końcu - a jednocześnie tak bardzo je kocham. Mam coś nie tak z głową?

- Zdecydowanie - odrzekł Gabriel - no, ale to tylko moje zdanie.

- Czułbym się pewniej, gdybyśmy mogli go wywieźć z tego kraju.

- Ja też, Eli, ale nie mamy jak.

- Jak daleko jest do Mongolii?

- Za daleko, żeby dojechać tam samochodem. No i to ich paskudne żarcie.

Pięć minut później, gdy Gabriel wchodził do nadmiernie ogrzanego lobby Metropolu, Jossi Gawisz opuścił swój pokój na czwartym piętrze w Ritzu ubrany w szary garnitur bankiera i srebrny krawat. W lewej ręce trzymał plakietkę z imieniem „Aleksander”. Jossi, miłośnik historii, sam wybrał sobie taki pseudonim na tę okazję. W prawej ręce miał połyskującą torbę prezentową z logo hotelu, którą niósł w taki sposób, by wyglądała na lżejszą, niż w istocie była. Ważyła swoje, ponieważ w środku znajdował się makarow dziewięć milimetrów, jedna z kilku sztuk broni, którą moskiewska delegatura zdobyła nieoficjalnymi kanałami przed przyjazdem zespołu. Przez trzy dni pistolet czekał w pokoju Jossiego ukryty między materacem a ramą łóżka. Teraz ze zrozumiałą ulgą Jossi wreszcie się go pozbywał.

Odczekał moment, upewnił się, że na korytarzu nikogo nie ma, po czym szybko przypiął plakietkę z imieniem do klapy marynarki i skierował się do pokoju czterysta dwadzieścia jeden. Zza drzwi dobiegał męski głos, zupełnie przyzwoicie śpiewający *Penny Lane* Beatlesów. Jossi zapukał dwa razy, cicho, grzecznie, jak przystało na pracownika ekskluzywnego hotelu. Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, zapukał jeszcze raz, nieco głośniejsze. Po upływie chwili drzwi otworzył mężczyzna w białym szlafroku: wysoki, o wysportowanej sylwetce i skórze zaczerwienionej po gorącym prysznicu.

- Jestem zajęty - rzucił sucho.

- Bardzo przepraszam za najście, panie Avedon - powiedział Jossi z neutralnym, międzynarodowym akcentem - kierownictwo chciałoby przekazać panu skromny upominek, by podziękować za skorzystanie z naszych usług.

- Niech pan powie kierownictwu, że dziękuję, ale nie.

- Bardzo ich pan rozczaruje.
- No dobra. Mam tylko nadzieję, że to nie znów ten cholerny kawior.
- Niestety nie otrzymałem informacji, jaki upominek dla pana przygotowano.

Mężczyzna o czerwonej cerze szybkim ruchem odebrał od Jossiego torbę, po czym trzasnął mu drzwiami przed nosem, gdy ten stał wciąż wyprężony za progiem ze sztucznym hotelarskim uśmiechem na ustach. Teraz mógł odwrócić się i odejść, a po chwili odpiąć plakietkę z imieniem „Aleksander” i wrócić do swojego pokoju. Tam szybko zdjął garnitur, włożył jeansy i gruby wełniany sweter. W nogach łóżka stała jego walizka. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka godzin kurier Biura z placówki w Moskwie zabierze ją z pokoju i zniszczy jej zawartość. Jossi wcisnął do niej garnitur i zasunął zamek. Następnie wytarł wszystkie przedmioty, których dotykał, i opuścił pokój, licząc na to, że robi to po raz ostatni.

W holu zobaczył Dinę, która ze sceptycznym wyrazem twarzy kartkowała anglojęzyczną gazetę wydawaną w Moskwie. Minał ją, jakby była obcą osobą, i wyszedł na dwór. Przy krawężniku czekał na niego range rover. Opary z rury wydechowej unosiły się szarą mgiełką w mroźne nocne powietrze. Za kierownicą siedział Christopher Keller. Ruszył, nim Jossi zamknął drzwi, i włączył się do powolnego ruchu na zakorkowanej Twerskiej. Przed sobą mieli Kreml i Wieżę Narożną Arsenalową. Blask wieńczącej ją czerwonej gwiazdy przywodził na myśl światło alarmu.

Keller, prowadząc, gwizdał jakąś melodyjkę.

- Znasz drogę?
 - W lewo na Ochotnym Riadzie, w lewo na Bolszoi Dimitrowce, a potem w lewo na Pierścień Bulwarowy.
 - Często bywasz w Moskwie?
 - Nie miałem dotąd przyjemności.
 - Mógłbyś chociaż udawać, że się denerwujesz.
 - A niby dlaczego miałbym się denerwować?
 - Na przykład dlatego, że zaraz mamy porwać w samym środku Moskwy oficera KGB?
- Keller uśmiechnął się i skręcił w lewo.
- Pełny relaks. To będzie proste jak drut.

Pokonanie krótkiej trasy do punktu oczekiwania na Pierścieniu Bulwarowym zajęło Kellerowi i Jossiemu prawie dwadzieścia minut. Kiedy już dotarli na miejsce, Keller natychmiast wysłał do czekającego w Metropolu Gabriela kodowaną wiadomość, którą ten z

kolei od razu przesłał na bulwar Króla Saula, gdzie została natychmiast wyświetlona na ekranie w centrum operacyjnym. Navot siedział tam gdzie zawsze podczas nadzorowania akcji, wpatrując się w obraz nadawany z lobby moskiewskiego Ritza. Sygnał pochodził z miniaturowego nadajnika w torebce Diny. W Moskwie była dziewiętnasta trzydzieści sześć, w Tel Awiwie godzinę wcześniej. O osiemnastej trzydzieści osiem zadzwonił stojący obok Navota telefon. Szef Biura podniósł słuchawkę i wydał dźwięk, który przypominał brzmieniem jego imię i nazwisko. Po drugiej stronie usłyszał głos Orit, swojej asystentki, zwanej w kularach Biura Żelazną Kopułą¹⁰ - na miano to zasłużyła, wykazując się niezrównaną biegłością w odrzucaniu próśb o spotkanie z dyrektorem.

- Nie - rzucił do słuchawki Navot. - Nie ma mowy.

- Powiedział wyraźnie, że stąd nie wyjdzie.

Navot westchnął ciężko.

- No dobra - powiedział - przyślij go tu, jeśli musisz.

Rozłączył się i znów utkwiał spojrzenie w obrazie nadawanym z hotelowego lobby. Po dwóch minutach usłyszał, jak za jego plecami otwierają się i zamykają drzwi, by sekundę później dostrzec kątem oka, jak przebarwiona dłoń kładzie na blacie obok niego dwie paczki tureckich papierosów i poobijaną zapalniczkę Zippo. Po chwili zapalniczka rozbłysła, a ekran spowiła chmura dymu.

- Wydawało mi się, że cofnąłem ci przepustki - powiedział cicho Navot, patrząc przed siebie.

- Cofnąłeś - odpowiedział Szamron.

- To jak dostałeś się do budynku?

- Zrobiłem podkop.

Szamron obracał w palcach zapalniczkę. Dwa obroty w prawo, dwa w lewo.

- Masz tupet, że się tu teraz pokazujesz - mruknął Navot.

- Nie pora i nie miejsce, Uzi...

- Wiem. Ale i tak masz tupet.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

- Mógłbyś dać głośniejszy odsłuch z telefonu Michaiła? - poprosił Szamron. - Słuch mi trochę wysiada.

- Nie tylko słuch.

Navot złapał kontakt wzrokowy z jednym z techników i gestem polecił mu, by zwiększył głośność.

¹⁰ Żelazna Kopuła; ang. Iron Donie; hebr. Kipat Garzel - izraelski system obrony powietrznej.

- Co on tam śpiewa? - spytał Szamron.

- A co za różnica?

- Odpowiedz na pytanie, Uzi.

- *Penny Lane*.

- Beatlesi?

- Tak, Beatlesi.

- Jak myślisz, dlaczego akurat to?

- Może po prostu lubi tę piosenkę?

- Może.

Navot spojrział na zegarek. W Moskwie była dziewiętnasta czterdzieści dwie, w Tel Awiwie osiemnasta czterdzieści dwie. Szamron zgasił papierosa, by natychmiast zapalić kolejnego.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

Opuszczając pokój hotelowy, wystrojony na kolację Michaił w dalszym ciągu nucił pod nosem. Gdy wsiadał do windy, trzymał w prawej ręce torbę prezentową, kiedy jednak trzy minuty później wychodził z męskiej toalety w holu, już jej nie miał. Zespół nadzorujący przebieg akcji z Tel Awiwu po raz pierwszy dostrzegł go na ekranach o dziewiętnastej pięćdziesiąt jeden - przekroczył wtedy obszar filmowany przez kamerę w torebce Diny, po czym skierował się do wyjścia. Czekał tam na niego Gienadij Łazariew, z ręką uniesioną tak, jakby wzywał pomocy. Po chwili ta ręka spoczęła na ramieniu Michaiła i delikatnie skierowała go na tylne siedzenie maybacha.

- Mam nadzieję, że udało się trochę odpocząć - powiedział Łazariew, gdy limuzyna z gracją opuszczała hotelowy podjazd - bo dziś w nocy poznasz smak prawdziwej Rosji.

Café Puszkina, Moskwa

Znacznie później, kiedy zespół porządkował akta i sporządzał raporty z akcji, wywiązała się żywiołowa dyskusja na temat znaczenia słów Gienadija Łazariewa. Podczas gdy pierwsza frakcja widziała w nich tylko przejaw dobrej woli i serdeczności, druga doszukiwała się w nich przestrogi dla Gabriela, sygnału, że jako przyszły dyrektor powinien mieć się na baczności. Jak zwykle to Szamron zakończył dyskusję. Słowa Łazariewa są bez znaczenia, orzekł, bo i tak los Michaiła został przypieczętowany w chwili, gdy wsiadł do samochodu.

Scenerią dla tego, co miało się stać, była słynna moskiewska Café Puszkina. Trudno o atrakcyjniejsze miejsce, zwłaszcza w tak mroźną noc, gdy płatki śniegu tańczyły w podmuchach wiatru znad Syberii. Lokal znajdował się na rogu Twerskiej i Pierścienia Bulwarowego w efektownym osiemnastowiecznym budynku, który wyglądał tak, jakby przywędrował do Moskwy wprost z epoki włoskiego renesansu. Za pięknymi przeszkłonymi drzwiami widać było trzy pasma jezdní, a jeszcze dalej skwer, na którym kiedyś żołnierze Napoleona rozbili namioty i palili lipy, by się ogrzać. Moskwianie pospiesznie przemykali zwirowymi alejkami do swoich domów. Tylko kilka niezłomnych matek siedziało na ławkach, nadzorując przy świetle latarń swoje okutane w niezliczone warstwy ubrań pociechy bawiące się w śniegu. Mordechaj i Rimona usiedli cicho obok nich. On obserwował wejście do Café Puszkina, ona przyglądała się dzieciom. Kellerowi i Jossiemu udało się zaparkować pięćdziesiąt metrów od wejścia do lokalu. Również jadący range roverem Jakow i Oded zatrzymali się jeszcze pięćdziesiąt metrów dalej.

Kolację umówiono na godzinę dwudziestą, ale z uwagi na większe niż zwykle natężenie ruchu Łazariew i Michaił pojawili się z dwunastominutowym opóźnieniem. Mordechaj odnotował dokładną godzinę. To samo zrobiły zespoły w obu range roverach, a także Gabriel, który natychmiast poinformował centrum operacji przy bulwarze Króla Saula, co było w gruncie rzeczy zbędne, ponieważ Navot i Szamron i tak właśnie śledzili odsłuch z telefonu Michaiła. Słyszeli doskonale kroki na szorstkiej drewnianej podłodze lokalu, zgrzyt mechanizmu starej windy, która dowiozła obu mężczyzn na drugie piętro, i wreszcie gardłowe rosyjskie wiwaty, które rozległy się, gdy Michaił wszedł do przygotowanej specjalnie na jego „koronację” prywatnej łoży.

Wyznaczono mu miejsce u szczytu stołu, z Łazariewem po prawej i Pawłem Żirowem

po lewej. Wydawało się, że szef ochrony Volgateku jako jedyny ani trochę nie cieszy się z pozyskania przez firmę protegowanego Wiktora Orłowa. Przez cały wieczór miał wyraz twarzy wytrawnego hazardzisty, który tym razem mocno przegrywa. Nie spuszczał mrocznego spojrzenia zwężonych oczu z twarzy Michaiła. Żirow wyglądał tak, jakby siedział przy ruletce, kalkulując straty i wahając się, czy ma dość odwagi na jeszcze jeden rzut.

Jeśli nawet złowieszczą obecność Żirowa powodowała u Michaiła dyskomfort, nie dawał ani trochę tego po sobie poznać. Przeciwnie. Wszyscy, którzy przysłuchiwali się tego wieczoru jego występowi, zgodnie ocenili go później jako jeden z najlepszych i najbardziej przekonujących, jakie widzieli. Michaił grał wielką rolę: był tym Nicholasem Avedonem, w którym na odległość zakochali się ludzie z Volgateku, Nicholasem inteligentnym i z polotem, Nicholasem o ostrym dowcipie, Nicholasem najmądrzejszym w całej wsi - no, może poza Gienadijem Łazariewem, najmądrzejszym zapewne człowiekiem na całym świecie. Z upływem kolejnych godzin nowy nabytek Volgateku coraz mniej mówił po angielsku, a coraz więcej po rosyjsku, by ostatecznie zupełnie porzucić ten pierwszy. Był wśród swoich. Stał się jednym z nich. Był Nikołajem Awdoninem, człowiekiem Volgateku, człowiekiem z przeszłości Rosji, który będzie budować jej przyszłość.

Do pełnego przepoczwarczenia doszło nieco po dwudziestej drugiej, kiedy Michaił w mistrzowski sposób sparodiował Orłowa. Gdy bezbłędnie oddał charakterystyczny tik w lewym oku, zebrani ryknęli śmiechem. Tylko Pawła Żirowa występ Michaiła zdawał się zupełnie nie bawić. Nie przyłączył się też do aplauzu, jaki wybuchł po pochlebnej tyradzie Łazariewa pod adresem Awdonina. Impirezowicze wysypali się następnie przed lokal, gdzie czekały na nich limuzyny Volgateku. Na odchodne Łazariew poprosił Michaiła, by następnego dnia wstąpił przed wylotem do biura. Przed podpisaniem ostatecznej wersji umowy trzeba było dopiąć kilka spraw. Następnie Rosjanin zaprowadził swojego nowego pracownika do tylnych drzwi mercedesa.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział ze swoim „matematycznym” uśmiechem - dziś to Paweł odwiezie cię do hotelu. Chciałby po drodze spytać cię o kilka rzeczy.

Michaił usłyszał samego siebie mówiącego: „Nie ma sprawy Gienadij”, po czym, nie dając po sobie poznać, że się waha, zajął miejsce w aucie. Żirow, jedyny przegrany tego wieczoru, siedział w milczeniu przy drugich drzwiach i patrzył w dal przez okno. Gdy mercedes ruszał, nadal nie powiedział ani słowa. Michaił zabębnił palcami o podłokietnik, ale natychmiast zmusił się do opanowania tego nerwowego odruchu.

- Gienadij mówił, że masz do mnie kilka pytań.

- Tak naprawdę - odrzekł Rosjanin obojętnie - to mam tylko jedno.

- Jakie?

Żirow się odwrócił i po raz pierwszy spojrzał na Michaiła.

- Kim ty, kurwa, jesteś?

- Paweł próbuje nas złapać na spalonym - stwierdził Navot.

Szamron zmarszczył brwi. Nie lubił sportowych metafor, uważał je za niestosowne przy opisywaniu spraw tak poważnych jak szpiegostwo. Spojrzał na jeden z ekranów: światła znaczników szybko przemieszczały się po mapie centrum Moskwy. To, które oznaczało pozycję Michaiła, świeciło na czerwono. Wraz z nim poruszały się cztery światła niebieskie, dwa z przodu, dwa z tyłu.

- No to mamy faceta w potrzasku - powiedział Szamron.

- Ładnie wyszło. Pytanie tylko, czy Paweł działa sam, czy ma jakieś wsparcie.

- Teraz to już chyba bez znaczenia.

- Jakież sugestie?

- Niech strzela na bramkę - rzucił Szamron, zapalając papierosa. - I to szybko.

Pędząc, minęli Twerską i jechali Pierścieniem Bulwarowym.

- Mój hotel jest tam - powiedział Michaił, wskazując kciukiem kierunek ponad prawym ramieniem.

- Zdaje się, że zupełnie nieźle znasz Moskwę - odparł Żirow i z pewnością nie miał to być komplement.

- Taki mam zwyczaj.

- Jaki?

- Że lubię znać topografię miast, do których jeżdżę. Nie znoszę czuć się jak turysta i co chwila pytać o drogę.

- Lubisz wtapiać się w otoczenie, co?

- Słuchaj, Paweł, nie podoba mi się twój ton...

- A może po prostu byłeś już w Moskwie? - spytał Żirow tonem sugerującym odpowiedź.

- Nie, nigdy.

- Nawet jako dziecko?

- Nigdy znaczy nigdy, Paweł. A teraz, jeśli się nie obrazisz, chcę wrócić do hotelu.

Rosjanin znów odwrócił się do szyby i patrzył nieruchomym wzrokiem w przestrzeń. A

może sprawdzał, co widać w lewym lusterku, Michaił nie był pewny.

- Wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie - odezwał się Żirow wreszcie.

- Nie odpowiedziałem, bo nie zasługiwało na odpowiedź - odciął się Michaił.

- Kim jesteś?

- Nicholas Avedon - odrzekł spokojnie Michaił. - Jestem pracownikiem londyńskiej centrali Viktor Orlov Investments. I dzięki twojemu dzisiejszemu popisowi pozostanę nim.

Ta odpowiedź oczywiście nie przekonała Żirowa.

- Kim jesteś? - spytał ponownie.

- Jestem Nicholas. Dorastałem w Anglii. Studiowałem w Cambridge i na Harvardzie. Przez jakiś czas robiłem dla nafcjarzy z Aberdeen, potem przeszedłem do Wiktora.

- Dlaczego?

- Dlaczego dorastałem w Anglii? Dlaczego studiowałem na Harvardzie?

- Dlaczego przyjąłeś pracę u Orłowa, człowieka, o którym wiadomo, że jest wrogiem Kremla?

- Dlatego że szukał kogoś, kto zajmie się jego projektami energetycznymi. A teraz żałuję cholernie, że go zdradziłem.

- Wiedziałeś, jaką politykę prowadzi, kiedy zaczynałeś dla niego pracować?

- Polityka mnie nie obchodzi. Ani jego, ani niczyja inna.

- Jesteś wolnomyślicielem?

- Jestem biznesmenem.

- Jesteś szpiegiem.

- Szpiegiem?! Nie zapomniałeś wziąć lekarstw, Paweł?

- Dla kogo pracujesz?

- Odwieź mnie do hotelu.

- Dla Anglików?

- Do hotelu, Paweł.

- Dla Amerykanów?

- Przypominam ci, że to wy zwróciliście się do mnie, nie ja do was. W Kopenhadze, na forum. Pamiętasz? Spotkaliśmy się potem w willi na jakimś zadupiu. Byłeś tam, o ile się nie mylę.

- Dla kogo pracujesz? - spytał Żirow raz jeszcze tonem nauczyciela, który zwraca się do mało pojętne go ucznia.

- Zatrzymaj samochód, chcę wysiąść.

- Dla kogo?

- Zatrzymaj ten pierdolony samochód!

Mercedes stanął, ale nie na polecenie Żirowa. Dojechali do dużego skrzyżowania z ulicą Pietrowka i właśnie zapaliło się czerwone światło. Tuż przed limuzyną Volgateku zatrzymał się range rover, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Michaił zerknął błyskawicznie przez ramię i zobaczył za mercedesem drugie identyczne auto. W tym samym momencie poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu. Trzy pulsujące sygnały.

- Co to było?

- Nic, moja komórka.

- Wyłącz ją i wyciągnij baterię.

- Nigdy za dużo ostrożności, co, Paweł?

- Wyłączaj - warknął Żirow.

Michaił sięgnął do kieszeni płaszcza po makarowa i błyskawicznie przycisnął lufę do żeber Rosjanina. Oczy Żirowa rozszerzyły się, ale milczał, przyglądając się Michaiłowi. Po chwili przeniósł spojrzenie na Jakowa, który wyskoczył właśnie z pierwszego range rovera. Keller wysiadł z auta stojącego za mercedesem i podchodził właśnie od tyłu do limuzyny.

- Każ kierowcy wrzucić parkowanie - powiedział cicho Michaił - albo zaraz strzelę ci w serce. Każ mu to zrobić, Paweł, bo będziesz trupem.

Gdy Żirow wciąż milczał, Michaił odciągnął kurek pistoletu. Przy oknie od strony Rosjanina stanął Keller.

- Już, Paweł.

Światło zmieniło się na zielone. Gdzieś z tyłu zabrzmiał klakson. Potem kolejny.

- Natychmiast! - syknął Michaił po rosyjsku.

Żirow zerknął we wsteczne lusterko: spojrzenia jego i szofera spotkały się. Szofer skinął głową, po czym sięgnął do lewarka automatycznej skrzyni biegów, wrzucił parkowanie i położył ręce na kierownicy.

- Masz mu teraz powiedzieć, żeby wysiadł i wykonywał polecenia.

Kolejne spojrzenie w lusterko i kolejne skinienie głową. Kierowca otworzył drzwi i powoli wysunął się na zewnątrz. Jakow już na niego czekał. Szepnął mu do ucha parę słów, po czym szybko poprowadził w stronę range rovera, wepchnął na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwi. Keller usiadł tymczasem w fotelu kierowcy. Gdy pierwszy z range roverów ruszył, wrzucił bieg i jechał spokojnie za nim. Michaił siedział nieruchomo, przyciskając broń do żeber Pawła Żirowa.

- Kim ty jesteś? - zapytał Rosjanin.

- Nicholas Avedon.

- Kim, kurwa, jesteś?

- Twoim koszmarem, Żirow - odpowiedział Michaił. - I zamknij wreszcie mordę albo zaraz cię zabiję.

Na ekranach w centrum operacji przy bulwarze Króla Saula światła znaczników przemieszczały się ku górze po cyfrowym planie Moskwy. Wszystkie z wyjątkiem jednego, które tkwiło nieruchomo przy Teatralnym Prospekcie nieco poniżej Łubianki. W Tel Awiwie nie było świętowania ani wzajemnych gratulacji. Okoliczności na to nie pozwalały. Przeciwnik taki jak Moskwa potrafił wyprowadzić potężny kontratak.

- Trzydzieści sekund od startu do zakończenia - podsumował Navot, wciąż wpatrując się w ekran. - Nieźle.

- Trzydzieści trzy - sprostował Szamron. - Ale kto by tam liczył.

- Ty liczyłeś.

Stary uśmiechnął się blado. To prawda, liczył. Tak naprawdę liczył przez całe życie. Liczył członków rodziny, których strawił płomień Holokaustu. Liczył swoich rodaków, którzy zginęli od kul i bomb. Liczył wreszcie, ile razy udało mu się oszukać przeznaczenie i śmierć.

- Jak daleko jest do bezpiecznego punktu?

- Dwieście trzydzieści sześć kilometrów, licząc od zewnętrznej obwodnicy.

- Jak prognoza pogody?

- Koszmarna - odpowiedział Navot - ale dadzą sobie radę.

Szamron nic już więcej nie powiedział. Uzi w dalszym ciągu wpatrywał się w znaczniki przesuujące się po wyświetlonej na ekranie mapie.

- Trzydzieści sekund - powtórzył. - Nieźle.

- Trzydzieści trzy - poprawił go Szamron. - Miejmy tylko nadzieję, że nie obserwowaliśmy nikt poza nami.

Szamron nie mógł tego wiedzieć, ale dokładnie to samo pomyślał mężczyzna stojący w oknie pokoju na czwartym piętrze hotelu Metropol. Patrzył na łuk Teatralnego Prospektu i w kierunku żółtej fortecy na Łubiance. Był ciekaw, czy uda mu się dostrzec oznaki reakcji służb: zapalające się na wyższych piętrach światła albo samochody opuszczające szybko garaże. Uznał, że szanse na to są bardzo niewielkie. Ci z Łubianki zawsze byli dobrzy w ukrywaniu emocji, tak jak i sama Rosja zawsze była dobra w ukrywaniu zabitych.

Odwrócił się od okna, wyłączył komputer i wsunął go do bocznej kieszeni torby

podróżnej. Następnie w towarzystwie dwóch kilkunastoletnich prostytutek zjechał windą do lobby. Czekał tam na niego SUV volvo podstawiony przez zabieganego parkingowego. Gabriel dał mu duży napiwek, usiadł za kierownicą i ruszył. Dwadzieścia minut później, objechawszy mury Kremla, włączył się w potok światła i stali wypływający z Moskwy na północ. Na ekranach przy bulwarze Króla Saula był jednak tylko świetlistym czerwonym punktem, samotnym aniołem zemsty w mieście heretyków.

51.

Obwód twerski, Rosja

Dacza należała niegdyś to potężnego człowieka, członka Komitetu Centralnego, a może i samego Politbiura. Nikt nie potrafił powiedzieć tego z całą pewnością, ponieważ w pełnych chaosu dniach, które nastąpiły tuż po rozpadzie ZSRR, wszystko gubiło się lub ginęło bez wieści. Państwowe zakłady stały, bo nie wiadano, gdzie są klucze, rządowe komputery czekały w uśpieniu, bo nikt nie pamiętał kodów. Rosja weszła w nowy wspaniały wiek bez map i bez pamięci. Byli tacy, którzy twierdzili, że pamięci tej wciąż nie odzyskała, z tą różnicą, że obecnie jest to amnezja podtrzymywana z premedytacją.

Przez kilka lat dacza stała opuszczona i popadała w ruinę. Tak było aż do chwili, gdy moskiewski nowobogacki z branży budowlanej, o nazwisku Błoch, kupił ją za bezcen i gruntownie przebudował. Koniec końców, jak wielu bogaczy epoki młodego rosyjskiego kapitalizmu, Błoch przestał być mile widziany przez nowych gospodarzy Kremla. Zdecydował się więc opuścić Rosję, póki miał jeszcze taką możliwość, i osiadł w Izraelu. Wybór ten wynikał po części z tego, że Błoch doszukiwał się u siebie żydowskich korzeni, ale tak naprawdę podyktowany był tym, iż żadne inne państwo nie chciało go przyjąć. Żyjąc na emigracji, rozsprzedał z czasem cały majątek zgromadzony na terenie Rosji. Ale nie daczę w obwodzie twerskim. Tę podarował Ariemu Szamronowi, mówiąc, by korzystał z niej na zdrowie.

Letniskowy dom Błocha stał nad bezimiennym jeziorem, a prowadząca do niego droga nie widniała na żadnej mapie. Była to nie tyle droga, ile leśny dukt wydeptany na długo przed tym, nim świat usłyszał o miejscu zwanym Rosją. Błoch zachował oryginalną bramę daczy, a także starą radziecką tablicę „WSTĘP WZBRONIONY” - jako dziecko ery stalinowskiej po prostu nie śmiał jej usunąć. Ponury napis mignął w świetle reflektorów prowadzonego przez Gabriela volvo, gdy dotarł na wyboisty, ośnieżony podjazd daczy. Po chwili z ciemności wyłoniła się sama dacza: przysadzista, o dwuspadowym dachu, zbudowana z bali i otoczona z czterech stron szerokim, zadaszonym tarasem. Stało już przed nią kilka samochodów, w tym należący do Volgateku mercedes klasy S. Kiedy Gabriel wysiadł z volvo, zobaczył tłącego się w ciemnościach papierosa.

- Witam w Szangrili - przywitał go Keller. Miał na sobie grubą, podszytą puchem parkę, w dłoni trzymał makarowa.

- Jak teren? - spytał Gabriel.

- Zimno jak cholera, ale czysto.
- Długo dasz radę tu wytrzymać?

Keller się uśmiechnął.

- Służyłem w Regimencie, kotku.

Gabriel minął go i wszedł do domu. Członkowie zespołu rozsiedli się w całym ogromnym salonie, korzystając z mnóstwa rustykalnych mebli. Michaił w dalszym ciągu miał na sobie garnitur z kolacji. Prawą rękę trzymał zanurzoną w misie wody z lodem.

- Co się stało?
- Obiłem sobie dłoń.
- O co?
- O twarz jednego faceta.

Gabriel poprosił Michaiła, by pokazał mu rękę. Bardzo spuchła, a skóra na kostkach była zdarta.

- Ile razy się uderzyłeś? - spytał Gabriel.
- Raz czy dwa. Może dziesięć.
- A jak się ma twarz?
- Sam zobacz.
- Gdzie on jest?

Michaił wskazał palcem podłogę.

Wśród wielu luksusów, jakie oferowała dacza, był schron przeciwatomowy. Kiedyś gromadzono w nim nawet roczne zapasy wody pitnej, jedzenia i różnych innych rzeczy potrzebnych do przeżycia. Teraz było w nim tylko dwóch mężczyzn. Obu mocno skrupowano grubą taśmą izolacyjną. Mieli unieruchomione ręce, stopy i kolana, a usta i oczy zaklejone. Mimo to widać było, że twarz starszego z nich poważnie ucierpiała w zderzeniu z pięścią Michaiła. Siedział oparty o ścianę z wyprostowanymi nogami, a gdy usłyszał trzaśnięcie otwieranych drzwi, zaczął poruszać głową w jedną i w drugą stronę - przypominał radar starający się wykryć nadlatujący bombowiec. Gabriel ukucnął naprzeciwko niego i zerwał taśmę zakrywającą mu oczy. Oderwał przy tym Rosjaninowi kawałek brwi, co nadało jego twarzy wyraz nieustającego zaskoczenia. Na jednym z jego policzków widać było głębokie rozcięcie, a pod skrzywionym od uderzenia nosem zaschniętą krew. Gabriel uśmiechnął się, po czym zerwał taśmę z ust Żirowa.

- Cześć, Paweł - powiedział. - Czy może wolisz, żebym ci mówił Paul?

Rosjanin nie odpowiedział. Gabriel przyjrzał się jego złamanemu nosowi.

- Musi boleć. No, ale takie rzeczy w Rosji się zdarzają.
- Nie mogę się doczekać, aż urzędę cię tak samo, Allon - odezwał się Żirow.
- Więc jednak mnie poznajesz.

- Oczywiście - powiedział Żirow z nadmierną pewnością siebie. - Obserwujemy cię od momentu, kiedy tylko pojawiłeś się w Rosji.

- Co za „my”? - spytał Gabriel. - Volgatek? SWR? FSB? A może darować sobie ozdobniki i po prostu mówić na was KGB? W końcu to stamtąd wszyscy się wzięliście.

- Jesteś trupem, Allon, ty i twoi ludzie. Nie wyjedziecie z Rosji żywi.

Gabriel nawet na moment nie przestał się uśmiechać.

- Wiesz, Paweł, zawsze uważałem, że lepiej się nie wychylać z groźbami bez pokrycia.

- Zgadzam się.

- Więc daruj sobie udawanie, że wiedziałeś o tym, że jestem w Moskwie. Albo że to ja wymyśliłem Avedona. Nigdy byś się na niego nie porwał bez wsparcia FSB, gdybyś wiedział, że to mój agent.

- A kto mówi, że nie miałem wsparcia?

- Ja.

- No to się mylisz, Allon. Ale to już u ciebie tradycja. FSB czeka tylko, aż zostanie ustalona tożsamość wszystkich twoich ludzi. Masz najwyżej kilka godzin. Później to ty będziesz siedział w piwnicy ze złamanym nosem.

- No to w takim razie musimy zaczynać.

- Co?

- Twoje przesłuchanie - wyjaśnił Gabriel. - Opowiesz nam i całemu światu, jak porwałeś Angielkę Madeline Hart, żeby Volgatek uzyskał dostęp do ropy na Morzu Północnym.

Żirow uniósł brwi, był wyraźnie zaskoczony.

- Ta Angielka? To o nią ci chodzi?

Gabriel pokręcił powoli głową, jakby był rozczarowany taką odpowiedzią.

- Paweł, jestem pewny, że stać cię na więcej. Przecież to ty zgarnąłeś ją z drogi pod Calvi parę godzin po tym, jak zjadłeś z nią lunch w Les Palmiers. Potem zbój z Marsylii o nazwisku Lacroix zawiózł ją na kontynent, gdzie przekazałeś ją następnemu zbójowi z Marsylii, Brossardowi, żeby ją dla ciebie przechował. Potem odebrałeś dziesięć milionów euro okupu od brytyjskiego premiera, ale dziewczynę zostawiłeś przy plaży w Audresselles, w bagażniku samochodu. I odpaliłeś ładunek.

- Nieźle, Allon.

- To nie było specjalnie trudne, bo zostawiłeś sporo śladów. Zrobiłeś to celowo. Chciałeś, żeby porwanie Madeline wyglądało na robotę francuskich bandytów. Ale popełniłeś jeden błąd. Trzeba było mnie posłuchać, kiedy ostrzegałem cię, żebyś nie robił jej krzywdy. Powiedziałem ci dokładnie, co się stanie, jeżeli to zrobisz. Powiedziałem ci, że cię znajdę. Powiedziałem ci też, że cię zabiję.

- To dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś? Po co narażałeś ludzi, żeby mnie porwać i ściągnąć tutaj?

- Nie porwaliśmy cię, Paweł. My cię zatrzymaliśmy. I przywieźliśmy cię tutaj, bo mimo tego, co ci się może wydawać, dziś jest twój szczęśliwy dzień. Dostaniesz ode mnie coś, co w naszej branży się raczej nie zdarza: drugą szansę.

- Co muszę zrobić, żeby ją wykorzystać?

- Odpowiedzieć na parę pytań, wyprostować parę spraw.

- I to wszystko?

Gabriel skinął głową.

- A potem?

- Będziesz mógł odejść.

- Dokąd? - zapytał poważnie Żirow.

- Wrócić do Volgateku, do SWR albo pod głąz, spod którego wypelzłeś.

Żirow zdobył się na protekcyjnalny uśmiezek.

- Jak myślisz, co ze mną zrobią na Jasieniewie po tym, gdy odpowiem ci na parę pytań i wyprostuję parę spraw?

- Stawiam, że czeka cię *wyższaja miera*, najwyższy wymiar kary.

Żirow pokiwał z uznaniem głową.

- Sporo wiesz o mojej służbie.

- Nie z wyboru - odpowiedział Gabriel. - I szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, co tam z tobą zrobią.

- A powinno - rzekł Rosjanin, uśmiechając się z politowaniem. - Dajesz mi wybór między śmiercią a śmiercią, Allon.

- Daję ci szansę zobaczenia jeszcze jednego rosyjskiego wschodu słońca. I nie martw się, dopilnuję, żebyś w jakimś miłym miejscu miał wystarczająco dużo czasu na wymyślenie historyjki dla przełożonych z SWR. Coś mi mówi, że ostatecznie jakoś się z tego wywiniesz.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wtedy osobiście strzelę ci w potylicę za to, że zabiłeś Madeline.

- Musisz dać mi czas do namysłu.

Gabriel zakleił taśmą oczy i usta Żirowa.

- Masz pięć minut.

Jak się okazało, upłynąć miało aż minut dziesięć. Dopiero wtedy Michaił, Jakow i Oded wynieśli Żirowa ze schronu i przywiązali do stojącego w salonie ciężkiego krzesła. Gabriel usiadł naprzeciwko niego. Tuż za jego plecami stanął Jossi, który uważnie przyglądał się ekranowi ustawionej na statywie kamery. Skorygował nieco kąt nachylenia obiektywu, żeby uzyskać lepszy kadr, po czym skinął na Michaiła. Ten zerwał taśmę z ust i oczu Żirowa. Rosjanin zamrugał, po czym omiół wzrokiem pokój i osoby w nim zebrane, zapamiętując każdą z twarzy i każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Wreszcie jego spojrzenie spoczęło na trzymanej przez Gabriela fotografii. Przedstawiała samego Żirowa, wyglądającego jednak zupełnie inaczej. Był w Les Palmiers w Calvi. Jadł lunch z Madeline Hart.

- Jak ją poznałeś?

- Niby kogo?

Gabriel odłożył fotografię na stół i kazał Jossiemu wyłączyć kamerę.

Odwiązali Żirowa od krzesła, po czym skrępowali mu nadgarstki i poprowadzili na długiej linie na zewnątrz, nad brzeg jeziora. Mający w ciemnościach pomost miał kilkanaście metrów długości. Tuż powyżej jego końca było małe oczko wody, która nie zdążyła jeszcze zamarznąć. Żirow wylądował w przerębli tak zgrabnie, jak mógł to zrobić związany mężczyzna wrzucony do wody przez trzech rozgniewanych, silnych ludzi.

- Wiesz, jak długo da się przeżyć w takiej wodzie? - spytał Keller.

- Za jakieś dwie minuty zacnie tracić czucie. Za około piętnaście będzie nieprzytomny.

- O ile najpierw nie utonie.

- Jest taka możliwość - zgodził się Gabriel.

Keller przez moment obserwował rzucającą się w wodzie postać.

- Skąd będziesz wiedział, że ma dość? - spytał w końcu.

- Zacnie tonąć.

- Przypomnij mi, żebym ci nigdy nie podpadł.

- Wiesz, w Rosji takie rzeczy się zdarzają.

Obwód twerski, Rosja

Wystarczyły dwie minuty w jeziorze. Po nich nie było już silenia się na udawanie niewinności ani gróźb, że lada moment pojawi się FSB. Pogodzony z losem Żirow zachowywał się jak wzorowy jeńiec. Postawił tylko jeden warunek: mają coś zrobić z jego wyglądem. Jak większość szpiegów, przez całą karierę unikał kamer i aparatów i nie zamierzał teraz pokazać się ludziom, wyglądając jak bokser po ciężkim nokaucie.

Wbrew obiegu opinii, większość szpiegów chętnie mówi. Zwłaszcza kiedy czują, że ich kariera jest już nie do uratowania. Przeważnie wylewają z siebie poufne informacje choćby po to, by mieć poczucie, że byli kimś więcej niż tylko trybikami w tajnej maszynie. Chcą wierzyć, nawet wbrew faktom, że byli ważni.

Dlatego Gabriel nie był zaskoczony, że Żirow, otrząsnąwszy się z szoku po kąpielu w jeziorze, stał się nagle bardzo rozmowny. Przebrany w suchą odzież i ogrzany słodką herbatą z odrobiną brandy zaczął swoją opowieść. Nie od Madeline Hart jednak, a od siebie. Był dzieckiem ludzi nomenklatury, elity komunistycznych władz ZSRR. Za czasów Andrieja Gromyki jego ojciec był urzędnikiem wysokiego szczebla w radzieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Oznaczało to, że Żirow uczył się w specjalnych szkołach dla dzieci oficjeli i mógł robić zakupy w partyjnych sklepach oferujących towary, o jakich większość radzieckich obywateli nawet nie śniła. I wreszcie jako członek elity miał przywilej cenniejszy niż wszystkie inne: mógł wyjeżdżać za granicę. Większość dzieciństwa spędził poza granicami ZSRR, głównie we wschodnioeuropejskich krajach satelickich radzieckiego mocarstwa, te bowiem były przedmiotem specjalizacji jego ojca. Był też jednak sześciomiesięczny pobyt w Nowym Jorku, gdy ojciec Żirowa pracował w ONZ. Paweł nienawidził tej amerykańskiej metropolii. Jako wierne dziecko partii został wychowany tak, by jej nienawidzić.

- Bogactwo i chciwość Stanów Zjednoczonych postrzegaliśmy nie jako coś, co warto naśladować - tłumaczył. - Widzieliśmy w tym słabość Amerykanów, którą będziemy mogli wykorzystać, by ich zniszczyć.

Mimo iż był uczniem niezaangażowanym i sprawiającym nieraz trudności, Żirow dostał się do prestiżowego moskiewskiego Instytutu Języków Obcych. Zakładano, że po ukończeniu studiów podejmie pracę w resorcie spraw zagranicznych. Tak się jednak nie stało, ponieważ zwrócił się do niego rekruter z Państwowego Komitetu do spraw Bezpieczeństwa, lepiej znanego jako KGB. Człowiek ten pojawił się w moskiewskim mieszkaniu Żirowa, mówiąc,

że służby obserwują go od czasu, gdy był dzieckiem, i uważają, że jest on materiałem na szpiega doskonałego.

- To mi bardzo pochlebiało - przyznał Żirow. - Był rok siedemdziesiąty piąty. Ford i Breżniew uśmiechali się do siebie i odgrywali szopkę w Helsinkach, ale za tą fasadą trwała rywalizacja między kapitalizmem i socjalizmem. A ja miałem stać się jej częścią.

Najpierw jednak, dodał zaraz, trzeba było ukończyć jeszcze jedno studia: tym razem w Instytucie Czerwonego Sztandaru, moskiewskim centrum szkoleniowym KGB. To tam Żirow nauczył się podstaw szpiegowskiego rzemiosła. Przede wszystkim jednak uczono go, jak werbuje się szpiegów. W KGB był to proces niesłychanie powolny i poddany rygorystycznej kontroli - trwał przynajmniej rok. Po zakończeniu szkolenia Żirowa przydzielono do Piątego Wydziału Pierwszego Zarządu Głównego i wysłano do Brukseli. Potem dostał przydziały do kilku innych europejskich stolic, aż w końcu moskiewscy mocodawcy Żirowa nabrali przekonania, że ma predyspozycje, by zaangażować się w mroczniejszą stronę działalności służb. Przeniesiono go do Wydziału S - jednostki nadzorującej radzieckich agentów „nielegalnie” mieszkających za granicą. Później pracował w Wydziale Piątym, odpowiadające w KGB za *mokryje diela*.

- Mokłą robotę - przetłumaczył Gabriel.

Żirow pokiwał głową.

- Ale nie byłem cynglem tak jak ty, Allon. Odpowiadałem za planowanie i organizację.

- Przeprowadzałeś dla Piątego Wydziału operacje pod fałszywą flagą?

- Przez cały czas. Operacje pod fałszywą flagą były standardowym sposobem działania.

Prawie nigdy nie zabieraliśmy się do rozpracowywania kogoś, jeśli nie można było stworzyć wiarygodnej historyjki o sprawstwie ze strony kogo innego.

- Jak długo byłeś w Wydziale Piątym?

- Do końca.

Żirow miał na myśli koniec Związku Radzieckiego, a więc grudzień 1991 roku. Wtedy to, niemal z dnia na dzień, kolos będący niegdyś supermocarstwem rozpadł się na piętnaście państw. Na czele nowej wspólnoty stanęła Rosja, serce dawnego Związku i pierwsza spośród równych. KGB podzielono na dwie autonomiczne służby. Nie minęło wiele czasu, a Centrala Moskwa, do niedawna mózg i serce działań wywiadowczych, znalazła się na równi pochyłej. Elewację budynku pokryły rysy i pęknięcia, a po posadźce w holu głównym wały się śmieci. Nieogoleni oficerowie w wymiętych mundurach snuli się pijani po korytarzach.

- Nie było nawet papieru w kiblu - powiedział Żirow z odrazą. - Centrala zmieniła się w jeden wielki chlew. Nikt tam nie rządził i nikt o nią nie dbał.

Sytuacja zmieniła się, kiedy ze sceny politycznej zszedł definitywnie Borys Jelcyn, a kontrolę nad Kremlm przejęli *siłowiki* - ludzie dawnych służb. Ci natychmiast wydali rozkaz, by SWR nasiliło działania wymierzone w Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Żirowowi powierzono jedno z najważniejszych stanowisk: mianowano go szefem rezydentury w Waszyngtonie. Jednak w tym samym dniu, kiedy miał odlecieć do USA, wezwano go na Kreml. Prezydent, stary kolega z KGB, chciał zamienić z nim słówko.

- Sądziłem, że ma dla mnie ostatnie instrukcje, jak mam działać w Waszyngtonie - wspominał Żirow. - Jednak okazało się, że ma wobec mnie inne plany.

- Volgatek - powiedział Gabriel.

- Volgatek.

- By zrozumieć to, co stało się potem, należy rozumieć, jak ogromne znaczenie ma dla Rosji ropa - mówił Żirow.

Przypomniał, że przez całe dziesięciolecie Związek Radziecki był drugim producentem tego surowca na świecie, skalą wydobycia ustępującym jedynie Arabii Saudyjskiej i emiratom nad podległą Amerykanom Zatoką Perską. Zawirowania paliwowe w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stały się potężnym bodźcem dla kulejącej radzieckiej gospodarki.

- Zadziałały jak respirator - tłumaczył Żirow - dzięki któremu pacjent w stanie śmierci mózgowej mógł pozostać przy życiu.

Nowy rosyjski prezydent rozumiał to, czego nie pojmował Borys Jelcyn: ropa może sprawić, że Rosja znów stanie się supermocarstwem. Dlatego niezwłocznie pokazał drzwi oligarchom takim jak Orłow i sprawił, że praktycznie cały rosyjski sektor energetyczny znalazł się pod kontrolą Kremla. Następnie przystąpił do tworzenia własnej spółki naftowej.

- KGB Oil & Gas - rzucił Gabriel.

- Mniej więcej. - Żirow powoli pokiwał głową. - Jednak nasza firma miała być inna. Otrzymaliśmy zadanie zdobycia praw do odwiertów i instalacji przesyłowych poza terenem Rosji. Wszystkie stanowiska obsadzone były ludźmi z KGB. Spora część naszych zysków trafia bezpośrednio na konta na Jasieniewie.

- Dokąd trafia reszta?

- Użyj wyobraźni.

- Do kieszeni prezydenta Rosji?

- Nie został najbogatszym człowiekiem Europy, mądrze odkładając na KGB-owską emeryturę. Nasz prezydent jest wyceniany na czterdzieści miliardów dolarów, a duża część

tego majątku pochodzi z Volgateku.

- Czyim pomysłem były odwierty na Morzu Północnym? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Jego. Podchodził do sprawy bardzo osobiście. Mówił, że chce, by Volgatek był jak słomka wetknięta w brytyjskie terytorium, przez którą wyssiemy wszystko do ostatniej kropli. Ja od samego początku byłem przeciwny temu projektowi - zaznaczył Żirow.

- Dlaczego?

- Odpowiadałem za bezpieczeństwo, a jednym z moich zadań było badanie terenu przed przystąpieniem do jakichkolwiek działań. Dotyczyło to i zakupów aktywów, i odwiertów. Ostrzegałem, że sytuacja w Wielkiej Brytanii jest dla nas niekorzystna i mało obiecująca. Prognozowałem, że napięcia polityczne na linii Londyn-Moskwa doprowadzą do odrzucenia naszego wniosku o zezwolenie na odwierty. I niestety nie myliłem się.

- Rozumiem, że prezydent był zawiedziony.

- Nigdy nie widziałem go tak zdenerwowanego jak wtedy. Podejrzewał, że za całą sprawą stoi Orłow. Prezydent wezwał mnie na Kreml i kazał użyć wszelkich dostępnych środków, by kontrakt został podpisany.

- I wtedy zainteresowałeś się Fallonem.

Żirow się zawahał, odpowiedział dopiero po chwili.

- Masz oczywiście bardzo dobre źródła w Londynie - stwierdził.

- Pięć milionów euro na koncie w szwajcarskim banku. Tyle mu zapłaciliście, żeby załatwił wam zezwolenie i kontrakt.

- Miał duże wymagania. To chyba zresztą oczywiste - odpowiedział Żirow. - Dlatego byliśmy bardzo rozczarowani, gdy okazał się nieskuteczny. Powiedział, że w tej sprawie nic się nie da zrobić. Lancaster i sekretarz do spraw energetyki byli na „nie” i okopali się na swoich pozycjach. Musieliśmy jakoś zmienić dynamikę sytuacji. Zmienić układ sił na polu walki, że tak powiem.

- No i porwałś kochankę premiera.

Żirow nie odpowiedział.

- Powiedz to na głos - nakazał Gabriel - albo zaraz będzie następna kąpiel przy księżycu.

- Tak - powiedział Żirow, patrząc prosto w obiektyw - porwałem kochankę premiera.

- Od kiedy wiedziałeś, że Lancaster ma z nią romans?

- W londyńskiej rezydenturze od dawna słyszano plotki o młodej dziewczynie z centrali partii, która późno w nocy pojawia się na Downing Street. Kazałem im podrażnić temat. Szybko udało się ustalić, kim ta dziewczyna jest.

- Fallon wiedział, że macie zamiar ją porwać?

Żirow pokręcił głową.

- Dopiero po dostarczeniu oświadczenia Madeline powiedziałem mu, że to my za tym staliśmy. Powiedziałem mu też, żeby skorzystał z okazji i załatwił wreszcie sprawę kontraktu. Ostrzegłem go, że jeśli tego nie zrobi, to jego też załatwię.

- Ujawniając, że wziął pięć milionów euro od należącej do Kremla spółki naftowej?

Żirow przytaknął.

- Kiedy się z nim skontaktowałeś?

- Pojechałem do Londynu, kiedy ty i twój kumpel z Korsyki przeczesywaliście Francję, szukając dziewczyny. Lancaster był zestresowany i rozbity całą tą sytuacją. Powiedział Fallonowi, żeby robił, co chce. No więc Fallon przepchnął sprawę kontraktu mimo sprzeciwu sekretarza do spraw energetyki. Wtedy mogłem zakończyć temat.

- Czyli zażądać okupu. - Dziesięć milionów euro albo dziewczyna zginie. A Fallon od początku wiedział, że to tylko przykrywka, żeby zakamufłować udział Volgateku w porwaniu Madeline.

- I rolę jego samego.

- Ile wiedział Lancaster?

- Nic - odparł Rosjanin. - Do tej pory jest przekonany, że zapłacił dziesięć milionów euro za uratowanie życia kochanki i ocalenie kariery politycznej.

- Dlaczego nalegaliście, żebym to akurat ja dostarczył pieniądze?

- Chcieliśmy się trochę zabawić twoim kosztem.

- Zabijając na moich oczach Madeline?

Żirow milczał.

- Masz to powiedzieć do kamery, Paweł. Potwierdź, że zabiłeś Madeline.

- Zabiłem Madeline Hart - wyrecytował Rosjanin.

- Jak?

- Zamknąłem ją w bagażniku citroena z materiałem wybuchowym na baku.

- Dlaczego? - spytał Gabriel. - Dlaczego ją zabiłeś?

- Musiała zginąć. Nie mogliśmy jej pozwolić wrócić do Anglii.

- Dlaczego nie zabiliście mnie?

- Uwierz, Allon, że mieliśmy na to ogromną ochotę. Uznaliśmy jednak, że będziesz bardziej przydatny żywy niż martwy. No bo, koniec końców, kto mógłby wiarygodniej niż wielki Gabriel Allon zaświadczyć o tym, że Madeline zginęła w efekcie spisku mającego na celu wyłudzenie okupu?

- Gdzie jest teraz te dziesięć milionów?

- Podarowałem je prezydentowi.

- Chciałbym je dostać z powrotem.

- Życzę powodzenia.

Gabriel raz jeszcze położył na stole zdjęcie zrobione podczas lunchu w Les Palmiers.

- Co się dzieje na tym zdjęciu?

- Można by to nazwać ostatnim stadium romantycznego werbunku.

Gabriel z niedowierzaniem ściągnął brwi.

- Dlaczego śliczna młoda dziewczyna, taka jak Madeline, miałaby się interesować takim gadem jak ty?

- Jestem dobry w tym, co robię, Allon. Tak samo jak ty. Poza tym dziewczyna czuła się samotna. Była łatwa - dodał Żirow.

- Uwważaj na słowa, Paweł. - Gabriel z nieco teatralną starannością przyjrzał się fotografii. - Zabawne, ale wygląda na to, że dobrze się ze sobą czuliście.

- To było nasze trzecie spotkanie.

- Spotkanie?

- Randka - poprawił się Żirow.

- Mimo wszystko nie wygląda na to, żebyście się specjalnie dobrze bawili - zauważył po chwili Gabriel, wciąż wpatrując się w zdjęcie. - Gdybym nie znał cię lepiej, stawiałbym, że o coś się pokłóciliście.

- Nie - zaprzeczył szybko Żirow.

- Na pewno?

- Na pewno.

Gabriel bez słowa odłożył fotografię na blat.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał Rosjanin.

- Tylko jedno. Skąd wiedziałeś, że Madeline ma romans z Jonathanem Lancasterem?

- Już ci mówiłem.

- Tak. Ale tym razem masz mi powiedzieć prawdę.

Żirow przedstawił to samo wyjaśnienie co poprzednio. Mówił o pogłoskach, które dotarły do rezydentury SWR w Londynie. Gabriel nie uwierzył jednak w ani jedno jego słowo. Dał mu ostatnią szansę, a gdy ten powtórzył to samo kłamstwo, zaprowadził go na koniec pomostu i przystawił mu lufę makarowa do karku. I wreszcie, na skraju pomostu nad zamrzniętym jeziorem, prawda wyszła na jaw. Gabriel właściwie spodziewał się, że to usłyszy, ale i tak trudno mu było uwierzyć w opowieść Żirowa. Rosjanin jednak mówił

prawdę, bo jego wersja była jedynym wiarygodnym wytłumaczeniem tego, co się stało.

W domu Żirow powtórzył swoją opowieść w obecności całego zespołu, a wszystko rejestrowała kamera. Następnie związany i zakneblowany trafił z powrotem do schronu. Operacja była prawie zakończona. Mieli niezbity dowód na to, że lukratywny kontrakt na wydobycie ropy na Morzu Północnym został przez Volgatek zdobyty szantażem i przekupstwem. Pozostawało teraz tylko dostać się na lotnisko i samolotami wrócić do domu. Lub, jak zaproponował Gabriel, odłożyć wyjazd i doprowadzić sprawę do końca. Takiej decyzji nie mógł jednak podjąć sam, więc jak zwykle poddał rzecz pod głosowanie. Nie było ani jednego sprzeciwu.

Sankt Petersburg, Rosja

Gabriel zdecydował, że bezpieczniej będzie podróżować koleją. Najbliższa stacja znajdowała się w miejscowości Okułowka. Miał szansę złapać pierwszy poranny pociąg i już wczesnym popołudniem być w Petersburgu. W głębi duszy ucieszył się, gdy Eli Lavon nalegał, by pojechali razem. Potrzebował jego czujnych oczu. Potrzebował też jego znajomości rosyjskiego.

Do Okułowki było niecałe sześćdziesiąt pięć kilometrów, ale fatalna pogoda i zły stan dróg sprawiły, że dostanie się tam zajęło im blisko dwie godziny. Zostawili volvo na smaganym wiatrem parkingu i ruszyli szybko na stację. Budynek dworca był nową budowlą z czerwonej cegły i dziwnie przypominał fabrykę. Kiedy Lavonowi udało się kupić od odgradzonej grubą szybą kasjerki dwa bilety pierwszej klasy, pasażerowie wsiadali już do pociągu. Gabriel i Eli dzielili przedział z dwiema dziewczynami, które bez przerwy trajkotały po rosyjsku, i z eleganckim biznesmenem, który ani na moment nie odrywał spojrzenia od ekranu telefonu. Lavon dla zabicia czasu czytał poranną moskiewską prasę. Nie było w niej żadnej wzmianki o zniknięciu ważnego pracownika państwowej spółki nafciarskiej. Gabriel patrzył tępo w okno na bezkresne zaśnieżone pola. Aż wreszcie delikatne kołysanie wagonu sprawiło, że zasnął.

Ocknął się nagle, kiedy pociąg wjeżdżał na Dworzec Moskiewski w Petersburgu. W okazałej hali dworca panował zamęt: odjazd wieczornego, superszybkiego pociągu do Moskwy opóźniał się w związku z groźbą zamachu bombowego, którego mieli dokonać czeczeńscy bojownicy. Gabriel i idący za nim Lavon utorowali sobie drogę pomiędzy płaczącymi dziećmi i sprzeczącymi się parami i wyszli na plac Powstania. Obelisk miasta bohatera piął się dumnie ku górze pośrodku ronda. Gwiazdę na jego wierzchołku przykrył częściowo śnieg. Na całej długości Newskiego Prospektu paliły się latarnie. Była dopiero czternasta, ale przypadające na ten dzień godziny światła już dawno minęły.

Gabriel ruszył przed siebie Newskim Prospektem, a Lavon, zachowując bezpieczny dystans, podążał za nim. To już nie Rosja, pomyślał Gabriel, to carska kraina marzeń, wytwór Zachodu odtworzony przez sterroryzowanych chłopów. Z fasad barokowych pałaców nawoływała Florencja. Gdy przechodził przez most na Mojce, pomyślał o Wenecji. Zastanawiał się, ile ciał spoczywa głęboko pod lodem. Tysiące, stawał. A może dziesiątki tysięcy. Żadne inne miasto świata nie skrywało horroru swoich narodzin tak pięknie jak

Petersburg.

Na końcu ulicy stał jedyny szpecący ją element: stary budynek Aerofłotu - szpetny szary kolos inspirowany weneckim pałacem dożów i okraszony ozdobnikami w stylu florenckich Medyceuszy. Gabriel skręcił w Wielką Morską i doszedł pod łukiem triumfalnym do placu Pałacowego. Kiedy zbliżał się do kolumny Aleksandra, Lavon zrównał się z nim i powiedział, że nie jest śledzony. Gabriel spojrzął na zegarek, który prawie przymarzył mu do nadgarstka. Była czternasta dwadzieścia. „Codziennie to samo - przypomniał sobie słowa Pawła Żirowa. - Wszyscy trochę wariują, kiedy wracają do domów po długim pobycie na zimnie”. Z placem Pałacowym sąsiadował niewielki park, latem zielony, teraz biały od śniegu i skuty lodem. Lavon usiadł na zimnej ławce i czekał, a tymczasem Gabriel zszedł na nadrzeczny bulwar. Nawa była zamarznęta i nieruchoma. Ostatni raz spojrzął na zegarek, po czym stanął przy barierce, patrząc przed siebie, nieruchomy jak potężna skuta lodem rzeka. Czekał na dziewczynę, której nie znał.

Zobaczył ją trzy minuty przed piętnastą. Szła przez most ubrana w gruby płaszcz i buty sięgające do kolan. Jej włosy skrywała wełniana czapka, a szalik nie pozwalał dojrzeć twarzy. Mimo to Gabriel natychmiast ją rozpoznał. Zdradziły ją oczy i kontury kości policzkowych. Zupełnie jakby dziewczyna z perłą Vermeera zdołała uciec z więzienia na płótnie i spacerowała po petersburskim nabrzeżu Newy.

Minęła go, jakby był niewidzialny, i skierowała się w stronę Ermitażu. Gabriel odczekał chwilę i upewniwszy się, że nie jest obserwowana, ruszył za nią. Dotarła do głównego wejścia i zniknęła w budynku, ale Gabriel doskonale wiedział, gdzie ją znaleźć. „Codziennie ten sam obraz - powiedział Żirow. - Nikt nie ma pojęcia dlaczego”.

Kupił bilet do galerii i ruszył zdającymi się nie mieć końca korytarzami do sali numer sześćdziesiąt siedem poświęconej Monetowi. Tam ją zobaczył. Siedziała samotnie wpatrzona w *Staw w Montgeron*. Kiedy Gabriel usiadł obok niej, zerknęła tylko na niego, by zaraz znów utkwic spojrzeń w obrazie. Był przed nią ukryty znacznie lepiej niż ona przed nim. Nic dla niej nie znaczył. Ani teraz, ani nigdy. Chyba.

Gdy po dłuższej chwili Gabriel wciąż nie podnosił się z ławki, spojrzała na niego po raz drugi i zauważyła leżący na jego kolanach egzemplarz *Pokoju z widokiem*.

- To chyba twoje - powiedział i wsunął książkę w drżące dłonie dziewczyny.

54.

Plac Łubiański, Moskwa

Na czwartym piętrze kwatery FSB znajdują się pomieszczenia w amfiladzie, zajmowane przez najmniejszą i najtajniejszą sekcję służby. Jednostka ta, znana jako Wydział Koordynacji, zajmuje się wyłącznie sprawami najwyższej wagi, często na polecenie samego prezydenta. Jej wieloletni szef, pułkownik Leonid Milczenko, siedział przy fińskim biurku ze słuchawką telefonu przy uchu i spojrzeniem utkwionym w plac Łubiański. Wadim Strelkin, jego prawa ręka, stał w drzwiach wyraźnie zaniepokojony. Milczenko cisnął słuchawkę na widelki z takim trzaskiem, że nie trzeba było żadnych wyjaśnień. Strelkin wiedział, że czeka ich pracowita noc.

- Kto dzwonił?

Milczenko odpowiedział odwrócony do okna.

- No to nieźle gównno - skwitował Strelkin.

- Nie gównno. Ropa.

- Czego chciał?

- Pogadać na osobności.

- Gdzie?

- W swoim gabinecie.

- Kiedy?

- Pięć minut temu. - Jak myślisz, o co chodzi?

- To może być wszystko - odpowiedział Milczenko. - Ale jeśli ma z tym coś wspólnego Volgatek, to nie może być nic dobrego.

- No to ściągam samochód.

- Dobry pomysł.

Wyprowadzenie auta z czeluści potężnego budynku trwało dłużej niż przejazd do biur Volgateku przy Twerskiej. Dimitrij Berszow, druga osoba w firmie, czekał na Milczenkę i Strelkina w holu i był wyraźnie spięty. To był kolejny zły znak dla oficerów FSB. Nie mówiąc ani słowa, Berszow poprowadził obu mężczyzn do windy dla kadry kierowniczej, która zawiozła ich bezpośrednio do biura na najwyższym piętrze. Gabinetu takich rozmiarów Milczenko nie widział nigdzie indziej w Moskwie. Był tak ogromny, że dopiero po kilku sekundach pułkownik zauważył siedzącego na potężnej sofie Gienadija Łazariewa. Milczenko

wolał na stojąco wysłuchać, o co chodzi. Prezes Volgateku wyjaśnił, że jego szef ochrony zniknął. Nikt nie widział go ani nie rozmawiał z nim od dwudziestej trzeciej poprzedniego dnia. Milczenko znał Żirowa: byli rówieśnikami i pracowali w tym samym okresie w KGB. Pułkownik położył na biurku oprawiony w skórę notes i usiadł.

- Co działo się wczoraj o dwudziestej trzeciej?

- Urządziliśmy imprezę w Café Puszkina, żeby uczcić zatrudnienie nowego ważnego pracownika. Swoją drogą, ten nowy pracownik też zniknął. Tak samo jak kierowca, który wiozł jego i Pawła.

- Mogliście wspomnieć o tym wcześniej.

- Miałem zaraz do tego dojść.

- Jak się nazywa ten nowy?

Łazariew odpowiedział na pytanie.

- To Rosjanin? - spytał Milczenko.

- Właściwie to nie.

- Co to ma znaczyć?

- Ma rosyjskie korzenie, ale brytyjski paszport.

- A więc jest tak naprawdę Brytyjczykiem?

- Tak.

- Powinienem wiedzieć o nim coś jeszcze?

- Aktualnie pracuje w Londynie. Dla Wiktora Orłowa.

Milczenko i Strelkin wymienili spojrzenia, po czym pułkownik utkwiał wzrok w notesie. Nie zdążył jeszcze nic zapisać i było to z jego strony bardzo rozsądne. Zaginiony był oficer KGB i zaginiony wspólnik jednego z najzgorzalszych wrogów Kremla - Milczenko był zły, że nie poszedł tego dnia na chorobowe.

- Zakładam, że z Café Puszkina wyszli razem - powiedział wreszcie.

Gienadij Łazariew skinął głową.

- Dlaczego?

- Paweł chciał zadać mu kilka pytań.

- Czemu mnie to nie dziwi.

Łazariew milczał.

- Jakich pytań? - zapytał Milczenko.

- Paweł miał co do niego podejrzenia.

- To znaczy?

- Uważał, że ten człowiek może być współpracownikiem obcego wywiadu.

- Któregoś konkretnie?

- Z oczywistych względów podejrzenia skupiały się na Brytyjczykach - odrzekł ostrożnie Łazariew.

- Zamierzał go przycisnąć i wypytać?

- Chciał uzyskać odpowiedzi na kilka pytań - odpowiedział z emfazą prezes Volgateku.

- A gdyby ich nie uzyskał?

- Wtedy miał zamiar go przycisnąć.

- Cieszę się, że mamy jasność.

Stojący na biurku telefon zabrzączał cicho. Łazariew uniósł słuchawkę do ucha, słuchał przez chwilę w milczeniu, po czym powiedział tylko: „Tak jest, natychmiast” i odłożył słuchawkę.

- Co jest? - spytał pułkownik.

- Prezydent prosi na słowo.

- No to nie kaźcie na siebie czekać.

- Prezydent nie wzywa mnie, tylko was.

Sankt Petersburg, Rosja

W tym samym czasie człowiek, za którego sprawą pułkownik Milczenko został wezwany na Kreml, szedł Prospektem Admiralicji w Petersburgu. Nie czuł już zimna, a tylko punkt ponad łokciem, w którym dziewczyna oparła rękę, zanim ruszyli. Serce łomotało mu tak, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Madeline prawie na pewno była obserwowana i on zaraz zostanie aresztowany. By zachować spokój, okłamywał sam siebie. Nie jest w Rosji, a w Wenecji, Rzymie, Florencji i Paryżu jednocześnie. Nic mu nie grozi. Jej również.

Naprzeciwko nich ukazał się sobór Isakowski, potężna marmurowa świątynia zamieniona przez komunistów w muzeum ateizmu. Gabriel wszedł do środka od strony placu i po wąskich spiralnych schodach dotarł na antresolę biegnącą pod ogromną złotą kopułą. Tak jak się spodziewał, na górze nie było nikogo. Pod nim falowało bajkowe miasto. Po szerokich *prospiektach* ciągnęły w ślimaczym tempie sznury samochodów. Na godzinie pierwszej widział kobietę. Jasne włosy miała schowane pod grubą czapkę, jej twarz zasłaniał szalik. Jeszcze moment i usłyszał kroki na schodach. Po chwili stanęła przed nim. Kopuła nie była oświetlona. W półmroku ledwie ją widział.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

Jej głos był niemal nierzeczywisty. Mówiła z czystym angielskim akcentem i dopiero po chwili dotarło do Gabriela, że innego akcentu po prostu nie zna.

- To nie jest ważne - odparł.

- Jak? - powtórzyła pytanie. Tym razem Gabriel nic nie powiedział, tylko zrobił krok w jej stronę, by z bliska przyjrzeć się twarzy.

- Teraz mnie sobie przypominasz, Madeline? To ja zaryzykowałem wszystko, próbując ratować ci życie. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że od samego początku byłaś z nimi. Udało ci się mnie oszukać. I nie tylko mnie. Wszystkich.

- Nie byłam z nimi - zaprzeczyła stanowczo. - Robiłam, co mi kazali.

- Wiem. Inaczej by mnie tu nie było.

- Kim jesteś?

- Właściwie to zamierzałem zadać ci to samo pytanie.

- Jestem Madeline - odpowiedziała dziewczyna. - Madeline Hart z Basildon w Anglii. Robiłam to, co należy. Byłam dobrą uczennicą i studentką. Dostałam pracę w centrali partii.

Miałam przed sobą przyszłość. Któregoś dnia zasiadłabym w parlamencie. Kto wie, może udałoby mi się nawet zostać ministrem. - Po chwili dodała: - Tak przynajmniej wszyscy mówili.

- Jak się nazywasz naprawdę?

- Nie znam mojego prawdziwego imienia. Słabo mówię po rosyjsku. Nie jestem Rosjanką, tylko dziewczyną z Anglii. Jestem Madeline.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza po egzemplarz *Pokoju z widokiem* i uniosła tak, by Gabriel go widział. - Gdzie to znalazłeś?

- W twoim pokoju.

- Skąd się tam wziął?

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego twoja matka nagle wyjechała z Basildon.

- Ona nie jest moją matką.

- Teraz to wiem. Na dobrą sprawę zacząłem to podejrzewać już wtedy, kiedy zobaczyłem fotografię, na której stoisz obok matki i ojca. Oni wyglądają jak...

- Wieśniacy - dokończyła jadowitym tonem. - Nienawidziłam ich.

- Gdzie teraz są twoi rodzice i twój brat?

- W dawnym centrum szkoleniowym KGB pośrodku pustkowia. Ja też miałam tam trafić, ale nie chciałam. Powiedziałam im, że chcę mieszkać w Petersburgu, a jeśli mi nie pozwolą, ucieknę na Zachód.

- Masz szczęście, że cię nie zabili.

- Grozili, że to zrobią. - Spojrzała na niego. - Co ty właściwie o mnie wiesz?

- Wiem, że twój ojciec był generałem i ważnym człowiekiem w Pierwszym Zarządzie Głównym KGB, może nawet szefem całego interesu. Twoja matka była jedną z jego maszynistek. Wkrótce po twoim urodzeniu przedawkowała tabletki nasenne i zapiła je wódką. Taką przynajmniej wersję poznałem. Po jej śmierci umieszczono cię w czymś w rodzaju sierocińca.

- Sierocińca KGB - uściśliła Madeline. - Wychowały mnie wilki. Dosłownie.

- Na pewnym etapie - ciągnął Gabriel - przestano mówić do ciebie po rosyjsku. Właściwie to w twojej obecności w ogóle nic nie mówiono. Wychowywałaś się w ciszy aż do wieku jakichś trzech lat. Wtedy zaczęli mówić do ciebie po angielsku.

- To był KGB-owski angielski - wyjaśniła. - Przez jakiś czas mówiłam z taką modulacją jak prezenterka wiadomości w Radiu Moskwa.

- Kiedy poznałaś swoich nowych rodziców?

- Miałam pięć lat. Przez mniej więcej rok mieszkaliśmy razem w obozie KGB. Chodziło

o to, żebyśmy się poznali. Potem osiedlili nas w Polsce. Kiedy zaczęła się wielka polska emigracja do Londynu, my też wyjechaliśmy. Moi podstawieni przez KGB rodzice mówili już wtedy doskonale po angielsku. Dostali nową tożsamość i rozpoczęli działalność szpiegowską niskiego szczebla. Przede wszystkim jednak zajmowali się mną. Nigdy nie rozmawialiśmy w domu po rosyjsku, tylko po angielsku. Minął jakiś czas i zapomniałam, że tak naprawdę jestem Rosjanką. Czytałam książki, które miały uczynić ze mnie porządną Angielkę: Jane Austen, Dickensa, Lawrence'a, Forstera.

- *Pokój z widokiem.*

- To było moje marzenie. Mieć pokój z widokiem.

- Skąd się wziął ten lokal komunalny w Basildon? - chciał wiedzieć Gabriel.

- To były lata dziewięćdziesiąte. Rosja nie miała pieniędzy, a SWR było ruiną. Nie mieli budżetu, który pozwalałby na utrzymywanie rodziny żyjącej w Londynie. Dlatego zamieszkaliśmy w Basildon i zaczęliśmy brać zasiłek. Państwo brytyjskie żywiło szpiega.

- Co się stało z twoim ojcem?

- Złapał niedozwoloną chorobę.

- Zaczęło mu odbijać z bezczynności?

Przytaknęła.

- Zgłosił Centrali Moskwa, że albo pozwolą mu wyjechać, albo pójdzie do MI5. Centrala sprowadziła go wtedy do Rosji. Bóg jeden wie, co z nim potem zrobili.

- *Wyższaja miera.*

- Co to znaczy?

- Nieważne.

Nic teraz nie jest ważne, pomyślał Gabriel. Wyjrzał na ciemny plac i zobaczył Elię Lavona przestępującego na zimnie z nogi na nogę. Madeline też go dostrzegła.

- Kto to jest?

- Przyjaciół.

- Obserwator?

- Najlepszy

- Mam nadzieję.

Odwróciła się i zaczęła powoli iść przed siebie.

- Kiedy cię uruchomili? - spytał Gabriel, patrząc na jej szczupłe plecy.

- Kiedy byłam na studiach. Powiedzieli, że chcą, żebym szykowała się do robienia kariery politycznej. Skończyłam nauki polityczne i politykę społeczną, a niedługo potem dostałam pracę w głównej siedzibie partii. Ci z Centrali Moskwa byli zachwyceni. No a

potem pod skrzydła wziął mnie Jeremy Fallon. Wtedy z tego zachwytu prawie zaczęli piąć.

- Spałaś z nim?

Odwróciła się i po raz pierwszy uśmiechnęła.

- Widziałeś kiedyś Jeremy'ego Fallona?

- Tak.

- Więc nie masz chyba wątpliwości co do tego, czy z nim spałam, czy nie. On oczywiście miał na to ochotę, ale ja ograniczyłam się do karmienia go nadzieją. Na tyle, żeby dał mi to, czego potrzebowałam.

- Czyli czego?

- Kilku minut sam na sam z premierem.

- Czyj to był pomysł?

- Centrali Moskwa. Niczego nie robiłam bez ich zgody.

- Uznali, że Lancaster złapie się na takie chwytły?

- Każdy się złapie - odparła. - Tak się dla Jonathana pechowo złożyło, że on naprawdę się zakochał. Po tym, jak pierwszy raz uprawialiśmy seks, przepadł.

- Brawo. Musiałaś być z siebie bardzo dumna.

Spojrzała na niego ostro. Przez chwilę nie powiedziała ani słowa.

- Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam - uznała. - Bardzo przywiązałam się do Jonathana i nie chciałam, żeby spotkało go coś złego.

- Więc może trzeba mu było powiedzieć prawdę.

- Rozważałam to.

- No i?

- No i pojechałam na wakacje na Korsykę. - Uśmiechnęła się smutno. - A potem umarłam.

Oczywiście cała sprawa była trochę bardziej złożona. Zaczęło się od polecenia z Centrali Moskwa: Madeline miała spotkać się w restauracji Les Palmiers w Calvi z kolegą ze służb, oficerem SWR. Człowiek ten poinformował ją, że jej misja w Anglii dobiegła końca. Miała wrócić do Rosji, przy czym dla zmylenia brytyjskich służb rzecz miała zostać upozorowana na porwanie.

- I wtedy się postawiłaś? - spytał Gabriel.

- Po cichu, ale bardzo stanowczo. Powiedziałam mu, że chcę zostać w Anglii i mieszkać tam do końca życia jako Madeline Hart. Odpowiedział, że nie ma takiej możliwości i że jeśli nie wykonam rozkazu, porwą mnie naprawdę.

- Wyjechałaś z willi na skuterze i miałaś wypadek.
- Miałam szczęście, że przeżyłam. Do tej pory mam blizny po tym zderzeniu.
- Ile czasu przetrzymywali cię ci francuscy bandyci?
- Zbyt długo. Ale większość czasu spędziłam z ludźmi z SWR.
- Jak było tej nocy kiedy mnie do ciebie przywieźli?
- Wszyscy w tamtym domu byli z SWR. Łącznie z dziewczyną, którą wysłali do liczenia pieniędzy.

- Dałaś prawdziwy popis aktorski, Madeline.
- To nie było żadne aktorstwo. Naprawdę chciałam, żebyś mnie stamtąd wyciągnął.
- Staralem się - zapewnił Gabriel - ale karty były tak rozdane, że nie miałem szans.
- To musiało być straszne.
- Zwłaszcza dla dziewczyny, którą zamknęli w bagażniku.

Madeline nie odpowiedziała.

- Kim ona była?
- Dziewczyną zgarniętą z ulicy w Moskwie. Zostawili ślady jej DNA w moim mieszkaniu w Londynie, a potem... - urwała.

- Odpalili ładunek.

Dziewczyna spochmurniała. Odwróciła się i spojrzała na skostniałe od mrozu, ciemne miasto.

- Nie żyje mi się tu źle, wiesz? Dali mi śliczne mieszkanie. Z widokiem! Mogę spędzić tu resztę życia, udając sama przed sobą, że jestem w Rzymie, Wenecji albo w Paryżu.

- Albo we Florencji - dodał Gabriel.
- Florencja, tak - zgodziła się. - Zupełnie jak Lucy i Charlotte z *Pokoju z widokiem*.
- Tego właśnie chcesz?

Raz jeszcze zwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy

- A jaki mam wybór?
- Możesz jechać ze mną.
- To niewykonalne. - Pokręciła powoli głową. - Zabiją cię. I mnie też.
- Jeśli udało mi się odnaleźć cię w Petersburgu, to uda mi się cię stąd wyciągnąć.
- Jak mnie znalazłeś?
- Nadal nie mogę ci powiedzieć.
- Kim jesteś?
- Tego też nie mogę ci powiedzieć.
- Dokąd mnie zabierzesz?

- Do domu. Z jednym przystankiem po drodze.

Mieszkała w okazałej starej kamienicy na drugim brzegu Newy. Z jej mieszkania roztaczał się widok na Pałac Zimowy. Eli Lavon niezauważony odprowadził ją prawie pod same drzwi. Gabriel w tym samym czasie zameldował się w hotelu Astoria. Będąc już na górze, w pokoju, napisał priorytetowy raport aktualizacyjny i wysłał go na bulwar Króla Saula. Tkwiący przed monitorem ze szklistymi ze zmęczenia oczami Uzi Navot odczytał go o siedemnastej czterdzieści siedem czasu izraelskiego, po czym spojrzał na Szamrona.

- Co jest, Uzi?

- Chce zmienić miejsce wylotu z Moskwy na Sankt Petersburg.

- Dlaczego?

- Jeśli ci powiem, i tak nie uwierzysz.

Navot wręczył Szamronowi wydruk. Ten przeczytał go zza chmury papierosowego dymu. Kiedy skończył, Navot podał mu kolejną aktualizację.

- Prześle nam zaraz materiał wideo.

- Z czym?

Nim Navot miał szansę odpowiedzieć, na monitorach pojawiła się opuchnięta twarz Pawła Żirowa.

- Musiał się strasznie pechowo przewrócić - stwierdził Szamron.

- Tak, kilka razy - odparł Navot.

- Co on mówi?

Uzi Navot polecił technikom, by podkręcili głośność.

„Otrzymaliśmy zadanie zdobycia praw do odwiertów i instalacji przesyłowych poza terenem Rosji. Wszystkie stanowiska obsadzone były ludźmi z KGB. Spora część naszych zysków trafia bezpośrednio na konta na Jasieniewie.

- Dokąd trafia reszta?

- Użyj wyobraźni.

- Do kieszeni prezydenta Rosji?

- Nie został najbogatszym człowiekiem Europy, mądrze odkładając na KGB-owską emeryturę..."

Szamron się uśmiechnął.

- No to teraz mamy w rękawie prawdziwego asa!

- I parę króli.

- O której odlatuje najbliższy samolot El Al do Petersburga?

Navot wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze komputera.

- Lot sześć dwa pięć, odlatuje z Ben Guriona o pierwszej dziesiąt w nocy, ląduje w Petersburgu o ósmej rano. Załoga ma jeden dzień odpoczynku, dostają pokoje w hotelu w centrum miasta. Następnej nocy samolot wraca do Tel Awiwu.

- Zadzwoń do szefa El Al i powiedz mu, że musi nam pożyczyć ten samolot - polecił Szamron.

Navot sięgnął po telefon, a Szamron wpatrywał się w monitor.

- „Masz to powiedzieć do kamery, Paweł. Potwierdź, że zabiłeś Madeline.

- Zabiłem Madeline Hart - wyrecytował Rosjanin.

- Jak?

- Zamknąłem ją w bagażniku citroena z materiałem wybuchowym na baku.

- Dlaczego? - spytał Gabriel. - Dlaczego ją zabiłeś?

- Musiała zginąć - opowiedział Żirow. - Nie mogliśmy jej pozwolić wrócić do Anglii..."

56.

Plac Łubiański, Moskwa

W takich sytuacjach, myślał Milczenko, ogrom terytorium Rosji przestaje być zaletą, a staje się prawdziwym przekleństwem. Pułkownik stał przed wiszącą w jego gabinecie mapą kraju, mając u boku Strelkina. Przed chwilą wrócili z Kremla, gdzie prezydent Federacji, car we własnej osobie, kazał im dołożyć wszelkich starań i odnaleźć trzech zaginionych mężczyzn. Car nie raczył przy tym wyjaśnić, dlaczego właściwie ich odnalezienie jest tak ważne. Powiedział tylko, że sprawa ma kluczowe znaczenie dla stosunków rosyjsko-brytyjskich i interesów Federacji na Zachodzie. Strelkin przypomniał Milczenko podczas drogi powrotnej na Łubiankę, że Volgatek podpisał niedawno lukratywny kontrakt na odwierty na Morzu Północnym.

- Myślisz, że ci z Volgateku odjebali gruby numer, żeby na skrót załatwić sobie ten kontrakt? - spytał pułkownik ze spojrzeniem wciąż utkwionym w mapie.

- Wolałbym nie oceniać sytuacji, nie znając wszystkich faktów - odpowiedział zachowawczo Strelkin.

- Pracujemy w FSB, Wadim. Nie musimy się martwić o fakty.

- Wie szef, jak mówią na Volgatek, prawda? - „KGB Oil & Gas”.

Strelkin przytaknął milcząco.

- Dobra. Przyjmijmy że Volgatek grał nieczysto przy załatwianiu tej licencji - powiedział Milczenko.

- Oni rzadko kiedy robią inaczej - zauważył Strelkin.

- Tak przynajmniej mówią na mieście.

- Przyjmijmy że wcisnęli komuś łapówkę.

- Albo gorzej.

- Załóżmy też, że brytyjski wywiad podsłuchiwał, kiedy Żirow zaciągnął ich człowieka do samochodu i zaczął wypytywać...

- Tak pewnie było.

- ...i że uznali, że ich człowiek jest w niebezpieczeństwie.

- Bo był.

- Przyjmijmy, że zareagowali i go stamtąd wyciągnęli.

- I się nie opierdalali.

- Zabrali też Żirowa i szofera...

- Pewnie nie mieli wyboru.

- ...i obu ich gdzieś wywieźli.

Milczenko nad czymś się zastanawiał.

- Gdzie może być teraz Żirow? - spytał w końcu.

- Kiedyś się znajdzie.

- Żywy czy martwy?

- Brytyjczycy unikają *mokrych dzieł*.

- Nie wiem, skąd to wzięłeś... - Milczenko zbliżył się do mapy - ale gdybyś sam był Brytyjczykiem, to co byś teraz zrobił?

- Staralbym się jak najszybciej wyciągnąć mojego człowieka za granicę.

- I jak byś to zrobił?

- Próbowałbym go chyba dowieźć na którąś z zachodnich granic. No, ale najszybsza droga to Szeremietiewo.

- Posłuży się innym paszportem.

- I inną twarzą - dodał Strelkin.

- Leć do Ritza - polecił Milczenko. - Niech ochrona da ci jego zdjęcia z kamer. Zaraz potem te zdjęcia mają trafić do każdego pogranicznika i milicjanta na Szeremietiewie.

Strelkin ruszył do drzwi.

- Jeszcze jedno, Wadim.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

- Zrób to samo z lotniskiem w Petersburgu. Lepiej dmuchać na zimne.

Człowiek, o którym była mowa, zażywał właśnie relaksu w stojącej na odludziu dachy w obwodzie twerskim. Podobnie zresztą jak pozostali członkowie izraelskiego zespołu. Niedługo po piątej rano, po kolejnej nieprzespanej nocy, ruszyli dwójkami w stronę stacji kolejowej w Okułowce. Wszyscy z wyjątkiem Christophera Kellera, który miał pilnować Żirowa i kierowcy.

Pociąg ruszył z Okułowki z opóźnieniem, w odróżnieniu od samolotu linii El Al, który opuścił lotnisko imienia Ben Guriona punktualnie o pierwszej dziesiątej i wylądował w Petersburgu dwie minuty przed czasem, o ósmej zero trzy. Dwunastoosobowa załoga pozostała na pokładzie, póki maszyny nie opuścili wszyscy pasażerowie. Potem, po błyskawicznej odprawie, cała dwunastka wsiadła do nieoznakowanego mikrobusu należącego do El Al, by po dwudziestu minutach jazdy dotrzeć do hotelu Astoria. Jedną ze stewardes była wysoka kobieta o ciemnych włosach i oczach barwy karmelu. Zostawiła niewielką

walizkę na kółkach w nogach łóżka, po czym wyszła z pokoju i skierowała się na sam koniec korytarza. Ignorując zawieszkę „Proszę nie przeszkadzać”, zapukała cicho do drzwi. Gdy nikt nie odpowiadał, zapukała ponownie. Drzwi się uchyliły na tyle tylko, by mogła szybko wśliznąć się do środka.

- Co ty tu robisz? - spytał Gabriel.

Chiara z niedowierzaniem i rezygnacją spojrzała na sufit, jakby chciała przypomnieć mężowi, że znajdują się w rosyjskim pokoju hotelowym, i że najprawdopodobniej w pokoju tym są pluskwy. Gabriel gestem dał jej znać, że pomieszczenie nie jest na podsłuchu, po czym powtórzył pytanie. Ręce oparł na biodrach i zmrużył oczy. Chiara dawno nie widział go tak złego.

- Idiotka ze mnie - powiedziała. - Ja naprawdę wierzyłam, że ucieszysz się na mój widok.

- Jak ci się w ogóle udało tu dostać?

- Były potrzebne dziewczyny do załogi. Zgłosiłam się na ochotnika.

- Rozumiem, że Uzi nie mógł znaleźć nikogo poza moją żoną?

- Uzi akurat był przeciwko.

- To jak znalazłaś się w drużynie?

- Za plecami Uziego porozumiałam się z Szamronem. Powiedziałam mu, że chcę jechać i wziąć udział w tej operacji, a jeśli nie dostanę tego, o co proszę, to on nie dostanie później tego, na czym mu zależy.

- Czyli mnie?

Uśmiechnęła się.

- Zuch dziewczynka - pochwalił Chiare Gabriel.

- Uczyłam się od najlepszych.

- Przecież mówiłaś, że nie chcesz jechać do Rosji, że nie poradzisz sobie z presją i wspomnieniami.

- Zmieniłam zdanie.

- Dlaczego?

- Bo chciałam to zrobić razem z tobą. - Chiara podeszła do okna i wyjrzała na ciemny plac Świętego Izaaka. - Czy tu w ogóle bywa widno?

- Teraz jest widno. Tak wygląda dzień.

Opuściła roletę w oknie i się odwróciła. W niebieskiej spódnicy i białej bluzce wyglądała niewiarygodnie pociągająco. Gabriel nie potrafił dłużej gniewać się, że przyjechała

do Rosji. Z każdą chwilą coraz bardziej cieszył się z jej obecności. Czuł, że dzięki niej kilkugodzinne oczekiwanie będzie o wiele, wiele znośniejsze.

- Jaka ona jest? - spytała Chiara.
- Madeline?
- Tak będziemy ją nazywali?
- Tak ona nazywa siebie - odpowiedział Gabriel. - Została...
- Co takiego?
- ...wychowana przez wilki - dokończył.
- Może sama jest wilczycą?
- Nie.
- Jesteś pewny?
- Jestem.
- Już raz cię oszukała.

Gabriel milczał.

- Przepraszam, Gabrielu, ale musiałeś chyba wziąć pod uwagę możliwość, że wciąż jest lojalna wobec swojej firmy.

- Zrobiłem to - odpowiedział, nie potrafiąc ukryć lekkiej irytacji. - Jeśli dziś po południu, gdy wyjdzie z domu, będzie czysta, zabieram ją ze sobą. I dostarczę ją do domu.

- Czyli dokąd?
- Do Anglii.
- Narobi tam niezłego zamieszania.
- To prawda - przyznał Gabriel.
- Co zamierzasz z nią zrobić?
- Chcę jej użyć do spłacenia niewielkiego długu. A potem oddam ją w ręce Grahama

Seymoura.

- Biedny Graham. - Chiara usiadła na brzegu łóżka i zsunęła ciemne czółenka.
- Jak lot?
- Udało mi się nikogo nie oblać przy roznoszeniu jedzenia.
- Dobra robota.
- W pierwszej klasie siedziało dziecko, które płakało od Ankary aż do Mińska. Kilkoro pasażerów się najeżyło, a matka umierała ze wstydu. Jednak ja myślałam tylko o tym, że to najszczęśliwsza kobieta na świecie.

- Może nie powinnaś była przyjeżdżać - powiedział po chwili Gabriel.
- Musiałam przyjechać. I będę się tu doskonale bawiła.

Kołysząc lekko biodrami, zsunęła spódnicę i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Co robisz?

- A na co to wygląda?

- Wygląda na to, że w moim pokoju rozbiera się nieprzyzwoicie ładna stewardesa.

- Muszę trochę odpocząć - powiedziała Chiara. - Ty zresztą też - dodała. - Nie zrozum mnie źle, ale wyglądasz okropnie. Prześpij się chociaż godzinę czy dwie, lepiej się poczujesz.

- Nie zasnę.

- To co zamierzasz robić? Przez resztę dnia gapić się w okno i zamartwiać na śmierć?

- Taki mam plan.

- Będziesz na to miał aż za dużo czasu, kiedy zostaniesz szefem Biura. A teraz chodź do łóżka. Nie zjem cię, obiecuję.

Gabriel uległ. Zrzucił buty i spodnie i położył się obok żony. Jej ciało było gorące. Usta smakowały przy pocałunku miodem. Przesunęła palcem po jego nosie.

- Chiara...

- Słucham, skarbie? - spytała, całując go.

- Jestem w pracy...

- Ty zawsze jesteś w pracy. Będziesz w pracy i na służbie do końca życia.

Znów go pocałowała. W usta, szyję, pierś.

- Wychodzi na to, że od początku miała rację - szepnęła.

- Kto? - wymamrotał Gabriel.

- Ta staruszka z Korsyki. Powiedziała ci, że kiedy Madeline umrze, poznasz prawdę. Wtedy, o świcie we Francji, na swój sposób umarła. A dziś znasz już prawdę.

- Co do jednej rzeczy się myliła. Ostrzegła mnie, żebym nie jechał do miasta heretyków. Powiedziała, że jeśli tam pojedę, zginę.

Chiara przestała go całować i spojrzała mu w oczy.

- Mówiłeś, że powiedziała co innego: miałeś być tam bezpieczny.

- Mówiłem tak.

- Więc kłamałeś.

- Przepraszam. Nie powinienem był.

Znów go pocałowała.

- Wiedziałam, że kłamiesz.

- Naprawdę?

- Zawsze umiem poznać, kiedy kłamiesz.

- Przecież jestem zawodowcem.

- Nie kiedy masz do czynienia ze mną. - Ściągnęła mu przez głowę koszulę i usiadła okrakiem na jego biodrach.

- Wiesz, to wciąż możliwe.

- Co takiego?

- Że zabiją cię w mieście heretyków.

- Mówiła o Moskwie. Teraz jestem już chyba bezpieczny.

- Tak naprawdę - powiedziała, przesuwając dłońmi w dół jego brzucha - to jesteś w wielkim niebezpieczeństwie.

- Właśnie czuję.

Zanurzył się w ciepłe jej ciało. Jej delikatnym powabie. Nie był już w Rosji. Był w Wenecji, w pokoju, gdzie kochali się po raz pierwszy na białej lnianej pościeli, bezpieczny.

I ona była bezpieczna.

- Może nie przyjdzie - powiedziała Chiara, gdy Gabriel dryfował błogo w stronę snu.

- Przyjdzie. Zabierzemy ją do domu.

- Ja też chcę wrócić do domu.

- Już niedługo.

- Czy tu się w ogóle zrobi jasno?

- Nie, Chiara. Nie dziś.

Sankt Petersburg, Rosja

Robili to wcześniej dziesiątki razy na dziesiątkach sekretnych pól bitewnych. Wystarczyło kilka minut spędzonych nad planem miasta, by w pokoju Gabriela w Astorii opracowany został plan: trasa, posterunki obserwacyjne, punkty rezerwowe i trasy ucieczki. Gabriel zatytułował akcję „Ostatnia Szansa Centrali Moskwa”. Przeprowadzą Madeline ulicami Petersburga, żeby upewnić się, czy jest czysta. Jeśli będzie, zabiorą ją ze sobą i sprawią, że zniknie. Kolejny raz.

I tak tuż po czternastej w ciemnoszare petersburskie popołudnie sześciu oficerów z wywiadu izraelskiego wyszło z hotelu Astoria, by skierować się w stronę bajkowych świątyń i pałaców, każdy na swój posterunek. Najdłuższą trasę miał do pokonania Eli Lavon, bo to on miał czekać na Madeline pod jej domem o czternastej pięćdziesiąt dwie - o tej dokładnie godzinie Gabriel kazał jej wyjść przed budynek, jeśli wciąż będzie chciała zniknąć. Dziewczyna przeszła przez most Pałacowy, weszła od strony nabrzeża do Ermitażu, po czym udała się wprost do sali z dziełami Moneta. Tam kilka minut po piętnastej usiadła na tej co zwykle ławeczce. Po dwóch minutach przysiadł się do niej Lavon.

- Do tej pory wszystko w porządku - powiedział cicho po angielsku. - A teraz słuchaj uważnie i rób dokładnie, co ci powiem.

Wytyczyli jej trasę przez plac Pałacowy, pod Łukiem Triumfalnym, a potem Newskim Prospektem. W kawiarni Literackiej wypła kawę i zjadła rosyjski torcik. Potem szła dalej: wzdłuż przywodzącej na myśl Rzym kolumnady katedry pod wezwaniem Matki Boskiej Kazańskiej. Później postój i niewielkie zakupy w Żarze. Co jakiś czas mijała któregoś z członków zespołu Gabriela i każdy z nich raportował, że nigdzie nie widać śladu nieprzyjaciela.

Po wyjściu z Żary dziewczyna ruszyła w dół rzeki Mojki, by weneckimi alejkami dojść na rozległy plac Świętego Izaaka. Tam zobaczyła Dinę z przyciśniętym do prawego ucha telefonem komórkowym. Dobry znak. Telefon przy lewym uchu byłby dla Madeline sygnałem, że ma iść dalej. Prawe ucho oznaczało, że może bezpiecznie wejść do lobby hotelu Astoria. I to właśnie zrobiła dokładnie o piętnastej czterdzieści osiem. Eli wjechał z nią windą na trzecie piętro. Madeline wpatrywała się w śnieg na swoich butach, Lavon wpatrywał się w zdobienia na suficie. Kiedy drzwi, grzechocząc, otworzyły się, ze staromodną galanterią

wyciągnął przed siebie rękę i powiedział: „Pani pierwsza”. Madeline prześliznęła się obok niego bez słowa i skierowała wprost do pokoju na końcu korytarza. Kiedy była już blisko, drzwi się otworzyły, a Gabriel wciągnął ją do środka.

- Kim jesteś? - spytała.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dokąd pojedę?

- Niedługo się dowiesz.

Dwie minuty później w centrum operacji przy bulwarze Króla Saula na monitorach pojawił się raport z aktualizacją. Uzi Navot wpatrywał się przez chwilę w ekran, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Potem spojrzał na Szamrona.

- Naprawdę to zrobili. Mają ją.

- Dobrze - odpowiedział Szamron bez entuzjazmu. - Teraz zobaczymy, czy uda im się ją utrzymać.

Zapalił kolejnego papierosa.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

Nałożyli ciemną farbę na jej włosy i brwi i nadali śródziemnomorski odcień jej bałtyckim, słowiańskim policzkom. Mordechaj zrobił jej zdjęcie, które umieścił w paszporcie. Ten dokument miał pozwolić jej wyjechać z Rosji. Była teraz Ilaną Szawit, urodziła się w październiku 1985 roku, mieszkała na telawiwskim przedmieściu o nazwie Rison Le Syjon, jednym z pierwszych żydowskich osiedli na terenie Palestyny. Przed podjęciem pracy w El Al służyła w IDF. Była mężatką, ale nie miała dzieci. Jej brat zginął podczas ostatniej wojny w Libanie, a siostra w przeprowadzonym przez Hamas samobójczym zamachu bombowym w czasie drugiej Intifady. „To nie jest zmyślane życie - wyjaśnił Gabriel - to prawdopodobne życie pewnej izraelskiej kobiety Teraz na kilka godzin stanie się ono życiem Madeline”.

Piętą achillesową jej kamuflażu było to, że nie mówiła po hebrajsku. Kilka pospiesznie wyuczonych słów i zwrotów było wszystkim, co zdołała poznać. Na szczęście po angielsku mówiła bez śladu rosyjskiego akcentu. Poza tym piloci i załogi samolotów kontrolę paszportową przechodzą grupowo. Było bardzo prawdopodobne, że cała procedura będzie mieć charakter wyłącznie pro forma. Ktoś rzucił okiem na fotografię i skinie ręką. Nic więcej. Gabriel wierzył, że w razie czego Madeline nie odpowie odruchowo na pytanie zadane po rosyjsku. W końcu robiła to przez prawie całe życie. Pozostawało jej jedno kłamstwo, ostatnia chwila gry aktorskiej. Potem na zawsze będzie wolna.

Pięć minut po siedemnastej dziewczyny z zespołu zdjęły z Madeline rosyjskie ubranie,

ubrały w nowiutki uniform linii El Al i ułożyły jej czarne włosy, by następnie zaprezentować ją Gabrielowi. Ten przyglądał jej się przez moment, jakby była obrazem na sztaludze.

- Jak się nazywasz? - spytał.
- Ilana Szawit.
- Data urodzenia?
- Dwunasty października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.
- Miejsce zamieszkania?
- Riszon Le Syjon.
- Co to znaczy po hebrajsku?
- „Pierwszy do Syjonu”.
- Jak miał na imię twój brat?
- Mosze.
- Gdzie zginął?
- W Libanie.
- Jak się nazywała twoja siostra?
- Dalia.
- Gdzie zginęła?
- W dyskotecce Delfinarium.
- Ile jeszcze osób zginęło tamtego wieczoru?
- Dwadzieścia.
- Imię i nazwisko?
- Ilana Szawit.
- Miejsce zamieszkania?
- Riszon Le Syjon.
- Ulica?
- Sokołowa.

Gabriel nie miał więcej pytań. Sięgnął do podbródka i przechylił głowę.

- No więc?
- Pięć minut - odpowiedział. - Potem wychodzimy.

Eli Lavon pił kawę w półmroku wykończonego drewnem lobby. Gabriel siedział obok niego.

- Mam dziwne przeczucie - zaczął Eli.
- Konkretnie?

- Dwóch przed drzwiami, dwóch w barze, jeden przy recepcji.
- Może chodzić o coś innego.
- Może - mruknął Lavon.
- Mogą mieć na oku któregoś z gości hotelu.
- Tego się właśnie obawiam.
- Innego gościa, Eli.

Lavon nie odpowiedział.

- Jesteś pewny, że wchodząc tutaj, była czysta?
- Tak.
- Więc teraz też jest czysta - uznał Gabriel.
- To dlaczego w holu jest pełno ludzi z FSB?
- Może chodzić o coś innego.
- Może.

Gabriel wyrzwał na ulicę. Mikrobus El Al czekał już przed głównym wejściem.

- Co robimy? - spytał Lavon.
- Wychodzimy według planu.
- Powiesz jej o tym?
- Nie ma mowy.
- I słusznie. - Lavon dopił kawę i wstał.

Minęły trzy długie minuty, nim członkowie załogi samolotu El Al pojawili się w holu recepcyjnym. Najpierw dwie zgrabne młode kobiety naprawdę pracujące dla izraelskiego przewoźnika. Nie można było tego powiedzieć o czterech kobietach i dwóch mężczyznach, którzy zjawili się w lobby chwilę później - byli doświadczonymi agentami wywiadu. Następnie nadeszli kapitan i inżynier pokładowy, a za nimi wysiadł z windy ucharakteryzowany, udający pierwszego oficera Michaił. Jeden ze stojących przy recepcji oficerów FSB odwrócił się i zaczął dość bezceremonialnie gapić na pośladki jednej z fałszywych stewardes. Obserwujący całą scenę z drugiego krańca lobby Gabriel pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Skoro czujka FSB miała czas oglądać pupy izraelskich dziewczyn, to nie otrzymała raczej priorytetowego zadania, by zatrzymać rosyjsko-angielską uciekinierkę.

Jako ostatnie, o siedemnastej dziesiątej, pojawiły się w holu Chiara i Madeline, z gracją ciągnące walizeczki na kółkach. Chiara trajkotała po hebrajsku, opowiadając anegdotę z poprzedniego lotu, a Madeline śmiała się tak, jakby dawno nie słyszała czegoś równie

zabawnego. Jeszcze chwila i dołączyły do pozostałych członków załogi. Cała grupa wyszła teraz przed hotel i zajęła miejsca w mikrobusie. Drzwi się zamknęły. Odjechali.

- I co myślisz? - zapytał Gabriel.

- Według mnie jest bardzo dobra - odpowiedział Eli.

- Jesteśmy czyści?

- Jak łąza.

Gabriel wstał bez słowa, sięgnął po torbę podróżną i wyszedł w wieczną noc.

Przed hotelem czekała taksówka, którą Gabriel ostatni raz miał pokonać szeroki prospekt, mijając zwalistą statwę Lenina wiodącego lud ku siedmiu dekadom stagnacji i śmierci, pomnik walki, której nikt już nie pamięta. Kilometr za kilometrem, jeden zapuszczony dom obok drugiego. I wreszcie dotarli do międzynarodowego portu lotniczego Pułkowo. Gabriel pokazał na lot do Tel Awiwu, po czym jako Jonathan Albright z firmy Markham Capital Advisers bez problemów przeszedł odprawę paszportową. Następnie udał się do przypominającej fortecę sali za bramką dla pasażerów odlatujących do Izraela. Rosjanie twierdzili, że takie rozwiązanie ma służyć zapewnieniu bezpieczeństwa, ale Gabriel miał wrażenie, że wchodzi do ostatniego getta Europy.

Usiadł na wolnym fotelu w kącie, niedaleko licznej ortodoksyjnej rodziny. Nikt w pobliżu nie mówił po rosyjsku, słychać było wyłącznie hebrajski. Gdyby nie przebranie i charakterystyka, ktoś z pewnością by go rozpoznał. Teraz siedział jednak wśród innych pasażerów jako osoba zupełnie anonimowa, potajemny sługa zgromadzonych tam ludzi, ich niewidzialny anioł stróż. Już niedługo zostanie szefem ich cenionej służby wywiadowczej. Ale czy na pewno? Z pewnością byłby to piękny sposób zakończenia kariery, pomyślał. Zdobył właśnie dowód na to, że spółka nafiarska posiadana i zarządzana przez rosyjski wywiad i będąca jego własnością destabilizowała brytyjski rząd, żeby uzyskać dostęp do złóż ropy na Morzu Północnym. I to na polecenie samego prezydenta Federacji. Teraz nie będzie już miejsca na grube kreski i „reset” stosunków międzypaństwowych. Skończy się radosne gadanie o tym, że Rosja to przyjaciel Zachodu. Ma w ręku dowód, który pozwoli raz na zawsze wykazać, że Kreml sterują teraz ludzie ze służb: bezwzględni, despotyczni i niegodni zaufania. Jedynym wyjściem jest ich spacyfikowanie i marginalizacja - tak jak stało się to za czasów zimnej wojny.

Wszystko to jednak będzie bez znaczenia, jeśli straci dziewczynę, myślał. Zerknął na zegarek, a po chwili zauważył wchodzących do poczekalni za bramką Jossiego i Rimonę, Mordechaja, Odeda, a tuż za nimi - Jakowa i Dinę. I wreszcie, jako ostatni, pojawił się Lavon

wyglądający tak, jakby trafił na lotnisko przez pomyłkę. Krążył po sali, uważnie przypatrując się każdemu z wolnych siedzisk. Sprawiał wrażenie człowieka, który żyje w panicznym strachu przed zarazkami. Wreszcie usiadł naprzeciwko Gabriela. Omijali się spojrzeniami, patrzyli w przestrzeń. Milczeli. Dwaj strażnicy na niekończącej się warcie. Teraz pozostawało im już tylko czekać. Czekanie, pomyślał Gabriel, zawsze czekanie. Czekanie na informatora, czekanie na wschód słońca po zabójstwie. Czekanie, aż jego żona przeprowadzi martwą dziewczynę do świata żywych.

Spojrzał na zegarek, a potem na Lavona.

- Gdzie oni są? - spytał cicho.

Lavon skierował odpowiedź do rozłożonej gazety:

- Przeszli już kontrolę paszportową. Chłopcy ze straży granicznej chcieli jeszcze rzucić okiem na bagaż dziewczyn.

- Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć?

- Tylko powiedz, że bagaż nie jest trefny.

- Jest w porządku.

- To dlaczego go przeszukują?

- Może po prostu się nudzą. Albo może mieli ochotę pomacać damską bieliznę. To przecież rosyjskie chłopaki.

- Długo jeszcze?

- Dwie minuty, nie więcej.

Dwie minuty Lavona minęły. Potem trzecia. Gdy zaczęła się czwarta, nieznośnie długa minuta, a Chiara i Madeline wciąż się nie pojawiały, Gabriel spojrzął na zegarek, po czym zaczął zerkać to na siedzące obok dziecko, to na wykładzinę, wszędzie, byle tylko nie patrzeć na wyjście z hali odlotów. Aż wreszcie zobaczył ich kątem oka. Cztery nieostre białoniebieskie sylwetki: kapitan, idący obok niego Michaił, a tuż za nimi Chiara i Madeline. Ta ostatnia uśmiechała się nerwowo i wydawało się, że jest wsparta na ramieniu Chiary. A może odwrotnie? Nie potrafił tego stwierdzić. Przyglądał się całej czwórce, gdy przechodziła za bramkę i znikala w prowadzącym do samolotu rękawie. Potem spojrzął na Lavona.

- Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze.

- Nie bałeś się?

- Byłem przerażony.

- To dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Lavon nie odpowiedział. Siedział w milczeniu, czytając gazetę, póki pasażerów nie

zaproszono na pokład. Wtedy wstał i idąc kilka kroków za Gabrielem, skierował się do rękawa. Jeszcze tylko ostatni rzut oka, by nabrać pewności, czy nikt ich nie obserwuje.

Dostała miejsce przy oknie, w trzecim rzędzie. Patrzyła na gęstą jak atrament ciemność złamaną miejscami przez światła lotniska, po raz ostatni widziała Rosję, której tak naprawdę nigdy nie poznała. W białoniebieskim uniformie przypominała angielską uczennicę. Gdy Gabriel zajął miejsce obok niej, zerknęła w jego stronę, ale natychmiast odwróciła głowę do okna. Gabriel wysłał z bezpiecznego blackberry ostatnią wiadomość na bulwar Króla Saula, a potem zaczął przyglądać się swojej żonie szykującej kabinę maszyny do startu. Gdy samolot rozpędzał się po pasie startowym, oczy Madeline się zaszkliły, a kiedy koła maszyny oderwały się od rosyjskiej ziemi, po jej policzku spłynęła łza. Mocno ścisnęła rękę Gabriela.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała z idealnym angielskim akcentem.

- Więc mi nie dziękuj.

- Jak długo trwa lot?

- Pięć godzin.

- Czy w Izraelu będzie ciepło?

- Tylko na południu.

- Zabierzesz mnie tam?

- Zabiorę cię, dokąd tylko będziesz chciała.

Po chwili pojawiła się obok nich Chiara i podała im po kieliszku szampana. Gabriel uniósł kieliszek w toaście, po czym, nie pijąc, odstawił na stolik między fotelami.

- Nie lubisz szampana? - spytała Madeline.

- Cholernie boli mnie po nim głowa.

- Mnie też.

Wypiła odrobinę i wpatrzyła się w ciemność nocy.

- Jak mnie znalazłeś?

- To bez znaczenia.

- Czy kiedyś mi to powiesz?

- Niedługo dowiesz się wszystkiego.

Część trzecia

Skandal

Londyn-Jerozolima

Następnego ranka brytyjscy wyborcy ruszyli do urn. Jonathan Lancaster zagłosował bardzo wcześnie w towarzystwie żony Diany i trojga fotogenicznych dzieci, by następnie wrócić na Downing Street i czekać na werdykt wyborców. Trudno było mówić tego dnia o prawdziwym napięciu, bo ostatni sondaż przed ciszą wyborczą sugerował, że partia Lancastera niemal na pewno zwiększy swoją przewagę w parlamencie. Wczesnym popołudniem Whitehall huczało już od plotek o jego triumfie wyborczym, a pod wieczór w siedzibie partii na Millbank zaczął się lać szampan. Mimo to Lancaster wydawał się dziwnie ponury, kiedy pojawił się na scenie w Royal Festival Hall, by wygłosić zwycięską mowę. Wśród dziennikarzy, którzy dostrzegli jego dziwnie minorowy nastrój, była Samantha Cooke z „Daily Telegraph”. *Premier*, napisała potem, *wyglądał na człowieka, który ma świadomość, że druga kadencja będzie dla niego o wiele trudniejsza niż pierwsza. Inna sprawa, komentowała, że drugie kadencje rzadko są łatwe.*

Kłopoty Lancastera zaczęły się w drugiej połowie powyborczego tygodnia, gdy dokonywał zwyczajowych zmian personalnych w gabinecie i wśród swoich podwładnych na Downing Street. Jak przewidywano, Jeremy Fallon - teraz wybrany w Bristolu parlamentarzysta - został mianowany kanclerzem skarbu. Oznaczało to, że „lalkarz pociągający za sznurki” i „mózg Lancastera” zostanie sąsiadem premiera na Downing Street. Na człowieka swego czasu nazwanego przez prasę wicepremierem de facto w Whitehall patrzono jak na przyszłego premiera, który musi tylko poczekać na swoją kolej. Fallon szybko zebrał swoją dawną kadrę z Downing Street, a przynajmniej tych, którzy nie mieli jeszcze dość pracy z nim. Następnie użył wszystkich swoich wpływów w siedzibie partii, by kluczowe stanowiska obsadzić lojalnymi ludźmi. Rozdano karty: *Widzimy oto układ sił*, pisała Samantha Cooke, *poprzedzający rozpoczęcie prawdziwie szekspirowskiej walki o władzę*. Już niedługo, wieszczyła dziennikarka, Fallon zapuka pod dziesiątkę i poprosi o klucze. To Fallon stworzył Lancastera, a teraz będzie próbował go zniszczyć.

Podczas powyborczych rozsad i przetasowań w prasie ani razu nie pojawiło się nazwisko Madeline Hart. Nawet wtedy, gdy sekretarz partii uznał, iż pora znaleźć kogoś na jej miejsce. Jednej z młodszych stażystek powierzono nieco ponure zadanie opróżnienia pokoju zajmowanego dawniej przez zamordowaną kobietę. Nie miała zbyt dużo pracy: do wyniesienia pozostało kilka zakurzonych teczek, kalendarz, parę długopisów, spinacze i

zacztyany egzemplarz *Dumy i uprzedzenia*, po który Madeline sięgała w nielicznych wolnych chwilach. Stażystka dostarczyła wszystkie te rzeczy sekretarzowi, a on polecił swojej osobistej sekretarce, by pozbyła się ich w sposób możliwie godny i dyskretny. I tak z siedziby partii usunięto ostatni ślad życia Madeline Hart. Zniknęła na dobre. Tak przynajmniej sądzono.

Z początku miała wrażenie, że zmieniała jeden rodzaj niewoli na drugi. Różnica polegała na tym, że okna mieszkania, które służyło jej za celę, wychodziły nie na Nową, a na Morze Śródziemne w Netanii. Administracji budynku powiedziano, że dziewczyna przechodzi rekonwalescencję po długiej chorobie. Nie było to w gruncie rzeczy dalekie od prawdy.

Przez pierwszy tydzień nie wyszła poza cztery ściany mieszkania. Dni mijały jej bez logicznego rytmu. Spała do późna, patrzyła na morze, czytała ulubione powieści, a wszystko to pod czujnym okiem zapewnionej przez Biuro ochrony. Raz dziennie przychodził do niej lekarz. Gdy siódmego dnia spytał ją, czy coś jej dolega, odpowiedziała, że niedługo umrze z nudów.

- Z dwojga złego lepiej umrzeć z nudów, niż zostać otrutą przez Rosjan - pozwolił sobie na żart lekarz.

- Nie jestem taka przekonana - mruknęła po angielsku.

Lekarz obiecał, że przekaże sprawę „górze” i postara się zredukować obostrzenia dotyczące opuszczania mieszkania. Udało się: ósmego dnia „górze” pozwoliła Madeline wyjść na spacer po smagany wiatrem nadmorskim skrawku piasku obok budynku. Dzień później pozwolono jej pójść nieco dalej. Dziesiątego dnia doszła prawie do Tel Awiwu. Dopiero tam niespuszczający jej z oka pracownicy Biura zaprosili ją grzecznie do samochodu i odwieźli do domu. Kiedy weszła do mieszkania, na ścianie salonu zobaczyła doskonałą kopię *Stawy w Montgeron*. Obraz odróżniał od oryginału tylko podpis artysty, który zresztą zadzwonił kilka minut później, by po raz pierwszy przedstawić się Madeline imieniem i nazwiskiem.

- Ten Gabriel Allon? - spytała.

- Niestety tak - odpowiedział.

- A kim była kobieta, która pomogła mi dostać się do samolotu?

- Niedługo się dowiesz.

Gabriel i Chiara pojawili się w Netanii następnego dnia w południe, tuż po tym, jak Madeline wróciła z porannego spaceru po plaży. Zabrali ją samochodem do Cezarei na lunch i przechadzkę obok ruin budowli wzniesionych przez Rzymian i krzyżowców. Potem ruszyli

wybrzeżem dalej na północ i dotarli prawie do Libanu. Tam przeszli nadmorskimi jaskiniami Rosz ha-Nikra. Następnie skierowali się na wschód, jadąc wzdłuż wiecznie niespokojnej granicy. Mijali posterunki IDF i wsie opustoszałe po ostatniej wojnie z Hezbollahem, aż w końcu dojechali do Kirjat Szemony. Gabriel zarezerwował tam dwa pokoje w noclegowni turystycznej przy kibucu. Madeline miała z okna piękny widok na górę Galileę. Przez całą noc jej drzwi pilnował pracownik Biura. Drugi siedział na zielonym tarasie, na który wychodził pokój.

Następnego ranka, po śniadaniu we wspólnej stołówce, pojechali na wzgórza Golan. Czekano na nich w jednostce IDF. Młody pułkownik zaprosił gości na posterunek przy granicy z Syrią. Słychać było stamtąd, jak siły reżimu ostrzeliwują pozycje rebeliantów. Kolejnym punktem na trasie była twierdza Nemrod, pradawny bastion krzyżowców wznoszący się ponad równinami Galilei. Potem przyszła kolej na starożytne żydowskie miasto Safes. Zjedli tam lunch u kobiety, która nazywała się Tziona Levin. Choć Gabriel zwracał się do niej *doda* - ciociu - w rzeczywistości Tziona była dla niego najbliższą namiastką rodzeństwa. Nie zdziwiła się ani trochę, gdy pojawił się na progu jej domu z piękną dziewczyną, o której cały świat myślał, że nie żyje. Znała Gabriela doskonale i wiedziała, że ma w zwyczaju przywozić do Izraela to, co zaginęło.

- Jak praca? - spytała, kiedy pili kawę w zalanym słońcem ogrodzie.

- Dobrze jak nigdy - odpowiedział, zerkając na Madeline.

- Chodziło mi o sztukę, Gabrieliu.

- Skończyłem niedawno odnawiać pięknego Bassana.

- Powinieneś skupić się na własnej pracy - powiedziała tonem reprimendy.

- Robię to - odrzekł dwuznacznie. Tziona postanowiła dać mu spokój. Kiedy dopili kawę, zabrała ich do pracowni i pokazała im swoje najnowsze obrazy. Potem na prośbę Gabriela otworzyła składzik. Były tam setki obrazów i szkiców autorstwa jego matki, w tym kilka prac przedstawiających mężczyznę w mundurze SS.

- Prosiłem cię, żebyś je spaliła.

- Tak, ale jakoś nie potrafiłam się do tego zmusić - wyznała Tziona.

- Kto to jest? - spytała Madeline, przyglądając się obrazom.

- Nazywał się Erich Radek - odrzekł Gabriel. - Prowadził tajny program o kryptonimie „Akcja 1005”, mający na celu zatajenie wszelkich dowodów, że doszło do Holokaustu.

- Dlaczego twoja matka namalowała jego portret?

- W czasie marszu śmierci w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego o mało jej nie zabił.

Madeline uniosła pytająco brew.

- Czy to nie jest ten człowiek, którego kilka lat temu złapano w Wiedniu i przywieziono do Izraela na proces?

- Przypominam, że oficjalnie Erich Radek przyjechał do Izraela dobrowolnie.

- No jasne. A mnie porwali francuscy bandyci z Marsylii.

Następnego dnia pojechali do Ejlatu. Biuro wynajęło dużą willę niedaleko granicy z Jordanią. Madeline spędzała całe dni nad basenem, czytając wciąż od nowa klasyczne angielskie powieści. Gabriel uświadomił sobie, że dziewczyna szykuje się na powrót do kraju, który tak naprawdę wcale nie był jej ojczyzną. Pochodziła znikąd i była nikim - osobą, której tak naprawdę nie ma. Nie po raz pierwszy pomyślał, że a nuż Izrael okazałby się dla niej lepszym miejscem do życia niż Wielka Brytania. Zaproponował jej to ostatniego dnia pobytu na południu. Siedzieli na skale w Genew, patrząc, jak słońce zachodzi nad jałową ziemią Synaju.

- Kuszące - powiedziała.

- Ale?

- Ale to nie mój dom. Czulałabym się tu jak w Rosji: zawsze byłabym tą obcą, przyjezdnią.

- Będzie ci ciężko, Madeline. O wiele ciężiej, niż sobie wyobrazasz. Anglicy przepuszczą cię przez wyżymaczkę, by się upewnić, wobec kogo tak naprawdę jesteś lojalna. Potem ukryją cię gdzieś na odludziu, w miejscu, w którym nie będą mieli szans znaleźć cię Rosjanie. Nie będziesz mogła nigdy wrócić do dawnego życia. Nigdy - powtórzył. - Nie czeka cię tam nic dobrego.

- Wiem - odpowiedziała nieobecny tonem.

Nie wie, pomyślał Gabriel. Nie ma pojęcia, o czym mówi. Ale może i lepiej, żeby tak zostało. Słońce zawisło nad horyzontem. Pustynne powietrze stawało się coraz chłodniejsze, aż Madeline przebiegł dreszcz.

- Chcesz, żebyśmy już szli? - spytał Gabriel.

- Jeszcze nie - odpowiedziała.

Gabriel zdjął kurtkę i narzucił ją na ramiona Madeline.

- Powiem ci coś, czego właściwie nie powinnaś ode mnie usłyszeć - zaczął. - Niedługo zostanę szefem izraelskiego wywiadu.

- Gratuluję.

- Bardziej na miejscu byłyby kondolencje, ale to oznacza, że będę mógł się o ciebie

zatroszczyć. Dam ci dobre miejsce do mieszkania. Będiesz miała rodzinę. Trochę dysfunkcyjną - dodał szybko - ale to jedyna rodzina, jaką mam. Damy ci kraj i dom. To właśnie robimy tu, w Izraelu, dajemy ludziom dom.

- Ja już mam dom.

Nie powiedziała nic więcej. Słońce znikło za horyzontem i okolica pogrążyła się w ciemnościach.

- Zostań - poprosił Gabriel. - Zostań z nami.

- Nie mogę - odpowiedziała. - Jestem Madeline. I jestem Angielką.

Następnego dnia rano w Muzeum Izraela odbyło się uroczyste otwarcie ekspozycji kolumn ze Świątyni Salomona. Wśród gości byli prezydent, premier, niemal wszyscy ministrowie i bardzo liczni parlamentarzyści z Knesetu. Pojawili się też pisarze, artyści i gwiazdy estrady. Chiara była jedną z kilku osób, które przemawiały podczas otwarcia pawilonu. Oczywiście ani słowem nie wspomniała, że to jej mąż, Gabriel Allon, legenda izraelskiego wywiadu, odkrył miejsce, w którym zachowały się kolumny. Nie trzeba też było mówić gościom, że stojąca obok niego piękna ciemnowłosa dziewczyna to rzekomo zamordowana Madeline Hart z Anglii. Cała trójka tylko na kilka minut pojawiła się na bankiecie, który rozpoczął się po części oficjalnej. Szybko opuścili muzeum i pojechali do zacisznej restauracji w obrębie starego kampusu Akademii Sztuk Pięknych. Nieco później, gdy szli ulicą Ben Jehudy, Gabriel raz jeszcze spytał Madeline, czy nie chciałaby zostać. Dziewczyna odpowiedziała tak samo jak poprzednio. Ostatnią noc w Izraelu spędziła w mieszkaniu Gabriela przy ulicy Narkissa, w pokoju przeznaczonym dla dziecka. Następnego dnia wczesnym rankiem, gdy było jeszcze ciemno, pojechali na lotnisko Ben Guriona i wsiedli do samolotu do Londynu.

59.

Londyn

Przez dobrych kilka dni Gabriel zastanawiał się, czy ostrzec Grahama Seymoura, że już niedługo przyjdzie mu przyjąć dość niecodzienną uciekinierkę z Rosji. Ostatecznie zdecydował się tego nie robić, z powodów bardziej osobistych niż operacyjnych. Najzwyczajniej w świecie nie chciał popsuć niespodzianki.

W rezultacie zespół czekający na Heathrow wystawiło Biuro, nie MI5. Dyskretnie przejęto Gabriela i Madeline w hali przylotów, po czym odwieziono ich do załatwionego w pośpiechu mieszkania w Pimlico. Dopiero stamtąd Gabriel zadzwonił do Grahama Seymoura i powiedział, że raz jeszcze pojawił się w Wielkiej Brytanii, nie wpisując się do księgi gości.

- Coś takiego - rzucił Seymour sucho.

- To nie wszystko, Graham.

- Gdzie jesteś?

Gabriel podał mu adres.

Seymour był akurat na spotkaniu z delegacją szpiegów wywiadu australijskiego, którego nie mógł przerwać ani przelożyć. Dlatego nim jego samochód pojawił się przed budynkiem, minęła prawie godzina. Gdy wszedł do mieszkania, zastał Gabriela siedzącego samotnie w salonie. Na stoliku przed nim stał otwarty laptop. Po chwili na jego ekranie pojawił się Paweł Żirow, który w kilkuminutowym zeznaniu opisał i potwierdził liczne grzechy Kremla i sterowanej przez niego firmy Volgatek. Po obejrzeniu nagrania Seymour sprawiał wrażenie zdruzgotanego. Potwierdza się jedna z ulubionych maksym Szamrona, pomyślał Gabriel: w branży szpiegowskiej, tak jak w życiu, czasami lepiej nie wiedzieć.

- To on jadł z Madeline lunch na Korsyce? - spytał Seymour po dłuższej chwili, wciąż wpatrując się w ekran laptopa.

Gabriel skinął powoli głową.

- Chciałeś, żebym go znalazł - powiedział - więc znalazłem.

- Dlaczego jego twarz tak wygląda?

- Powiedział Michaiłowi coś, czego nie powinien.

- Gdzie jest teraz?

- Nie ma go - odpowiedział Gabriel.

- To może oznaczać różne rzeczy.

Wyraz twarzy Gabriela nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że „nie ma go” oznacza sytuację nieodwracalną.

- Rosjanie wiedzą?
- Jeszcze nie.
- Kiedy mogą się dowiedzieć?
- Stawiam, że na wiosnę.
- Kto go zabił?
- To opowieść na inną okazję.

Gabriel wyjął płytę z napędu laptopa i podał ją Seymourowi. Ten, biorąc ją od niego, wypuścił powoli powietrze, jakby nie chciał, żeby skoczyło mu ciśnienie krwi.

- Siedzę w tym biznesie naprawdę długo - powiedział wreszcie - i to nagranie to najgrubsza rzecz, z jaką miałem do czynienia.

- To jeszcze nie wszystko, Graham.

- Może nie zauważyłeś - odparł Seymour takim tonem, jakby nie usłyszał ostatniego zdania Gabriela - ale ostatnio mieliśmy w tym kraju wybory. Lancaster odniósł jedno z największych zwycięstw wyborczych w historii, a Fallon jest teraz kanclerzem skarbu.

- Długo nim nie pobędzie.

Seymour milczał.

- Chyba nie zamierzasz mu pozwolić bezkarnie rządzić po czymś takim?

- Nie - odpowiedział Seymour - ale będzie z tego jatka.

- Od początku wiedziałeś, że się tak to skończy.

- Ale miałem nadzieję, że sam się przy tym nie ubrudzę krwią. - Zapadła ciężka, głucha cisza.

- Coś cię gryzie, Graham? - spytał Gabriel. - Chcesz się z czegoś wygadać?

- Premier obiecał mi awans - powiedział po chwili wahania.

- Jaki awans?

- Taki, którego się nie odrzuca.

- Zrobi cię dyrektorem generalnym?

Seymour przytaknął.

- Ale nie MI5 - dodał szybko. - Rozmawiasz z przyszłym szefem Tajnej Służby Jej Królewskiej Mości. Będziemy we dwóch rządzili światem. Potajemnie, oczywiście.

- Tak, chyba że obalisz rząd Lancastera.

- Zgadza się - odparł Seymour. - Jeśli to zrobię, istnieje spora szansa, że spłynę ściekiem razem z całą resztą. A ty stracisz przy tym bliskiego sojusznika. Stawiam, że ktoś w

twoim położeniu nie będzie chciał stracić przyjaciela. Zbyt wielu ich nie masz - dodał cicho.

- Nie możesz przecież pozwolić, żeby spółka kontrolowana przez KGB robiła odwierty na waszych wodach.

- Byłoby to z mojej strony zaniechanie - zgodził się Seymour.

- Nie możesz też pozwolić, żeby opłacany przez Kreml agent pozostał na stanowisku kanclerza. Przecież ten człowiek może być waszym następnym premierem.

- Niedobrze mi się robi na samą myśl.

- Więc musisz go zniszczyć... - Gabriel przerwał, by zaraz dodać: - albo odwrócić wzrok, kiedy ja będę robił to za ciebie.

Seymour milczał przez chwilę.

- Jak chcesz się do tego zabrać?

- Odwdzięczę się komuś, kto wyświadczył mi przysługę.

- A co z Lancasterem?

- Jego winą jest to, że miał romans. Myślę, że ludzie mu wybaczą, zwłaszcza jeśli zaraz potem dowiedzą się, że Jeremy Fallon ma na koncie w szwajcarskim banku sprezentowane przez Rosjan pięć milionów euro. Poza tym jest jeszcze jedna okoliczność łagodząca, o której nie zdążyłem ci powiedzieć.

- Jaka?

Gabriel uśmiechnął się i wstał.

Poszedł do sypialni i po chwili pojawił się w salonie w towarzystwie pięknej młodej kobiety. Miała kruczoczarne włosy, a jej blada jeszcze niedawno cera opalona była słońcem Morza Czerwonego. Seymour szarmancko wstał, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. Gdy kobieta nie zareagowała, wyraz twarzy Seymoura się zmienił. Zrozumiał. Patrząc na Gabriela, wyszeptał tylko: - Boże...

Opowiedziała Seymourowi swoją historię. Od samego początku. Tę samą historię, którą w mroźne petersburskie popołudnie usłyszał w mroku katedralnej kopuły Gabriel. Kiedy skończyła, spokojnie i stanowczo oświadczyła, że chce zostać w Wielkiej Brytanii i - o ile to możliwe - wrócić do dawnego życia.

Jako wicedyrektor MI5 Seymour nie miał wystarczająco dużo władzy, by przyznać status uchodźcy politycznego rosyjskiemu szpiegowi. Jediną osobą mogącą to zrobić był niedawny kochanek Madeline, Jonathan Lancaster. Dlatego tego samego dnia, o godzinie czternastej piętnaście Seymour pojawił się bez uprzedzenia na Downing Street i zażądał

rozmowy w cztery oczy z premierem. Przypadkiem spotkanie odbyło się w tym samym gabinecie, w którym był swego czasu Gabriel. Tam, pod wiecznym portretem baronowej Thatcher, Seymour powiedział premierowi o wszystkim, czego się dowiedział. Opisał, jak prezydent Rosji kazał ludziom Volgateku użyć wszelkich dostępnych metod, byle uzyskać dostęp do ropy na Morzu Północnym. Opowiedział o tym, że Jeremy Fallon, najbliższy współpracownik i najbardziej zaufany człowiek Lancastera, zdradził go za rosyjskie srebrniki. Wreszcie o tym, że Madeline Hart, była kochanka premiera, jest tak naprawdę urodzonym w Rosji szpiegiem, że wbrew temu, co sądzili, żyje i prosi o azyl w Wielkiej Brytanii. Choć Lancaster był bardzo poruszony, natychmiast powiedział, że Fallon musi odejść, a Madeline zostaje. I niech się dzieje, co chce. Postawił tylko jeden warunek: nim sprawa ujrzy światło dzienne, sam powie o wszystkim żonie.

- Na pana miejscu nie odkładałbym tego, panie premierze.

Lancaster sięgnął powoli po telefon. Seymour wstał i bezgłośnie wyszedł z pokoju.

Pozostawało teraz tylko wskazać dziennikarza, który przeprowadzi najbardziej sensacyjny wywiad na wyłączność w całej historii brytyjskiej prasy. Seymour zaproponował Tony'ego Richmonda z „Timesa” lub Sue Gibbons z „Independenta”, ale Gabriel odrzucił jego sugestie. Złożył obietnicę, wyjaśnił, z której zamierza się teraz wywiązać. Zadzwoił na jej komórkę, ale połączył się tylko z pocztą głosową. Nagrał krótką wiadomość. Natychmiast oddzwoniła. O szesnastej w Café Nero. I tym razem ma przyjść punktualnie.

Ku rozczarowaniu Grahama Seymoura Madeline i Gabriel nalegali na ostatni wspólny spacer. Mimo porywistego wiatru ruszyli Millbank. Minęli Victoria Tower Gardens, katedrę westminsterską i budynki parlamentu, by za dziesięć czwarta wejść do kawiarni. Gabriel pił czarną kawę, Madeline wzięła earl greya z mlekiem i ciastko owsiane. Wyjęła z torebki lusterko i przyjrzała się swojemu odbiciu.

- Jak wyglądam? - spytała.

- Bardzo izraelsko - odpowiedział Gabriel.

- To komplement?

- Odłóż lusterko.

Zrobiła, co kazał, i wyjrzała przez okno. Obserwowała tłum sunący chodnikiem po Bridge Street. Patrzy tak, pomyślał Gabriel, jakby już nigdy miała tego nie zobaczyć. Rozejrzał się po lokalu. Nikt nie rozpoznał Madeline. I zresztą dlaczego komukolwiek miałoby się to udać? Została zamordowana i pochowana. Wszyscy bez wyjątku byli

przekonani, że leży na cmentarzu w Basildon. Bezimienna dziewczyna bez przeszłości spoczęła w mieście bez duszy.

- Nie musisz tego robić - powiedział.

- Oczywiście, że muszę.

- I bez tego mam dość dowodów. Jest przecież nagranie Żirowa.

- Kreml może zaprzeczyć. Tego, co ja powiem, nie będą mogli zakwestionować.

Madeline wciąż patrzyła przez okno.

- Napatrz się - rzucił Gabriel - bo jeśli zdecydujesz się to zrobić, minie sporo czasu, nim pozwolą ci wrócić do Londynu.

- Jak myślisz, dokąd mnie wywiozą?

- Do jakiejś bezpiecznej kwatery, może do bazy wojskowej. Zostaniesz tam, aż burza minie.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco...

- Wciąż możesz wrócić ze mną do Izraela.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Gabriel nachylił się nad stolikiem i wziął w dłoń jej rękę, która lekko drżała.

- Mam domek w Kornwalii - powiedział cicho. - W małej miejscinie, ale nad morzem. Możesz tam zamieszkać, jeśli chcesz.

- Jest ładny widok z okien?

- Piękny

- Myślę, że mógłby mi się spodobać.

Uśmiechnęła się dzielnie. Po przeciwnej stronie ulicy Big Ben wybił czwartą po południu.

- Spóźnia się - powiedział Gabriel. - Nie wierzę.

- Ona zawsze się spóźnia - skomentowała Madeline.

- Swoją drogą, wywarłaś na niej spore wrażenie.

- Nie na niej jednej.

Madeline zaśmiała się nieco sztucznie i wypila łyk herbaty. Gabriel spojrzął na zegarek i ściągnął brwi. Podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć wpadającą do kawiarni Samanthę Cooke. Zziębnięta stanęła przy ich stoliku. Przez moment przyglądała się Gabrielowi, po czym przeniosła wzrok na siedzącą naprzeciwko niego ciemnowłosą piękność. I wtedy zrozumiała.

- Boże drogi... - wyszeptała tylko.

- Czy możemy zaproponować coś do picia? - zapytała Madeline z nienagannym angielskim akcentem.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziemy się przejść - odrzekła Samantha Cooke.

60.

Londyn

Trzydzieści godzin później pracownik niskiego szczebla z Downing Street zawiązał do Hampstead paczkę gazet i zostawił ją na progu domu z czerwonej cegły. Dom należał do rzecznika premiera Jonathana Lancastera, Simona Hewitta, którego plaśnięcie papieru o ganek wyrwało z nietypowo spokojnego snu. We śnie zobaczył historię z dzieciństwa: szkolny bandzior podbił mu oko. Był to wyraźny postęp w stosunku do poprzedniej nocy, kiedy to Hewitt śnił o tym, że rozdziera go na strzępy stado wilków, i jeszcze poprzedniej, kiedy we śnie użądliły go setki pszczoł. Wszystko to było częścią nieubłagalnie powtarzającego się cyklu. Mimo wyborczego triumfu Lancastera Hewitt nie mógł pozbyć się przeczucia, że wkrótce stanie się coś bardzo złego. Nie doświadczył czegoś takiego od początku pracy przy Downing Street. Był przekonany, że chwilowy spokój w mediach to jedynie cisza przed burzą. Czuł, że ziemia niedługo zadrży.

To wyjaśniało, dlaczego powoli wstał z łóżka i nie spieszył się na spotkanie z zimnym londyńskim porankiem. Gdy schylił się po gazety, poczuł ukłucie w plecach boleśnie przypominające o cenie, jaką jego organizm zapłacił za pracę ponad siły. Zaniósł paczkę do kuchni, gdzie ekspres syczał groźnie, obwieszczając, że kawa już się zaparzyła. Po nalaniu sobie kubka i dodaniu tłustej śmietanki zaczął wyjmować dzienniki z foliowego opakowania. „Times”, dawny pracodawca Hewitta, jak zwykle leżał na wierzchu. Przewertował gazetę, nie natykając się na nic wymagającego reakcji. Potem przejrzał „Guardiana” i „Independenta”. I wreszcie przyszła kolej na „Daily Telegraph”.

- O kurwa... - powiedział słabo. - O kurwa mać.

Dziennikarze mieli spory problem z nazwaniem całej sprawy. Próbowano „Afery Madeline Hart”, ale taki tytuł wydawał się zbyt ogólnikowy. Podobnie było z modnym przez kilka godzin „Fiaskiem Fallona”. Parogodziną karierą cieszyła się także wymyślona w ITV „Kremlowska łączniczka”. Wczesnym popołudniem wygrała jednak wersja BBC: „Afera Downing Street”. Tytuł nieco nijaki, ale obejmujący temat ze wszystkimi szczegółami. Reszta mediów szybko go podchwyciła. Nowo narodzony skandal został ochrzczony.

Przez większość dnia osoba będąca w samym centrum afery, premier Jonathan Lancaster, wypowiadał się dziwnie powściągliwie. Pojawił się dopiero o osiemnastej. Drzwi „dziesiątki” otworzyły się i Lancaster wyszedł zmierzyć się ze światem. W jego głosie

słyszeć było pokorę, ale panował nad emocjami i mówił spokojnie. Przyznał się do niemądrego, przelotnego romansu z młodą pracownicą głównej siedziby partii. Potwierdził również, że skorzystał z pomocy oficera obcego wywiadu, chcąc odnaleźć kobietę, gdy zaginęła. Wyjaśnił, iż świadomie nie poinformował o sprawie brytyjskich służb oraz że zapłacił porywaczom dziesięć milionów euro okupu. Ani przez moment, podkreślił, nie podejrzewał, że młoda kobieta jest urodzonym w Rosji, niedawno uaktywnionym szpiegiem. Nie wiedział również, iż jej zniknięcie jest częścią koronkowego planu opracowanego na Kremlu, mającego na celu zdobycie praw do przeprowadzania odwiertów na Morzu Północnym. Zezwolenie dla Rosjan podpisał, jak podkreślił, za radą wieloletniego zaufanego współpracownika, Jeremy'ego Fallona. Umowa, powiedział stanowczo na zakończenie, oczywiście nigdy nie wejdzie w życie.

Fallon zachował się roztropnie i pierwsze oświadczenie wydał na piśmie. Wiedział, że nawet w najlepsze dni wygląda jak ktoś, kto ma coś za uszami. Przyznał, że pomagał premierowi zaradzać konsekwencjom jego „lekkomyślnych prywatnych zachowań”, ale stanowczo zaprzeczył, że przyjął jakiegokolwiek pieniądze od spółki Volgatek Oil & Gas. Komentatorzy zwracali uwagę na ostry ton oświadczenia. Widać wyraźnie, twierdziło wielu, że Fallon sądzi, iż Lancaster może nie przetrwać skandalu. A wtedy droga do urzędu premiera stanęłaby przed kanclerzem skarbu otworem. Zapowiada się walka o przetrwanie, mówiono. Może nawet na śmierć i życie.

Kolejne oświadczenie opublikowano nie w Londynie, a w Moskwie. Rosyjski prezydent nazwał w nim zarzuty pod adresem Volgateku ohydny kłamstwem Zachodu. Nie pozostawił złudzeń co do tego, że afera będzie mieć globalny zasięg, oskarżył brytyjskie służby o zaangażowanie w uprowadzenie Pawła Żirowa, człowieka, na którego świadectwie oparto całość „pomówień”. Następnie, nie bacząc na brak jakichkolwiek dowodów, zaczął insynuować, iż powiązany z całą sprawą był mieszkający w Londynie oligarcha Wiktor Orłow. Ten ostatni zareagował ze swej kwatery głównej w Mayfair, wyśmiewając w oświadczeniu słowa prezydenta. Nazwał go przy tym kompulsywnym kłamcą i złodziejem, który wreszcie pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Następnie szybko oddał się pod opiekę MI5 i zniknął z widoku publicznego.

Kim był tajemniczy „oficer obcego wywiadu”, z którego usług skorzystał Lancaster podczas poszukiwań Madeline Hart? Powołując się na kwestie bezpieczeństwa narodowego, premier odmówił wskazania jego tożsamości. Również Jeremy Fallon nie uchylił choćby rąbka tajemnicy. Spekulacje prasowe krążyły z początku wokół Amerykanów, o których wiedziano, że blisko współpracują z Lancasterem. Ton i kierunek domysłów uległy zmianie

po tym, jak „Times” podał, iż na Downing Street dwukrotnie widziano w późnych godzinach wieczornych Gabriela Allona. Znany agent izraelskiego wywiadu miał pojawić się tam w najbardziej newralgicznym dla sprawy momencie. „Daily Mail” napisał niedługo potem, że tego samego Gabriela Allona widziano, gdy w Café Nero pił kawę w towarzystwie młodej kobiety. Miało to mieć miejsce dzień przed wybuchem skandalu. Do doniesień „Daily Mail” odnoszono się z rezerwą: to niemożliwe, komentowano, by wielki Gabriel Allon był tak głupi, żeby przesiadywać w zatłoczonej kawiarni w centrum Londynu. Historii opisanej przez „Timesa” trudniej było jednak zadać kłam. Postępując wbrew tradycji, biuro wydało oświadczenie, w którym zaprzeczyło rewelacjom obu dzienników. Brytyjska prasa uznała je za niezbyty dowód zaangażowania Allona w sprawę.

Skandal przeszedł następnie w typową fazę przecieków, zaprzeczeń i prowadzonej mniej lub bardziej otwarcie walki politycznej. Lider opozycji wyraził swoją odrazę dla całej sytuacji i zażądał, by Lancaster ustąpił. Kiedy jednak policzono szable w Izbie Gmin i stało się jasne, że z głosowania nad wotum nieufności premier wyszedłby obronną ręką, opozycja się uspokoiła. Wydawało się, że nawet Jeremy Fallon spadnie na cztery łapy. Koniec końców nie było dowodu na to, że wziął pieniądze od Volgateku. Jedynym tego świadectwem były słowa przedstawiciela spółki, który zniknął z powierzchni ziemi.

Niewykluczone, że na tym by się skończyło. Nadwątłone partnerstwo Lancastera i Fallona miało jednak szansę się uchować. Jednak na progu Hewitta wylądowało wydanie „Daily Telegraph” z drugiego wtorku stycznia. Na pierwszej stronie, nad artykułem Samantha Cooke, widniało zdjęcie Jeremy’ego Fallona wchodzącego do niewielkiego prywatnego banku w Zurychu. Kilka godzin później Jonathan Lancaster pojawił się w słynnych drzwiach domu przy Downing Street, by tym razem ogłosić, że odwołuje kanclerza skarbu z urzędu. Po kilku minutach przedstawiciel Scotland Yardu podał do wiadomości, że przeciwko Fallonowi wszczęte zostaje postępowanie dotyczące przyjęcia łapówki i dopuszczenia się nadużyć. Raz jeszcze Fallon stwierdził publicznie, że jest niewinny. Nie uwierzył mu jednak ani jeden z przedstawicieli korpusu prasowego w Whitehall.

O zachodzie słońca wyszedł z Downing Street po raz ostatni i wrócił do swojego kawalerskiego mieszkania przy Notting Hill. Wydawało się, że przed budynkiem są wszyscy bez wyjątku londyńscy dziennikarze i fotoreporterzy. Śledztwo nie wykazało, w jaki sposób udało mu się później wyjść, nie zwracając ich uwagi, ale kamera monitoringu wyraźnie uchwyciła jego twarz, kiedy o drugiej trzydzięści trzy szedł opustoszałym odcinkiem Park Lane. Na szyję miał zarzuconą pętlę. Używając węzła żeglarskiego, którego nauczył go

kiedyś ojciec, drugi koniec przywiązał do stojącej na moście Westminsterkim latarni. Nikt nie widział momentu, gdy przeskoczył przez barierkę, więc ciało kołysało się powoli pod prądem przez całą noc, aż oświetliły je promienie wschodzącego słońca. Stało się tak jak w starym korsykańskim przysłowiu. „Kto żyje niecnym życiem, umiera niecną śmiercią”.

61.

Korsyka

Ale kto dostarczył zdjęcie, które pozbawiło Fallona urzędu i zaprowadziło go na most Westminster'ski? Pytanie to miało nurtować brytyjskie kręgi polityczne przez wiele tygodni. Jednak na zaklętej wyspie, gdzie przed miesiącami wykiełkował przyszły skandal, tylko garstka zapatrzonych na północ intelektualistów poświęcała temu jakąkolwiek uwagę. Od czasu do czasu jakaś para robiła sobie zdjęcie w Les Palmiers, udając jedzących sławetny lunch Madeline i Žirowa. Większość mieszkańców wyspy starała się jednak jak najszybciej zapomnieć o swoim symbolicznym wkładzie w śmierć czołowego brytyjskiego polityka. Gdy nadeszła zima, Korsykanie instynktownie wrócili do dawnych przyzwyczajęń. Ogrzewali swoje domy, paląc makię, i pokazywali intruzom dwa palce, by odegnać zgubne działanie złego oka. Ci żyjący w pewnej dolinie na południowym zachodzie wyspy w dalszym ciągu zwracali się o pomoc do don Orsatiego, gdy nie mogli znaleźć jej gdzie indziej.

Pewnego wietrznego popołudnia w połowie lutego, siedząc za dębowym biurkiem, don odebrał telefon niepodobny do innych. Mężczyzna po drugiej stronie linii nie prosił, by kogoś wyeliminować. Żadna niespodzianka, pomyślał Orsati, przecież mężczyzna, nie tak jak kobieta, może sam zająć się sprawą. Rozmówca miał inną prośbę: chciał, by don pomógł mu znaleźć dyskretną willę, w której mógłby zatrzymać się z żoną na kilka tygodni. Musiała znajdować się w miejscu, gdzie nikt go nie rozpozna, i gdzie nie będzie potrzebował ochrony. Don znał doskonale miejsce. Był tylko jeden problem: do willi prowadziła jedna jedyna droga, ta która wiodła obok trzech prastarych drzew oliwnych i posterunku nieustępliwego kozła don Cassabianki.

- Czy to zwierzę nie mogłoby przed naszym przyjazdem mieć jakiegoś wypadku? - spytał rozmówca.

- Przykro mi, na Korsyce pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Pojawili się na wyspie trzy dni później, pokonawszy trasę Tel Awiw-Paryż i Paryż-Ajaccio. Don Orsati zostawił dla nich na lotnisku samochód, lśniącego grafitowego peugeota. Ruszyli wybrzeżem na południe. Gabriel prowadził po korsykańsku, trochę nonszalancko. Później skręcili w głąb wyspy i znaleźli się w porośniętych makią dolinach. Kiedy dotarli do trzech prastarych drzew oliwnych, kozioł wyszedł z cienia i władczo zagroził im drogę. Szybko jednak ustąpił, kiedy Chiara wyszeptwała kilka słów do jego nadszarpiętego ucha.

- Co ty mu powiedziałaś? - spytał Gabriel, gdy ruszyli.
- Powiedziałam, że przepraszasz za to, jak się z nim wtedy obszedłeś.
- Nie mam go za co przepraszać. To on tu był agresorem.
- To kozioł, kochanie.
- Jest terrorystą.
- Jak chcesz zarządzać Biurem, skoro nie umiesz dogadać się z kozą?
- Dobre pytanie.

Willa stała nieco ponad półtora kilometra od posterunku kozła. Była niewielka i prosto urządzona. Podłogę wyłożono wapieniem, a posadzkę tarasu granitem. Był ranek, więc wysoka, rosnąca przy podjeździe sosna czarna rzucała cień na większą część tarasu. Po południu jednak kamienie nagrzewały się od słońca. Dni były chłodne i przyjemne, nocami wśród sosen grał wiatr. Pili przy ogniu czerwone korsykańskie wino i patrzyli na kołyszące się drzewa. Płomień w opalonym makią kominku miał niebieskawy odcień, pachniał rozmarynem i tymiankiem. Chiara i Gabriel też wkrótce zaczęli tak pachnieć.

Nie mieli innego planu, niż nie robić prawie nic. Spali do późna. Potem pili kawę przy rynku w miasteczku. W porze obiadu jedli ryby nad samym morzem. Po południu, gdy było najcieplej, grzali się na granitowym tarasie. Jeśli robiło się chłodniej, wracali do prostej sypialni i kochali się, póki nie opadli z sił i nie zasnęli. Szamron zostawiał Gabrielowi wiele tęsknie brzmiących wiadomości, które ten radośnie ignorował. Już za rok, myślał, każdą chwilę jego czasu pochłaniać będzie obrona Izraela przed tymi, którzy będą chcieli go zniszczyć. Ale teraz istniała dla niego tylko Chiara, zimowe słońce, morze i odurzająca woń sosen i makii.

Przez kilka pierwszych dni unikali prasy, internetu i telewizji. Stopniowo jednak Gabriel zaczął nawiązywać łączność ze światem i jego problemami, które wkrótce miał mieć na głowie także i on. Szef IAEA¹¹, agendy ONZ do spraw jądrowych, przewidywał, że w ciągu roku Iran stanie się mocarstwem nuklearnym. Kolejny dzień przyniósł doniesienia o tym, że syryjski reżim udostępnił Hezbollahowi broń chemiczną. Następnego można było usłyszeć, jak rządzący teraz Egiptem członek Bractwa Muzułmańskiego zapowiada kolejną wojnę z Izraelem. Jego słowa nagrano potajemnie na dyktafon. Jedyne dobre wiadomości dotarły z Londynu: przetrwawszy nawałnicę, Jonathan Lancaster mianował Grahama Seymoura szefem MI6. Gabriel jeszcze tego samego dnia zadzwonił z gratulacjami. Przede wszystkim jednak interesował go los Madeline.

- Radzi sobie lepiej, niż się spodziewałem - powiedział Seymour.

¹¹ IAEA - International Atomic Energy Agency - Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej.

- Gdzie jest?

- Wygląda na to, że jakiś znajomy ze służb zaoferował jej swój domek nad morzem.

- Naprawdę?

- Trochę to nieregulaminowe - przyznał Seymour - ale uznaliśmy, że to tak samo dobre miejsce jak każde inne.

- Ale nie przestawaj jej pilnować, Graham. SWR potrafi sięgnąć bardzo daleko.

I właśnie dlatego Gabriel i Chiara, przebywając na wyspie, starali się nie rzucać zbyt w oczy. Rzadko opuszczali willę po zmroku, każdej nocy Gabriel wychodził kilka razy na taras, by nasłuchiwać oznak ruchu w dolinie. Po tygodniu usłyszał charakterystyczny warkot silnika starego renault, by po chwili, po raz pierwszy od siedmiu dni, zobaczyć zapalone światła w willi Kellera. Zdecydował się zaczekać z niezapowiedzianą wizytą do następnego popołudnia. Keller miał na sobie luźne białe spodnie i biały sweter. Otworzył butelkę sancerre, którą wypili razem na słońcu. Po południu sancerre, wieczorem wytrawne czerwone wino korsykańskie. Gabriel pomyślał, że potrafiłby się do tego przyzwyczaić. Teraz jednak nie było już odwrotu: jego kraj go potrzebował. Był umówiony na randkę z historią.

- Przydałoby się trochę popracować nad tym Cézanne'em - rzucił Gabriel. - Może pozwoliłbyś mi trochę go oczyścić, póki tu jestem?

- Podoba mi się taki, jaki jest - odpowiedział Keller. - A poza tym przyjechałeś odpoczywać.

- A ty nie musisz?

- Czego?

- Odpoczywać.

Keller nie odpowiedział.

- Gdzie teraz byłeś, Christopher?

- W podróży służbowej.

- Oliwa czy krew?

Kiedy Keller uniósł brew, dając Gabrielowi do zrozumienia, że chodziło o to drugie, ten pokręcił z wyrzutem głową.

- Ze śpiewania pieniędzy nie ma - powiedział cicho Keller.

- Można zarabiać inaczej.

- Nie, jeśli nazywasz się Christopher Keller i uchodzisz za martwego.

Gabriel napił się wina.

- Wzięłem cię do zespołu nie dlatego, że była mi niezbędna twoja pomoc - wyznał po

chwili. - Chciałem ci pokazać, że można robić w życiu coś więcej, niż zabijać za pieniądze.

- Chciałeś mnie odrestaurować? To próbujesz mi powiedzieć?

- Robię to odruchowo.

- Pewnych rzeczy nie da się naprawić. Niektórzy nie załapią się na zbawienie.

- Ilu zabiłeś?

- Nie wiem. A ty? - odpowiedział pytaniem Anglik.

- To nie to samo. Ja jestem żołnierzem. Walczymy w tajemnicy, ale to nadal służba żołnierza. - Gabriel spojrział poważnie na Kellera. - Ty też możesz służyć.

- Proponujesz mi pracę?

- Żeby pracować dla Biura, musiałbyś zostać obywatelem Izraela i nauczyć się hebrajskiego.

- Zawsze czułem się trochę Żydem.

- Tak, wspominałeś.

Keller się uśmiechnął. Przez chwilę siedzieli w milczeniu Zaczynał wiać popołudniowy wiatr.

- Jest jeszcze jedna możliwość - odezwał się Gabriel.

- Jaka?

- Dotarła do ciebie wiadomość, kto został szefem MI6?

Keller nie odpowiadał.

- Pomówię o tobie z Grahamem. Może dać ci nową tożsamość. Nowe życie.

Keller uniósł kieliszek i wskazał dolinę.

- Ja mam życie, i to bardzo przyjemne.

- Jesteś płatnym cynglem. Bandytą.

- Honorowym bandytą. A to różnica.

- Jak tam uważasz. - Gabriel dolał sobie wina.

- Po to przyjechałeś na Korsykę? Namawiać mnie na kolejny powrót do domu?

- Chyba tak.

- Jeśli pozwolę ci odrestaurować Cézanne'a, obiecasz, że dasz mi spokój?

- Nie.

- To może spróbujemy cieszyć się ciszą.

62.

Korsyka

Trzy dni później don zaprosił Gabriela do swojego biura. Chciał pogadać. Nie było to tak do końca zaproszenie, bo zaproszenie można grzecznie odrzucić. Było to raczej Szamronowskie przykazanie wyryte w kamieniu, do którego nie można się było nie zastosować.

- Co pan powie na wspólny lunch? - spytał Gabriel, wiedząc, że wczesnym popołudniem don jest w najlepszym nastroju.

- W porządku - odpowiedział Orsati. Po czym dodał złowieszczo: - Ale będzie lepiej, jeśli pojawi się pan sam.

Gabriel opuścił willę niedługo po dwunastej. Koziół przepuścił go, nie próbując konfrontacji, bo rozpoznał w nim kompana pięknej włoskiej kobiety. Ochroniarze przed bramą posiadłości Orsatiego również go przepuścili. Don uprzedził ich, że pojawi się Izraelczyk. Gabriel zastał dona pochylonego nad księgą rachunkową.

- Jak interesy? - spytał.

- Idą jak nigdy - odpowiedział Orsati. - Mamy więcej zamówień, niż możemy zrealizować.

Czy chodziło o oliwę, czy o krew - nie sprecyzował. Zamiast tego poprowadził gościa do jadalni, gdzie na stole czekała korsykańska uczta. Biel ścian i proste umeblowanie pokoju sprawiły, że Gabriel przypomniał sobie prywatną jadalnię papieża w Pałacu Apostolskim. Za krzesłem dla dona wisiał nawet na ścianie masywny drewniany krucyfiks.

- Przeszkadza panu? - zapytał Orsati.

- W żadnym razie - odpowiedział Gabriel.

- Christopher mówił mi, że sporo pan wie o katolickich kościołach.

- Co jeszcze o mnie mówił?

Orsati ściągnął brwi, ale nic nie powiedział. Zajął się nakładaniem jedzenia na talerz Gabriela. Napełnił też winem jego kieliszek.

- Willa się podoba? - zapytał po chwili.

- Jest idealna, don Orsati.

- Żona czuje się tu szczęśliwa?

- Bardzo.

- Jak długo zamierzacie zostać?

- Tak długo, jak zgodzi się nas pan gościć.

Don milczał zagadkowo.

- Czy nie jestem już tu mile widziany, don Orsati?

- Może pan zostać na wyspie tak długo, jak pan chce - powiedział don i dodał: - Dopóki nie wtyka pan nosa w sprawy, które dotyczą moich interesów.

- Ma pan oczywiście na myśli Kellera.

- Oczywiście.

- Nie chciałem pana urazić, don Orsati, ja tylko...

- Wtykał pan nos w sprawy, które pana nie dotyczą.

Telefon dona zaczął lekko wibrować, ale go zignorował.

- Czy nie pomogłem panu za pierwszym razem, kiedy szukał tu pan tej angielskiej dziewczyny?

- Ależ tak - odpowiedział Gabriel.

- I czy nie wypożyczyłem panu za darmo Kellera do pomocy?

- Bez niego bym sobie nie poradził.

- I czy nie przyznałem oka na to, że nie podzielił się pan ze mną odzyskanymi pieniędzmi?

- Te pieniądze są na koncie prezydenta Rosji.

- Skoro pan tak twierdzi...

- Don Orsati...

Don machnął ręką.

- O to chodzi? O pieniądze? - spytał Gabriel.

- Nie. Chodzi o Kellera.

Podmuch wiatru uderzył w przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu. *Libeccio* - wiatr z południowego wschodu. Zimą z reguły przynosił deszcz, ale na razie niebo było czyste.

- Tu, na Korsyce - podjął don po chwili milczenia - mamy bardzo stare tradycje. Na przykład młodemu mężczyźnie nie przyszłoby do głowy poprosić kobiety o rękę, jeśli wcześniej nie uzyska zgody jej ojca. Rozumie pan, do czego zmierzam?

- Wydaje mi się, że tak, don Orsati.

- Zanim zaczął pan namawiać Kellera na powrót do Anglii, trzeba było pomówić ze mną.

- Popełniłem błąd.

Wyraz twarzy Orsatiego złagodniał. *Libeccio* przewrócił lekki stolik i krzesło w ogrodzie. Don krzyknął coś w korsykańskim dialekcie. Po chwili pojawił się wąsaty

mężczyzna ze śrutówką na ramieniu i ustawił wszystko jak należy.

- Nie wie pan, w jakim stanie był nasz przyjaciel, kiedy trafił tu z Iraku - ciągnął Orsati.
- Strzép człowieka. To ja dałem mu dom. Dałem mu rodzinę i kobietę.
- A potem dał mu pan pracę. Dużo zleceń.
- Jest w tym dobry.
- Wiem o tym.
- Lepszy niż pan.
- Kto tak twierdzi?

Don się uśmiechnął. Na moment zapadła cisza, którą Gabriel wykorzystał, by starannie dobrać słowa.

- To nie jest odpowiedni sposób zarabiania na życie dla kogoś takiego jak Christopher.
- Popatrz na siebie.
- Nie wiedziałem, że to korsykańskie powiedzenie - mruknął Gabriel.
- Wszystkie mądrości pochodzą z Korsyki. - Don odsunął talerz i oparł na blacie stołu masywne przedramiona. - Wydaje mi się, że czegoś pan nie rozumie. Christopher jest dla mnie kimś więcej niż doskonałym *taddunaghiu* - wyjaśnił. - Kocham go jak syna. Jeśli kiedyś odejdzie - zniżył głos - trudno mi będzie się z tym pogodzić.

- Jego prawdziwy ojciec żyje w poczuciu, że jego syn zginął.
- Inaczej być nie mogło.
- Jak by się pan czuł, gdyby role zostały odwrócone?

Orsati postanowił zmienić temat, nie odpowiadając na pytanie.

- Naprawdę uważa pan, że pański przyjaciel z brytyjskiego wywiadu byłby zainteresowany ściągnięciem Christophera do Anglii?
- Gdyby nie był, zachowałby się wyjątkowo głupio.
- Może jednak odmówić - zauważył don. - Tymczasem rozmawiając z nim na ten temat, może pan zagrozić Kellerowi tu, na Korsyce.
- Zrobię to tak, żeby nie narazić go na ryzyko.
- Czy pański znajomy to człowiek, któremu można ufać?
- Powierzyłbym mu swoje życie. Właściwie kilka razy już to zrobiłem.

Don westchnął z rezygnacją. Już miał udzielić Gabrielowi błogosławieństwa i przystać na jego niecodzienną propozycję, gdy zadzwonił jego telefon. Tym razem odebrał i przez chwilę słuchał w milczeniu. Potem powiedział kilka słów po włosku i odłożył telefon na blat stołu.

- Kto dzwonił? - zainteresował się Gabriel.

- Pańska żona - odparł don.
- Coś się stało?
- Chciała przejść się do wioski.

Gabriel wstał.

- Niech pan zostanie i skończy jeść - powiedział Orsati. - Wyślę paru chłopaków, żeby mieli na nią oko.

Gabriel usiadł. *Libeccio* siał zamęt w ogrodzie, a don przez chwilę przyglądał się smutno Gabrielowi.

- Cieszę się, że pana nie zabiliśmy, Allon - powiedział don.
- Zapewniam pana, don Orsati, że mam podobne odczucia.

Podmuchy wiatru popychały Chiare, gdy szła wąską drogą, mijając kolejne koty i domy o pozamykanych okiennicach, by w końcu dotrzeć na główny plac miejscowości. Wiatr hulał w podcieniach i rozrzucał produkty wystawione przez sklepikarzy. Zaczęła od zakupów na targu. Z koszykiem wypełnionym produktami na obiad usiadła w jednej z kawiarni. Popijając kawę, obserwowała mężczyzn grających w bule we wzbijanych przez wiatr tumanach pyłu. Zobaczyła też, jak na schodach kościoła ubrana na czarno starsza kobieta podaje chłopcu skrawek niebieskiego papieru. Chłopiec miał długie kręcone włosy, był śliczny. Przyglądając mu się, Chiara uśmiechnęła się smutno. Pomyślała, że syn Gabriela, Dani, mógłby wyglądać podobnie, gdyby dożył dziesiątego roku życia.

Stara kobieta zeszła po schodach i po chwili zniknęła we wnętrzu małego domu. Chłopiec ruszył przez plac, niosąc niebieską karteczkę. Ku zdziwieniu Chiary po chwili wszedł do kawiarni, w której siedziała, i bez słowa położył liścik na jej stoliku. Zaczekała, aż odejdzie, po czym przeczytała jedno zdanie:

Musimy natychmiast się zobaczyć.

Signadora czekała na Chiare w drzwiach domu. Uśmiechnęła się, pogładziła ją po policzku i wprowadziła do środka.

- Wiesz, kim jestem, dziecko? - spytała.
- Sądzę, że tak - odrzekła Chiara.
- Twój mąż ci o mnie wspominał?

Przytaknęła.

- Ostrzegalam go, żeby nie jechał do miasta heretyków - powiedziała *signadora* - ale nie

posłuchał. Ma szczęście, że uszedł z życiem.

- Niełatwo go zabić.

- Może rzeczywiście jest aniołem. - Kobieta raz jeszcze dotknęła policzka Chiary. - Ty też tam byłaś, prawda?

- Kto pani powiedział, że byłam w Rosji?

- Pojechałaś, nie mówiąc mężowi - ciągnęła *signadora*, jakby nie usłyszała pytania. - Przez kilka godzin byliście razem w hotelu. Przypominasz sobie?

Staruszka uśmiechnęła się, wciąż dotykając twarzy Chiary. Pogładziła jej włosy.

- Mam mówić dalej?

- Nie wierzę, żeby mogła pani zobaczyć przeszłość.

- Twój mąż był wcześniej mężem innej kobiety - odparła *signadora*, jakby chciała zaprzeczyć słowom Chiary. - Mieli dziecko. Widzę też ogień. Dziecko zmarło, ale kobieta przeżyła. Wciąż żyje.

Chiara cofnęła się gwałtownie.

- Kochałaś go długo - mówiła stara - ale on nie chciał się z tobą ożenić, bo żył w żałobie. Kiedyś cię odprawił, a potem wrócił po ciebie w mieście wody.

- Skąd pani wie o tym wszystkim?

- Namalował cię owiniętą w białe płótno.

- To był szkic.

Staruszka wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że rzecz jest nieistotna. Potem wskazała głową stół, na którym stały talerz wypełniony wodą i naczynie z oliwą. Obok paliły się dwie świece.

- Może usiądziesz?

- Wolałabym nie - odpowiedziała Chiara.

- Proszę. To zajmie tylko chwilę, a będziemy mogli się upewnić.

- Upewnić?

- Usiądź, proszę - powtórzyła Korsykanka.

Chiara usiadła, a *signadora* zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Umocz palec wskazujący w oliwie, dziecko, potem pozwól, by trzy krople kapnęły na wodę.

Chiara niechętnie spełniła prośbę. Uderzywszy o wodę, trzy krople oliwy zlały się w jedną. *Signadora* westchnęła, a po jej bladym policzku spłynęła łza.

- Co pani widzi? - zapytała Chiara.

Staruszka położyła dłoń na jej dłoni.

- Twój mąż czeka na ciebie w willi - powiedziała - wracaj do niego i powiedz mu, że raz jeszcze zostanie ojcem.

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Będzie ich dwoje - odrzekła Korsykanka z uśmiechem.

Nota odautorska

Angielska dziewczyna jest utworem rozrywkowym i nie należy doszukiwać się w niej innego przekazu. Przedstawione w powieści nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są wytworami wyobraźni autora lub - w niektórych przypadkach - istnieją, lecz zostały wykorzystane w sposób fikcyjny. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących lub nie, firm, przedsięwzięć czy zdarzeń jest przypadkowe.

Pojawiająca się w powieści wersja *Zuzanny i starców* autorstwa Giacopa Bassana w rzeczywistości nie istnieje. Gdyby istniała, zapewne przypominałaby tę, którą oglądać można w Musée des Beaux Arts w Reims. Przy ulicy Narkissa w Jerozolimie rzeczywiście stoi niewielki, wykończony wapieniem budynek mieszkalny. Jest ich nawet kilka. W żadnym z nich nie mieszka jednak oficer izraelskiego wywiadu Gabriel Allon. Siedziba tajnych służb Izraela nie mieści się już przy bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie. Kwaterę główną fikcyjnego Biura zdecydowałem się umieścić tam po części dlatego, że bardzo podoba mi się nazwa ulicy Zamach bombowy w hotelu King David z roku 1946 naprawdę miał miejsce, jednak jego świadkiem nie był Arthur Seymour, ojciec fikcyjnego oficera MI5 z mojej powieści. W Muzeum Izraela nie ma, rzecz jasna, pawilonu z eksponatami ze Świątyni Salomona, ponieważ żadnych pozostałości świątyni nigdy nie udało się odnaleźć.

Przy Quai Adopthe Landry w Calvi na Korsyce naprawdę znajduje się restauracja Les Palmiers, jednak nic nie wiadomo o tym, by kiedykolwiek posłużyła za miejsce spotkania dwojga rosyjskich szpiegów. Firma Oleje Roślinne Orsati jest wymysłem, podobnie jak przypadek bratobójczego ostrzału w Iraku, po którym Christopher Keller, pojawiający się w *Angielskim zabójcy*, opuścił SAS i osiadł na Korsyce jako płatny morderca. Osoby znające tę śródziemnomorską wyspę i jej tradycje zauważą od razu, że obdarzyłem moją *signadore* mocami, do jakich większość jej kolegów i koleżanek po fachu się nie przyznaje.

Rosyjska spółka o nazwie Volgatek Oil & Gas nie istnieje, podobnie jak stowarzyszenie pod nazwą Światowa Organizacja Producentów Ropy Naftowej. Istnieją jednak organizacje międzynarodowe o zbliżonym profilu. Przyznaję, że podlubałem nieco przy czasach przelotu samolotów El Al między Tel Awiwem a Petersburgiem, tak by dopasować je do opisanej w powieści fikcyjnej operacji. Odważnych, którzy zdecydują się w środku zimy odwiedzić miasto nad Newą, ostrzegam, by nie próbowali dostać się pod kopułę katedry Świętego Izaaka. W zimie jest ona zamknięta. Przyznaję, że bardzo lubię Café Nero przy londyńskiej Bridge Street. Chciałbym także najmocniej przeprosić hotel Metropol oraz sieci Astoria i

Ritz-Carlton za to, że przeprowadziłem operacje szpiegowskie w ich budynkach. Pocięszam się, że nie byłem pierwszy.

Choć starałem się jak najlepiej opisać wygląd i atmosferę Downing Street 10, przyznaję, że w odróżnieniu od Gabriela Allona nigdy nie miałem okazji przekroczyć linii bezpieczeństwa przy Whitehall. Tworząc fikcyjną postać Jeremy'ego Fallona, obdarzyłem go podobnym zakresem kompetencji, jaki swego czasu premier Tony Blair powierzył jak najbardziej rzeczywistemu Jonathanowi Powellowi. Jestem przekonany że gdyby to właśnie Powell, człowiek bardzo sumienny i inteligentny stał u boku Jonathana Lancastera, historia opisana w *Angielskiej dziewczynie* nie mogłaby się wydarzyć.

Natomiast rosyjska działalność szpiegowska wymierzona w Zachód jest dobrze udokumentowana. Oleg Gordiewski, dezterter z KGB, powiedział niedawno „Guardianowi”, że liczba osób zatrudnionych w londyńskiej rezydenturze SWR jest podobna jak za czasów zimnej wojny. Gordiewski ma prawo wygłaszać takie stwierdzenia, ponieważ w latach 1982-1985 pracował w londyńskich strukturach KGB. Nie on jeden zresztą jest tego zdania. Do tych samych wniosków doszło MI5. „Jestem nieco zawiedziony - powiedział dyrektor generalny Jonathan Evans - że nadal muszę angażować istotne nakłady finansowe, sprzętowe i osobowe w walkę z tym problemem. Wolałbym skierować wszystkich tych pracowników oraz środki do walki z terroryzmem”.

Choć w Londynie rosyjski wywiad jest bardzo aktywny, to numerem jeden na liście zainteresowań Centrali Moskwa pozostają Stany Zjednoczone. FBI dostarczyło na to poważne dowody, zatrzymując w czerwcu 2010 roku dziesięcioro rosyjskich szpiegów od lat działających pod przykrywką na terenie USA. W trosce o szeroko nagłaśniane „reset” stosunków z Kremlem administracja Obamy szybko zgodziła się na powrót szpiegów do Rosji w ramach wymiany więźniów, największej od czasów zimnej wojny.

Najsłynniejszą z nich stała się Anna Chapman, piękna femme fatale, która spędziła kilka lat w Londynie, a następnie zamieszkała w Nowym Jorku jako pośredniczka w handlu nieruchomościami i bywalczyni imprez. Gdy wróciła do Rosji, prowadziła program telewizyjny, miała swoją rubrykę w gazecie, a także pozowała w bieliźnie dla magazynu dla mężczyzn. Została również zaproszona do rady Młodej Gwardii, prokremlowskiej młodzieżówki Jednej Rosji, zaplecza politycznego rządzących krajem. Krytycy Młodej Gwardii nazywają często jej członków „młodymi putinowcami”.

Znaczna część rosyjskiej działalności szpiegowskiej przeciwko USA dotyczy przemysłu lub gospodarki. Powody są boleśnie czytelne. Ówczesny wiek po rozpadzie Związku Radzieckiego sytuacja ekonomiczna Rosji jest w dalszym ciągu zła, a kraj pozostaje w

kolosalnej mierze uzależniony od swojej bazy surowcowej, w tym oczywiście od ropy i gazu. Prezydent Władimir Putin nie ukrywa, jak dużo dla nowej Rosji znaczy energia. Kreml nazwał rzecz po imieniu w opublikowanym w 2003 roku planie strategicznym. Pada w nim wyraźne stwierdzenie, iż *rola, jaką kraj odgrywać będzie na globalnym rynku energii, w dużej mierze determinować będzie jego rangę geopolityczną*. Mądrym ruchem ze strony Kremla było późniejsze złagodzenie języka, jednak priorytety związane z energią pozostały niezmiennie. Odarta z wojskowo-imperialnej otoczki Rosja stara się teraz sięgnąć po władzę i wpływy przy użyciu gazu i ropy, a nie broni jądrowej i marksistowsko-leninowskiej ideologii. Co więcej, kontrolowani przez państwo energetyczni giganci nie chcą ograniczać swojej działalności do krajowego podwórka, gdzie wydobycie wyrównało się i spadło. Nowym elementem ich strategii jest pozyskiwanie nowych nabywców i rozbudowa infrastruktury przesyłowej, a wszystko po to, by wejść do grona największych graczy na rynku energii na świecie. Jednym słowem, Federacja Rosyjska dąży do tego, by stać się Arabią Saudyjską Eurazji.

Gazprom, gargantuicznych rozmiarów państwowa firma, jest największą na świecie spółką gazową. Jej dochody stanowią pokaźną część rocznego budżetu Kremla. Kilka spośród dawnych republik radzieckich kupuje od Rosji cały potrzebny gaz, tak jak niewielka Finlandia. Austria kupuje od Rosji osiemdziesiąt procent gazu, a Niemcy około czterdziestu. Postęp w technologii odwiertów sprawia, że na rynkach pojawi się więcej gazu, jednak rurociągi łączące Rosję z Europą w najbliższych latach pozwolą Gazpromowi utrzymać dominującą pozycję. Jego liczni europejscy klienci powinni pamiętać, że już raz spółka stała się elementem politycznych represji. Było to w roku 2001 - Gazprom kupił wtedy NTW, jedyną niezależną rosyjską telewizję o zasięgu ogólnokrajowym, która bardzo krytycznie odnosiła się do Władimira Putina i partii Jedna Rosja. Dziś materiały NTW mają wydźwięk wyraźnie prokremlowski.

Po krótkiej chałturze na stanowisku premiera Władimir Putin został w marcu 2012 roku wybrany na trzecią kadencję prezydencką. Ten były oficer KGB ma wszelkie szanse rządzić krajem aż do 2024 roku, dłużej niż Leonid Breżniew i prawie tak samo długo jak Józef Stalin. Oczywiście nie wszyscy Rosjanie popierają to, że Putin tak długo trzyma się władzy. Głosy opozycji są jednak coraz częściej i coraz bardziej stanowczo zagłuszane. W listopadzie 2009 Siergiej Magnicki, moskiewski prawnik i biegły księgowy który oskarżył pracowników skarbowki i oficerów policji o malwersacje finansowe, zmarł nagle w areszcie w wieku trzydziestu siedmiu lat. Wydarzenie to pociągnęło za sobą lawinę głosów potępienia w kraju oraz sankcje ze strony USA. Obecnie można odnieść wrażenie, że Kreml wzięło na celownik

Aleksieja Nawalnego, najbardziej znanego rosyjskiego dysydenta i lidera fali protestów, która przetoczyła się przez kraj po powrocie Putina na urząd prezydenta. W chwili oddania książki do druku Nawalny czekał na proces. Postawiono mu zarzuty malwersacji i niegospodarności, które on sam i jego liczni sprzymierzeńcy odrzucają jako czysto polityczne. Jeśli zapadnie wyrok skazujący, Nawalnemu grozi dziesięć lat więzienia. Stamtąd w żaden sposób nie będzie w stanie zagrozić Putinowi ani jego poplecznikom, *siłowikom* z Kremla.

W nowej Putinowskiej Rosji niepokojąco często wyrok pozbawienia wolności okazuje się jednoznaczny z wyrokiem śmierci. Przedstawiciele władz podają, że w samym roku 2012 w zakładach karnych zmarło 4121 osób. Działacze ruchów prodemokratycznych oceniają, że liczba ta jest znacznie niższa od rzeczywistej. To tłumaczy zapewne, dlaczego Aleksander Dołmatow, rosyjski działacz na rzecz demokracji, postanowił odebrać sobie życie w izbie zatrzymań w Rotterdamie w styczniu 2013. W obawie przed prześladowaniami politycznymi uciekł do Holandii i wystąpił o status uchodźcy politycznego. Gdy jego podanie odrzucono, powiesił się w celi. Władze Holandii utrzymują, że samobójstwo Rosjanina nie było związane z decyzją o odrzuceniu jego podania. Przyjaciele Dołmatowa z ruchów prodemokratycznych są innego zdania.

Magnicki, Nawalny, Dołmatow: ich nazwiska są już znane na Zachodzie. Jest jednak wielu innych, którzy cierpią w więziennych celach, bo ośmielili się sprzeciwić, mieli niewłaściwy transparent lub krytycznie wyrazili się o Władimirze Putinie na blogu. Rosja konsekwentnie zmierza w stronę autorytaryzmu. A wszystko to za pieniądze gigantów gazowo-naftowych.

Podziękowania

Ta powieść, podobnie jak poprzednia z serii o Gabrielu Allonie, nie powstałaby bez pomocy Davida Bulla, jednego z najznakomitszych konserwatorów sztuki na świecie. David poświęcił wiele godzin swojego cennego czasu, by doradzać mi w kwestiach technicznych związanych ze sztuką renowacji i sprawdzić rękopis powieści pod kątem poprawności. Jego wiedzę z dziedziny historii sztuki przewyższa chyba tylko przyjemność płynąca ze spędzania czasu w jego towarzystwie. Dzięki przyjaźni z Davidem moja rodzina i ja staliśmy się na różne sposoby bogatsi.

Podczas pracy nad książkami rozmawiam z wieloma oficerami wywiadów amerykańskiego i izraelskiego oraz z przedstawicielami władz. Chcę im w tym miejscu podziękować, oczywiście bez podawania nazwisk, bo wiem, że wolą pozostać anonimowi. Mój serdeczny przyjaciel Gerald Malone, były członek parlamentu z ramienia Partii Konserwatywnej i minister zdrowia, był moim przewodnikiem po świecie brytyjskiej polityki. Podzielił się ze mną wieloma fascynującymi opowieściami, które dały mi wyobrażenie o przywodzącej na myśl piec ciśnieniowy atmosferze Downing Street 10. Nie wymaga chyba wyjaśnień, iż zawarte w powieści elementy osobistego świadectwa i eksperckiej wiedzy czytelnik zawdzięcza właśnie jemu. Wszelkie pomyłki i fikcyjne wtręty to moja sprawa.

Pracując nad rękopisem, sięgnąłem po setki książek, artykułów w gazetach i czasopismach i tekstów na stronach internetowych. Było ich zbyt dużo, by próbować je tu wymienić. Byłoby jednak z mojej strony dużym zaniedbaniem, gdybym nie wspomniał o wspaniałych pracach naukowych i reportażach autorstwa Daniela Yergina, Edwarda Lucasa, Pete'a Earleya, Allana S. Cowella, Williama Prochnaua i Clinta Van Zandta. Doskonałymi źródłami wiedzy o kulisach polityki, które pomogły mi lepiej odmalować tło, okazały się pamiętniki byłych premierów, Tony'ego Blaira, Johna Majora i Margaret Thatcher.

Louis Toscano, mój przyjaciel i wieloletni redaktor, wprowadził do rękopisu niezliczone poprawki. Imponującą pracę wykonała także korektorka Kathy Crosby. Odpowiedzialność za ewentualne pomyłki czy błędy w pisowni, którym udało się przedostać do ostatecznej wersji książki, spada na mnie, nie na nich.

Prawdziwym błogosławieństwem są liczni przyjaciele, którzy wnoszą do naszego życia miłość i śmiech, a także dzielą się podczas powstawania książek ważnymi krytycznymi uwagami. Mam tu w szczególności na myśli Tima Collinsa, Etołę i Stephena Carterów, Stacy i Henry'ego Winklerów, Joy i Jima Zornów oraz Margaritę i Andrew Pate'ow.

Z głębi serca dziękuję Robertowi B. Barnettowi, Michaelowi Gendlerowi oraz Lindzie Rappaport za wsparcie i mądre rady. Serdeczne dzięki dla fantastycznego zespołu profesjonalistów z wydawnictwa Harper Collins, a w szczególności dla: Jonathana Burnhama, Briana Murraya, Michaela Morrisona, Jennifer Barth, Josha Marwella, Tiny Andreadis, Leslie Cohen, Leah Wasilewski, Marka Fergusona, Kathy Schneider, Brendy Segel, Carolyn Robson, Douga Jonesa, Karen Dziekonski, Archiego Fergusona, Davida Watsona, Davida Korala i Leah Carlson-Stanistic.

Chciałbym również wyrazić wdzięczność moim ukochanym dzieciom, Nicholasowi i Lily. Nie tylko pomogli mi w ostatecznym przygotowaniu rękopisu, ale też dotrzymywali mi towarzystwa podczas zbierania materiałów i przygotowań poprzedzających pisanie. Przez cały ten czas byli dla mnie bezcennym źródłem miłości i otuchy. I wreszcie chcę podziękować mojej żonie, Jamie Gangel, fantastycznej dziennikarce NBC News. Wytrwale słuchała i wspierała mnie podczas pracy nad powieścią. Wprowadzała również niezwykle trafne poprawki do wczesnych szkiców. Gdyby nie jej cierpliwość i dbałość o szczegóły, nie udałooby mi się dokończyć *Angielskiej dziewczyny* na czas. Nie sposób zmierzyć, jak dużo zawdzięczam mojej żonie, tak jak i niemożliwa do zmierzenia jest moja miłość do niej.